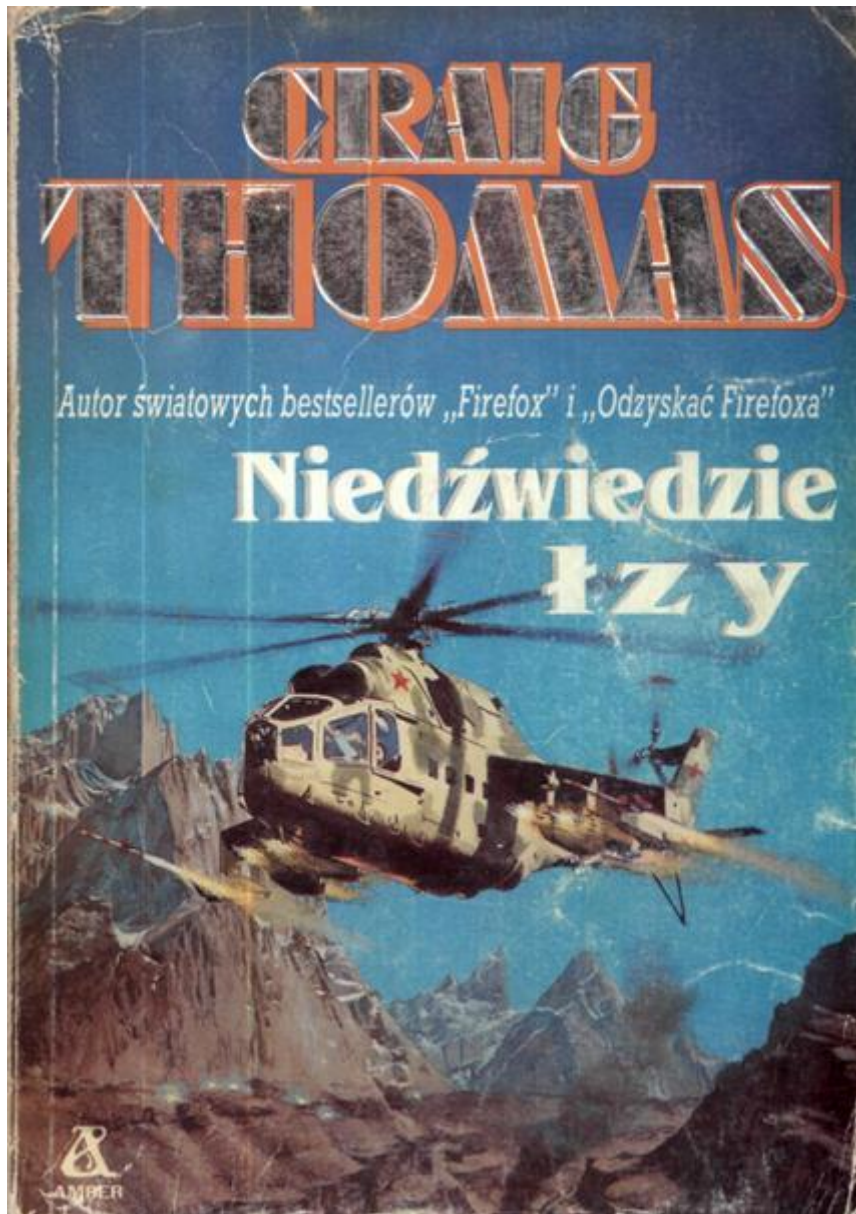


GRAIG THOMAS

Autor światowych bestsellerów „Firefox” i „Odzyskać Firefoxa”

Niedźwiedzie łzy




AMBER

CRAIG THOMAS

Niedźwiedzie łzy

**Przełożyli Danuta
Koweszko Jarosław
Roztocki**

**Wydawnictwo AMBER sp. z o.o.
Instytut Prasy i Wydawnictw NOVUM
Warszawa 1992**

Tytuł oryginału
The Bear's Tears

Projekt okładki
Adam Olchowik

Ilustracja na okładce
Kevin Tweddell
Used by arrangement with Artists Partners Ltd., UK

Redaktor techniczny
Małgorzata Kraucka

Korekta
Maria Filipkowska
Stefania Przeździecka

© 1985 Craig Thomas & Associates
© For the Polish edition by Wydawnictwo AMBER sp, z o, o. 1992
Published in cooperation with Instytut Prasy i Wydawnictw NOVUM

ISBN 83-85299-27-0

Warszawa 1992. Wydanie pierwsze
Ark, wyd. 37, ark, druk. 33
Skład i łamanie: IPIW NOVUM
Druk: BZGraf.

Alboż nie widziałeś,
Że czas na grzbiecie swoim torbę nosi,
W którą jałmużny wkłada zapomniane,
Czas, ten olbrzymi potwór niewdzięczności,
Te szczątki to są przeszłe dobre czyny,
Pożarte w samej chwili urodzenia
I zapomniane, ledwo dokonane...

Szekspir, *Troilus i Kressyda*
(przekład Józefa Paszkowskiego)

PODZIĘKOWANIA

Oprócz tradycyjnych podziękowań dla mojej żony za jej wkład w wydanie tej książki, jak do tej pory, mojej najdłuższej powieści, chciałbym szczególnie podziękować Peterowi Matthewsowi za jego nieocenioną pomoc w kradzieży informacji z centralnego komputera KGB, które wykorzystałem w trzeciej części książki. Wszystkie błędy, niedokładności lub zapożyczenia metod i terminologii obciążają mnie, a nie jego.

*Dziesiąta tak jak pierwsza,
jest dla Jill
w dowód miłości*

PRELUDIUM

Oddałem Wenecji pewne przysługi,
Są one wiadome;
Nie mówmy o tym.

Szekspir, *Otello*
(przekład Józefa Paszkowskiego)

Szybko...

Pamiętaj, co ci mówili, najpierw pierwsza strona okładki teczki sprawy. Wykorzystać okazję i pozbyć się obaw...

Trzask aparatu fotograficznego. Pamiętaj o tym. Musisz się spieszyć i denerwować... Wszystko musi być troszkę nieostre, szczególnie na początku.

Spostrzegł przez soczewkę rozbłysk lampy elektronicznej odbity od papieru, mały promyk słońca, ale znacznie bielszy niż światło słoneczne. „Łza” - oznajmiał cyrylicą napis na teźce. Inne słowa i numer archiwalny oznaczały kategorię ważności i fakt, że przeznaczono ją do natychmiastowego spalenia. Jej zawartość została przekazana i zmagazynowana w głównym komputerze służb bezpieczeństwa w moskiewskiej Centrali.

„Łza” to historia człowieka. Szczególna historia. Otworzył teźkę i spojrział na pierwszą z zawartych w niej stron. Wykaz dokumentów. Sfotografuj to, mówili mu. Bez względu na pośpiech lub odczuwany strach powinieneś uzyskać przynajmniej tyle jako dowód wiarygodności. Pierwsza data pochodziła z 1946 roku, ostatnia nie była wcześniejsza niż sprzed miesiąca. Ale wciąż nie była to sprawa zamknięta.

Aparat fotograficzny wydaje trzask, przypomniał sobie. Stało się to już zbyt mechaniczne, zbyt profesjonalne i niespieszne. Strony od pierwszej do piątej bez żadnej przerwy, bez drgnienia. Być może doświadczenie czyni człowieka doskonałym. Ile razy to robił?.. Upewnij się, że szare metalowe zszywki będą widoczne w narożnikach kilku zdjęć.

Autentyczność. Przewracane kartki...

Prześlizgnął się pobieżnie wzrokiem po stosunkowo starych stronicach, wyrwanych z notesów kartkach, listach, arkuszach iskrówek, rozkładając je niczym karty do gry na polerowanej okładce i na zakurzonej podłodze zimnej piwnicy archiwum.

Nie ma sensu kusić ryzyka, wywoływać strachu; teraz dygotał z zimna.

Przeżyj to - będą cię pytali o te chwile, znowu i znowu... będą pytali, próbując zwerfikować. Udowodnić...

Łęk - kroki? Próbował sobie wyobrazić wrogi stukot butów po betonie, dobiegający z korytarza za drzwiami.

Błyskawiczne przerzucanie stron. Błysk, błysk, błysk - białe światło jaskrawo odbija się na przewracanych spiesźnie kartkach. Jego kolano znajdzie się na

krawędzi jednego ze zdjęć - pogratulował sobie tego prostego, swoistego, delikatnego śladu autentyczności. Część z serii przesłuchań z 1946 roku. Później przerzucał szybko kartki, były coraz bardziej kompromitujące, rozrzucił je niedbale na podłodze pomiędzy stojakami o półkach wykonanych ze srebrzystego metalu... Skończył się rok 1946, przyszła kolej na ostatnie dwa lata...

Trzask aparatu - ale niezbyt głośny...

Pamiętaj, co czujesz w każdym momencie, odczucia i doświadczenia związane z niektórymi z kartek...

Co to było? Spotkanie w Helsinkach w ubiegłym roku. Kroki po betonie na zewnątrz, zatrzymują się?... Sam się przestraszył w tych ciemnościach, oczy miał nadal oślepięte ostatnim błyskiem. Znowu błysk, błysk...

Ostatnia strona. Nie, nie ostatnia ani też nie przedostatnia, nawet nie żadna z poprzednich...

Wreszcie skończył. Drżał z zimna w ciemności. W ugiętych nogach od kostek aż do kolan odczuwał bolesny skurcz. Słyszał swój własny oddech. W rzeczywistości przeżywałby to dokładnie tak samo - wszystkie emocje. Westchnął głośno.

- Dobra robota - dobiegł go głos z ciemności.

Na dźwięk tych słów aż podskoczył. Zachowywałem się więc przekonywująco, powiedział sobie.

- Myślę, że masz teraz ochotę na kielicha?

Ostatnie białe kartki w teczce „Łza” stawały się coraz bardziej niewyraźne, nabierając śnieżnego blasku. Przypominał go sobie ze swojej nocnej wizji. Tak, teraz jest skazany, pomyślał. Twój los jest w tych kartkach, wraz z nim.

On, figurant sprawy „Łza”.

- Tak - odpowiedział, oczyszczając gardło z odbijającego się echem mroku. - Mam ochotę na kielicha.

Patrick Hyde patrzył na Kennetha Aubreya, kiedy ten i Rosjanin opuszczali prom w tłumie letników z zamiarem dotarcia do bram zoo. Hyde'owi nie podobało się, że Aubrey nie miał przy sobie mikronadajnika. Tego typu urządzenia wywoływały zdenerwowanie Rosjanina. Hyde czuł się odcięty od przełożonych, skrępowany zadaniem polegającym na ochronie Aubreya.

Począł, aż prom opustoszeje. Wyglądało na to, że nie było żadnej sprzeczności pomiędzy zapewnieniem zastępcy przewodniczącego Kapustina, iż będzie sam, a wynikami własnych obserwacji Hyde'a. Jeżeli byli tu agenci ochrony KGB, to nie rzucali się w oczy. Hyde wolno przeszedł pomostem wzdłuż mołu w kierunku sosen, które

osłaniały zoo na wyspie Korkeasaari. Za nim, poza wzburzoną, migotliwą bryzą, leżały niewinne, białoróżowe w letnim popołudniu Helsinki.

Hyde był nadal zirytowany tym, że Aubrey zakazał mu wcześniej przeszukania Kapustina, by ustalić, czy nie ma przy sobie broni lub mikrofonu. Twarz Aubreya, gdy tylko odwinął przewód z talii i odpiął mikrofon od koszuli, przybrała wyraz zadowolenia.

Hyde nie ufał Kapustinowi, mimo odbywanych niemal od dwóch lat spotkań.

Nic nowego. Długa, bezowocna współpraca. Słowami, a nie czynami, Kapustin dowodził, że chce uciec na Zachód. Sam zastępca przewodniczącego KGB, inspektor generalny i zastępca Głównego Zarządu Operacji i Personelu. Olsniewająca perspektywa, która oślepiła Aubreya.

Przed nim, w odległości pięćdziesięciu jardów od tłumu w letnich koszulach i kolorowych sukienkach, Aubrey i Kapustin maszerowali w stronę krętej ścieżki w pobliżu wejścia do zoo. W oddali zaryczał lew. Dzieciaki wstrzymały oddech, znieruchomiały w oczekiwaniu. Nic niebezpiecznego nie działo się za ciężkimi, wonnymi sosnami, a mimo to Hyde nie mógł się odprężyć. Tak, nie istniało żadne niebezpieczeństwo, nic oprócz uporczywego, powracającego wciąż uczucia zagrożenia. Wszystko było nieprawidłowe w tej sprawie - ale właściwie co? Przecież to już dziesiąte albo nawet piętnaste spotkanie Aubreya z Kapustinem. Kapustinem - oporną dziewczicą. Kapustinem wahającym się, odmawiającym podjęcia decyzji, martwiącym się o pieniądze, nową tożsamość i miejsce zamieszkania. Wodzącym za nos Aubreya.

Czerwono-żółta piłka potoczyła się ścieżką do stóp Hyde'a. Gonił ją mały chłopczyk w szortach, piegowaty jasny blondynek. Później zawrócił do rodziców biesiadujących wśród drzew na drewnianej ławce, oświetlonej promieniami słońca. Ich śmiech wirował w powietrzu niczym małe muszki, podobne do pyłków.

Stanął w kolejce za Kapustinem i Aubreyem, później kiedy weszli w wąskie ścieżki pomiędzy wybiegami dla kozic, trzymał się dwadzieścia jardów z tyłu. Lama obserwowała Hyde'a przenikliwym spojrzeniem służącego, bizon skubał trawę przy wysokim ogrodzeniu z siatki.

Błąd, przypomniał sobie Hyde. Był z siebie niezadowolony. Miał dość działania jako ochrona osobista Aubreya podczas okresowych wyjazdów do europejskich stolic. Spotkania organizowano tak, aby zbiegały się z wyjazdami inspekcyjnymi Kapustina.

Do radzieckich ambasad w Europie Zachodniej: Berlinie, Wiedniu, Bonn, Sztokholmie, Madrycie, Londynie i Helsinkach. Za każdym razem Kapustin przekazywał plotki z wyższych sfer, z Politbiura, rejestrujące zmiany we władzach i opiniach.

Tłumaczył się, dlaczego nie przechodzi na drugą stronę, żądał podwojenia wynagrodzenia lub wzmocnienia środków bezpieczeństwa, a nawet większej liczby pochlebstw pod swoim adresem.

Kapustin i Aubrey zatrzymali się przed klatką z małpami.

Mieli przed sobą drobne, rozczłoszczone, okolone sierścią twarze; małe ręce wyciągały się do nich przez kraty. Ostre wrzaski małp wyrażały żądania i zniewagi. Aubrey miał poważną minę, Kapustin, wyższy i tęższy, zdawał się pochylać nad nim jak dyrektor szkoły nad uczniem, z którego próbuje wydusić odpowiedź. Wyraz twarzy Aubreya był odbiciem grymasu pomarszczonej mordki kapucynki, która spoglądała na obu mężczyzn przez kraty. Hyde obserwował otaczający go tłum, patrzył na aparaty fotograficzne i oczy. Nic.

Na twarzy Aubreya ocienionej słomkowym kapeluszem malowało się widoczne rozdrażnienie.

Kapustin gestykułował szeroko i niedbale wzruszał ramionami. Hyde przesunął się bliżej barierki przed klatką.

Mała szara małpka odskoczyła przerażona i pobiegła wzdłuż prowadzącej donikąd kładki, jak gdyby uosabiał śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Podwójny agent? Nie prosimy cię, abys nim był, Dmitrij - mówił Aubrey cichym, napiętym głosem. - Dlaczego upierasz się przy tym pomysłe? To było twoje żądanie. Ty skontaktowałeś się ze mną, Dmitrij. Bezpośrednio. Osobiście.

- A gdybym czekał jako uspijony agent? - wymamrotał Kapustin.

- Właśnie - Aubrey powstrzymał się od uśmiechu, usłyszawszy te słowa. - Nawet wtedy bawiłbyś się z nami, ze mną.

- Przepraszam. - Kapustin dostrzegł Hyde'a w momencie, kiedy Australijczyk przesunął się bliżej i odwrócił oczy od klatki z małpami.

W oddali ponownie zaryczał lew. Po chwili Kapustin znów skoncentrował uwagę na Aubreyu. - Byłeś bardzo pomocny, zrobiłeś wszystko - wymamrotał.

- To mój obowiązek, nic ponadto. - Aubrey patrzył na niego twardo. - Nie można było odrzucić tego, co nam zaoferowałeś. Ale dlaczego teraz znów się wahasz i czemu trwa to tak długo?

- Nie mogę się zdecydować: wy czy Amerykanie.

- Pieniądze? Czy o nie chodzi?

- Pieniądze są dla ciebie tak istotne?

- Nie, sytuacja nie dojrzała.

- Z pewnością nie, teraz Cunningham musi przejść na emeryturę.

- Oczywiście wiesz o tym.

- Po cichu przewiduje się, że zajmiesz miejsce generalnego dyrektora. Naturalnie tak będzie?

Aubrey machnął ręką w powietrzu.

- Za wcześniej o tym mówić.

- Twoja prawdziwa praca dopiero wtedy się zacznie.

- Może. Posłuchaj mnie, Dmitrij. Okres współpracy się skończył. Oczekuje się twojej decyzji. Musisz zdecydować. Musisz działać...

Hyde oddalił się od obu mężczyzn. Ich głosy niknęły we wrzaskach małych i hałasie dzieci. Wciąż te same rozmowy... nie kończące się zwoje taśm z perswazjami z jednej strony i wahaniem z drugiej. Kapustin bawił się z Aubreyem, była to strata czasu dla wszystkich. Ot, słowne gierki, nie kończące się igraszki.

Hyde zaczął się wsłuchiwać w paplaninę grupy uczniów złożonej z dziewcząt z warkoczami i podstrzyżonych krótko chłopców, popędzanych z tyłu przez energiczną opiekunkę. Na jego brązowe sztruksowe spodnie kapnęła kropla roztopionych lodów waniliowych. Uśmiechnął się i wytarł ją. Myśl o lodach zaświtała mu, gdy tylko przestał się złościć na dwóch idących teraz z tyłu starszych mężczyzn.

„Łza”. Pseudonim Kapustina, zasugerowany osobiście przez Rosjanina podczas pierwszego spotkania w Paryżu. Obejrzał się za siebie. Dwaj mężczyźni zostali otoczeni przez szurającą nogami gromadkę uczniów. Piskliwy głos nauczycielki wciąż udzielał pouczeń. Wygląd Aubreya i Kapustina był niegroźny, a nawet śmieszny. Hyde nie spodziewał się, aby zastępca przewodniczącego KGB miał zdezerterować w tym bądź w przyszłym roku, nawet za dwa lata. Aubrey w ogóle nie był dotychczas pewien, czy ten człowiek ma motywację do przejścia na drugą stronę. Bliżej nie określone rozczarowanie nie wydawało się wystarczającym usprawiedliwieniem. „Łza”. Ten pseudonim, zgodnie z tym, co zdołała ustalić SIS*, nie wiązał się z osobistą tragedią.

* SIS - Secret Intelligence Service - określana też mianem MI6, brytyjska tajna służba wywiadowcza. Instytucja zbierająca informacje wywiadowcze poza Wielką Brytanią. - Przyp. tłum.

Hyde z nawyku obserwował aparaty fotograficzne i oczy, później ścieżki i drzewa. Nic. Ziewnął, czuł się znudzony i miał ochotę wreszcie znaleźć się w akcji.

Kapustin i Aubrey minęli go, pogrążeni w rozmowie. Bez znaczenia. Nic. „Łza” był stratą czasu dla wszystkich.

Dyskretnie, nieznacznie zaczął śledzić obu mężczyzn.

- Czy to aktor, który grał wczoraj? - zapytał Kapustin z ciemności, z tyłu sali. Film terkotał w projektorze. Dym papierosowy przepływał w smudze białego światła padającego na ekran.

- Tak, towarzyszu zastępco przewodniczącego.

- Cienie chmur nie wyglądają według mnie najlepiej. Uchwyciliście natomiast dobrze porę dnia i natężenie światła słonecznego. Ale tego dnia był nieco silniejszy wiatr. Cieni jest za mało.

Kapustin obserwował swoje własne plecy umykające z pola widzenia kamery, towarzyszyła mu sylwetka dokładnie odpowiadająca wyglądowi Kennetha Aubreya. Aktor nieco się różnił rysami twarzy od Anglika, ale z tej odległości zdawał się identyczny. Sposób chodzenia był dobry, bardzo dobry, linia ramion lekko przechylona na jedną stronę, głowa jak u nasłuchującego ptaka. Aubrey zawsze nosił w lecie słomkowy kapelusz i było zrzędzeniem losu, że miał go również tego popołudnia.

- Zrobimy porównanie komputerowe, towarzyszu zastępczo przewodniczącego - zaproponował szef zespołu technicznego. - Jestem pewien, że da się coś zrobić z tymi cieniami, nawet jeżeli nie będzie jutro dogodnych warunków, by nakręcić wstawki do oryginalnego filmu.

- Mhm. - Kapustin wpatrywał się przez dłuższą chwilę w ekran, a później powiedział: - Pokażcie mi film z dzisiejszego popołudnia.

Projektor zwolnił i ścichł. Drugi, ustawiony obok, rzucił obraz na ekran, ukazując jego i Aubreya oddalających się od kamery, dokładnie tak, jak to było na próbie poprzedniego popołudnia. Ekspozycja - tak. Ubrania do skopiowania - z pewnością. Zachowanie. Aktor musi poćwiczyć. Denerwujące było to, że Aubrey pokazywał się na obrazie niezbyt często, ale był tam, na tym kawałku taśmy, widać było jego ciało, poruszające się kończyny. Australijczyk kroczył ścieżką za nimi, z nimi, z rękoma w kieszeniach, wyraźnie znudzony.

- W porządku, towarzyszu? - zapytał szef zespołu, unosząc się na łokciach. Kapustin pokiwał twierdząco głową.

- Nieźle.

- Możemy rozwiązać ten problem. Jakość filmu będzie identyczna, kiedy komputer skończy zestawianie danych porównawczych. - Usłużność wzięła górę nad dumą zawodową. - Będziemy w stanie zmontować wszystko, czego zażądacie, jeśli tylko aktor będzie odpowiedni.

- Będzie.

- Tak jest.

Kapustin i Aubrey stali teraz przed klatką z małpami, najwyraźniej prowadząc gwałtowną wymianę zdań. Odległość kamer musiała zostać tak dobrana, aby mimo obecności Hyde'a możliwe było dokonanie fałszerstwa. O takich zbliżeniach, aby móc odczytać z ruchu warg słowa, nie było nawet mowy. Doskonale. Mogli zatem spowodować, że na taśmach Aubrey będzie mówił to, co chcieli. Jego własne usta

zaprzeczałyby głosowi.

- Chyba w porządku - mruknął Kapustin, trzymając kciuk w ustach. Dym z papierosa dostał się w strumień światła z projektora. - Tak, dobrze... - delektował się. Słyszał już niemal w myślach sfalszowaną, nagraną i zmontowaną rozmowę, która będzie towarzyszyła nakręconym ujęciom. Kiedy Aubrey zgodził się pod wpływem nerwowych kapryśków Kapustina na rezygnację z urządzeń nagrywających, zastępca przewodniczącego KGB, wykorzystując naiwną ufność Anglika, nie mógł się powstrzymać od zabrania własnego małego mikrofonu. Kapustin zachichotał cicho na wspomnienie tego faktu. - Pokażcie mi następny kawałek próbnego filmu - polecił.

Projektor zwolnił i zatrzymał się. Drugi projektor wyświetlił obraz Kapustina wraz z aktorem na ekranie. Tak, ten film był niezbędny, powiedział sobie w duchu Kapustin. Oczywiście Aubrey został oficjalnie wysłany na spotkanie z nim w Helsinkach i film nie był konieczny do udokumentowania faktu spotkania. Ale...

Kapustin uśmiechnął się. Aktor zrobił pauzę. Przekazał paczkę Kapustinowi. W pochyleniu głowy, w linii opuszczonych ramion było coś z poczucia winy. Kapustin - na ekranie - demonstrował wdzięczność i niemal natychmiast potem satysfakcję, która zamieniła się po chwili we władczą pewność siebie. Ta krótka scena skończyła się chyba po sześciu lub siedmiu sekundach. W sposób bezbłędny sugerowała, że Aubrey jest podwójnym agentem, zdrajcą.

„Łza”.

- W porządku - jak dotąd, dobrze. Czy możemy teraz przejść do taśmy?

Zapaliły się światła. Obraz na ekranie rozmył się, jak gdyby widoczny przez zasłonę światła lub śniegu, a później projektor został wyłączony. Kapustin wpatrywał się w młode, pełne entuzjazmu i kompetencji twarze, które zwróciły się w jego stronę niby rośliny do słońca. Był ich słońcem. Jego własny zespół techniczny. Jego specjalny zespół „Łza”.

- Co wam teraz puścić, towarzyszu?

- Najpierw statek. Prom. Jak sobie poradziście z tymi zdjęciami?

- Będzie się wam podobało. - Młody człowiek uśmiechnął się szeroko.

Kiedy włączył magnetofon kasetowy, w pokoju zapanowała nagle cisza.

Sprzęt był kosztowny, japoński. Nagrane taśmy z muzyką rockową leżały ułożone w stos na stole, wśród mikrofonów i przewodów, koło magnetofonu szpulowego i urządzenia do montażu taśm. Młodzi pracownicy robili zakupy w Helsinkach.

- Miejmy nadzieję - powiedział Kapustin miłym ojcowskim tonem.

Mewy, później głosy. Szef zespołu wręczył mu maszynopis nagrania. Odmiernym drukiem napisane były wcześniej nagrane przez niego pytania i uwagi, które zostały wmontowane w jego rozmowę z Aubreyem.

Kapustin słuchał uważnie.

- Jest to dla mnie coraz trudniejsze - słycać było głos Aubreya. Mewy, woda, wiatr, hałas silników promu. W rzeczywistości przechodził właśnie do wyjaśniania Kapustinowi, że jego wahania denerwują Londyn. Aubrey miał trudności w przekonaniu swoich kolegów, że Kapustin poważnie myśli o dezercji. Teraz, po wstawieniu pytania dotyczącego dokumentów rządowych i kilku minut rozmowy o Komisji Spraw Zagranicznych, wyglądało na oczywiste, iż Aubrey przekazuje prowadzącemu go funkcjonariuszowi KGB ściśle tajne informacje.

Aubrey był zdrajcą. Kapustin uśmiechnął się, poruszył zuchwą i słuchał.

- Zdaję sobie z tego sprawę - usłyszał swój własny głos - ale ta informacja jest bardzo ważna. - Wśród słów słyszał bicie własnego serca, o wiele cichsze niż stukot silników promu. - Musisz spróbować - nalegał.

- Robię wszystko, czego się ode mnie żąda - odparł Aubrey ze złością pomieszaną ze strachem i uległością. W końcu miał powód do strachu. Skąd pochodził ten wyćinek taśmy - z Paryża, Wiednia, Berlina? Był z tego czy z ubiegłego roku?

- Nie - rzucił Kapustin. - Wyłącz to. - Szef zespołu zachował stoicki spokój. Twarze pozostałych zgromadzonych w nagrzanym, zadymionym pokoju ludzi wyrażały rozczarowanie, a jedna lub dwie - lekkie podenerwowanie. - Przykro mi, chłopaki - bicie mojego serca brzmi nieprawidłowo we wstawkach. I coś jest nie tak z natężeniem głosu Aubreya - powinien znaleźć się chyba nieco bliżej.

- Co z tłem dźwiękowym? - zapytał ktoś.

- W porządku - bez zmian. Jest dobre. Przykro mi, ale wywiad fiński we właściwym czasie otrzyma ten materiał, a pierwsze, o co nas będą podejrzewali, to oszustwo. Będą usiłovali wykryć, co zostało wmontowane, a co wycięte. Ja nie powinienem słyszeć tych różnic. To nie jest wystarczająco dobre. W porządku, teraz przejdźmy do zoo...

Magnetofon kasetowy zaczął się obracać, kiedy ponownie wciśnięto klawisz „Odtwarzanie”. Lew zaryczał jak w rzeczywistości. Małpy piszczały do dzieci, a dzieci do małp. Kapustin słuchał.

- Twoja prawdziwa praca dopiero wtedy się zacznie - słyszał swój własny głos. - To był mój obowiązek, nic ponadto - odpowiedział twardo Aubrey. Później kontynuowali: - Czekałem cierpliwie, bardzo długo, Dmitrij, teraz to jest w naszej mocy.

- Jeszcze raz! - warknął Kapustin, tłumiąc podniecenie w głosie.

Przewijanie, następnie odtwarzanie. Słuchał. Wycinki taśm z Berlina, z Rzymu, z Wiednia. Wykasowane oryginalne tło dźwiękowe, podłożone nowe. Zoo. Słuchał. Cały

ten harmider, nie mógł uwierzyć, że zdołali go podrobić. Chcieli zamaskować pierwotne wymazanie z taśmy odgłosów ruchu ulicznego, wiatru lub deszczu. Pomimo to nie wierzył im, aż do tej chwili. To było...

- Wspaniałe - westchnął. Ogólne poczucie ulgi wypełniło pokój. Lwy, mały, dzieci. Płynne, bez śladów cięć tło, naturalne odgłosy życia bez znamion fałszerstwa.

Stało się. Był to najlepszy materiał, jaki kiedykolwiek spreparowano na wszystkich taśmach, które fałszowali. Najlepszy w ciągu ostatnich dwóch lat. Przełomowa chwila, moment zdrady, zastawiania pułapki.

Aubrey stał się „Łzą”, z pewnością był „Łzą”. Aubrey - zdrajca swojej służby i swojej ojczyzny. Znalazło się to na taśmie. „Łza” zdekonspirowany.

- Jeszcze raz - wyszeptał Kapustin, rozkoszując się uczuciem całkowitego, niepodważalnego sukcesu. - Jeszcze raz.

Ekran do projekcji wideo znajdował się na samym końcu pierwszego piętra sklepu. Na ekranie, w nieco zamazanych kolorach, tancerz baletowy wykonywał jakąś skomplikowaną partię, biegnąc w podskokach przez usłaną liśćmi polanę, przy nieodpowiednim akompaniamencie dobiegającej z głośników muzyki disco. Obraz wywołał jego uśmiech. On sam odwrócił się plecami do ekranu i wszedł schodami do działu kaset. Przybył zbyt wcześnie na spotkanie, na ostateczny kontakt w sklepie HMV na Oxford Street.

Wyszedł ze stacji metra przy Bond Street w gorące wrześniowe popołudnie; cała zatłoczona, rozgrzana słońcem Oxford Street zdawała się pachnieć smażoną cebulą, której zapach dochodził z niewidocznej budki z hot-dogami. Na parterze - powiedziano mu. Punktualnie o czwartej. Przejdziesz o czwartej. Szkoda, że nie zostałeś skierowany do Waszyngtonu lub Nowego Jorku - ale z Oxford Street możemy przewieźć cię te parę przecznic do ambasady na Grosvenor Square. Sklep HMV jest dobry i zawsze zatłoczony. To będzie punkt przejścia. Bądź wcześniej, pokręć się po sklepie. Potrzebujemy trochę czasu, aby się rozejrzeć za ewentualnym ogonem. Bądź ostrożny.

Wiedział, że nie powinien odczuwać prawdziwego napięcia. Powinien doznawać jedynie uczuć, których doświadczał i poznał, przygotowując się na tę chwilę. Pamiętaj, będą oczekiwali strachu, napięcia, pocenia się. Tak jak w przypadku teczki personalnej, musisz kontrolować swoje reakcje. Muszą być prawidłowe - odpowiadać tym, jakich się oczekuje od dezertera przechodzącego na drugą stronę.

Woń smażonej cebuli po zapachu rozpalonego powietrza na stacji metra sprawiła, że poczuł skurcz w żołądku. Jeszcze mógł się zatrzymać, zrezygnować, aby później się podnieść jak przygnieciony kwiat. Wahanie było dowodem uczciwości.

Młody chłopak o różowych włosach, umalowanych oczach i z kolczykiem w uchu siedział rozwalony przy kasie. Grigorij Mietkin przesuwał się powoli wzdłuż regałów z kasetami, wertując katalog, przebiegając palcami po półkach, przeglądając ułożone alfabetycznie wykazy piosenkarzy pop i zespołów rockowych. Wszystkie one były mu obce niemal bez wyjątku. Tak długo myszkował wzrokiem, aż znalazł swój cień z ambasady radzieckiej, pilnie studiujący przecenione kasety. Cień miał ze sobą dwie zielone torby od Marksa i Spencera. Nie było w nim nic z Rosjanina. Był wystarczająco ciemny i pękaty, aby uchodzić za Araba lub Irańczyka.

Mietkin spojrział na zegarek. Za dwie minuty czwarta.

Mężczyzna w jasnym garniturze prześlizgnął się obok niego i popatrzył mu znacząco w oczy. W jego spojrzeniu był cień zachęcającego uśmiechu, później mężczyzna oddalił się. Po chwili Mietkin zszedł za nim po schodach. Na ekranie wideo Raquel Welch ubrana w bikini ze skóry uciekała przed dinozaurem przy akompaniamencie muzyki Bacha, wspomaganej obcym echem gitar elektrycznych dobiegających z dolnego piętra, Mietkin znów się uśmiechnął. Później, kiedy obejrzał się za siebie, na schodach prowadzących na parter, gdzie zawodziły gitary, zobaczył swój cień z zielonymi torbami sunący niespiesznie za nim. W rozbłysku świadomości jasno zdał sobie sprawę, co pozostawia za sobą i jakie niebezpieczeństwa niesie nowa rola. Jego żołądek opadł i zmiękł.

Mężczyzna w jasnym garniturze czekał na niego. Był tam jeszcze drugi facet, a później trzeci. Wszyscy w dobrze skrojonych garniturach; pewnie chcieli zaprezentować mu zalety amerykańskiej konfekcji, swoje ostatnio nabyte ubrania. Narastał hałas spowodowany dysonansem trzech lub czterech przebojów płytowych, a on wahał się przed zrobieniem ostatniego kroku. Promienie słońca świeciły oślepiająco za drzwiami sklepu.

Zrób to dobrze, pomyślał. Zrób to w przekonujący sposób, przypomniał sobie.

Gdzie był teraz jego instruktor, z którego okna na Oxford Street mógłby obserwować, co się dzieje? Później Mietkin w mgnieniu oka zarejestrował, że rozpoznał go jeden z Amerykanów. Jego cień oddalił się. Jasny garnitur przesunął się bliżej niego i silna brązowa ręka chwyciła go za ramię. Druga ręka mężczyzny sięgała w zanadrze jego marynarki.

Inny Amerykanin przesunął się szybko do drzwi. Mietkin znów poczuł zapach smażonej cebuli. Poczuł mdłości.

- Chodź, chodź - nalegał Amerykanin.

Mężczyźni w kolorowych wzorzystych koszulach przysunęli się do niego wraz z

funkcjonariuszem CIA. Konieczne środki, by się uchronić przed niebezpieczeństwem, które może zdmuchnąć wygraną. Amerykanin przepchnął go do drzwi, trzymając rękę w zanadru jego marynarki, jak gdyby szukał tam zgubionego portfela.

- Chodź...

Światło słoneczne, fala zaduchu i kurzu buchnęły mu w twarz przy wyjściu. Wpadł na Arabkę i przewrócił jej dziecko. Zdał sobie sprawę, że przeżył już wszystkie emocje, aby odtworzyć je potem podczas wnikliwych przesłuchań.

Krzyk z tyłu.

Trzy garnitury, jeden obok niego i dwa pilnujące czarnej limuzyny. Tylne drzwi pojazdu były otwarte. Został wrzucony do środka niby worek brudnej bielizny. Amerykanin, który go wepchnął, ten w jasnym garniturze, wśliznął się na siedzenie obok niego.

„Rozglądaj się, sprawiaj wrażenie przerażonego” - przypomniał sobie. Zobaczył spocone, rozzłoszczone twarze ludzi zgromadzonych na chodniku. Arabka podniosła i otrzepywała z kurzu swoje dziecko. Wzorzyste koszule wycofały się, a następnie zniknęły, kiedy samochód skręcił z Oxford Street. Amerykanie spirali się.

- Żaden z was nie namierzył tych facetów - żaden z was!

- Przepraszamy.

„Dzięki nim”, przypomniał sobie. Należą im się stokrotne podziękowania...

- Dziękuję, dziękuję! - wykrzyknął zadyszany, czując, jak pot spływa mu spod pachy na klatkę piersiową. - Ogromnie wam dziękuję, dziękuję...

Amerykanin siedzący obok niego uśmiechnął się, skinął głową i powiedział:

- Jesteś teraz bezpieczny, przyjacielu. Bezpieczny.

I nagle przed samochodem pojawiły się wyblakłe, białe ściany ambasady amerykańskiej, zwieńczone orłem z rozpostartymi skrzydłami. W oczach Mietkina wyglądały jak więzienie i kojarzyły mu się z polem minowym. Bezpieczny? Niebezpieczeństwo dopiero miało nadejść.

Ich ręce wsuwały się i wysuwały ze strefy światła padającego na stół, walczyły ze stosem odbitek fotograficznych. Sufit zaciemnionego pokoju oblewało białe światło księżycy, odbite od grubej warstwy śniegu zalegającego tę część Wirginii. Przesączało się przez nie zasłonięte okna. Ich cienie podskakiwały, rosły, to znów malały na suficie.

- Ile z tego może pan zweryfikować? - Zastępca dyrektora CIA mówił tonem, w którym wiara mieszała się ze sceptycyzmem.

- Dużo.

- Za pośrednictwem Mietkina, naszego zdradliwego przyjaciela?

- Nie. On nic o tym nie wie. Posłużył się tym jako kartą przetargową. To było zbyt tajne, aby się tym zajmował. Ale proszę tu spojrzeć. - Ręce przerzucały blade, często zbyt mocno naświetlone fotografie, by po chwili wybrać jedną z nich. - Wiemy, że ten sposób klasyfikowania i określania klauzuli tajności nie był nigdy stosowany przez KGB. Używało go NKWD co najmniej trzydzieści lat temu. A to... - Ręce znowu zaczęły grzebać w fotografiach. Zastępcę dyrektora uderzyła pewność wytrenowanych ruchów. Ręce w rzeczywistości tasowały karty - długie ręce... - to jest z całą pewnością jego charakter pisma. Sprawdzano to wielokrotnie. Widziało je wielu ekspertów. Pismo było analizowane i badane przez komputer. To tutaj ma już prawie czterdzieści lat, ale to jest jego pismo.

- Rozumiem. - Zastępca dyrektora spojrział w zacieniony kąt swojego rozległego gabinetu, następnie podniósł oczy na srebrny odbłask śniegu na suficie. Jego cień i cienie jego współtowarzyszy wydawały się garbić, kurczyć i nabierać złowrogiego wyglądu, kiedy pochylali się nad fotografiami leżącymi na palisandrowym biurku. Czuł zapach niedopałków cygar leżących nadal w popielniczce, nie, teraz były już wbite na sztorc w puszysty dywan, gdzie trafiły zrzucone przy przekładaniu odbitek. - Rozumiem - powtórzył z żalem.

Dane archiwalne również się zgadzają. Na ile możemy to sprawdzić. Wszystkie te daty z 1946 roku potwierdzają się. A co z ostatnimi datami - z ostatnich dwóch lat?

- Wszystkie sprawdzone. Przynajmniej o tyle, o ile mogliśmy się w tym zagłębić bez zwracania się bezpośrednio do Londynu.

- W takim razie wszystkie te informacje na temat zastępcy przewodniczącego KGB, który chciał uciec, to były śmieci?

- Tak przypuszczamy.

- Co jeszcze przypuszczacie?

- Że Aubrey był uśpionym agentem przez ponad trzydzieści pięć lat. Dwa lata temu, kiedy został wprowadzony między asów od najważniejszej roboty, obudzono go. Mówił pan, że nie rozmawialiście z Londynem?

- Nie, sir. Potrzebny jest nam z pewnością kontakt z Babbingtonem z MI5*, ale to była decyzja dyrektora, nie nasza.

* MI5 (Military Intelligence) - brytyjska służba bezpieczeństwa. Odgrywa rolę krajowego kontrwywiadu, ale działa również poza granicami Wielkiej Brytanii. - Przyp. tłum.

- Okay. - Palec zastępcy dyrektora gmerał w stosie wyciągów z akt.

Na suficie jego ramiona zdawały się poruszać konwulsyjnie, jak gdyby wymiotował. - Wierzycie temu zdrajcy, a temu?

- Sprawdzamy go codziennie. Nawet za pomocą narkotyków i hipnozy. Nadal nie wyczuwamy żadnego smrodu wokół niego.

Wciąż to samo. Jako szyfrant słyszał powszechnie znane plotki. Ważnymi aktami były te przeznaczone do spalenia, ściśle tajne. Wiedział, że to może być jego bilet na pociąg pierwszej klasy do dobrobytu, więc zabrał do pracy swój japoński aparat fotograficzny i znalazł „Łzę”.

- Aubrey jest teraz starszym człowiekiem...
- Ale właśnie został dyrektorem generalnym brytyjskiego wywiadu.
- Psiakrew, Bill, wiem o tym...
- W takim razie, sir?...

Wielkie ręce zastępcy dyrektora jeszcze raz ułożyły fotografie w stos, ale tym razem stos się rozsypywał. - Do diabła, nie wiem, po prostu nie wiem!

- Sir, mogę położyć na szali moją reputację, że „Łza” jest oryginalnym kompletem ściśle tajnych dokumentów z moskiewskiej Centrali. Co więcej, numery ewidencyjne na okładce wskazują, że ich treść została wprowadzona do głównego komputera służb bezpieczeństwa. Jednocześnie dostęp do nich jest zastrzeżony dla przewodniczącego i sześciu zastępców przewodniczącego KGB. Nikt więcej, z wyjątkiem samego Nikitina, nie może ich zobaczyć. Prawdziwość tych zdjęć potwierdzają wszystkie przeprowadzone przez nas testy. Historia, którą ukazują - chociaż jest przerażająca - trzyma się kupy po zbadaniu...

Jeszcze raz zdjęcia zostały rozłożone w wachlarz jak karty do gry. Jedno lub dwa zsunęły się na dywan, poza obręb silnego białego światła.

- Wszystko wskazuje na to, że Kenneth Aubrey jest sowieckim agentem. To znaczy, że był sowieckim agentem przez cały czas!

- I mianowano go teraz szefem brytyjskiego wywiadu - sapnął zastępca dyrektora. Zabrzmiało to jak zduszone westchnienie. – Okay - przedstawimy to rano dyrektorowi. Sprawa pójdzie na pierwszy ogień.

- Bardzo dobrze, Kapustin. Niech sprawa się rozwija. Niszczenie Kennetha Aubreya i jednocześnie rozkład wywiadu brytyjskiego... użyję tu słów towarzysza prezydenta Nikitina, Kapustin. Czy on aby nie przeszarżuje?

- Nie przeszarżuje, towarzyszu przewodniczący.
- Obiecuje pan, że materiały nie okażą się w końcu przesadzone?
- Obiecuje, towarzyszu przewodniczący. Prezydent Nikitin miał rację, tak jak i wy, polecając oddać „Łzę” w moje ręce. To będzie działało. Daję wam obu na to moje słowo.

- Więc wypijemy za pomyślność, hm?
- Z przyjemnością.
- Życzymy sir Kennethowi Aubreyowi, komandorowi Orderu Wiktorii, szczęśliwego Nowego Roku, co? Wyjątkowo szczęśliwego Nowego Roku!

W promieniach zachodzącego słońca rzędy okien pałacu Belwederskiego w Wiedniu, jeden po drugim, zmieniały swój kolor z brązowego na pomarańczowy, jak gdyby niewidzialni służący, chodząc z pokoju do pokoju, zapalali wielkie żyrandole. Kenneth Aubrey i Rosjanin niemal ginęli w mroku, przechadzając się po tarasie Górnego Belwederu pod wielkimi oknami. Dwie tajemnicze, bezcielesne, wyobcowane postacie.

Patrick Hyde usadowił się na kamiennym cokole pod zagadkowym posągami Sfinksa. Sfinksowi towarzyszyły ustawione rzędem na tarasie rzeźby Marii Teresy, których oczy spod osiemnastowiecznych fryzur patrzyły na leżące w dole miasto. Hyde oglądał z dołu Sfinksa, podczas gdy Kapustin kontynuował składanie wyjaśnień Aubreyowi. Tak, uśmiech na tej twarzy był równie nęcący co tajemniczy, lubieżny, mimo że chłód i zimowa ciemność nadawały jej nowy wyraz. Pasował do rozmowy, którą Hyde słyszał w słuchawce miniaturowego odbiornika znajdującego się w kieszeni jego ciemnego prochowca. Tym razem Aubrey miał ze sobą mikrofon, ale Kapustin nie robił wrażenia zaniepokojonego.

W chwili przerwy, jaka nastąpiła po zawiłych wyjaśnieniach, Aubrey wybuchnął wściekłością. Nigdy przedtem Hyde nie słyszał go tak rozzłoszczonego i nieopanowanego, pozbawionego, dyplomatycznej flegmy.

- Nie powiesz mi teraz, że odmawiasz przejścia? - Jego głos pełen był szyderczego, zjadliwego niedowierzania. - Po ponad dwóch latach nie możesz nawet myśleć o czymś podobnym.

Zapadła głucha cisza. Zastępca przewodniczącego KGB „Łza” wracał. Hyde wiedział o tym od ponad pół godziny, od pierwszej chwili spotkania. Niemal od chwili gdy Kapustin przywitał się z Aubreyem, a Hyde oddalił się na odległość dogodną do prowadzenia obserwacji. Wyczuł między nimi nowy, jeszcze bardziej niechętny nastrój.

I była kobieta. Powód do pozostania w Związku Radzieckim, którego Aubrey nie był w stanie zrozumieć ani zaakceptować.

- Ja właśnie to miałem na myśli, przyjacielu - wyjaśnił Kapustin. - Jest mi... przykro, ale nie potrafię tego wyrazić inaczej. Nie mogę iść z tobą.

- Wszystko jest przygotowane - nalegał Aubrey. - Zaakceptowałeś cały plan podczas naszego ostatniego spotkania. Wszystko miało się odbyć w przyszłym tygodniu, cholera!

Hyde patrzył na dwie złane niemal w jedną postać sylwetki dochodzące do końca tarasu, zawracające i znów zmierzające ku niemu. Gdy tylko ostatni promień słońca opuścił wraz z nimi taras, wszystkie okna przybrały jednolity pomarańczowy kolor. Hyde ujrzał białą połę płaszcza Wilkesa płynącą niczym strzęp mgły pomiędzy dwoma

mężczyznami. On i reszta wiedeńskiej placówki stanowili osłonę. Po raz kolejny Hyde poczuł się niepotrzebny i wyczerpany systematycznym towarzyszeniem Aubreyowi, osłanianiem go na spotkaniach. Zatarł gołe ręce. W ostatnich promieniach światła oddech zamieniał się w obłoczki pary. Od wschodu blade niebo nasączało się purpurą. Ogrody Belwederu lśniły bielą wczorajszego śniegu.

- Co z tą kobietą? - nalegał Aubrey. - Mówiłeś, że znasz ją bliżej od kilku miesięcy...

- To prawda.

- W takim razie, do cholery, naprawdę nic nie rozumiem!

- Bo nigdy nie byłeś owładnięty takim uczuciem, przyjacielu!

- Zabierz ją ze sobą. - Aubrey wydmuchnął obłok pary. Hyde słuchał pochylając głowę.

- Nie mogę. Ona ma rodzinę. Nie muszę ci mówić, co po naszej wspólnej ucieczce na Zachód zrobią z jej bliskimi moi byli koledzy. Nie, przyjacielu, to niemożliwe...

- Do diabła, masz sześćdziesiąt jeden lat!

Hyde uśmiechnął się, unosząc głowę. Aubrey! Człowieka opętanego pożądaniem seksualnym nie możesz przyrównywać do siebie. Zastępca przewodniczącego Kapustin nie podejmie tej gry ani teraz, ani nigdy. Hyde'owi było to obojętne. Ogarniało go przejmujące zimno. Żałował jedynie, że Aubrey traci agenta. Ale nawet to nie było ważne. Aubrey miał już wszystko: tytuł szlachecki, stanowisko generalnego dyrektora, uznanie i sławę, świat był dla niego bez granic...

I prawdopodobnie po tym wszystkim skieruje Hyde'a z powrotem do pracy w terenie, odpowiedniej dla niego roboty.

- Czy dobrze mnie zrozumiałeś? - zapytał drwiąco Kapustin. - Z całą pewnością nie ucieknę.

- Możemy cię zdekonspirować.

- Nie sądzę. A ty, przyjacielu, nie zdradzisz mnie przecież tylko dlatego, żeby sobie ulżyć. Przykro mi. Jest wiele rzeczy na Zachodzie, których nadal pożądam, w moim kraju zaś moc zmartwień i kłopotów. Ale - jestem zakochany...

Hyde usłyszał drwiące warknięcie Aubreya i zobaczył Kapustina rozkładającego ręce w geście bezradności. Za nim ukazała się skulona postać Aubreya, znów się do siebie zbliżyli. Wyglądali na słabych, starych i oglupiałych.

- W takim razie jest to nasze ostatnie spotkanie. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. - Głos Aubreya wciąż był pełen urazy i pogardy.

- Tak wyszło. Byłeś cierpliwy i nie narażałeś mnie na niepotrzebne ryzyko. Kiedy zgłosiłem się do ciebie, zażądałem wysokiej ceny. Zaaprobowałeś ją pod pewnymi

warunkami. Spełniłeś moje oczekiwania, związane z nową tożsamością, nowym życiem. Teraz, kiedy posiadam wszystko, nie ma to dla mnie żadnej wartości. Dalej już z tobą po tych schodach (stali teraz dokładnie nad Hyde'em, u szczytu stromych kamiennych schodów. W zapadającym zmroku Sfinks wydawał się władczo uśmiechać. Na jego twarzy zaczął osiadać szron) nie zejść ani nie wsiąść do żadnego z waszych samochodów zaparkowanych przed bramami pałacu. Londyn jest nieprawdopodobnie daleko stąd. Waszyngton to inna planeta - przynajmniej dla mnie.

- W porządku. Napiszę raport z tego spotkania...

- Ach, tak. I zamieścisz tam zdezaktualizowany opis mojej nagłej słabości? - Kapustin zaśmiał się.

Według Hyde'a zastępca przewodniczącego KGB mówił jak aktor, który zbyt głęboko wczuwa się w rolę.

- Ja po prostu nic nie rozumiem - oświadczył Aubrey.

Hyde zeskoczył z kamiennego cokołu. Było już prawie ciemno, pora największego niebezpieczeństwa, kiedy wszystko szarzeje, nabierając przerażającego, podejrzanego wyglądu. Ktoś mówił mu kiedyś, że zachód słońca jest pułapką. Wywołał Wilkesa odzianego w płaszcz ducha i dwóch innych. Żadnej aktywności przeciwnika. „Łza” mógł poruszać się po zachodnioeuropejskich miastach bez nadzoru. Ten rodzaj uprawnień przysługujący kierownictwu czynił z niego tak wartościową zdobycz, połów sezonu.

Aubrey jednak nie zdołał wyciągnąć tej ryby na brzeg.

- Żegnaj, przyjacielu.

- Żegnaj.

Dwóch mężczyzn wymieniło szybki, twardy uścisk dłoni, po czym Kapustin zszedł po schodach i minął Hyde'a, nie patrząc ani przez moment w jego kierunku. Aubrey schodził znacznie wolniej, jak gdyby był potwornie zmęczony. Jego twarz, niemal ciemną na mrozie, znaczyło piętno krzywdy i klęski.

- Przepraszam, sir - zaczął Hyde.

- Wielkie nieba, co wstąpiło w tego człowieka? - wykrzyknął Aubrey.

- Seks, to wszystko - odpowiedział Hyde z udawanym niesmakiem.

- Stwierdzam, że cała ta sprawa jest ogromnie trudna do zrozumienia - ciągnął Aubrey. - Bardzo cię proszę, Patrick, nie kpij sobie ze mnie.

- Przykro mi, sir,

- Ale żeby go stracić! - Aubrey ponownie wybuchnął, kiedy zbliżał się Wilkes. Starszy oficer operacyjny z placówki w Wiedniu cofnął się, słysząc ton głosu Aubreya. - Dwa lata mijają, odkąd nawiązał z nami kontakt - dwa lata spotkań, negocjacji, porozumień, zapewnień o gotowości do współpracy, cholera!

- A teraz porzuca nas dla jakiejś kobiety. - Hyde nie mógł powstrzymać się od wygłoszenia tej uwagi, chociaż natychmiast pożałował, że to zrobił. Aubrey odwrócił ku niemu twarz, jego oczy lśniły jak okruchy lodu w ostatnich rozbłyskach światła. Później starszy pan wzruszył ramionami.

- Jeżeli ułożył całą tę szaradę po to, by wpędzić mnie w kłopoty - zauważył - to nie mogło mu się lepiej udać. Moi wrogowie - po obu stronach Atlantyku - powiedzą, że jestem za stary do tej roboty. W Waszyngtonie jest paru ludzi, z którymi nad tym pracowałem - drażliwa sprawa. W Langley będą uszczęśliwieni z powodu naszych sukcesów tutaj! - Rezygnacja Aubreya zamieniła się w ironię. - Sir Kenneth Aubrey, komandor Orderu Wiktorii, generalny dyrektor SIS, dał plamę. Iluż ludzi będzie się radować, słysząc te słowa! Dla Kancelarii Rządu i MI5 nadejdzie dzień doniosłych debat... - westchnął, niemal wypluł to zdanie, po czym machnął ręką w stronę niewyraźnie majaczącej postaci Wilkesa, dając mu do zrozumienia, że ma odejść. - Z powrotem do hotelu, Patrick - mruknął znużony.

- Okay, sir.

Ich kroki chrzęściły na żwirze ścieżki, kiedy schodzili po pochyłości w kierunku wysokiego żywopłotu, dzielącego ogród na część reprezentacyjną i prywatną. Ogromna, efektowna sadzawka przed Górnym Belwederem była pokryta szklistym lodem. Srebrna tarcza księżycy pojawiła się nad horyzontem, a pierwsze gwiazdy lśniły niczym okruchy lodu.

Hyde uprzytomnił sobie, że Aubrey ma nadal włączony mikrofon. W słuchawce słyszał jego oddech i ciche bicie serca. Wyjął z ucha słuchawkę i wsunął ją wraz z przewodem do kieszeni. Kapustin, zazwyczaj tak obawiający się nagrywania rozmów z Aubreym, tym razem wydawał się na to nieczuły. Bez wątpienia Aubrey poleci skasować taśmę, kierowany poczuciem bezsensownej uczciwości. Kapustin był dla Aubreya trupem, sprawa została ostatecznie zamknięta i pogrzebana.

Doszli do krótszego odcinka schodów, a następnie do wysokiego płotu, ozdobnych jodeł i rzeźb w dolnym ogrodzie.

Hyde dotknął łokcia Aubreya, proponując mu pomoc przy schodzeniu po śliskich stopniach. Aubrey nie odrzucił pomocy. Jego ramię było wątle i lekkie jak piórko. Wilkes znajdował się w odległości dwudziestu jardów na sąsiedniej zwirowanej ścieżce, a pozostali trzej ludzie z ich grupy byli znacznie dalej, tworząc osłonę. Bliski oddech Aubreya bardzo przypominał trzask iskry przeskakującej w elektroskopie...

Upuszczony przez Hyde'a magnetofon zachrzęścił na żwirze.

Trzask wyładowania elektrycznego?

- Przepraszam, sir, upuściłem ten cholerny magnetofon - powiedział Hyde

nienaturalnie głośno. Aubrey parsknął, niezadowolony. Zamknij się, Hyde, pomyślał.

Cisza...

Buty Wilkesa na żwirze. Hyde macał jedną ręką po ścieżce, jakby w poszukiwaniu magnetofonu, który wcześniej znalazł obok lewego kolana. Żwir był ostry i zimny, czuł to przez sztruksowe spodnie. Wełniany szalik owinął mu się ciasno wokół twarzy, utrudniając oddychanie.

- Chodź, Patrick - wyszeptał niecierpliwie Aubrey.

Zamknij się, pomyślał Hyde.

Znów trzask wyładowania elektrycznego, gdzieś bliżej, niż byli ich dwaj ludzie...

Radiotelefon - dwukierunkowy? - zastanawiał się Hyde.

Aubrey zrobił krok w jego kierunku. Słysząc było też odgłos kroków nadchodzącego Wilkesa oraz małej grupki ludzi. Wilkes pośpiesznie zbliżał się do Aubreya.

Co to? Gdzie, do diabła, poszedł Kapustin? Hyde nie widział, żeby opuszczał ogrody Belwederu. Cholera. Ręka Hyde'a sięgnęła do płaszcza.

- Sir Kenneth? Tu Andrew Babbington. - Słowa te wypowiedział jeden z grupki czterech, nie, pięciu mężczyzn, uświadomił sobie Hyde.

- Babbington - odpowiedział zmieszany Aubrey, przesuając się w kierunku nadchodzącej grupy. - Babbington, Andrew, co pan tu robi?

Hyde nadal klęczał na jednym kolanie, ręką wyłuskał uchwyt hecklera-kocha, który dziś po południu wydała mu ambasada. Ponacinany plastik rękojeści nagrzał się od ciała. Nie mógł zignorować dobiegających go trzasków.

Po chwili Aubrey powiedział:

- Czy to pan? Co tu się dzieje?

Trzask - i tupot gdzieś pomiędzy drzewami. Zobaczył ich przez rzadszy w tym miejscu żywopłot. Wilkes i pozostali zbliżyli się; teraz grupa mężczyzn w ciemnych prochowcach i jasnych płaszczach otaczała Aubreya.

- Chyba jakiś alarm? - pomyślał Hyde.

Nogi, które dojrzał przez żywopłot, niknęły w obszernym palcie. Nie widział twarzy tego człowieka.

Do Aubreya przyłączył się dyrektor generalny MI5 i szef placówki w Wiedniu. Wskazywało to bez wątplenia na sytuację alarmową najwyższego stopnia.

Nogi pozostały nieruchome. Czy ta sylwetka nie jest aby znajoma? - zastanawiał się Hyde.

Cicho dołączyła inna para nóg. Dwóch obserwatorów. Hyde wstał, powoli i ostrożnie zszedł ze ścieżki. W rękach trzymał magnetofon wraz ze słuchawką i przewodem. Wepchnął magnetofon do kieszeni i na powrót włożył słuchawkę do ucha.

- ...To szczególnie nieprzyjemna sytuacja, sir - mamrotał nieswoim głosem Parrish, szef placówki w Wiedniu.

- Po prostu nie rozumiem, dlaczego tu jesteś, Andrew - powiedział Aubrey suchym tonem, kiedy Hyde znów rozpląszczył się przy płocie.

Dwaj obserwatorzy nie poruszyli się. Ich pozycja zdradzała, że interesują się grupą na ścieżce. Nie zauważyli go.

- Przykro mi, pan Babbington dał mi bardzo dokładne instrukcje, sir Kenneth. Jest mi ogromnie przykro...

Dlaczego Parrish mówił w imieniu Babbingtona? Co, u diabła, Babbington robił w Wiedniu? MI5 jest krajowym kontrwywiadem, a nie wywiadem. Stał na tej samej ścieżce co Aubrey.

- Muszę pana prosić, aby udał się pan z nami, sir Kenneth.

- Czy mogę zapytać, dlaczego? - spytał Aubrey zjadliwie. - I dlaczego nie mówi pan w swoim imieniu? O co chodzi? Na czym polega problem?

Hyde przesunął się wzdłuż krawędzi trawnika, jego plecy ocierały się o wysoki żywopłot. Z mroku wynurzyła się kamienna figura, a za nią szczelina w żywopłocie. Przeslizgnął się przez nią w ciemność pomiędzy drzewami.

- ...jest to dla mnie bardzo krępujące, sir Kenneth - powtarzał Parrish. - Bardzo krępujące dla nas wszystkich...

- Gdzie jest pański człowiek, Hyde? - zapytał nagle Babbington.

Hyde'a zmroził władczy, ponaglący ton mówiącego. Dźwięczało w nim wyczuwalne niebezpieczeństwo. Znał taki ton, niedowierzanie odebrało mu całą odwagę. Przed sobą, pomiędzy drzewami, widział dwóch obserwatorów. Znajdowali się około trzydziestu jardów od grupy na ścieżce. Kim są? - pomyślał.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest Hyde - zρέcznie odpowiedział Aubrey. - Był tu przed chwilą... Czego pan ode mnie chce, Andrew?

- Wróci pan do Londynu wraz z nami i tam pozostanie w areszcie domowym przez pewien czas...

- Co?!

Hyde znieruchomiał zaszokowany, niemal zapomniał o obserwatorach, którzy ruszyli w jego kierunku.

- Kenneth! - ostrzegł Babbington.

- Co jest, człowieku? O czym ty, do czorta, mówisz? - nacierał Aubrey.

- O zdradzie, sir Kenneth - odparł zimno Babbington.

Hyde'owi zapařło dech z zaskoczenia. Nie dowierzał własnym uszom. Aubrey?

- Co pan mówi?

- Sir Kenneth, muszę pana ostrzec, że istnieją istotne podstawy do poważnych podejrzeń - są sprawy, które trzeba zbadać...

Odgłosy kroków z lewej strony Hyde'a dobiegające spośród drzew.

Szmery na żwirze, nieco dalej.

Kapustin... Kapustin...

Rozpoznał tego człowieka. To on był pierwszym obserwatorem, którego dostrzegł wśród drzew. A więc Kapustin nie opuścił ogrodów - wiedział...

Wiedział, co się wydarzy.

Oddech Hyde'a zamienił się w obłoczek pary. W tym momencie dostrzegł go Kapustin. Niemał natychmiast przechylił głowę na bok i wyszeptał coś wściekle do mikro-nadajnika. Kapustin wiedział, co się stanie, wiedział, że Aubrey zostanie... aresztowany.

Odgłos biegnących stóp, hałasy oddalającej się grupy. Aubrey już był sam.

- Ależ to śmiechu warte. - Głos Aubreya powoli zanikał. - Wie pan, dlaczego tu jestem i co tu robię.

Hyde był sam. Usłyszał kroki biegnące po żwirze, zbliżały się. Kapustin widział go, był pewny siebie, czekał. Ktoś przedzierał się przez nisko rosnące gałęzie jodły, Hyde usłyszał, że tamten się poślizgnął. Przekątnik Kapustina wypełnił się trzeszczącymi głosami. W uszach Hyde'a rozbrzmiewały dalsze protesty Aubreya, który mówił w sposób coraz bardziej chaotyczny. Kapustin zamierzał coś powiedzieć. Hyde'owi zaczęły ciążyć nogi. W jego żyłach krążyła adrenalina, ale nie miał siły jej wykorzystać. Niespodziewanie zderzył się z kimś, kto poślizgnął się na zlodowaciałej, zasypanej liśćmi twardej ziemi. Zderzenie otrzeźwiło go. Wyciągnął z prochowca pistolet i dzielił nim mężczyznę, trafiając go w skroń. Facet z KGB zatoczył się gwałtownie do tyłu, chwytając się za głowę, skąd niespodziewanie chlusnęła krew. Ściekała mu spod palców i zalewała oczy. Hyde zepchnął go ze ścieżki i uciekł.

Wyśliznął się spomiędzy drzew, przemknął po zamarznętym połyskliwym żwirze, zachwiał się, odzyskał równowagę i dalej biegł w stronę Górnego Belwederu, nie bacząc na to, że oddala się od Aubreya i ludzi, którzy tamtego aresztowali. Potem reje-strował już tylko blask śniegu w ogrodzie, lustro zamarznętej sadzawki, skrzące się schody i własny ciężki oddech, kiedy wbiegał pod górę, pokonując wzniesienie, które prowadziło do ciemnego, opustoszałego pałacu.

Zimne powietrze szczypało mu policzki, usta chwytały łapczywie ten chłód, oddech skraplał się na wełnie szalika. Słyszał za sobą kroki. Wisząca na końcu przewodu słuchawka magnetofonu podskakiwała na jego plecach, jakby strzelano w nie drobnitkami kamykami.

Zobaczył coraz wyraźniej rysującą się postać, pędzącą przez oświetlony księżycem trawnik. Zatrzymał się, by po chwili ruszyć z impetem na spotkanie biegnącego mężczyzny. Pękały mu płuca, ale ramieniem zwałił go z nóg, zamieniając w pozbawioną twarzy bryłę na śniegu. Hyde zatoczył się i zachwiał na nogach; poczuł, że magnetofon wypadł mu z kieszeni i upadł na żwir.

Po chwili usłyszał głos, wydawało się, że wychodzi on z ust leżącego na ziemi człowieka. Przez chwilę Hyde nie był w stanie się poruszyć.

- Zatrzymaj go i zabij, jeśli będziesz musiał - mówiono pozbawioną akcentu angielszczyzną. Ten głos nie miał rosyjskiego akcentu, chociaż dochodził z kieszonkowego mikrotelefonu przyczepionego do kłapy palta nieprzytomnego mężczyzny. Słowa były przytłumione ciałem leżącego, ale słyszalne w mroźnym powietrzu. Angielski był dla mówiącego językiem ojczystym. Zmowa. Miał dość czasu, by to zauważyć. MI5 i KGB. Zmowa.

Jego oczy rozglądały się po żwirze, ale nie zdołał odnaleźć magnetofonu. Odległe sylwetki biegły w jego kierunku.

Magnetofon! Nie ma czasu!

CZEŚĆ PIERWSZA

UPAŚĆ JAK LUCYFER

Jeśli nim jesteś, lecz, o, jak upadłym!
Jakże odmiennym niż ów, co w szczęśliwym
Państwie jasności promieniał tak wielkim
światłem, że gasły przy nim innych rzesze,
Choć pełnych blasku.

Milton, *Raj utracony*
(przekład Macieja Słomczyńskiego)

Rozdział I

Po upadku

Paul Massinger postawił swoją whisky na małym stoliku i rozsiadł się w głębokim fotelu. Lewą nogę wyciągnął przed siebie. Jego twarz oblekł grymas ostrego bólu, ale wreszcie znalazł dla swego zartretyzowanego biodra wygodniejszą pozycję. Dziwne. Czuł się znacznie młodszy wewnątrz starzejącego się ciała, odkąd poślubił Margaret. Pokonał swoje pięćdziesiąt dziewięć lat, pokonał je. Stawił czoło wiekowi. Ciało natomiast nieustannie przypominało teraz o swoim fizycznym wieku. Było sprawne, choć czasem zawodziło. Tak jak eleganckie mieszkanie w Belgravii* przypominało mu od czasu do czasu, jak łatwo on, zwykły Amerykanin, mógł zostać posądzony o zawarcie małżeństwa dla pieniędzy. W oczach wielu ludzi na samym początku - a niektórych nadal - uchodził za kogoś zaledwie trochę lepszego od kolonialnego bukaniera, poszukiwacza złota. W końcu to samo mówiono o innych poszukiwaczach złota. Nic z tego nie mogło go zranić lub dotknąć. Margaret wkroczyła zdecydowanie i skutecznie w jego długie wdowieństwo, otwarła doń nowe drzwi.

* Ekskluzywna dzielnica Londynu położona w pobliżu Hyde Parku. - Przyp. tłum.

„Standard” nadal leżał rozłożony na oparciu krzesła. Paul odpędził od siebie obawy związane z koniecznością operacji coraz bardziej chorego biodra - jeszcze nie, jeszcze nie - i nacisnął guzik pilota. Telewizor błysnął i mrucząc powrócił do życia. Margaret jeszcze nie było w domu. Ostro uświadomił sobie jej nieobecność, słysząc sygnał pierwszych wieczornych wiadomości. Przystojna twarz Alistaira Burneta wypełniła ekran. Paul usłyszał klucz obracający się w zamku i ogarnęło go radosne, wesołe podniecenie, wywołane powrotem żony. Obrócił się w fotelu, by zobaczyć ją od razu, gdy wejdzie do gabinetu. Podniecenie rozpierało mu pierś. Biodro odezwało się wściekłym bólem, jakby pozazdrościło Paulowi emocji i obiektu uwielbienia. Massinger w tym samym momencie był jednocześnie i stary, i młody.

Długie futro z lisów i świetnie dobrany futrzany kapelusz. Rumieńce spowodowane wieczornym ochłodzeniem sprawiały, że Margaret wyglądała młodziej niż na czterdzieści trzy lata. Pewny, nieświadomy niczego, krok... Nagle uśmiech zgasł na jej ustach. Głos Alistaira Burneta zakłócał tę scenę. Margaret zatrzymała się gwałtownie w pół kroku, a rumieńce na jej policzkach zbladły. Ręka w rękawiczce uniosła się do

ust. W oczach odmalowało się cierpienie, przesłonił je cień. Massinger zwrócił głowę w stronę telewizora i westchnął.

Ziarnisty, czarno-biały wizerunek człowieka około czterdziestki, jasne włosy rozwichrzone przez wiatr, półprofil, usta rozwarłe w uśmiechu, oczy blade i uważne. Przy stojny. Paul nie musiał nawet słyszeć pełnego przerażenia szeptu, który uwiązał w gardle Margaret:

- Ojciec!...

Już to wiedział. Robert Castleford, nieżyjący niemal od czterdziestu lat. Margaret niedbale zdjęła z głowy futrzany kapelusz, wicherząc swoje jasne włosy. Usta miała półotwarte, jak gdyby chciała jeszcze coś powiedzieć, zdania, których nagle zapomniała. Massinger odezwał się głupio:

- Margaret, co się dzieje?...

Odwróciła się do jego fotela, ale go nie dotknęła, zgarniając jedynie z oparcia pilota zdalnego sterowania. Głos Burneta ryknął w pracowni:

- ...oskarżenia wypowiedziane pod adresem CIA przez rosyjskiego dezertera przebywającego obecnie w Ameryce dotyczą okoliczności śmierci w 1946 roku w Berlinie...

- Dlaczego?... - Było to wszystko, co Massinger zdołał powiedzieć.

Patrzył na żonę, ale ona nadal wpatrywała się w ekran, lekko skulona, spięta niczym uderzone raptem dziecko.

- ...Ministerstwo Spraw Zagranicznych odmówiło skomentowania tej sprawy, ale nie potwierdza ani też nie zaprzecza, że toczy się śledztwo w sprawie szefa służby wywiadowczej, o czym doniosło dzisiejsze wieczorne wydanie „Standarda”...

Jej ręka szamotała się z czymś nerwowo tuż koło jego rękawa niby uwięzione zwierzątko. Szelest gniecionej gazety poprzedził głębokie westchnienie, które przerodziło się w szloch. Massinger nie mógł na to patrzeć.

Dezinformacja?... - zadał sobie pytanie bez związku i odpowiedział na nie niemal przypadkowo:

„Brytyjczycy pozwolili na ujawnienie sprawy. Z jakiegoś powodu chcą, żeby była znana... W takim razie Aubrey ma wrogów...” Nienawidził własnego obiektywizmu. Chciał ścisnąć rękę żony. Alistair Burnet przeszedł do omówienia innej wiadomości. O bombie w Bejrucie.

- Co? O co chodziło? - zapytał gardłowo. Nie odpowiedziała. „Aubrey” - pomyślał. Aubrey poznał Castleforda w Berlinie w 1946 roku. Ale Castleford zniknął w Berlinie... Jego szczątki zostały znalezione w 1951, pod ruinami domu. Został zamordowany, ale nigdy nikt nie pomyślał...

Aubrey?

- Kochanie - zagadnął delikatnie. - Co tam napisali?

Pozwoliła gazecie opaść na jego kolana i przeszła przez pokój do regału. Słyszał, jak nalewa sobie drinka, oddychając ciężko, niby człowiek bliski śmierci. Zdjęcia Castleforda zamieszczono obok nagłówka GDZIE JEST „C”? Poniżej w podtytule przeczytał: Wywiadowcze szaleństwo - Kto kogo zabił? - Odczuwał ból, jaki każde z tych słów musiało jej sprawić, ale nie mógł oderwać oczu od artykułu.

- Wyłączność - Aresztowanie szefa wywiadu „C” oczekiwane w każdej chwili... Źródła CIA w Londynie... Whitehall odmawia... Kręgi ambasady radzieckiej zirytowane oskarżeniami o współuczestnictwo w zabójstwie Castleforda... Jego życiorys... Szanowany wyższy urzędnik państwowy, błyskotliwy wykładowca uniwersytetu, weteran wojny domowej w Hiszpanii, dotychczas uważany za zamordowanego z bliżej nie określonych powodów osobistych lub z innych nie wyjaśnionych przyczyn... informacje znajdujące się w naszym posiadaniu... czwarty człowiek, piąty człowiek... Blunt, Long i inni to płotki...

Massinger sunął palcem wzdłuż kolumny. Temat zmienił się. Aubrey nie był bezpośrednio podejrzany o zamordowanie Castleforda. Rosyjski agent, rosyjski agent - czytał... informacje znajdujące się w naszym posiadaniu, rosyjski zdrajca w Stanach Zjednoczonych, akta CIA przekazane do MI5, MI5 działa... aresztowanie „C” oczekiwane w każdej chwili, do czasu pełnego zbadania zarzutów...

Czytał, dopóki nie dotarł do demonicznego folkloru, gdzie stare diabły Philby, Burgess, MacLean i Blunt pośpieszyły zając swoje zwykłe miejsca. Potem odrzucił gazetę, która opadła ciężko na bladoniebieski strzyżony dywan. Odwrócił się, żeby spojrzeć na żonę.

- Więc? - powiedziała zduszonym, nieswoim głosem. Sam wyczuł w nim cień niechęci.

- Więc? - zdołał tylko powtórzyć beznadziejnie.

- Piszą o Aubreyu, nieprawdaż? O twoim przyjacielu Aubreyu? - Nie mógł zrobić nic innego jak skinąć potakująco głową. - Pomyśleć tylko, że on tu był! Tutaj! Siedział z nami, z tobą!... - Było oczywiste, że uwierzyła w każde słowo artykułu.

- Kochanie... - zaczął wstawać z fotela, opierając się o łaskę. Spojrzał na żonę, której twarz miała przerażony wyraz, jak gdyby każdy jego ruch oznaczał zdradę. - Nie mogę go bronić - powiedział drżącym głosem, idąc w jej stronę, ku regałom. Odsunęła się nieco. Jej szeroki mankiet ześliznął się po kryształowej karafce, a złote bransolety brzęknęły zahaczając o szkło. - Nie mogę ci nic powiedzieć, absolutnie nic...

- Znałeś go... znałeś go od lat!

- Wtedy nie...

- To twój przyjaciel!
- Tak...
- Zamordował mojego ojca! - Jej twarz była młoda, pełna agresji, ale jednocześnie zrezygnowana.
- Twierdzą, że wydał twojego ojca NKWD... nie wiem, co ci powiedzieć - to więcej niż tylko plotka.

„Chcieli, żeby to ujawniono” - przypomniał sobie, wyraźnie przewidywał, co go czeka, jego przyszłość wisiała nad nim niczym chmura - nie, to było coś znacznie groźniejszego - ogromny głaz, który mógł go zmiażdżyć, jeżeli nie potrafi go utrzymać.

- Tylko plotka - powtórzył matowym głosem. „Chcieli to ujawnić. JIC* - Kancelaria Premiera, sekretarz stanu w MSZ, nawet premier - wszyscy pozwolili na polowanie na czarownice. Wszyscy domagali się głowy Aubreya”. Później zdał sobie sprawę z całej prawdy... „Wierzyli w to. Wierzyli, że Aubrey jest winny... wierzyli nawet w to, iż jest rosyjskim agentem”.

* JIC (Joint Intelligence Committee) - Połączony Komitet Wywiadów. Instytucja koordynująca działania brytyjskiej służby bezpieczeństwa (MI5), SIS, brytyjskiej tajnej służby wywiadowczej (MI6) oraz państwowego centrum komunikacyjnego, będącego instytucją wywiadu radiowego (GCHQ). - Przep. tłum.

Otworzył ramiona. Wtuliła się w nie z bólem serca, czyniąc ten ostatni gest przed ostateczną kapitulacją. Jej ciałem wstrząsnął szloch. Całą szyję miał mokrą od łez. O trzydzieści pięć lat za późno doznała wstrząsu, jaki przeżywa dziecko lub nastolatka. Świat wokół niej, pewniki i zasady runęły i pogrążyły się w mroku.

Oczy Paula błędziły po ogromnym pokoju. Zauważył nagle, jak gdyby tu był po raz pierwszy, liczne oprawne w ramki fotografie jej ojca, które pstrzyły ściany, regał i stół. Tak jakby to miejsce było jakąś przydrożną kapliczką poświęconą mało znanemu świętemu. Młody Castleford wpatrywał się w niego z góry z portretu na jednej ze ścian. Był otoczony najwyższą czcią. To oczywiście matka Margaret rozbudziła w niej to uczucie oddania, nieukojonego smutku, niezmiennego dziecięcego uwielbienia, uczucie trwające po dziś dzień. Szczególnie silne teraz.

Czas cofnął się gwałtownie i Margaret wróciła myślami do chwili, kiedy Castleford zniknął po raz pierwszy, do chwili jego śmierci.

- Cicho, cicho... - szeptał, uwalniając jej upięte w kok włosy. Rozsypały się i opadły na kark. - Cicho, najdroższa, kochana...

- Po tylu latach - wymruczała, pociągając nosem. Słyszał, jak z trudem przełyka ślinę, by po chwili przemówić silniejszym głosem. - Nie byłam przygotowana na coś takiego - jego twarz na ekranie, nagła wiadomość, że został zdradzony, nie zamordowany, ale rozmyślnie zdradzony...

Nadal delikatnie gładził jej włosy.

- Wiem, wiem... - Zerknął w lustro za sobą. Ujrzał twarz, na której niemal w jednej chwili, i pewnie już na zawsze, wiek wyrzył swoje piętno. Głębokie bruzdy, podkrążone oczy. Jego własny wizerunek. Biodro bólem ostrzegało przed wysiłkiem. Był nie przygotowany, to było nieuczciwe, głęboko nieuczciwe. Wiedział, że to oszustwo. Wszystko było oszustwem. Nie Aubrey. Aubrey nie mógł być rosyjskim agentem. Nigdy.

„Ale Margaret?...”

Nie potrafił sobie odpowiedzieć na świdrujące mózg pytanie, co jest najważniejsze, co wybrać. Jej ciało było blisko, pociągało go fizycznie, ale chłodna, jasna część jego umysłu trzymała uczucia na wodzy. Musiał pomóc Aubreyowi. Bez względu na koszty musiał teraz pomóc Aubreyowi.

W końcu mógł zaoferować...

Hyde przełknął ostatni kęs wiedeńskiego sznycła i splukał go szklanką cienkiego austriackiego wina. W kawiarni narastał gwar, przybywało stałych bywalców, zainteresowanych wyłącznie winem, piwem i kawą. Był chyba jedną z ostatnich osób, które zamawiały posiłek. Teraz, gdy miał już pełny żołądek, jego mózg zwolnił i zaczął pracować na mniejszych obrotach, pozwalając na lekko cyniczny dystans do rzeczywistości. Hyde nie brał teraz poważnie koncepcji zмовy pomiędzy Kapustinem i MI5. Po małej karafce wina pomysł ten wydawał się nawet na swój sposób zabawny. Ktoś chciał go zabić, tak...

Ale to wszystko stało się dlatego, że było z góry ukartowane. Plan Kapustina zależał od możliwości pozbycia się Hyde'a, a co za tym idzie, pozostawienia Aubreya samego na scenie. Ta myśl była przejrzysta, jasna i ostra niczym odłamek kolorowego szkielka. Żadnych świadków, człowiek, który był świadkiem większości spotkań z „Łzą”, nie potwierdzi wyjaśnień Aubreya. Czysta sprawa.

Otarł usta miękką papierową serwetką, przyjrzał się paru pozostałym na talerzu ziemniakom i zdecydował, że ich nie zje. Był syty, spokojny, pewny siebie. Spojrzał na zegarek. Właśnie minęła dziesiąta.

Nadchodziła pora kontaktu, ustalenia sposobu przejęcia go przez ambasadę.

Aubrey został oskarżony o zdradę. Kapustina przygotowano do roli jego kontrolera, nie było co do tego żadnych wątpliwości. Wymyślny plan KGB, zgodnie z którym Aubrey tańczył, jak mu zagrano, przez dwa lata. Babbington i MI5 przełknęli tę bajeczkę. Sprytną, wprawdzie tylko pozornie prawdziwą, ale sprytnie skonstruowaną. Aubrey miał dostatecznie wielu wrogów w MI5, JIC i Kancelarii Premiera, im potrzebne było rzucenie na niego cienia podejrzeń, nie zaś oskarżenie, aby obrócić ostrze

tej sprawy przeciwko niemu.

Musi odnaleźć nagranie rozmowy Aubreya z Kapustinem. Istniałby wówczas dowód, że to właśnie Rosjanin odmówił ucieczki, że Aubrey był zaangażowany w planowaną dezercję Kapustina na Zachód. Trzeba to nagranie odszukać - wiedeńska placówka musi je znaleźć.

Przejrzał rachunek, odliczył banknoty, położył je na stole i ruszył w kierunku automatów telefonicznych na zapleczu kawiarni. Opanowała go nagle potrzeba zaspokojenia własnej ciekawości w rozmowie z Aubreym czy nawet Babbingtonem i ustalenia, na ile sprytnie okazało się KGB. Jednocześnie jakaś część jego świadomości pragnęła zobaczyć, jak Aubrey wybrnie z tego dylematu.

Wykręcił numer wiedeńskiej placówki i kiedy zgłosiła się centrala, podał swój kod identyfikacyjny. Niemał natychmiast usłyszał na drugim końcu linii zdyszany, niecierpliwy głos Wilkesa.

- Patrick? Gdzieś ty się podziewał, człowieku? - wykrzyknął Wilkes.

Jego pośpiech, niby dzwonek ostrzegawczy, wzbudził u Hyde'a podejrzenie, które jednak stłumiły natychmiast dalsze słowa mówiącego. - Stary płakał przez ciebie we śnie! Gdzieś ty się, psiakrew, zapodział?

- Miałem drobne kłopoty - odparł Hyde, czytając zrobione flamastrem napisy na lustrze w kabinie telefonicznej. Punk, rock, nieodzowna swastyka, numery telefonów obiecujące raj dla sodomitów. Zamknął drzwi kabiny, aby odgrodzić się od wybuchów śmiechu w kawiarni. Migoczące światła i pijana wesołość pozornie wskazywały, że nie ma niebezpieczeństwa. Był głupi. Nawet w obliczu zagrożenia życia był głupi.

- Wszystko z nim w porządku? - zapytał.

- Wścieka się, znasz go - odpowiedział poufnym tonem Wilkes. W jego głosie słychać było powstrzymywany śmiech. Tak charakterystyczny. Burza śmiechu z kawiarni wstrząsnęła szybą kabiny. Obok przeszła kelnerka w tak samo kraciastym fartuszu jak obrusy na stolikach.

- Co się dzieje?

- Chryste, Babbington i jego wesoła banda nie wierzyli mi. Konferują teraz potajemnie z Aubreym. Sypią wokół najróżniejszymi zarzutami.

- KGB próbowało mnie zabić.

- Co? - spytał Wilkes z niedowierzaniem.

- To ich plan, tak miało być. „Łza” patrzył na to z góry...

Wilkes przez chwilę milczał. Hyde dodał:

- To gra Kapustina - taśma to udowodni.

- Jaka taśma, Patrick? - z ozywieniem zapytał Wilkes.

- Aubrey miał nadajnik.

- Tak, widzieliśmy go. Gdzie jest taśma?
- Upuściłem tę cholerną taśmę koło Belwederu.
- Zajmiemy się tym! - W słowach Wilkesa była wyczuwalna ulga, którą potwierdziło następujące po nich westchnienie. Dla Hyde'a było to zaskakujące. Po chwili Wilkes rozwiął jego zaskoczenie, powiedział bowiem z nagłym naciskiem: - Wracaj, Patrick, jest to potrzebne staremu. My znajdziemy taśmę, a ty porozmawiasz z Babingtonem.

- Czy oni aresztowali starszego pana?
- Bóg raczy wiedzieć! Tutaj obie strony czują się zakłopotane i działają jak we mgle. Ale wszystko to wygląda poważnie - śmiertelnie poważnie.

- Okay.

- Gdzie jesteś?

Hyde przez chwilę studiował numer telefonu umieszczony na tarczy aparatu i tabliczkę informacyjną. Kolejna burza śmiechu wstrząsnęła szkłem. Odwrócił głowę. Spokojnie. Aubrey potrzebował jego informacji.

- Okay - powiedział. - Mała kawiarnia na Goldschmidgasse, obok katedry. Będę w środku.

- Czekaj. Za dziesięć minut będzie tam po ciebie nasz samochód. Coś podejrzanego w okolicy?

- Nie. Nie śledzono mnie, odkąd ich zgubiłem.

- Dobrze. Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało. Wszyscy się martwiliśmy...

- Okay, Wilkes. Pośpiesz się.

- Będziemy na zewnątrz za dziesięć minut.

Hyde odłożył słuchawkę. Bazgroły na lustrze zaparowały, a szkło kabiny ściemniało pod wpływem podwyższonej temperatury. Otworzył rozsuwane drzwi kabiny i wkroczył do kawiarni. Śmiech brzmiał dziwnie, bardziej szydził z niego, niż dodawał mu otuchy. Hyde'a przeszedł dreszcz. Powrócił do stolika. Banknoty zostały zabrane,. Zostawił jeszcze garść drobnych i zdjął prochowiec z oparcia krzesła. Włożywszy już jedną rękę w rękaw płaszcza, zawahał się, co dalej robić, ponieważ zdał sobie sprawę, że nie pozostało mu nic innego oprócz oczekiwania, a w kawiarni było przynajmniej ciepło. To sprawa kilku minut. Kiedy wchodził do lokalu, na dworze padał już deszcz ze śniegiem unoszony porywami ostrego wiatru. Po chwili jednak Hyde włożył prochowiec, ponieważ instynkt rozbudził w nim czujność. Powinien sprawdzić teren wokół katedry. Nadal ktoś chciał go zabić. Ktoś, kto mówi po angielsku bez obcych naleciałości. Niemiła świadomość tego faktu błąkała się po zakamarkach jego umysłu, bardziej realna niż światła, śmiech i rozmowy oraz zapewnienia Wilkesa.

Zamknął za sobą drzwi. Rozmiękły śnieg wypełniał wąską Goldschmidgasse i

tworzył białą aureolę wokół latarni na Stephansplatz. Wiatr przybrał na sile i wdzierał się pod płaszcz. Hyde wzdrygnął się, potem obrócił w stronę światła placu, opuścił ramiona, podniósł kołnierz, a mokry śnieg spłynął mu z włosów na kark. Zachodnie drzwi Stephansdom były ciemną plamą w czarnym frontonie katedry. Wejście do metra po jego prawej stronie buchało światłem. Hyde rozluźnił się, idąc w kierunku jakiegoś sklepu, i uważnie rozejrzał się po placu. Na jego zegarku minęły trzy minuty, odkąd odłożył słuchawkę. Pozostawało tylko czekać.

Grupka ludzi - w większości młodych - hałaśliwie, w pośpiechu wynurzała się z paszczy stacji metra. Słyszał ich wzajemne nawoływania, pokrzykiwanie na jakiegoś staruszka, widział chwiejny krok. Jeden z młodzieńców źle odmierzył odległość, zatoczył się na podgrzewaną witrynę sklepu z pamiątkami i przycisnął nos do tafli szkła, jakby próbując rozróżnić poszczególne souvenir'y wśród ciemnej plamy ekspozycji. Potem zachwiał się, wpadając na Hyde'a, zanim uciekł. Hyde wzdrygnął się pod wpływem tego dotyku i natychmiast zdał sobie sprawę, jak bardzo napięte ma nerwy.

Od młodego człowieka buchnął zapach knajpy i ostry śmiech, co spowodowało, że Hyde poczuł przypływ poprzedniego strachu. Ale pijany pośpieszył za kolegami w stronę północnej części katedry. Pary sunęły po placu lub unosiły się niczym strzępy papieru w podmuchach wiatru. Ludzie kurczyli się pod parasolami. Oddech Hyde'a powrócił do normy.

- Przyjeżdżajcie, przyjeżdżajcie - wymruczał. Sześć minut, zmarzły mu stopy w zamzgowych butach. Ręce w kieszeniach miał zgrabiące. - Przyjeżdżajcie...

Staruszka niepewnie stawiała kroki, zdążając ku stacji metra. Dochodzące stamtąd światło w oczach zmarzniętego Hyde'a wyglądało jak otwarty wlot hutniczego pieca. Może tam mógłby zaczekać?...

Wyszedł z wnęki mieszczącej drzwi do sklepu. Śnieg z deszczem smagał go w twarz. Ze schyloną głową Hyde pośpieszył przez plac i zniknął w mroku pod sklepieniem zachodnich drzwi katedry. Przywarł plecami do drewna i ponownie zlustrował plac.

Zobaczył pierwszego z nich. Oczekiwanego i nieoczekiwanego zarazem. Szukał obserwacji, czegoś, co mogło mu uniemożliwić dostanie się do samochodu. Kogoś wlokącego się za nim niby to przez przypadek. Teraz zrozumiał powód. Dysponował informacjami, które pozwalały na wyrobienie sobie opinii. Samochód na Goldschmidgasse, nadjeżdżający z końca wąskiej uliczki, wygasił światła mniej więcej siedem sekund wcześniej, nim skręcił na parking. Pieszy, którego Hyde dostrzegł na bocznej ulicy, dawał znaki pasażerom samochodu. On sam wzdrygnął się i przycisnął ramiona do boków, aby opanować drżenie ciała... Płaszcz, sportowa marynarka, wełniana koszula, skóra. Okropna świadomość własnego braku odporności na zranienia.

Drugi mężczyzna, trzeci...

Jeden, ubrany w ciemny płaszcz i kapelusz, wyszedł z tunelu stacji metra. Drugi nadszedł od południowej strony katedry, przesuwając się w zaplanowany z góry sposób wzdłuż nadal oświetlonych wystaw z męskimi ubraniami. W ciemnym kapeluszu, ciemnym płaszczu. Ubrany odpowiednio do pogody, ale bez parasola, pomimo deszczu ze śniegiem. Obaj wyprostowani, jakby nieświadomi zawieci, ich głowy poruszały się niby naoliwione części maszyny, typowi agenci z krwi i kości. Punkt przejścia - ulica Goldschmidgasse. Pierwszy z zauważonych mężczyzn przystanął we wnęce sklepowej, w której poprzednio stał Hyde.

Osiem minut. Ci ludzie przyszli po niego - zgodnie z umową.

Hyde nie dopuszczał do siebie tej myśli, chociaż pozbawiony obcego akcentu głos krzyczał wciąż w jego głowie: „Zabij go, zabij go...” Właśnie teraz bliski był uznania myśli o znowie za coś obcego jego świadomości. Zmowa nie rozkwitła czynami, układami, zdradami, bólem, twarzami. Osiem minut trzydzieści sekund, pomyślał.

Rusz się, powiedział sobie w duchu. Idź już. Czwarty mężczyzna. Lustrował Stephansplatz. Ciemna postać pod latarnią, później inna, mijająca światło padające z okna kawiarni. Punkt przejścia - ulica Goldschmidgasse...

Po chwili grupka mężczyzn wynurzyła się zza rogu wąskiej uliczki, szli spiesznie. Zidentyfikowane przez chwilę sylwetki rozsypały się wachlarzowo niczym sypnięte ręką nasiona. Zastawiono sieć; mężczyźni zaczęli biec. Teraz było już za późno. Jeszcze przed sekundą powolność ich ruchów na wietrze sugerowała, że suną po placu niewinni jak opadłe liście. W tej chwili poruszali się szybko, bardziej przypominając pociski niż zeschnięte resztki listowia. Hyde tkwił uwieczony we wnęce wejścia do katedry, drzwi za nim zamknięte były na klucz.

Spośród gonitwy myśli nie wyłaniał się żaden pomysł. Adrenalina, napłynęła do żył, ale działała słabo, jak jeden niewielki łyk alkoholu. Ciemny płaszcz zbliża się do północnej ściany katedry, inny ciemny płaszcz podchodzi do południowej ściany, obstawiają plac. Sprawdzają wnętrza drzwiowe. Dwóch ludzi przecina plac w kierunku zachodnich drzwi katedry i ciemności kryjących wszystko wokół nich. Dwóch innych wchodzi na oświetloną stację metra. Inne bezkształtne cienie przesuwają się lub biegną przez Stephansplatz, tak nieważne jak śnieg z deszczem, mieciony wiatrem w aureoli światła latarni. Dwóch mężczyzn zbliża się do niego, ten nadchodzący od północnej strony katedry jest bliżej niż drugi, idący od południa. Wszystkich razem jest ośmiu. Nic nie pozostawiono przypadkowi. Wzajemne uzupełnianie się, zdrada - teraz, kiedy sobie tego nie życzył, tym dwóm określeniom towarzyszyły obrazy przywołane przez pamięć. Głos Wilkesa, angielszczyzna bez obcego akcentu w pałacowym ogrodzie,

obserwujący go Kapustin, Babbington aresztujący Aubreya za zdradę, elementy porozumienia, mającego na celu jego ujęcie i zamordowanie.'

Teraz...

Mężczyzna z południowej strony jest około trzydziestu jardów od niego, dwóch innych przecina plac, jeden z nich jest wyższy, szerszy w ramionach - porusza się szybszym krokiem niż drugi - są w odległości piętnastu, czternastu, dwunastu jardów...

Ruszył biegiem.

Rzucił się desperacko naprzód spośród pokrytych sadzą zwietrzałych murów wokół. Buty ześlizgnęły mu się z ostatniego schodka, sunęły niczym para nart po cienkiej warstwie rozmiękłego śniegu. Okrzyk, inne okrzyki, przypominające dźwięki odpowiadających mu rogów myśliwskich. Mężczyzna z południowej strony ruszył niemal natychmiast, bez chwili zwłoki - mimo zaskoczenia. Hyde okrążył zachodnią fasadę katedry i biegł w kierunku głębszych ciemności, słysząc za sobą tupot nóg, który zagłuszał walenie jego serca i świdrującą w mózgu świadomość, że biegnie w stronę zwężającego się kamiennego wąwozu na tyłach katedry, gdzie krzyżują się dwie uliczki dla pieszych. Mężczyźni nadbiegający od północy, spoza nie dokończonyj, pokrytej kopułą wieży Stephansdom, już gnali, aby go wyprzedzić. Był to wyścig. Nie było mowy, żeby dać się zdublować, żadnej szansy oszustwa. Punkt przejścia - jego przejścia. Musiał ich prześcignąć.

Rozjarzone okna eleganckich, kosztownych apartamentów nad drogimi sklepami. Lśniące obuwie na dyskretnie oświetlonych wystawach. Zmarznięte i opanowane pożądaniem pary tulące się we wnękach drzwi sklepowych. Głębokie cienie wzdłuż muru katedry były prawie jak żywe. Hyde znów się pośliznął i próbując utrzymać równowagę, otarł rękę o zimny kamień. Przed sobą i z tyłu słyszał biegnących.

Wystawa, wnęka wejścia, zakochani, ciemna boczna uliczka...

Odwrócił się, zobaczył trzech mężczyzn zbliżających się ku niemu i zaczął uciekać wąską uliczką, oddalając się od katedry. Odgłosy pogoni odbijały się od gładkich, szarych murów wysokich budynków. Skręcił w lewo w oświetloną na końcu wąską alejkę, później w prawo w ulicę. Za sobą usłyszał ruszający samochód i gwałtowne, przeraźliwe miauknięcie kota. Później była inna alejka, a po niej nie oświetlona ulica w pobliżu mrocznego kościoła.

Zatrzymał się i nadsłuchiwał. Warkot samochodu ścichł. Słysząc było odgłosy szperania wśród pojemników na śmieci, muzykę dobiegającą z górnych pięter i dudnienie ludzkich kroków rozchodzących się w różnych kierunkach. Przeszedł przez jezdnię i dalej maszerował szybko z rękami w kieszeniach. Nagle jakiś człowiek wynurzył się z alejki i skierował w stronę ciemnej ulicy. Był sam. Stanowił samotną plamę

cienia. Po chwili odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku.

Na nie oświetlonej wystawie delikatesów wisiały pęta kielbas, tłustych i pikantnych. Rarytasy. Wiele ciemnych i szczupłych odbić postaci Hyde'a gapiło się na niego z tafli szkła. Wyglądał na samotnego, opuszczonego, nie pasował do otoczenia. Nie miał tożsamości, bagażu, miejsca w hotelu, żadnego zaplecza. Wilkes nasłał na niego KGB.

Z tyłu zatrąbił mercedes, klakson wstrząsnął ciałem Hyde'a, spowodował, że jego ręka instynktownie sięgnęła do wewnętrznej kieszeni płaszcza, gdzie tkwiła wilgotna rękojeść pistoletu. Później odprężył się, spojrział ponownie na odbicie swojej wątlej, przygarbionej sylwetki i bladej twarzy w szybie. Rozpoczął powolny spacer, którego jedynym celem było znalezienie kryjówki.

- Czy to ma być początek, czy też koniec tego obłędu?

Sir Andrew Babbington, dyrektor generalny MI5, rozsiadł się z wystudiowaną nonszalancją w fotelu naprzeciwko Aubreya i wpatrywał się w twarz starszego pana, jakby próbował w niej znaleźć widoczne objawy choroby. Aubrey zadał to pytanie z zamiarem rozwścieczenia rozmówcy. Poparł je cynicznym gestem i rozejrzał się po pokoju.

- Babbington, zadałem ci pytanie. Zrób mi tę grzeczność i bądź łaskaw na nie odpowiedzieć.

- To jest pułkownik Eldon - rzekł Babbington, wskazując na swego kompana - z naszego Wydziału Kontrwywiadu. - Uśmiechnął się, uznając swoje słowa za odpowiedź na pytanie Aubreya. Eldon potakująco skinął głową.

- Sir Kenneth - mruknął Aubrey. Eldon był wysokim, przystojnym mężczyzną z ulizanymi włosami i wojskowym wąsem. W tym starszym oficerze śledczym Aubrey wyczuł twardy upór; jego serce zaczęło przez chwilę bić nieregularnym rytmem. Ścisnął oparcie fotela, aby opanować drżenie rąk. Gra zaczęła nabierać tempa. Nie było tu miejsca na pomyłki, na żaden margines błędu. - Jestem trzymany od dwóch dni pod nadzorem, który uważam za areszt domowy. W moim telefonie założono podsłuch, przy drzwiach postawiono strażników. Moją gospodynię poddano upokarzającej rewizji osobistej, zanim pozwolono jej wyjść na zakupy. Po powrocie została zrewidowana ponownie. No, niech pan siada, Eldon! - machnął ręką w kierunku wolnej sofy. Eldon zapadł się w jej miękkim oparciu. Wściekle protesty Aubreya przerwała uwaga Babbingtona, który powiedział:

- Czy chcesz, abyśmy ci wyjaśnili, jakie ciążą na tobie zarzuty? - W głosie mówiącego dały się słyszeć ostre tony i to zaniepokoiło Aubreya.

- Jakież?

- Oskarżenie o zdradę - warknął Babbington.
- To samo powiedziałeś w Belwederze, potem powtórzyłeś w ambasadzie, w samolocie i w samochodzie wiozącym mnie z lotniska Heathrow. Musisz się wyrażać jaśniej - dodał Aubrey z zimną zaciętością w głosie, której sam nawet nie wyczuwał.

Babbington wyszczerzył zęby w uśmiechu. Stało się jasne, że nadszedł moment, którego oczekiwał. Także Eldon zdawał się ucieszony z nadejścia przełomowej chwili. Pogłaskał swój wąs, parodiując ruch typowego wojskowego, jakim niegdyś był. Jego oczy pozostały puste i niewzruszone, a Aubrey zdał sobie sprawę, że ten człowiek jest niebezpiecznie inteligentny, niebezpiecznie dobry w swojej robocie.

- Bardzo dobrze, Kenneth - odpowiedział Babbington.
- Będiesz musiał się mocno natrudzić, Babbington. Musiałbyś się napracować, nawet gdybym był winny! - warknął Aubrey, zdumiony własną wściekłością.
- Och, zdajemy sobie sprawę, że to będzie ciężka praca, sir Kenneth - oznajmił Eldon.
- Dlaczego odmówiono mi dostępu do ministra, do przewodniczącego JIC, który, jak sądzę, mógłby się tutaj znaleźć, oczywiście przypadkowo, czy chociażby do ludzi Kancelarii Premiera?

- Ponieważ od chwili obecnej aż do rozwiązania sprawy uprawnienia wszystkich tych osób przekazano mnie.

- Rozumiem - odpowiedział Aubrey, starając się opanować mięśnie twarzy, które mogłyby zdradzić jego strach, a nawet szok. - Cóż, kolejna reorganizacja naszych szczególnych struktur, jak zgaduję - mruknął z pogardą.

Babbington jedynie się uśmiechnął. Aubrey został mianowany na stanowisko „C” po przejściu na emeryturę sir Richarda Cunninghama.

Nominacja ta przypadkowo zbiegła się ze zmianami w Połączonym Komitecie Wywiadów (JIC), spowodowanymi raportem Franksa na temat kampanii falklandzkiej. Przy pomocy Foreign Office* pozbyto się przewodniczącego JIC, a MI5, kierowane przez Babbingtona, zyskało szansę, by znaleźć się bliżej słońca władzy. MI5 przetrwało skandale Bunta, Hollinsa i Longa** i zaczęło pod kierunkiem młodszego, bardziej zdecydowanego kierownictwa dominować w gronie służb wywiadowczych.

* Foreign Office - brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. - Przyp. tłum.

** Funkcjonariusze brytyjskiego wywiadu, którzy współpracowali z sowieckimi służbami specjalnymi. Postacie historyczne. - Przyp. tłum.

SIS zostało uznane za przechowalnię starszków, a Aubrey był najstarszym wśród nich. Wszyscy czekali na jego przejście w stan spoczynku. Sir William Guest, jako przewodniczący JIC mający dojście do premiera, miał swoje własne plany połączenia służb bezpieczeństwa z wywiadem. Aubrey zdawał sobie sprawę, że sir William widział Babbingtona na stanowisku szefa tej nowej służby - SAID*. Wszyscy jak jeden mąż oczekiwali na jego, Aubreya, dymisję. W oczach Babbingtona mógł niemal dojrzeć niecierpliwość, nastrój ten był wyraźnie wyczuwalny w pokoju. I teraz właśnie ta sprawa, niczym zmaterializowana zjawka z nocnych koszmarów, wpadła im prosto w ręce! Wszyscy byli gotowi wykorzystać ją do pozbycia się Aubreya. Nie miało to już dla nich znaczenia, czy był winny, czy niewinny. Zostanie usunięty, zorganizują nową tajną służbę, a Babbingtona opromieni blask sławy.

* SAID - Security and Intelligence Directorate - Zarząd Bezpieczeństwa i Wywiadu - nie istniejąca w rzeczywistości instytucja, która łączy funkcje wywiadu i kontrwywiadu. - Przyp. tłum.

Aubrey raz jeszcze podjął próbę kontroli swojej mimiki. Babbingtona cieszył każdy objaw uczuć odzwierciedlających się na jego twarzy, niezależnie od tego, czy była to złość, czy gorycz.

Teraz go mieli. Jeszcze jeden rosyjski agent. Babbington był porywczy, a nawet mściwy. Mściwość mogła mieć związek ze starą przyjaźnią, która łączyła go z rodziną Castlefordów.

Z całą pewnością twarz Aubreya znów zdradziła jego myśli, ponieważ Babbington uśmiechnął się i oświadczył spokojnym, lecz pełnym groźby głosem:

- Bez względu na to, co okaże się prawdą, a co kłamstwem, jeżeli w 1946 roku wydałeś Roberta Castleforda NKWD, to obiecuję ci, że będę miał twoją głowę, Kenneth.

Złość Babbingtona była zimna, zaprawiona wściekłością i pełna determinacji. Motywem zaś jego działania, główną siłą napędową - były emocje. Aubrey unikał wzrokiem błyszczących oczu Eldona.

Po chwili Eldon powiedział:

- Sir Kenneth... - Aubrey zwrócił ironiczne spojrzenie w jego kierunku - może wolałby pan, aby ta rozmowa... - rozłożył ręce, jakby pokazywał długi, bliżej nie określony odcinek czasu - ...odbywała się w jednej z naszych rezydencji w mieście?

Aubrey przecząco pokręcił głową.

- Jestem pewien, iż zdaje pan sobie sprawę z mojego przywiązania do najbliższego otoczenia - odparł z cierpkim uśmiechem. Jeśli tu zostanę, wszystko, co mnie

otacza, będzie mi przypominało o zagrożeniu i o tym, co mogę stracić. Pan również wolałby pozostać tutaj, podejrzewam bowiem, iż pańskim zdaniem komfort i znajome otoczenie mogą wpływać na mnie demobilizująco.

Eldon skinął głową z aprobatą.

- Nie sądzę, lecz pozostaniemy tutaj. Kawy? - zapytał niespodziewanie.
- Proszę.

Aubrey podniósł srebrny dzwoneczek, który kazała mu kupić pani Grey, by w razie potrzeby mógł ją wezwać. Delikatny dźwięk rozległ się w wytwornie urządzonej sypialni z oknami zwróconymi na zachód, w stronę Regent's Park. Brzęknął wyłącznik centralnego ogrzewania. Na stole za krzesłem Aubreya leżały poranne gazety. Rzuciły się w oczy złożone większą czcionką tytuły artykułów.

Po zamówieniu kawy Aubrey powiedział:

- Dlaczego nie przygotowano dementi, Babbington? Po co to larum i krzyk? Nie rozumiem, w jaki sposób zamierzacie to wykorzystać...

- My nie, Amerykanie, jesteśmy pewni, że oni to zrobią. Jeżeli chodzi o odpowiedzi na pytania i dowody, są niecierpliwi.

- Aha, woleliby zobaczyć, że pańska służba będzie górą. - Twarz Aubreya przybrała wyraz goryczy, a ręka skubała przez chwilę obicie fotela. - Tego samego chciałby Rząd Jej Królewskiej Mości. Czyż więc mogą być nawet najmniejsze wątpliwości co do mojej osoby? Nie ma tu miejsca dla starców, nieprawdaż? - Rzucił spojrzenie na nieruchomą twarz Babbingtona, który wyglądał jak w ataku apopleksji. Jedna z powiek zadrgała mu na moment. Aubrey wybuchnął krótkim, szyderczym śmiechem. - Mój Boże, Babbington, z pewnością dużo pan zyska na tym, że zawiniłem!

- A jest pan winien, sir Kenneth - wtrącił Eldon.

Aubrey obruszył się.

- Stosowałem wymyślniejsze metody śledcze, kiedy pan jeszcze chodził z pieluchą, kapitanie Eldon.

- Jestem świadom pańskiej reputacji, sir Kenneth.

- O, kawa! Wspaniale. Dziękuję pani, Grey.

Pani Grey ostrożnie postawiła srebrną tacę na szafce, niechętnym spojrzeniem obdarzyła gości Aubreya i dopiero wtedy wyszła z pokoju. Aubrey nalewał kawę, pochylając się nad filiżankami. Przypominał teraz starego nauczyciela. Ale jego mózg cały czas pracował. Wreszcie Aubrey z powrotem usiadł.

- A więc, panowie? - zapytał pogodnie. - Mam do stracenia ostatnie czterdzieści pięć lat mojego życia i nowe szaty króla... - Powiodł ręką wokół, wskazując przy tym na przestronny pokój i meble. - Może już lepiej będzie zaczęli.

Niespodziewanie odezwał się Eldon.

- Sir Kenneth, czy wie pan, że podczas ostatniego spotkania w Helsinkach pański kontroler miał ze sobą nadajnik, a pan takiego urządzenia nie posiadał... na żądanie tamtego, jeżeli dobrze pamiętam pańską notatkę.

Aubrey milczał przez kilka chwil. Ta informacja zaniepokoiła go. W zakamarkach jego umysłu zaczęły gromadzić się podejrzenia.

- Miał nadajnik? Jaki kontroler? - Starał się stłumić w głosie obrazę.

- Pański agent w KGB, jeżeli pan woli - sprostował Eldon swoją wypowiedź.

- Tak, miał nadajnik. Mamy taśmę. - To powiedział Babbington.

- Co z tego?

- Wygląda ona na przekonywający dowód.

- Gdzie jest ta taśma?

- Damy jej panu posłuchać, Kenneth - uspokajał Babbington, delektując się zderzeniem Aubrey a.

- Twierdzą panowie, że to przekonywający dowód, w takim razie po co...

- Przekonywający dowód zdrady, chyba tak powinienem to ująć, sir Kenneth.

- A więc ta taśma jest sfałszowana. Skąd ją macie?

- Od Finów. Mają swoich ludzi wśród sowieckich aparatczyków w Helsinkach. Jeden z nich ją przejął. Finowie przesłali taśmę prosto do nas - do sir Williama i Kancelarii Premiera...

- Jesteście cholernymi głupcami, niebezpiecznymi głupcami - warknęła Aubrey.

- Obecnie poddajemy ją najwymyślniejszym badaniom laboratoryjnym, sir Kenneth - kontynuował Eldon, nie zważając na ten wybuch. - Mogę stwierdzić, że, jak do tej pory, trzyma się to kupy. Wygląda na oryginał. Spotkanie odbywało się w zoo. Z tła dźwiękowego wynika, że koło klatki z małpami.

- Kenneth - Babbington przerwał tonem, który mógł wskazywać na jego rzeczywiste zaniepokojenie - sprawa nie wygląda najlepiej. Ta taśma jest równie dobra jak akta, które wpadły w ręce CIA. Są przekonani, że akta są prawdziwe - i my się z nimi zgadzamy. - Głos mu stwardniał przy ostatnich słowach, brzmiały, jakby je ściszał imadłem.

- Mój Boże - wyszeptał Aubrey. Jasno zrozumiał, co go czeka - ciemna ścieżka pomiędzy gęstymi, wysokimi drzewami w zapadającym zmroku. Miał przed sobą tylko tę jedną drogę, a jego nogi już po niej szły.

- Akta wskazują całkiem wyraźnie, że wykorzystano pana do zdekonspirowania Roberta Castleforda - insynuował Babbington. Nazwisko to wywołało w wyobraźni Aubreya obraz żywego Castleforda, a nie jego zdjęcia w gazetach czy w telewizji. Miał

przed oczyma wymizerowaną, pełną rezygnacji, przystojną twarz, którą zapamiętał z ich ostatniego spotkania, wtedy kiedy widział żywego Castleforda po raz ostatni. Starszy, zadziwiający, groźny, a nawet niebezpieczny Castleford. Uważaj na swoją twarz, na swoje oczy - skontrolował się Aubrey, jakby w obawie, że te wspomnienia mogą wycisnąć piętno na jego twarzy.

- Obawiam się, sir Kenneth, że akta „Łza” zawierają szczegółowe materiały na ten temat - potwierdził Eldon.

- Jak je pan nazwał? - zapytał oszołomiony Aubrey.

- „Łza”. - Eldon pozwolił sobie na uśmiech i niczym kot poruszył wąsami. Oczy błyszczały mu z napięcia. - To bez wątpienia pański pseudonim.

- Mój pseudonim? Dobry Boże! - Aubrey uniósł się z krzesła. - Do diabła. Wie pan, że to był jego pseudonim!

- Czy wiem? Teczka agenta znajdująca się obecnie w Waszyngtonie ma na okładce kryptonim „Łza”. Została założona w 1946 roku, sir Kenneth.

- Cholera, sprawdziliście z pewnością kartotekę. Wiecie, że to Kapustin miał pseudonim „Łza”. - Ogarnęła go rezygnacja. - W kartotece są jakiejś niejasności?! - dodał chrapliwym szeptem. - W takim razie mogłem równie dobrze spotykać się z moim kontrolerem z Moskwy...

- Dokładnie o to chodzi, sir Kenneth.

- I pan wyciągnął z tego taki właśnie wniosek.

- Powiedzmy, że weryfikujemy taką koncepcję, Kenneth - uzupełnił Babbington. - Od ciebie będzie zależało, czy zdołasz ją podważyć.

- Pragnąłbym dodać, sir Kenneth, że oprócz taśmy z nagraniem dysponujemy kawałkiem filmu z Helsinek. Również i ten materiał badamy pod kątem ustalenia ewentualnego fałszerstwa. Chociaż nie przypuszczamy, żeby to było fałszerstwo.

Aubrey słabo potrząsnął głową i popatrzył na nich, przenosząc wzrok z jednej twarzy na drugą. Był równie bliski błagania, by mu uwierzyli, jak daleki od wiary w ich zrozumienie i współczucie.

- Gdzie jest Hyde? - zapytał nieoczekiwanie. - Dlaczego prysnął z ogrodów Belwederu?

Pytanie to sprowadziło Babbingtona na ziemię.

- Właśnie go szukamy.

- Nie zgłosił się?

- Nie.

- Dlaczego się nie zgłosił? Czyżby coś mu tu śmierdziało, Babbington?

- Z tego, co wiemy, Hyde mógł gdzieś zabalować, sir Kenneth - powiedział Eldon wymijająco.

- Dobry Boże, człowieku! Nie jesteście tym wcale zainteresowani! - wybuch ten skierowany był do Babbingtona. - Sprytnie, bardzo sprytnie zrobiono mnie na szaro, a ty chcesz mi wmówić, że prowadzisz tę sprawę nie kierując się żadnymi osobistymi ambicjami!

Babbington szybko wstał. Jego oczy świdrowały Aubreya.

- Jeżeli życzysz sobie motywu osobistego, Kenneth - rzekł - w takim razie powinienem się raczej mścić niż zaspokajać swoje ambicje. Zdradziłeś Roberta Castleforda, zdradzałeś wszystkich i wszystko przez ostatnie trzydzieści pięć lat albo i dłużej! - Usta Babbingtona tworzyły cienką kreskę. Po chwili dodał spokojniejszym głosem: - Teraz zostawiamy cię na parę godzin, Kenneth. Powiedzmy, do drugiej trzydzieści po południu. Będziemy oczywiście podsłuchiwać.

Babbington zmierzał do drzwi. Eldon podążał za nim lekkim, swobodnym krokiem. Jednakże w drzwiach pułkownik odwrócił się do Aubreya i powiedział:

- Niech pan pamięta, sir Kenneth, że król nie ma szat na zmianę. - Zamknął za sobą drzwi.

Aubrey usłyszał, jak pani Grey chłodno żegna obu mężczyzn przy drzwiach. Od kilku chwil tłumił w sobie gwałtowną chęć napicia się alkoholu. Duży koniak mógł rozbudzić w nim strach zamiast przynieść ukojenie.

Kinkiety w gabinecie, zapalone ze względu na wczesny zmrok - szare chmury wisiały nisko na niebie - rzucały migotliwe błyski na kryształowe karafki stojące obok srebrnego dzbanka do kawy.

Tamci nie zjawili się o zapowiedzianej porze, zostawiając go samego przez dwa dni. Samotnego ze swoimi podejrzeniami i wyobrażeniami. Bez dopływu informacji. Przez ten czas seria detonacji uszkodziła, a może nawet zburzyła jego fundamenty, bo był jak stary budynek chwiejący się w posadach. Taśmy, filmy, akta „Łzy”. Nade wszystko ten sprytny, potwornie sprytny kryptonim - tylko spokojnie.

Wszystko, czego dowiedział się do dziś rana, pochodziło z gazet i popołudniowego programu telewizyjnego - pierwszych wiadomości, wiadomości o dziewiątej, dziennika o dziesiątej, ostatniego wydania magazynu informacyjnego; było to jak nie kończąca się powtórka z narastającego koszmaru.

Dwa osobne, a mimo to wzajemnie powiązane elementy zdrady. W grudniu 1946 roku wydał Roberta Castleforda, zasłużonego urzędnika państwowego, pracującego dla Zjednoczonej Komisji Kontroli działającej w powojennym Berlinie. Już wtedy był podwójnym agentem, początkowo NKWD*, później MWD, a ostatecznie KGB. Przez

ponad trzydzieści pięć lat wiódł podwójne życie. Był jednocześnie Philbym, Bluntem i Burgesem - był gorszy od każdego z nich.

* NKWD (Narodnyj Komissariat Wnutriennich Dieł) - nazwa centrali policji sowieckiej, która obejmowała także tajną służbę bezpieczeństwa. MWD (Ministerstwo Wnutriennich Dieł) - sowieckie MSW. KGB (Komitet Gosudarstwiennoj Biezopasnosti) - Komitet Bezpieczeństwa Publicznego ZSRR - centrala organizacji wywiadowczych służb bezpieczeństwa. Philby, Blunt, Burges - nazwiska funkcjonariuszy wywiadu brytyjskiego, którzy współpracowali z wywiadem sowieckim. - Przyp. tłum.

Głowa pani Grey pojawiła się w drzwiach, ale zniknęła natychmiast, gdy tylko się odwrócił, rzucając udręczone spojrzenie.

A przecież nic takiego nie miał na sumieniu.

Tylko że nigdy nie będzie mógł dowieść swojej niewinności.

Nigdy nie będzie mógł wyjawić prawdy ani o grudniu 1946 roku, ani o Castlefordzie.

Zniecierpliwiony, przemierzał ciężkim krokiem pokój. Król jest nagi. Srebrna, wytworna bielizna, nefryty, aksamit, wełna, kryształy, porcelana, dąb, orzech włoski. Władca jest nagi. Komandor Orderu Wiktorii, tytuł szlachecki. Generalny dyrektor. Król jest nagi.

Nie, nie może wyjawić prawdy. Miało miejsce przestępstwo, ale on nie może go ujawnić. Nie uwierzą mu. Nigdy nie uwierzą, że jest niewinny. Może tylko pogłębić swoją winę wyznając prawdę, ponieważ to on zabił Roberta Castleforda.

Jedna z nielicznych osób, które nigdy nie zawiodyły jego zaufania, przechowywała w bezpiecznym miejscu małe, szare pudełko, a w nim owinięte w kawałek skóry i umieszczone w żółtej kopercie wyjaśnienie motywów tego czynu. Tego pisemnego rachunku sumienia dokonał natychmiast po zabójstwie Castleforda. Po wojnie złożył dokument w skrytce bankowej.

Jego tajemnica, przyczyna jego zguby. Jego wina, zawinięta w skórę wraz ze świadomością zbrodni. Później, w 1949 roku, kiedy po raz kolejny spotkał w Wiedniu Clareę Elsenreith, pełniąc służbę w Zjednoczonej Komisji Nadzoru, oddał jej na przechowanie dziennik-wyznanie. Nadal go miała. Zawierał wszystko, szczegółowo wyjaśnione powody zabójstwa, ale obecnie to uzasadnienie w żadnym wypadku go nie usprawiedliwiało. Prawda mogła wykończyć Aubreya równie skutecznie jak kłamstwo KGB. Zabił Roberta Castleforda.

Król jest nagi, pomyślał gorzko, a w jego żołądku złość szła o lepsze z rosnącym strachem. Czuł się wprost przytłoczony. Głowę przeszył mu gwałtowny ból, a zimne, szare światło z wysokich okien zmieniło barwę jego oczu. To była wspaniała pułapka.

„Łza” - Kapustin, zastępca przewodniczącego - zastawił ją perfekcyjnie, wodząc go za nos bez wzbudzania podejrzeń przez dwa lata, dopóki nie sprzedał diabłu jego duszy. Serce waliło Aubreyowi młotem, a w głowie kołatała bezsilna wściekłość pomieszana z samooskarżeniami o zaniedbanie i łatwowierność. Został oszukany, oszukano go...

Uderzał dłońmi o uda, spacerując tam i z powrotem długim korytarzem. Zwieńczeniem dzieła było zrobienie z niego odmrożonego sowieckiego agenta. Przypieczęto wywało to rzekomą winę za czyn z 1946 roku. Król jest nagi...

KGB miało go w swoich rękach. „Łza” to był obecnie jego własny pseudonim, pseudonim zdrajcy, zdrajcy, który był dyrektorem generalnym SIS. Pułapka się zamknęła. W myślach słyszał wyraźnie zatraskujące się stalowe drzwi.

Kryształ, nefryt, srebro - prezenty z życzeniami pomyślności z okazji nominacji. Szaty króla.

Nierzeczywiste, podobnie jak nowe mieszkanie z widokiem na Regent's Park, nowa gospodyni, nowe biuro w Century House, z widokiem na rzekę, jak jego mozolnie zdobywane szlachectwo.

Zawsze ulegał ambicjom, ale obecnie ogarnęły go one bez reszty, nie było przed nimi ucieczki. Wiedzieli, że zabił Castleforda, i według ich rozeznania zmieniało to diametralnie całą strategię działania. Zamordował go i ukrywał tę zbrodnię przez trzydzieści pięć lat... przez tak wiele lat...

Serce łomotało, a w głowie czuł dudnienie. Ciało miał zbyt słabe, aby wytrzymało taki napór emocji i jego fizyczne objawy. Poderwał go dźwięk dzwonka przy drzwiach. W ciszy, która potem nastąpiła, usłyszał swój starczy, zmęczony oddech, i poddał się ulegle nastrojowi beznadziejności. Przerażała go myśl o powrocie Babbingtona i Eldona; pani Grey podeszła do drzwi pełna złości, jak nie umalowana, podstarzała kobieta, zaskoczona podczas drzemki wizytą niespodziewanych gości.

Do świadomości Aubreya dotarł czysty, wysoki, jeszcze dziecienny, niemal niezmiernie brzmiący chłopiący głos. W tym głosie niewinność dźwięczała niczym słowa jakiegoś podniosłego hymnu. Być może *Abide with me**, być może *Nunc Dimittis*. Nie pamiętał już, jakim głosem sam śpiewał w nadal żywym w jego pamięci dzieciństwie. Nad jego głową piętrzyły wtedy swe mury katedry, kościoły i kaplice.

* *Abide with me* i *Nunc dimittis* - pieśni kościelne. - Przyp. tłum.

Białe sylwetki w komzach przypominające duchy, mroczny zapach kadzidła. Jego ojciec, wiecznie niezadowolony, złośliwy, fanatyczny kościelny, który śmiejąc się unosił górną wargę i szczyrzył zęby w szyderyczym grymasie.

Aubrey bał się tego wspomnienia, nie dlatego, że było tak silne i wyraziste, ale dlatego, iż zdawało się zapowiadać niemożność utrzymania w karbach własnego umysłu, co było bardzo niebezpieczne. Wspomnienia stawały się bezwiedną ucieczką od rzeczywistości, a przecież teraz niezbędna do przetrwania była cała energia i zdolność koncentracji.

Wyraźnie poruszony, spojrzął na wchodzącego właśnie w drzwi Paula Massingera. Zastanawiając się, czemu zawdzięcza jego wizytę, aż oczy zmrużył ze zdziwienia - miał przed sobą żywe, budzące strach oblicze Castleforda z okresu, kiedy walczyli. Przystojna twarz Massingera świadczyła o tym, że tamten zauważył jego zdumienie; Aubrey przypomniał sobie żonę Massingera, córkę Castleforda. Po chwili zerwał się na równe nogi.

- Paul, stary przyjacielu! Jak dobrze, że przyszedłeś...
- Kenneth - wszystko u ciebie w porządku? Wyglądasz...
- Tak, tak - przerwał Aubrey z rozdrażnieniem. - Na trochę zmęczonego. Siadaj

no, siadaj.

Massinger usiadł naprzeciw Aubreya, tam gdzie przedtem siedział Eldon. Aubrey zauważył laskę i cień bólu na twarzy Massingera, kiedy tamten sadowił się na sofie. Cierpienie na chwilę zapało mu dech w piersiach.

- Ja... - zaczął Massinger.
- Drinka? - zaproponował Aubrey, niemal mimowolnie zaczynając kontrolować sytuację.

- Dziękuję. Szkocką z wodą. - Kiedy Aubrey nalał drinka i ponownie usiadł, Massinger wyjaśnił: - Ja... przyszedłem ci zaofiarować swoją pomoc. Nie wiem, jaką - teraz to wygląda na szaleństwo - ale chcę, żebyś o tym wiedział.

Aubrey pochylał się do przodu i klepnął Massingera w kolano.

- Wiem, mój drogi przyjacielu. I dziękuję ci. - W tej samej chwili znów napłynęły przeżycia ostatnich dwóch dni.

- Opuścili mnie, Paul. Kancelaria Premiera, JIC - opuścili mnie - rzekł.
- Niewdzięczność książąt? - Bostoński akcent Massingera niemal się zatarł po dwudziestu latach mieszkania w Londynie.

- Być może. Oczywiście chcą się mnie pozbyć. Chcieliby zobaczyć, że ster jest w rękach Babbingtona.

- Rozumiem... - Aubrey dostrzegł w twarzy Massingera coś jakby wilczy głód. Błysk podniecenia. Dobrze. Massinger, mimo że wystąpił z CIA przed ponad dwudziestu laty, wracał do świata tajnych służb. Alkoholik, który po wielu latach od zakończenia kuracji odwykowej podnosi do ust pierwszy kieliszek. Massinger był po raz kolejny gotów wdać się w intrygi i machinacje tajnego świata, a może nawet użyć jego potęgi.

Oczywiście, pomoc była możliwa. Massinger był skłonny mu pomóc, jeżeli tylko będzie mógł. Odnaczał się prostotą i szczególną lojalnością wobec przyjaciół oraz wprost pedantycznym wyczuciem moralnym, wrażliwością na sprawiedliwość i krzywdę. Jeśli zaistnieje taka konieczność, Aubrey skorzysta z pomocy Massingera. Przygotowywał się do kolejnego przesłuchania. Twarz Massingera była ponura i podniecona zarazem, kiedy znów się odezwał.

- Jak przypuszczam, nie ma to nic wspólnego z tymi wszystkimi nonsensami? - A kiedy Aubrey zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy, Massinger dodał: - Wiesz oczywiście, dlaczego pytam?

- Tak. Daję ci na to moje słowo. Nie wydałem Roberta Castleforda NKWD. Cała ta sprawa została sfabrykowana. - Aubrey przybrał wyraz twarzy, który miał zaświadczyć o jego uczciwości, wadze słów oraz przyjaźni pomiędzy nim a amerykańskim wykładowcą. Massinger uważnie przyjrzał się twarzy Aubreya, a następnie z aprobatą skinął głową.

- Dzięki Bogu - wyszeptał. - A co z resztą zarzutów?

Na twarzy Massingera ujrzał Aubrey cień przeszłości, która zobowiązywała. Massinger doskonale zdawał sobie sprawę, że Aubrey ocalił jego karierę, kiedy jedna z operacji okazała się całkowitym fiaskiem. Massingera obwiniono o dekonspirację i spowodowanie aresztowania całej kierowanej przez niego siatki agentów. Aubrey udowodnił, iż wpadka nastąpiła z innych przyczyn niż niekompetencja Massingera, i dług wdzięczności nigdy nie został splacony. Teraz nadarzała się ku temu sposobność. Tłumiąc ogarniające go podniecenie, wstał i podszedł do szafki, skąd wziął karafkę z whisky. W dodatku Massinger przyszedł do niego mimo dezaprobaty swojej żony; mogła sobie tego nie życzyć, a jeżeli wierzyła środkom masowego przekazu, z pewnością pałała do Aubreya nienawiścią. Dlatego Massinger przychodząc tu udowodnił, jak wiernym jest sprzymierzeńcem. Nalewając alkohol Aubrey zaczął pośpieszną przemowę, którą zakończył w kilkanaście minut później:

- ...a prawdziwym „Łzą” był sam zastępca przewodniczącego. On mnie wrobił w to wszystko. - Massinger nie przerwał ani słowem jego relacji. - A Połączony Komitet Wywiadów i Kancelaria Premiera zdecydowały się uwierzyć w tę absurdalną historię, sfabrykowaną w najdrobniejszych szczegółach. Do tego stopnia, że ograniczono nawet dostęp prasy do całej sprawy. Chodzi im o to, żebym się z tego nie wykręcił. Paul, nie pozwól mi się wykręcić. - Popijał sherry małymi łykami, patrząc na chmurną twarz Massingera, który analizował jego wypowiedź. Niepostrzeżenie w ręku Paula pojawiła się szklanka whisky; Massinger podniósł wzrok i zapytał:

- Czemu KGB chce cię aż tak upodlić?

- Może aby narobić zamieszania?... Naprawdę nie wiem. Przypuszczam, że to akcja, która ma na celu wyrządzić szkodę. Skoro prowadzone przez ostatnich kilka lat polowanie na czarownice skutecznie oczyściło szeregi obu naszych służb ze stronników, wyznawców, chwilowych zwolenników i tym podobnych sympatyków Sowietów, to ta historia równie dobrze może posłużyć moskiewskiej Centrali do stworzenia celów zastępczych wśród najwartościowszych pracowników. Ponownie zbudzą się upiory. - Wzruszył ramionami. - Prawdę mówiąc, nie wiem, Paul.

Massinger przez chwilę milczał, po czym powiedział:

- Gdyby żył Charlie Buckholz, nigdy by nie pozwolił udostępnić tych akt JIC. W ostateczności uprzedziłyby cię o ich zawartości.

Aubrey doskonale przypominał sobie, jak wspierając się na ramieniu Massingera, stał na błotnistym, zimnym cmentarzu. Kapelan wojskowy wygłosił mowę, trumnę Buckholza spuszczone do grobu i zastępca dyrektora CIA zniknął z ich życia na zawsze. Ich wspólny przyjaciel.

Po chwili Massinger zapytał:

- Co mógłbym zrobić?

Aubrey przeżył coś w rodzaju małego triumfu.

- W każdym razie dziękuję ci, Paul.

- Jaki jest teraz twój status? Do czego masz dostęp?

- Do niczego. Telefon jest na podsłuchu. Pilnują mnie dzień i noc. Na szczęście Babbington był na tyle przezorny, by trzymać prasę z dala od moich drzwi. To jedyna zaleta tej izolacji.

- W takim razie co możemy zrobić? Mam - no, bardzo nieoficjalne kontakty. Ale nie widzę, co mogłoby w tej sytuacji pomóc.

- Gdyby tylko był tu Hyde! - wybuchnął Aubrey.

- Hyde? Kto jest Hyde?

- Doskonały fachowiec operacyjny.

- Zdołałby coś pomóc?

- Tak przypuszczam. Ale nie mogę się z nim skontaktować i tobie też się to nie uda.

- Gdzie on jest?

- Był ze mną w Wiedniu, kiedy mnie aresztowali. Zmył się.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Musiał mieć konkretne powody. O czym wiedział, co podejrzewał, tego nikt nie wie. Gdyby on mógł się w to włączyć...

- Kto jeszcze?

- Peter Shelley. Jak wiesz, zajmuje się teraz Europą Wschodnią. Wprowadzałem go. Mógłby być naszym człowiekiem.

- Czy został ostrzeżony?

- Tak. Przypuszczam, że wszyscy zostali ostrzeżeni. Sytuacja jest ekstremalna. Mnie się nie wierz. Jestem winien... Ale myślę, że Peter wejdzie do gry. Musi się włączyć, jeżeli mam się wywinąć z tej sieci.

- W porządku, Kenneth. Spotkam się z nim.

- Zaproś go na lunch - najlepiej dziś - instruował Aubrey Massingera z zapalem, zachowując jednak chłodną rozwagę.

- Jeżeli sobie życzysz, to zadzwonię, naturalnie z automatu - odpowiedział Massinger z chłopięcym uśmiechem.

Tak, jest nałogowcem, zdał sobie sprawę Aubrey. Znow zaczął pić, to konspiracja po raz kolejny tak na niego działa.

- Kto aktualnie reżyseruje twoje przedstawienie?

- Babbington, człowiek premiera, stoi za nim sir William Guest, który trzyma sprawę w swoich rękach. Dyrektor generalny MI5; oprócz tego jest on szefem grupy śledczej oraz pełni obowiązek dyrektora generalnego SIS. Wspaniałe grono zacnych mężów - zakończył z zaskakującą zjadliwością.

- Czy uważasz, że powinienem z nim porozmawiać, oczywiście nieoficjalnie, jako mąż Margaret?...

- Babbington chce mojej głowy i mojego stanowiska.

- W porządku - podsumował znużonym głosem Massinger. Poczł się wymanewrowany; potasowany i zgrany niczym talia kart. Sytuacja Aubreya stwarzała poważne zagrożenie i dlatego każde działanie wymagało rozwagi. - Czego chcesz od Shelleya?

- Ostatnich dwóch lat mego życia - odparł żywo Aubrey. - On będzie miał dostęp do akt, nagrań, wszelkich danych. Potrzebne mi to wszystko. I musi odnaleźć dla mnie Patricka Hyde'a. Muszę skorzystać z jego rad i dowiedzieć się, dlaczego zwiął.

- Czy możesz udowodnić swoją niewinność, tak aby nie pozostał na tobie nawet cień podejrzenia?

- Muszę. Muszę stłuc to lustro i pokazać, co jest po jego drugiej stronie. Nie jestem „Łzą”. Muszę to udowodnić. W przeciwnym razie... - jego ramiona rozłożone w geście bezsilności ilustrowały położenie, w jakim się znalazł - ...wszystko będzie stracone, a ja będę zgubiony.

Massinger zrozumiał, że Aubrey położył na szali całą swoją karierę, całą przeszłość. Ponad czterdzieści pięć lat pracy w świecie tajemnic, lojalności i dumy. Wszystko to było teraz zagrożone.

- A rok 1946? - zapytał Massinger.

- Ta sprawa musi poczekać. - Aubrey zamilkł na chwilę. Massinger dostrzegł, że lekko drżą mu policzki, a na twarzy odbija się szarość rozmytego światła słonecznego, które wpada przez wysokie okno. Pyłki kurzu tańczyły i wirowały w promieniach tego światła. Aubrey rozwiął wątpliwości ruchem ręki. - To musi poczekać. Uratować mnie

mogą ostatnie lata. Muszę udowodnić, że to ja kontrolowałem „Łzę”, a nie „Łza” mnie.

- Walka z cieniami. Dla twoich ludzi to prawdopodobnie obojętne, że rentgen jest uszkodzony. Wykazuje zwapnienia w twoich płucach i to im wystarcza. - Twarz Massingera była blada. Żałował, że tu przyszedł, wynurzając się w tym celu ze swoich ostępów, żałował, iż ofiarował się z pomocą.

- Do diabła, Paul...

- Okay, Kenneth. Pomogę ci, jeżeli potrafię - Massinger westchnął bezwiednie. Potem spojrzął na Aubreya i skrzywił się w bolesnym grymasie, by w końcu skinąć głową. Wyzbył się wątpliwości, przyjmując na siebie ciężar powziętej decyzji. - Wiele ci zawdzięczam, Kenneth - rzekł.

Aubrey mruknął w odpowiedzi:

- To stara sprawa...

- Niemniej - nalegał Massinger - zawdzięczam ci swoją karierę - przynajmniej do czasu, gdy zmieniłem zawód i zacząłem uczyć w college'u. Nie wiem, czy potrafię pomóc. Po prostu wiem, że muszę spróbować. Czy jest jeszcze ktoś, kto ci pomoże? - Aubrey pokręcił głową. - Chociaż nie wiem, co może wnieść do tej sprawy emerytowany profesor historii Europy. - Massinger uśmiechnął się ponuro. - Przecież byłem dobrym organizatorem operacji w terenie, kiedyś na długo przez potopem! - Dokończył z pociemniałą twarzą: - Zawsze byłeś zanadto osobiście zaangażowany w operacje. Nie powinieneś nigdy zbliżyć się do zastępcy przewodniczącego, ale trzymać się od niego z dala przynajmniej na milę.

- Posiłki z diabłem wymagają długiej łyżki, powiesz mi pewnie następnym razem.

- Trafieś w sedno.

- Jeszcze jednego drinka, Paul?

- Drinka? Nie, dziękuję. Myślę, że chyba już pójdę... - spojrzął na zegarek - ...jeżeli mam jeszcze dziś porozmawiać z Peterem Shelleyem.

Wstał sztywno. Aubrey podniósł głowę. Massinger, wsparty o laskę, patrzył na starszego pana, który uśmiechnął się z lekką ironią. Mrużył oczy i wyglądał na zmęczonego.

- W porządku, Kenneth. Zrobię, co będę mógł... - Wyraźnie było widać, że nadal coś mu leży na sercu. Z rezygnacją w głosie rzekł: - Czuję się, jakbym zdradził samego siebie. - Aubrey drgnął na dźwięk tych słów. - Margaret nigdy mi nie wybaczy, nawet jeśli tego nie zrobiłeś... - Zawahał się, jakby jeszcze raz pytając.

- Przysięgam ci, Paul. Nie wydałem Roberta Castleforfa NKWD - oświadczył Aubrey uroczystym tonem.

Massinger rozluźnił się.

- Wiem.

- Powiedz Peterowi, aby odnalazł Patricka Hyde'a - pośpiesznie dodał Aubrey.
- I powiedz mu, że będę potrzebował kopii akt, które nasz zdradziecki przyjaciel przekazał CIA - tych przeklętych akt! „Łza”, tak je nazywają. Muszę zobaczyć, co w nich jest.
- Dobrze. Skontaktuję się z tobą jutro. - Massinger ponownie spojrzął na zegarek. Kosztowny złoty zegarek na grubej złotej bransolecie, zauważył Aubrey. Dyskretne bogactwo. Za pieniądze Castleforda.
- Ucisnął rękę Massingera. Tarcza zegarka błysnęła refleksem światła.
- Dziękuję ci, Paul, jeszcze raz dziękuję - powiedział.

Pokój Antoine'a na jednym z górnych pięter przy Charlotte Street był niemal pusty. Peter Shelley spojrzął na Massingera znad oprawki okularów i powąchał swój kieliszek z armagnakiem. Upił odrobinę i przez chwilę delektował się smakiem trunku. Potem zdecydowanie pokręcił głową na znak odmowy. Ręka Massingera, która już miała podnieść mikroskopijną filiżankę z kawą, zadrżała. Delikatne naczynko brzęknęło o spodeczek.

- Przykro mi, profesorze Massinger, ale nic nie mogę zrobić. Wydano polecenie zakazujące udzielania jakichkolwiek informacji w tej sprawie. Chryste, chciałbym starszemu pomóc, ale to przekracza moje możliwości. Pilnuj mnie, Bóg wie dlaczego!

- Kto?

- Kumpie Babbingtona. Jestem na czołowym miejscu na liście osób, do których Aubrey mógłby się zwrócić o pomoc. Nie mogę nawet pierdnąć bez ich wiedzy. Massinger zapatrzył się w filiżankę, a następnie jednym haustem, bez namysłu wypił błądy armagnac ze swojego kieliszka. Od chwili gdy podano homara, wiedział, jaki będzie rezultat rozmowy. Upadek Aubreya nie spowodował jeszcze usunięcia Shelleya ze stanowiska dyrektora Biura Europy Wschodniej, ale prawdopodobieństwo zachowania przez niego tej nowej funkcji było niewielkie. Był człowiekiem Aubreya. Massinger mógł kontynuować natarcie. Shelley tkwił w ukryciu do końca nawały ogniowej.

- Babbington ma zamiar przejąć w końcu kontrolę nad obiema służbami. Shelley przytaknął:

- O tak. Jest ambitny i od dawna faworyzowany. Zaczęło się to w latach sześćdziesiątych i trwa do dziś. Jeden człowiek sprawujący obie funkcje. Oczywiście tym facetem musi być Babbington.

- Pan chyba wiele zawdzięcza Aubreyowi - przypomniał Massinger.

- Owszem - odparł Shelley lodowatym tonem: twarz wykrzywiła mu się w nieprzyjemnym grymasie, kiedy opróżnił swój kieliszek. Ogromnie nie lubił przypomnienia mu o długach wdzięczności, zwłaszcza gdy robił to ktoś spoza jego firmy, a w

dodatku Amerykanin. Opanował złość. - Jestem wdzięczny i świadomy swoich zobowiązań. Ale nic nie mogę zrobić! - Pochylił się konfidencjonalnie w stronę Massingera. - Na początek JIC skonfiskował wszystkie dokumenty, taśmy, dosłownie wszystko. Sir William przysłał paru ludzi i zabrali cały ten majdan ciężarówką. Nie mogę zdobyć kopii akt. „Lza” to zbyt świeża i zazdrośnie strzeżona sprawa. Nie widziałem nawet kopii teczek. Żadna z paru istniejących odbitek nie może zniknąć w sposób niezauważalny. Nic nie jestem w stanie zrobić. Staruszka postawiono pod ścianę, profesorze! Nic w tej sprawie nie da się zrobić.

Massinger westchnął zniecierpliwiony, przyznając w duchu rację Shelleyowi, który nawet nie był tchórzem. Po prostu miał rację.

- Co z Hyde'em?

- No, wiedeńska placówka twierdzi, że zniknął. Nie mieli od niego żadnego sygnału.

- Ale pan w to nie wierzy, prawda?

- Patrick Hyde to zabawny gość, lecz bez wyraźnego powodu nie zostawiłby staruszka po uszy w gównie.

- W takim razie co wie lub co podejrzewa? Co Hyde zobaczył albo usłyszał tamtej nocy?

- Nie mam pojęcia.

- I nie jest pan ciekaw?

- Nie mogę się z nim skontaktować bez pośrednictwa placówek w Wiedniu, a i tego nie da się zrobić bez wzbudzania szumu. Hyde jest odcięty. Być może nawet nie żyje.

- Dlaczego miałby nie żyć?

- Nie wiem - mruknął z rosnącą irytacją Shelley. - Ale dopóki się nie zgłosi, nikt nie zamierza się nawet zastanawiać, co mu wpadło do głowy.

- Jaki jest jego domowy adres?

- Ja... - Shelley zawahał się, lecz dokończył: - napiszę panu.

Nabazgrał adres na odwrocie koperty, którą Massinger bez czytania schował do kieszeni. - Tam go nie będzie.

- A czy w jego mieszkaniu kogoś zastanę?

Shelley zastanowił się.

- Na górze mieszka kobieta. To obecna właścicielka domu. Nie mam zielonego pojęcia, co ich łączy ze sobą. Najdziwniejsze... - Wzruszył ramionami.

- Czy on by jej zaufał? Czy próbowałby skontaktować się z nią, będąc w kłopotach?

- Nie wiem. Być może...

Massinger pochylił się do przodu.

- Niech pan posłucha - rzekł. - Chyba nie wierzy pan w te brednie świadczące przeciwko Aubreyowi?

Shelley zaprzeczył ruchem głowy. Wyglądał młodo, był sprytny, pełen ambicji, zaangażowania. - Nie, oczywiście, że nie.

- Więc?

- Nie mogę! - zaprotestował. Mówiąc to długim palcem wskazującym dotknął obrusa i strzepnął okruchy chleba. - Profesorze, nic się nie da zrobić, aby mu pomóc. Wiem to najlepiej, bo jestem tam przecież codziennie. Nikt nie zamierza mu pomóc, chłopie! Ani JIC, ani Kancelaria Premiera, ani Rząd Jej Królewskiej Mości. Nikt nie chce, aby to się stało, ale nie mogę nic poradzić. - Oderwał wzrok od rozłożystego ogona komety usypanego z okruchów chleba na białym obrusie. Z przekonaniem potrząsnął głową. - Nic się nie da zrobić. Staruszek jest bez szans.

W foyer hotelu Inter-Continental Hyde, przechodząc wzdłuż rzędu wysokich luster, widział odbity w nich wizerunek człowieka, którego nie rozpoznałby, gdyby go sam nie stworzył. Wystawy sklepów z upominkami odbijały jego postać na tle lalek w szerokich spódniczkach i wygiętych drewnianych fajek. Później odbicie Hyde'a ukazało się na chwilę w witrynie kiosku z gazetami. Nagą prawdę, zamaskowaną jedynie wąsami, jasnymi okularami i ciemnym garniturem z kamizelką, ujawniła nagle twarz gapiąca się na niego z tytułowej strony popołudniówki. Jego własna twarz - znana z codziennych spotkań przy goleniu, twarz człowieka, który w Wiedniu przespał byle jak dwie noce, jedną nad rzeką, a drugą w alejce na zapleczu restauracji - spoglądała na niego ze stojaka na prasę. Niezadowolone z tego faktu było bezcelowe i głupie. Ostrożnie wziął jedną z gazet, kuląc się w sobie, kiedy to samo zrobił potężny Austriak w średnim wieku, który następnie wszedł do sklepu, aby uregulować rachunek. Hyde rozłożył gazetę. Pod zdjęciem ujrzał tytuł złożony niewielką czcionką i opis całej historii. Fotografia miała oficjalny charakter. Wykorzystano do tego jego zdjęcie paszportowe. Musiała je dostarczyć SIS.

Narkotyki. Poszukiwany jest podejrzany o przestępstwo związane z narkotykami.

KGB - SIS - wiedeńska policja.

Poczuł przytłaczający ciężar na barkach.

Na górze w pokoju, gdzie się zameldował na podstawie skradzionego komuś w metrze paszportu, pozostała reszta jego nowych ubrań, za duża walizka będąca elementem kamuflażu, świeża szczoteczka do zębów, grzebień i woda po goleniu - wszystko teraz już zbędne niby rekwizyty do zdjętego ze sceny przedstawienia. Specjalnie wynajął

pokój w jednym z najdroższych hoteli w Wiedniu, zdając sobie sprawę, że najpierw będą go szukać w małych hotelikach i pensjonatach.

Teraz narkotyki. Był zatem obiektem zainteresowania policji. Podsunął w górę oprawkę tkwiących na nosie okularów, palcem poprawił umieszczone pod policzkami wkładki. Charakteryzacja wydawała mu się godna politowania i odpowiednia dla amatora. Wsunął gazetę z powrotem na stojak i odszedł od sklepika. W foyer Arabowie powoli sączyli kawę, grupa Amerykanów stała w kolejce do recepcji, z baru słychać było śmiech.

Podszedł do wind i zatrzymał się.

Co i kto się za tym kryje?

Nie odważył się wynająć samochodu lub sforsować portu lotniczego albo dworca kolejowego. Teraz będzie musiał. Teraz musi się wydostać z Wiednia, zanim jego twarz zacznie spozierać na niego niczym nocna zjawa z ulicznych latarni, gazet, ścian stacji metra, okien trolejbusów. To był dopiero początek bombardowania. Napięcie będzie wzrastać, przestępstwo przerodzi się w krwawą zbrodnię, a perspektywa jego ujęcia stanie się bardziej realna.

Z bezlitosną pasją nacisnął przycisk wzywający windę. Powinien zrezygnować z dyskretnie ukrytego na dziesiątym piętrze apartamentu, za który nie mógł zapłacić żadną ze swoich kart kredytowych. Drzwi windy otworzyły się z sykiem. Wszedł do środka. Winda łagodnie i szybko uniosła się w górę, jakby wiozła go w bezpieczne miejsce. Czuł prawdziwy, niemal materialny strach, przed którym nie było ucieczki. Wiedział, że został pokonany.

Pociąg, samochód, autobus, statek...

Drzwi syknęły i otworzyły się. Ruszył korytarzem, mijając otwarte drzwi apartamentu. Siedziały tam dwie Arabki z dwojgiem dzieci, przed drzwiami stała taca z owocami i herbatnikami. Cóż, tamci, tak jak on sam, byli więźniami tego hotelu. Niezręcznie wsunął klucz do zamka, otworzył drzwi i zamknął je za sobą, przekręcając klucz.

Oddychał głośno i nierówno. Czuł się ociężały, pragnął zapaść się w poduszki sofy lub rzucić na łóżko w sąsiednim pokoju. Ręce mu drżały. Nie istniała żadna droga ucieczki, własne ciało przekonywało go, aby dał za wygraną...

Pociąg, samochód, autobus, samolot...

Wszystko strzeżone. Wszystko strzeżone.

Na biurku stał telefon. Może zadzwonić do ambasady, poprosić Parrisha lub Wilesa, kontynuować grę, zapytać, czego od niego chcą?...

Lub po prostu tam pójść. Nie mogą go zabić z zimną krwią. Czegokolwiek by chcieli, może ich wysłuchać, zgodzić się to zrobić, zapomnieć o tym, co się wydarzyło.

Będzie to równie proste jak to, co powiedział o upuszczonej taśmie.

Do tej pory z pewnością ją już mieli. Po raz kolejny przeklinał własną głupotę i łatwość. Proste.

Dla nich zabicie go będzie równie proste.

- Chryste! - jęknął, wypuszczając z płuc całe powietrze. - Chryste!

Potem bezwiednie podniósł słuchawkę i przekartkował leżący na biurku międzynarodowy spis telefonów, wodząc palcem wzdłuż kolumn cyfr. Zaczął wykręcać numer, najpierw kierunkowy do Wielkiej Brytanii, a następnie do Londynu. W wyobraźni widział swój własny aparat, obok którego siedzi, leniwie się rozglądając, jego kotka. Teraz pewnie leżała piętro wyżej, zwinięta w kłębek w mieszkaniu Ros.

Szybciej, no, szybciej, ponagłał.

Poddać się, domagała się kusząco inna część jego duszy.

- Pieprzyć to - mruknął i zaczął powtarzać: - Podejź, Ros, podejź, maleńka...

Wiedziała, gdzie były paszporty, karty kredytowe na inne nazwiska, a także pieniądze. Czy mu je dostarczy? W ostateczności może je przysłać.

- Podejź, kochanie - szeptał pośpiesznie, kiedy telefon dzwonił w jej mieszkaniu przy Earl's Court.

Rozdział II

Targ Mięsny

Paul Massinger wysiadł z taksówki na rogu Philbeach Gardens i Warwick Road. Poszedł szybko krętą Philbeach Gardens, mniej powłócząc nogą dzięki ćwiczeniom biodra. W przerwie pomiędzy domami dostrzegł strzelający wysoko w górę budynek wystawowy Earl's Court. Idąc minął kościół Św. Huberta, który pomimo gotyckiej architektury wydawał się skurczonym karzełkiem w porównaniu ze stojącym w głębi ulicy wieżowcem.

Kończyło się popołudnie; Paul czuł miarowe kurcze w żołądku, na plecach ciążyła mu srebrzysta bryła lodowatego strachu. Niebo wyzierające spośród chmur traciło swój dzienny kolor i przybierało barwę czerni. Potwierdzały się jego podejrzenia, które zrodziły się w taksówce. Zderzenie z rzeczywistością zapierało mu dech w piersiach i mąciło rozum. Był już pewien, że jest śledzony.

Obok kościoła zatrzymała się niebieska cortina. Jechała za jego taksówką ulicą Charlotte Street, a w drodze do Earl's Court też widział ją kilkakrotnie. To nie było złudzenie, nie mógł dłużej tłumić w sobie pewności. Nie pamiętał, czy widział ten sam pojazd w okolicach mieszkania Aubreya lub w drodze do Antoine'a, ale wychodząc wraz z Shelleyem, dostrzegł cortinę ponownie, a teraz znów była w pobliżu.

Boże, przecież odwiedził tylko starego przyjaciela, z innym człowiekiem zjadł lunch, a już ktoś uznał go za obiekt godny obserwacji.

Shelley? - pomyślał, lecz natychmiast odrzucił tę możliwość. Babbington? KGB? Kto to był?

Potrząsnął głową, niczym pies otrzepujący futro z wody, chcąc uwolnić się od pytań. Przyglądał się numerom domów. Ogołocone z liści drzewa o pniach czarnych jak żelazo strzegły ogrodów. Rosnącą wśród nich trawę przetykały białe łąty zleżalego śniegu.

Z trudem pokonał trzy schodki u frontowych drzwi i przestudiował wizytówki umieszczone pod każdym z dzwonek. P. Hyde - oznajmiała jedna z nich. Powyżej inna falistym pismem informowała, że na drugim piętrze mieszka R.D. Woode. Naciśniętą górny przycisk. Po chwili zniekształcony głos z wyraźnym australijskim akcentem

odezwał się z kratki głośnika nad dzwonkiem.

- Nazywam się Massinger. Jestem przyjacielem Kennetha Aubreya - przedstawił się wyraźnie w odpowiedzi na pytanie. - Czy mówię z gospodynią pana Hyde'a?

- Mówisz, chłopie. Wyjechał w interesach. - Pomimo zniekształceń głos dobiegający z głośnika był napięty i czujny.

- Wiem, że go nie ma. Czy mówi coś pani nazwisko Aubrey?

Shelley nic mu nie powiedział o związkach łączących tę kobietę z Hyde'em. Ale on domyślał się, że Hyde jej ufał, może знаła nawet jego profesję?

- Owszem.

- Aubrey ma kłopoty. Chciałbym się pilnie dowiedzieć, gdzie można znaleźć pana Hyde'a. - Massinger czuł zimno późnego popołudnia pomieszane z mrozącą świadomością obecności obserwatorów z niebieskiej cortiny. Kusilo go, aby się odwrócić, ale stał dalej z uchem tuż przy kratce głośnika.

- O tym też wiem - oświadczył głos i dodał szybko: - Czego pan, kurde, chce?

- Chcę z panią porozmawiać. Zapewniam panią, że przysłał mnie Kenneth Aubrey - no, powiedzmy, pracodawca Patricka Hyde'a.

Nastąpiła dłuższa cisza. Massinger usłyszał wronę kraczącą na jednym z nagich drzew. Po chwili kobieta odezwała się ordynarnym, prostackim tonem:

- Poczekam na ciebie przed drzwiami jego mieszkania. Na pierwszym piętrze. - Usłyszał brzęczyk, pchnął drzwi i poczekał, aż automat je zamknie.

Korytarz był czysty i wyłożony chodnikiem, chociaż dochodziły tu kuchenne zapachy. Wchodził na górę, starając się stąpać pewnie pomimo ostrego bólu w biodrze, który czuł przy każdym kolejnym stopniu.

Drzwi Hyde'a pomalowane były na jaskrawo-karmazynowy kolor.

Przed nimi stała ważąca osiemdziesiąt, a może dziewięćdziesiąt kilogramów kobieta, ubrana w luźny kaftan. Przyjrzała mu się uważnie brązowymi oczyma. Ciemne włosy odczesane z szerokiego czoła były związane z tyłu w koński ogon. W rękę kobieta trzymała pęk kluczy.

- Massinger? - powiedziała.

- Tak - wyciągnął rękę.

- Ros Woode - oznajmiła, uściskawszy krótko i zdecydowanie jego dłoń. Uważnie przyglądał się jej twarzy. Pozostawała niewzruszona, zachowując wyraz lekkiego znudzenia, Paul jednak wyczuwał, że kobieta udaje. To była maska.

- Miło mi panią poznać.

- No, proszę wreszcie wejść.

Przekreśliła klucz i uchyliła drzwi do mieszkania Hyde'a. Drzwi po obu stronach

wąskiego przedpokoju były pozamykane, jedynie te na wprost - otwarte. W drzwiach wejściowych ukazała się szylkretowej barwy kotka. Prężyła łapy i przeciągała się. Przed pustym kominkiem stała deska do prasowania z ustawionym na sztorc żelazkiem. Na desce leżała złożona koszula. Kotka zbliżyła się do kobiety i ocierała się przymilnie o jej nogi, kiedy ta weszła do salonu. Nagle stworzenie odskoczyło. Paul miał wrażenie, że wtopiło się w jedną z poduszek kanapy.

- W porządku, chłopie, zacznijmy od tego, kim pan jesteś - burknęła kobieta.
- Tak jak mówiłem - zaczął Massinger, opierając się mocno o łaskę.
- Jestem przyjacielem Kennetha Aubreya, a pan Hyde...
- Wiem, czym się Hyde zajmuje - jest...
- A więc tak bardzo pani ufa?
- Jasne. To jego mieszkanie i sam pan widzi, nie ma go.
- Czytuje pani gazety?

Jej wargi skrzywiły się na moment, w oczach błysnęła jakaś sekretna wiedza.

- Co z tego?
- Hyde nie został aresztowany wraz z Kennethem Aubreym, ale - oczywiście - wie już o tym, że...

- Że co, do cholery? - Nagle przerwała, jakby coś sobie przypomiała. - Niech pan się nie gniewa - dodała - ale nie wiem, o czym pan mówi.

- Ach tak.

Paul zlustrował wzrokiem pokój. Spoglądał ciekawie na reprodukcje francuskich impresjonistów, pluszowe zasłony, różowy dywan, miodowej barwy kominek, dużo zieleni, całkiem przyzwoite meble. Czuł się nieco zaskoczony; to był dla niego całkiem nowy Hyde.

- Jeśli to pana interesuje, sama dobrałam większość tego. Nie zgodziłam się, żeby wykupił mieszkanie, no i nie chciałam, żeby do jednego z moich lokali przytargał swoje rupiecie. No to kupił nowe rzeczy, wedle moich wskazówek.

Massinger przyjrzał się jej uważnie. Tak jak i Shelley, nie orientował się, co może ją łączyć z Hyde'em. Próbował nie dostrzegać nadmiernej tuszy i obłych kształtów, pozabawiających kobietę odrobiny seksu, ale mimo to nie dawała mu spokoju myśl o ich wzajemnych stosunkach. Co też oni oboje do siebie czuli? Szybko jednak odsunął te myśli. Rzekł ostrożnie:

- Czy mógłbym panią prosić o pewną przysługę?
- Zależy.
- Więc niech pani zechce mnie wysłuchać. Gdyby pan Hyde odezwał się do pani - chciała zaprotestować, ale uciszył ją gestem uniesionej ręki - gdyby się odezwał, proszę mu wspomnieć o moich odwiedzinach i proszę mu też powiedzieć, że staram się pomóc Aubreyowi. Niech mu... niech mu pani powie, że pragnę wy badać, dlaczego

KGB - bo zapewne to oni - wrobiło Aubreya, i że jestem przekonany, iż było to ukarowane. - Massinger czuł do siebie niesmak, ale musiał złożyć jakiś dowód dobrej woli, rzucić jakieś hasło, które przekonałoby Hyde'a. Bądź co bądź, nic o nim nie wiedział. - Czy Hyde od dawna pracował dla Aubreya?

- Owszem, ale dlaczego pan pyta? - Wypowiedziała te słowa nieco łagodniejszym tonem. Wyglądało na to, że chciałaby mu zaufać. Paul zdał sobie sprawę, że Hyde jest z nią w kontakcie, lecz ona została już uprzedzona o ewentualnych odwiedzinach różnych gości.

- Pragnę panią przekonać, że jestem jego przyjacielem, że to nie żadna pułapka, ale nie wiem, jak to zrobić. Powiem pani tylko jedno. Jestem mężem córki człowieka, którego Aubrey jakoby wydał Rosjanom.

- O Chryste - wyszeptała.

- Tak więc albo czyni to ze mnie jego zacieklego wroga, albo przyjaciela. Niech Hyde sam zadecyduje. Jeżeli się ponownie z panią skontaktuje lub też pani uda się go odszukać, proszę mu powiedzieć wszystko, co pani ode mnie usłyszała, i powtórzyć, że muszę się z nim porozumieć. Niech zadzwoni stąd albo z automatu ulicznego, jeżeli uzna, że tak bezpieczniej. Czy mogę na panią liczyć?

Wahała się długo, wreszcie niechętnie skinęła głową.

- Dobra, to znaczy, jeżeli się odezwie - zgodziła się niechętnie.

- Dziękuję. Teraz już sobie pójdę. Do widzenia, pani Woode.

Uklonił się i opuścił pokój. Kobieta nie starała się go zatrzymać. Massinger zwątpił w sukces. Przecież równie dobrze mogła mu uniemożliwić kontakt z Hyde'em.

Zamknął za sobą drzwi od apartamentu i zszedł na dół. W hallu minęła go młoda dziewczyna. Otworzyła drzwi do mieszkania na parterze, skąd dobiegł zapach fajkowego dymu i strzępy transmisji z finałowego meczu krykieta. Zanim drzwi się zamknęły, radio zdążyło obwieścić o upadku tej gry w Anglii. Paul nigdy nie opanował angielskiej sztuki udawania, że można się pasjonować tą nudną grą, zwłaszcza że pamiętał dyscypliny sportowe uprawiane po drugiej stronie Atlantyku.

Pomimo zapadającego zmroku niebieską cortinę dobrze było widać na tle ciemnych ogrodzeń. W środku siedziało dwóch ludzi. Kierowca i pasażer. Paul utrwalił sobie w pamięci numer wozu.

Uszedł może ze trzy, cztery jardy w przeciwną stronę, gdy usłyszał, jak silnik zaskoczył. Ten odgłos był bardziej nieprzyjemny niż krakanie wrony. Paula przeszył dreszcz, jakby nagle przebudził się z głębokiego snu. Wóz minął go. Massinger zmusił się, by nań spojrzeć, i aż zamarł, gdy zobaczył tamtych, w środku. To byli ludzie z branży, nie przypadkowi amatorzy. Zawodowcy. Spojrzenie kierowcy raziło groźbą niby piorunem.

Wóz skręcił w Philbeach Gardens, po czym zniknął. Massinger ruszył przez chłodny mrok z mocno bijącym sercem, które za nic nie chciało podjąć pracy w normalnym rytmie.

Margaret siedziała na brzegu fotela, przodem do gabinetu. Splecione dłonie leżały swobodnie na sukni. Kiedy Massinger wchodził, Babbington zwrócony był do niego bokiem i dopiero przy powitaniu odwrócił głowę. Właściwie trudno by ten ruch uznać za powitanie, było to raczej stwierdzenie czyjejs obecności. Paul poczuł się jak intruz. Na jego płaszczu lśniły płatki topniejącego śniegu, który go obsypał na pomarańczowo oświetlonej ulicy. Ciepło centralnego ogrzewania zdawało się tworzyć niewidzialną granicę, którą Paul właśnie musiał przekroczyć.

Wszedł, a wtedy Babbington zaraz się podniósł i wyciągnął rękę. Massinger ruszył ku niemu ostrożnie, uważając na ból w biodrze. Babbington obserwował go niczym pracodawca szykujący się do odprawienia nieporadnego pracownika. Na twarzy Margaret pojawił się niepokój.

- Mój drogi Paul! - rzekł cichym głosem.

- Sir Andrew - odparł Massinger sztywno. Babbington uśmiechnął się ironicznie i z beźmierną pewnością siebie.

Margaret poderwała się gwałtownie niczym tchórzliwy spiskowiec po pierwszym wystrzale.

- A więc zostawiam was, porozmawiajcie sobie - rzekła niemal szeptem.

Massinger nie zdołał się opanować, grymas bólu wykrzywił mu twarz. Było oczywiste, że Babbington i Margaret zdążyli wymienić poglądy. Wiedziała już, nawet jeżeli nie wszystko, to i tak sporo z tego, co dzisiaj robił. Zanim osaczyły go inne myśli, poczuł się przez chwilę winien. Ta niebieska cortina. Czyżby ludzie Babbingtona?... Dlaczego? Zabrakło mu powietrza.

- Nie zapomnij, że musisz się przebrać - dodała jeszcze Margaret wychodząc.

Kwiaty - wiedział o zamówionych kwiatach, które miały być dostarczone tego popołudnia. Kredens zastawiony był napojami i szkłem.

- Dlaczego? - zapytał naiwnie.

- Covent Garden - rzekła cicho, ale z widowym niezadowoleniem. Zamknęła za sobą dwuskrzydłowe drzwi wiodące do jadalni. Po chwili usłyszeli polecenia, które wydawała lokajowi i gospodyni.

- Usiądź, mój drogi - wycedził Babbington, wskazując na krzesło. Teraz mogli się czuć swobodnie. Odłożywszy laskę i płaszcz, Massinger usadowił się na fotelu,

poruszając się tak żwawo, jak tylko mógł.

Babbington przypatrywał mu się bardziej z nawyku niż z zaciekawienia.

- Żle się czujesz? - zagadnął.
- Nie, świetnie, Andrew. A ty?
- Na zdrowie, dzięki Bogu, nie narzekam.

Massinger poczuł, iż opuszcza go odwaga, i to nie dlatego, że zdaje sobie sprawę z pozycji, siły i znaczenia Babbingtona. To raczej sam Babbington roztaczał wokół siebie specyficzną aurę potęgi, która wypełniała jego własne ciało i całe otoczenie.

- Masz bardzo poważną minę, Andrew - rzekł Massinger najspokojniej, jak mógł.

- Bo jestem poważny, Paul. Chodzi o sprawę Aubreya. Sprawę twojego przyjaciela Aubreya. Głęboko stresującą. - Babbington od czasu do czasu kiwał głową. Paul poczuł w nozdrzach zapach zimowych róż stojących opodal okna; ciepły nawiew z grzejnika rozchyłał ściśnięte pączki. Gdy Massinger wszedł ,tu z zimnej i mokrej ulicy, nie poczuł tej woni. Teraz słychać było, jak marznący deszcz bębni o szyby za ciężkimi zasłonami. Przez szczelinę w zasłonach Paul dostrzegł kłęby śniegu wirujące wokół pomarańczowych świateł ulicznych latarni. Ten widok był niemal identyczny z jednym z dwóch obrazów Turnera na ścianie nad kredensem.

- Tak. Mojego przyjaciela, jak go nazywasz - zabrzmiało to niczym wyznanie słabości lub winy.

- Bardzo mi cię żal, Paul. Znalazłeś się między młotem a kowadłem. To chyba okropnie denerwująca sytuacja.

- O, tak.

- Zwłaszcza gdy człowiek jest bezsilny, bezradny. - Te słowa były starannie dobrane. - Kiedy się nic nie da zrobić, nawet jeżeli bardzo się chce. - Babbington położył dłonie na udach.

- Uważasz, że nic się nie da zrobić?

- Jestem pewien - odparł Babbington ostro; ich oczy spotkały się. - Naprawdę - powtórzył łagodniej.

- Uważasz, że jest winien?

- Zapewne tak. To nie wygląda dobrze. Tak naprawdę, to wygląda bardzo źle, i to z każdego punktu widzenia. Fatalnie!

- Ale przecież wiesz, że on nie jest żadnym zdrajcą!

- Ani ja, ani ty nic takiego nie wiemy. Cóż, ty nie wierzysz w jego winę. Ale to tylko wiara.

- Nonsens.

- Mój Boże - jeżeli pozwolą mu zostać dyrektorem generalnym służby wywiadowczej, Paul, to okropnie, wyrządzą firmie straszną szkodę, nie do naprawienia.

- W nic z tego nie wierzę. I ty też nie powinienes.
- Czas Aubreya się skończył, Paul, jakikolwiek będzie ostateczny rezultat. Uwierz, jego słońce już zaszło. - Oczy Babbingtona błyszczały nie skrywaną ambicją.

- Niezależnie od tego, jaka jest prawda?
- Przykro mi - mruknął Babbington nieszczerze. - Zdaję sobie sprawę, jak bliskim jest ci przyjacielem...

- A jeżeli to rzeczywiście spisek KGB, tak jak uważa Aubrey? - zapytał Paul, czując falę gorąca zalewającą twarz. Był świadomy własnego braku rozsądku, irytacji, gniewu i braku kontroli nad sytuacją. Ale też czuł się znieważony i zastraszonegrozami zawartymi w każdym zdaniu Babbingtona.

- Nie zastanawia cię, dlaczego KGB miałoby ci pomagać w zaspokajaniu twoich ambicji? Czemu miałoby im zależeć na tym, żeby Aubrey się pogryżył, i to w taki sposób?

Babbington zamilkł na chwilę, jakby rzeczywiście rozważał odpowiedź na pytania Massingera. Przesunął wzrokiem po gzymśach i fryzie nad kandelabrem. Gipsowe stado, pasterze i pasterki na bładoniebieskim tle. Imitacja dzieła Wedgwooda. Wreszcie jego spojrzenie powróciło do Paula.

- Chyba nie zamierzasz dalej się w to angażować?
- W co?
- W skazaną z góry na niepowodzenie próbę przyjscia z pomocą osobie, której się pomóc nie da.

- Czyżby prawda nie miała znaczenia?
- Słyszę to pytanie już drugi raz. To brzmi po prostu naiwnie.
- Mój Boże...
- Aubrey jest winien jak wszyscy diabli! - warknął Babbington, wychylając się z fotela, a jego potężne dłonie spoczęły na kolanach. - Kiedy przekopimy sprawę do dna i dostaniemy się do centrum siatki, Aubrey okaże się winien jak wszyscy diabli. Do cholery, to agent radziecki, i to od prawie czterdziestu lat. Wsyłał ojca twojej żony i zlikwidował go rękami NKWD.

- Ale dlaczego miałby to zrobić? - Massinger z twarzą płonąca gniewem usiłował odeprzeć atak nie ukrywanej napastliwości Babbingtona.

- Na dowód lojalności. Albo dlatego, że załatwienie Roberta Castleforda stało się wygodnym sposobem, żeby ratować własną skórę. Wybierz, co chcesz.

- Ależ to szaleństwo - rzekł Massinger z drzeniem w głosie.

Wyczerpany sporem Babbington opadł w fotel. Jego oczy były spokojne, w przeciwieństwie do ust i mięśni policzków, które dygotały ze złości. Przyglądał się Massingerowi chłodno i przenikliwie.

- Skoro tak uważasz - powiedział w końcu. - Ale on to zrobił. Chodzi o ojca twojej żony. Człowieka, którego Aubrey pozbył się jak pary niewygodnych butów.

- Czy to szantaż? - zapytał Paul cicho. Głos miał zdyszany i nerwowy.

- Po prostu przypomnij sobie o szczęśliwych chwilach z Margaret, Paul. Proszę cię... - Te słowa nie były niczym więcej jak zwykłą drwiną.

- Więc tak jak sądziłem, szantaż.

- Nie, Paul. To rozsądna rada. Jeżeli po tym, czego nauczyłeś się w Harvardzie, CIA i King's College, chciałbyś zobaczyć, jak wygląda prawdziwy szantaż - to zastanów się nad tym, czy warto. Mogą ci stanąć na drodze różni wysoko postawieni faceci. Możesz otrzymać parę propozycji nie do odrzucenia. Ale jeśli dasz spokój, nic ci się nie stanie, zapewniam. Ten dom w Belgravii, wszystko, co się wiąże z twoją pracą, ach, szkoda mówić... - wymownym gestem wskazał salon. To było obrzydliwe. Massinger parsknął w milczącym gniewie. - Wszystko pójdzie na marne. Możesz być tego pewien.

- Wielki Boże - wydyszał Paul.

- No i co najważniejsze, utracisz miłość swojej żony. Rozumiemy to obaj. - Wstał szybko. - Nie trudź się odprowadzaniem mnie. Pożegnaj w moim imieniu Margaret, powiedz jej, że Elizabeth skontaktuje się z nią - może urządzimy sobie jakąś wspólną kolację? Dobranoc, Paul.

Wyszedł, zanim Massinger zdołał opanować uczucie rozgoryczenia i strachu. Paul spojrział na zamykające się drzwi, jakby w obawie, że gość może wrócić. Czuł, jak drżą mu ręce wsparte na udach, ale starał się na nie nie patrzeć... Był niczym w gorączce, bez sił. Babbington zagroził, że zabierze mu żonę!

Drzwi do jadalni, zza których dobiegała krzątająca służba, otworzyły się i stanęła w nich Margaret. Teraz on był przerażony, tak jak ona, kiedy wyszła z pokoju po pierwszych zdaniach Babbingtona. Lokaj i gospodyni zabiegani za jej plecami to część *tableau vivant*. Kryształ, błyszczące nakrycia, srebra, lichtarze i kandelabry. Kawior, wędzony łosoś, przekąski, szparagi. Szampan, burgund, bordeaux, reńskie.

Puściła wreszcie klamkę i, usuwając się z tego tłą, ruszyła ku niemu. Z każdym krokiem coraz wyraźniej jej twarz stawała się odbiciem jego uczuć. Ostatnich kilka kroków Margaret prawie przebiegła. Przyklękła Przy jego fotelu i szybko ujęła jego wyciągniętą, rozedrganą dłoń.

- Kochanie... kochanie... - szeptała raz po raz, przytulając policzek do jego rąk. Paul wyczuł współczucie w jej głosie i czepiał się go kurczowo w obawie przed utratą, ale jednocześnie odnalazł w jej tonie twarde nutki przymusu; zgrzytały niczym stara

płyta w radio. A więc wiedziała, o czym była mowa, wiedziała, że jej szczęście ważyło się na szali, Pozwoliła, by Babbington straszył i szantażował. Aby go zniechęcił do tej sprawy. Ojciec był dla niej świętością i pamięć o nim była starsza od miłości do męża.

Arystokratka, pomyślał z przykrością. Cholerna angielska arystokracja. Margaret miała ustaloną pozycję i oczekiwała, że on do niej dołączy. To było dla niej sensem życia. Aubrey był synem kościelnego, chłopakiem uczącym się dzięki stypendium. Kościelnym stypendystą z wzorowym świadectwem. Po prostu syn kościelnego. Pochylił się w swym fotelu.

- Dobrze... już dobrze, kochanie - rzekł cicho. W jej oczach pojawił się błysk czulej radości.

- Wiem, mój drogi, wszystko wiem. - Wstała. - Czy jesteś gotów... zmienić zdanie?

- Tak, naturalnie - odparł z udaną lekkością. Biodro zakłuło boleśnie przypominając, że wstał z fotela. Nieco mocniej utykając przeszedł do drzwi i nie patrząc na żonę rzucił: - Nie będzie kłopotów, mój skarbie. Żadnych kłopotów. - Usłyszał jej radosne westchnienie.

Massinger ruszył przez hall do swej sypialni, unikając po drodze wysokiego, złoczonego osiemnastowiecznego lustra, wiszącego nad telefonem. Ominął też lustra w rogu sypialni. Ale dał się zaskoczyć przez podłużną lustrzaną taflę wewnątrz drzwi szafy. Ukazała mu ona człowieka niezdecydowanego, przygnębionego i zawstydzonego. Ściągnął marynarkę i krawat, a płaszcz rzucił na dywan. Mała otomana zdawała się zapraszać do spoczynku.

Zadzwoił telefon, przerywając gwałtownie jego rozmyślanie na temat własnej winy. Paul przeniósł wzrok na aparat, po czym szybko chwycił słuchawkę.

- Profesor Massinger?

Czyżby to był Shelley?

- Tak, kto mówi?

- To ja, Shelley, profesorze.

Massinger niespokojnie odwrócił głowę, aby widzieć drzwi. Cienie w sypialni rosły, wędrując po dywanie. Paul opadł w głąb otomany.

- Tak. Czego pan sobie życzy? - Nasłuchiwał, czy nie brzęknie podnoszona słuchawka innego aparatu. Dłoń mu drżała.

- Jà... chciałbym pomóc - ciągnął Shelley. - Myślę, że mogę uzyskać dla pana te akta, wprawdzie tylko na parę godzin, ale może pan sobie z nich zrobić ksero, a wtedy odłożę je z powrotem na miejsce. - Shelley rozwijał szczegółowo swój plan, gadał i gadał, było jasne, że przełamał własne opory, ambicje i lęk. - To oczywiście odpis,

niestety, a nie kopia oryginalnych dokumentów, które są w Waszyngtonie, ale to wszystko, co mogę zrobić, nie będę w stanie działać więcej.

Massinger nasłuchiwał dalej. Wyglądało, że nikt nie podsłuchiwał z innego telefonu w mieszkaniu.

- Halo?

- Panie profesorze, mówił pan, że będą panu potrzebne. Czy nadal są potrzebne?

Brzęknięcie. Czyżby ktoś podniósł słuchawkę? Margaret? Massinger poczuł wściekłość. Wyładował złość na Shelleyu. On też uczestniczył w spisku mającym poróżnić go z Margaret...

- W tej chwili ich nie potrzebuję - powiedział Massinger tak obojętnie, jak tylko potrafił. - Przepraszam, ale to chyba nie ma nic wspólnego ze mną. Dziękuję, że pan zadzwonił.

Shelley natychmiast przerwał połączenie. Paul słuchał dalej. Poprzez szumy na linii dobiegał go słaby trzask ostrożnie odkładanej słuchawki. Rzucił swoją na widełki, jakby parzyła go w rękę. Postanowił poczekać, aż Margaret otworzy drzwi, a na jej ustach pojawi się uśmiech zrozumienia i uznania. Cierpienie ciążyło mu straszliwie, wypełniało go niczym woda tonącego.

Margaret promieniała. Nie było co do tego wątpliwości. Szczęśliwa, ufna, znowu bezpieczna. Przyjmowała powściągliwie wyrazy współczucia od gości na wieść o tym, że zdradzono i zamordowano jej ojca. Porządek świata Margaret został przywrócony. Massinger opanowany na nowo uczuciem miłości do żony obserwował ją kursującą pomiędzy gośćmi na późnym przyjęciu po operze. Ogarnęło go znów uwielbienie dla niej. Poza tym czuł się obco na tego rodzaju imprezach towarzyskich.

Z nastroju obcości nie zdołał go wyprowadzić nawet *Eugeniusz Oniegin*, w którym śpiewała rosyjska sopranistka z towarzyszeniem orkiestry pod dyrekcją przewyższającego ją sławą męża. Jedynie łagodne spojrzenia Margaret, które rzucała mu przez cały wieczór w operowej łoży, pełne aprobaty i współczucia, łagodziły jego nieznośny samokrytycyzm. Teraz, po whisky i dobrym burgundzie wypitym prawie bez przekąski, zaczynał przyzwyczajać się do podjętej decyzji. Ponownie sprecyzował swoje najważniejsze cele. Z wolna regulował ostrość lunety, przez którą spoglądał na własną moralność i uczucia. Obraz Margaret był już wyraźnie widoczny.

Stanął blisko okna, gdzie zapach róż był silniejszy od woni cygar i papierosów. Dwie lub trzy osoby porozmawiały z nim życzliwie na temat jego ewentualnej pracy

na kierowniczym stanowisku, inne delikatnie badały, czy byłby zainteresowany działalnością w nowej Komisji Królewskiej, jeszcze ktoś nęcił go wizją lukratywnego kontraktu z Quango*. Wszystko to ogromnie cieszyło Margaret. A ponadto schlebiali jego ukrytemu dążeniu, by stać się prawdziwym Anglikiem i pełnoprawnym członkiem arystokratycznego kręgu przyjaciół żony. Nie chciał być jedynie byłym wykładowcą uniwersyteckim i emerytowanym profesorem londyńskiego King's College. Jako mąż Margaret pragnął podnieść swój status, umocnić więzi z Anglią. Miał dowody, że staje się to obecnie realne. Otwierały się wszelkie możliwości. Gdyby liczył sobie mniej lat i był obywatelem brytyjskim, mógłby się ubiegać o zdobycie bezpiecznego fotela członka Parlamentu. Zachęcano go do tego. Był wszędzie znany, lubiano go. Uśmiechnął się gorzko, trzymając szklankę przy ustach.

* Quango - na wpół formalna grupa popierana finansowo i organizacyjnie przez rząd. Słowo stanowi skrót od angielskiej nazwy *quasi-autonomous non-governmental organization*. - Przyp. tłum.

Aromat róż był chwilami zbyt mdły, a salon przegrzany. Nagle przed Paulem stanął sir William Guest, starszy tajny radca, były szef służby dyplomatycznej, a obecnie specjalny doradca premiera do spraw bezpieczeństwa i wywiadu, przewodniczący JIC. Końcem różowego języka zlizywał ziarenko kawioru z kącika ust. W wysokiej szklance skrzyło się blade mozelskie wino. Guest z nie ukrywaną satysfakcją, rozpromieniony, spoglądał na Massingera. Wśród obecnych tu osób zapewne tylko sir William wiedział, że Paul wycofał się z pojedynku o losy Aubreya. Wzrok sir Williama przeniósł się na Margaret, a ta pomachała do swego chrzestnego ojca ponad głowami gości i męża.

- Jesteś szczęściarzem, mój chłopcze - szepnął sir William.
- Wiem o tym.
- Za wasze dalsze, nieprzerwane szczęście. - Sir William uniósł szklankę i spełnił toast. - Moja chrześniaczka wygląda znakomicie. No, to za te szczęśliwe dni. - Sapnął niczym olbrzymi pies przed płonącym kominkiem.
- Tak jest, Williamie.
- Szczęśliwy człowiek z ciebie, że masz tyle pociechy ze swej żony - zaśmiał się sir William, a jego szczęki poruszały się jakby niezgodnie ze słowami, które się z nich wydobywały. Następnie patrząc z satysfakcją na Massingera dodał: - Nie wyobrażasz sobie, jaką robisz furorę. Wy, Amerykanie, musicie jednak coś w sobie mieć - zaśmiał się. Teraz jego głos zabrzmiał agresywnie. - Okropny wstyd, że sprawa jej ojca w ogóle dostała się do wiadomości publicznej. Jakież to nieprzyjemne dla Margaret.

- Wydaje mi się, że jakoś sobie z tym radzi. - Massinger wpatrywał się w swoją szklankę.

- Naturalnie, ale ja, jako jej chrzestny ojciec, martwię się o nią. Ojciec Margaret był moim najbliższym przyjacielem, mógł zostać wielkim człowiekiem. To byłby przyszedł szef służby dyplomatycznej, mógł nawet pozbawić mnie stanowiska. - Znów zaśmiał się krótko. - Cholernie nieprzyjemna sprawa...

- O ile to prawda.

- Och, oczywiście, o ile to prawda. - Zmarszczył czoło, ściągając groźnie brwi nad nosem, jakby udzielał Massingerowi upomnienia. - Choć mimo wszystko to bardzo smutne. Wystarczy sama świadomość, że jeden z naszych ludzi... a zresztą nie jest to stosowna okazja do dyskusji, czas zatrze całą sprawę, nieprawdaż?

- A Babbington?

Brwi sir Williama ściągnęły się ponownie. Pokręcił głową, patrząc twardo na Massingera.

- Dajmy temu spokój. On jest raczej poza naszym zasięgiem, prawda?

Obserwował Massingera sponad swojej szklanki. Złoczone weneckie szkło, zbyt mało wzorzyste, jak na jego gust. Było oczywiste, że Castleford nabył ten komplet w Wenecji jeszcze przed wojną. Zostały już tylko cztery szklanki. Sir William wybrał ją niemal świadomie, aby wspierała go w sporze i stanowiła dodatkowe ostrzeżenie. W sąsiednim pokoju rozległy się dźwięki fortepianu. Sopranem śpiewano pieśń Schuberta, wolno, subtelnie, wzruszająco. To było *An der Mond* do słów Goethego.

- Musimy się umówić na lunch, koniecznie. Mój bank potrzebuje paru nowych dyrektorów. Świeżej krwi i w ogóle. Są mi niezbędni ludzie, którym mogę ufać. - Uśmiechnął się i klepnął Paula po ramieniu. Resztką aloxe-corton w szklance Massingera nie odbijała już refleksów światła. Nadal słychać było *An der Mond*. Może wykonywał ją ktoś z chóru z Covent Garden? Co za młody, słodki głos. Pieśń brzmiała niemal niezmiernie.

Rozgwar głosów w salonie umilkł z wolna, goście jeden po drugim wpadali w delikatną sieć płynącej melodii. A może po prostu chcieli posłuchać, jaki to wachlarz kuszących przekupnych propozycji roztaczał sir William?

- No i ta Komisja Królewska - kontynuował - pasuje do ciebie jak ulał. - Opróżnił szklankę i dorzucił: - Schubert. Chyba przereklamowany. O wiele za subtelny dla mnie. - Jego agresywny śmiech oddalił się wraz z nim, zanikając w głębi salonu.

Paul dopił wino i słuchał. Gdy pieśń umilkła, w pokoju rozległy się oklaski, domagano się innych utworów, między innymi arii Mozarta, których wykonania nie podjął

by się żaden z będących przy zdrowych zmysłach artystów, następnie znów Schuberta, Wolfa, wiktoriańskich ballad. Szukając swego trunku, Massinger wmieszał się w tłum gości zaproszonych przez żonę. Podszedł młody człowiek wypożyczony na ten wieczór przez Stephenów jako kelner, napełnił mu szklankę. Paul znów odszukał wzrokiem miejsce, gdzie w tej chwili śpiewaczka znakomicie naśladowała charakterystyczne kołysanie się i ruchy ramion Barbry Streisand, wykonując jej piosenkę pop *The way we were*.

Przed Paulem pojawił się rezydent KGB z ambasady radzieckiej; stanął przed nim z uśmiechem, unosząc kieliszek koniaku.

- Paweł! - nieomal z radością wykrzyknął Massinger, zaskoczony. Paweł, oficjalnie radca kulturalny ambasady ZSRR, zwykł nieźle popijać na zebraniach towarzyskich. Bywał wtedy zabawny. Niemal od chwili gdy poznał Margaret, Massinger wiedział, że Paweł jest stałym członkiem muzyczno-kulturalnego kręgu znajomych żony. Wyglądało przy tym na to, że wszyscy byli świadomi jego rzeczywistej funkcji. Ale Massinger miał podstawy do przypuszczeń, że Paweł przychodził na spotkania i przyjęcia u Margaret w celach towarzyskich, a nie wywiadowczych. Wobec swoich przełożonych usprawiedliwiał bez wątpienia wizyty tym, że salon Margaret odwiedza stale mnóstwo znanych osobistości, wpływowych i mających dostęp do wielu informacji.

- Paul, cześć, stary! - zawołał Paweł schrypniętym głosem. Był już porządnie pijany. W takim stanie nigdy nie zachowywał się agresywnie ani nie był ponury. Może tylko nieco głośniejszy, po prostu z aktywisty partyjnego wychodził Rosjanin.

Śpiewająca w sąsiednim pokoju dziewczyna godziła w niezauważalny sposób przeszłość z teraźniejszością.

- Podoba ci się, Pawle? - rzucił Massinger żartobliwie, nachylając się w stronę karafki z brandy.

- Pewnie! Wasze przyjęcia są zawsze świetne, wspaniałe! Doskonale się nadają do pracy wywiadowczej. - Wybuchnął śmiechem. Władał dobrym, kontynentalnym angielskim. Znajomość języka oraz szczupła sylwetka i drogi ubiór dodawały mu pewności. Wytworny, wesoły, pełen temperamentu. Wygląd Pawła mógł wprowadzić w błąd; Massinger podejrzewał, że pod jedwabną koszulą, pod skórą, czyha wciąż pełen ambicji funkcjonariusz partyjny. Paweł dokończył koniak i pokazał pusty kieliszek kelnerowi, który szczerze go napełnił. Znowu brawa i znowu Schubert. Pełna romanizmu, tęskna pieśń.

Teraz rozumiem, rzekł w duchu Massinger, doszedłem do tego, co opiewa ta pieśń. Uczucie grzało go niczym alkohol. Paweł ponownie wznosił ku niemu milczący toast, później ostentacyjnie powąchał koniak i westchnął z rozkoszą. Massinger zrozumiał, że bałby się to wszystko utracić.

- Podobała ci się opera?
- Podobała? Co to znaczy podobała? To wyblakłe zachodnie pojęcie, stary. Ja to po prostu przeżyłem!

- Masz szczęście.

- A ta pieśń jest jak opera, prawda? Taka nierealna. Niby romantyczny sen. - Massinger zapomniał, że dla Pawła, który równie dobrze mówił po niemiecku, francusku i angielsku, ta pieśń niosła dodatkowe treści.

- Bardziej pociąga mnie opera władzy - ciągnął Paweł. - Na przykład Wagner. Ale, ale, tylko nie donieś do Komitetu Centralnego, że mam inklinacje pronazistowskie! - ryknął śmiechem, dodając wigoru innym kółkom rozmówców, którzy przestali słuchać muzyki.

- Władza. O, tak - wyszeptał Massinger. Zobaczył, że Margaret wysuwa się z kręgu słuchaczy skupionego wokół fortepianu i daje mu znaki ręką. Uśmiechnął się i pokiwał głową. Zorientował się, że zaniedbał swe obowiązki gospodarza. Czy raczej eskorty, to chyba lepsze słowo. A niech tam...

- I upadek ze szczytów władzy - dorzucił Paweł, w chwili gdy Massinger usiłował porozumiewawczymi gestami usprawiedliwić swoje zachowanie. - Weźmy na przykład tego biednego Aubreya, twojego przyjaciela.

Massinger spojrział Pawłowi w oczy, lekko szkliste, o rozszerzonych źrenicach. Zgrabna sylwetka stawała się chwiejna pod działaniem alkoholu.

- O, tak.

- Łzy to tylko łzy - powiedział Paweł.

- Racja. - Plecy Massingera przebiegł zimny dreszcz, w mózgu poczuł bryłkę lodu podobną do kryształowych wisiorów żyrandola nad ich głowami. - A może powinno się uronić łzę, nawet za wroga?

Paweł podniósł głowę, rozłożył ręce. Koniak chlusnął na mankiet, plamiąc białą jedwabną koszulę. Mężczyzna poczerwieniał, ale po chwili roześmiał się.

- No nie! - zaprotestował gwałtownie. - Nie za niego. Tutaj nikt po nim nie płacze, więc dlaczego ja mam płakać? - Znów targnął nim krótki śmiech. - Przecież to oni sami go opuścili.

- Obawiam się, że tak. - Massinger wypowiedział te słowa szybko i wyraźnie. - Ale czy jesteś pewien, że nie powinieneś być po nim w żalobie jako po jednym z waszych ludzi?

Oczy Pawła rozjaśniły się, źrenice nabrały ostrości. Roześmiał się jeszcze raz, tym razem szczerze ubawiony.

- Słuchaj, znam wszystkie szczegóły jego aresztowania. Od mojego kolegi w Wiedniu. Mój tamtejszy odpowiednik opowiada tę kapitalną historyjkę po prostu jako anegdotę.

Twarz Pawła wokół błyszczących oczu pokryły promieniste zmarszczki uśmiechu. Massinger czuł, jak triumf emanuje z niego wraz z zapachem koniaku. Paweł kołysał szklanką we wszystkie strony, jego opowieść graniczyła z niedyskrecją. Massinger czekał w napięciu na to najważniejsze zdanie. Paweł znał dalsze losy Aubreya.

- Skosili go jak dojrzałe zboże. Mój kumpel widział jego minę, w chwili gdy go zgarnęli. Kompletnie zgłupiał! Dla biednego Aubreya musiało to być straszliwe przeżycie - dodał zjadliwie.

- Na pewno - odparł Massinger po dłuższej chwili. Po co ja to robię, zastanowił się. Przecież ja też go opuściłem.

Paweł znowu pociągnął łyk i wymruczał coś niewyraźnie. A więc on wie o wszystkim, zrozumiał Massinger. Zna całą prawdę. Ale jak to się stało, że na miejscu aresztowania był rezydent KGB? Chciałby wyciągnąć tę informację od Rosjanina, zamiast tego jednak uniósł szklankę i gestem pożegnał Pawła. Rosjanin wydał się zadowolony z siebie i wcale nie speszony szczerością swoich zwierzeń. Ta jego obojętność musiała wynikać z bezgranicznego zaufania, jakim darzył Paula. Musiał mu ufać, skoro zapragnął się tym wszystkim pochwalić przed człowiekiem, który był przyjacielem Aubreya... Ale Paweł zapewne wiedział, że on, podobnie jak inni, opuścił Aubreya w biedzie. Massinger poczuł mdłości.

Gdybym mógł z nim porozmawiać, zmusić go do mówienia, zadreślał się Massinger. Gdybym jakoś mógł to zrobić, on przecież wie, że to była kombinacja operacyjna. On wie, o co w tym wszystkim chodzi. Jak to się stało, że wiedeński rezydent KGB był obecny w momencie aresztowania?

Nagle uświadomił sobie, że wyszedł ze szklanką w rękę z salonu, przeszedł przez korytarz i zatrzymał się u drzwi sypialni. Przyjrzał się swojej szklance, swemu odbiciu w lustrze. Poczul raptem szum w głowie i postanowił na razie nie wracać do salonu. Westchnął, spojrzął na zegarek. Jakaś masochistyczna potrzeba zmusiła go do włączenia przenośnego telewizora, stojącego na małym stolczku przy łóżku. Usiadł ciężko, czując, jak jedwabna bielizna ślizga mu się po ciele. Delikatne światło prześlizgnęło się po srebrnych przyborach kosmetycznych i kryształowych tackach na biżuterię, jasnych storach i puszystym dywanie. W telewizji nadawano ostatnie wiadomości.

Paul patrzył na ekran i nie wierzył własnym oczom. Oto Aubrey na tle klatki z małpami. Wysoki, o byczej posturze typ stoi obok niego. Jest lato. Błękitne niebo. Kamera ukryta z dala od nich.

- ...film, który państwo widzą, stanowi własność Radia i Telewizji Francuskiej i ukazuje rzekomo szefa brytyjskiego wywiadu wraz z jego radzieckim kontrolerem podczas jednego z tajnych spotkań. Telewizja Francuska odmówiła ujawnienia personaliów osoby, która dostarczyła taśmę...

Massinger osłupiał. W lustrze ujrzał swoje odbicie w jakiejś idiotycznej, pozbawionej wyrazu pozie, z bladą twarzą i otwartymi ustami.

- ...Ministerstwo Spraw Zagranicznych odmówiło dziś potwierdzenia wiarygodności filmu. Poza tym nie otrzymaliśmy żadnych komentarzy. Nie jesteśmy w związku z tym w stanie potwierdzić tożsamości pokazanych osób.

To był Aubrey. Sylwetka, głowa, profil, en face - oczywiście Aubrey. A ten drugi - to Kapustin, bez wątpienia sam „Łza”. Paul szybko podszedł do telewizora i wyłączył go tak gwałtownie, że wyłącznik omal się nie rozleciał. Znow naszły go wizje: rozradowany Paweł, pewna siebie twarz skacząca mu przed oczyma. Gdy ten obraz zniknął, pojawił się sir William, potem Babbington, potem inni, wreszcie Aubrey - zmiętoszona, przybita twarz starego człowieka. A w końcu - nieruchoma maska zawodowca w niebieskiej cortinie.

Aubrey. Mieli go teraz. Taśma, film, podanie sprawy do publicznej wiadomości, napaści telewizji i prasy. Zniszczyli go. Gniew narastał w Massingerze równie silnie jak mdłości.

Przeszedł do garderoby zawalonej płaszczami, parasolami, pelerynami, futrami i czapkami. Szybkim ruchem chwycił słuchawkę, wykręcił numer Shelleya. Sygnał powtarzał się wielokrotnie. Massinger spocił się ze zniecierpliwienia i niepokoju. Oczyma wyobraźni ujrzał znow sir Williama, a później Margaret - jej twarz wyrażała to samo, co w chwili, gdy żona zostawiła go sam na sam z Babbingtonem. Całą gamę uczuć od strachu do wesołości. Paul poczuł się obezwładniony czyhającą wokół zdracą.

- Szybciej... szybciej - ...zaklinał los, jakby w obawie, że ta niespodziewana, nowa siła opuści go, umykając przez telefoniczne kable. - Szybciej... - twarz miał zwróconą w stronę drzwi. - Właściwie po co ja dzwonię?... - zadał sam sobie pytanie.

- Tak, słucham - odezwał się Shelley. Był po paru głębszych.

- Oglądał pan ostatnie wiadomości?

- Tak - rzekł Shelley głosem młodzieńczym, ale gorzkim i posępnym. - Czego pan sobie życzy?

Massinger wiedział, że balansuje nad przepaścią. Te dzisiejsze groźby i próby przekupstwa, jego wściekłość wywołana sfałszowanym z pewnością filmem, a także obraźliwe i pokrętne zwierzenia rezydenta KGB wprowadziły go w ten nastrój. Nikt jednak nie zamierzał wyjaśniać związku Aubreya z KGB. Wstyd Paula odżył na nowo, ale nawet teraz, mimo że miał już na linii Shelleya, zastanawiał się, czy nie ocalić raczej miłości do żony i nie dać się przekupić ofiarowanymi przywilejami. Tak, balansował nad przepaścią. Powodowała nim świadomość długu wdzięczności wobec Aubreya, ale ostatecznym bodźcem była straszliwa złość. Mogli go straszyć, zagrażać jego

małżeństwu, jego szczęściu z Margaret... Babbington, Guest. Groźba - łapówka. Kij - marchewka. I on już się szykował, by na to pójść, zaczynał zapominać - a przecież to wszystko kłamstwo! Paweł wiedział! Ukryty głęboko instynkt profesjonalisty, poczucie lojalności silniejsze niż zobowiązania wobec Aubreya wzięły górę. Przypomnił sobie Margaret szlochającą, ściskającą jego dłoń... Po czym rzucił w słuchawkę:

- Chciałbym jutro zobaczyć te akta.
- Cóż to za nagła zmiana nastroju? - zapytał hardo Shelley.
- Nieważne. Jutro o jedenastej. Spotkajmy się jutro przed Imperialnym Muzeum

Wojskowym, dobrze?

- Ale na pierwszą muszę mieć teczkę z powrotem.
- Będzie pan miał. Peter, niech pan przyjdzie. To bardzo ważne.
- Czy miał pan sygnał od Hyde'a?
- Nie. A pan?
- Nie.
- Porozmawiam jutro z tą kobietą jeszcze raz. Dobranoc.

Drzwi otworzyły się, kiedy odkładał słuchawkę. Odskoczył od telefonu, jakby poraził go prąd. Odruchowo udawał, że poprawia krawat przed lustrem. Gdy się odwrócił, w drzwiach stała Margaret z Pawłem.

- Paweł chciał się pożegnać - oznajmiła.

Przez uchylone drzwi wdarł się gwar przyjęcia. Jej dłoń spoczywała na ramieniu Rosjanina. Wyglądali jak para konspiratorów. Lecz to on był prawdziwym spiskowcem, prawdziwym zdrajcą.

- Dobranoc, Paweł.
- Dobranoc, przyjacielu, dobranoc i dziękuję.

Paweł zawahał się, oczekując, że gospodarz odprowadzi go do drzwi. Massinger bez chwili zastanowienia wypalił:

- Ani jednej łzy, Paweł?

Ramiona rezydenta KGB zeszytniały na moment, lecz twarz, którą ku niemu odwrócił, była uprzejma i uśmiechnięta.

- No, może jedna - powiedział z lekkim rozbawieniem. - Naprawdę muszę już iść.
- Wyciągnął rękę. - Uważaj na siebie, przyjacielu. - Zdawkowe pożegnanie było wyraźnym ostrzeżeniem. - Dobrze na siebie uważaj. Dobranoc, Margaret.

Uścisk jego dłoni był silny i serdeczny. Paweł cmoknął Margaret w policzek i oddalił się. Massinger zamknął drzwi. Gwar przyjęcia wzrastał się, Paul poczuł w głowie bolesne pulsowanie. W gwałtownym odruchu chwycił Margaret i przytulił ją mocno.

Gdy po chwili uwolniła się łagodnie z uścisku, była roześmiana, promienna.

- Przyjęcie się dla ciebie jeszcze nie skończyło - zwróciła .mu żartobliwie uwagę.
- Za dużo sobie ostatnio pozwalasz. - Wzięła go za rękę i zaprowadziła do salonu.

Boże, modlił się Paul żarliwie, nie pozwól, bym ją skrzywdził, nie pozwól, bym ją stracił. Skrzywdził lub stracił...

- Hyde?

Wydawało się, jakby to słowo zawisło gdzieś w eterze między Londynem a Wiedniem. Odległość i zakłócenia przypominały pogłos spowodowany podsłuchami. Paul Massinger mówił cicho do słuchawki telefonu w mieszkaniu Ros Woode, jakby pragnął zataić treść rozmowy i swoje posunięcia przed wścibskimi oczami i uszami.

Ros zadzwoniła do niego z rana, gdy się golił. Najbliższy aparat znajdował się w garderobie: słuchawka zdrady... Chwycił ją niezręcznie mokrą ręką, zdmuchując pianę znad ust. Po plecach przebiegł mu dreszcz strachu na myśl o tym, że w sypialni śpi Margaret. Na szczęście sygnał aparatu jej nie zbudził.

Gospodyni przekonała Hyde'a, żeby pomówił z Massingerem, i pytała, kiedy mógłby przyjść. Może o dziesiątej? Hyde był na krawędzi załamania nerwowego. Paul musiał pilnie nawiązać z nim kontakt. Pogodził się wreszcie ze swoimi lękami i koniecznością, bezustannych oszustw; dlatego zdecydował się przyjść na Earl's Court. Po drodze nie zauważył niebieskiej cortiny ani innych oznak obserwacji. Przyjęli jego kapitulację. Nie byli świadomi, że jego bunt znów odżył. Zdrada...

Rozmowa z Hyde'em, Peter Shelley i odpis akt pod kryptonimem „Łza” zdawały się elementami zasadzki czyhającej na niego w świetle jasnego poranka.

Zadzwonił telefon. Ros odebrała, kiwnęła głową i podała mu słuchawkę. Paul wziął ją jak minę-pułapkę. Gdzieś po drugiej stronie, niczym nieuniknione przeznaczenie, oczekiwał Hyde. Było pewne, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

- Hyde ? - zapytał Paul.

- Massinger? Czy telefon jest na podsłuchu?

Odruchowo spojrzął na Ros i powtórzył pytanie Hyde'a. Stojąca niczym strażnik koło sofy z rękami skrzyżowanymi na piersiach kobieta wzruszyła ramionami.

- Ja tu tylko sprzątam. On przecież o tym wie, i oni też.

Massinger pokiwał głową.

- Wydaje nam się, że nie. Jesteśmy pewni, że nie.

- Co za my? - dopytywał się Hyde z obawą w głosie. - Aha, pan i Ros, okay. Słyszałem o panu, Massinger. Dawno temu był pan w CIA. Od tamtych czasów trzymał się pan z dala od tych spraw. Pan teraz wykłada. Czyją pan trzyma stronę?

Massinger uprzytomnił sobie, że Hyde odsłania swoje uczucia. Rozumiał je doskonale. Sam też spodziewał się zdemaskowania, ujęcia, a nawet śmierci. Dlaczego? Co

doprowadziło Hyde'a do takiego stanu? Czemu lęka się o własne życie? Ale ten cholerny, stary szpiegowski instynkt szybko pomógł Paulowi znaleźć odpowiedź. Po prostu Hyde był bezsilny, nie mógł swych emocji powściągnąć ani zneutralizować.

- Staram się pomóc Aubreyowi. Dlaczego pan się tak boi o siebie, Hyde? Kto chce pana zabić?

Ros czknęła, nie zdążywszy przysłonić ust dużą ciężką dłonią. Nagły chłód przyprowadził spowite obszernym kaftanem ciało o dreszcz.

- A co, nie wie pan? - zareplikował Hyde.

Paul wyczuł, że tamten już podjął decyzję. Skłoniła go do niej własna desperacja.

- Nie, nie wiem.

- No, a jak tam stary?

- Aubrey? Obawiam się, że brak mu nadziei - odparł ostrożnie.

- A my, koleś, jesteśmy może w lepszej sytuacji?

- Hyde, dlaczego pan nie chce przyjechać? Czy to... niemożliwe?

Hyde milczał chwilę. Poranek sączył słabe słoneczne światło na zielony puszysty dywan w saloniku Ros. Promienie słońca musnęły śpiącą kocicę. Massinger zrozumiał, że Ros zabrała ją do swojego mieszkania także po to, aby nie musieć się nikomu tłumaczyć ze swoich związków z Hyde'em.

- Uciekam przed naszymi ludźmi. Komiczne, co?

- Co pan ma na myśli?

- Mam na myśli... znowę między KGB a SIS. Słuchaj, Massinger, ja już jestem trup, rozumiesz? - Głos urwał się niemal w pół słowa. Massinger wyczuł, że Australijczyk jest kompletnie wyczerpany, stoi przed ścianą, której nie ma siły ani nadziei sforsować. Goni resztkami sił.

- Nie rozumiem...

- Gówno tam nie rozumiesz! - wrzasnął Hyde; tu, w mieszkaniu, czuło się niemal fizyczną obecność przerażonego i zdesperowanego człowieka. - Czego pan, kurna, nie rozumiesz? Wiedeńska placówka próbowała mnie wykończyć, załatwić, utłuc! - Słychać było, jak Hyde przełknął ślinę, bo mu zaschło w gardle, po czym ciągnął dalej: - Chciałem się zgłosić... wiedziałem, że staremu potrzebna jest pomoc... zatelefonowałem do placówki, podałem kod identyfikacyjny. - Mówił z taką determinacją, że zdało się, iż nic nie może go powstrzymać. Był niczym rozbitek na tonącej łodzi. Stracił już kontrolę nad sytuacją i samym sobą, kiedy błysnęła iskierka nadziei: wizję ratunku przybliżały międzynarodowe łącza telefoniczne. - Dziesięć minut, potem pojawiło się KGB uzbrojone po zęby. Chcieli mnie wykończyć. Miałem zostać uciszony na zawsze, bo widziałem Kapustina podczas akcji przeciwko staremu...

Hyde niczym wytrawny dramaturg uznał, że ujawnił wystarczająco dużo tajemnic. Nie dokończył zdania. Massinger słyszał jego chrapliwy oddech. Informacje śmigły mu pod czaszką niczym iskry z podsycanego ogniska: zmowa... Kapustin... placówka wiedeńska... zmowa...

- Hyde - zdołał wykrztusić wreszcie - nie mogę w to uwierzyć.

- To niech się pan postara.

- Pan musi... musi pan...

- Przeżyć, co? Bardzo sobie tego życzę. No, a jak pan mi pomoże osiągnąć ten ambitny cel?

- A papiery? - Dokumenty trzymała w potężnej dłoni Ros, przyciskając je do piersi. Wyglądało na to, że odda je Massingerowi. Kotka uniosła na chwilę głowę i zasnęła z powrotem. Zwierzęciu nie przeszkadzała atmosfera napięcia panująca w pokoju.

- Miasto jest zablokowane na amen. Jeżeli mam się stąd wydostać, muszę mieć dokumenty. Daj mi pan Ros, to powiem jej, gdzie je wysłać.

Zmowa... Kapustin... wiedeńska placówka... KGB... SIS... zmowa.

- Przywiozę je panu osobiście - rzucił nagle Massinger. - Musimy pogadać. - Sam się dziwił, co wyczynia jego chłodny krytyczny umysł.

- Pan sam przyjedzie? - Upewnił się podejrzliwie Hyde. W jego głosie słychać jednak było wyraźnie także ulgę.

- Przyjadę. Przywiozę je. Musimy pogadać.

- Kiedy?

- Jutro, pojutrze. Muszę być ostrożny.

- Siedzą panu na karku? - atakował Hyde.

- Nie. Odradzono mi obronę Aubreya. To zresztą pana nie dotyczy, nie kojarzą mnie z panem. - Obraz niebieskiej cortiny na rogu Philbeach Gardens żywo stanął mu przed oczyma. - Niech pan mi da trochę czasu na zatarcie śladów. Tak czy owak, muszę się jeszcze zobaczyć z Shelleyem.

- Nie!

- Niech się pan uspokoi, nic o panu nie powiem. To dotyczy Aubreya. Został wrobiony...

- Jak oni to zrobili? No i, do diabła, kto?

- KGB. Więcej właściwie nie wiem. Ale... Shelley ma dla mnie dodatkowe informacje.

- Ja też coś mam. Na rany Boga, niech pan uważa. Powiedziałem: zmowa, i dokładnie to mam na myśli. - Hyde powoli przychodził do siebie. Był jak pacjent, który

krwawi i słabnie, ale odzyskuje jasność umysłu i równowagę ducha. Jego wybuch spowodował, że uciekła z niego para, ciśnienie wyrównywało się już, czuł, że znajdzie w sobie dość woli przetrwania, aby doczekać się przyjazdu Massingera do Wiednia. - Strzeż się pan własnego cienia. Ktoś chce, po pierwsze, załatwić mnie, po drugie: wyłączyć Aubreya z gry. To może być każdy. To jest ktoś, kogo stać na wydanie rozkazu wykończenia własnych ludzi i kto wierzy, że jego polecenie zostanie wykonane. Ktoś, kto tu, w Wiedniu, zorganizował łączność w obie strony między SIS i KGB. Rozumie pan?

- Rozumiem implikacje - wyszeptał Paul. Niebieska cortina... Aubrey w pułapce... niebieska cortina... zmowa. To słowo raziło jak pocisk. W lewej skroni odezwało się bolesne łomotanie. Pomasażował to miejsce. - Rozumiem - powtórzył.

- Pan jest moją ostatnią szansą - powiedział Hyde spokojnie.

- Wiem. Potrzebuję trochę czasu. Niech pan... niech pan zadzwoni do swojej gospodyni jutro o tej samej porze. - Spojrzał pytająco na Ros, a ta kiwnęła głową z przyzwoleniem. - O tej samej porze - powtórzył. - Będzie miała dla pana wiadomość. I niech pan nie szuka guza do tego czasu.

- Dobra jest, koleś. - Hyde zamilkł na chwilę. Ostatnie słowa słyszeć było bardzo niewyraźnie, dochodziły jakby z innego świata, zdawało się, że połączenie może zostać przerwane w każdej chwili. - W porządku - usłyszał Paul jego głos. - Wierzę panu. Wprawdzie wszyscy uważali pana za zbyt delikatnego do naszej roboty, ale to pan był najbliższym kumplem Aubreya. No dobra - roześmiał się z własnego niezbyt subtelnego żartu - ostatecznie w każdej chwili mogę pana załatwić, jak już pan tu będzie, no nie?

- Może pan. Jeśli nie spełnię pańskich oczekiwań...

Połączenie zostało przerwane, w słuchawce zapadła cisza. Hyde raptem znikł, tak jakby nigdy nie było tej rozmowy. Jakby ktoś go schwytał.

Massinger ostrożnie odłożył słuchawkę. Ros patrzyła na niego surowo, ale wyraz jej twarzy wskazywał, że kobieta się boi.

- Postaram się to załatwić. Najlepiej, jak tylko potrafię - uspokoił ją. - Tymczasem nic pani nie wie. Żadnych telefonów od Hyde'a nie było, nie spodziewa się pani żadnych wieści. Jako właścicielka mieszkania jest pani na niego tak wściekła, że chyba wynajmie je pani komuś innemu. Jasne?

- Okay - zgodziła się Ros niepewnie.

- W porządku, muszę już iść - spojrział szybko na zegarek.

Dziesiąta dwadzieścia. Czeka go spotkanie z Shelleyem, musi się pośpieszyć. Chłodne, słabe światło dnia ślizgało się po dywanie, po kocim futerku. Massinger wzdrygnął się jak na widok złego ducha.

- I co pan teraz zrobi? - zapytał Massinger.
- Ukryję samochód i będę się miał na baczności. - Strach Shelleya zdradzał jego chrapliwy oddech.

- No więc zgubił pan ogon czy nie?

- Zgubiłem na pewno jeden wóz, kiedy się schowałem w składzie węgla. Ale tylko jeden. Nie jestem Hyde'em, nie jestem terenowym agentem operacyjnym. Nie mogę w pełni ufać swojemu rozpoznaniu. Pan zresztą też nie powinien.

- W porządku. Aby zrobić z tego kserokopię - przeniósł wzrok na skórzaną aktówkę solidnie owiniętą w papier, którą podał mu młody człowiek - potrzebne będzie przynajmniej pół godziny.

Shelley wbił wzrok w zegarek, gorączkowo skubiąc rękaw ciemnego płaszcza. Gdy spojrzął znów przed siebie, jego twarz wydała się Massingerowi blejsza i mizerniejsza niż przed chwilą.

- Ta teczka musi być z powrotem w Century House na pierwszą - oznajmił niemal błagalnie. - Zaraz po lunchu mamy naradę, a po jej zakończeniu zabiorą nam wszystkie kopie.

Widać było, że stara się zagłuszyć własne obawy i rozterki.

- Dobrze. Pośpiesz się - odparł Paul sztywno. Otworzył samochód i wygramolił się z głębokiego fotela tak sprawnie, jak tylko mógł. Zatrzasnął drzwi BMW, nie oglądając się na Shelleya.

Shelley patrzył za Massingerem, kiedy ten wspinał się po stopniach portyku Imperialnego Muzeum Wojskowego. Wydawało się, że potężne sklepienie zaraz runie i przywali z lekka kulejącą postać. Zrobiło się szaro, nadsięgnęły niskie chmury. Sylwetkę Paula przyćmiły dwa potężne 380-milimetrowe działa, strzegące wejście. Dom wariatów, pomyślał Shelley. Mieścił się tu bowiem niegdyś królewski szpital dla obłąkanych. To chyba dobrze wybrane miejsce na spotkanie, stwierdził, gdy minął rzekę, a później wyblakłe od deszczu i mgieł betonowe gmaszyska na South Bank. Gdy tylko zdążył o tym pomyśleć, w lusterku mignął mu tropiący go czerwony vauxhall. Ten wóz widział już przedtem, zanim urwał się poprzedniej obserwacji. Prawdziwy dom wariatów. A on sam wplątał się na ochotnika w tę obłąkańczą, groźną sytuację.

Tymczasem Massinger przekroczył bramę muzeum, kierując się do czytelnicy, gdzie zamierzał znaleźć kserokopiarkę. Jako historyk czuł się tutaj swojsko i potrafił wtopić się w tłum. Pasował tu jak ulał, anonimowy, niewidoczny za tymi drzwiami, utykający starszy pan... Nie był już zawodowym agentem wywiadu.

Shelley ze złością dodał gazu. Odczekał chwilę, po czym znów wcisnął nogą pedał, aż drzenie rozgrzanego silnika przeszło go na wylot. Rozmyślnie przyspieszał i zwalniał tempo jazdy. Zmusił się, aby zjechać z powrotem na Brook Drive, ustawił się w

dobrze widocznym miejscu, tak aby ci, co go śledzą, łatwo spostrzegli jego samochód na parkingu. Wmawiał sobie, że też chce ich zobaczyć.

Zaparkował i odszedł od samochodu, kierując się w stronę parku Geraldine Mary Harmsworth. Wracał w stronę muzeum. Rozłożył „Timesa” na zimnej, wilgotnej ławce i przysiadł na gazecie. Chłód przenikał przez płaszcz i spodnie szarego garnituru. Shelley poprawił się, przyjmując wygodniejszą pozycję. Przez parkowe ogrodzenie doskonale widział stąd swoje BMW. Skupił myśli na Paulu Massingerze.

Czy on też się tak boi? Zależniony, stary i słaby niczym Aubrey? On, ze swoją wysoką pozycją, statusem społecznym osiągniętym w rezultacie mariażu i układów? Przecież mógł utracić i ów potężny, wygodny patronat, i przyjaciół - ba, nawet własną tożsamość. Nawet żonę, wzięwszy pod uwagę, że Aubreyowi zarzuca się zdradę jej ojca. W końcu on, Shelley, jeżeli będzie się dalej pchał w tę sprawę, może stracić równie wiele jak Massinger. Jedynie z wyjątkiem żony.

Zapragnął się wycofać. Ta myśl zbiegła się z obrazem nadjeżdżającego czerwonego vauxhalla. Nie zgubił go, niestety... Targnęła nim obawa, czy Massingera nie opuści chwilowy rozsądek, czy nie zacznie działać z odbezpieczonym granatem w ręku... Massinger bywał chwiejny. Czerwony vauxhall minął bramę. Nie, pomyłka, to był przypadkowy samochód. Duży obłok pary wydmuchnięty gwałtownie z płuc rozwiął się w mroźnym powietrzu. A może Massinger tylko dreptał w miejscu, pozorując wysiłki, aby uśmierzyć poczucie winy, w imię przyjaźni. Czyż on nie robił tego samego? Trochę się wysilić, poprawić sobie samopoczucie, a potem zostawić Aubreya, jeśli sprawy posuną się za daleko. Poczul niesmak. Kopnięty kamyk omal nie trafił gołębia, który odfrunął kilka jardów i znów zaczął grzebać w piachu.

Czerwony vauxhall cofał się pomału, wreszcie zatrzymał się przy parkowej bramie. Shelley podciągnął długie nogi, przygarbił się za krzakiem rosnącym przy ławeczce. Po raz pierwszy zauważył ten wóz, jadąc przez most Waterloo. Słuchał wtedy kasety z muzyką Vivaldiego, natychmiast stała się groźna, rezonując o ściany karoserii. Starał się zgubić tamtego najpierw na wąskich tarasowatych i brzydkich Lambeth i Southward Później uznał, że mu się udało, kiedy wjechał do składu węgla i kluczył pomiędzy czarnymi ciężarówkami. Teraz zrozumiał, że pilnowały go dwa samochody, wyposażone w radiostacje.

Obserwował vauxhalla. Mężczyzna w długim płaszczu wysiadł, przeszedł przez ulicę, aby sprawdzić jego BMW. Niemal natychmiast odwrócił się i dał znak kierowcy. Podszedł do swego auta, wskoczył do kabiny, a samochód ruszył gwałtownie, pozostawiając smugę dymu rozplywającą się powoli w spokojnym powietrzu. Shelley

wsluchiwał się w odgłos pracy silnika. Samochód zawrócił, zwolnił, silnik znów zabrzmiał głośniejsz, wreszcie cisza. Zaparkowali. A więc poczekają. Kim oni są? Zadrzał.

Akta muszą wrócić do Century House. To dla niego absolutnie najważniejsze. JIC pod przewodnictwem sir Williama miało obradować jutro, ale zebranie przełożono na dzisiejsze popołudnie. Shelley nie miał wyjścia.

Kim są ludzie z czerwonego samochodu? Służby kontrwywiadu, MI5?
SIS? KGB?

Nie wiedział. Czuł tylko gorąco rozlewające się po całym ciele pod marynarką i płaszczem. Czy dostanie swoją aktówkę z powrotem, odniesie do biura i koniec? Nie będzie już czerwonych vauxhallów... będzie czysty. Będzie czysty. Dwunasta dwadzieścia. Szybciej, Massinger, szybciej...

Ta sprawa mogła go zniszczyć. Niczym rysy i pęknięcia pod grubą warstwą tapety, szczeliny, które potrafią rozsądzić fundamenty i narobić niemało kłopotu...

Niebieska cortina?! Niebieska cortina, o której mówił Massinger, jego ogon?

Cortina zatrzymała się obok BMW. Po chwili ruszyła do przodu i zniknęła. Shelley zadygotał gwałtownie i wstał. Przeciągnął się, by rozprostować ramiona i nogi. Wpałtrzył się w fasadę Muzeum Wojskowego nieomal z tęsknotą. Na schodach nie było nikogo. Szurnął podszwą o żwir, ręce wcisnął do kieszeni. Teraz go mieli. Zapewne nie znali powodu, dla którego spotkał się z Massingerem. Być może nawet nie jechali za Amerykaninem, tylko za nim. To on był podejrzany i śledzony. Oddychał głęboko, a para tworzyła mglisty obłok nad jego głową. Oddech miał ciężki. Nie rozpoznał twarzy żadnej z osób siedzących w samochodach, co mogłoby świadczyć, że to raczej MI5, a nie KGB. Ludzie Babbingtona. Znaleźli go.

Dochodząc do szczytu schodów, zauważył w drzwiach wychodzącego Massingera. Powiódł wzrokiem wzdłuż ogrodzenia i bez trudu dostrzegł czerwonego vauxhalla. Po niebieskiej cortinie nie było śladu.

- Gotowe? - krzyknął Shelley.
- O Boże, spokojnie, gotowe.

Shelley porwał skórzaną teczkę z aktami. Każdy z umieszczonych w niej dokumentów obłożony był w polietylenową okładkę.

- Byłem ostrożny, Peter. Nikt nie stwierdzi śladów kopiowania - uśmiechnął się Massinger, ale pod wpływem innych myśli szybko spoważniał. - Rzuciłem oczywiście okiem na zawartość, chyba się tego domyśliłeś. To jest coś niewiarygodnego. Nawet po rozmowach z Aubreyem nie byłem na to przygotowany. Udokumentowano ponad

czterdzieści lat szpiegowskiej działalności Aubreya. Zaczął w 1946 roku, potem zaprzestali z nim kontaktów, aby podjąć ponownie współpracę dwa lata temu. Są tu jego meldunki, dane dotyczące awansów, perspektyw i planów rozwiązania Secret Service, przekształcenia jej w... mój Boże, jakież to... przekonywające!

- Zwłaszcza ostatnie dwa lata.
- Ale przecież Hyde był z nim, przez większość tego czasu pracowali razem.
- Aubrey często się urywał. Nie nagrywał treści rozmów w czasie spotkań, nie sporządzał pełnej listy kontaktów. Kto będzie w stanie podważyć wiarygodność zarzutów?

Twarz Shelleya zastygła w wyrazie kamiennego bezruchu. Wyglądał teraz niepewnie, był wystraszony i uległy.

- Co się działo? - zapytał Massinger, wykonując rękawiczką znamienne gesty w stronę Brook Drive.

- Vauxhall siedzi mi na karku - wyznał markotnie Shelley, by po chwili wybuchnąć: - Chryste, mam cholernego stracha, babrząc się w tym wszystkim!

- No to co robimy?
- Jak to co? Pójdziemy pieszo. Zabiorę samochód później. Przy Lambeth jest najbliższa stacja metra. To akurat w przeciwnym kierunku. Idziemy!

- Dobrze. Kto nas śledzi?
- Nie mam pojęcia.
- A jak pan przypuszcza?
- Myślę, że to ci od Babbingtona.
- Do diabła. Jest pan pewien, że nie są z KGB?
- Pewny nie mogę być ani jednego, ani drugiego. Po prostu zachowywali się tak jak nasza służba. - Głos Shelleya był cichszy niż chrzęst żwiru pod nogami.

- Mnóstwo myślałem o tej sprawie wczoraj w nocy - zwierzał się półgłosem Massinger.

Minęli bramę parku i ruszyli w stronę Kennington Road. Paulowi przypomniał się cichy, spokojny sen Margaret. Świadomość ta była żywa jak fizyczny ból w ramieniu. Bolesna pamięć. Odwrócił głowę, ale nie jechał za nimi żaden czerwony samochód.

- No i co? - zapytał Shelley niechętnie, wsłuchany w ciężki oddech i postukiwanie laski Massingera. Obydwa odgłosy działały na niego przygnębiająco.

- Wczoraj rozmawiałem z Pawłem Kozłowem, rezydentem KGB.
- Gdzie?
- U nas, na spotkaniu towarzyskim.
- Czego pan się dowiedział?

Mijali osiemnastowieczny dom z wielkimi drzwiami i żeliwnymi balkonami wzdłuż pierwszego i drugiego piętra. Niedaleko była pralnia i hinduska restauracja. Shelley uświadomił sobie, że zapach kuchni *tandoori* rozprasza jego myśli.

- Coś mu się wymknęło. Był pijany. To u niego normalne. Wiedział dokładnie, o co poszło. Wszystko było zaplanowane. Wiedział nawet, co wydarzyło się w Wiedniu. Ubawiło go to. Jego tamtejszy odpowiednik opowiedział mu dokładnie cały przebieg aresztowania Aubreya.

- Cóż możemy zrobić? - Shelley sam się zdziwił swoim pytaniem.

Massinger zatrzymał się i obaj mężczyźni zwrócili się do siebie twarzami. Shelley zrozumiał, że tamten ocenia wagę tych słów, poczuł wstyd i zmieszanie. Po co z tym wyskoczył? Dlaczego nie mógł po prostu odejść? Jedyne, co teraz naprawdę musiał, to odnieść teczkę z dokumentami.

- Czy pan rzeczywiście myśli, że nic nie możemy zrobić? - zaczął wreszcie Massinger.'

Obok nich pochylony w służalczej postawie Sikh w turbanie zamiatał ulicę. Wielki sklepowy wózek pchany przez potężne babsko stuknął Shelleya boleśnie w kostkę. Za plecami Massingera, na parterze eleganckiego ongiś domu, mieścił się salon samochodowy. Nowoczesność zepchnęła wyższe piętra w mrok przeszłości. Jedyne agresywny plakat wyborczy Partii Pracy w jednym z okien zdawał się obwieszczać wielkie zmiany, zapewne również w tym domu.

- Tak, to miałem na myśli - przyznał Shelley z trudem. Czuł wewnętrzne opory, ale nie mógł odpowiedzieć inaczej.

- Jest pan porządnym człowiekiem.

- No dobrze, ale co właściwie możemy zrobić? - powtórzył Shelley, kiedy ruszyli w dalszą drogę.

Massinger poślizgnął się na oblodzonym chodniku i Shelley musiał go podtrzymać. Ogarnęły go złe przeczucia.

- Nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę, że właściwie nie mamy czasu - stwierdził Paul. - Jak na razie, obaj ciągniemy za sobą obserwatorów; jeżeli to MI5, to nasz czas się kończy. Jeżeli zaś Paweł wypuścił na nas swoje psy, to czasu mamy jeszcze mniej. Paweł nie będzie się wahał przed...

- Wiem - warknął Shelley. - Naprawdę nie musimy tego wypisywać na ścianach. Więc co? Czy mamy jakieś szanse?

Dotarli do wejścia na stację metra. Massinger przystanął, spojrzął w stronę Westminster Bridge Road. Po drugiej stronie przejścia widniał wymalowany wapnem slogan rasistów. Obok, na plakacie, kowboj palił swoje ulubione papierosy, a trzymana przez

niego w rękę paczka przesłaniała ogrom kalifornijskiej Monument Valley. Massinger ujrzał w wyobraźni Johna Wayne'a leżącego na dachu stajni na Dzikim Zachodzie, usłyszał hałasujące dzieciaki, podniecone hollywoodzkim obrazem. Swoją młodość.

- Zdaję sobie sprawę, że Paweł jest zbyt dobrze strzeżony i ma się na baczności - rzekł tak cicho, że Shelley musiał pochylić ku niemu głowę. - Gdyby cokolwiek mu się przytrafiło, byłby smród, że nie daj Boże. Ale my nie mamy czasu! Jest nas teraz trzech, z czego jeden uwięziony w Wiedniu, bez nadziei na ucieczkę. Nasz agent... Nasz agent terenowy nie może się do nas dostać. A więc ja muszę pojechać do niego. Co potem?

- Ze względu na to, czego już dokonaliśmy, ktoś zapewne będzie chciał nas powstrzymać. Jeśli zrobimy szybki, stanowczy ruch, mamy prawdopodobnie szansę zwyciężyć. Jeśli będziemy działali powoli - przegramy. Wszyscy.

- Jak dotąd, rozumiem. Tylko właściwie co...

- Trzymaj się pan ze mną, Peter. Potrzebny nam jest Hyde, a to oznacza, że my musimy dostać się do niego. Do Wiednia. Niech pan słucha. Potrzebuję wszystkich danych na temat rezydenta KGB w Wiedniu, które znajdują się w archiwum. Na temat rezydenta i starszych oficerów operacyjnych.

- Po co?

- Czy może pan to załatwić? - Oczy Massingera płonęły niecierpliwością.

- Ale jeszcze raz pytam: po co?

- Może w ten sposób zmusimy go do mówienia, może uzyskamy jakiś dowód.

- Rezydent. W Wiedniu. Szaleństwo. - Gniew Shelleya wywołany był strachem. - To absolutne szaleństwo!

- To szybka akcja, a błyskawiczne działanie jest naszą jedyną szansą.

- To nie żadna akcja, to obłąd.

- Nikt takiej operacji nie przewiduje. Będzie całkowitym zaskoczeniem, nie tracimy więc czasu. Niech pan wyszuka wszystkie informacje o aktualnym rezydencie. Musi miewać chwile, gdy jest całkowicie sam, bez ochrony. Musi być jakaś okazja do rozmowy z nim. - Massingerowi oczy się śmiały. Shelley załamał się. Kompletny desperat, nieświadom niczego szaleniec wpadł na pomysł jak ze złego snu; może się zaraz obudzi i zrozumie, że bredzi?

- To niemożliwe - rzekł Shelley stanowczo.

- O rany, człowieku, spróbuj chociaż!

- No, a ten pana starszy oficer KGB... Czy pan sobie wyobraża, że będzie siedział w fotelu i odpowiadał uprzejmie na wszystkie pytania?

- Raczej nie. Właśnie dlatego potrzebny nam będzie pentathol i człowiek z igłą.
- Co takiego???
- Peter, pan kontroluje Wydział Europy Wschodniej. Na pewno ma pan kogoś na kontynencie, komu pan ufa i kto nadawałby się do takiej roboty. Musi pan mieć kogoś od zastrzyków.

Shelley osłupiał. Doznał uczucia, jakby życie z niego uciekło. Porażenie głównych organów... Massinger najwyraźniej szykował się do zepchnięcia go w otchłań.

- Nie mogę zrobić tego, o co pan prosi - wykrztusił. - Za duże ryzyko. Wszystko to jest szyte zbyt grubymi nićmi...

- Boże, człowieku, czy zdajesz sobie sprawę, że jeżeli sprawy zajdą za daleko, możesz pożegnać się ze swoim bezcennym stanowiskiem? - natarł Massinger. Zęby miał zaciśnięte ze złości. Był władczy i wściekły. - Doszło do zмовy pomiędzy komórkami pańskiej służby a KGB. Świadczy o tym wszystko, co wiemy, oraz przypadek Hyde'a. Pana zadaniem jest ustalenie, kto i dlaczego to robi. Musi pan na wszelką cenę powstrzymać ich działanie. Trzeba ujawnić prawdę, Peter. Musimy ustalić, co kryje się za tą straszną współpracą i jak daleko ona sięga. Kto za tym stoi, na miłość boską! To jest właśnie istota pańskiego zadania.

Shelley słuchał odwrócony bokiem do Paula, uderzając rękami o biodra.

- Jakże chciałbym o tym wszystkim nie wiedzieć! - wyznał cicho.
- To niemożliwe. Na tym właśnie polega nasz zawód. Jego istota.
- Wiem, to zawsze stoi gdzieś za tobą. Służba. Bóg. Królowa. Ojczyzna. Wiem, że nie ma wyjścia, wiem doskonale - ironizował Shelley.
- Niech pan już lepiej idzie z tą teczką - delikatnie zwrócił mu uwagę Massinger, spojrzawszy na zegarek. - Czy informacje, o które prosiłem, mógłby pan uzyskać jeszcze dzisiaj?
- Jeszcze dzisiaj?
- Hyde jest w bezustannym niebezpieczeństwie. Niestety, to pańscy ludzie z wieżeńskiej placówki rzucili go wilkom na pożarcie. On ucieka i cały czas się boi. Ma jeszcze mniej czasu niż my.

Shelley kiwał głową w takt słów Massingera. Wreszcie oderwał wzrok od własnych stóp na chodniku.

- Postaram się. Zadzwoń wieczorem? - Obietnica przerodziła się w pytanie. Wpatrywał się uważnie w Massingera. Amerykanin wbił wzrok w aktówkę pod pachą Shelleya.

- Tak, bardzo proszę. Muszę... musimy ciągnąć to dalej, cokolwiek się stanie.

- Tak, oczywiście. Pojadę już - rzekł Shelley.

Odwrocił się gwałtownie i zniknął w wejściu do metra. Paul pozostał sam. Wciąż patrzył na kowboja z plakatu, wypuszczającego dym ze swoich ulubionych papierosów.

- Więc nie jest pan pewien, że to był Massinger?

- Nie, sir, nie jestem pewien.

- Ale co do Shelleya - tak?

- Tak jest, sir.

- Zgubił pan ich?

- Niestety tak, sir. Po prostu nie wrócili do samochodu.

- Gdzie są w tej chwili?

- Massinger w domu. Shelley w biurze, w Century House. Wrócił do biura krótko po pierwszej.

- Jaki był cel spotkania? Nie mogę zrozumieć, po co poszli do Muzeum Wojskowego.

- Niestety, nie potrafię odpowiedzieć.

- Jaki był cel spotkania?

- Niestety, sir, nadal tego nie wiemy.

- Trudno, nie szkodzi. Za mało danych do skonstruowania jakiegokolwiek hipotezy. Starzy znajomi chodzą na spacer, kurczaki grzebią w piachu... Tak... Nasilić obserwację Shelleya. Massingera zostawić, chyba nie ma zdrowia do czegoś takiego. Okłapłby zbyt szybko.

- Zrozumiałem.

- Na razie kontynuować obserwację obydwóch tak długo, dopóki nie będziemy wiedzieli, o co im chodzi. Chyba że o nic.

- Rozkaz!

Hyde zrozumiał, że oto przebrnął przez etap strachu i dręczącego poczucia osamotnienia. Ustąpiły niczym nagle, dokuczliwe pożądanie. Teraz opanowany był wyłącznie żądzą czynu. Najsilniejszym uczuciem, jakie znał. Kiedykolwiek znalazł się w tym stanie ducha, wiedział, że zakończył pewien okres swego życia lub zaczyna nowy.

Porywisty wiatr siekł deszczem ulicę. W przednią szybę mikrobusu-volkswagena oślepiająco świeciły reflektory nadjeżdżających z przeciwka pojazdów, a czerwone odbłaski światła pozycyjnych pluskały w kałuże jak rozlana farba. Hyde wynajął mikrobus w małym garażu na tyłach ulicy wraz z poplamionym szarym kombinezonem, który właśnie miał na sobie. Dochodziła szósta wieczorem. Przy Opernring mieściła się

siedziba SIS. Hyde czekał, aż Wilkes opuści biuro. Zaparkował mikrobus pod drzewami, równoległe do torów tramwajowych, około trzydziestu jardów od Wejścia do budynku. Wilkes jeszcze nie wyszedł. Hyde'a ogarnęło uczucie zniecierpliwienia. Lubił ten nastrój, bo był sygnałem zbliżającego się działania. Bębnił palcami w brudną kierownicę.

Wilkes powie mu prawdę. Wilkes. To on nasłał na niego KGB do kawiarni przy katedrze. Zdecydowanych na wszystko facetów w grubych płaszczach przeciwdeszczowych. Wilkes...

W drzwiach ukazał się Wilkes. Postawił kołnierz, rozejrzał się w obie strony i przeszedł przez chodnik, idąc w stronę swojego samochodu. Hyde uruchomił silnik volkswagena; gardło i pierś dławiała mu zawziętość. A więc zaczynamy - łomotało w głowie.

Wilkes ruszył swoim audi. Hyde przepuścił trzy samochody i włączył się do ruchu. Ciekawe, gdzie tamten jedzie. Do domu, na drinka, a może jest umówiony? Nieważne. W końcu będzie musiał znaleźć się sam, a wtedy...

Hyde z trudem stłumił nagły wybuch gniewu; dopiero śledząc Wilkesa uświadomił sobie, jak bardzo pragnie go dostać w swoje ręce. Zmusić do mówienia. Dość już ukrywania się, niebezpieczeństw, za długo to trwało. Teraz Wilkes zapłaci mu za lęk, strach o własną głowę i stracony czas.

Wilkes skręcił z Opernring w Mariahilferstrasse. Jechał za sypiącym niebieskimi iskrami tramwajem. Na moment zamajaczyła sylwetka Hofburga, za chwilę mignął elegancki masyw Kunsthistorischesmuseum. Audi? Jest. Za nim mercedes, potem mały citroen, potem on. W obawie przed koniecznością zatrzymania się na czerwonych światłach Hyde rozważał, czyby się nie zbliżyć do śledzonego samochodu. Nie, nie warto. Świateł jest zbyt wiele, i nawet jak utknie na jednych, to Wilkes będzie musiał stanąć przed innymi - nie ucieknie. Jest tam, oddzielony od niego tylko ścianą deszczu.

Krajobraz miasta począł się zmieniać. Sklepowe reklamy zapalały się i gasły, rzucając cienie na stare kamienice. Boczne ulice były coraz węższe, świateł było mniej. Wilkes nie przyśpieszał i nie zjeżdżał z głównej ulicy. Był nieświadom zagrożenia.

Citroen skręcił i Hyde podjechał bliżej, ale mercedes niebawem też gdzieś zniknął, więc znów zwolnił, robiąc lukę, w którą wjechał natychmiast jakiś renault. Przez porysowaną, zachlapaną szybę mikrobusu zobaczył czarną sylwetkę West-Bahnhof. Audi, a za nim Hyde skręcili w szeroką, brukowaną kamieniami ulicę.

Ku zaskoczeniu Hyde'a audi zwolniło. Minął je z nogą przygotowaną do naciśnięcia pedału gazu lub hamulca. Nie spojrzął w stronę Wilkesa, ale w bocznym lusterku zauważył, że tamten się zatrzymał. Światła audi zgasły, a samochód stał się ciemną bryłą stojącą obok chodnika. Hyde przejechał jeszcze może pięćdziesiąt jardów i zatrzymał

się na wprost kiosku z tytoniem i gazetami, wtopionego w fasadę typowego budynku mieszkalnego. Ponownie spojrzął w lusterko. Zrobiło się cicho, nikt nie przejeżdżał. Wtedy usłyszał, że Wilkes zatrzaskuje drzwi. Opuścił boczną szybę i wystawił głowę; zobaczył, że Wilkes przecina ulicę, kierując się w stronę wysokiej żelaznej bramy. Jedna połowa bramy uchyliła się i Wilkes zniknął.

Hyde wyskoczył z auta i przebiegł na drugą stronę ulicy, zanim ruszyła fala pojazdów. Przeniknęło go uczucie dziecięcego rozczarowania, że został wykiwany. Reguły gry były teraz odwrócone. Wilkes pogrążył się w swym tajemnym schronieniu, odrzucając rolę tropionej ofiary. Podmuchy wiatru bluzgały deszczem w twarz Hyde'a. Sięgnął dłonią pod pachę i wymacał rękojeść swojego hecklera-kocha. Dodało mu to otuchy.

Misterny napis z kutych żelaznych liter umocowanych nad bramą głosił: Altes Fleischmarkt. W panujących wokoło ciemnościach Hyde zobaczył przez bramę brukowaną przestrzeń okoloną niszczącymi, martwymi budami i straganami.

Chwył jedną ręką za uchwyt zimnej żelaznej bramy, a drugą odszukał ukryty w kieszeni kombinezonu pistolet. Nadśluchiwał, ale nic nie usłyszał. Brama nie była zamknięta. Zachrobotało popchnięte przez niego skrzydło odrzwi. Zostawił je uchylone.

Targ Mięsy. Stary Fleischmarkt. Dlaczego tu? Co tutaj robi Wilkes?

Pod nogami czuł wyboisty bruk pełen kałuż, zdradliwie śliski. Przystanął w poszukiwaniu światła lub innego znaku życia. Nic.

Lewą ręką wyczuł w kieszeni obły kształt latarki. Ruszył po mokrym bruku. Targ Mięsy. Opustoszały. Wilkes rozpląnął się, jest zapewne wewnątrz jednego z tych straganów. Dlaczego?

Zza pleców dobiegał łoskot jadących kocimi łbami pojazdów. Zazgrzytała popychana wiatrem brama. Poza tym nic nie słyszał.

Skręcił w lewo. Zastanawiał się, czy zapalić latarkę.

Dostrzegł otwarte drzwi, zwisające z zawiasów. Plusk wody dał mu znać, że wpadł w kałużę. Wymacał przesiąknięte wilgocią drewniane wrota. Nadstawił ucha, ale słyszał jedynie brzmienie ciszy. Żadnego światła, więc...

Wśliznął się cicho do cuchnącego stęchlizną wnętrza magazynu. Znów nadśluchiwał. Nic. Posuwał się naprzód powoli, ostrożnie, co chwila potykając się o jakieś kubły i puszki. Przebiegł szczur, Hyde wzdrygnął się z obrzydzenia. Gdy wreszcie przebił się słuchem przez odgłos swego głośno walącego serca, nie dotarło do niego nic oprócz ciszy. Wyciągnął z kieszeni latarkę, która w ciemnościach wyglądała jak broń. Jednocześnie w jego prawej dłoni pojawił się pistolet. Wrota zakotływały się na starych zawiasach i zamknęły się. Ani śladu pułapki, więc...

Gdzie jest Wilkes?

Z ulicy dobiegł go odgłos uruchamianego silnika. Oznajmiał, że Wilkes odjeżdża, pozbywszy się obserwacji.

Hyde rozglądał się po bielonych wapnem ścianach. Pusto?

Zapalił latarkę i puścił strumień światła wprost przed siebie.

Z odległości pięciu jardów wlepił w niego oczy portret Lenina.

Lenin?

- Cześć, Patrick - usłyszał głos Wilkesa dobiegający z ciemności po lewej stronie. Nie był w stanie ruszyć się z miejsca.

Rozdział III

Ad acta

Lenin?

Hyde zdawał się nie dopuszczać do świadomości widoku wielkiego portretu widocznego w smudze światła. Był tak osłupiały, że nie mógł nawet poruszyć palcem spoczywającym na wyłączniku latarki. Nie pamiętał dobrze głosu Wilkesa, więc nie był nawet pewien, czy to on odezwał się do niego z ciemności. Nie potrafił zmusić się do skierowania w stronę mówiącego latarki lub wymierzyć weń z pistoletu.

Wpadł w potrzask.

Ale Lenin?

Czyżby to był żart?

Drżał. Wilgoć i chłód dawały mu się ponownie we znaki. Pomimo wysiłków nie zdołał opanować dreszczy. Oto nagle znalazł się w jakimś teatrze obłędu i nie miał nawet programu spektaklu. Mógł jedynie zdać się na bieg wydarzeń.

- No! Cześć, Patrick - znów odezwał się Wilkes. Zaskrzypiały zawiasy drzwi. Hyde poczuł pieczenie w karku, kiedy spróbował poruszyć unieruchomioną zeszytowanymi mięśniami głową. Teraz drzwi za jego plecami zatrzaskały się. Zorientował się, że w ciemnościach słyszy kilka oddechów. Dwa, trzy, może cztery - liczył w pamięci. Pułapka. Wiedział, że tam są. Nie ustalił, ilu ich jest, ale miał do czynienia z całą grupą. Zastawili sidła i teraz przyszli zabrać schwytaną zwierzynę. Jego.

- Okay, Patrick - rzucił Wilkes wesoło, niemal z rozbawieniem - odłóż pistolet, bądź grzecznym chłopcem.

Teraz!!!

Przez dłuższą chwilę walczył ze swoim zmartwiałym, uwięzionym w bezruchu ciałem. Nagle odrzucił latarkę i dał susa, po którym poturlał się po podłodze. Natarł z impetem na jakiś przedmiot, a ten przewrócił się i zwałił na niego. Ogniki latarek szalały wokół, ktoś klął, ale nie był to Wilkes. Hyde przywarł do jakiegoś stożkowatego, rzeźbionego odlewu. Odepchnął go mocno i oświetlił latarką. Była to miniatura jednej z wież Kremla.

Kreml?

Hyde... przetoczył się po podłodze jeszcze kawałek. Nikt nie strzelał, tylko światła

latarek i lamp krzyżowały się ponad tumanami kurzu wzbitymi z podłogi magazynu. Przez chwilę bał się, że uścisk z Kremlem przyprawi go o paraliż. Prześladowcy zbliżali się zwabieni błyskiem światła i jego zderzeniem z wieżą. Hyde wsunął się pod jakąś ławkę w rogu, przywarł do ściany i starał się za wszelką cenę opanować głośny oddech.

Dźwięk kroków mieszał się z tupotem uciekających szczurów. Migwały światła latarek. Ktoś wydawał polecenia. Potem zapadła cisza. Zabawa w chowanego, ale dlaczego po ciemku? Co, to za rzeźby? Nagle wszystko zamarło. Znieruchomiało.

Posąg Lenina.

- Patrick? - Głos Wilkesa zabrzmiał dźwięcznie dzięki akustyce wąskiego magazynu. - Słuchaj, daj spokój i nie rób głupstw. - Odczekał chwilę. - Wiesz, że sam Clint Eastwood kręcił tu film? Widziałeś te dekoracje? To film szpiegowski, wiesz? Przypuszczam, że niezły.

- Cholera, gdzie się zapala światło? - zawołał ktoś inny.

- W biurze! - odpowiedział Wilkes.

Ktoś wpadł ma stertę puszek czy naczyń, które potoczyły się po nierównej podłodze.

Hyde wykorzystał chwilę głośnego zamętu, aby lepiej się ukryć. Słyszał przekleństwa szukających go mężczyzn.

Po chwili Wilkes znów się odezwał. Jego głos wyrażał skrywaną satysfakcję zawodowca, który znał każdy ruch przeciwnika, wiedział o śledzącym go z mikrobusu Hyde. Wilkes przyciągnął go tutaj niczym latawiec przyczepiony do swojego audi.

- Wylaż, Patrick, stąd nie ma ucieczki. Jeszcze chwila i zapalimy światło. Zobaczymy się wzajemnie. Nie wygłupiaj się.

Hyde był jak cel na strzelnicy.

- Czego, u diabła, ode mnie chcesz, Wilkes? - ryknął, umykając jednocześnie wzdłuż ściany w głąb magazynu prawie na czworakach. Przez chwilę wydawało mu się, że przez dziurawy świetlik wraz z deszczem wpada delikatne światło księżycy. Czyżby?...

Nie, to złudzenie.

Znów ściagały go słowa Wilkesa, czuł też, że ktoś się zbliża. Przykucnął bezszelestnie pod ścianą.

- Patrick, mamy rozkaz, żeby cię unieszkodliwić - oznajmił beznamiętnie Wilkes. Hyde drżał z przerażenia, zimna i beznadziejności.

- Za co? - krzyknął głosem z goryczą. - Za co? - Czuł dziwne odrętwienie.

- Wiesz, za co. Londyn twierdzi, że jesteś trefny. - Słowa Wilkesa nie brzmiały szczerze. - Przykro mi, ale zawsze byłeś narwany. - Jednocześnie, jakby wciąż nieco

niepewny ostatecznego wyniku tej gry, krzyknął do swoich: - Co, do cholery, z tym światłem!

Ręka Hyde'a uchwyciła się belki stropu. Odruchowo spojrzął w górę. Krokiew niczym drzewo pięła się po białej ścianie. Konstrukcja magazynu była drewniana, dach wymagał dodatkowego wsparcia.

- Dobra, znalazłem - dobiegł inny głos z oddali. - Powiedzcie, kiedy będziecie gotowi.

Hyde wcisnął pistolet do kieszeni i rozpoczął wspinaczkę po belce. Chwył lewą ręką, potem prawą, potem złapać równowagę, przylgnąć do ściany. Prawa ręka natrafiła na uchwyt, lewa noga na występ, lewa ręka, prawa noga, prawa ręka.

Mijał niższe sklepienie, dach był coraz bliżej. Odgłosy wspinaczki przypominały hałasowanie szczurów, może dlatego mężczyźni na dole nie zwracali nań uwagi. Belka sklepienia była już pod nim, a słabe światło księżycza rzucało nieśmiały odbłask. Ale czarna krokiew górnego, stalowego wiązania była jednak wciąż nad nim. Jeżeli od tej belki do dziurawego świetlika w dachu będzie więcej niż półtora-dwa metry, nie da rady, nie przeskoczy... Oby nie było więcej niż sześć stóp...

- Wszyscy ukryci?! - głos Wilkesa przerwał te kalkulacje.

Posypały się odpowiedzi, ale słuch Hyde'a, stępiony jego własnym oddechem i biciem serca, nie pozwalał mu ustalić, skąd dochodzą głosy. Zdawało się, że ze wszystkich stron. Światło...

Rozbłysło białawe światło. Przeczółgał się po belce, leży płasko na chwilę, po czym uniósł biodra, zbielełymi rękami lgnąc do zimnej, wilgotnej stali. Siadł niczym wyciekające zwierzę, zastygłe w pozie rezygnacji. Cień jego ciała padł na podłogę.

Ależ nie, to nie jego cień! To Wilkes wyszedł na otwartą przestrzeń. Hyde widział jego cień. Lampy zwisały na długich kablach, tak że przestrzeń pomiędzy nim a ziemią wypełniona była świetlistą mgiełką, a on kulił się powyżej oświetlonej strefy.

Deszcz lał mu się za kołnierz przez uszkodzony świetlik. Ból w przedramionach i plecach dawał znać o sobie, Hyde wyteżył jednak wszystkie siły, by zachować ciszę i utrzymać równowagę na wąskiej belce. Wilkes znajdował się teraz nieomal dokładnie pod nim. Polujący drapieżnik skoczyłby stąd na ofiarę, ale czy zwierzę podjęłoby samotną walkę przeciwko czterem lub pięciu przeciwnikom?

- Wyłaż, Patrick. - Wilkes żałował swojego desperackiego zagrania, żałował własnej szczerości i tego, że kazał zapalić światło.

Hyde spojrzął w górę. Pięć, sześć, może sześć i pół stopy? W świetliku sterczą odłamki potłuczonego szkła, ale gdzieś tam jest gołe drewno - czy dostatecznie przegniłe? Tylko jedno odbicie, jeden skok.

Ich zdziwienie i zaskoczenie nie potrwa dłużej niż minutę. Potem rzekome hałasy nabiorą innego sensu, zresztą kiedy przeszukają wszystkie dziury w podłodze i wszystkie kryjówki, spojrzą...

W górę.

Sześć j pół stopy. Mokra, ciemna, oblaźła z farby framuga okna. Odłamki szkła, ani odrobiny miejsca na oparcie nogi. Wyobraził sobie, jak to będzie. Rozkołysane w powietrzu ciało, wysiłek ramion, nogi się majtają, każda próba ratunku powoduje hałas, trzeszczy łamiące się drzewo i pęka szkło. Wtedy zaskoczone twarze kierują się ku górze, broń celuje w stronę walczących z powietrzem, kopiących nog...

Przez obolałe ramiona i łopatki przebiegł dreszcz. Opanował się i spojrzał w dół. Czterech z nich wyszło z cienia, właśnie odbywała się pod nim krótka zbiórka. Wilkes macha bronią, gestami wydaje instrukcje... Teraz jeden z tamtych zmierza ku stercie zawilgoconych kartonów, drugi ku schowkom w tyle magazynu, trzeci zbliża się do otwartych drzwi prowadzących do opustoszałego biura.

Rozdzielili się na chwilę, ale przecież zaraz tu wrócą...

Teraz!

Chwila bezruchu...

Stanął na nogach.

Z trudem uniósł ręce. Osłabione uda i łydki nie chciały podjąć pracy. Ręce w powietrzu, skostniałe palce zbyt wolno się zginają. W ramionach ból. Nogi prostują się, ale drżą, do okna jeszcze ciągle daleko. Ramiona buntują się, nie chcą sięgnąć ponad głowę. Palce zaginają się do chwytu. Chwyciły... jeszcze za nisko. Może teraz... uchwyt... jest. Starczyło. Mokra belka, stopa ześlizguje się na krawędź. Drewno mocne, powinno wytrzymać. Uchwyt.

Teraz!

Hyde rozkołysał swoje pozornie ciężkie ciało, wzbijając je ku świetlikowi, skąd wlewał się deszcz. Poczul ból i usłyszał chrzęst naciągniętych w wysiłku ramion. Powoli przesunął głowę przez lufcik. Była wietrzna noc. Poszarpane chmury mknęły pośród odsłoniętych gwiazd, którym towarzyszył rożek księżycy w nowiu. Podciągnął się na ramionach wyżej, kolej na nogi. Drewniana framuga okna uchyliła się z trzaskiem i Hyde przelazi na drugą stronę. Przez pusty już świetlik doleciał go wrzask zaskoczonego Wilkesa.

Dach był stromy. Drzazgi z mokrego drzewa wbijały się w palce i dłoń. Usłyszał pod sobą krzyki innych, a po chwili dwa pociski przebiły falistą blaszaną dachówkę. Dłońmi i stopami Hyde wyczuł drgania spowodowane uderzeniami kul.

Szybciej, szybciej, przynaglał mózg, rejestrujący krzyki Wilkesa wewnątrz magazynu. Hyde, rozkładając szeroko nogi i hamując obcasami, zjechał po mokrej blaszanej

dachówce do umieszczonej na krawędzi rynny. Rynna stuknęła, wygięła się, ale wytrzymała. Hyde znieruchomiał na moment, przywarł do dachu i nasłuchiwał. Tupot nóg, głośne rozkazy, potem chwile ciszy. Odgłosy polowania... Wyprostował się, siadł i pochylił się nad wąską alejką pomiędzy dwoma magazynami. Była pusta. Dziesięć stóp?

Ułożył się wzdłuż rynny, przylgnął do niej, drgając wraz z każdym jej piskiem i zgrzytem. Jego nogi zawisły na krótką chwilę w powietrzu.

Wreszcie skoczył.

- Jest tutaj! - ryknął ktoś dosłownie o parę metrów od niego. - Tutaj, szybciej!

Jakaś nieznana, chłodna i precyzyjnie działająca część mózgu podpowiedziała Hyde'owi, że człowiek obok waha się, jest niezdecydowany i przestraszony. Zabij.

Hyde upadł na przedramiona i kolana, którymi zamortyzował siłę zderzenia z ziemią. Próbował zwalczyć nie tylko chwilową słabość po tak wielkim wysiłku, ale też szok zaskoczenia. W ułamek sekundy później już trzymał w ręku pistolet. Zabij - niebezpieczeństwo - potrzask się zamyka - nakazywała ta zimna, kontrolująca teraz świadomość część mózgu.

Zabij.

Hyde wystrzelił dwukrotnie. Człowiek, do którego należał głos, wydał z siebie krzyk wzywający pomocy, zwałił się pod ścianę magazynu i ześlizgnął w pas cienia, tracąc kształt, osobowość, wolę. Hyde poderwał się na nogi i zaczął uciekać.

Natrafił na pozbawione szyby okno, zabite popękanymi deskami. Wdrapał się na parapet i kopnął w spróchniałe deski. Wpadły do wnętrza, zamieniając się natychmiast w mokre drzazgi. Zawahał się na chwilę, wpatrzony podejrzliwie w czeluści ciemnego, zatęchłego składu, po czym skoczył. Wpadł na warstwę rozmięklej tektury, a następnie przekoziółkował przez stos pudeł i kartonów.

Nie ma odwrotu, wołała inna część mózgu. Ta zimna i opanowana natychmiast się wyciszyła. W tej chwili jego mózgiem rządziła część rozgorączkowana i bliska paniki. Zabił jednego ze swoich. Teraz nie jest już jednym ze swoich. Jest jednym z tamtych.

Zamierzali mnie zabić...

Nie ma wyjścia. To koniec. Jesteś skończony. Jesteś trup. W wilgotnym powietrzu magazynu rozchodził się z lufy zapach prochu. Wepchnął rozgrzany od strzałów pistolet do kieszeni.

Wygramolił się ze szczątków starych opakowań, rozpostarł ramiona i ruszył po omacku przez magazyn. Dobiegł go odgłos kroków, potem cisza, potem przekleństwo. Jeśli tylko trafi się szansa, z pewnością go zabiją.

Brama...

Przecież jeszcze minuta, może dwie, i rozstawią straż przy furkach. Jedyna znana mu droga ucieczki prowadziła do bramy, przez którą wszedł śledząc Wilkesa. Miał zapewne mniej niż minutę.

Rozczapierzone palce natrafiły na przeciwległą ścianę. Mógł niemal dostrzec słaby odbłask pokrywającego ją wapna. Dokąd teraz? Od strony grupy pochylonej nad zastygłym w cieniu martwym ciałem nie dochodziły żadne odgłosy. W takim razie... może drzwiami?

Magazyn, w którym się znajdował, był bliżej bramy niż poprzedni. Nie będzie musiał przedzierać się przez ich linię ognia; z chwilą gdy zacznie biec, tamci będą z tyłu, nie przed nim.

Powoli, ostrożnie ruszył ku drzwiom. Oczy przyzwyczyły się do ciemności i magazyn wypełnił się delikatnym blaskiem. Podłoga była czysta. Dotarł do podwójnych drzwi, namacał je z delikatnością ślepego. Potężny, zardzewiały rygiel nad jego głową; poniżej drzwi odstawały nieznacznie jedne od drugich. Tylko jeden rygiel...

Nasłuchiwał. Jego przewaga zdawała się zmniejszać. Chwyił za rygiel, spróbował go obluzować. Bolec zgrzytnął przenikliwie. Hyde puścił rygiel, jakby ten miał zaraz wybuchnąć, wstrzymał oddech i pchnął. Zamek przesunął się hałaśliwie, a drzwi, chwiejąc się niczym pijany, stanęły otworem.

Głosy...

Słyszał ruch z ulicy. Słyszał własne kroki na mokrym bruku, z chłupotem rozbryzgujące kałuże. Słyszał też jednak inne kroki, potem padł pierwszy strzał. Zaczął biec zyzakiem, pośliznął się, ale utrzymał równowagę. W oczach miał chyboczącą się bramę, lecz nie mógł jej dojrzeć, gdyż była poza linią światła ulicznych latarni. Hyde wpadł na bramę i runął w powstałą przestrzeń. Kula strąciła jeden ze spiralnych ornamentów i odbiła się rykoszetem. Teraz Hyde był na szerokiej brukowanej ulicy, a tramwaj sypał ku niemu iskierki niczym sygnał pomocy. Ominął jakiś samochód i skoczył przez ulicę, gdy tramwaj stanął.

Na przystanku wiekowa staruszka z trudem wdrapywała się po stopniach wagonu, pomagała jej w tym młodsza kobieta. Hyde, usiłując w ciężkich spazmach złapać uciekający oddech, rozglądał się w gorączkowym zniecierpliwieniu: staruszka postawiła lewą stopę, potem łaskę... postawiła prawą nogę, stąpnęła chwiejnie i gdyby nie młode ramię kobiety, pewnie runęłaby pod własnym ciężarem z platformy do tyłu. Tymczasem w bramie pojawiła się czyjaś sylwetka, po chwili drugi cień. Szybciej, wchodź, szybciej!

Staruszka ponownie przesunęła środek ciężkości ciała w przód i zarazem jakby w głąb swego dokuczliwego, artretycznego garbu, postąpiła o krok. Młodsza kobieta wciąż cierpliwie jej pomagała. Ktoś wyższy od Wilkesa zmierzał prosto w kierunku tramwaju. Prędkiej...

Musiał zacisnąć zęby, aby powstrzymać cisnące się na usta przekleństwa. Wysoka postać rzuciła się biegiem przez ulicę. Młodsza kobieta stała już obydwiema nogami na platformie. Przez podświetlone szyby w tyle tramwaju dwie przecinające ulicę sylwetki wyglądały jak ryby w okrągłym akwarium; czarne, niecierpliwie cienie polujących ryb.

Do pokonania były trzy stopnie, a kobieta z ledwością wspięła się na najniższy z nich!

Pułapka! Pułapka!

Hyde w rozpaczy odwrócił głowę. Uświadomił sobie, jakie palnął głupstwo decydując się na pierwszą z brzegu okazję do ucieczki. Tu, na przystanku, był jak w sidłach. Bez wyjścia.

Trzeba uwolnić się z sideł. Uwolnić się.

Najłagodniej, jak potrafił, odepchnął na bok obydwie kobiety, wywołując zaskoczenie i niechęć zgarbionej staruszki. Ruszył przez tramwaj. W tej chwili on był rybą w kulistym akwarium. Trzeba teraz wszystko rozłożyć w czasie. Mógłby ciągnąć ich za sobą, jadąc tramwajem, ale kiedyś przecież będzie musiał wysiąść. Tamci zaczekają. Musi ich przegonić - ale właśnie począł uświadamiać sobie, że jego plan jest błędny. Oparty na fikcyjnych założeniach.

Dwóch mężczyzn wskakuje i wyskakuje z nowojorskiego metra - o Chryste, widział to na filmie! Skrzyżowane przewody, to nie, szkolenie, to ten cholerny film! *Francuski łącznik*, tak, facet z brodą wskakuje i wyskakuje...

Nie powinien był nigdy wsiadać do tego pieprzonego tramwaju!

Ustawiwszy się na wprost środkowego wejścia obserwował drzwi, przez które wszedł. Jedne i drugie były otwarte. Ponad głowami obu kobiet, które jeszcze nie zajęły miejsc, zakołysała się twarz Wilkesa, rozjaśniła się i stężała w tej samej chwili. Gdzie był ten drugi? Mina Wilkesa zapowiadała rewanż za wszystko. Na jego twarzy malowała się wrogość, nienawiść, ale też rozradowanie. Gdzie był ten drugi?

Teraz usta Wilkesa rozciągnęły się w uśmiechu. Wysoki stanął na chodniku przed środkowym wejściem do tramwaju. Oni też widzieli ten film... Hyde opuścił gwałtownie ramiona, a wtedy wysoki podskoczył ku platformie i uniósł stopę.

Motorniczy czekał. Wysoki cofnął się od stopnia. Aha, pojedzie samochodem, odtąd Hyde'owi drogę ucieczki. Motorniczy nacisnął sygnał, drzwi tramwaju zaczęły się wolno zamykać. Hyde niemal wypadł na zewnątrz, nie dotknąwszy ich nawet, a lufa

hecklera-kocha ugodziła wysokiego w czoło. Ten zatoczył się w tył, oślepiiony bólem i krwią.

Wewnątrz oświetlonego szklanego akwarium tramwaju Wilkes otworzył usta jak ryba. Hyde przeskoczył nad nieruchomym ciałem wysokiego i ruszył biegiem, jakby chciał złapać tramwaj, ale po chwili skręcił w wąską, marnie oświetloną uliczkę. Wierzył, że prowadzi ona w stronę West-Bahnhofu, w stronę świateł i tłumów przechodniów.

Biegł. Odgłos jadącego tramwaju niknął z tyłu. Nie słychać było zapuszczanych silników lub ścigających kroków. Za Hyde'em tworzyła się pusta przestrzeń.

Biegł szybko.

Peter Shelley miał wiele wcześniejszych okazji, aby z szerokich okien swego biura w Century House spoglądać na ciemny, najeżony światłami Londyn. Rzeka wiła się niczym czarny wąż pośród dwóch rzędów świateł, pręgi na grzbiecie węża tworzyły latarnie mostów. Jego myśli coraz bardziej skupiały się na Aubreyu. Refleksje te były dla niego niemiłe, lecz nie mógł pozbyć się myśli, że on też jest zdrajcą.

Aubreyowi i jego ekipie zawdzięczał wszystko, łącznie z ostatnim najbardziej upragnionym awansem na dyrektora Wydziału Europy Wschodniej. To stanowisko było powszechnie uważane za szczybel w drodze na sam szczyt. Była to część drabiny Jakubowej Secret Service. Powinien spłacić swoje długi wobec Aubreya. Ale ilekroć już był na to zdecydowany, stawał mu przed oczyma zalany słońcem ogród w Surrey i żona bujająca uwielbianą przez jego córkę huśtawkę. Obserwując te zabawy, zawsze czuł się intruzem ukrytym wśród jabłoni, który zamierza zakłócić spokój tej bezpiecznej, kochającej się pary, mierząc do niej z broni lub planując jakąś obsceniczną scenę seksualną. Paul Massinger dał mu mgliście do zrozumienia, że Secret Service weszło w układ z KGB, a Hyde wręcz ręczył za to słowem. Shelley ufał im obu i nie mógł tego zignorować. Ale Babbington, z błogosławieństwem sir Williamsa, kontrolował obecnie SIS i MI5, tak więc Shelley czuł się zagrożony. Na niebezpieczeństwo narażona była jego rodzina, kredyt na dom, dalszy awans, kariera, możliwość zaspokojenia ambicji. Te groźby są całkowicie realne, gdyby zdecydował się choć trochę zaangażować. Najlepiej dla niego jest nie robić nic, kompletnie nic.

Odwrócił się od nocnej panoramy miasta, przenosząc uwagę na aparat telefoniczny. Zmusił się do wyjęcia z kieszeni prawej ręki i sięgnął po słuchawkę, gdy nagle zdecydowanie go opuściło. Oddychał głośno, prawie sapał. Znow opadły go wątpliwości, lecz chwycił słuchawkę i wykręcił numer. Słyszał sygnał. Spoglądał na drzwi, jakby w obawie przed przyłapaniem na przestępstwie; za wszelką cenę musiał to zrobić. Liczył,

że odmowa pomocy usprawiedliwi jego egoizm i wątpliwości, ale nie czuł ich teraz. W obliczu zobowiązań wobec Aubreya był bezsilny. Musiał pomóc...

Dzwonił do domu. Żona po podniesieniu słuchawki podała ich numer telefonu.

- Kochanie... - zaczął.

- Peter? Skąd dzwonicz? - W tonie żony brzmiało rozdrażnienie, wyglądało na to, że obiad się zmarnuje. - Chyba jesteś jeszcze w biurze, co?

- Niestety tak, przepraszam cię. Coś mi wypadło. Możesz poczekać z obiadem? - dodał z nadzieją w głosie.

- Nie! - ucięła, ale po chwili rzekła: - Cóż, myślę, że tak. Naprawdę, Peter, obiecywałeś, że będziesz dziś wcześniej.

- Wiem - uspokajał ją Shelley. W gardle niczym kamień tkwiło mu poczucie winy. - Przepraszam. Słuchaj, to nie potrwa długo, będę około...

- Spojrzał na zegarek - najpóźniej o ósmej, dobrze?

- Dobrze. Ale już nie później - westchnęła.

Jej głos znowu stwardniał, jak gdyby wyczuła, że chce ją jedynie udobruchać, a w rzeczywistości i tak kłamie. - Dobrze, ale nie później - powtórzyła z ironią.

- Obiecuję.

Usłyszał stuk odkładanej słuchawki. Wolno odłożył swoją. Czuł, że jej irytacja była całkowicie uzasadniona; gdyby ich uczucie było silniejsze, czułby się teraz gorzej. Zdradzał ją, umożliwiła mu to, nie żądając zbyt wiele, rezygnując z własnych ambicji. Jeśli dowiedziałyby się o kłopotach Aubreya, mogła nalegać, aby udzielił mu pomocy i spłacił dług wdzięczności. Ta myśl była nieomal nie do zniesienia.

Wyszedł szybko zamykając pokój, po czym ruszył ku windom. Na korytarzu nie było nikogo, tylko sprzątaczką, zajęta odkurzaczem. Nie podniosła wzroku, gdy przechodził, niczym cichy współnik planowanego przestępstwa. Ku jego zaskoczeniu winda pojawiła się nieomal natychmiast i bez żadnych przystanków zjechała do piwnic, gdzie mieściło się Centralne Archiwum.

Wyszedł na betonowy korytarz. Machnął szybko legitymacją dyżurnemu, pilnującemu wyjścia z wind. Strażnik kiwnął głową, nawet lekko się uśmiechnął. Shelley to był ktoś... Shelley to była szarża...

„Jestem znany” - te słowa jak refren piosenki wciąż miał w głowie. Tak, Shelleya znali tu wszyscy. Shelley to była przyszłość, ktoś znany, ktoś z kierownictwa... kierownictwa... kierownictwa.

„Znany” - to słowo znów przebiło mroczne głębie świadomości. Łatwo było bowiem dostać się do archiwum, łatwo było spełnić życzenie Massingera. Lecz innym było równie łatwo zapamiętać, że tu był, co brał.

Minął kolejnego dyżurnego, strzegącego automatycznych drzwi.

Jaskinia archiwum otwierała się przed nim. Nie osłonięte lampy świeciły z sufitu mglistym światłem. Mimo sprawnie funkcjonującego ogrzewania panował tu zatęchły chłód podziemi. Archiwum to sterylna, niska biblioteka, niemal katedralna nawa. Po lewej stronie stały oddzielone od siebie kabiny przypominające konfesjonały. W każdej z nich znajdowała się przeglądarka mikrofilmów oraz monitor z terminalem połączonym z bazą danych głównego komputera. Aubrey bardzo rzadko tutaj zaglądał. Jeżeli potrzebował akt, wyciągów czy innych informacji, wysyłał po nie posłańców. Shelley zadrzał ze zdenerwowania i poczuł nagłą odrazę do tego miejsca.

Zbiory archiwum okrywała ciemność, w niej sięgające sufitu metalowe półki kryły setki tysięcy drobnutko zapisanych tomów, oczekujących wciąż na decyzję, czy ich treść trafi na taśmę komputera, czy też pójdzie na przemiał. Był tu niemal sam. Podsunął legitymację dyżurnemu archiwście, który wskazał mu wolne stanowisko pracy. Shelley ruszył w tamtą stronę krokiem człowieka umykającego przed deszczem.

Ekran monitora był pusty i trochę zakurzony. Shelley z niechęcią dotknął go palcami. Zasiadł przed ekranem i włączył terminal. Natychmiast ukazało się wezwanie do podania stopnia, uprawnień w dostępie do tajemnicy kodu rozpoznawczego. Shelley ułożył dłonie nad klawiaturą. Z chwilą gdy wystuka swój kod identyfikacyjny, zostanie zarejestrowany w pamięci komputera. Dzięki temu jego dane personalne, data oraz specyfikacja wykorzystanych materiałów mogą zostać w przyszłości ustalone przez uprawnione osoby. Zastanawiał się nad sposobem zamaskowania obiektu poszukiwań i dotarcia do danych o wiedeńskim rezydencie okrężną drogą. Pośpiesznie wystukał znane hasło. Po paru sekundach sygnał został zaakceptowany i otworzył mu dostęp do dalszych informacji.

Miał jeszcze możliwość opóźnienia lub wręcz eliminacji komendy wywołania konkretnej grupy informacji. Odchrząknął. Suchy dźwięk odbił się od ścianek kabiny.

Kołysze się, faluje ogród, jego córeczka przebiega w aureoli żółtego snopa słonecznego światła... Aubrey na mękach... Hyde na krawędzi śmierci... zмова...

Rejestrował potencjalne możliwości odwrotu - klawisz zmiany funkcji, klawisz kontroli, klawisz błędu.

Ekran oczyścił się, by po chwili wyświetlić prośbę o podanie komendy.

Po co to robi? Po co tu siedzi? Podmiejski pociąg już czeka, wsiadaj, jedź do Surrey. Czy Massinger miałby dość uporów, żeby sobie z tym poradzić? Może uciekłyby jak głupi Jasio, przyłapany na jakiejś psocie? Po co on tu w ogóle siedzi?

Massinger, jak rozumiał Shelley, wrócił do swojego tajemniczego, podwójnego życia. Chodziło o coś więcej niż o przyjaźń z Aubreym czy szacunek dla prawdy. Jeszcze

jeden parszywy szperacz. Kiedyś, gdy Hyde określił tak agenta w rozmowie z Aubreyem, ten skrzywił wargi w odruchu protestu, słysząc obelżywe epitety. Massinger, Hyde, Aubrey, większość z nich... no i on sam też. Parszywi wykrywacze nienaruszonych tajemnic, czyściutki i zdrowych, jak mawiał Hyde. Maniacy. O, tak...

Przecież tak łatwo wyjaśnić, po co tu przyszedł. Dla zapachu, smaku i dotyku tajemnicy. Dla pasji, która odsuwa na dalszy plan zasady, rozsądek, nerwy, czasem również własne bezpieczeństwo.

Zdecydowanie wystukał polecenie na klawiaturze. Najpierw kod podstawowy. Goście. Potem trzeba już sprecyzować. KGB. Potem Londyn. Potem „Baza macierzysta” - to ambasada ZSRR. Wreszcie „Kierownik zespołu” - to oznacza ich rezydenta, Pawła Kozłowa. Teraz wystukuje na klawiaturze polecenie: „Wszystkie dane - wyciąg”.

Ekran znieruchomiał, po czym zielonym wodospadem liter popłynęły informacje. Wiek. Miejsce urodzenia. Wykształcenie. Miejsce szkolenia... Shelleya nie pociągała przeszłość. Ekran komputera zapełniał się i pustoszał, raz po raz falując zielonym, świetlistym blaskiem niczym szklana kula.

Mijały lata... Wczesne stanowiska, sukcesy, kontakty... Paryż, Kair, Bagdad, Waszyngton. Przy każdym z tych miejsc widniał odpowiedni numer odsyłacza do pełnych akt z okresu działalności operacyjnej.

A oto i Wiedeń.

Shelley powstrzymał płynący potok informacji. Spojrzał na zegarek. Wcisnął polecenie podania zestawu danych wiedeńskich. Jakże dziecinnie prosty środek ostrożności: ktokolwiek zainteresuje się, czego Shelley szukał w komputerze, zostanie odesłany do zbioru danych dotyczących rezydenta londyńskiego i zapewne na tym poprzestanie. On zaś skoczył właśnie w głąb. Do danych wiedeńskich rezydentury KGB. W sąsiednim boksie charakterystyczny stukot klawiatury poinformował go, że podjęto pracę. Nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że siedzący obok go śledzi. Zadrżał. W oddali za-bulgotało centralne ogrzewanie.

Miał przed oczyma informacje z okresu, gdy Paweł Kozłów był zastępcą rezydenta w Wiedniu. Shelley wiedział, że obecny rezydent, Karol Bajew, był wówczas nie tylko przełożonym, ale i przyjacielem Kozłowa. Wystukał polecenie, podania danych biograficznych i innych materiałów dotyczących działalności Kozłowa w Wiedniu, potem informacji na temat jego stosunków z szefem, a potem... danych o samym szefie.

Wykorzystując komendę „Kontakty Kozłowa z lat ubiegłych”, polecił zaktualizować informację o Bajewie, rezydencie w Wiedniu. Kolejne podróże do stolicy Austrii,

do Londynu, wyjazdy na urlopy, spotkania na terenie całej Europy Wschodniej...

Pomimo pogłębiania, kasowania i ponownego wywoływania danych Shelley nie zdołał uzyskać interesujących go informacji. Przejrzał raporty obserwacji SIS na terenach Kozłowa i rezydenta w Wiedniu. Ostatnie pochodziły z ubiegłego roku i dotyczyły wyjazdu Kozłowa na kilkudniowy weekend.

Kobiety - kontakty zawodowe? Sprawdzenie wcześniejszych meldunków pod kątem kontaktów z kobietami. Tak. Regularne odwiedziny wiedeńskiego rezydenta, kontakt długotrwały, typowo zawodowy. Ostatnie dane dotyczyły numeru akt.

Shelley głęboko oddychał. Jeżeli ktoś go śledzi i wie, jak głęboko sięga w materiały, będą się mogli domyślić. Ale jeżeli ustalą jego kolejny krok, to z pewnością będą wiedzieli.

W ten sposób znajdując to, czego szukał, mógł zabić Hyde'a i Massingera. Zorientował się bowiem, że tamci mogą przewidzieć szaleńczy plan Massingera na podstawie analizy zbioru danych, z których korzystał.

Spojrzał na zegarek i zażądał fragmentu danych o rezydencie w Wiedniu, dotyczących jego kontaktów towarzysko-seksualnych.

Napięcie aż iskrzyło w jego głowie. Krótkie spięcia przywoływały przed oczy obraz czekającej z obiadem żony i tarczy zegara wskazującego godzinę ósmą trzydzieści. Ten drugi obraz nie był istotny, lecz kojarzył się z pragnieniem opuszczenia archiwum. Wydostania się z tego miejsca, zakończenia całej sprawy.

Wreszcie znalazł. Nazwisko dziewczyny, adres, numer ubezpieczeniowy oraz polecenie zabraniające wykorzystywania jej do celów wywiadu. Rezydent w Wiedniu odwiedzał ją raz w tygodniu. Była prostytutką. Brak innych oznak zainteresowania, brak podstaw wzajemnego uzależnienia. Usługi opłacane w dolarach amerykańskich, równowartość 150 funtów szterlingów. Dziewczyna udostępnia mu jedynie swe ciało i okazuje udawane podniecenie. Uprawiają seks tradycyjny. Bez dewiacji, bez miłości francuskiej. Seks bez związku uczuć, seks niekompromitujący.

Shelley zapamiętał adres i inne szczegóły, zanim nacisnął klawisz wywołujący nowe dane. Musiał wyteńczyć całą wolę, aby kontynuować odczytywanie wyświetlonych na ekranie informacji o Pawle Kozłowie. Palce mu drżały. Chociaż byłoby to bezsensowne posunięcie, mógł skasować polecenie rozszerzenia zakresu obserwacji. Ekran wyświetlił dane dotyczące związków pomiędzy Kozłowem i rezydentem w Wiedniu, aż do wyczerpania całego zbioru.

Shelley wpisał się do rejestru i zamknął pokrywę klawiatury terminalu. Skończył.

Teraz po prostu siedział w kabinie do końca programu. Był jak człowiek czekający na zakończenie raz już oglądanego i niezbyt ciekawego filmu.

Wstał. Był zeszywniały i zmarznięty. Musiał się zmusić, aby z rękami w kieszeniach i pozornie spokojną twarzą przejść obok biura archiwisty, skinął mu głową na dobranoc. Na końcu minął z obojętną miną dwóch dyżurnych na korytarzu. Dopóki nie zamknęły się drzwi windy, dokuczało mu zimno, wywołując niemal malaryczne dreszcze.

Czwartek. Pojutrze. W czwartek rezydent w Wiedniu odwiedzi swoją dziwkę. Będzie bez ochrony.

Czwartek.

Shelley uświadomił sobie, że musi się pośpieszyć, żeby zdążyć na pociąg do domu.

Eldon tracił już cierpliwość, a pomimo to Aubrey nie mógł się opanować. Siedział z dłońmi zaciśniętymi na kolanach, żeby opanować drżenie rąk. Był krańcowo wyczerpany, zagubiony w labiryncie protestów, uników i zaprzeczeń. Coraz bardziej niepewny, zbliżał się do krawędzi załamania. To był trzeci dzień przesłuchania prowadzonego przez Eldona, który nalegał z ironią, by określać je mianem „dyskusji”. Nic nie wskazywało na to, by przesłuchujący miał zamiar opuścić to miejsce lub przedłużyć przerwę na wypoczynek. Aubrey miał być zeszmącony tak szybko, jak to możliwe, miał potwierdzić, przyznać się...

Wyznać i potwierdzić. Aubrey przypomniał sobie, jak obserwował przystojną, pociągłą twarz Eldona. Tak, ten człowiek tracił cierpliwość, ale jego gniew był kulturalny, nie było w nim nic z wściekłości policjanta w przepoconej koszuli z podwiniętymi rękawami. To mogła być jedynie poza, lecz Aubrey był przekonany, że tak nie jest. Eldon uwierzył w jego winę i teraz złościło go, że starszy pan kręci i kłamie, unika rozmowy na temat ewidentnych dowodów - faktów potwierdzonych w trakcie postępowania. Ostatnich kilka dni świadczyło o tym, że oburzenie Eldona jest szczere, nade wszystko bowiem cenił lojalność i uczciwość, jak stwierdził Aubrey. Eldon gardził zdrajcami i był przekonany, że Aubrey jest wrednym szpiegiem. Jego święty zapał był najgorszym przeciwnikiem, jakiemu Aubrey musiał stawić czoło, a jednocześnie potwierdzał trafność wyboru dokonanego przez Babbingtona. Eldon był taki sam jak Aubrey, tylko młodszy i silniejszy.

- Sir Kenneth - Eldon patrzył z wyrzutem i z trudem powstrzymywał złość w głosie - kłamał pan i kręcił przez dwa dni. Ignoruje pan dowody świadczące o pańskim udziale w zbrodni, zaprzecza pan wszystkiemu, odpowiadając wyłącznie na wygodne dla siebie pytania. - Aubrey zebrał się na odwagę i potwierdził wypowiedź skinieniem

głowy. Eldonowi zabłyśły oczy. - W rzeczywistości nie ma pan nigdzie ani przyjaciół, ani sprzymierzeńców... - Aubrey zauważył, że gniew Eldona, który z początku wybuchnął gwałtownym płomieniem, teraz był przez niego kontrolowany i świadomie sterowany. - Oczywiście podsłuchiwalismy wszystkie pańskie wczorajsze rozmowy. - Eldon pozwolił sobie na uśmiech.

Ta wiadomość nie zdziwiła Aubreya, ale przypomniła mu o strachu i niczym ciężki głąz przygniotła mu pierś. Wczoraj po południu telefonował w wiele miejsc. Częstość rozmów wzrastała z upływem dnia. Były jego ostatnią deską ratunku. Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Kancelaria Premiera, Kancelaria Rządu. Wszyscy go zbywali i pragnęli się pozbyć. W każdym mieszkaniu, we wszystkich instytucjach ci, których prosił do telefonu, byli akurat nieobecni. Tylko sir William Guest odebrał jego telefon osobiście. W rzeczywistości ten fakt zaniepokoił Aubreya. Zaskoczenie, niechęć i niezadowolenie płynęły ku niemu liniami telefonicznymi, czyniąc straszliwe spustoszenie w spisie telefonów, który jednocześnie stanowił schemat systemu podtrzymującego Aubreya przy życiu. Sir William odtrącił go tak jak pozostali.

O tym wszystkim wiedział ten niebezpiecznie inteligentny człowiek siedzący naprzeciwko. Tak, Eldon wiedział i aprobował takie reakcje tamtych, czuł się wręcz osobiście zobowiązany do inspirowania oświadczeń wypowiedzi, które potwierdzały dowody przeciwko Aubreyowi.

Aubrey spuścił oczy nie mogąc znieść przenikliwego spojrzenia Eldona.

Mimowolnie przesuwając stopami po dywanie. Sygnał ten nie mógł ująć uwagi Eldona. Izolacja z pewnością wywoływała u Aubreya zniechęcenie i strach. Był nawet skłonny się do tego przyznać. Wstrząsnęła nim finezja, precyzja i fachowość, z jaką zastawiono pułapkę, do której wpędziło go KGB, a tak naprawdę to - Kapustin!

- Pańska obecna sytuacja jest inna niż w roku 1974, zgodzi się pan ze mną, sir Kenneth? - badał delikatnie Eldon.

- Nie rozumiem - nerwowo odpowiedział Aubrey.

- Namierzyliśmy pana w 1974 roku - rzekł Eldon, zaciskając powoli w pięści dłonie spoczywające na kolanach. - Wtedy byliśmy o krok od wykrycia pańskiej działalności.

- Co takiego?

- Bonn, do diabła - warknął Eldon, znów ukazując swoją niecierpliwą naturę. - W kwietniu, kiedy oni aresztowali Gunthera Guillaumea. Pamięta pan to zamieszanie?

- To była śmieszna plotka - zaprotestował Aubrey.

- Brakowało dowodów, nie podejrzeń. Ktoś z pańskiej służby próbował ostrzec Guillaume'a tuż przed aresztowaniem przez Niemców. Przekonałem się o tym w

czasie śledztwa, które prowadziłem.

- Został pan jednak zmuszony do oczyszczenia z zarzutów wszystkich funkcjonariuszy SIS w ambasadzie brytyjskiej w Bonn - odpowiedział Aubrey, czując, jak jego pewność siebie powoli rośnie. Jeszcze jeden stary straszak, który próbowano wykorzystać. To prawda, krążyły plotki o funkcjonariuszu brytyjskiego wywiadu, który próbował dopomóc w ucieczce z zastawionych nań sieci Guillaume'owi - rosyjskiemu podwójnemu agentowi. Gunther Guillaume był najbliższym doradcą Willy Brandta, w okresie gdy ten piastował stanowisko kanclerza Niemiec Zachodnich. Ponadto Guillaume był rosyjskim szpiegiem. Jego aresztowanie spowodowało dymisję Brandta. Eldon wchodził w skład grupy oficerów MI5, którą wysłano do Bonn pod koniec kwietnia, aby wyjaśnić, na ile prawdziwe są pogłoski o współpracy Guillaume'a z brytyjskim podwójnym agentem. Nie doszukano się niczego. Rezydujący w Bonn Aubrey okazał się bez winy.

- Oczywiście jest, że szukaliśmy w niewłaściwym miejscu, sir Kenneth. Pan osobiście nie był przedmiotem śledztwa.

- Nie byłem.

- To był kardynalny błąd.

- Nie chodziło o nic więcej niż o głupią plotkę.

- Wątpię.

- Przebywałem w Bonn na prośbę obu niemieckich służb wywiadowczych BND* i BfV** i okoliczności mojego wyjazdu są panu znane. Niemiecki wywiad i kontrwywiad prosiły o informacje, instruktaż, fachowy nadzór - zresztą niech pan to sobie nazywa, jak pan chce. Obawiali się, że odbywające się wtedy mistrzostwa świata w piłce nożnej mogą zakończyć się taką samą tragedią jak Olimpiada w 1972 roku. Nie chcieli mieć zabitych na sumieniu. Przedstawiciele wszystkich zachodnich służb wywiadowczych byli tego roku zaangażowani w najrozmaitsze ciała doradcze, pracujące zarówno w samym Bonn, jak też na terenie Niemiec.

* BND - Bundesnachrichtendienst, Federalna Służba Wywiadowcza - wywiad Republiki Federalnej Niemiec. - Przep. tłum.

** BfV - Bundesamt für Verfassungsschutz, Federalny Urząd Ochrony Konstytucji - policja polityczna w RFN, pełniąca też funkcję kontrwywiadu. - Przep. tłum.

- I to ma być wyjaśnienie? - dociekał Eldon, nie kryjąc ironii.

Aubrey skinął głową ze znużeniem.

- To było wszystko, co mógł pan osobiście potwierdzić. - Machnął lekceważąco ręką. - Guillaume jest z powrotem na Wschodzie, a cała ta sprawa dobrze się skończyła, było w niej bowiem więcej oszczerstw niż prawdy. Zapomnij o tym, Eldon. Wśród

moich ludzi nie było podwójnego agenta, który pomógł Guillaume'owi uniknąć aresztu.

- Tę sprawę jeszcze będziemy badali, i to bardzo wnikliwie - ostrzegł Eldon.
- Naprawdę? - w zamyśleniu zauważył Aubrey.
- Jednak dzisiaj powinniśmy chyba wrócić do wydarzeń z 1946 roku?

Aubrey uświadomił sobie, że sprawa z 1974 roku została poruszona po to, by go zmiękczyć oraz osłabić jego opór i energię. Najważniejszym tematem miał być powrót do przeszłości - do Berlina 1946 roku.

- Dobrze, Eldon - odpowiedział w końcu. Promyki słońca przecinały ukośnie pokój, oświetlając pyłki kurzu i nadając im złocistą barwę.

- Świetnie, zaczynamy.

Eldon pochylił głowę, dziękując gestem Aubreyowi.

- Przybył pan do Berlina jako oficer SIS przydzielony do Zjednoczonej Komisji Nadzoru w kwietniu 1946 roku, czy tak? - Zagłębił się w wertowaniu notatek. Obok niego na sofie leżała otwarta teczka. Dla Aubreya była ona puszką Pandory.

- Zgadza się.

- Robert Castleford był w tym czasie wyższym urzędnikiem państwowym oddelegowanym z Whitehall* do pracy w Komisji i nie miał żadnych powiązań z SIS?

* Whitehall - pałac w centrum Londynu, zbudowany za panowania Henryka III. Tutaj oznacza rząd brytyjski. - Przyp. tłum.

- Znów ma pan rację. Nie miał związków z SIS. Nie był funkcjonariuszem ani współpracownikiem służby wywiadowczej. - Aubrey po wypowiedzeniu tych słów zacisnął wargi. Eldonowi zabłyśły oczy.

- Wydaje mi się, że nawet teraz słyszę w pana głosie lekceważenie, sir Kenneth. Ale oczywiście od samego początku pomiędzy panem i Robertem Castlefordem dochodziło do starć. Tak czy nie?! - Nawet nie czekając na odpowiedź ciągnął: - Czuł się pan obrażony zwierzchnictwem jakiegoś tam cywila. Obrażał się pan o wtrącanie się do pańskiej pracy. Pański despotyzm powodował, że nieraz ostro się pan ścierał z Castlefordem. Wasze rozliczne utarczki są opisane w aktach.

- Nie wnoszę co do tego zastrzeżeń... Wziąwszy pod uwagę moją obecną sytuację, wykazałem dobrą umiejętność przewidywania, sądząc wtedy, że należy się przed nim strzec.

Eldon nie uśmiechnął się. Ta próba okazania nonszalanckiej pewności siebie zirytowała go.

- Z gruntu poczuł pan do Roberta Castleforda niechęć i urazę?
- Nie.

- Sir Kenneth - Eldon był samą ironią - to wszystko jest również odnotowane w raportach. Później wystąpiły pewne komplikacje, ale wasi , współpracownicy od samego początku dostrzegli pańską wyraźną antypatię do Castleforda. Bezustannie narzekał pan na sposób postępowania cywilnych władz, które według pana usiłowały pomijać istotne elementy pracy wywiadowczej. Wydaje się, że do swojej pracy przykładał pan większą wagę niż do niesłuchanie istotnego zadania postawienia Niemców z powrotem na nogi. Ściganie byłych nazistów i szpiegowanie w rosyjskich jednostkach było dla pana ważniejsze niż odbudowa Niemiec?

- Jeżeli pan tak twierdzi...

Aubrey jeszcze mocniej zacisnął dłonie na kolanach i odwrócił spojrzenie. Twarz umierającego Castleforda pojawiła się w jego wyobraźni w ogromnym zbliżeniu - zmętniałe, szkliste, niebieskie oczy, opadająca do tyłu głowa. Niemal widział na dywanie u swoich stóp tę samą twarz. Leżące na boku ciało Castleforda było tak realne, że obawiał się, czy Eldon też go nie spostrzegł, czy widzi strumień krwi płynący ze skroni i rozlewający się po białym gorsie koszuli. Potrząsnął głową i zjawa zniknęła.

- Coś nie w porządku, sir Kenneth? - zapytał Eldon.

- Zmęczenie - mruknął Aubrey.

- Od samego początku pobytu w Berlinie pragnął pan zaspokoić własne ambicje. Budował pan swoją karierę i nie cierpiał pan wtrącania się osób spoza pańskiej służby. Pańska ambicja nie tolerowała żadnych prób ingerencji w pańską pracę, nawet ze strony tak wysokiego urzędnika Komisji, jakim był Castleford. - Wypowiedzi Eldona nie były w istocie rzeczy pytaniami. Było to suche stwierdzenie faktów.

- Jeżeli pan tak twierdzi - powtórzył Aubrey ze znużeniem.

- Czy w parę tygodni po przyjeździe do Berlina zaczął pan organizować własną siatkę agentów?

- Tak.

- Organizował ją pan, aby okazać własną wyższość swoim kolegom, oficerom SIS? Nie był pan przecież wtedy starszym oficerem, mam rację?

- Oczywiście, że nie - burknął Aubrey.

- To dlaczego zaczął się pan zachowywać tak wyniośle? - Eldon podkreślił pytanie gestem. - Odnosił się pan w ten sposób do oficerów starszych od pana stopniem i doświadczeniem - dodał ponuro.

- Przecież ich siatki były w stanie agonii! Większość z nich została założona w pierwszych dniach okupacji Berlina. Otrzymywaliśmy coraz mniej i mniej informacji, rzadziej chwytałyśmy nazistów, nie mieliśmy faktycznego dostępu do sektora radzieckiego...

- Sugeruje pan, że tylko pan znał właściwy sposób postępowania - pan i nikt poza tym?

- To nie to - chodziło mi o świeże spojrzenie, nowe kontakty. - Aubrey spojrział na Eldona. Teraz dywan oświetlony był słońcem. - Chyba jest pan w stanie zrozumieć, co to znaczy, że siatka dogorywa?

- Myślę, że rozumiem. Ale pan nie szanował cudzych uczuć i honoru, jeżeli tylko przeszkadzały one w realizacji pańskich planów. Stał się pan przez to bardzo nie lubiany w kręgach ludzi z wywiadu.

Aubrey drgnął.

- Owego lata obawialiśmy się, że Rosjanie mogą przystąpić do pewnego rodzaju blokady Berlina - musieliśmy uruchomić wszystkie źródła i spróbować ustalić ich plany. W rzeczywistości odłożyli realizację blokady na dwa lata, do 1948 roku.

- I co, pańska nowa siatka zaczęła dostarczać informacji?

- Nie od razu. Ale po upływie pewnego czasu praca sieci zaczęła przynosić efekty.

- Castleford przy wielu okazjach sprzeciwiał się bezwzględnemu lub wręcz niezgodnemu z prawem traktowaniu osób narodowości niemieckiej, prawda?

- Tak było - westchnął Aubrey. - Pamiętam wiele tego rodzaju przypadków.

- Czy w takich właśnie sytuacjach strofował pana za nadgorliwość? Czy chodziło o przetrzymywanie w areszcie obywateli niemieckich bez przedstawienia im zarzutów lub o szantażowanie ich groźbą ujawnienia współpracy z panem? Przekupstwo i towary z czarnego rynku w zamian za informacje. Castleford sprzeciwiał się coraz uporczywiej większości stosowanych przez pana metod, prawda?

- Tak.

- Powodowało to wzrost wzajemnej niechęci pomiędzy wami.

- Oczywiście, że tak. Wchodził mi w drogę przy każdej możliwej okazji. Poszukiwałem hitlerowców i rosyjskich agentów uplasowanych w innych sektorach miasta, aby ich później jako rzekomych przesiedleńców lub wręcz żołnierzy niemieckich przenieść na Zachód. Nie było czasu na uprzejmości.

Eldon zacisnął usta z pogardą.

- A może Castleford wiedział, że wojna skończyła się wcześniej niż latem 1946 roku? - dodał z głęboką ironią.

- Być może. Nie zgadzaliśmy się co do spraw najważniejszych.

W grudniu 1946 roku został pan zatrzymany przez NKWD w rosyjskim sektorze Berlina?

- Tak.

- Dlaczego pan się tam znalazł?

Aubrey wahał się chwilę. Będę się trzymał złożonych wtedy wyjaśnień, zdecydował w myślach. Eldon zapoznał się z moimi raportami. Muszę mu powiedzieć to, czego oczekuje. Głośno zaś rzekł:

- Śledząc wtyczkę, podejrzanego podwójnego agenta działającego w jednej z nowych siatek. To nie była żadna szczególna operacja. Podwójny agent z pewnością wiedział, że za nim chodzę, i udowodnił, po czyjej jest stronie, wydając mnie NKWD.

Aubrey znów usiadł na krześle. Promienie słońca padające na dywan sięgnęły okrągłych nosków jego staromodnych butów, rozplywając się na nich niczym woda. Przed oczyma pojawił mu się niesamowity obraz samego siebie. Był teraz starcem, który zbyt długo spał w leżaku na plaży, nieświadom nadchodzącego przyływu. Wizja nagle zniknęła.

- Był pan oczywiście przesłuchiwany? - dociekał Eldon.

- Tak, przez trzy lub cztery dni.

- I co, zwolniono pana?

- Uciekłem.

- Podczas przesłuchań - które wszak nie były specjalnie miłe - przekazał pan NKWD informacje.

- Nie przekazałem. - Aubrey był w tej chwili zbyt przestraszony i rozbity, aby położyć szczególny nacisk na swoje słowa.

- Ależ przekazał pan...

Wyczuł w głosie Eldona napięcie. Eldon chciał go zaskoczyć następnym efektywnym pytaniem. Aubrey zmrugał powieki i sprężył się w sobie. Co to będzie? - pomyślał.

- Co pan przez to rozumie?

- Castleford zniknął właśnie tego dnia, kiedy pan uciekł z powrotem do sektora brytyjskiego - powiedział Eldon. - Nikt więcej już go nie zobaczył. Raz na zawsze, cicho zniknął z powierzchni ziemi. W 1951 roku w czasie kopania fundamentów pod nowy biurowiec znaleziono prawdopodobnie jego szczątki. Zostały zidentyfikowane na podstawie znalezionej przy nim pierścionka, karty dentystycznej i struktury kości nogi, kontuzjowanej w czasie meczu rugby w Oksfordzie. Pamięta pan, sir Kenneth? - Aubrey nie zdołał opanować dreszczu. - W czaszce była dziura po pocisku. Jego szczątki zostały przywiezione do ojczyzny i z honorami złożone do grobu. Taki był koniec tej historii - ale czy to naprawdę był koniec...

- Czy był? - W tym miejscu na dywanie, gdzie chwilę wcześniej Aubrey widział martwą twarz, szczyrzyła teraz zęby trupia czaszka. Zaczęły mu drżeć ręce.

- Teraz wiemy, co się wtedy zdarzyło.
- Pan wie?
- Proszę to przeczytać, sir Kenneth, jeśli łaska.

Eldon wyjął z teczki kilka powiększonych odbitek i podał je Aubreyowi. Złociły się w słońcu podobnie jak dłoń Eldona. Aubrey biorąc je do ręki poczuł gęsią skórkę.

- Chyba może pan potwierdzić, że figuruje tu pański podpis, sir Kenneth? - mruknął Eldon.

Aubrey spojrział na ostatnią odbitkę. Zastanowił się, jaki dokument widnieje na zdjęciu. Z pewnością stary... Tak, to było jego pismo i jego podpis. Przekartkował plik odbitek i nagle natknął się na rosyjski tekst. Niedbale i nieudolnie napisany, zawierał pytania i odpowiedzi, odpowiedzi, odpowiedzi.

Był to protokół z jego przesłuchania w NKWD, opatrzone adnotacją, że złożył pod nim podpis z własnej woli i bez przymusu, dokument zaś sporządzono w celu przedłożenia go w przyszłości jako dowodu w bliżej nie określonym procesie.

Oszustwo, oszustwo! - pomyślał Aubrey.

- No więc? - przypomniał Eldon. W jego głosie pobrzmiwały nutki satysfakcji. - To oczywiście jest część akt „Łza” dostarczonych nam przez kolegów z Waszyngtonu. - Uśmiechnął się zimno pod wąsem. - Pańskich akt. Eksperti potwierdzili oryginalność podpisu. Jeżeli nadal władza pan rosyjskim tak dobrze jak kiedyś, zobaczy pan, że figuruje pan tam jako osoba, która podała przesłuchującemu nazwisko Castleforda i jego zamiary w Berlinie.

Aubrey podniósł wzrok.

- Ewidentne fałszerstwo - zdołał wyrzec. - Czuł ucisk w piersiach. W uszach słyszał łomot serca, które tłukło się w klatkę piersiową.

- Rozumiem. Czytając tekst, stwierdzi pan, że określił pan Castleforda jako osobę kierującą pracą wszystkich pańskich siatek, a siebie przedstawił jako zwykłego pionka w SIS. W sposób oczywisty sugeruje pan NKWD, że wyłączenie Castleforda z gry jest zagadnieniem najwyższej wagi. Nawet jeżeli by go mieli schwytać. Oświadcza pan w protokole, że był on pana zwierzchnikiem w SIS. Tak przekonywająco nakłamał pan NKWD, że Robert Castleford został przez nich zamordowany jako brytyjski agent! - Eldon przełknął ślinę i dodał cicho: - W chwili gdy zdradził pan Castleforda, zdecydował się pan związać swój los z NKWD i stał się pan rosyjskim agentem.

Aubreya zatkało. Nie był w stanie odezwać się.

Mieli go.

Zadzwonił telefon i Massinger schwycił słuchawkę. Jednocześnie już mająca po nią sięgnąć ręka Ros zastygła na moment obok jego dłoni, aby po chwili cofnąć się. Wyglądało to tak, jakby kobieta gestem odżegnywała się od mającej nastąpić rozmowy. Przytuliła do swych ogromnych piersi kotkę.

- Słucham?
- Massinger?
- Tak.

To był Hyde. Paula zalała falą ulgi. Po drodze do Philbeach Gardens nie zauważył wprawdzie, aby ciągnął za sobą obserwację, ale wątpił we własne ustalenia w tym zakresie. Minęło nazbyt wiele czasu od chwili, gdy wykorzystywał umiejętność prowadzenia kontrolobserwacji. Mógł już zapomnieć, jak to się robi.

Było jasne, że Hyde dzwoni z automatu, chociaż w tle słychać było muzykę, którą Massinger usiłował rozpoznać. Kwartet skrzypcowy - Mozart?

- Skąd dzwonicz Jesteś bezpieczny? - zapytał.
- Nie bardzo. Namierzają mnie. Jestem na recitalu muzyki kameralnej. Nikomu nie przyjdzie do głowy szukać ignoranta muzycznego w takim miejscu.
- Trzymasz się z dala od ciągów komunikacyjnych?
- A jakże! Od dworców autobusowych też. Ostatniej nocy byli już blisko.
- Jak blisko?
- Parę cali. O włos.
- Ale jesteś cały?
- Nadal zachowuję zdolność do działań operacyjnych, jeżeli wiesz, co to oznacza. Ale zbyt długo to nie potrwa. Ludzie z tutejszej placówki znów próbowali mnie zabić ubiegłej nocy.

- Mój Boże, jesteś pewien? Co ja mówię, przepraszam, oczywiście, że jesteś pewien. Muszę przyjechać do Wiednia. Dzisiaj spotkam się z Shelleyem. Powinien mieć dla mnie parę użytecznych informacji. Jutro. Przylecę jutro.

- W takim razie w pokoju w hotelu Inter-Continental.
- Czy jeszcze coś? Czy jest jeszcze coś, na co muszę uważać?
- Nie... - odparł z wahaniem Hyde.
- Może jednak? - nalegał Massinger.
- No, dobra - ubiegłej nocy musiałem zabić jednego z nich. Jednego z naszych.
- Cholera!
- Nie miałem wyboru.
- Rozumiem. Słuchaj, mam kopie materiałów obciążających Aubreya - są sfabrykowane. Jest przez nie w kiepskiej sytuacji.

- Słuchaj, koleś, ta cholerna sytuacja jest o wiele bardziej kiepska dla mnie.
- Tak, zdaję sobie sprawę. Mam pewien plan, coś, co będzie mogło odwrócić bieg wydarzeń. W Wiedniu.

- Chryste! Chłopie, wszystko, czego pragnę, to zmyć się z Wiednia.
- Przywiozę ci dokumenty, które umożliwią wyjazd, ale prawdopodobnie nie będziesz mógł wyjechać od razu.

- Jezu!

- Słuchaj, nie rozłączaj się. Ta sprawa jest... To wielka sprawa, Hyde. Jeżeli chcemy pomóc Aubreyowi, będziemy musieli podjąć ryzyko, największe ryzyko w życiu. Rozumiesz? To nie jest już teraz tylko kwestia twojego życia.

Tak, Mozart. Jeden z kwartetów! Gdzieś w pobliżu Hyde'a otworzyły się drzwi i dźwięk muzyki nasilił się.

- Hyde? Nic się nie dzieje?

- W porządku. Bez paniki. Pośpiesz się, jeżeli możesz.

- Okay. Jutro. - Podpis Aubreya pod zeznaniami, w których wymieniono nazwisko Castleforda. Na chwilę wyraziście odżył mu w pamięci dokument, z którym zapoznał się w zaciszu swojego klubu, aby Margaret nie mogła się nawet domyślić, co robi. Bardzo sprytnie, dobrze przygotowane, z wyczuciem. Materiały zapierały dech w piersiach i na co najmniej dziesięć minut zachwiały jego wiarę w fałszerstwo. W Wiedniu skończył się kwartet Mozarta. Niemal słyszał oklaski.

- Jutro - powtórzył - Inter-Continental.

Usłyszał, jak Hyde z ulgą wypuszcza powietrze z płuc.

- Do zobaczenia.

Połączenie zostało przerwane i w słuchawce zaległa cisza. Massinger powoli odkładał słuchawkę, nieświadom, że nie jest sam w pokoju, że w ogóle tu jest.

- Czy u niego wszystko w porządku? - zapytała Ros.

- Mhm - co? - Massinger spojrział w górę. Kotka spoczywała wygodnie na rozłożystych piersiach Ros. - O, tak. Na razie.

- Czy może mu pan pomóc?

- Myślę, że tak.

Twarz Ros stężała, lecz po chwili pojawił się na niej wyraz dzikiego, panicznego strachu. - Więc, na Chrystusa Pana, zrób pan to! - jęknęła.

Massinger odwrócił się plecami do ostrej w wyrazie, okrutnej - a teraz tak bardzo mu bliskiej nastrojem - satyry Hogartha *Marriage à la mode*.

Jego wzrok spotkał się z patrzącymi ponad czasem oczyma *Mr and Mrs Robert Andrews*. W jednej chwili zrozumiał piękno bezpiecznego azylu ukazane na tym płótnie.

Przeniósł wzrok na *Salisbury Cathedral* Constable'a, biel, zieleń i błękit, kolory niewinności, w które on nie mógł się oblec. W XVI sali Galerii Narodowej panowała cisza, zakłócona tylko szeptami grupy uczniów prowadzonych jak stado owiec przez nie interesującą ich skarbnicę dziedzictwa artystycznego.

On i Shelley, w identycznych ciemnych płaszczach przeciwdeszczowych, wyglądali w tym otoczeniu trochę groteskowo.

- Pierwsza sprawa - powiedział Shelley. - Nowe dokumenty Hyde'a. Są wzorowo przygotowane. Powinny zapewnić mu bezpieczeństwo co najmniej na kilka dni, może nawet dłużej. - Podał Massingerowi mały płaski pakiet, który ten schował pośpiesznie do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Było to jakby ostateczne potwierdzenie członkostwa w jakiejś tajemnej organizacji. Shelley ze swoją bladą, zbolałą twarzą wyglądał na wyniszczonego strachem i brakiem snu. - Dalej - relacjonował Shelley. - Do dokumentów Hyde'a włożyłem aktualne zdjęcie rezydenta w Wiedniu. Obecnie nazywa się on Karol Bajew.

- Dziękuję, Peter. Rozmawiałem z Hyde'em.
- No i jak się miewa?
- Zabił w Wiedniu jednego z twoich ludzi.
- O Boże.
- Musiał.
- Rozumiem. Czy rzeczywiście siedzą mu już na karku?
- Nie może dłużej czekać.
- Musimy mieć zeznania Hyde'a.
- Wiem, ale to nie wystarczy. Musimy mieć również i całą resztę.
- Wiem - przytaknął ponuro Shelley.
- Więc co masz dla mnie? Przejdziemy się?

Zaczęli okrążyć salę. Massinger żałował, że pozostawia niewiarygodnie wyrazisty wizerunek katedry w Salisbury i oddala się od zielonej rozległej łąki. Nawet iluzoryczny spokój, którym emanował ten obraz, był dla niego bezcenny.

Portrety pędzla Gainsborougha i Reynoldsa; zadowolone z siebie twarze osiemnastowiecznych arystokratów. Irytowało go promieniujące z nich poczucie bezpieczeństwa, kiedy spoglądał na obrazy, słuchając jednocześnie relacji Shelleya na temat danych wydobytych z archiwum. Od czasu do czasu przytakiwał skinieniem głowy, zapamiętując najdrobniejsze szczegóły. *Fighting Temeraire* Turnera, później jego mglisty, przesycony wirującym ruchem *Rain, Steam and Speed*. Uczniowie już opuścili salę. Znowu powrócił spokój. Głos Shelleya ścichł, przystosowując się do cisy otoczenia. Obcasy jego rozmówcy stukwały o posadzkę. W końcu stanęli przed mrocznym, zamazanym i pozbawionym form półświatem ukazany na obrazie *Sun Rising in a*

Mist Turnera. Ten świat przygaszonych barw i perłowe, zamglone światło odpowiadały nastrojowi Massingera.

I ostatnie słowa Shelleya.

- ...Jeżeli się zdecydujesz w to bawić, to Cass jest specjalistą od pentatholu. Może być w Wiedniu jutro po południu. Pamiętaj. Jeżeli nie masz doświadczenia w stosowaniu tego środka lub nie zaznajomiłeś się z technikami jego użycia... - Massinger poruszył niezdecydowanie głową - to możesz popełnić błąd. Równie dobrze mógłbyś próbować otwierać muszlę ostrygi. Cała rzecz jest bardzo ryzykowna, profesorze.

Blade słońce Turnera przebijalo się przez mgłę.

- Wiem.

- Więc sądzisz, że mógłbyś to zrobić? Dlaczego zamiast tego nie wywieziesz Hyde'a?

Massinger energicznie pokręcił głową.

- Nie, Peter. To musi być zrobione. Wyrównamy rachunki. Musimy się dowiedzieć, co się za tym kryje. Wiedeńska placówka pracuje nie tylko dla ciebie. Hyde ma rację, mówiąc o zmowie. Nie odróżniamy przyjaciół od wrogów. Nie wiemy nawet, czy w ogóle mamy przyjaciół.

Shelley wzdrygnął się.

- Dobrze. W takim razie musicie pozyskać zaufanie tego człowieka. Jego najbliższym przyjacielem jest Paweł Kozłów. Mówisz po rosyjsku, profesorze, znasz Kozłowa. Kiedy będziesz rozmawiał z wiedeńskim rezydentem, po zaaplikowaniu mu pentatholu musisz udawać Kozłowa. - Shelley wygłosił tę kwestię mentorskim tonem, instruując współnika przed ważnym sprawdzianem.

Massinger wolno pokiwał głową. Była to przemyślana, wyważona zgoda naukowca, ustępującego pod naciskiem argumentów.

- Rozumiem. Dobrze, jeżeli to konieczne, będę Kozłowem.

- Ale czy potrafisz to zrobić? - zapytał Shelley z naciskiem.

- Cóż, będę musiał. - Massinger uśmiechnął się z lekkim rozbawieniem. - Porzucimy troski, Peter. Przecież to nasza jedyna szansa.

- Czy nie przypuszczasz, że sprawa Aubreya jest wynikiem kombinacji operacyjnej realizowanej według ich scenariusza „Domek z kart”?

- Jeżeli zakończyłaby się sukcesem, mogłaby spowodować identyczny efekt - odpowiedział Massinger. - Wywołać w twojej służbie totalny bałagan, wzbudzić waśnie na wszystkich szczeblach. Przypuszczam, że jest to możliwe. Ale równie dobrze to może być vendetta dokonana na Aubreyu.

- Ale nasi ludzie pomagają im w tym.

- Ostatni cios. Dlatego musi mi się udać przedzierzgnięcie w Pawła Kozłowa. Dlatego muszę zmusić rezydenta, aby zaczął mówić.

- Czy nie moglibyście pójść z tym, co już mamy, do JIC, a nawet do pani premier? Wziąć ze sobą Hyde'a?

- Dostałem już sygnał, żebym się dalej nie posuwał.

- A co z sir Williamem?

- To właśnie sir William przekazał mi ostrzeżenie. Nie uwierzą nam. Sami starzy koledzy i przyjaciele Aubreya. Nieciekawe towarzystwo. No, ale nie musi to być sprawa z góry przesądzona. Spojrzał jeszcze raz na obrazy Turnera. - Chodźmy, Peter. To malarstwo działa na mnie przygnębiająco.

- Nadal opierasz się na szaleńczych założeniach, profesorze.

- Wiem o tym. Ale jeśli uda się nam z niego wydobyć i nagrać na taśmę chociaż część prawdy, będziemy mogli wówczas iść do sir Williama czy nawet do pani premier i powiedzieć, czego dokonali działający z ich upoważnienia posłuszni chłopcy. - Jego uśmiech był jednocześnie szyderczy i pełen determinacji. - Nie ma innego wyjścia, Peter. Musimy mieć potwierdzenie.

Massinger czuł się przytłoczony ogromnymi renesansowymi płótnami wiszącymi na ścianach po obu stronach korytarza, którym zmierzali ku głównej klatce schodowej.

- Co mógłbym zdziałać podczas twojego pobytu w Wiedniu? - zapytał Shelley, który wśród tych ogromnych obrazów szukał swoistej formy dowartościowania własnej osoby.

- Sprawdź wiedeńską placówkę - wszystko, wszystkie jej możliwości. Musimy się dowiedzieć, jak głęboko zakopana jest ta beczka prochu i czy to jedyna beczka w tym mieście.

Shelley skinął głową. Wydawał się uspokojony faktem, że otrzymał zadanie do wykonania, że ktoś znów mu rozkazuje. Massinger był dlań tożsamy z Aubreyem. Ciężar przedsięwzięcia przytłoczył Massingera, a jego nogi niepewnie stąpały po marmurowych schodach prowadzących do głównego hallu przy wejściu. Czuł się stary, zmęczony i bardzo niepewny. Czekąco go niebezpieczeństwo, wątpliwości i najprawdopodobniej niezadowolające zakończenie całej sprawy. Ale bardziej niż ryzyka zawodowego obawiał się o przyszłość swego małżeństwa. Kiedy patrzył żonie w oczy, wydawała mu się nierzeczywista - nieszczęsna, zdradzona Eurydyka. Jeżeli była taka, jak podejrzewał, to nigdy mu nie wybaczy. Był o tym najgłębiej przekonany, poczuł wręcz fizyczny, ostry ból w piersiach.

Powie jej, że dawny uniwersytecki rywal, a obecnie przyjaciel, Master, zaprosił go na kilka dni do Cambridge. Ona w to uwierzy. Miała dużo zajęć związanych z pracą w Komitecie. Będzie spokojna, że on również ma zajęcia i towarzystwo.

Uwikłał się w kłamstwa. Wybrał drogę, której szczerze pragnął uniknąć.

Pozegnął się z Shelleyem na schodach. Ponad Trafalgar Square wzbilo się w zimnych promieniach słońca stado gołębi, wyglądających teraz jak szara chmura.

- Bądź ostrożny - upomniął go Shelley. I w obawie, że wypadki mogą potoczyć się w nieprzewidywany sposób, dodał: - To nie wygląda dobrze! - Jego słowa były szczerze, płynęły z głębi serca. - Z pewnością to, czym dysponujemy, nie gwarantuje nam odniesienia sukcesu.

- Nie wiem, Peter - ponuro odparł Massinger. - Po prostu nie możemy obrać innego kursu. Musimy podążać tą drogą. Nie mamy wyboru. Uważaj na siebie.

Wszystkie te słowa wydawały się im puste i nie przynosiły pociechy.

Było prawie ciemno, kiedy Massinger dotarł do domu. Wszedł do hallu na parterze i zaczął się wspinać po schodach na górę. Przed powrotem przestudiował w klubie, przy osiemnastowiecznym biurku, nowe dokumenty Hyde'a; pokrótce zanotował też wszystko, co widział, słyszał i pamiętał o Pawle Kozłowie. Zarezerwował sobie miejsce na poranny lot British Airways do Wiednia oraz pokój w hotelu Inter-Continental.

Uciążliwa wspinaczka stawała się coraz powolniejsza, jak gdyby ciężar winy z każdą chwilą bardziej go przytłaczał. Czeką na niego Margaret. Pewnie już zaczęła przygotowania do kolacji, pomagając kucharce sama przyprawia sossy i leguminy. W pierśsiach czuł ciężki głąz, który nie zniknie. Włożył klucz do zamka, przekręcił i pchnięciem otworzył drzwi. Nadślułchiwał, ale do jego uszu nie dochodził żaden hałas. Także z kuchni nie dochodziły odgłosy rozmowy. Otworzył drzwi do salonu.

Margaret i Babbington siedzieli obok siebie zwrócenii twarzami do drzwi. Osobno, ale pozostając ze sobą w jakimś subtelnym związku.

Wyraz twarzy Babbingtona był niemal poważny. Tego człowieka przepelniała wręcz wściekłość i agresja zlekceważonego władcy. Nawet nie zdjął płaszcza. Massinger położył swój kapelusz i rękawiczki na półce wieszaka w przedpokoju.

Margaret też była wściekła. Zdradzona, oszukana. Jej oczy patrzyły twardo i oskarżycielsko.

Wiedziała, skądś wiedziała...

Babbington jej powiedział.

Co powiedział?

Massinger, niczym uczeń złapany na drobnej kradzieży, przypomniał sobie, że w wewnętrznej kieszeni płaszcza kryje się dowód jego przestępstwa - nowe dokumenty dla Hyde'a.

Rozdział IV

Wygnanie

Po pierwszym szoku uderzyła Massingera napięta, niezwykła cisza. Pomyślał, że ten pokój tak często pełen był muzyki, płynącej z płyt słuchanych przez Margaret, jej własnej gry na fortepianie, jej śpiewu.

Myśli o muzyce przypomniały mu kwartet Mozarta, który słyszał przez telefon, rozmawiając z Hyde'em. Miał świadomość odpowiedzialności za los tego człowieka. W rękach czuł jeszcze ciężar pakietu z jego dokumentami.

- Paul, gdzie byłeś? - wybuchnęła Margaret. Była w tym pytaniu troskliwość i zaniepokojenie żony, ale i rozpacz w przewidywaniu najgorszego. Babbington wprowadził ją już w świat wyrafinowanych koszmarów. - Co się dzieje? - ciągnęła. - Andrew mówił mi o różnych... - Spuściła wzrok i zamilkła. Nagle poczuła się jakby uczestnikiem spisku przeciwko niemu. Paul dostrzegł, że Babbington wpatruje się w nią z wyrazem niemalże chciwego pożądania. Chociaż sytuacja, w jakiej ich znalazł, wcale o tym nie świadczyła, zaczął podejrzewać, że tych dwoje łączy stara więź.

W tym momencie Babbington spojrział na niego. W jego oczach była nie skrywana satysfakcja.

- Co się stało, kochanie? - zapytał Paul tak łagodnie, jak tylko potrafił.

- Wiesz, co się stało! - odparła z wyrzutem, podnosząc na niego oczy, a jej twarz znowu spoważniała. - Andrew nie chciał mi powiedzieć, musiałam z niego... - Zawstydziała się. - Wciąż starasz się pomagać temu człowiekowi!

- Kochanie - rzekł zbliżając się do niej. Kostki jej dłoni białeły na tle oparcia obitego pluszem fotela. Na palcu miała jedynie pierścienek zaręczynowy i wąską złotą ślubną obrączkę. Twarz Babbingtona zdradzała, że jest świadom, iż to, jak się zachowa, przesądzi o efektach tej rozmowy. - W jaki sposób? Może w klubie, u moich maklerów? - Kłamstwa gładko płynęły mu z ust. Teraz zwrócił się, do Babbingtona:

- Andrew, czy mógłbyś mi wyjaśnić, czym tak zdenerwowałaś Margaret?

- Wcale nie jestem zdenerwowana! Po prostu nienawidzę tego człowieka!

- Margaret, na miłość boską! - Nie spuszczał wzroku z twarzy Babbingtona. Te wszystkie zarządy, kontrakty z Quango, koła, do których miał uzyskać dostęp, cały szacunek - wszystko to straciło znaczenie. Oto na czym polegała prawdziwa siła

Babbingtona: kobieta we łzach, niemal w hysterii, pełna lęku, gniewu i nienawiści. Babbington dowiedział, że był w stanie nieodwracalnie zatruć umysł Margaret.

Castleford...

Już po raz kolejny uświadomił sobie, ileż to wizerunków jej ojca wypełnia ten salon i inne pokoje. Portrety spoglądały ze ścian. Castleford jest tutaj, jest wraz z nimi w tym domu, pomaga Babbingtonowi. Poczul w gardle gorzki smak mdłości.

Wtedy przypomniał sobie Aubreya. Fotografie i portret gapiły się na niego, ale gdzieś na dnie świadomości Aubrey błagał o wstawiennictwo, domagał się ratunku.

Aubrey...

- Moja droga... - szepnął Babbington, ująwszy Margaret za lewą dłoń. Dotykał swymi długimi palcami jej pierścionków. Massinger stojąc obok niego aż zacisnął pięści. - Moja droga, idź, uspokój się trochę. Uważam, że będzie lepiej, jeśli pozwolisz mi porozmawiać jeszcze o tym z Paulem... Dobrze?

Spojrzała na Babbingtona, skinęła głową, pociągnęła nosem i wstała. Pokaz hipnotycznej władzy Babbingtona nad jej umysłem trwał dalej. Margaret opuściła pokój. Massinger zdjął płaszcz, uważając, by pakiet nie wypadł, i przewiesił go przez oparcie fotela. Światła kinkietów świeciły posępnym blaskiem w tym wielkim pokoju pełnym nastroju wyczekiwania.

- A więc? - rzucił oskarżycielsko. - O co ci, do diabła, chodzi, Andrew?

Stanął nad Babbingtonem, który nawet nie próbował wstać.

- Cholera, co ty wyczyniasz, Paul? To chyba ja mam prawo pytać, a nie ty. Co ty wyprawiasz, człowieku? - Nawet w tej chwili jego ręka wskazywała na drzwi, przez które wyszła Margaret. - Co robiłeś na Earl's Court, u Hyde'a? Z kim rozmawiałeś, z jego gospodynią? Po co, człowieku? A co robiłeś z Shelleyem w Imperialnym Muzeum Wojskowym? Dlaczego Shelley wymknął się obserwacji przed spotkaniem z tobą? - Jego oczy błyszczały, ale Massinger podejrzewał, że na te wszystkie pytania brakło mu jednak odpowiedzi. Użył ich po prostu zamiast oskarżeń. Oby się nie dowiedział, pomyślał Paul zdając sobie sprawę ze słabości własnej pozycji. On, Shelley i Hyde. Było ich tylko trzech...

Za mało.

Bądź ostrożny, upomniął sam siebie w myślach, starając się jednocześnie uwolnić od obrazu żony, uśmierzyć swój gniew i stworzyć klimat odpowiedni do udzielenia uprzejmych wyjaśnień. Bez zbytejnej uległości i pośpiechu zaczął mówić:

- Nie rozumiem, Andrew, po co się wtrącasz. Naprawdę uważam, że nie ma potrzeby, abyś przychodził tutaj i napauszczał na mnie Margaret. - Kiedy zaczął wyjaśniać,

odszedł o parę kroków od Babbingtona, a teraz znów odwrócił się do niego przodem. Z rozmysłem wziął do ręki karafkę z whisky. - Może to nieprawda? - dokończył.

- Ja napuszczam? - uśmiechnął się Babbington. - Ty chyba nigdy nie miałeś właściwego wyczucia proporcji, Paul. Nie nastawiam Margaret przeciw tobie, po prostu staram się wyjaśnić, w co się, u licha, zaangażowałeś, to wszystko. - Ta uwaga miała zachęcić Paula do konkretnych wyjaśnień.

Byle nie za szybko, powtarzał sobie Massinger. Nalał jedną dużą whisky, nie proponując drugiej kolejki Babbingtonowi. Z takim napięciem myślał o Margaret, że aż czuł fizyczny ból w piersiach. Z trudem koncentrował się na obronie przed atakiem Babbingtona.

- Czyżbym był ci winien jakieś wyjaśnienia, Andrew?

- O, tak, myślę, że tak. Przecież nawet nie znasz tego Hyde'a. Dlaczego nagle cię zainteresował?

- Ja... - Massinger był zamyślony, wyglądał na lekko speszzonego, ale podjął już ostateczną decyzję. - Aubrey poprosił mnie, żebym sprawdził... - zaczął wolno.

- Co takiego?

- Aubrey poprosił mnie, żebym sprawdził... - szedł na całego. - To chyba proste. Chciał wiedzieć, czy były jakieś wieści od Hyde'a. Czy to cię zadowala?

Czy ten blef się uda? Może przesadziłem? Czy udało mi się oszukać Babbingtona, wykorzystując do tego celu jego nie najlepsze mniemanie o mnie? Czy dość tego kłamstwa, aby dał mi wreszcie spokój? - rozważał intensywnie Massinger.

Babbington uśmiechnął się pogardliwie, a jego oczy niemal rzucały obelgi: chłopiec na posyłki, piesek pokojowy... Massinger zastanawiał się, czy ten człowiek nie zniszczy jego szczęścia dla zabawy.

- Aubrey cię prosił - powtórzył sarkastycznie Babbington. - I cóż, powiedz mi, proszę, zdołałeś ustalić?

- Gospodyni Hyde'a nie miała od niego żadnych wieści.

- A jeżeli chodzi o Shelleya? Twoje spotkanie z szefem Wydziału Europy Wschodniej? - Babbingtonowi zdawało się, że to spotkanie trwało bardzo krótko.

- Tak samo - warknął Massinger rozdrażniony tym przesłuchaniem. - Słuchaj, do cholery, zwrócił się do mnie stary przyjaciel z prośbą o pomoc. Nie jesteś w stanie tego zrozumieć? Aubrey był zdesperowany, przerażony i samotny. Musiałem zrobić to, o co mnie prosił. Nie mogłem odmówić!

Tak, tak, pomyślał podnosząc do ust kieliszek i przyglądając się uważnie Babbingtonowi. W jego oczach dostrzegł odpowiedź. Lojalność, stara przyjaźń - to puste pojęcia.

Babbington ostatecznie go zaklasyfikował jako człowieka sentymentalnego. Oznaczało to, że będzie teraz próbował wy badać, jakie skutki spowoduje groźba zniszczenia ich szczęścia małżeńskiego. Massinger nie drgnął nawet, choć odczuł przyływ ulgi. Udało się...

Ale tylko na moment.

- Rozumiem - rzekł cicho Babbington. - I jakie są rezultaty twojej działalności?
- Zjednywanie sympatyków nie jest w dzisiejszych czasach w modzie - odparł z goryczą Paul. - Przynajmniej nie dla beznadziejnych spraw.
- Aha. Uważasz sprawę Aubreya za beznadziejną?
- Nie wierzę, że jest winien.
- Nie o to pytam.

Massinger wzruszył ramionami.

- W tej sprawie nie więcej nie zdziałam, tak czy owak - przyznał niechętnie.
- I ja również tak sędzę. - Babbington wstał. - Dziękuję za szczerość - rzekł czyniąc krok w stronę Paula i wyciągając rękę. Massinger, jakby na przekór, nie wypuszczał swojego drinka z rąk. Wówczas Babbington dodał: - Zjrzę jeszcze na słówko do Margaret, nic się nie martw, uspokoi się; jej ojciec był naprawdę niezwykłym człowiekiem. Wiesz przecież o tym. Zwłaszcza w jej przekonaniu. - Massinger uściśnął mu wreszcie dłoń. - Jestem zadowolony, że wyjaśniliśmy sobie te sprawy, Paul. Dziękuję, że byłeś tak szczery. - W rozbawionych oczach Babbingtona widać było okrucieństwo i wyraźną pogardę.

- Margaret ma już tego wszystkiego dość, Andrew - ostrzegł Massinger.
- To prawda. Dobranoc, Paul.

Wyszedł do jadalni, zamykając za sobą drzwi. Massinger dopił drinka. Jakaż pogarda władzy wobec uczuć! Alkohol, a także pełne satysfakcji zadowolenie z własnej przebiegłości i intuicji rozgrzały go. Ubolewał tylko, że Babbington zwraca mu Margaret jak pożyczony przedmiot, ale mimo to czekał z uśmiechem, aż żona stanie w drzwiach.

- Paul - powiedziała. Tak! Była uśmiechnięta. - Paul, Andrew wszystko mi wyjaśnił! Teraz rozumiem, czego usiłowałeś dokonać. - Zaakceptowała więc jego postępowanie. W jej tonie była jakaś wyższość i niemal matczyne zrozumienie. Nie zwracał na to uwagi, po prostu przytulił żonę, czując jej oddech na szyi. Pokonał Babbingtona.

Babbington pokazał mu, jaką ma władzę nad Margaret, a także raz jeszcze udowodnił, jaką moc posiada nieżyjący Robert Castleford. Babbington bez wahania może użyć Castleforda przeciwko niemu, tak samo jak użył go przeciw Aubreyowi; tylko po to, żeby zaspokoić własne ambicje. Jeśli coś już chwycił w ręce, to tego nie wypuszcza.

Tak było z połączeniem funkcji dyrektora generalnego MI5 i SIS. Władza absolutna w świecie tajemnic. Nie cofnie się przed niczym, by tę władzę utrzymać. KGB dostarczyło mu środków, aby wykończyć Aubreya. Babbingtona nie obchodziło ani trochę, gdzie leży prawda, jakie były motywy KGB, jakie mogą być skutki tej sprawy, nie obchodziło go nawet, że mogła istnieć zмова...

Nie rozumie żadnego z tych uwarunkowań. Zapatrzony jest tylko we własną karierę, we własny sukces.

To było okropne. Massinger łagodnie odsunął od siebie żonę. Jej oczy wciąż lśniły resztkami łez, a twarz promieniała. Jego miłość i lęk, by nie utracić Margaret, graniczyły z bólem. Nie mógłby tego znieść, nie byłby w stanie...

Ale musiał.

- Kochanie - wyszeptał.

Uniosła do góry lewą dłoń ozdobioną otrzymaną od niego biżuterią, której brylanty błyskały w łagodnym świetle. Dotknęła jego skroni, a potem policzka. Nie pomogło mu to, ale odebrał ten dotyk jako pewnego rodzaju ostateczne błogosławieństwo przed rozstaniem.

- Mój kochany... - wyszeptała. - Chwyć jej dłoń, a ona rozchyliła usta. W ciele Paula szybko narastało gorące podniecenie. Margaret była tak pociągająca fizycznie. Wiedział, że ona przeżywa już wizję zbliżenia. Wyobrażał sobie jej łagodną, pobladłą twarz, rozmarzoną w oczekiwaniu nadchodzącej rozkoszy.

Trzymał mocno rękę żony, lecz nie pozwolił się jej ponownie przytulić.

- Margaret - zaczął ze skrucą w głosie. - Margaret, posłuchaj.

- O co chodzi?

Podprowadził ją do sofy i zmusił, żeby usiadła. Była zadowolona i rozbawiona zarazem. Sam usiadł tak, aby jej nie dotykać. Ujął tylko jej dłonie w uroczystym geście.

- To się jeszcze nie skończyło... Cokolwiek powiedziałem Babbingtonowi, to jeszcze nie koniec - wyszeptał. - Margaret wyglądała na dotkniętą, wręcz zranioną jego słowami. - Zaczekaj, wysłuchaj mnie, zanim coś powiesz. - Uniósł rękę w ucziszającym geście. - Posłuchaj, zanim coś powiesz, zanim mnie osądzisz.

Skinęła wreszcie sztywno głową. Jej jasne włosy okryły policzki i czoło.

- Dobrze.

- Ta sprawa nie dotyczy Aubreya - rozpoczął. - To znaczy nie tylko Aubreya. Posłuchaj, nie rób takiej miny, nie możesz go przecież aż tak nienawidzić... - Zostawił jednak ten argument na boku i brnął dalej. - Dysponuję dowodami dostarczonymi przez człowieka pracującego dla Aubreya w Wiedniu, że stoi za tym KGB. Tę informację potwierdza Peter Shelley. Niezależnie od tego, gdzie leży prawda, to oni

wykorzystują tę sprawę. Mało tego, człowiek Aubreya omal nie zginął z rąk naszych ludzi. - Przerwał. Margaret była z początku zakłopotana, nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi. Potem dopiero zapagnęła wyrzucić z siebie złe myśli, jak gdyby przebłysk zdrowego rozsądku oświecił mroki przykrych doświadczeń i spowodował, że cała sprawa nabrała absurdalnego, niedorzecznego wymiaru. - Nikt inny w to nie wierzy. Nikt nie jest tym zainteresowany. Babbingtona zaślepiają własne ambicje, sir William natomiast cieszy się, widząc Aubreya pod ścianą, ponieważ zawsze przekonywał Kancelarię Premiera i JIC, że służby bezpieczeństwa i wywiadu powinny być zjednoczone. - Oczy Margaret zdradzały, że odrzuciła jego wyjaśnienia przed przyjęciem ich do wiadomości. Machnęła ręką. Był bezsilny. - Teraz rozumiesz - zakończył - dlaczego nie mogę porzucić tej sprawy.

Milczała przez dłuższą chwilę, wreszcie odrzekła krótko:

- Nie, wcale nie rozumiem.
- Ale musisz.
- Nic nie muszę! Rozumiem tylko to, że w dalszym ciągu zamierzasz pomagać człowiekowi, który zdradził mojego ojca i spowodował jego śmierć!
- Przecież nawet nie wiesz, czy to prawda!
- Ciebie to i tak nie obchodzi! I tak byś im pomagał!
- Kochanie, naprawdę, przysięgam, jeśli dowiem się, że zarzuty są prawdziwe, odtrącę go tak jak inni. Jeśli Aubrey przyczynił się do zabójstwa twego ojca, to niech go piekło pochłonie. Nie tknę palcem, żeby mu pomóc.
- Nie zniosę tego... - wyszeptwała.
- Nie mogę postąpić inaczej.
- Dlaczego nie miałbyś porozmawiać o tym z Williamem? Proszę.
- Ponieważ on jest całkowicie przekonany, że Aubrey to zdrajca. Tak jak wszyscy inni. Nie chcą zagłębić się w tę sprawę.
- A ty chcesz! - rzuciła oskarżycielsko.
- Muszę.
- Więc to tylko Paul Massinger jest nieomylny? Paul Massinger wie, co jest najważniejsze.
- Przecież wiesz, że to wszystko nieprawda!
- Niby skąd mam wiedzieć? Wielki Boże, przecież to nawet nie jest twoja ojczyzna.

Wstał, nie mogąc znieść jej rozgorączkowanego spojrzenia i oskarżeń. Przeszedł na drugą stronę pokoju i stamtąd spojrzął na nią.

- Powierzam ci moje życie - rzekł spokojnie. - Powiedziałem ci o tym, ponieważ musiałem. Obiecałem Babbingtonowi, że nie posunę się dalej. Jesteś jedyną osobą, która wie, że nie skończyłem z tym. Jadę na kilka dni do Wiednia, muszę odszukać tego człowieka, który pracował dla Aubreya. - Odwróciła głowę. Massinger oparł ręce na biodrach i pochylał się błagalnie. - Proszę cię, nie mów nikomu. Gdyby ktoś pytał, jestem w Cambridge, kilkudniowy wyjazd służbowy. W bezpiecznym miejscu - dorzucił ironicznie. - Gdy tylko wrócę, wszystko ci opowiem, pozwolę ci podjąć decyzję.

Odwróciła ku niemu zaczerwioną twarz, rękami mięła materiał sukni. Odrzuciła do tyłu włosy.

- Nie wracaj - rzekła. - Po prostu nie wracaj. - Teraz i ona wstała. Jej ciało zeszywniało z napięcia. - Jeżeli opuścisz dom dla tego człowieka - Paul aż jęknął uświadomiamyjąc sobie, że odrzuciła jego wyjaśnienia - to możesz się już nie trudzić, aby tu wracać. Nie obchodzi mnie, czy jestem głupia, czy złośliwa, po prostu tego nie zniosę! Jeżeli jedziesz, by pomóc temu człowiekowi, to między nami koniec. Skończone.

I szybko wyszła zamykając drzwi jadalni. Podkreślało to jakby jej determinację i nieodwracalność podjętej decyzji. Massinger przeniósł spojrzenie na portret Castleforda. Ojciec żony patrzył na niego oskarżycielsko i wrogo. To były jej oczy. Oboje mieli takie same oczy, które miały teraz ten sam wyraz. Potarł czoło i jęknął głośno.

Skończone.

Trident należący do British Airways zniżał się ku ośnieżonemu pejzażowi południowo-wschodnich przedmieść Wiednia, rozrzuconych wokół lotniska Schwechat. Podkrążonym i piekącym oczom Massingera zdawało się, że krajobraz jest jednolicie szarobiały. Czuł się jak kłoda drewna po bezsennej nocy spędzonej w hotelowym łóżku nie opodal Heathrow. Z hotelu pojechał taksówką na lotnisko, czekał w hali odlotów, a wreszcie opadł na fotel przy oknie samolotu. A jeszcze tak niedawno Paul działał niczym sprawny automat, pakując się, biorąc paszport, karty kredytowe, portfel, dokumenty Hyde'a, zamawiając taksówkę i - unikając myśli, że Margaret jest w innym pokoju w głębi mieszkania i nie chce go widzieć.

Jego umysł otepiał. Nie uwolnił się od złych myśli, nie zrelaksował, lecz po prostu otepiał. Paul nie mógł dłużej wspominać żony ani myśleć o niej. Utracił ją. Ta świadomość niczym ściana chroniła go przed innymi obrazami i refleksjami.

Koła stukały o beton, a za oknem pędzącego samolotu migwały pokryte śniegiem trawa i beton. Śnieżne pługi usypały księżycowy krajobraz.

Samolot kołował, po czym cofnął się ku zaskakująco prowincjonalnemu, skromnemu budynkowi dworca. Schwechat było portem przypominającym lotniska we wschodniej

Europie. Odkryte, płaskie niczym dziecięcy model prawdziwego, dorosłego lotniska. On i Margaret często lądowali na Schwechat, przylatując na koncerty, do opery, do wiedeńskich galerii...

Wspomnienia rozwiewały się, a on nie miał sił, aby je zatrzymać. Towarzysząca lądowaniu muzyczka umilkła, stewardesa życzyła przyjemnego pobytu. Pasażerowie pośpiesznie wyciągali ze schowków podręczne bagaże, jakby musieli opuścić samolot zgodnie z instrukcją na wypadek przymusowego lądowania. Ruszył powoli za nimi poprzez wilgotny, wietrzny skrawek lotniska do wnętrza terminalu.

Kontrola paszportowa, bagażowo-celna; niemal opustoszały hall był nowoczesny, czysty i rozbrzmiewał echem. Paul próbował wyobrazić sobie wydarzenia, które oczekiwały go dzisiejszego wieczora, lecz odrzucił te myśli, bo wywoływały w nim jedynie złe przeczucia i słabość. Czuł, że zaczyna tracić zainteresowanie i zapał. „Łza”, Hyde, staruszek Aubrey, KGB - wszyscy stawali się dla niego częścią jakiegoś melodramatycznego snu, jakim byli dla Margaret. Teraz uważał już tylko na jedną rzecz, jeden element, którego musiał się trzymać: czy Aubrey rzeczywiście zdradził Roberta Castleforda, czy zamordował go w Berlinie przed niemal czterdziestu laty?

To pytanie stało się dla niego obsesją. Podtrzymywało jego wolę działania. Wszystko inne...

Drzwi rozwarły się. Wyszedł z sali przylotów na mroźne powietrze. W tej samej chwili z parkingu wyjechała szara taksówka, która po ominięciu kolejno podjeżdżających pojazdów zahamowała dokładnie przed nim. Zaniepokoił się i mocniej przycisnął do siebie walizkę.

- Massinger - bardziej stwierdził, niż zapytał, Hyde. - W porządku, to ja, Hyde. Poznajesz akcent? - uśmiechnął się powściągliwie na widok ulgi Massingera.

- Jak ci się to udało zdobyć?

- Za forszę. A jak inaczej? Tylko ją pożyczyłem. Wsiadaj. - Pchnął od wewnątrz tylne drzwi. Massinger usiadł i położył walizkę przed sobą. Gdy drzwi się zatrzasnęły, Hyde ruszył ostro w stronę rozjazdu prowadzącego na główną arterię. - Pomyślałem, że taksówka może być przydatna. Zachowuj się przykładnie i przestaw zegarek. Dużo dajesz napiwki, Massinger?

- Co takiego? Och...

- O co chodzi? - zapytał natychmiast Hyde.

- O wszystko - zaczął Massinger, ale spostrzegł napięcie Hyde'a i dodał: - Nic, nic. Nie ma powodu do niepokoju. Nie namierzili mnie ani nie śledzili.

- Wiem. Czekałem już od dwóch godzin. Nie ukazała się żadna znajoma twarz, ba, nawet żadna, którą uważam za godną zapamiętania. - Hyde wyszczerzył nagle zęby

w uśmiechu i odwrócił twarz profilem. - Nieźle sobie radzisz jak na staruszka.

- No, a ty, jak leci?

- Do przodu, jako tako. Martwić się musi tylko prawdziwy profesjonalista. Przywiozłeś moje papiery?

- Tak.

Jechali szeroką, pustą szosą biegnącą ponad białymi, płaskimi polami. Mijali teraz szary, ciasno zabudowany kompleks fabryczny. Z biało-czerwonego komina buchał czarny dym.

- To świetnie. A zatem jaki mamy plan? - Hyde wyraźnie cieszył się z kontaktu z człowiekiem, którego nie musiał się bać lub podejrzewać. Był wręcz pogodny.

- Hm... porwanie wiedeńskiego rezydenta KGB. Prosta sprawa.

- Co takiego?

Massinger mógł sobie pozwolić na beztroski ton, ponieważ przestał już na cokolwiek zważać. Było to jedynie zadanie wstępne. Musi zostać wykonane, zanim będzie mógł powrócić do Londynu i odkryć prawdę o Aubreyu i Castlefordzie. Kiedy już się jej dokopie, będzie mógł skonfrontować wszystko z Aubreyem. Oczywiście, że będzie mógł...

Jego nonszalancja oszołomiła Hyde'a.

- Czy dobrze słyszę, Massinger? Powiedziałaś: porwamy rezydenta? Wpadamy do ambasady radzieckiej, wszyscy rączki do góry, dobra jest; chodź z nami, słoneczko... Popieprzyło ci się w głowie!

- Nie ma innego wyjścia. Jestem pewien, że rezydent musi wiedzieć i wie, co się tutaj dzieje. Wie o „Łzie” i o tym, co się za nią kryje.

- To jasne, że skurwiel wie. Tylko co z tego?

- Wiem, gdzie będzie dziś wieczór, i to sam, bez obstawy. - Massinger z satysfakcją okazał własną kompetencję. - Mogę kontynuować?

- Ależ tak, proszę - odrzekł Hyde ironicznie.

- Bardzo dobrze.

Minęli małe, oblaźłe z farby domki i gospodarstwa, młyn, potem nowsze, świeżo pobielone lub pokryte szarym tynkiem bungalowy. Część była pomalowana na różowo albo jasnozielono. W miarę jak wjeżdżali w głąb miasta, budynki stawały się wyższe, osiągając dwie, trzy kondygnacje. Po lewej stronie czerniła się leniwa rzeka. Koła mercedesa wpadły w koleiny torów tramwajowych. Nie odnawiane sklepy prezentowały zniszczone przez kaprysy pogody szyldy i reklamy. Nowe samochody, nowe wieżowce. A potem już ciężkie, monumentalne gmachy wzdłuż Ringu.

Zanim Massinger przedstawił swój plan, znaleźli się na Johannesgasse, blisko Inter-Continentalu. Hyde minął gmach hotelu i wjechał na wolne stanowisko na parkingu pięćdziesiąt jardów za budynkiem. Australijczyk wyłączył silnik i odwrócił się, położywszy ramię na oparciu fotela. Spod rękawa ubrudzonego płaszcza przyglądał się Massingerowi z uwagą, gdy ten mówił.

- I co na to powiesz? - zapytał w końcu Massinger.
- A zatem jest nas cała armia: ja, ty i Shelley - powiedział Hyde w rękaw.
- Tak - przytaknął schrypniętym od dłuższego mówienia głosem Massinger. Był znużony, bo sam nie miał przekonania do własnych słów.

- A co z Shelleyem?
- Co masz na myśli?
- Ten plan jest niedorzeczny, chociaż, jak widać, ciebie to nie martwi. Olewasz to. Ale tu nie ma żartów. Musisz oprzytomnieć.

- Wiem. - Massinger początkowo zamierzał się wytłumaczyć, ale w końcu rzekł bez ogródek: - Jeżeli mi nie pomożesz dokopać się do sedna sprawy... to żyjesz na kredyt.

- Jasne... a odsetki rosną i rosną, wiem. Ale jaką mi dasz osłonę? Coś mi się nie wydaje, koleś, żeby się to miało udać. Dziękuję bardzo.

- Wiesz, że Aubrey jest oskarżony o wydanie ojca mojej żony w ręce NKWD w 1946 roku. Ona głęboko wierzy, że tak było. Czy to ci coś wyjaśnia? Może ci się zdaje, że jestem zbyt beztrocki, ale chcąc się czegoś dowiedzieć i odzyskać spokój, muszę zrobić pierwszy krok. Pytam jeszcze raz: decydujesz się czy nie?

Hyde długo wpatrywał się w umęczoną twarz Massingera, wreszcie zapytał:

- Ten gość, Cass... jest już nagrany?
- Przylatuje po południu, wie, jak się skontaktować - kiwnął głową Massinger.
- Będziesz umiał wystarczająco dobrze zagrać rolę kumpla rezydenta? Wypiłeś z nim wszystkiego pewnie parę kolejek i obejrzałeś operę, siedząc w tej samej łoży?

- A mam inne wyjście?
- Nie masz - wzruszył ramionami Hyde. - Ja zresztą też nie mam wyboru. Twoje argumenty to kupa gówna. No cóż, ten trup w alejce za mnie zdecydował. - Wyciągnął rękę. - Okay, Massinger... tylko jak już rozpalisz ogień, to się przynajmniej odsuń na bezpieczną odległość.

- Czy pan zrozumiał, profesorze? Jestem pewien, że Peter Shelley ostrzegł pana, jakie niebezpieczeństwa niesie ze sobą podanie pentatholu w czasie przesłuchania. Przypomina to otwieranie i zamykanie drzwi do świadomości.

Massinger przytaknął. W ciemnym wnętrzu samochodu twarz Cassa wyglądała przeraźliwie blado. Hyde znów zostawił ich samych i poszedł skontrolować ulicę. Podwyższony poziom adrenaliny, wyczulone zmysły i napięta uwaga wywołały u Massingera podniecenie, które sprawiało mu wewnętrzną satysfakcję.

- No dobrze. Niech pan pamięta, musi pan wcielić się w rolę Pawła Kozłowa. Musi pan się nim stać. Nie może pan wypaść z tej roli ani na chwilę.

Cass był mniej więcej w wieku Shelleya. Dawny jego kolega ze szkoły. Zdolny, płynnie władający pięcioma językami, świetny agent terenowy, pozbawiony ambicji właściwych ludziom z jego otoczenia. Placówka w Madrycie była dla niego kolejnym, miłym i łatwym posterunkiem, etapem tajnej podróży po świecie. Jego zalety osobiste sprawiły, że zasłużył sobie na dobrą opinię i sympatię Shelleya.

- Uważa pan, że to zadziała?

- Może zadziałać, tyle mogę powiedzieć. Może zadziała. Potem mnie już tam nie będzie. Nie będę mógł zwiększyć dawki ani udzielić wskazówek.

Shelley mówił wyraźnie, że mam mu dać w żyłę i zaraz spieprzać.

- Zgadza się, ma pan natychmiast uciekać.

- Doskonale, na początek zwałam go z nóg pentatholem sodowym. Dwadzieścia minut i wstrzyknę mu tyle benzedryny, ile potrzeba, żeby odzyskał świadomość. Wtedy oddaję go wam. Potem zostanę jeszcze tak długo, żeby sprawdzić, jak idzie pierwsza runda pytań, i upewnić się, czy nie trzeba mu podać jeszcze trochę benzedryny. Znajdzie się potem na granicy snu i jawy, prawie w stanie śpiączki; będzie miał otwarte oczy, ale jednocześnie nie będzie rozumiał, co się dzieje.

- Rozumiem.

- Cieszę się. Jest to zwykła forma narkoterapii. Istnieją inne, lepsze środki, których zastosowanie dałoby większą szansę sukcesu, ale ich podawanie jest bardziej skomplikowane. Nie mógłbym wtedy was zostawić, żebyście sami dokończyli robotę.

- Domyślam się.

- Na początek niech go pan ulula tak jak staroświecki hipnotyzer, powolnym usypiającym głosem, dobrze? - Massinger przytaknął. - Potem, najlepiej jak pan potrafi, wchodzi pan w rolę Kozłowa. Musi pan stworzyć atmosferę sprzyjającą rozmowie. Aha, jeżeli zacznie panu zasypiać, niech go pan nie klepie po twarzy i nie potrząsa nim. Zawsze ma pan możliwość obudzenia go zastrzykiem, zostawiam panu strzykawkę. Jeżeli zaśnie, dziesięć miligramów benzedryny. Okay?

- Jak długo mogę z nim siedzieć?

- Przypuszczam, że godzinę, może nawet półtorej. Ale jeśli zaśnie, a te dziesięć miligramów nie przywróci mu zdolności kontaktu, to proszę mu dać spokój. Chyba że panu nie zależy na tym, co się z nim stanie.

- Nie chciałbym wyrządzić mu krzywdy.
- Dobra. To chyba wszystko. Teraz cała nasza robota to czekać.

Cass rozparł się wygodnie na siedzeniu, ramiona skrzyżował na piersi, minę miał absolutnie obojętną. Massinger rozglądał się uważnie po ulicy, wypatrując Hyde'a. W końcu dojrzał, jak tamten nadchodzi od strony Michaelerplatz i masywnej fasady pałacu Hofburg.

Garsoniera dziewczyny znajdowała się na drugim piętrze eleganckiego dziewiętnastowiecznego domu, którego parter zajmował sklep jubilerski.

Hyde wsadził głowę do wnętrza mercedesa i oświadczył:

- Nie ma tych pieprzonych ochroniarzy, Massinger. Ulica czysta do trzeciej przecznicy, plac też koszerne. W porządku? Mogę się zagrzać?
- Dziękuję, Hyde.

Hyde wsiadł do samochodu, rzucił okiem na walizeczkę Cassa, a następnie usiadł za kierownicą. Przyniósł ze sobą powiew zimna i nastrój podniecenia. Massinger czuł działanie adrenaliny, zrazu leniwe, a teraz już silne i pobudzające do działania. Zdał sobie sprawę, że niemal nie myślał o Margaret w ciągu ostatnich godzin. On i Hyde mieli jednak pewną wspólną cechę. Był to narkotyk konspiracji. Żona, przynajmniej chwilowo, opuściła myśli i serce Paula. Nie było mu to teraz potrzebne, w tej chwili po prostu pragnął poznać prawdę.

- Która godzina? - zapytał Hyde'a.

Hyde uniósł przegub, aby oświetlić tarczę zegarka światłem padającym z ulicy.

- Za parę minut dziewięta. Jeżeli wierzyć, że ten gość jest punktualny jak szczerka sierżanta, to będzie tu za chwilę.
- Racja - pełen zapału, niemal dziecięcy uśmiech Massingera skryły ciemności. - Cass? - szepnął. Cass wyprostował się na siedzeniu.
- Jedzie czarny mercedes na austriackich numerach – powiedział Hyde. - Pewnie to jego własny.

Samochód wyminął ich i zaparkował po przeciwnej stronie Herrengasse na płatnym parkingu. W odległości dwudziestu jardów od miejsca jego postoju był zakład jubilerski z elegancką wystawą. Sąsiadował z nim inny sklep, na którego wystawie, niczym ofiary jakiejś potyczki, leżały w skąym świetle marynarki, sukienki, wełniane wdzianka i spodnie. Pomiędzy wystawami obu sklepów były dyskretnie ułożone wąskie drzwi. Trzej mężczyźni pochyliłi się na fotelach.

Z mercedesa wysiadł niewysoki, pulchny mężczyzna odziany w ciemny płaszcz i filcowy kapelusz. Był sam. Zamknął drzwi samochodu. Gdy mijali butik, ujrzeli na chwilę jego twarz. Massinger westchnął.

- To on - wyrwało się Hyde'owi.
- Dajmy mu z dziesięć, piętnaście minut. I tak zostaje zwykle do północy lub nieco dłużej. Jej jedyny klient w czwartkowe wieczory. Najpierw pewnie parę drinków - wycedził Massinger.

- Otworzy sobie parę piwek, co? - mruknął Hyde. - Dodadzą mu cugu, jak się zabierze za robotę, zakładacie się?

- Hyde!

- Rozumiem, pytasz, czy naprawdę muszę sobie stroić żarty. Nie, nie muszę. Ale miałem ostatnio mało okazji do śmiechu.

Wiedeński rezydent KGB nacisnął dzwonek i drzwi otworzyły się po chwili. Ujrzeni jeszcze, jak pochylony mówił coś do kratki głośnika domofonu.

- Cholera - mruknął Massinger, gdy drzwi zamknęły się za Rosjaninem.

- Nie martw się. Odezwiesz się po rosyjsku - radził Hyde. - Na pewno nas wpuści, jeżeli uzna, że to sprawa służbowa. Skoro go wyciągają w taką noc, to musi być pilne. Ten numer czyni cuda.

- Nie, myślę, że niemiecki będzie lepszy. Policja. Massinger spojrzął na zegarek.

- Dziesięć minut, wejdziemy, gdy będzie pił drugą szklankę szampana. - Jego głos brzmiał dźwięcznie, był teraz przepełniony nowym dla niego uczuciem podniecenia.

- Jesteś szefem - rzekł Hyde. - Ty jesteś tu szefem.

- Masz jakieś ciekawe zdjęcia z dzisiejszej kontroli na lotnisku? Pokaż.

- Parę dziewczynek z dużymi cycami. Stewardesy LOT-u.

- Dobra, dawaj je. Obejrzę sobie, zanim zaczniemy pisać raport.

- Masz. Znów parę zmarnowanych rolek filmu. O, zobacz tych dwóch, KGB wraca z wyjazdu do Londynu. Zobacz te torby od Marksa i Spencera, ale wypchane. Ten towar zapewni mu dobrą zabawę kiedyś po powrocie do Moskwy.

- Znamy tych dwóch. Odnotuj ich.

- Wilkes?

- Tak?

- Słuchaj, dlaczego tak ścigamy Hyde'a?

- A co, nie wierzysz, że przeszedł na drugą stronę?

- Pracowałem z nim kiedyś. Ten Australijczyk ma świra, ale nie wykonałby rozkazu jakiegoś zwierzchnika z KGB. Jest na to za cwany.

- Słuchaj, nie było cię tam wtedy, tej nocy. Żebyś ty widział, jak on załatwił tego biednego skurwiela Philipsa. Bez jednego mrugnienia.

- Wiem.

- No to sam widzisz. Walnąłby go, jakby nie pracował dla drugiej strony?

- Pewno nie.
- Ukrywa się, od kiedy zwinęli tego starego palanta Aubreya. Czyli to facet Aubreya, no nie?
- Co do Aubreya też mam pewne wątpliwości.
- Beach, na Boga! Aubreya aresztował Londyn, dyrektor generalny osobiście. Nie poszliby na to, gdyby nie mieli mocnych dowodów. Słuchaj, bądź dobrym chłopcem i nalej trochę kawy, a ja przejrzę te ujęcia.
- Okay, Wilkes.
- Tak... Tutaj nie... To ci bokserzy, zgadza się, Boris i Doris, straszne bliźniaki. Trafili do Londynu akurat na styczniowe wyprzedaże... na tych dwóch nic... dziękuję. Niezła kawa, jak na początkującego. Za dużo cukru.
- Najmocniej przepraszam. A na co umarł twój poprzedni służący?
- Tego nie znam... Aha, to Iwan Groźny, znowu go posłali na dreptanie po Schwechat, wszystko jasne. Pewnie nie lubią patrzeć na jego czyraki. Nic nie ma, nic nie ma, nic nie... przestań gwizdać, Beach, przecież zęby cierpną. Nic, nic, nic, będziemy kończyć. O! Halo, skąd my się znamy?
- Coś masz?
- Nie, chyba nie. Twarz, zdawało mi się, że kiedyś... ale nie mogę jej umiejscowić. Podobna, ale... Gdzie ta cholerna lupa? O, teraz cię troszkę powiększymy... Kto to jest, do diabła? Na pewno go znam.
- Ano, popatrzmy...
- Jesteś za młody, żeby pamiętać. Mam wrażenie, że ta twarz pojawiła się, zanim jeszcze wstąpiłem do służby... O, tutaj. Poznajesz tego gościa z małą walizką, tego wysokiego?
- Wygląda na Brytyjczyka z krwi i kości. Bankier? Dyrektor firmy? Urzędnik? Nie poznaję go.
- Dawno temu... lata całe... urzędnik, powiadasz? Taki urzędnik jak my, czyli taki od pana ministra. Ty, kurna, kto ty jesteś... Nie, z nami to on chyba wiele wspólnego nie ma. Jak tak o tym myślę, to nie wydaje mi się, żeby to był Brytyjczyk. Ale jestem prawie pewien, że ma coś wspólnego z Aubreyem.
- Może jeszcze kawki?
- Chryste Panie!
- Co się stało?
- Wreszcie sobie przypomniałem, co to za facet!
- Dawaj, popatrzmy jeszcze raz.
- Nie będziesz go znał. Paul Massinger, tak, oczywiście. To jankes, przed laty był w CIA. Przyjaciół Aubreya, widywałem go ze starym. Służył mu czasem nieoficjalnie

jako doradca. To Paul Massinger. Ciekawe: co tu robi?

- Nie wiem... Ale założę się, że zainteresuje to Londyn. Która godzina? Cholera jasna, zaraz minie południe. Trzymaj to, zaraz zawiadomię Londyn. Na pewno ktoś dojdzie do wniosku, że to nie przypadek.

Chwile ciszy, jakie zapadły między wypowiedzianymi słowami, były małymi wyspami na oceanie cywilizacji. W atmosferze stworzonej przez szlachetną whisky, łagodne światła i grube pluszowe zasłony ocieniające pole walki Aubrey znów walczył o życie ze swoim zagorzałym wrogiem Babbingtonem.

Babbington utkwiał wzrok w kryształowej szklance, a jego pełen zadowolenia ton miał świadczyć, że mówi o rzeczach nieodwracalnych.

- Przybyłem zakomunikować ci, że na początku przyszłego tygodnia przedstawicie JIC, Kancelarii Rządu i ja osobiście będziemy przyjęci przez premiera w celu uzyskania formalnej akceptacji planu utworzenia nowego Zarządu Bezpieczeństwa i Wywiadu, czyli SAID. SIS oraz MI5 przestaną funkcjonować osobno. Podniósł kamienny, zadowolony i spokojny wzrok. - Polecono mi ponadto, aby niezwłocznie przygotować dokumenty twojej sprawy dla DPP. - Oczy błyszczały mu jak u kota.

Aubreyowi zapało dech. Spoglądał pożądliwie na swoją whisky, lecz nie wziął jej do ust. Bezwzględnie odchrząkiwał i zwilżał śliną podniebienie, aby głos nie zawiódł go, gdy przemówi.

- A zatem masz wszystko. King, Cawdor, Glamis, zgodnie z przepowiednią wróżek - rzekł.

- Czyżbyś uważał, że grałem nieczysto? - odparował Babbington, a jego obnażone zęby w posępnej twarzy wyglądały złowroźnie.

- Nie. Raczej głupio i niebezpiecznie.

- Co masz na myśli?

- Andrew, jeżeli nie rozumiesz, że nie mogę być sprawcą zarzucanych mi czynów, to ja nie jestem w stanie ci tego wytłumaczyć. Jesteś zaślepiony przez własne wygórowane ambicje, i ta ślepotą świetnie ci służy. Nie potrafię określić tego, co zapewne wyrządziłeś przez pomyłkę mojej firmie, która jest również twoją firmą, Babbington.

- Twojej firmie?

- Mojej byłej firmie. A więc chcą mojego procesu?

- Chyba tak. Oczywiście, mógłby być poprzedzony współpracą, która...

- Jaką współpracą? Przecież nawet nie znam scenariusza przedstawienia - burknął Aubrey, po czym wstał z fotela i dopełnił swoją szklankę whisky. Babbington odmówił zaproponowanego alkoholu.

- Rozumiem - rzekł.

- Jak głęboko zamierzają drażnić tę sprawę? - Aubrey stanął tyłem do Babbingtona. Opuścił ramiona, jakby chciał oprzeć się o kredens.

- Nie wiem dokładnie. Zresztą w tej chwili nikt tego nie wie.

- Nie chcę żadnego procesu. Nie sądzę, żebym był w stanie temu sprostać - wyszeptał Aubrey.

- A zatem...

- Nie mam nic do zaoferowania, jeśli chodzi o współpracę.

- W takim razie posłuchaj, co ci powiem. Są pewni ludzie... Nie twierdzą, że stanowią większość... którzy uważają, że przydałby się proces przy drzwiach zamkniętych, rzecz jasna, ale jednocześnie wszystko zgodnie z prawem. Oczyszczenie stajni, odnowa domu, nowa konsekracja, że tak powiem. Bardzo dobrze wpłynęłoby to na inaugurację SAID.

- I oczywiście będzie temu patronował premier. Na dowód swej nonkonformistycznej moralności. Premier będzie sprzyjał temu procesowi, to jasne. Wreszcie skończą raz na zawsze z tymi wszystkimi starymi upiorami, którym darowano winę, których zwolniono, oczyszczono, wywindowano, ba, wręcz uhonorowano za zdradę! - Odwrócił do Babbingtona zmęczoną, lecz ożywioną twarz. - Niewłaściwe miejsce, nieodpowiednia pora. Podano na stół o jednego zdrajcę za dużo i posiłek nie da się strawić, co?

- Być może... - Babbington wzruszył ramionami.

- Poza tym, oczywiście, moja przeszłość nie całkiem się do tego nadaje.

- To nonsens.

- Naprawdę nonsens?

Aubrey miał zamiar mówić dalej, lecz uciszył go dźwięk telefonu w hallu. Babbington poderwał się.

- To pewnie do mnie. Podałem im twój numer.

Teraz Aubrey wzruszył ramionami. Babbington przemknął żwawo przez drzwi, zamykając je za sobą. Uchyliły się nieco, lecz Aubrey nie zamierzał podsłuchiwać. Nie miał ku temu żadnych powodów, Babbington bowiem niczego przed nim nie taił. Jego koniec został już przesądzony, wypisany wyraźnymi, grubymi czcionkami. Zdecydowali, że powinno się z nim skończyć, i to przykładowie. Król musi umrzeć. Jego prochy użyżnią glebę pod nowy zasiew - SAID. Babbington zaś, który zapewne zostanie dyrektorem generalnym nowej organizacji, posiędzie najwyższą władzę w świecie tajemnic swojego kraju.

Urazę zastąpiło inne, wyzute z emocji uczucie. Pustka.

Uświadomił sobie, że oto udało im się pozbawić go życia. Nie tylko przeszłości, opinii, zaufania, nie tylko osiągnięć i uczciwości, stopnia oraz tytułów. Udało im się odebrać mu życie. A ono jest więcej warte niż dobre imię. Nie był Otellem. Nie mógł

już oto być tym, kim zawsze był, nie mógł się w nic zaangażować, nigdzie należeć.

Odebrali mu sens życia.

- A ja go ostrzegałem. Ostrzegałem - dobiegał z korytarza ciężki głos Babbingtona. W tych słowach objawił swą brutalną siłę. Dla Aubreya, pozbawionego woli i pomocy przyjaciół, Babbington był zbyt silnym przeciwnikiem. Kapustin wiedział o wszystkim, znał najdrobniejsze szczegóły potrzebne do zmontowania tej prowokacji, tej jego choleralnej „Łzy”!

W oczach Aubreya była rezygnacja, gniew i żal nad samym sobą.

Przeklęty Kapustin. Potrafił odgadnąć każdą kartę w talii, każdy układ rzuconych kości. „Łza” była wciąż niezniszczalna, wodoszczelna, niezatapialna. A on nic nie mógł na to poradzić.

- Tak zrobiliście? Dobrze - słyszał głos Babbingtona. - Tak... Oczywiście, że to nie przypadek. Przyjechał celowo, żeby nawiązać kontakt. Tak, ale bez ryzyka. Tak jest.

Słuchawka brzęknęła o widelki. Aubrey z wysiłkiem starał się przybrać naturalną pozę i minę.

Babbington powrócił do pokoju z twarzą pociemniałą od gniewu. Oto tyran domowy stanął wobec głupiego, niedojrzałego buntu ze strony któregoś z dzieciaków. Nie był przestraszony lub zaniepokojony, lecz zwyczajnie rozgniewany z powodu okazanego nieposłuszeństwa.

- Ten twój przyjaciel, Massinger... - zaczął, po czym z niechęcią machnął ręką. - A zresztą po co nim sobie zawracać głowę? To wariat.

- To człowiek o żywych uczuciach. Tacy jak on bywają czasami sentymentalni. Przeważnie wobec kobiet albo zwierząt. Ale Paul nie jest wariatem.

- Jeżeli stara ci się pomóc, to jest.

- Pomóc? - Aubrey nie mógł powstrzymać się od tego pytania.

- Bezsensownie, ale tak. Nie ma się z czego cieszyć.

- Nie - przyznał Aubrey.

Babbington sięgnął do teczki i wydobył z niej grube akta.

- Masz, czytaj - wcisnął je Aubreyowi w ręce. - Tu są szczegóły twojej zaaranżowanej ucieczki z więzienia NKWD w Berlinie oraz sowieckie instrukcje co do sposobu zorganizowania ci bezpiecznego przejścia do sektora brytyjskiego.

Aubrey nie mógł opanować drżenia rąk. Papiery trzęsły się. Babbington był wyraźnie zadowolony.

- Ambicje zżarły cię od środka. Została tylko skorupa... - zaczął Aubrey.

- To ty zabiłeś Castleforda. Jesteś rosyjskim agentem... Mój Boże, pomyśleć, co by się mogło stać, gdyby nam to nie wpadło w ręce! I dlatego będziemy cię mieli.

Właśnie dlatego. - Babbington podniósł swój neseser i ruszył do drzwi. Spojrzał jeszcze na zegarek i rzekł: - Przyślę niedługo Eldona. Myślę, iż nie będziesz miał nic przeciwko temu, że zabawi tu dłużej. I tak wątpię, żebyś mógł zasnąć.

- Dobra, teraz może pan się do niego zabrać - stwierdził Cass, zajrzawszy w rozszerzone źrenice Karola Bajewa, wiedeńskiego rezydenta KGB, którego senne, otyle ciało leżało bezwładnie w fotelu. Twarz miał bladą i pozornie martwą. Częściowo zachował świadomość, mógł mówić, lecz był jednocześnie niezdolny do najmniejszego ruchu. Massinger był niemal zaniepokojony tak absolutnym obezwładnieniem Bajewa.

- Niech pan spróbuje - zasugerował Cass, napełniając następną strzykawkę benzedryną.

Hyde przemknął bezszelestnie w głąb pokoju i przeszedł do sypialni. Niewątpliwie związał już i zakneblował dziewczynę. Do otwarcia drzwi wejściowych skłonili ją, podając się za funkcjonariuszy obyczajówki.

Dzięki zaskoczeniu udało się dziewczynę obezwładnić, nie robiąc jej krzywdy. Hyde zatkał jej usta dłonią i popychał przed sobą po schodach na górę. Bajew siedział, od niechcienia popijając szampana. Gdy wpadli do hallu, rzucił się natychmiast ku dziewczynie. W jednej chwili rozpoznał, kim jest Hyde, lecz Cass, trzymając w ręku pistolet Hyde'a, uniemożliwił mu wszelki opór.

Zwykła gra wstępna, pomyślał Massinger. Niemal za łatwo to poszło. Cóż, teraz zaczniemy...

Prawie niewidoczny Hyde podszedł do okna. Źrenice Bajewa zareagowały na ruch w pokoju, lecz pozostawały wpatrzona w jakąś nieokreśloną, odległą przestrzeń.

Margaret...

Zaczynamy.

- Karol, stary druhu... Jak dobrze znów cię widzieć! - wyrecytował po rosyjsku Massinger, starając się możliwie wiernie naśladować piskliwy głos Pawła Kozłowa. - Karol! - ponowił próbę, dobywając z pamięci echo entuzjastycznych powitań, jakimi zwykł szafować Paweł. - To ja! Twój stary kumpel! - zachichotał, naśladując sposób, w jaki Paweł na ogół wyrażał zadowolenie. Pamiętał dobrze jego reakcje w ciemnym wnętrzu operowej łoży.

- Niech go pan uściska - szepnął Cass - i jeszcze raz nazwie po imieniu.

- Karol! Co z tobą, Karol! - Massinger pochylił się ku niemu i ująwszy go za ramię, pocałował w policzek. - To ja, Paweł! Przyjechałem, żebyś mi pokazał Wiedeń, stary!

Przez chwilę miał wrażenie, że Bajew się budzi. Jego oczy spoczęły na Massingerze, który nagle stracił wiarę w sukces. Gra pozorów zaraz się skończy, a Bajew

zaprotestuje, spróbuje wstać, będzie groził, przestraszy się.

- Paweł? Paweł? - wymruczał Bajew bełkotliwym głosem.

- Zakłócenia zaraz się skończą, jego odbiornik dostroi się do naszego nadajnika - zaopiniował nonszalancko Cass. - Dalej, dalej.

- Wiesz, że mam całe cztery dni na to miasto? Jestem gotów na wszystko! Stary, jak na wakacjach! Jak w Tallinie. Pamiętasz dziewczynki w Tallinie?

Massinger rzucił spojrzenie na Cassa, a ten uśmiechnął się szeroko i zachęcająco pokiwał głową. Hyde również się uśmiechnął i odwrócił głowę w stronę drzwi. Po chwili wyszedł.

- Ahaa... - Bajew westchnął, po czym nienaturalnie zwolnionym ruchem dłoni obrysował w powietrzu kobiece kształty. - Tu w Wiedniu też są dziewczynki, pokażę ci parę, poznam cię z nimi, Paweł, tak, tak...

- Świetnie, stary druhu. A co u ciebie, bardzo jesteś zajęty?

- Zbyt zajęty. Po prostu przepracowany. Ale teraz wyznaczę sobie zadanie specjalne na kilka dni i zabawimy się.

- To świetnie, to świetnie. - Massinger stwierdził, że rozmowa utknęła w martwym punkcie. Zdołał przywołać obraz Kozłowa, ale przecież nim nie był. Nie potrafił uruchomić swojej wyobraźni.

- Co teraz? - wyszeptał.

- Niech pan zajrzy do scenariusza - odparował Cass.

- Do cholery - Massinger odetchnął głęboko, po czym przemówił:

- Londyn to ohyda, stary, mówię ci. Same kłopoty. Nie masz pojęcia, jak nas ciśną... - Ale jego głos osłabł równie szybko jak zdolność do wymyślania nowych pytań.

- Ty narzekasz? - powiedział Bajew. - A jak myśmy tu mieli tego cholernego zastępcę przewodniczącego w zeszłym tygodniu? O rany, ta operacja nigdy się nie skończy! - Ożywił się nieco i zaczął wymachiwać rękami. Jego ramiona przypominały skrzydła wiatraka.

- O Boże! - szepnął Massinger, a głośno dodał: - Kapustin to był zawsze kawał świni!

- Oj, to prawda, przyjacielu, tak, taak, ta...

- Co się dzieje?

- Nie wytrzymałem długo, co? - odparł Cass. Podszedł do Bajewa, który zapadł się bezwładnie w fotel. Rezydent miał zwężone źrenice, a jego oczy patrzyły tępo przed siebie. Siedział w pozycji przygotowanego do transportu manekina.

Cass zrobił mu zastrzyk z benzedryny i cofnął się.

- Może być przemęczony albo podcięty, trudno ocenić. Wygląda na to, że będzie go pan musiał co chwila dobudzać. Spojrzał na zegarek.

- Jeżeli mam złapać samolot do Frankfurtu, to muszę już iść. Zostawiam panu strzykawkę. Niech pan pamięta, jeżeli nie wyjdzie z tego stanu po zastrzyku, to niech mu pan da spokój.

- Dobrze, rozumiem.

Bajew ponownie się ocknął.

- Kapustin to kawał świni - zaczął natychmiast Massinger.

- A ty kim jesteś? - spytał Bajew podejrzliwym tonem.

- O Jezu!

- Co jest, Wilkes? Przecież dałeś znać Londynowi. Co powiedzieli? Po co łączyli się drugi raz?

- Nieważne... Słuchaj, skocz po czekoladę, dobra? Umieram z głodu.

- Teraz? Przecież wszystko zamknięte.

- Tam na rogu są delikatesy. Jeszcze otwarte. Idź, dostaniesz koszyczkowe.

- Najpierw pieniądze, znamy się już.

- Dobra, masz. Pośpiesz się.

- Okay, cześć.

Dzięki Bogu. Sześćdziesiąt siedem... Czterdzieści osiem... Dziewięćdziesiąt trzy... Piętnaście. Szybciej, Chryste... No, jak to się rozkręci, to możesz, Wilkes, chłopie, zapomnieć o wygodnym łóżeczku do końca odsiadki... No prędej. O, dzięki Bogu...

- Poproszę z Sawinem, natychmiast. Nieważne, po prostu proszę mnie połączyć! Dobrze, już dobrze, jakie jest to cholerne hasło na dzisiaj? „Wołgograd”... Działa na wyobraźnię, co? Prędej... Halo, Sawin, to ty? Słuchaj, Londyn powiadomiony. Teraz, jeżeli wicie, gdzie jest wasz rezydent, to go dobrze pilnujcie. Dlaczego? Bo w naszym archiwum ktoś właśnie grzebał w jego aktach. Tak, i ten ktoś jest właśnie w Wiedniu, prawdopodobnie razem z Hyde'em. Tak, dobrze słyszysz, z Hyde'em. Tak więc jeśli wicie, gdzie jest wasz szef, to szybko się nim zaopiekujcie. Tak ja bym zrobił na waszym miejscu.

- To ja, Paweł, Paweł - powtarzał Massinger niepewnie.

- Paweł? - Bajew był wciąż podejrzliwy. Massinger od ponad pięciu minut usiłował stworzyć podstawy do dalszej rozmowy.

Cass, dla którego ta sprawa nie miała żadnego znaczenia, pojechał na lotnisko. Frankfurt, potem przesiadka do Madrytu. Jego zadanie było teraz proste i polegało na zadbaniu o własne bezpieczeństwo. Zadanie Massingera miało na celu udowodnienie rzeczy trudnej, prawie niemożliwej. Wydawało się tylko złudnie proste, niczym promień słońca, który się przedarł na ziemię chwilę przed opadnięciem mgły.

- To ja, Paweł! Co jest, Karol, co się z tobą dzieje? Znów się załałeś?
- Bajew roześmiał się.
- Paweł! - wykrzyknął. - Ty stary szczurze, jak się masz? Co robisz w Wiedniu?
- Wakacje, radocha! No i różne sprawy, oczywiście, też.
- Nie, żadnych rozkazów... Żadnych spraw. Czy Kapustin nigdy nie śpi?
- Dzięki Bogu - odetchnął Massinger.

Wtedy zadzwonił, telefon. Massinger spojrział z lękiem na aparat, lecz nie zdobył się na podniesienie słuchawki. Bajew przekrzywił okrągłą głowę niczym ptak rozglądając się, skąd dobiega sygnał.

- Nie przejmuj się - rzekł Massinger w przypiływie nowego natchnienia. - Nie czas na interesy. Miałeś mi pokazać jakieś fajne miejsce.

Głowa Bajewa opadła w tył.

- No, a jeżeli...
- To nie Kapustin, a ktoś inny może być dla ciebie ważny? Zresztą mam instrukcje od Kapustina. Chodź, pogadamy po drodze. Cholernie mnie suszy!

Bajew roześmiał się. Telefon przestał dzwonić, ale on tego nawet nie zauważył.

Oby to był klient tej dziewczyny, modlił się Massinger.

- Boże, alebym się napił - rzekł wreszcie.
- Paweł, zawsze jesteś taki sam...
- A czemu nie? To moja robota, ostatecznie rola pijaczka na przyjęciach to też dobry kamuflaż. W londyńskim świątku mnie uwielbiają.

- I słusznie. Znam taki miły bar... Czarujące dziewczynki!

- Kiedy Kapustin był tu ostatni raz?

- Dwa tygodnie temu. Aż nam dupy latały, żeby za nim nadążyć.

Szykował spotkanie z Anglikiem.

- Z Aubreyem?

- Oczywiście, a z kimże innym?

Massinger zrobił przerwę. Miał przed sobą puszkę Pandory, a w niej wszystkie cierpienia Aubreya. Zastanowił się. Czy Aubrey też w tym tkwi? Czy chodzi tu o coś jeszcze? Nie mógł się zmusić do dalszej rozmowy. Bajew siedział wciąż z rękoma na kolanach, wyprostowany. Przypominało to scenę egzekucji na krześle elektrycznym. Massingerowi latały ręce. Nie pragnął już odkryć...

Drzwi otworzyły się. Poprzedzony podmuchem zimnego powietrza, wszedł Hyde. Massinger usłyszał jego zdyszany oddech i natychmiast się odwrócił.

- Trzy samochody - wydusił z siebie uwieszony na klamce Hyde. - Trzy samochody, a w nich kupa niezbyt przyjaźnie nastawionych facetów. Co my z nim, do cholery, zrobimy?

Rozdział V

Wieczór nad miastem

- No więc? - powtórzył Hyde. - Co z nim zrobimy? Nie mówiąc już o tym, co będzie z nami.

Wzrok Massingera ponownie spoczął na twarzy Bajewa. Jego sytuacja była fatalna, on jednak zdawał się jej nieświadomy, niczym wyłączony z sieci odbiornik, do czasu gdy znowu będzie potrzebny.

- Nie wiem. Gdzie oni są?

- Czekają teraz w samochodach w promieniu jakichś trzydziestu jardów od naszego wozu. Najpierw poszukają naszego samochodu, potem nas. Będą się starali, żeby Bajewowi nic się nie stało, ale nie licz na to, że pozwolą nam umknąć.

- Jak to zrobili?...

- Bóg jeden wie, co to ma za znaczenie! Postaw na nogi tego faceta, Massinger.

- Nie można go ruszyć...

- Lepiej, żeby, do jasnej cholery, było można, jeśli jeszcze z nim nie skończyłeś. - Hyde wszedł do pokoju i raczej przekopał się, niż przeszedł przez puszysty biały dywan. Przyjrzał się głupekowatemu wyrazowi twarzy Bajewa, nieprzytomnym oczom, które nie śledziły jego ruchów. - Boże, on jest teraz daleko stąd. Skończyłeś z nim?

- Skądże!

- Lepiej więc nie wypuszczać go z rąk. W jego towarzystwie będziemy może trochę bezpieczniejsi. Pomóż mi go znieść do samochodu. Nie możemy się tu zabarykadować.

- Ruszanie go może być niebezpieczne.

- A nieruszanie jeszcze bardziej. - Hyde spojrział na Massingera, który ciągle stał pochylony nad Bajewem. Wyglądał jak człowiek wyczerpany po długim biegu lub zwierzę gotujące się do skoku.

- Pytania możesz mu zadawać w samochodzie. Do cholery, będzie mu wszystko jedno!

- W porządku...

- Zabierz jego płaszcz, wisi w hallu.

Hyde podszedł do okna i wyjrzał przez odchyloną zasłonę. Przy samochodzie nie było nikogo. Massinger wrócił z płaszczem Bajewa.

- Zagadaj do niego po rosyjsku - polecił Hyde. - Uważaj, żeby był spokojny. Massinger kiwnął głową, a potem schylił się, żeby podnieść Bajewa za ramiona.

- No, dalej, Karol, znowu wypiełeś o jednego za dużo, stary!

Hyde uniósł brwi, jakby w wyrazie uznania dla Massingera, kiedy ten zaśmiał się i poklepał Bajewa po plecach. Naciągnęli na niego płaszcz.

- Trzymaj, zarzucę ci go na plecy - polecił Hyde, wygodniej układając kaburę pod pachą. - To tak na wszelki wypadek.

- No, dalej, Karol, świeże powietrze dobrze ci zrobi!

- Zimno mi! - wykrzyknął Bajew jak dziecko.

- Co on bredzi? - zamruczał Hyde, kiedy przemknęli się bokiem przez drzwi do małego hallu. - Wraca do siebie?

- Nie wiem, cholera! Strzykawka z benzedryną. Zostawiłem ją. Zaczekaj tu, stary!

- To do Bajewa. - Nie zapłaciłem rachunku! - Bajew oparł się bezwładnie o Hyde'a i nie poruszał się, jak gdyby znowu ktoś wyłączył go z kontaktu. Hyde obserwował frontowe drzwi mieszkania, jego ręka dotykała płaszcza w miejscu, gdzie był pistolet. Ukazał się Massinger, wpychał do kieszeni małe czarne pudełeczko.

- Musisz się obudzić, stary. No, dalej!

- Zachowujcie się, cholera, cicho, kiedy będziemy na ulicy. Zatkaj mu usta ręką, jeśli będziesz musiał. Zgoda?

- Zgoda.

Hyde pochylił się do przodu i nacisnął klamkę. Drzwi otworzył nogą. Wąska klatka schodowa była pusta.

- W porządku, a teraz jazda w dół.

- Karol, naprzód marsz, stary.

Taszczyli Bajewa w dół po schodach, Hyde z przodu, Rosjanin spoczywał całym ciężarem na jego ramieniu i plecach, Massinger zaś, odchyłony do tyłu, podtrzymywał go.

Starł się nie zwracać uwagi na przeszywający ból w zartretyzowanym biodrze. Bajew był jak pijany, nie potrafił pokonać pojedynczych stopni, potykał się i chichotał. Uwierzył wyraźnie w to, że za dużo wypił, i Massinger przeklinał w myśli tę dodatkową komplikację. Oparli się ciężko o frontowe drzwi na ulicę, dyszeli. Bajew nadal chichotał. Pałący ból przeszywał biodro Massingera.

- Przez ulicę i prosto do samochodu. Widok pijanego może ich zmylić, nie pozwól tylko, żeby zaczął wrzeszczeć po rosyjsku. Nie zatrzymuj się, nawet się nie wahaj, nie będą strzelać, jeśli nas rozpoznają, nie wtedy, kiedy on będzie między nami. Gotowy?

- Gotowy.

Hyde wyciągnął hecklera-kocha. Plastik kolby nagrзany był od jego ciała. Wprowadził nabój do komory i kiwnął głową.

- Dobra, idziemy...

Powoli otworzył drzwi na ulicę, rozejrzał się bacznie wokół.

Na widocznym stąd odcinku Herrengasse stał jego samochód i jeden z rosyjskich wozów. Kierowca siedział nadal za kierownicą, ale pasażerów nie było. Hyde nasłuchiwał, na moment przestraszył go jadący w kierunku Hofburga samochód.

Usłyszał echo powolnych kroków. Po drugiej stronie ulicy...

- Oddalają się?...

Do jego zmysłów docierało za mało informacji, a organizm nie mógł wykorzystać nadmiaru adrenaliny.

- Idziemy! - szepnął wściekle. Pociągnęli Bajewa na ulicę, przez chodnik na jezdnię, jak mogli najszybciej. Bajew ślizgał się i potykał na oblodzonej drodze.

- Zimno! - krzyknął. Massinger zatkał mu usta dłonią. Zaskoczenie i ból w biodrze wykrzywiły mu twarz.

- Gówno... - Hyde dyszał. Bajew poślizgnął się mocno, nieomal ich przewrócił. Hyde osunął się na jedno kolano, poczuł przez spodnie chłód kocich łbów, Bajew leżał mu na plecach, dopóki Massinger go nie podtrzymał.

Jeden człowiek, dwóch... trzech...

Wszystkich zaalarmował krótki okrzyk po rosyjsku, dwóch z nich nabrało pewności, kto tworzy małą nieruchomą grupkę na środku Herrengasse. Trzeci mężczyzna wpatrywał się w nich. Ruch...

- Nie trać czasu, oni wiedzą! Do samochodu z nim, szybko...

Podbiegli ciągnąc Bajewa, jego stopy pozostawiały na drodze czarne zygzakowate linie, niczym ślady ślimaka. Hyde pchnął Rosjanina na bagażnik mercedesa, potem z wysiłkiem otworzył drzwi.

- Do środka sukinsyna!

Massinger zaczął wpychać Bajewa na tylne siedzenie, wyężając wszystkie siły, lecz tamten opierał się i kopał. W końcu Massinger runął na niego z góry, wydając przy tym głuchy jęk z powodu bólu w biodrze, i z trudem przetoczył go po tylnym siedzeniu.

Człowiek, ten najbliższy - dziesięć jardów od nich - biegł teraz z ustami otwartymi do krzyku.

Drugi i trzeci nadbiegli szybko, czwarty był nawet bliżej, ale posuwał się ostrożnie, starając się zająć im drogę.

Hyde rzutem oka ocenił sytuację, następnie zatrzasnął tylne drzwi i wskoczył za kierownicę, blokując zamek.

- Zablokuj te cholerne drzwi!... - Massinger wcisnął guziki.

Hyde zapalił silnik. Tuż obok zobaczył twarz, przyciśniętą płasko do bocznej szyby, usta tworzyły ślad na szkle. Rewolwer na tle szyby, który trzymały białe palce, groził im. Hyde zdał sobie sprawę, że teraz mogli go zastrzelić, nie narażając na niebezpieczeństwo rezydenta. Rosjanin przy samochodzie wyprostował się i zrobił krok w tył. Boczne lusterko - drugi i trzeci mężczyzna są już blisko - uderzenie, jeden z nich pośliznął się i wpadł na bagażnik mercedesa. Teraz Bajew odsłonił Massingera, który stał się łatwym celem.

Hyde nacisnął pedał gazu, skręcił kierownicę. Samochód zatańczył, przechylił się, koła zakręciły się w miejscu, lecz już po chwili mknęli w kierunku Michaelerplatz i Hofburga. Człowiek KGB - ten przy bocznej szybie Hyde'a - zatoczył się i pozostał w tyle. Czwarty mężczyzna wybiegł na Herrengasse, ale Hyde ominął go.

- Wszystko w porządku, Karol, to tylko kilku hałaśliwych pijaków. - Siedzący z tyłu Massinger mówił tak pewnie i uspokajająco, jak tylko potrafił.

- Kim jesteś? - zapytał Bajew podejrzliwie. - Co robisz?

- Na miłość boską, Karol, przestań się rzucać! - warknął Massinger. - Stary, masz chyba delirkę!

Hyde skręcił kierownicę - już dwa samochody jechały Herrengasse, ich złowieszcze kształty to pojawiały się, to znikwały w świetle kolejnych latarni. Mercedes skręcił pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, wjechał w wąską, ciemną bramę otwierającą wjazd do Hofburga, pod kopułę. Jakiś przechodzień umknął im z drogi, ciągnąc za sobą na smyczy małego psa. Hałas silnika wzmógł się, odbijając się echem od sklepienia kopuły. W chwilę później byli na głównym pałacowym placu, prowadzącym do Ringu. Przed sobą mieli światła.

Czerwone.

Lusterko - pierwszy samochód skręcił już w bramę.

- Karol, Karol, obudź się, stary! Lepiej się czujesz? No już, nie jesteś pijany, tylko trochę na gazie! - Massinger lekko potrząsnął Bajewem.

Teraz dwaj mężczyźni na tylnym siedzeniu podtrzymywali się nawzajem.

- Nie mogę wracać do hotelu - powiedział Hyde - póki nie pozbędę się wszystkich trzech samochodów.

- To niedobrze... - zaprotestował Massinger. - On jest zupełnie zdezorientowany.

- Pojeżdżę w kółko.

- Zielone. Światła zmieniły się, kiedy przejeżdżali pod pomnikiem Ofiar Wojny, Hyde skręcił w prawo w Burgring, naprzeciwko wielkich ciemnych, oszronionych brył Muzeum Sztuki i Muzeum Historii Naturalnej.

Może tylko dwa samochody zdążą przejechać przy zielonym świetle?

Radio. Tamci na pewno mieli radio. A więc oni w mercedesie byli tak samo bezbronni jak w mieszkaniu dziewczyny.

Tak, dwa samochody. Dodał gazu. Karl Renner Ring, Karl Leuger Ring, wszędzie na szczęście mieli zielone światło.

- Dokąd? - zapytał.
- Dokądkolwiek! - warknął Massinger.

Schottenrig. Przed nimi czerwone światła, wiszące nad szeroką jezdnią. Pierwszy samochód znajdował się nie więcej niż dwadzieścia jardów za nimi, ruch był niewielki. Droga skrzyła się od mrozu.

Zielone.

Hyde mocno skręcił kierownicą w lewo. Mercedes wpadł w poślizg, zarzuciło mu tył. Przyspieszył. Samochód podskoczył ciężko na torach tramwajowych i wjechał w węższą ulicę. Skręcił w pierwszą w prawo, potem znów w prawo. Przed sobą zobaczył światła Schottenringu. Przy drugim okrążeniu skręcił na północ o jedną przecznicę bliżej niż poprzednio, znowu przyspieszył.

- Ludzie Aubreya. - Massinger mówił głośno i stanowczo. - Ludzie Aubreya. On walczy o życie, Karolu. Jest zdesperowany. Nie ma wyjścia!

- Nie ma wyjścia - zgodził się Bajew, ale jego głos był mechaniczny i obojętny. Massinger naciskał.

- Nie możemy pozwolić sobie teraz na żadne wpadki. My dwaj musimy być bezpieczni. Po dwóch latach nie możemy sobie teraz pozwolić na to, żeby spieszyć sprawę.

Hyde skierował samochód na Franz-Josefs Kai, wzdłuż Kanału Dunajskiego. Ru-chu prawie nie było. Od choinkowych światełek mostu dzieliło ich dziesięć przecznic. Coś mu mówiło, żeby przejechał przez kanał. Wjechał w wąskie, ciemniejsze uliczki. Za nim były dwa samochody. Trzeci będzie się trzymał z tyłu, czekając na instrukcje, na jakiś plan, który dałby się dopasować do ruchów mercedesa.

- Dwa lata? Spóźniony jesteś - powiedział Bajew tym samym głosem mechanicznej zabawki. - Paweł...

- Bogu dzięki - westchnął Massinger.

- Paweł, ten plan istnieje już chyba od pięciu lat... - Hyde wyczuł, że zmałona narkotykami świadomość Bajewa wróciła do jego pijackiego wcielenia. Mówił trochę niewyraźnie, tonem poufnego zwierzenia, kapąło mu z nosa.

Zbliżali się do mostu.

Czerwone światło...

Przejechał przez czerwone. Z prawej strony wyłoniła się ciężarówka. Wyraźnie widać było twarz kierowcy patrzącego w dół na mercedesa, który zakołysał się na resorach i pochylił niczym pijany, kiedy Hyde skręcił gwałtownie kierownicę. Samochód zarzucił. Wykonując półobrót wjechał tyłem za ciężarówkę, którą jednak w końcu wyprzedził. Przeciął jej drogę i pomknął w kierunku mostu. Kiedy samochód trząsł się

na bruku mostu i podskakiwał na torowiskach, słyhać było jeszcze za nimi gniewny klakson ciężarówki.

- Pięć lat, mój Boże! - wykrzyknął Massinger; po spotkaniu z ciężarówką ciągle jeszcze drżał mu głos. - Pięć lat. Do ciebie, Karol, mają wyraźnie dużo więcej zaufania niż do mnie.

- Plotki, tylko plotki - wybełkotał Bajew. Ziewnął.

- Kapustin był zawsze szefem, prawda? - naciskał Massinger.

- Czy to wszystko jest na taśmie? - zapytał Hyde.

- Tak. Nadal się nagrywa. Magnetofon trzymam w ręku.

- Bogu dzięki. - Hyde skręcił w prawo. Przez pierwsze cztery sekundy w bocznym lusterku nie było nic widać, potem pojawił się pierwszy ze ścigających samochodów. Znowu przyśpieszył. Strzałka prędkościomierza gwałtownie przesunęła się w górę. Siedemdziesiąt mil na godzinę - Może jednak się nam uda - mruknął.

- Dowodził zawsze Kapustin - Bajew powtórzył to niby wyuczoną lekcję. - Znakomity, znakomity plan... Co za umysł, co za intuicja...

- Gównno.

- Co gównno?

- Kapustin gównno prawda! Kapustin jest tylko koordynatorem i oficerem prowadzącym: to nie jego plan. Chcecie mu się teraz podlizać, żeby zostać w Londynie... - Bajew czknął, nadal wierząc w swoje upojenie alkoholowe. Był teraz podniecony i skłonny do dyskusji. Przesunął się w kąt mercedesa. Znow zaczął machać rękami, które wyglądały jak skrzydła wiatraka. - O tak, ja was znam. Każdego pocałowałibyście w dupę, żeby tylko zostać w Londynie.

- Karol, stary... - zaprotestował Massinger.

- To nie jest plan Kapustina, ty wypierdku mamuci! - krzyknął Bajew zajadle. Był teraz na skutek działania narkotyku pobudzony i wściekły. - Stworzył go Pietrunin! Cholerny Pietrunin! Jest lepszy, niż ty będziesz kiedykolwiek. On go stworzył! - Bajew teraz już krzyczał.

Nastąpiła cisza.

- Kto? - mruknął Massinger.

Dwa samochody, widoczne w lusterku, powoli zmniejszyły dystans. Po lewej stronie pojawił się ciemny, brzydki garb Nord-Bahnhof. Hyde'a przeszył dreszcz. Oślepiające, zimne światło zalewało wielkie magazyny na tyłach stacji.

- Pietrunin. Tamaz Pietrunin - powiedział Hyde. - Ten mądry skurwysyn.

- Shelley?

- Tak.

Peter Shelley dał znak żonie, żeby wyłączyła telewizor.

Alison Shelley nacisnęła pilota. Umilkł śmiech dobiegający z odbiornika. Powtarzano właśnie odcinek serialu *Owsianka*, w którym mały, schludny i nadgorliwy funkcjonariusz służby więziennej wymyślał Ronniemu Barkerowi. Shelley, rozbawiony ostatnią kwestią, ciągle jeszcze się uśmiechał, kiedy usłyszał w słuchawce telefonu głos Babbingtona. Nastrój jednak natychmiast mu się zmienił; z niezwykłą ostrością widział tył głowy żony siedzącej na kanapie, dalej telewizor, okno we wnęce pokoju, ukazujące zalany światłem księżycy i pokryty śniegiem ogród za domem.

Obrazy napierały na niego oskarżycielsko.

- Shelley, jesteś jednym z moich wyższych oficerów, będę więc mówił bez ogródek - zaczął Babbington. Zrobił przerwę dla lepszego efektu i dodał: - Działales bez upoważnienia, Shelley. Dostarczałeś poufnych informacji ludziom spoza bezpieczeństwa.

Shelley gwałtownie zaczerpnął tchu. Ramionami Alison wstrząsnął dreszcz, jakby dotknęła przewodu pod napięciem.

- Przepraszam, ale...

- Nie udawaj, Shelley. Massinger poprosił cię o pewne dane, a ty wyciągnąłeś je z archiwum.

- Ależ, proszę pana...

Alison odwróciła się, słysząc ton jego głosu. Na jej twarzy momentalnie pojawił się niepokój. Shelley machnął do niej ręką, dając znak, że nie ma powodu do niepokoju. Ale był.

- Jesteś porządnym człowiekiem, Shelley. Wolę uważać, że w tej sprawie zostałeś wprowadzony w błąd. Źle pojęta lojalność, to wszystko. - W głosie Babbingtona było szorstkie wybaczenie, które wzbudziło w Shelleyu nadzieję, ale i podejrzliwość. Ten ton nie pasował do sytuacji, jak źle dobrana maska karnawałowa. - Złożysz prośbę o tygodniowy urlop, od zaraz. Kiedy wrócisz do Wydziału Europy Wschodniej, wszystko będzie inaczej... - Alison nadal przyglądała się bacznie twarzy męża, czoło miała zmarszczone - zgadywała, domyślała się.

- ...wiele rzeczy się zmieni. Mam nadzieję, że dopasujesz się do nowych porządków. Zrozumiano?

- Tak jest, proszę pana. Ja...

Ale Babbington już się rozłączył.

- Co to było? - zapytała Alison.

- Myślę, że darowanie kary przez surowego szefa - odparł ponuro Shelley, pocierając brodę. Odłożył słuchawkę i westchnął z ulgą.

- Jak to?

- Ochrzanił mnie, ale nie zamierza mnie wylać, dopóki będę pilnował wyłącznie własnego nosa.

- Aubrey?
- Częściowo. Częściowo ma to związek z Paulem Massingerem - dostarczyłem mu pewnych informacji... - Shelley wyciągnął przed siebie nogi i potarł uda. - Boże, Babbington wszędzie ma swoje oczy i uszy. Byłem ostrożny...

- Czy to wszystko?
- Mam tygodniowy urlop.
- To dobrze.
- W tym czasie oni będą robili u siebie rewolucję. Kiedy wrócę, nie poznam tego miejsca. Zastanawiam się, co teraz robi Massinger.

- Ciągle jeszcze chciałbyś to wiedzieć?

Shelley podniósł głowę.

- Nie wiem.
- Byłoby lepiej, Peter, gdybyś się zdecydował. Nie zrezygnuję z tego wszystkiego bez ważnego powodu. - Ręka Alison zatoczyła łuk, wskazując pokój i kominek.

- Ale o co chodzi?

- Jeśli znowu masz dać się w to wciągnąć, lepiej, żeby to było dlatego, że naprawdę tego chcesz, inaczej będę okropnie zła!

Pomyślał, że Alison wygląda bardzo serio, ale jej twarz nie była surowa i zmarzwiona. Żona dawała mu swoje przyzwolenie, chciała tylko dowodu na to, że jest naprawdę zaangażowany.

Ale czy był zaangażowany? Czy rzeczywiście chciał ryzykować wszystko dla Aubreya? Babbington pozwolił mu uciec. Czy Aubrey nie powinien przyjąć tego z wdzięcznością?

- Nie wiem, kochanie - mruknął. - Nie wiem, czego tak naprawdę chcę.

Magazyny. Twarde, zimne światła, zaczynały się wokół nich tworzyć obwódki marznącej mgły. Przewody elektryczne, wyżej kable i druty telefoniczne pogrubione cienką warstewką szronu.

Mercedes zaparkowany był na biegnącej w dół drodze, która prowadziła do rozczapierzonych na kształt palców torów, dźwigów, urządzeń sygnalizacyjnych tworzących Frachtenbahnhof Wien-Nord. Ustawiony był niedbale pośród kilku tuzinów samochodów, które należały prawdopodobnie do pracowników kolejowych z magazynów spedycyjnych.

Hyde zawiózł ich do nie oświetlonego, opustoszałego Prateru, do stóp diabelskiego koła Harry'ego Lime'a - Riesenradu. Na wspomnienie oglądanego kiedyś filmu z tym diabelskim kołem przeszedł Hyde'a dreszcz...

„Gdyby jeden z tych punkcików tam, w dole, przestał się poruszać, Holly, stary...” - Teraz on sam był takim punkcikiem, takim robaczkiem. Ale pozostawiony, choćby

na chwilę, samochód w opustoszałym teraz Praterze zbyt rzucał się w oczy.

Dwa samochody Hyde zgubił gdzieś na terenie Prateru. Ich kierowcy stracili orientację w wesołym miasteczku, pośród przecinających się dróg i torów w końcu parku. Kiedy zorientował się, że teraz będą tracić czas na szukanie, natychmiast opuścił to miejsce. Ponownie minął stację, odnalazł magazyny i sznur zaparkowanych samochodów wzdłuż drogi prowadzącej w dół do torów. Massinger nalegał, żeby się zatrzymał. Hyde uważał, że pogoń była jeszcze za blisko, ale Massinger miał własne racje.

Hyde przyglądał się, jak Massinger podwija Bajewowi rękaw i wstrzykuje Rosjaninowi dziesięć miligramów benzedryny. Wydawało się, że nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. W dalszym ciągu siedział wciśnięty w kąt samochodu, na policzkach miał ślady łez, płakał, zanim stracił przytomność. Patrzył niewidzącymi oczyma.

- No i?...
- Muszę przyznać, że nie wygląda to dobrze - powiedział sucho Massinger.
- Przyjdzie do siebie?
- Pan Bóg jeden wie. Dla niego była to ciężka przejażdżka.

W świetle reflektorów padających na magazyny spedycyjne twarz Bajewa miała trupi kolor. Jedna rzecz mogła zbić KGB z tropu - było to miejsce zbyt dobrze oświetlone jak na kryjówkę.

- Poruszył oczami - powiedział Hyde z nadzieją.

Bajew zdawał się na niego patrzeć. Twarz miał niezadowoloną i złą.

- Karol - powiedział Massinger cicho łagodnym głosem. - Boże, ale napędziłeś nam strachu. Żeby tak stracić przytomność. Nie zdarzyło ci się to od czasu szkoły - pamiętasz te wszystkie krwotoki z nosa i ciągłe omdlenia? - Hyde spojrział pytająco na Massingera, ale Amerykanin tylko wzruszył ramionami. Kłamstwa i prawda, być może nie miało to już dłuższej znaczenia. To tylko szczegół, umowne klocki w tej nieprawdziwej, narkotycznej rzeczywistości. - Wydawało nam się wtedy, że łąda chwila dostaniesz okresu!

- To nie ja, to ten mały zarozumialec Woris... Wor... Worisenko! - burknął Bajew. - Cholerny pedał był z niego!

- Tak, biedny stary Worisenko - roześmiał się Massinger. - Dobrze się teraz czujesz?

- Głowa mnie boli.
- Mam nadzieję, że to tylko z powodu picia.

Mgła gęstniała wokół reflektorów, nie były to już ogniki świecące w gałęziach, zmieniły się w plamy białego światła. Przednia szyba mercedesa pokryła się od zewnątrz szronem i Hyde włączył wycieraczki. Przez oczyszczony fragment szyby nie widać było żadnego ruchu.

- Zamknij się - mruknął Bajew. - Zamknij się, Paweł. Chory jestem od twojego głosu. Chcę spać.
 - Kapustin byłby z ciebie zadowolony, Karol. Starzejesz się.
 - Odpieprz się. Daj mi spać.
- Boże, pomyślał Massinger, on się nam wymyka. Kolejne dziesięć miligramów go nie ocuci. Jest wyczerpany. Co robić?...
- W porządku? - mruknął Hyde.
 - Myślę, że nie zostało nam dużo czasu.
 - Chryste, więc zabierz się do niego.
 - Jak?
 - Opieprz go - to zawsze działa na tych z KGB. Zawsze boją się jakiegoś dużego czerwonego szefa, który im siedzi na karku.
 - Jak mogę to zrobić? Jestem Paweł Kozłów - równy mu stopniem i stanowiskiem. Jego przyjaciół.
 - Powiedzmy, że mówisz w imieniu kogo innego...
 - Kapustina?
- Hyde wzruszył ramionami. - Dlaczego nie. Dlaczego nie samego Pietrunina? Hyde skrzywił się.
- Spróbuję z Kapustinem. - Odwrócił się do Bajewa i pochylił nad nim.
 - Karol, przyjechałem do Wiednia, bo...
 - Zamknij się. Jestem zmęczony.
 - Kapustin specjalnie prosił mnie, żebym przyjechał. Uważał, że jako twojemu przyjacielowi łatwiej mi będzie powiedzieć ci... - Ton Massingera był znaczący, nawet złowróźbny.
- Na dole przetaczano pociąg towarowy, w gęstniejącej mgłę jego światła wydawały się większe. Wagony zgrzytały i dudniły.
- Powiedzieć mi? Co? - W tonie Bajewa pojawiły się pierwsze nutki strachu, za-powiedź tego, że połknął haczyk.
 - Kapustin jest niezadowolony...
 - Z czego? Ze mnie? - Bajew wyprostował się, oczy miał szeroko otwarte, nie-spokojne, nie mógł skoncentrować wzroku na jednym punkcie. - Co masz na myśli? - Na chwilę znikła jego niechęć i zmęczenie. W tej fikcyjnej sytuacji był spięty i czujny.
 - Obawiam się, że tak. Pozwalacie Brytyjczykom na zbyt dużą swobodę w Wiedniu.
- Kątem oka Massinger dostrzegł, że kostki palców Hyde'a na oparciu siedzenia stają się coraz bielsze. Słyszał ciężki, szybki oddech Australijczyka.
- Nie chcemy, żeby tu rządzą Brytyjczycy.
 - Oni nie rządzą.
 - Owszem, tak, ten człowiek, który to prowadzi, ten łącznik... och, jak mu tam...

- Wilkes niczego nie prowadzi. Współpracujemy, to wszystko. Wilkes robi to, co my chcemy. Zawsze była taka umowa.

- Jaka umowa?

- Skąd mam, do diabła, wiedzieć? Kapustin nic mi nie mówi! Ja prowadzę interesy z Wilkesem. Poza tym nie wiem, co się dzieje.

- Kurwa - powiedział Hyde cicho, ale wyraźnie.

- Dlaczego nie złapaliście jeszcze tego Anglika, Hyde'a? Kapustin chce wiedzieć. Co tu jest grane?

- Wilkes chciał się tym zająć. Myślałem, że wszyscy się zgodzili, że oni to zrobią! - zaprotestował Bajew. - To nie moja wina - wystękał. - Musi zrozumieć, że... - Zaczął bełkotać. Massinger spojrzął na Hyde'a i potrząsnął głową.

- To wszystko.

- Zapytaj go, do cholery, dlaczego!

- Karol, co się za tym wszystkim kryje? - zapytał Massinger, jego głos był jeszcze głosem Pawła Kozłowa, ale tylko głos. Bajewowi wyraźnie wszystko się pomyliło. Głowa mu się chwiała. Jego ciało z wolna opadło z powrotem na siedzenie. Massinger stwierdził, że Bajew znowu im się wyślizguje i że tym razem pozostanie prawdopodobnie nieprzytomny i nieosiągalny, pomimo benzedryny.

Hyde spojrzął na przednią szybę. Tak jak i boczne, znowu była oszroniona. Uruchomił wycieraczki. Wnętrze samochodu było ciche, odizolowane, prawie nierealne. W magazynie szczękały jakieś zaczepy.

- Karol, co się za tym kryje? - nalegał Massinger. - Dlaczego tak zmykamy przed obserwacją. Po co to robicie?

- Któż to wie?... - odpowiedział Bajew słabym głosem.

Hyde był spięty, patrzył na rezydenta, którego ręce chwyciły za oparcie siedzenia Hyde'a, mocno je ściskając. Dalej, dalej...

- Dlaczego? Karol, dlaczego, człowieku, dlaczego? - krzyknął Massinger.

- Kto wie... kto wie... Pietrun... runin... i-i-n-n...

Głowa mu opadła. Natychmiast usłyszeli jego chrapanie.

- Cholera - jęknął Massinger.

Hyde zaklął głośno i włączył wycieraczki, które zaczęły się ślizgać po oszronionej szybie.

- On nie wiedział... On, cholera, nie wiedział! - ryknął Hyde oskarżycielsko. - Och, pieprzę to. On nie wiedział!

Obrócił się na siedzeniu. Przez oczyszczoną przednią szybę zobaczył zbliżającego się mężczyznę. Tamten był nie więcej niż dziesięć jardów od samochodu. Wyciągnął rękę spod płaszcza i zanim Hyde sięgnął po pistolet, oddał dwa strzały, celując w przednią szybę mercedesa.

- Po prostu nie może pan ciągle wszystkiemu zaprzeczać, sir Kenneth - ostrzegł go Eldon; w jego głosie był wyrzut, dobra rada i groźba. - Przyznał pan, że to prawda z tym podpisem, przyznał pan, że to prawda z tym pańskim porwaniem, z uwięzieniem w rosyjskim sektorze, z wpadnięciem w łapy pułkownika Założnego, którego metody i sukcesy są bardzo udokumentowane... - Eldon zrobił przerwę i niczym magik przesunął rękami po papierach, które trzymał na kolanach. Jego racje były oczywiste. Znow poruszył rękami. Wnioski, dowody były tutaj...

Aubrey nie mógł już dłużej ukrywać oznak słabości i bezradności. Był zmęczony, pocierał ręką czoło, jakby chciał złagodzić jakiś wściekły ból.

- Myśli pan, że nie? - powiedział słabym głosem.

- Wszystkim oczywiście by to pomogło, nie wyłączając pana, sir Kenneth, jeśli potwierdziłby pan prawdziwość tych dokumentów.

- Nie mogę.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumie pan. Nie dajecie mi spać, szarpiecie nerwy, doprowadzacie do ostrej niestrawności, ale to nie zmusi mnie do ujawnienia potwierdzającej wasze podejrzenia informacji, bo nic takiego nie wiem.

- Świetnie, sir Kenneth - powróćmy do tego zbiegu okoliczności - do faktu, że Roberta Castleforda po raz ostatni widziano żywego tego właśnie dnia, tego wieczoru, kiedy pan powrócił szczęśliwie do brytyjskiego sektora Berlina, hm?

- Tak, tak. Kiedy odzyskałem siły po więzieniu, już go nie było. Ani śladu po nim. Już tego ranka, kiedy wróciłem, nie można go było znaleźć.

- Czy nastąpił pan na niego NKWD?

- Nie.

- Ale powiedział im pan, gdzie mogą go znaleźć?

- Nie.

- Ale?...

- Mimo tego, co widnieje nad moim sfalszowanym podpisem, odpowiedzialnością za tajne operacje SIS wobec NKWD w Berlinie i rosyjskiej strefie Niemiec nie obciążyłem Castleforda. Castleford był zamożnym, błyskotliwym, ambitnym urzędnikiem państwowym, który starał się wyciągnąć jak najwięcej korzyści ze swego stanowiska w Komisji Kontroli. Mierzył bardzo wysoko. Nie lubiłem go, stosunki nie układały się nam dobrze. Nie zdradziłem go - nie kazałem go zabić.

- Ale przyzna pan, że gdyby odmalował pan Castleforda jako superszpiega, NKWD miałyby bardzo dobry powód, by... zmusić go do wstrzymania operacji przeciwko nim?

- Gdybym to zrobił, to tak. Jeśliby tak o nim myśleli, to rzeczywiście. Jednak nie z tego nie jest prawdą.

- Kiedy po raz ostatni widział pan Roberta Castleforda?

- Nie jestem pewien...

Eldon zajął do swego notesu. Magnetofon na stoliku do kawy czuwał, w oświetlonym pokoju panowała cisza. Cienie i delikatne światło.

Aubrey nie mógł pozbyć się uporczywego poczucia zagrożenia. Eldon znowu podniósł głowę.

- Miał pan z nim spotkanie na dzień przed udaniem się do sektora rosyjskiego - w pościgu za, jak pan utrzymuje, swoim podwójnym agentem.

- Spotkanie? Być może. Nie pamiętam.

- Czy mógłby pan spróbować, sir Kenneth? Czy mógłby pan spróbować sobie przypomnieć, o czym mówiliście w czasie tego ostatniego spotkania?

- Nie przypuszczam - powiedział cicho Aubrey, ale w pamięci słyszał wyraźnie głos Castleforda. Tak, to było wtedy; to był ten przedostatni raz.

„- Niech cię cholera, Aubrey, wydaje mi się, że chcesz mnie zniszczyć!

-Niepodobnego...

- Tak! Ta twoja chorobliwa zazdrość...

- Moja czy twoja, Castleford?

- Do diabła z tobą i z Clarą także. Badałeś mnie, ty mały arogancie. Mnie? Czego masz nadzieję się dogrzebać? Czego możesz się dogrzebać? Chcesz mnie oczernić i usunąć ze swojej drogi. Nie pozwolę ci na to, Aubrey. Nie pozwolę, żeby taki fanatyk jak ty zagarnął jeszcze większą władzę, niż już ma. Ostrzegam cię, jeśli nie zaprzestasz tego śmiesznego, mściwego śledztwa, podejmę kroki, żeby cię zniszczyć. Rozumiesz? Będziesz załatwiony! Skończony!”

Aubrey z trudem kontrolował oddech i trudno mu było nie dojść do wniosku, że pogróżka Castleforda sprzed czterdziestu lat miała się ziścić. Patrzył, jak Eldon wpatruje się w niego, czekając na odpowiedź. Potrząsnął głową.

- Nie pamiętam - mruknął. - Zapewne była to kolejna okazja do nagany. Nasze spotkania tak się zazwyczaj kończyły. Castleford uważał, że jest moralnie czystszy od agentów SIS.

- Domyślam się, że przede wszystkim od pana.

- Być może.

- Nie lubiliście się.

- Moja wrogość nie była jednak wystarczająca, żeby go zdradzić. Nie życzyłem mu śmierci.

Nie wiedzą o Clarze, prawda? Aubrey sam sobie zadawał pytanie. Jakaś inna część mózgu odpowiedziała mu, że muszą wiedzieć. Ludzie wiedzieli o kłótniach, zalotach, zwycięstwie, wiedzieli, że Castleford interesował się Clarą, o tym, że Aubrey też... Dlaczego nie pytają o to? Nie pozwól, żeby zapytali...

- Rozumiem.
- Eldon?
- Tak, sir Kenneth?
- W jakim nastroju są twoi szefowie? - Był na siebie wściekły, że zadał to pytanie, ale dręczyło go ono od chwili, gdy Babbington zaczął tę całą sprawę. - Czy będą chcieli procesu? Odpowiedzi na oskarżenie o zdradę?
- Tak, sir Kenneth, myślę, że tak.
- Trochę za późno na to, nie wydaje ci się?
- Niektórzy mogliby powiedzieć, że lepiej późno niż wcale.
- Mogliby.
- Nienawidził pan Castleforda, prawda? - spytał szybko Eldon.
- To on mnie nienawidził - odpowiedział Aubrey.
- Pan też go nienawidził.

Aubrey utkwiał wzrok w spokojnej, nieprzejednanej twarzy Eldona. To była kwestia dni, nie więcej. Dowie się, że oskarżyli go o zdradę, w chwili gdy pozwolą mu się widzieć z adwokatem. Wówczas przesłuchanie będzie skończone, a proces zaraz się zacznie.

Proces, proces, dźwięczało mu w głowie. Założny często mu to proponował. Było to w przerwach, kiedy nie polewano go zimną wodą - wiadro na głowie, na które sypały się razy drewnianych pałek. Ciosy olbrzymich chłopskich pięści, w przerwach między apelami na zaśnięzonym więziennym dziedzińcu. Na mrozie, kiedy zęby szczękały, a ciałem wstrząsały dreszcze. Jeżeli się podda, obiecywano mu szybki proces i egzekucję. Sytuacja była prawie identyczna.

Jedno z jego najżywszych wspomnień - musiał załatwiać się do kubła, podczas gdy jakieś oko przyglądało mu się przez judasza w drzwiach celi. Wokół kostek poplamione i podarte spodnie, pośladki nad lodowatą krawędzią żelaznego wiadra - zniknęła cała godność, pozostało tylko zabiedzone, udręczone, obolałe zwierzę.

Odepchnął przeszłość. Jeśli chodziło o jego obecną sytuację, to zrobi wszystko, z wyjątkiem przyznania się, aby uniknąć procesu. Nigdy nie zaprowadzą go do sądu, nigdy nie usłyszy oskarżenia o zdradę, nigdy nie stanie przed ławą przysięgłych. Zrobi, co będzie musiał, i uniknie tego.

Popatrzył na Eldona. Eldon nigdy nie zrozumie, czym byłby dla niego proces. Nie doczeka się, żeby Aubrey, ten zdrajca, ujawnił mu coś, czego nie byłby w stanie potwórzyć publicznie.

Hyde uniósł głowę ponad tablicę rozdzielczą. Szkło kłuło go w szyję i rękę. Ześliznęło się z jego płaszcza na siedzenie dla kierowcy. Za nim, wiedział o tym, był martwy Bajew. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na tę kukłę wciśniętą w kąt mercedesa. Nie popatrzył nawet na Massingera. Nie było czasu, żeby się nim zajmować. Rosjanin znowu się zbliżał. Przebiegł ciężko kilka kroków dzielących go od samochodu. Hyde strzelił przez resztki potłuczonej przedniej szyby; mężczyzna zniknął z boku, pod maską.

Dopiero wtedy Hyde odwrócił się. Massinger siedział sztywno z tyłu, wyraźnie był w szoku.

- No dalej, bracie!

- Co?... - Massinger miał powolne i nieskoordynowane ruchy, jakby sam był pod wpływem narkotyków. Hyde sięgnął przez siedzenie i chwycił go za ramię.

- Bajew nie żyje - my jesteśmy następni. Wsiadaj z samochodu!

Wyjazd blokowała na samej górze długa czarna limuzyna; stała w miejscu, gdzie droga omijała magazyn. Byli tam dwaj mężczyźni, jeden z nich zrobił już parę kroków w dół stoku. Hyde zobaczył to wszystko w bocznym lusterku.

- Wsiadamy?... Nie mogę jechać!

Massinger poruszył się i aż jęknął, prostując się po wyjściu. Hyde zobaczył laskę, poczuł pustkę w środku, miał złe przeczucia. Cholerne biodro Massingera!

Massinger popatrzył w górę stoku, Hyde widział, jak opiera się mocno na lasce i oddycha ciężko.

- Ilu ich jest? - zapytał Paul natarczywie.

- Tylko jeden samochód. Nie czekali na posiłki. Ktoś im kazał przede wszystkim uciszyć Bajewa. Taśma?

- Tak. - Massinger pomacał się po kieszeni. Co ona jest warta, niech to cholera! Obaj wiemy, że jest bezwartościowa - on nic nie wiedział!

- No dalej, tędy.

Obserwował ludzi, którzy zatrzymali się na szczycie pokrytej koleinami, oblodzonej pochyłości. Były to zaledwie ciemne kształty we mgle, które rozróżnić można było jedynie dzięki silnemu światłu reflektorów. Mgła falowała i wirowała wokół nich. Dwadzieścia pięć jardów. Kamikadze, musiał podejść blisko, by osiągnąć swój cel. Taktyka desperacji, rozkaz z wysokiego szczebla pchał go naprzód... Teraz, kiedy ten samobójca został zabity, pozostali dwaj woleli zaczekać na posiłki.

- W dół?

- Tak, w dół. Oni nie mają ochoty iść za nami. No dalej.

Massinger poszedł przodem, Hyde schodził za nim tyłem, starannie wybierał drogę, szukał obcasami kolein i zamarzniętych kałuż. Przestraszyło go szczęknięcie złączy

wagonów towarowych stojących we mgle. Słyszał, jak Massinger szedł, kulejąc i sapiąc z wysiłku. Dobiegł go również odgłos ostrożnych kroków dwóch Rosjan. A następnie hałas nadjeżdżającego samochodu i ostrego hamowania.

- Pośpiesz się - krzyknął do Massingera. - Kawaleria nadjechała. - Odwrócił się, dogonił Paula, wziął go pod ramię. Przyjrzał się twarzy mężczyzny. Była zmęczona i pobrużdżona, straciła już swój przystojny wygląd. Pokiwał głową.

- Czuje się dobrze - zaprotestował Massinger.

- Nieprawda, po prostu dobrze sobie radzisz. Będziemy musieli się pośpieszyć.

Zmusił Massingera, by ruszył biegiem, utykając. Amerykanin posługiwał się laską jako trzecią, chwiejącą się i niepewną nogą. Jęknął raz czy dwa, ale dopóki nie znaleźli się u stóp pochyłości, nie nalegał, by Hyde zwolnił. Furtka w drewnianym ogrodzeniu, dalej po obu stronach tory. Zapadli się we mgłę. Gdzieś obok, niby krążący niewidzialny rekin, poruszała się powoli lokomotywa. Od czasu do czasu jej reflektory rzucały światło, a mgła na drodze płynęła i falowała. Hyde dygotał z zimna.

- W porządku?

Massinger kiwnął głową, powoli odzyskując oddech. - W porządku, Hyde. Jestem tylko wściekły. Cholera!

- Nic nie szkodzi. Teraz tamci przez parę minut będą się zastanawiać i planować. Mamy dość czasu.

- Co teraz zrobimy?

- Wydostaniemy się z Wiednia. Nie możemy zrobić nic innego. Hyde pchnął furtkę, była otwarta. Sygnały ostrzegawcze zabraniały wchodzenia na torowisko. Massinger wszedł przez furtkę, Hyde zamknął ją za nimi. Pochyłość skryła się we mgle. Hyde nie widział mercedesa ani ciała przed nim; wydawało się, że na zboczcu nic się nie porusza. - Okay, uważaj, nie wiem, czy tory są pod napięciem, czy też prąd płynie górą. Po prostu patrz, gdzie stawiasz nogę.

Massinger wyczuł w głosie Hyde'a chwilową pewność siebie. O sto jardów wyprzedził pogoń, osłaniała go mgła. Wystarczało mu to. Massinger był świadom zalet Hyde'a. Przez wszystkie te ubiegłe lata kierował tylko kilkoma takimi ludźmi. Jednym czy dwoma. Twardziele, faceci z jajami. Dobrzy agenci terenowi.

Przeszedł przez pierwsze tory. Nasłuchiwał uważnie. Zgrzyt, szcęk, odgłos tocących się żelaznych kół, ruch lokomotyw. Dziwne, gdzieś we mgle zaryczała krowa, odpowiedziały jej inne. Przestraszyło ich to na chwilę, potem nastąpiło przyjemne odprężenie.

Z mgły wyłonił się sznur wagonów.

- Przełaż pod spodem! - polecił Hyde.

Massinger złapał się lodowatego bufora wagonu, następnie pochylił się i przykucnął. Jak kaczką ruszył do przodu, jego biodro zaprotestowało. Bolało okropnie, a w środku

tego bólu było lekkie, prawie nieuchwytne uczucie słabości. Nie miał się o co wesprzeć, a za sobą czuł tylko bezbrzeżną pustkę.

Obawiał się, że jego biodro w każdej chwili może odmówić posłuszeństwa. Z wielką trudnością wyprostował się. Zabrakło mu tchu w mglistym i zadymionym powietrzu.

- W porządku? - zapytał Hyde niespokojnie.

- W porządku, niech cię diabli! - odpowiedział wściekle. Opierał się na lasce i patrzył na Hyde'a z twarzą wykrzywioną gniewem. - W porządku.

- Dobra. - Hyde wzruszył ramionami. - Idziemy dalej.

Kolejne cztery pary torów jak węże pełzły ku ich stopom i ześlizgiwały się z powrotem w biel mgły oświetlonej zimnym światłem.

- Stój - warknął nagle Hyde.

Hałas nadjeżdżającej ku nim lokomotywy. Massinger przyglądał się swoim stopom, serce biło mu jak szalone. Na torach? Obok torów? Na torach?

Mgła zawirowała, wzburzyła się, a potem rozdzieliła, wpuszczając niewyraźny, czarny kształt ze światłem z przodu, z trudem przebijający się przez zasłonę. Massinger odchylił się, czując na twarzy pęd powietrza, a pod stopami drgania, wywołane przez głucho dudniącą lokomotywę. Nigdzie nie widział Hyde'a. Przejeżdżające wagony pobrzękiwały, a w przerwach pomiędzy nimi pojawiały się smugi białego światła. Hałas był ogłuszający. W końcu pociąg przejechał. Mgła zamknęła się za przydymionym czerwonym światłem budki kierownika w ostatnim wagonie.

- Hyde? - ze strachem rzucił Massinger we mgłę.

- Ciszej! Chodź.

Jeszcze trzy, cztery, pięć torów. Szopy, warsztaty naprawcze, zwrotnice, semafony, światła. A potem wysoki kamienny mur z oszronionym powojem i zielskiem. Przy-mglona poświata lamp ulicznych ponad i za nim.

- Gdzieś tutaj powinny być schody - ostrzegł Hyde. - Ostrożnie.

Schody znajdowały się dwieście jardów w kierunku Lassallenstrasse. Hyde wspiął się na nie pierwszy, a potem kiwnął Massingerowi, żeby szedł za nim. Na górze wyjście na ulicę zagradzała furтка. Nie była zamknięta na klucz. Hyde gestem zachęcił Massingera do pójścia dalej. Zamarznięte kałuże, marne latarnie uliczne, jakieś magazyny. Wąska, brudna, brukowana ulica, na której nie było ani ludzi, ani samochodów.

- Czy możesz przejść jeszcze kawałek? - zapytał Hyde obawiając się, że może otrzymać odpowiedź przeczącą.

- Tak. Jak daleko?

- Na dworzec. Weźmiemy taksówkę do hotelu. Tylko zbytnio nie szarżuj i bądź czujny.

Kiedy szli, laska Massingera stukała o kocie łby. Ten stukot powracał odbity echem od ścian i drzwi magazynów. Hałas przypominał Hyde'owi o wieku Amerykanina, o jego słabości i determinacji. Mimo to nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że to on wspiera starszego mężczyznę. Massinger w niemal naturalny sposób przejął rolę jego kontrolera i to było słuszne, ale kiedy tamten będzie podejmował decyzje, to on sam będzie musiał przy ich realizacji narażać swoje życie.

- Czy coś nam to dało? - zapytał - Hmm?

Massinger milczał. Nie! Nie! Nie! - wybijała jego laska we mgle, a echo powtarzało zaprzeczenie.

- Opowiedz mi o Pietruninie - odezwał się w końcu. - Znasz go, prawda?

- Aż za dobrze.

- Słucham?

- Jakiś czas temu był rezydentem w Londynie. Potem próbował uziemić mnie w Australii i Hiszpanii. Nie możemy dojść ze sobą do ładu - ciągle się kłócimy! - W jego kpiarskim tonie było jakieś drżenie, którego Hyde nie potrafił ukryć.

- Czy jest agentem terenowym? - zapytał zdziwiony Massinger.

- Nie. W swoim czasie był generałem.

- W swoim czasie?

- Krążą pogłoski, że w zeszłym roku zdegradowano go do pułkownika.

- Przez ciebie?

- Nie. Ale miałem w tym swój udział. Nie udało mu się zatuszować pewnej sprawy.

- Czy do tego zatuszowania była mu potrzebna twoja śmierć?

- Tak.

- Ale rozpoczęte przez niego operacje nadal trwają, mimo że on sam utracił wiarygodność - skomentował gorzko Massinger.

Hyde zatrzymał Amerykanina, wysunął się naprzód i sprawdził dobrze oświetloną ulicę, która rozciągała się przed nimi. Mijały ich samochody, poruszając się powoli we mgle. W zasięgu wzroku był jeden czy dwóch przechodniów spacerujących z psami lub wracających z nocnej zmiany. Massinger odczuwał jednocześnie strach i poczucie bezpieczeństwa. Co więcej, w nim samym było jakieś podniecenie. Niebezpieczne, głupie, desperackie. Hyde wrócił.

- Droga wolna, jak zdążyłem się zorientować. Nie sądzę, żeby zrezygnowali z pogoni, ale dzieli nas teraz duży dystans. Może jeszcze nie dotarli na dworzec. Bądź ostrożny. Jeżeli ja ruszę, ty też ruszaj. Nie będę na ciebie czekał, w porządku?

- W porządku - kiwnął głową Massinger.

- Dworzec jest dwieście metrów stąd - ciągnął Hyde. - Co zrobimy, kiedy do-
trzymemy do hotelu i do wynajętego przez ciebie samochodu?

- Pojedziemy autostradą do Linzu, a może dalej, do Monachium. Przy odrobinie
szczęścia możemy znaleźć się tam rano. Chyba żeby mgła utrzymywała się przez całą
drogę.

- A potem?

- Musimy ponownie porozmawiać w Peterem Shelleyem. Musimy się skonsulto-
wać. Chciałbym też jeszcze raz pogadać z Kennethem... ale to zbyt niebezpieczne. -
Odwrócił się twarzą do Hyde'a. - Widzisz, żaden z nas w tej chwili nie ma dokąd iść.
Babbington zabronił mi dalszego zajmowania się tą sprawą. Ktoś poinformował Wie-
deń, że tutaj jestem, ktoś życzy sobie mojej śmierci i twojej też.

- Babbington.

- Wątpię. Ale ktoś taki istnieje. Wilkes nie jest z pewnością jedyną parszywą ow-
cą. Wykonuje czyjeś rozkazy. Ta intryga jest zbyt gładka, zbyt skuteczna i zgodnie z
tym, co mówił nasz zmarły przyjaciel, za długo już trwa, żeby mogła być kierowana
przez kogoś takiego jak Wilkes. To ktoś w Europie albo w Londynie. Oficer z długim
stażem, co najmniej tak długim jak Shelley albo któryś z jego zastępców. Musi być w
kieszeni KGB.

- Chryste! Nawet mi to nie przyszło do głowy... Shelley?

- A co?

Hyde zdecydowanie pokręcił głową.

- Nie, Shelley nie.

- Też tak myślę.

Dotarli do portyku wieńczącego Nord-Bahnhof. Wzdłuż krawężnika stał rząd tak-
sówek. Nikt nie zdawał się zwracać uwagi na Hyde'a i Massingera. Hyde wyraźnie się
odprężył.

Opętany swoją teorią, Paul zapomniał o tym, że byli o włos od śmierci. Zapomniał
o trupie Bajewa w mercedesie. Zapomniał o ludziach, którzy chcieli ich obu zlikwido-
wać. Hyde będzie musiał pilnować tyłów. On musi pomyśleć.

Musiał to wiedzieć. W SIS był agent KGB i z pewnością był nim ktoś z długim sta-
żem. To było jedyne logiczne wytłumaczenie.

- Dobra. Wsiadaj.

Massinger z trudem wcisnął się na tylne siedzenie taksówki i kazał kierowcy jechać
do Inter-Continentalu. Westchnął z ulgą, opadłszy na poduszki siedzenia.

- Zgadzasz się z moją hipotezą? - spytał, kiedy przejeżdżali Dunaj.

Hyde milczał przez chwilę, a potem pokiwał głową twierdząco.

- Masz rację. To musi być ktoś z góry. Ale kto?

- Tak rzeczywiście, kto? KGB ma w kieszeni kogoś bardzo ważnego, kto pomaga w realizacji „Łzy”. Gdybyśmy znali przyczynę, wiedzielibyśmy, kto za tym stoi.

- Nie masz żadnych teorii na ten temat? - zapytał Hyde z widoczną ironią.

W jego tonie była żartobliwa obojętność, wynikająca z niespodziewanego przyływu dobrego samopoczucia. Po opuszczeniu strefy zagrożenia napięcie Hyde'a spadało powoli niczym w skomplikowanym układzie elektrycznym.

Massinger ze świadomością, że właściwie tylko głośno myśli, powiedział:

- Żeby się upewnić, że z Aubreyem koniec? Żeby spowodować zamieszanie w wydziale? Żeby wspomóc jakąś operację na dużą skalę, o której nic nie wiemy? Może to być jedna z tych przyczyn lub wszystkie, a może chodzi o coś jeszcze zupełnie innego. Mamy dwa pytania: kto i dlaczego. Brak nam na nie jak dotąd odpowiedzi.

Ale ja znam odpowiedź, pomyślał. Bardziej nawet zwariowaną niż cała ta historia w Wiedniu. Do jej udzielenia będziesz mi potrzebny, dodał w duchu, patrząc z ukosa na rozpartego w wozie Hyde'a. Na pewno ci się to wcale nie spodoba.

Wtedy znów powróciło wspomnienie o Margaret. Odpędził je.

Później, później, kochanie, powiedział w duchu jej wizerunkowi. Najpierw ta sprawa... Dlaczego? To jest właściwe pytanie. Bo to mógł być każdy - jeden z pięćdziesięciu, a może nawet stu... Ale oni nie mieli dostępu ani odpowiednich świadków. Nie było nikogo, kto mógłby lub chciał im to powiedzieć. Shelley byłby w stanie sporządzić dla nich listę podejrzanych, i to bardzo długą.

Był jeden człowiek, tylko jeden, który wiedział wszystko. I który wiedział, dlaczego. Znał nazwisko zdrajcy... Pietrunin wiedział wszystko.

„Łza” była jego dziełem.

Paul rzucił Hyde'owi spojrzenie spod zmrużonych powiek.

- Czy wiesz, co się teraz dzieje z Pietruninem? Powiedziałeś, że jest w Niemczech?

- Co najmniej kilka meldunków wskazuje, że jest w Afganistanie. W ambasadzie w Kabulu. Przypuszczam, że to najcięższa placówka, jaką mogli dla niego znaleźć - odpowiedział Hyde, nie zastanawiając się nad konsekwencjami odpowiedzi.

Taksówka skręciła w Johannesgasse. Hyde był rozluźniony. Przy odrobinie szczęścia za parę godzin zostawią Austrię daleko za sobą. Poklepał się po kieszeni płaszcza. Były tam jego nowe papiery, leżały na piersi niczym talizman. Nie zastanawiał się nad przyszłością dalszą niż następną parę godzin. Te najbliższe chwile były pełne nadziei.

Opuszczał Wiedeń, w którym o mało nie stracił życia.

CZEŚĆ DRUGA

NAJDŁUŻSZA PODROŻ

I znów zebrawszy rozgromione wojska,
Radźmy, jak odtąd godzić najskuteczniej
W naszego wroga, jak nadrobić straty,
Jak przezwyciężyć tę klęskę straszliwą,
Jakie wzmocnienie może dać nadzieja,
A gdy jej nie ma, jaką siłę rozpacz.

Milton, *Raj utracony*
(przekład Macieja Słomczyńskiego)

Rozdział VI

Złota Droga

Pomimo że douglas C-47 toczył się już z hukiem po lądowisku w Peszawarze, Hyde nadal był oślepiiony światłem odbitym od błyszczącego, w górze śniegu. Równinę pokrywała cienka warstwa śniegu, poprętykana plamami żółtej ziemi, tylko wzgórza za miastem spowijała jednolita szarość. Kiedy stary samolot obniżył lot i kołował nad lotniskiem, Hyde zobaczył ze zdumieniem ciągnące się w stronę Hindukuszu, a nawet Himalajów, bezkresne góry, które zdawały się nigdy nie przechodzić w równinę lub pustynię.

Pomimo działającego ogrzewania w kabinie samolotu było zimno. Większość lecących wraz z nim żołnierzy klepała się po ramionach pokrytych grubymi płaszczami i przytupywała nogami. Wrócili przeważnie z przepustek z Karaczi, Hajdarabadu lub innych miast na południu. Od chwili startu z wojskowego lotniska w Karaczi nie zwracali na niego większej uwagi. Był obcokrajowcem - Anglikiem - i prawdopodobnie przypuszczali, że podróżuje na północ ku granicy z Afganistanem. Wśród lecących byli też członkowie personelu medycznego obozów dla uchodźców i policjanci. Widziano w nim pewnie konspiratora, podróżującego przez zieloną granicę, człowieka, którego tolerowano, ale nie uznawano.

Kiedy samolot kołował po lotnisku, Hyde zauważył dwie ciężarówki oczekujące na powracających żołnierzy. W odległości około dziesięciu jardów stał landrover. Obok niego - pakistański oficer, który pomimo zielonego polowego munduru i czarno-białego zawoju wyglądał schludnie i elegancko. Hyde'owi zdawał się postacią ze starego romantycznego wojennego filmu. Przypuszczał, że był to pułkownik Miandad z pakistańskiego Biura Granicznego, wchodzącego w skład wywiadu wojskowego.

Wziął swój bagaż podręczny i stanął w kolejce żołnierzy wychodzących przez pojętne drzwi w kadłubie. Natychmiast gdy tylko stanął na schodach, Miandad zwrócił na niego uwagę. Pakistański oficer podniósł w zabawny sposób swą oficerską trzcinkę w geście powitania i szybko podszedł z wyciągniętą ręką do podstawy schodków. Pierwsza z ciężarówek odjeżdżała właśnie w stronę niskiego budynku dworca przypominającego barak.

- Pan Hyde, jak mniemam? - rzekł Miandad po angielsku, lecz prawie bez akcentu, potykając końcówki. Twarz miał wąską, ciemną, wyrazistą. Oczy lśniły po obu stronach jastrzębiego, arystokratycznego nosa. Hyde'owi skojarzył się z cywilizowanym, opanowanym piratem.

Ucisnął wyciągniętą dłoń, po czym obaj ponownie włożyli rękawiczki.

- Pan pułkownik Miandad? - zapytał Hyde.
- Zgadza się. Proszę ze mną. Może napije się pan kawy?
- Bardzo proszę.

Hyde wsiadł do landrovera. Miandad zajął miejsce za kierownicą i rzekł:

- Wygląda pan na bardzo zagubionego, bardzo nietutejszego, jeśli wolno mi się tak wyrazić. - Wypowiedział te słowa z nieco zabawną azjatycką modulacją, używając archaicznych już form. Słyszac je Hyde odprężył się.

- Bo jestem - przyznał.
- Proszę. - Miandad podał mu termos. Hyde nalał sobie mocnej, słodkiej kawy.

- Pańska wizyta... jest wyjątkowo nietypowa - kontynuował Miandad. - Nie jest to wprawdzie najdziwniejsze z życzeń, jakie otrzymało nasze biuro, od kiedy Rosjanie wtargnęli do Afganistanu, ale zawsze. Przeważnie to właśnie CIA żąda najdziwniejszej pomocy. - Ukazał w uśmiechu śnieżnobiałe zęby. Jego usta świadczyły o młodości, oczy zaś - o doświadczeniu; na twarzy pojawiały się pierwsze zmarszczki. Hyde ocenił go na jakieś trzydzieści pięć lat.

- Świetna kawa.
- Doskonale. Jak na razie, panie Hyde... nie mam dla pana dobrych wieści.
- Mhm.

- Koncepcja pana profesora Massingera jest niezwykle pomysłowa - przyznał Miandad - lecz tylko w teorii. Cóż, jako mój dawny wykładowca uniwersytecki, pamiętał o mnie, a nawet o tym, że odbywałem przeszkolenie, przynajmniej częściowo, w jednym z waszych ośrodków w Anglii pod kierunkiem sir Kennetha Aubreya, który obecnie znajduje się w tak poważnych tarapatkach. - Oczy Miandada zdawały się błędzić w oddali, biegły gdzieś ku góróm, a może ku wspomnieniom sprzed lat. Jego zabawna, śpiewna modulacja stała się przez chwilę silniejsza, jak gdyby parodiował swoje angielskie wykształcenie i doświadczenia. - Tak, to wszystko jest bardzo finezyjnie pomyślane. Jednakże realizacja uzależniona jest od pomocy mudzaheddinów, na dodatek mudzaheddinów pathańskich*.

* Pathanowie - członkowie ludu zamieszkującego północno-zachodni Pakistan i południowo-wschodni Afganistan. - Przyp. tłum.

- Rozumiem...

Pilot wraz z załogą douglasa wsiadł już do drugiej ciężarówki, która w ślad za poprzednią ruszyła ku zabudowaniom dworca lotniczego.

- Nie jestem pewien, czy pan rozumie, panie Hyde, i, co więcej, czy powinniśmy obecnie rozpocząć działania. Są czasem oczy, które obserwują, nawet w Peszawarze.

- Rosjanie?

- Oni sporadycznie. Ale szpiedzy armii afgańskiej przekraczają granicę jako uchodźcy, niektórzy z nich wręcz udają powstańców. Teraz zabieram pana na spotkanie z człowiekiem, który może być dla nas problemem. To dowódca mudzaheddinów - Mohammed Dżan. Dzielny, niezależny facet, ale uparty jak osioł. Obawiam się, że bez jego pomocy nie dostanie się pan nawet do Afganistanu. Z pewnością nie osiągnie pan swojego celu. - Cały czas obserwując Hyde'a, Miandad wrzucił bieg i zwiększył obroty silnika.

Australijczyk czuł jego wyjątkowo uważne, jasne i bystre spojrzenie.

- Jakie są nasze szanse?

- Powinienem wyznać, panie Hyde, że bardzo nikłe - potrząsnął głową Miandad. - Mohammed Dżan nie posyła już więcej swoich ludzi do Kabulu. A z całą pewnością nie skieruje ich do ataku na kwaterę główną i koszary armii sowieckiej!

Landrover podskoczył na wyżłobionej przez dwie ciężarówki koleinie. Hyde nie potrafił ocenić, czy dominuje w nim uczucie zawodu, czy ulgi. Powrócił myślami do wydarzeń sprzed trzech dni. Spał wtedy w wynajętym samochodzie, kierowanym przez wyczerpanego, lecz wciąż bezsennego Massingera. Był szary, mokry brząsk, kiedy zbliżali się do Monachium. Samochód przystanął na światłach i kiedy Hyde się obudził, dostrzegł na twarzy Amerykanina wyraz determinacji, graniczący niemal z pasją. Massinger uśmiechnął się do niego, próbując go uspokoić, ale jego uśmiech wyglądał złowieszczo. Paula upajało zadowolenie z siebie. Hyde nadal odczuwał ulgę, jakiej doznał po ucieczce z Wiednia, ale to uczucie osłabiał obiecujący uśmiech Massingera.

W ciągu czterdziestu ośmiu godzin, które potem nastąpiły, Massinger ani razu nie opuścił hotelowego pokoju, niemal bezustannie rozmawiał przez telefon. Hyde dostarczał mu napoje i posiłki, a niekiedy przemierzał miasto w chłodnym deszczu, uciekając przed cieplarnianą atmosferą hotelu. Jego partner płonął energią organizacyjną i niemal obłąkańczym pragnieniem osiągnięcia celu. Zarówno jego twarz, głos, jak też wszyscy, z którymi kontaktował się przez telefon, sygnalizowali Hyde'owi, że znalazł się w niebezpieczeństwie. Powodowało to, że był wzburzony, nadal miał podniesiony poziom adrenaliny i osłabiony instynkt samozachowawczy.

Najpierw Shelley. Jedna za drugą rozmowa telefoniczna z budki położonej obok wiejskiego pubu. Żona Shelleya podniosła słuchawkę i rozpoznała Massingera, zanim ten się przedstawił. Shelley udał się do budki telefonicznej i stamtąd zadzwonił do Monachium. Była to pierwsza z blisko dwudziestu rozmów, jakie odbyli. Później Massinger telefonował do różnych ludzi w Londynie, starych kolegów z Langley i Wyszynghtonu, a nawet paru emerytów mieszkających w Nowej Anglii, na Florydzie i w Kalifornii. Wyglądało na to, że Massinger wydzwania do wszystkich znajomych, jakich miał kiedykolwiek w życiu. Później Pakistan...

A w końcu ten elegancki, zdecydowany człowiek siedzący za nim. Pułkownik Zahir Miandad z pakistańskiego wywiadu wojskowego, ekspert od spraw afgańskich, działalności partyzanckiej i sowieckich wojsk okupacyjnych. Hyde usłyszał o nim w czasie pierwszej rozmowy telefonicznej, prowadzonej po trzeszczącej, wyposażonej w szyfrotory linii wojskowej, kiedy to Massinger musiał krzyczeć do słuchawki, aby go słyszano. Była to chyba pierwsza z piętnastu lub szesnastu rozmów, z których ostatnia odbyła się tuż przed rozpoczęciem przez Hyde'a podróży. Massinger nie prosił go, żeby jechał, nadal grając przyjętą przez siebie rolę zwierzchnika, powiedział po prostu swojemu agentowi terenowemu, co zostało ustalone.

Hyde nie miał łatwego zadania - należało porwać starszego oficera radzieckiego z jego kwatery głównej w Kabulu lub każdego innego miejsca, gdzie mógł się znajdować Pietrunin. Twórca „Łzy”. Hyde z pomocą partyzantów musiał podjąć próbę schwytania Pietrunina z KGB.

- Rozmawiałem z Mohammedem przy wielu okazjach - mówił Miandad, kiedy landrover przebiegał się przez labirynt pociętych koleinami, zamarzniętych, błotnistych uliczek na jednym z paskudnych przedmieść Peszawaru. Było to miasto chaotycznie rozrzuconych chat i lepianek. Oczy Miandada uważnie śledziły ruch uliczny - rowery, bydło, stare samochody. Hyde zobaczył wyladowanego pomarańczami, chyba jeszcze przedwojennego Morrisa i stary, częściowo pozbawiony dachu jednopoziomowy autobus, Leyland. - W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin rozmawiałem z nim o tej sprawie dwa razy, nie, trzy razy. Odmówił realizacji tego pomysłu. - Miandad odwrócił się do Hyde'a - Nie mogę go błagać w pana imieniu. Nie ma pan broni, którą mógłby mu pan dostarczyć. Jego nie interesują ludzie ani to, co tkwi w ich głowach, lecz wyłącznie uzbrojenie - a szczególnie wyrzutnie raketowe. Schwyciłby dla pana pierwszego sekretarza sowieckiego KC, gdyby mógł go wymienić na pół tuzina wyrzutni „Red Eye” z odpowiednim zapasem pocisków! - Miandad uśmiechnął się szeroko. - Ale nie o to tu chodzi; mimo że jestem w stanie panu pomóc, mając tutaj dużą samodzielność, to przecież nie mogę oferować mu w pana imieniu naszego uzbrojenia.

- Rozumiem...

Odczuł ulgę czy rozczarowanie? Nie był w stanie zdecydować. Landrover wyrwał się z ciasnych uliczek i niemal natychmiast znaleźli się za ostatnią beczką z benzyną stojącą poza obszarem, na którym znajdowały się sklecone z blachy falistej budy, a pośród nich kręciły się woły, kobiety z zasłoniętymi twarzami i mężczyźni w turbalach. Dalej ciągnęły się góry, tamtędy przebiegała granica, tam był Khyber i inne przejścia do Afganistanu. Szare bryły piętrzyły się ku białym szczytom i przełęczom. Kontrast był tak ogromny, trudny do zniesienia, jak niepohamowana wściekłość lub mdości Hyde'a. Góry piętrzyły się niebotycznie ponad przeciętą rzeką równiną, pokrytą niczym chora skóra strupami miast z szałasów i obozów dla uchodźców, które otaczały Peszawar. Hyde widział podobne osiedla w Afryce południowej i przy okazji lotów z Australii, kiedy samolot lądował dla zatankowania paliwa w Bombaju lub innych miejscach w tym rejonie. Wielkookie dzieciaki ze wzdętymi brzuchami, przepychając się wzajemnie, wyszły z szałasu skleconego z arkusza falistej blachy i rozłożonego kartonowego pudła...

Odrzucił od siebie zarówno stare, jak i najnowsze obrazy. Jego zadaniem było ślizgać się po powierzchni lodu, a nie patrzeć przez tafłę na to, co kryje się w głębi. Młody biały wół przebiegł przez szlak. Miandad zwolnił, by po chwili ze zgrzytem rozpedzić ponownie wóz. Jestem rozczarowany, powiedział sobie Hyde. Mimo że Pietrunin swoimi bezpośrednimi działaniami omal nie zabił go już dwukrotnie i mimo że Hyde bał się ponownego z nim spotkania - był rozczarowany.

- Gdzie jest Dzan? - zapytał.

- W jednym z obozów. W jednym z niezliczonych obozów - dodał Miandad znużonym głosem.

Przed nimi, na krawędzi równiny, błyszcząły dziewiczym śniegiem i lodem góry.

- Myśli pan, że ponowne spotkanie z nim nic nie da?

Miandad potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie - mruknął.

Zatłoczonymi towarami alejkami supermarketu Alison Shelley pchała jeden, a Massinger drugi wózek na zakupy. Najmłodsza córka Shelleyów siedziała na wózku z podkurczonymi nogami, patrząc na matkę. Wydawała się zadowolona z czekoladki. Końce palców i kąciki ust miała umazane czekoladą. Alison szła obok Massingera, wkładając od czasu do czasu butelki i puszki do któregoś z dwu wózków. Gdyby ktoś obserwował ich z boku, mógłby uznać ich zachowanie za oczywistą pozorację.

Peter Shelley przywiózł poduszkowcem rodzinę na jednodniowe zakupy w Calais. Massinger, niby pozbawiony domu uchodźca, spędził cały wilgotny ranek na chodzeniu

tam i z powrotem wzdłuż plaży i wybrzeża Pas de Calais, tylko po to, aby rzucić okiem na odległe, na w pół rzeczywiste brzegi przybranej ojczyzny. Zimny, przenikliwy, słony wiatr targał jego mokre włosy, zwiewając je na czoło i do oczu. Ciało Paula drżało pod przemoczoną płaszczem deszczowym. Mimo to pozostał na brzegu do czasu spotkania z Shelleyem. Wydawało mu się, że pomimo odległości i bezmiaru szarej, nieprzyjaznej wody, będąc tu, zmniejsza choć trochę dystans dzielący go od Margaret. Sądził, że będzie mógł poczuć jej obecność.

Oczywiście, telefonował do niej. Chciał się dowiedzieć, jak się czuje oraz czy jest bezpieczna. Kiedy rozwił swoje obawy dowiedziawszy się, że nic jej się nie stało, znów powrócił do ostatniej rozmowy. Wypełniło to jego myśli. Margaret poleciła mu wracać do domu, odpowiedział jej, że boi się, czy znów nie będzie rozmawiała z Babbingtonem, a wtedy ponownie rozwarła się dzieląca ich przepaść. Odłożył słuchawkę z uczuciem fizycznego bólu w piersiach i niemożliwą do przełknięcia twardą grudą w gardle.

- Wziąć trochę wędzonej szynki, kochanie? - zapytał Shelley obojętnym tonem. Minęła ich niska, przysadzista kobieta, trzymając przed sobą niczym groźną broń z pół tuzina długich francuskich bułek. Wlokła za sobą chudego, bezbarwnie wyglądającego, wąsatego męża. Kiedy jedna z bułek złamała się, pochwyliła czułym gestem oderwany kawałek i przycisnęła do obfitych piersi, rzucając jednocześnie niechętne spojrzenie na dwa stojące na drodze wózki. Massinger odsunął swój, robiąc jej przejście.

- Weź - odpowiedziała Alison przez zaciśnięte zęby. Pogodziła się już z fikcją zakupów, ale na jej twarzy wciąż widniał wyraz napięcia. Wyglądało na to, że obwinia Massingera za wszystkie kłopoty, jakie spadły na nią i Shelleya.

Shelley wskazał na potężną szynkę. Francuski sprzedawca wrzucił ją do nylonowej torby, którą sprawnie zawiązał i opatrzył ceną. Shelley włożył paczkę do wózka Massingera i zdawał się z niechęcią odchodzić od rzędów kielbas, których ponacinane, pomarszczone skórki wyglądały bardzo smakowicie. Massinger odczytał z tuzin nazw pasztetów pakowanych w gliniane pojemniki. Wydawało się, że zainteresowanie tym spotkaniem znacznie w nich obu osłabło, jak gdyby podróż do Calais lub ostatnie poprzedzające ją dni, kiedy to pozostawali ze sobą w bezustannym kontakcie telefonicznym, rozładowały ich napięcie i pośpiech.

- Czy sądzisz, że Hyde ma jakąś szansę? - zapytał Shelley, wyciągając rękę, aby dotknąć ciemnej, tłustej kiełbasy. Wątroba z ziołami. Pasztet ardeński, automatycznie przeczytał Massinger. Grubo mielony. Nagle poczuł, że nie jest głodny, skojarzył sobie, że pasztet często zamienia się w chleb z pasztetem popijany winem, na ogół na różnych piknikach, o czym pragnął zapomnieć.

- Nie wiem - odpowiedział. - Istniała pewna możliwość, więc musiał pojechać. Poza tym będzie przynajmniej z dala od Europy w najniebezpieczniejszym dla niego okresie.

Shelley zmrużył oczy i skinął głową.

- Po prostu nie rozumiem, jak... - zaczął.

Oczy Massingera rozbłysły.

- Ja też nie rozumiem! - burknął z bostońskim akcentem, którym chciał podkreślić swój dystans do typowo angielskich wątpliwości Shelleya. - Hyde będzie trupem, jeżeli go złapią, ja, być może, również. Czy pomyślałeś o tym kiedyś, Peterze Shelley? - Mówił szybkim, wyraźnym szeptem. - Mówię ci tak, jak jest. Dopóki Hyde i my sami nie odkryjemy, kto i co się za tym kryje, za tym wszystkim, co stało się w Wiedniu i co się przydarzyło Aubreyowi, dopóty będziemy pozostawać w bezustannym niebezpieczeństwie. Nie zamierzam spędzić reszty życia wyłącznie na oglądaniu się za siebie.

Młodo wyglądająca, gładka twarz Shelleya wyrażała teraz trudne do określenia zaniepokojenie. Po chwili odezwał się z wahaniem:

- Nadal nie rozumiem.

- Więc zrozum. Oświadczam ci, że chcę, aby Hyde porwał Rosjanina nazwiskiem Pietrunin lub przynajmniej zbadał, czy istnieje taka możliwość. Ci Afgańczycy robili już wypadki do Kabulu, nawet na teren ambasady. Miandad wie niemal wszystko, co trzeba wiedzieć o Pietruninie - cholera, to się może udać! Są takie chwile, kiedy ten człowiek opuszcza Kabul, kiedy jest bez ochrony. Wszystko się może zdarzyć... - wyszeptał Massinger, jakby próbował rozwiać własne wątpliwości. Po chwili otrząsnął się i powiedział głośno: - Może, Peter. Po prostu może się udać.

- Niewykluczone...

- W porządku. Przejdźmy teraz do sprawy. Co masz dla mnie? Masz jakieś sugestie? Chodzi mi o to, czy nie znalazłeś czasem u nich jakiegoś słabego punktu?

Shelley zaprzeczył ruchem głowy.

- Może byśmy lepiej już poszli? - szepnęła żarliwie Alison, jakby obawiając się, że w każdej chwili mogą się stać celem ataku. Przybrała dziwną pozycję, pochylona nad córeczką, która nie interesując się otoczeniem, zjadała właśnie ostatni kawałek czekolady. Jej paluszki zostawiły wyraźne odciski linii papilarnych na sklepowej ladzie. Massinger zastanawiał się, czy Alison Shelley zdecyduje się w imię bezpieczeństwa zetrzeć te ślady...

- Tak, chyba powinniśmy iść - odpowiedział najbardziej uspokajającym tonem, na jaki mógł się zdobyć. Twarz Alison była wykrzywiona złością. Butelki brzęknęły, kiedy Massinger popchnął swój wózek, odjeżdżając nim od lady.

- Ale ostatecznie zgadzasz się ze mną, że mamy do czynienia z człowiekiem z naszej firmy, który pomaga Sowietom? - zwrócił się szorstko do Shelleya. Alison teraz nieco ich wyprzedziła i rozglądała się na prawo i lewo, zerkając na sklepowe półki, jakby spodziewała się, że zainstalowano tam urządzenia podsłuchowe. Ta kobieta, wciągnięta do świata wiecznej nieufności, w którym żył Shelley, budziła współczucie Massingera.

- Muszę przyznać ci rację po tym, co ustaliliście w Wiedniu.

Massinger żywo skinął głową. Shelley włożył do wózka kilka puszek maż.

- Dobrze - powiedział Massinger. - Jest zdrajca i musi on być starszym oficerem.

- Tak... - W głosie Shelleya brzmiało zaniepokojenie.

- Dla mojej żony stało się to piekłem! - wybuchnął Massinger, rozszłoszczony powściągliwością Shelleya, a może obawą o własną przyszłość. W tym momencie chciał być samolubny.

- Przykro mi.

- Po całej sprawie z 1951 roku, kiedy mówiono, że został zamordowany, po długim bezowocnym śledztwie, równie bezowocnym jak próby odnalezienia go w 1946 i 1947 roku, teraz po tym wszystkim uwierzyć, że Kenneth go zamordował... nasłał na niego NKWD lub zamordował go własnymi rękami... - Massinger przerwał. Zapadła cisza. Jego płaszcz przeciwdeszczowy nadal wydierał zapach wilgoci i słonej wody. Czuł się zszargany i pokonany.

- Tak, przepraszam - powiedział niezdecydowanie Shelley. - Tak. Zgadza się z tobą. Jest ktoś na samej górze, kto pomaga KGB osiągnąć wytyczony cel i chce usunąć stojącego mu na drodze Aubreya.

- W takim razie co mamy robić?

- Helsinki, mógłbyś to załatwić? Ja...

Obaj spojrzeli mimowolnie na Alison Shelley, która stojąc kilka kroków przed nimi, usiłowała wyjąć z rąk córki puszkę oleju samochodowego. Massinger zrozumiał, czym się to dla niego skończy. Stracił już żonę. Shelley nie utracił jeszcze swojej i nie utraci, jeżeli zdoła temu zapobiec.

Spojrzał na Shelleya, który odwrócił oczy i drgnął.

- Dobrze - powiedział Massinger. - Ale dlaczego do Helsinek?

Szli za Alison, która skręciła w prawo. Zatrzymali się, kiedy nagle przystanęła i zaczęła grzebać na półkach z dziecinnymi ubrankami. Wyraźnie kręciła nosem, ciuszki jej się nie podobały. Spoglądała nieustannie w kierunku swego dziecka.

- Tam jest ktoś, kto mógłby z nami porozmawiać, raczej z tobą, jeżeli jeszcze będzie o czym rozmawiać. Phillipson był szefem placówki w Helsinkach. Aubrey mianował go na to stanowisko. Był zawsze lojalny wobec starego. Sześć miesięcy temu przeszedł na emeryturę. Polubił Finlandię i Finów i dlatego nie wrócił do Anglii. Nadal tam mieszka, chociaż został wyłączony z roboty...

- Naprawdę?

- ...ale organizował kilka spotkań Aubreya z Kapustinem, także to sfilmowane i nagrane na taśmę magnetofonową... - W głosie Shelleya znów był cień nadziei. Ruszyli. Dziewczynka dostała już ubranko, które po przymiarce zyskało akceptację matki. Teraz córka Shelleya wychylała się z wózka, żeby widzieć swój nowy strój.

- Myślisz, że jeśli tam zrobiono jakiś numer, to Phillipson mógł przynajmniej coś podejrzewać, zauważyć coś przy okazji?

- Dokładnie o to mi chodzi. Aha, a co z pieniędzmi?

- Wezmę, ile masz. Karty kredytowe zostawiają ślady. Nie mam czasu na dokonanie przelewu.

- Przywiozłem całkiem sporą sumkę. Zaskórniaki, sam rozumiesz...

- Dobrze. Co będziesz robił przez ten czas?

- Potrzebny nam będzie wykaz podejrzanych.

- Koniecznie.

- Ja nie będę miał dostępu do potrzebnych danych - to będzie praca koncepcyjna. Musi to być ktoś z Wydziału Europy Wschodniej, mam rację? - Shelley wyglądał na załamanego niczym młody urzędnik bankowy zbesztany przez szefa.

- Albo nawet ktoś jeszcze wyżej - uzupełnił Massinger.

- Wracasz do Londynu po wyjeździe z Helsinek?

- Myślę, że tak. - Niepokoiła go Margaret, ale wiedział, że jego powrót do Londynu jest konieczny, choć niesie ze sobą niebezpieczeństwo. - Tak - dodał z westchnieniem.

- Gdzie się zatrzymasz?

- W mieszkaniu Hyde'a - odparł bez wahania.

- To się może udać.

- Hyde przypuszcza, że się uda. Przynajmniej na krótko.

Nieobecna myślami Alison Shelley ładowała do swego wózka długie bułki francuskie. Wydawało się, że Shelley oblicza w myślach liczbę butelek wina, które można dołączyć do zakupów bez konieczności płacenia cła.

Ostatecznie sięgnął na jedną z górnych półek po butelkę czerwonego.

- Spójrz na to - powiedział spokojnie. - Taniej niż trzy funty za świetne wino. Będę musiał porozmawiać sobie z naszym dostawcą win. - Uśmiechnął się. Ta kulinarna

uwaga wytrąciła Massingera z równowagi. Zamiast rozproszyć jego grobowy nastrój to banalne przypomnienie o codzienności przywołało znów przed jego oczy obraz Margaret. Rozluźnił dłonie ściskające rączkę wózka. Delikatnie brzęknęły uderzając o siebie butelki. Paul spoglądał zamglonym wzrokiem na przemoczone rękawy swego płaszcza. Shelley ostrożnie włożył butelkę czerwonego wina do wózka. Zawzięta i rozdrażniona Alison znów na nich czekała.

- W takim razie do Helsinek - mruknął Massinger.

- Są lepszym miejscem niż Afganistan o tej porze roku - zażartował Shelley, nie zważając na ponury nastrój Massingera.

Massinger popchnął mocno wózek, co spowodowało nagły, głośny zgrzyt. Przed nim, za linią kas, deszcz tłukł o przeszklone drzwi supermarketu. Dalej, lecz znacznie lepiej widoczne, były Helsinki i człowiek o nazwisku Phillipson. Na te obce obrazy, które miały teraz barwę nie oświetlonego ekranu kinowego, nakładało się uczucie rozłąki z Margaret i jej nienawiści. Nie wyobrażał sobie końca tego wszystkiego, brakowało zakończenia.

Stary błyszczący karabin Lee Enfield ozdobiony był złotem i inkrustacjami. Kołysał się niczym królewskie berło w skrzyżowanych ramionach Pathana. Tę broń, która ze względu na swój wiek nadawała się na okaz muzealny, Hyde'a dostrzegł dopiero przed chwilą, siedząc naprzeciw jednego z kilku mężczyzn. Każdy z nich zdolny był pozbawić go życia. Nie byli żądni jego krwi, nie byli mu nawet wrogami - chociaż z pewnością i nie przyjaciółmi - byli po prostu odpowiednio wyszkoleni, odpowiednio silni.

Mohammed Dżan po raz kolejny pokręcił głową, zanim Miandad zdążył przetłumaczyć ostatnią prośbę Hyde'a o udzielenie pomocy. Koniec jego zielonego turbana za-trzepotał, podkreślając odmowę. Spod pomalowanych proszkiem antymonowym* powiek dziwnie twardo i niewzruszenie spoglądały jego niebieskie oczy. Wydawało się niemal, że nie dostrzega Australijczyka i jego pakistańskiego kompana. Usta, ukryte w poszarzałej czarnej brodzie i zaciśnięte w wąską kreskę, wyrażały odmowę. Mohammed i jego mudżaheddini byli zainteresowani Pietruninem - w rzeczywistości nienawidzili go i życzyli mu gorąco powolnej śmierci - ale nie byli zainteresowani żadnym z planów działania, które mógł im zaproponować Hyde. Zainteresowanie Hyde'a tym Rosjaninem nie pokrywało się z tym, o co im w związku z Pietruninem chodziło.

* Proszek antymonowy - czarny proszek używany na Wschodzie do barwienia powiek. - Przep. tłum.

Za dwa tuziny karabinów SLR lub NATO FN, za trzy wyrzutnie rakiet i odpowiednią ilość pocisków mogliby dokonać uderzenia na główny obóz Kabulu, gdzie Pietrunin

miał swoją kwaterę, ale Hyde nie miał tej łapówki, a tym samym jego argumenty nie były w stanie ich przekonać.

Hyde'owi było zimno. Nie zostali nawet zaproszeni do skleconego z drewna i blachy falistej szałasu, lecz kazano im przykucnąć na ziemi przed wejściem. Kończyło się popołudnie i temperatura zaczęła spadać. Teren obozu dla uchodźców przecinały długie cienie, a góry za Paraczinarem okryły się złotem. Droga z Peszawaru zajęła im cztery godziny jazdy samochodem, ale podróż okazała się daremna.

- On powtarza, że Kabul stał się znacznie bardziej niebezpiecznym miejscem - przetłumaczył Miandad. Hyde pokręcił głową.

- Nie proszę go, żeby poszedł do Kabulu - odpowiedział. - Już mu to mówiłeś. Potrzebny mi harmonogram operacyjny Pietrunina - chcę złapać go daleko od Kabulu, na odkrytym terenie. Boże, mogłoby się wydawać, że ci faceci nigdy przedtem nie organizowali zasadzki!

Mohammed Dżan zamrugał oczyma, słysząc wyraźną złość w głosie Hyde'a. Jednak jego kamienna twarz pozostała niewzruszona. Zdawało się, że cierpliwie czeka na odjazd nieproszonych gości. Wypili herbatę podaną przez jedną z jego synowych, wysłuchał ich argumentów i odrzucił je. Pozostawało im tylko odjechać.

Hyde wstał i odszedł. Miandad podążył za nim i dlatego Australijczyk wylał na niego swój żal.

- Czy ten uparty stary palant nic nie rozumie? - zaczął.

- Nie przedstawiłeś mu powodów, dla których miałyby ci pomóc.

- Chryste! On nienawidzi Pietrunina! Jakie jeszcze dodatkowe uzasadnienia są mu potrzebne?

- Nie zaoferowałeś mu ani broni, ani pomocy. Tylko ty chcesz czegoś od niego. A on nie jest przygotowany, aby ci to dać, bo chodzi tu o życie!

- On tam gdzieś jest - człowiek, który zna odpowiedzi na wszystkie pytania! - wrzasnął Hyde. - Który trzyma w rękach moje życie - dodał już łagodniej.

Miandad przytaknął.

- Być może także życie sir Kennetha Aubreya, mojego starego wykładowcy z uniwersytetu. Rozumiem to, ale Mohammed Dżan nie rozumie. Jego cele nie są twoimi, jego zainteresowania skupiają się tutaj...

Miandad wskazał ręką na obóz dla uchodźców, który zdawał się wolno osuwać po łagodnym stoku, niczym kupa śmieci ześlizgujących się z wywrotki.

Obozowisko dawno temu utraciło tymczasowy charakter i stało się stałym osiedlem, czymś w rodzaju wtopionej w krajobraz wioski tuż przy granicy z Afganistanem. Sklecone były jak budy, namioty i lepianki kryły w swych wnętrzach resztki bodaj

trzech lub czterech plemion Pathanów, a Mohammed Dżan był wodzem najliczniejszego szczepu. To było jego terytorium, ta kupa starych bud rozrzucona w wąskiej dolinie, ciągnącej się do granicznego miasta Paraczinar i przełęczy Kurram prowadzącej do Afganistanu. Sprawował autokratyczną władzę nad tym obszarem i zamieszkałymi na nim ludźmi, żyjąc po to, aby zabijać rosyjskich i afgańskich żołnierzy. Był uchodźcą i to określenie pasowało do niego znacznie lepiej niż do samego Hyde'a.

- W porządku! - burknął Hyde, odwracając się plecami do pograżającego się w cieniu gór obozowiska. Rozjarzyły się płomienie ognisk, na których przygotowywano posiłki. Wokół ognia kręciły się kobiety z osłoniętymi twarzami. Słychać było krzyki i pomruki dzieci i kóz. Miejscami ze śniegu wystawały nagie, ostre skały. Dookoła kręcili się uzbrojeni mężczyźni. Wydawało się, że jedynym celem ich istnienia jest noszenie broni. - W porządku - moje życie nie ma dla niego znaczenia. Ale ja osobiście nie potrafię się o nie nie martwić, chociaż trochę. Jeżeli nic nie będę mógł zrobić, to pozostaje pytanie, czy włączyć się do walki w tej wojnie, teraz, kiedy ona trwa. Tutaj czy gdziekolwiek indziej.

Miandad odwrócił się, aby spojrzeć jeszcze raz na Mohammeda.

- Ludzie mówią, że oni są dzicy, okrutni i dumni, to prawda - mruknął. - Są także nieustępliwi. Po prostu żyją w innym świecie niż ty. Twoja niechęć do Rosjan jest trochę podobna do blasku księżyca w południe. Nie da się przyrównać do ich uczuć. Są doskonali w sztuce nienawiści - ale według ich norm i z uznanych przez nich powodów.

- Jedźmy stąd.

- Dobrze. Powinniśmy być bezpieczni w drodze powrotnej do Peszawaru. Oczywiście może nam się coś przytrafić. - Miandad ponuro się uśmiechnął. - O! Chwileczkę, jestem ciekaw, co tam się dzieje...

- Co?

- Słuchaj. Starzec mówi coś Mohammedowi Dżanowi, chcę posłuchać, o co mu chodzi.

Hyde odszedł z rękoma w kieszeniach i z opuszczonymi ramionami, jego oczy twardo patrzyły na ponurą rzeczywistość obozu. Nie interesowało go to i nie poruszało. Martwił się jedynie swoimi kłopotami, był sfrustrowany i wściekły, że Pathanowie nie chcieli mu pomóc. Usłyszał nawoływanie i zobaczył ludzi idących pod górę, w kierunku chaty Mohammeda. Minęli go, nie zwracając na niego uwagi. Nieśli stare długie strzelby i nowoczesne karabinki Kałasznikowa. Wszyscy byli opasani taśmami z amunicją. Miandad miał rację, to był inny świat. Ich ideały, siła ich nienawiści i zemsty były obce systemowi norm obowiązujących w życiu zawodowym Hyde'a. Był ciekaw

subtelnych zmian, jakie musiały zajść w psychice nawykłego do życia w mieście, inteligentnego i wykształconego Pietrunina, od kiedy włączył się do tej specyficznej wojny. Osobiście odczuwał cień ulgi spowodowanej odmową Mohammeda Dżana. Zdawało mu się, że uciekł przed trudnym, do przewidzenia, przerażającym niebezpieczeństwem.

Pomimo to nadal pamiętał o Aubreyu, starym, zastraszonej i bezsilnym. Hyde prawie nienawidził swego własnego poczucia lojalności, bo znał jego siłę.

- Przypuszczam, że jedna z powracających grup bojowych Mohammeda wpadła w kłopoty - powiedział łagodnie stojący obok Miandad. Jego głos przestraszył Hyde'a. Za nimi uwijali się mężczyźni, przemykali niby cienie, kierując się do chaty wodza. Hyde odwrócił się, aby popatrzeć na ludzi gromadzących się wokół Mohammeda Dżana, który przemówił potężnym głosem.

- Mówiłeś coś? - zapytał Hyde nieobecny tonem.

- Jego najstarszy syn dowodził powracającą grupą bojową. Ten starzec, który przybył przed paru minutami, był obserwatorem oczekującym na ich powrót przez przełęcz Kurram. Zostali zlokalizowani i oczekują na zapadnięcie zmroku. W akcji biorą udział śmigłowce. Wielu z nich zginęło, sądząc na podstawie obliczeń starego.

Hyde'a przeszedł dreszcz.

- Mówiłeś mi, że to inny świat. Cóż możemy zrobić?

Mężczyźni już wyruszyli, szli w kierunku skraju obozu i długich cieni gór. Ubrane w śnieżne czapy szczyty błyszczały w zachodzącym słońcu. W miejscu, gdzie leżał Paraczinar, widoczne były punkciki świateł.

Mohammed Dżan zniknął.

- Chodź - powiedział Miandad. - Może zrozumiesz, o co chodzi w tej wojnie. Być może będzie to dla ciebie dobra lekcja. Pójdziemy za Mohammedem i jego ludźmi. Będziesz mógł może zobaczyć, czego twój stary przyjaciel nauczył się o wojnie partyzanckiej. Zęby Miandada błysnęły bielą, ale nie w uśmiechu.

W dole, pod samolotem, rozpościerał się monotony szarobiałą krajobraz.

Zmarszczone, niby wymięte szare ubranie nędzarza, wody Zatoki Fińskiej kończyły się gwałtownie, w miejscu gdzie pokryta śniegiem plaża Helsinek zmieniała się w białą płachtę. Lekko zaznaczały się wąskie linie odśnieżonych dróg i szlaków kolejowych, ale wyglądało na to, że teren jest absolutnie nie zamieszkały i wrogi. Massinger odwrócił się od okna samolotu z poczuciem, że ląd i morze pod nim obrazują stan jego umysłu - pustkę i beznadziejność.

Mógł nie lecieć; powtarzał to sobie kolejny raz, chociaż w głębi jego mózgu głucho brzmiały słowa wypowiedane piskliwym, dziecinnym głosikiem. On, niegdyś mieszkaniec

Bostonu, naukowiec o chłonnym, racjonalnym umyśle, miał szczególnie rozbudzone, proste i autentyczne poczucie patriotyzmu. Takie uczucie było obce Hyde'owi. Paul zastanawiał się nawet, czy jest ono znane Aubreyowi. Tak się stało, że miał w sobie zdolność do głębokiego patriotyzmu, niczym zdolność do miłości. Obiektem tego uczucia mógł być równie dobrze Afganistan jak Stany Zjednoczone, ale on po prostu kochał Wielką Brytanię.

Niemal wbrew sobie samemu odkrył, że bardzo się przejmuje manipulacjami dokonywanymi przez Związek Radziecki wobec służb wywiadowczych jego przybranej ojczyzny. Tego nie można było tolerować.

A może było to po prostu jego cholerne wyczucie dobra i zła? Czy to ono leżało u podstaw przekłętego dążenia do wykrycia tajemnicy, oczyszczenia Aubreya, pokonania wrogów? Mogło tak być, ale on nie chciał się z tym pogodzić. Naiwność była cechą jego charakteru, a on nie pragnął być naiwny.

Z lotniska znów rozmawiał z Margaret, patrząc przez wielkie okna na mokry od deszczu pas startowy. Krajobraz był tu równie szarobiał jak widok, który ujrzał później z samolotu lądującego na lotnisku Seutula. Usiłował przekonać żonę, że jest bezpieczny, ale nie mógł do niej wrócić, tak jak chciała, i zaniechać tej sprawy z jednego prostego powodu: ktoś chciał go zręcznie zamordować. Rozmowa była bolesna i bezcelowa. Wciąż stali po dwu stronach otchłani, której ogrom podkreślała dzieląca ich odległość. Ona, wierząc bezgranicznie w winę Aubreya, pograżała się w oceanie nienawiści do tego człowieka. Było to fanatyczne zaślepienie, którego nic nie było w stanie zwalczyć lub bodaj złagodzić. Dlatego, pomagając Aubreyowi, Paul stawał się wyklętym heretykiem.

Pomimo to wiedział, że wiara rozrywa jej duszę na dwie części, równie silnie jak jego własną. Nie mógł powiedzieć Margaret, że nigdy nie będzie bezpieczny - nigdy dopóki nie zdoła rozwikłać tajemnicy, czyli poznać prawdy dotyczącej jej ojca i Kennetha Aubreya.

W końcu, czując wewnętrzną potrzebę i mając mimo wszystko zaufanie do żony, powiedział, że zgodnie ze swoim planem zamierza przyjechać do Anglii, że zatelefonuje, że musi się z nią zobaczyć...

Jednakże gdy wypowiadał słowa próśb, obrony i zapewnień, słuchawka w jej mieszkaniu została odłożona. Na linii zapadła przerywana wyładowaniami elektrycznymi cisza. Długo wsłuchiwał się w tę ciszę, zanim zdecydował się odwieść słuchawkę.

Zimny deszcz siekł go po twarzy, kiedy szedł po płycie lotniska do samolotu fińskich linii lotniczych Finnair lecącego do Helsinek.

Skrzydło samolotu pochyliło się i odsłoniło mu widok na szare budynki i pas startowy lotniska Seutula. Samolot opuścił nos, wyrównał kurs i zaczął podchodzić do lądowania. Massinger skierował myśli na Phillipsona i najbliższą przyszłość.

W narastających ciemnościach Hyde od czasu do czasu dostrzegał na śniegu jasne stroje lub turbany, a nawet ciemne sylwetki partyzantów pathańskich przeskakujących od skały do skały, z zarośli pod karłowate drzewa, ku kolejnej szansie przeżycia w walce. Rozgrywała się tu scena ze zwolnionego filmu, tym bardziej realistyczna, że niemal bezdźwięczna. Ponad przełęczą wąskiej, jakby wyciętej nożem doliny, która przecinała granicę na północ od Paraczinaru, krążyły niczym podniecone owady rosyjskie śmigłowce. Doprowadzone do szału i oszołomione trucizną z aerozolu muchy. Dwa równoległe światy, cierpliwości i pośpiechu, myśliwych i zwierzyny. Hyde'owi, patrzącemu przez lornetkę polową przystosowaną do użycia w warunkach ograniczonej widoczności, wydawało się, że wielu z mudzaheddinów było rannych, a według przypuszczeń Miandada oddział poniósł znaczne straty w ludziach, którzy wyruszyli trzy dni temu do Afganistanu.

Śmigłowce szturmowe MiL przeczesywały dolinę niczym powietrzna nagonka, przesuwając się w kierunku wysoko położonej rozpadliny w skałach, gdzie kryli się Hyde, Miandad i, nieco dalej, Mohammed Dzan wraz z trzema lub czterema zaufanymi zastępcami. Starzy, szarobrodzi mężczyźni z długimi, przestarzałymi karabinami. Silniki śmigłowców ryczały ogłuszająco. Po chwili maszyny wykonały obrót z lekkością tancerzy. Podmuch łopat czterech odlatujących MiL-24 targał włosy Hyde'a. Kiedy śmigłowce unosiły się nad nim nie wyżej niż dwieście stóp, rozpoznał zawieszone pod krótkimi płatami rury pięćdziesięciosiedmiomilimetrowych wyrzutni raketowych i umieszczone na nosie każdego z helikopterów czterolufowe karabiny maszynowe. Zadrzał.

- Tam! - wrzasnął Miandad, przekrzykując łoskot zwielokrotniony echem odbitym od ścian doliny. - Tam!

Hyde opuścił lornetkę, skierował ją tam, gdzie wskazywała wyciągnięta ręka Miandada, i ustawił ostrość na większą odległość niż ta, w jakiej znajdowały się odlatujące śmigłowce. Zobaczył w soczewkach płamę czerwieni, która rozplynęła się i zniknęła, by po chwili nabrać ostrości. Obraz był niekolorowy, wyraźnie czarno-biały. Kiedy poprawił ostrość, na polu walki zaczęło się coś dziać, coś, co zepchnęło wszystko inne na dalszy plan. Kij w mrowisku. Nowy aktor.

Ten śmigłowiec pomalowano na jaskrawe kolory, domyślił się Hyde. Z pewnością nie były to barwy maskujące, jakimi pokryto pozostałe helikoptery, lecące teraz z uniesionymi ogonami i pochylonymi nosami w stronę, gdzie spoglądał Hyde.

- Czerwony, wściekle czerwony - mruknął Miandad.

Hyde opuścił na chwilę lornetkę i spojrzął na pakistańskiego pułkownika. Miandad skinął głową. Hyde poczuł, że ogarnia go zimno, ale nie potrafił wytłumaczyć tej reakcji. Pietrunin?

- To on? - zapytał.

Miandad potwierdził ruchem głowy.

- To on. Łatwo rozpoznasz jego styl - jest bardzo przesadny. - Białe zęby Miandada błysnęły w ciemnościach skalnej rozpadliny.

Hyde znów uniósł lornetkę i lekko skorygował ostrość. Dowodzący śmigłowiec z Pietruninem na pokładzie bardzo powoli przesuwał się w górę doliny. Wyglądało to tak, jakby odbywał rytualny taniec z pozostałymi czterema szturmowcami MiL. Jego prędkość jeszcze bardziej malała, kiedy spotykał się ze swymi czterema ciężkozbrojnymi dworzanami.

Hyde opuścił lornetkę w dół i znów ustawił ostrość. Targał nim niewytłumaczalny lęk i pośpiech. Poniżej, w korycie wąskiej rzeczki, Pathanowie zdawali się poruszać z równym pośpiechem. Rannych zabierano bardziej brutalnie, ciągnąc ich, a nawet wlokąc. Małe, spowite tkaniną figurki biegły przed siebie drobnymi kroczkami. Było już ciemno. Partyzanci znajdowali się nie dalej niż pół mili od stanowiska Hyde'a. Chociaż nie miało to znaczenia, byli obecnie po tamtej stronie granicy. Hyde zwrócił wzrok na czarną przestrzeń ponad doliną. Pojawiły się pierwsze gwiazdy, które zdradliwie świeciły w szkła lornetki - i pięć śmigłowców. Cztery szturmowce zawisły, oddając w dowolnym kolistym tańcu hołd maszynie dowódcy.

Hyde usłyszał wydawane przez Mohammeda Dżana rozkazy. Znajdujący się poniżej niego mężczyźni zaczęli przemykać chyżo w stronę zbliżającego się oddziału i rannych. Daleko w dolinie hałas śmigłowców zwielokrotnił ściany gór.

Po chwili grupa rozproszyła się. Cztery szturmowce zatoczyły koło, ustawiły się w jednej linii i zaczęły ponownie przeczesywać dolinę. Śmigłowiec dowódcy trzymał się z tyłu niczym strzelec oczekujący na zawodach sportowych na emocje związane z wyrzuconym do góry rzutkiem. Hyde, znając dowódcę czerwonego MiL-24, uznał ten szyk za zapowiedź zbliżającego się niebezpieczeństwa. Ludzie, którzy ruszyli na ratunek nadchodzącym, kryjąc się i klucząc biegle w kierunku oddziału. Wyglądali niczym jasne, kolorowe plamki lub skurczone cienie. Cztery śmigłowce zacieśniły nad nimi szyk. Wywoływany przez nie hałas przerażającym łoskotem odbijał się od skał.

Hyde patrzył. Skulił się, kiedy od każdego z pękających kadłubów oderwał się strumień małych czarnych, przypominających jajka przedmiotów. Śledził ich lot i widział, jak odbijają się od skał, toczą, pękają. Żadna z kul nie wybuchła. Ucisk w żołądku

zelżał. Odwrócił się do Miandada, rzucając spojrzenie na jego ponurą twarz. Pakistańczyk pokręcił lekko głową. Hyde znów skupił uwagę na biegnących Pathanach. Obie grupy spotkały się. Ranni otrzymali dodatkowe, pośpieszne wsparcie. Tempo ich ruchów znacznie wzrosło. Cztery śmigłowce pochyliły się i zawróciły. Znów posypały się na ziemię czarne jaja. Nie było eksplozji.

Hyde oddychał z trudnością, nie mogąc zrozumieć, co się dzieje.

Powracające MiL-e przeleciały nad partyzantami, za nimi zaś niczym ogromna sieć włókł się huk. Zapadła cisza, w której stopniowo narastał pojedynczy hałas nadlatującego śmigłowca dowódcy zespołu. Zbliżał się na wysokości nie większej niż dwieście stóp. Odpalone z niego rakiety uderzyły w skalne urwisko ponad dnem doliny. Hyde zobaczył unoszące się ku górze twarze, podskakujące, szybko przemieszczające się turbany. Zaczął już rozróżniać poszczególne sylwetki, kształty, rysy. Oddział, wspomagany przez grupę ratowniczą, znajdował się nie dalej niż ćwierć mili od jego stanowiska. W kotlinie zaczęła się podnosić lekka, srebrzyście świecąca mgła. Błyszczała niczym oświetlone kropelki rosy.

Mgła?

Mgła była lekka, gazowa, trochę matowa, lecz pomimo to świeciła zdradliwym blaskiem.

Czerwony śmigłowiec. Teraz Hyde dostrzegł na jego kadłubie inne niż na pozostałych symbole eskadry. Paszcza rekina? Jakieś groteskowe oblicza? Głowy zwierząt? Nie był w stanie dokładnie tego rozróżnić. Ten śmigłowiec miał w sobie coś tajemniczego, jak gdyby nie był produktem nowoczesnej techniki, lecz magicznym przedmiotem kultu sprzed lat.

Zawisł. Ludzie biegli, rozpraszali się, kuśtykali lub padali. Uciekali zgarbieni, poruszając się w srebrnej poświacie, która podniosła się z dna doliny na wysokość dziesięciu, może dwunastu stóp. Śmigłowiec Pietrunina nadal pozostawał w zawisie.

Miandad głęboko wciągnął powietrze. Ramiona Hyde'a napięły się w oczekiwaniu. Bolał go kark. Uwierały przyciśnięte do oczu okulary lornetki. Mężczyźni biegli, byli teraz bliżej, niemal...

Zdawało się, że z maszyny dowódcy spadła w dół czerwona iskra, a śmigłowiec natchmiał wznosił się wyżej i pochyłony szybko odleciał.

Iskra przypominała robaczka świętojańskiego lub palący się niedopałek wyrzucony z maszyny.

Mgła wybuchnęła płomieniem. Zmieniła się w jednolity walec ognia, ognistą trumnę, która zamknęła w swym wnętrzu wszystkich biegnących. Hyde widział, jak bieżą, zataczają się i zatrzymują, rażeni drgawkami przed upadkiem na ziemię. Słyszał trzask płonącego napalmu lub innej substancji będącej źródłem ognia. Ten dźwięk był głośniejszy niż słabe jęki palonych żywcem.

Po chwili ogień przygasł, wywołując na siatkówkach oczu patrzących efekt podobny do skutków patrzenia w światło lampy błyskowej. Blask przybladł, ściemniał i zniknął w mroku. Hyde opuścił lornetkę. W twarz uderzyła go fala gorąca, a zaraz potem poczuł kompletne wyczerpanie.

Odpowiedzią na atak było kilka słabych strzałów z zabytkowych karabinów, oddanych w kierunku śmigłowca dowódcy. Hyde znów uniósł lornetkę. Poczł mdłości. Helikopter Pietrunina nadlatywał z powrotem. Przednie szyby kabiny zwrócone były w kierunku miejsca kaźni, a umieszczone nad nimi otwory wlotów powietrza wyglądały jak ogromne, ziejące nozdrza. Zdawało się, że maszyna rozkoszuje się odniesionym zwycięstwem.

- Myślę, że było ich tam ponad pięćdziesięciu - mruknął Miandad.
- Wliczając w to rannych. - Hyde odwrócił się do niego z otwartymi ustami.
- Oraz jego dwóch synów. - Wskazał głową w kierunku człowieka siedzącego za Hyde'em.

- Jaja... - zaczął Hyde, ale nie zdołał wykrztusić nic więcej. Usta miał nadal otwarte, jakby zamierzał coś powiedzieć. Co to było? Co utkwilo mu w głębi świadomości niczym cień? Czy chodziło tu o jakąś książkę? O Conrada? A może o film - *Czas Apokalipsy*? Tak, właśnie to...

Pietrunin był barbarzyńcą, krwiożerczym barbarzyńcą. „Horror...horror” - mówił bohater o własnym zdziczeniu lub zdziczeniu świata. Teraz był nim Pietrunin. Cywilizowany, inteligentny, dalekowzroczny, wykształcony niegdyś człowiek został rzeźnikiem, napawającym swe oczy widokiem ofiar. Strażnikiem z obozu koncentracyjnego, gdzie robiono abażury ze skóry mordowanych Żydów...

Hyde poczuł żołądek w gardle, ale nie zwymiotował.

Wraz z delikatnym zapachem chemikaliów dochodził z dna doliny odór spalonych ciał - spalonych ludzi. Czarne jaja musiały rozbijać się przy uderzeniu o ziemię, wyrzucając ze środka gaz, który jemu wydawał się mgłą. Iskra wyrzucona ze śmigłowca Pietrunina zapaliła tę mgłę. Płonąca substancja oblepiała wszystko, ale przede wszystkim skórę i ubrania umykających ludzi. Wysokie na dwanaście stóp pudło ognia, płonące więzienie.

Mohammed Dżan stał nad Hyde'em i Miandadem. Wyrzekł do Miandada dwa krótkie zdania w języku pasztu. Hyde spojrział w górę, na twarz wodza widoczną powyżej kołyszającego się karabinu Lee Enfielda. Białka oczu tamtego błyszcząły, ale nie zdołał na tym obliczu odczytać żadnego uczucia. Po chwili Mohammed odwrócił się i odszedł.

- Chodź - powiedział Miandad - Chce z nami mówić. O Rosjaninie.

Miandad wstał i otrząpał spodnie. Hyde podnosił się z ociąganiem. Odwrócił się i zobaczył Mohammeda schodzącego na dno doliny w kierunku zwęglonych szczątków

dwóch synów i pięćdziesięciu podkomendnych Pathanów. Hyde wciągnął do płuc zimne powietrze. Cała dolina okryta była czarną spalenizną: jej smuga ciągnęła się po czystym śniegu wysokiej przełęczy. Hyde dygotał cały. Zawsze bał się Pietrunina. Teraz był przerażony. Znalazł się w ciemnej, pełnej wirów wodzie, a pod nogami nie czuł dna.

Na szczycie schodków prowadzących do niskiej drewnianej chaty Paul Massinger ostrożnie otrząsnął ze śniegu buty. Kiedy umilkły nawoływania niewidocznego ptaka, którego głos bardziej przypominał kaszel niż śpiew, jedynym dźwiękiem docierającym do jego uszu był odgłos pracującego na wolnym biegu silnika stojącej za nim taksówki. Gęstwina obsypanych śniegiem sosen o ciemnych pniach zdawała się pochylać nad domkiem, grożąc chwilowym mieszkańcom małej polanki. Tu, nie dalej niż dwadzieścia mil na północ od Helsinek, Massinger czuł się całkowicie wyizolowany, pozbawiony wszelkiego oparcia.

Pociągnął za linkę dzwonka. Dzwonienie, które rozległo się tuż obok jego głowy, przypomniało mu szkołę, czasy, gdy był dyżurnym odpowiedzialnym za dzwonki. Kiedy ucichł donośny dźwięk, nie doszły do niego z wnętrza chaty żadne odgłosy lub oznaki ruchu.

Mroźne powietrze szczypało twarz, a oddech zamieniał się w parę. Polanka była jakby wyczyszczona z barw. Tylko biel i czerń, drzewa i śnieg. Zadrżał.

Zadzwoił ponownie, pomachał taksówkarzowi, który zdawał się zainteresowany wyłącznie wskazaniem licznika. Phillipson odebrał telefon i zgodził się z nim po pewnych wahaniach porozmawiać. Uzgodnili termin, a teraz,...

Kroki?

- Kto tam? - zapytał wyraźnie zniecierpliwiony głos, co dało się wyczuć nawet przez drewniane drzwi. Ten ton zmroził Massingera bardziej niż panujące zimno.

- Massinger. Paul Massinger... Rozmawialiśmy telefonicznie.

- Nie mam panu nic do powiedzenia, panie Massinger.

W ciszy, która potem zapadła, Massinger usłyszał swój własny pośpieszny ze zdumienia oddech. Ta cisza była świadectwem strachu Phillipsona. Ten człowiek z całą pewnością się bał - był przerażony...

Massinger odrzucił tę myśl.

- Panie Phillipson, to może być ważne - powiedział najbardziej opanowanym głosem, na jaki mógł się zdobyć, nachylając się konfidenoidalnie do chropowatej powierzchni nie malowanych drzwi. Zauważył, że miały mocny zamek. - To naprawdę może okazać się bardzo ważne. - Obejrzał się za siebie. Nie, kierowca go nie słyszał, jego słowa zagłuszał pracujący silnik. - To się wiąże z aresztowaniem Kennetha Aubreya. Nie mogłem tego panu wyjaśnić przez telefon, ale... - Głęboko oddychał.

Poprzez odgłos silnika taksówki słyszał głęboką, uporczywą ciszę panującą na polance i w lesie wokół. Ta cisza go onieśmiała. Ciągnął dalej nie pasującym do tego wszystkiego głosem:

- Panie Phillipson, chciałbym panu wyjaśnić wszystko szczegółowo, na osobności. - Czuł się jak odpędzony od drzwi komiwojazer.

- Nie mam panu nic do powiedzenia, proszę odejść.

- Panie Phillipson. O co chodzi? Czy mogę w czymś panu pomóc, tak jak pan z pewnością może pomóc mnie?

- Proszę odejść! - Głos podniósł się do tego stopnia, że można go było wziąć za okrzyk protestu. Był to głos dziecka lub starca. Kogoś uwięzionego?

- Panie Phillipson.

- Nie!

- Proszę.

- Odejdź!

Massinger spostrzegł, że obserwuje go kierowca taksówki, który dosłyszał jednak pełen determinacji i przerażenia głos Phillipsona. Tak, w jego głosie było przerażenie. Phillipson musiał rozmawiać z kimś w Helsinkach, Londynie czy gdziekolwiek indziej - nie miało znaczenia, gdzie. Ta osoba tak go przestraszyła, że zdecydował się milczeć. Ten ktoś mógł stać za tymi drzwiami, obok przerażonego Phillipsona, trzymając ręką na jego ramieniu.

Massinger otrząsnął się.

- Niech cię diabli porwą, Phillipson! - zawołał wyzywająco przez drzwi, zanim odwrócił się na pięcie i odszedł. Taksówkarz zawrócił i teraz gapił się na niego przez szybę. Massinger schodził ze schodków, starając się zrobić tak dużo hałasu, jak tylko to było możliwe.

Światło gasnącego popołudnia wyglądało wśród ściany sosen jak ciemniejszy dym. Małeńka polana zdawała się uwięziona wśród drzew. Massinger chciał popędzić taksówkarza, kazać mu jechać szybciej, ale zamiast tego łagodnie machnął ręką i powiedział:

- Obawiam się, że będę musiał zmienić plany. Wracajmy do Helsinek.

Kierowca skinął głową i zdjął nogę z hamulca. Tylne koła pojazdu zabuksowały lekko, a później najeżone kolcami opony złapały przyczepność. Kiedy odjeżdżali pokrytą śniegiem i poprzecinaną koleinami drogą w kierunku głównej szosy, Massinger nie odwrócił się za siebie, aby spojrzeć na samotną chatę. Na drodze nie ma żadnych innych śladów. Nie było tu więc nikogo oprócz Phillipsona.

Nie chciał mówić. Obawiał się o swoje życie.

Zaczynało zmierzchać, nadchodził wieczór.

Skrzyżował ręce na piersiach i próbował odprężyć się na fotelu. Na przeciwległym paśmie panował spory ruch, pojazdy pośpiesznie wyjeżdżały z Helsinek. Kończyło się popołudnie i nadchodził zmierzch. Słońce wisiało tuż nad linią horyzontu. Skończył się krótki zimowy dzień. Przejechali przez Haarajoki i znaleźli się na *moottoritie* do Helsinek. Ruch się nasilał, a światła nadjeżdżających pojazdów świeciły ku nim z ciemności.

Massingerowi szczęśliwie udało się zdrzemnąć. Nie przyjmował do wiadomości, że wyczerpał swój zapas woli i energii. Teraz nie miał nawet celu. Z trudnością zorientował się, że taksówka zjechała z autostrady, wjeżdżając na przedmieście Helsinek. Objazd spowodowany został wypadkiem i powstałym w jego następstwie korkiem. Paul zmęczonym wzrokiem spoglądał na brudne przedmieścia, kominy fabryk przemysłu lekkiego, płoty z siatki, niskie hale fabryczne; wyglądały brudno, mimo że stały na pokrytych śniegiem placach. Wolne przestrzenie pomiędzy kominami i fabrykami wypełniały parterowe domy, wieżowce i dwupiętrowe bloki. Miał otwarte oczy, kiedy przejeżdżali obok zalanego światłem betonowego spodka stadionu.

Znów się zdrzemnął. Obudził go kaszel dławiącego się silnika. Silnik prychnął, zakasłał i zgasł. Taksówka zaczęła zwalniać. Kierowca skręcił do krawężnika, a następnie odwrócił się do Massingera, bardziej gestami niż słowami wyrażając usprawiedliwienie. Massinger ściągnął brwi i ze zniecierpliwieniem poruszył głową. Kierowca wysiadł i podszedł do bagażnika. Massinger ujrzał przez okno, jak wymachuje pustym kanistrem. Po chwili dostrzegł w lusterku, że kierowca ciężkim krokiem maszeruje w kierunku, z którego przyjechali. Massinger nie miał pojęcia, gdzie mógł znajdować się najbliższy warsztat samochodowy.

Westchnął! Nie miał najmniejszej ochoty być pozostawionym własnemu losowi na tylnym siedzeniu taksówki unieruchomionej na przedmieściu Helsinek. Nagle zgłódniał, pragnął doznać radosnego, oszałamiającego działania alkoholu. Wystarczy mu pół butelki czerwonego wina, jeśli tylko jego hotel ma jakieś wino na składzie. Chciał zagłuszyć dręczące go w snach spekulacje na temat Phillipsona.

Kierowca po zgłoszeniu miejsca awarii i zapowiedzi spóźnionego powrotu pozostawił w taksówce włączoną radiostację. Początkowo niewyraźny i bełkotliwy głos mówiący w kompletnie obco brzmiącym fińskim grał Paulowi na nerwach, ale po chwili Massinger stwierdził, że dodaje mu on w szczególny sposób pewności siebie. Ten dźwięk brzmiał normalnie, całkiem zwyczajnie. Wcisnął się w fotel i owinał płaszczem. W nie ogrzewanym samochodzie zrobiło się zimniej.

Na zapleczu cichej uliczki stały bloki i domy. Zwykle ciemne, bezkształtne bryły, zaznaczone pojedynczymi lub ustawionymi w kwadracie światłami. Paul zaczął coraz dokuczliwiej odczuwać skutki spadku temperatury wewnątrz samochodu. Szyby

zachodziły mgłą. Znow niemał zasnął.

Obudził go sygnał wywoławczy radiostacji i fala rozmów po fińsku.

Otworzył oczy i zobaczył samochód z wyłączonymi światłami, zaparkowany przed nim po drugiej stronie cichej uliczki. Białego mercedesa. Nie mógł nie dostrzec przez ciemną przednią szybę, że w środku siedzą ludzie. Samochód był zaparkowany na jezdni, a nie na podjeździe do garażu. Wiedział, że nie należy do nikogo z tutejszych mieszkańców lub ich gości.

Po chwili radio odezwało się po angielsku. Ktoś mówił z silnym obcym akcentem.

Treść wypowiedzi pozornie nie była skierowana do niego, ale wiedział, że w rzeczywistości zwracano się właśnie do niego. Głos wymienił jego nazwisko, mówił o planowanym opóźnieniu taksówki i jej amerykańskim pasażerze. Mówiącym był dyspozytor centrali, który informował kogoś o czasowej utracie łączności z wynajętą taksówką. Nic poza tym. Ale głos mówił po angielsku, ten język był dla niego zrozumiały i mógł go przestraszyć. Mimo woli znow zerknął przez okno na zaparkowany samochód. Ciemny, ale po chwili we wnętrzu zapalił się płomyk zapalniczki lub zapalki. I znow nic.

Po chwili usłyszał trzask w głośniku, a po nim rozległy się bełkotliwe polecenia i odpowiedzi dyspozytora w niezrozumiałym dla niego fińskim. Szarpnął za klamkę, otworzył drzwi i wysiadł z taksówki. Powietrze zmroziło go. Stał wciąż z ręką na klamce drzwi, nie bardzo wiedząc, czy służy mu ona za podporę, czy też za uchwyt bezpieczeństwa. Nie oświetlony mercedes nadal stał. Zbierał siły, aby mu zagrozić. Szybko przejechały dwa samochody, lecz po chwili uliczka znow była pusta i cicha. Massinger uświadomił sobie, jak mała odległość dzieli go od mercedesa.

Stał tak przez kilka minut, które wydały mu się jedną trudną do określenia chwilą. Nagle mercedes trzykrotnie błysnął światłami i uruchomił silnik. Samochód ruszył i odjechał na północ. Massingera ogarnął strach, że zawróci i przyjedzie po niego, ale tylne światła pojazdu zniknęły ostatecznie za niewielkim wzniesieniem biegnącej prosto ulicy.

Massinger zdał sobie sprawę, że nie może opanować drżenia, które wywołało poczucie ulgi, ale zarazem trwające wciąż poczucie zagrożenia. Ktoś chciał go porządnie nastraszyć i udało mu się. Otworzył drzwi taksówki i wślizgnął się na tylne siedzenie jak wystraszony starzec. Serce mu waliło. Czuł mdłości i słabość. Przycisnął rękę do klatki piersiowej, jakby próbował uspokoić kołaczące w niej serce. Zimny pot oblał mu czoło i ściśniętą kołnierzykiem szyję. Nie chciał dalej zagłębiać się w tę sprawę lub mieć cokolwiek wspólnego z losem Kennetha Aubreya.

Rozdział VII

Strefa okupacyjna

Gdyby zdołała jeszcze chwilę dłużej utrzymać mocno zamknięte oczy, to jej ojciec na pewno wyłoniłby się z wilgotnej mgielki łez załamujących światło słoneczne, spływające poprzez konary starego drzewa. Zobaczyłaby wtedy zamiast Simmondsów w bentleyu lub matki w głębokim fotelu - uśmiechniętego ojca.

Margaret Massinger wyprostowała się, uniosła głowę i potrząsnęła nią, odganiając myśli o przeszłości. O teraźniejszości, uświadomiła sobie. Nadal myślała o całej sprawie jak dziecko. Jej stosunek do niej nie zmienił się od czasu, do którego mogła sięgnąć pamięcią, od kiedy jako sześciolatnia dziewczynka rozpoczęła wakacje w 1947 roku. Jeszcze wiele miesięcy później wierzyła, że on wróci, a matka utwierdzała ją w tym przekonaniu.

Gdy w 1951 roku wydobyto z ruin i zidentyfikowano szczątki Roberta Castleforda, przeżyła taki wstrząs, jakby morderstwo dokonało się właśnie tego dnia. Przez pięć lat nawet przez chwilę nie dopuszczono do tego, aby uświadomiła sobie, że ojciec nie żyje i już do niej nie wróci. I nagle powrócił jako odrażający szkielet, którego szczerzącą się, zdruzgotaną czaszkę ujrzała na niewyraźnej czarno-białej fotografii w gazecie. Przez wiele dni jego nazwisko nie schodziło z płacht obwieszceń. Jeszcze wiele tygodni później spojrzenia i uwagi nauczycieli oraz starszych koleżanek przypominały jej o ojcu. Mama nie umiała już nigdy przez to przebrnąć. Nie przyjęła tego do wiadomości. Była pewna, że któregoś dnia powróci do niej, tak jak wracał poprzednio.

Dalsze losy matki wiodły przez sanatorium, szpital, kostnicę i cmentarz, na którym ostatecznie pochowano ją obok resztek szkieletu męża. Margaret mieszkała odtąd u dziadka ze strony ojca, którego krewni stopniowo wytłumaczyli jej, kim był ojciec. Miły, serdeczny. Często niewierny. Stanowiło tajemnicę poliszynela, że w Berlinie była kobieta, która przyczyniła się do jego zaginięcia. Nawet po 1951 roku snuto takie przypuszczenia. Został zabity przez zazdrosnego męża, kochanka albo przez rozżaloną, porzuconą kobietę.

Ale ostateczny, trwający w jej wyobraźni do dziś wizerunek ojca ukształtowała matka. Urojony i wyidealizowany obraz męża i ojca towarzyszył Margaret latami wraz z poczuciem straty. Do dziś dręczyło ją to boleśnie.

Przez całe swe dorosłe życie starała się zrozumieć swój stosunek do ojca i racjonalnie go sobie wyjaśnić, ale przypominał roślinę, która zatrzymała się w rozwoju. W Margaret mieszkała wyłącznie dziecięca, głęboka cześć, podsycona przez ciche szaleństwo matki. Mama uznawała ojca za świętego lub półboga i nie dopuszczała do siebie żadnego innego wizerunku Roberta Castleforda, aż jej rozum pograżył się w odmętach ciemnej wody.

Po śmierci mamy babcia sprawiła, że Castleford stał się dla wnuczki niby latarnia morska, która miała ją wieść przez życie. Wspomnienia o ojcu uformowały zaczarowany krąg, z którego nie było ucieczki. Margaret nigdy zresztą nie pragnęła uciekać.

Radio nadawało muzykę Haendla. Okruchy tostu rozsypały się na pierwszą stronę „Sunday Timesa” i jej szlafrok. Niezbędne teraz Margaret do zaśnięcia valium, wciąż jeszcze działając, ścisnęło jej głowę niczym imadło. Od czasu małżeństwa z Paulem valium przestało być jej potrzebne. Przedtem brała je krótko, w pierwszych tygodniach po zerwaniu poprzedniego związku, kiedy ból zdawał się być echem matczynego szaleństwa. Było już późno. Zbliżało się południe.

Na magazynie „Insight”, wkładce do „Sunday Timesa” znów pojawiła się mokra plama. Łza rozpuściła farbę drukarską i rozmazała druk. Margaret wciąż nie mogła się otrząsnąć z pierwszego szoku, jaki wywołało zdjęcie ojca w gazecie i drugie, Aubreya. Pomiędzy tymi fotografiami umieszczono trzecią, przedstawiającą nie zidentyfikowaną bliżej sylwetkę oraz podpis *Menage a trois?* Poniżej jeszcze pompatyczniej, ale już po angielsku *Sens zdrady?*

Serdeczny człowiek. Babcia puszczała mimo uszu jej pytania. Seksualne grzeszki jej ukochanego, jedyne go syna nie miały znaczenia. Można je było wybaczyć tak zdolnemu, błyskotliwemu i ambitnemu mężczyźnie. Ale tajemne, ukryte elementy tej zagadki ozdabiały na swój sposób wiek dojrzewania Margaret niczym czarne diamenty. Jego nazwisko bywało utożsamiane z jakąś skrobanką, grożącym wydaleniem ze szkoły, rozpaczą, nieudanymi próbami szantażu ze strony zamężnej kobiety, miłośkami...

Robert Castleford potrafił wywoływać plotki na temat swoich seksualnych podbojów, ale umiał też z wdziękiem te pogłoski dementować.

Pod ogólnym nagłówkiem *Kogo jeszcze zdradzono?* na pierwszej stronie gazety opublikowano jeszcze inne artykuły dotyczące 1974 roku i Niemiec. Zaczęła je czytać dla odprężenia: *Mistrzostwa świata w piłce nożnej, Masakra na Olimpiadzie, Doradcza rola Aubreya, Śledztwo, Gunther Guillaume...* Niewiele potrafiła z tego pojąć i nie była tym zainteresowana. Jej oczy, umysł i pamięć nieustannie wracały do artykułu w „Insight”, ale nie mogła się zdobyć, by otworzyć magazyn na osiemnastej stronie, gdzie

zamieszczono dalsze szczegóły. Wystarczała jej strona tytułowa. Ojciec i Aübrej zaangażowani w jakiś plugawy trójkąt seksualny w Berlinie z udziałem żony poszukiwanego zbrodniarza wojennego?...

Artykuł był utrzymany w tonie sensacyjno-melodramatycznym, a autentyczność informacji miał potwierdzać były agent wywiadu, działający w Berlinie, który dobrze znał obu bohaterów. Według artykułu obecnie był emerytem mieszkającym na wyspie Guernsey. Zazdrość, gniew, klótnie, rozpacz, nienawiść, przemoc.

Rozumiała te emocje. Jej własne doświadczenia seksualne potwierdzały, że podniecia czerpana z rozwiązłości, namiętność granicząca niemal z szaleństwem była możliwa. Może jej ojciec stracił życie w takich właśnie okolicznościach. Aubrey mógł go zabić - zabił - z powodu kobiety. Ta historia była o wiele bardziej przekonująca i realna niż cały świat pełen ordynarnych kłamstw i zdrad, polityki, szpiegowskich siatek i zimnej wojny. Była bardziej konkretna niż nie znane z nazwiska osoby. Informacje takie jak ta o masakrze na Olimpiadzie zawierały opis tyleż bezsensownego gwałtu co dwuwierszowy komunikat po lewej stronie kolumny na temat zamordowania staruszki przez jakichś pijaków.

Kłopoty Margaret rozpoczęły się w 1951 roku. Teraz wiedziała, że nigdy się z nich nie wyplące. Zawsze tak się dzieje, gdy dorosły człowiek zapada na dziecięcą chorobę, której wcześniej nie przechodził. W takich wypadkach konsekwencje bywają groźne, czasem śmiertelne. Była okłamywana przez pięć lat, a gdy prawda wyszła na jaw i nie dało się jej dłużej ukrywać, matka powoli zaczęła tracić zmysły. W końcu popadła w całkowite szaleństwo i odebrała sobie życie. Osierocona Margaret nigdy nawet nie wyobrażała sobie sytuacji, w jakiej się nagle znalazła. Swą samotność zrozumiała w chwili, gdy w gazecie, którą otrzymał jakiś niemiecki robotnik, ujrzała zdjęcie rozłupanej czaszki. W końcu była bogata, twierdzono, że również piękna, inteligentna, obdarzona energią, zdolnością do pracy i rozrywki, ale też nietowarzyska, wyobcowana, pogrążona w samotności i smutku.

Aż zjawił się Paul. Ojciec, kochanek, mąż, Paul. Teraz pozostawał w nagannym, niewybaczalnym sojuszu z mordercą jej ojca. Po tak wielu latach odszedł od niej. Ona nigdy nie wybaczy mu zawiedzionych nadziei, za którymi krok w krok podąża zdrada.

Pozwoliła gazecie zsunąć się na dywan. Kichnęła głośno i usiadła wyprostowana. Przypomniała sobie, że jej matka zachowywała się podobnie, nadając swemu ciału sztywną i dumną pozycję. Uświadomiła sobie, że i ona musi stawić czoło bolesnej rzeczywistości. Nie będzie więcej płakać. Zamiast tego zje napoczęty tost.

Haendel brzmiał poważnie i pogłębiał jej smutek, toteż wstała i zgasiła radio. Paul, preferując swój sprzęt stereo ustawiony w gabinecie, nigdy nie korzystał z radia stojącego

na ciemnym, dębowym, stylowym kredensie. Nie licząc małego stołu, był to jedyny mebel w tym pokoju śniadaniowym. Drewno lśniło, błyszczało jak lustro lub satyna. Musnęła je palcami. Mebel był rzeźbiony, o pięknym kształcie, z trzema szufladami. To właśnie ojciec zgromadził wszystko, co stanowiło o wytwornym urządzeniu domu. Poczula się nagle częścią tej kolekcji, jej najpiękniejszym eksponatem. Nawet teraz, gdy jego meble i pieniądze należały do niej, ona sama należała do ojca.

Wróciła na fotel. Grzanka pękła i pokruszyła się pod naciskiem noża. Palce Margaret oblepiły drobiny marmolady. Oczy kobiety zwilgotniały.

Wtedy zadzwonił telefon.

Wystraszone spojrzenie znad talerza, jakby ktoś ją zganił za złe maniery przy stole. Wstała i podniosła słuchawkę do ucha, odgarniając włosy z twarzy.

- Tak, słucham. - Była pewna, że telefonuje ktoś, z kim ona wcale nie ma ochoty rozmawiać. Może jakiś troskliwy znajomy, którego zaniepokoił artykuł. Takiego współczucia wcale sobie nie życzyła. Wówczas usłyszała głos Paula.

- Margaret, dobrze się czujesz? - spytał jednym tchem, jakby obawiał się, że zagraża jej niebezpieczeństwo.

- Paul! - krzyknęła w odpowiedzi. - Czy wszystko w porządku? - Jej skronie ścisnęła ból wywołany valium. Nie tylko bezsenność, ale i lęki spowodowały, że zażyła tabletkę lekarstwa. Czy Paul sądził, że ona naprawdę jest w niebezpieczeństwie?

- Tak, wszystko w porządku. Słuchaj, jestem w Londynie. Muszę się z tobą zobaczyć...

Uczucie ulgi, drżenie ciała, twarda bryła w gardle. Ale gdy tylko upewniła się, że jest zdrow i cały, wszystkie te uczucia zastąpił gniew na męża za jego przewinę. Paul nadal był sojusznikiem Aubreya.

- Skończyłeś z tym? - zapytała.

- Z czym? Nie ustaliłem jeszcze prawdy, jeżeli to masz na myśli. Kochanie, czy mogę przyjść, zobaczyć się z tobą? Porozmawiać?

- Nie, Paul.

- Ale ja muszę, Margaret!

- Jeżeli jesteś w Londynie, to pewnie czytałeś?...

- Czytałem. To kompletna bzdura! Nie znasz Aubreya - zapewniał Massinger.

Stephens, lokaj, otworzył drzwi, zawahał się na moment, po czym dyskretnie się wycofał. Margaret słyszała swój oddech równie wyraźnie jak warkot przejeżdżającego samochodu. Potem do jej uszu dochodziło już tylko odległe brzmienie ciszy, która oddzielała ją od męża. On wciąż mówił, wciąż przekonywał ją o niewinności Aubreya, lecz ona słyszała jedynie szum zakłóceń na łączach.

- Nie znasz Aubreya, kochanie, więc nie dawaj wiary tym bzdurom - próbował mówić lekkim, żartobliwym tonem, ale zabrzmiało to nieprzekonywająco i hałaśliwie. - Nie możesz tego brać poważnie... - Potem dodał: - Kochanie, jesteś tam?

- Tak, jestem - odrzekła ze znużeniem, utkwivszy wzrok w pustej ścianie. - Mówisz, że jesteś bezpieczny? Będziesz już teraz bezpieczny?

- Nie - zaprzeczył łagodnie.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że czy chcę, czy nie, i tak zbyt głęboko w tym siedzę. Mam już pewne osiągnięcia - wyznał niewesołym głosem. Ten ton nie był jej znany, musiał należeć do jego przeszłości, do świata, który Paul ongiś dzielił z Aubreyem. Do świata wielkiej i głupiej, heroicznej i brudnej gry szpiegowania. Żądał od nię, by traktowała to poważnie. Czyż on potrafiłby zrozumieć, że ludzie zabijają się z miłości, zazdrości lub pożądania?

- O Boże - drżącym westchnieniem wyraziła swój protest.

Szczerząca zęby czaszka. W jej świecie ludzie giną z powodu drobnych w portmonec, które stają się czymś łupem, albo z powodu pożądania, którego nie mogą zaspokoić lub odwzajemnić. W świecie Paula ludzie giną, ponieważ intrygują, drażnią skały w poszukiwaniu prawdy. Czaszka, szkielet ojca.

- Muszę się z tobą zobaczyć - nalegał.

- Nie! - Nie mogła go widzieć. Wciąż pragnęła, aby nic mu się nie stało. Jego bezpieczeństwo było najważniejsze. - Musisz pomówić z Andrew Babbingtonem, koniecznie! Powiedz mu, że jesteś w niebezpieczeństwie, proszę cię!

- Nie mogę, Margaret. Po prostu nie mogę rozmawiać z nikim o tej sprawie.

- No to zostaw mnie w spokoju! - zaszlochala rzucając ze złością słuchawkę. Oparła głowę o ścianę i powoli osunęła się na podłogę. Słuchawka nie trafiła na widełki i Margaret usłyszała przeciągły sygnał centrali. Paul najwidoczniej rozłączył się. Łzy spływały jej po policzkach. Pusta ściana pokoju była lustrem, w którym ujrzała swoją przyszłość.

- Muszę ci zadać pytanie, Hyde. Czy masz jakieś sugestie, jak moglibyśmy ująć twego pułkownika Pietrunina? - Pełen wyrzutu ton Miandada brzmiał niemal jak oskarżenie.

- Co, do cholery, mam jeszcze zrobić? - zaprotestował ponuro Hyde. Siedział w kucki, oparty plecami o ścianę w pozbawionej podłogi chłodnej sali. Przez uszkodzony strop zaglądało bładoniebieskie niebo. - Przecież wiesz, do cholery, że mnie wyrolował - mówił patrząc Miandadowi prosto w twarz. Było jasne, że Pakistańczyk również

odebrał słowa Mohammeda Dżana jako ultimatum. Wódz Pathanów stał nad nimi. W świetle paleniska zdawał się niezwykle wysoki. Gdy skończyli rozmawiać między sobą, wódz przemówił do Miandada w języku pasztu. Hyde wyczuł jakiś podstęp w jego słowach, zanim jeszcze Miandad zdążył przetłumaczyć.

- Zabierze cię do granicy i poprowadzi dalej. Pomoże i wskaże, gdzie znaleźć twojego pułkownika. Wyjaśni, jakie mogą cię czekać trudności. W zamian za tę pomoc obiecasz schwytać Rosjanina i przekażesz go w ręce sprawiedliwości, czyli Mohammedowi Dżanowi i jego plemieniu. Zapłaci za śmierć synów Mohammeda. Tak nakazuje pathański kodeks Pasztunwali, który zemstę traktuje jako najwyższy obowiązek. Mohammed Dżan prosi teraz, abyś dokonał wyboru: idziesz czy zostajesz. Zrozumiałeś, Hyde? Wiesz, co to oznacza? Jeśli oczekujesz od niego pomocy, to musisz obiecać im Pietrunina.

Musisz ująć Pietrunina!

Mohammed Dżan stał nadal nad nimi, nieruchomy niby kamienna rzeźba. Długi, inkrustowany złotem karabin Lee Enfielda kołysał się na jego ramieniu. Hyde starał się nie patrzeć w stronę wodza ani na twarze skupionych przy ogniu członków rady starszych. Ale kiedy tylko Miandad skończył tłumaczyć i dorzucił własne ostrzeżenie, Hyde udzielił odpowiedzi:

- Powiedz mu „tak”. Doprowadzę Pietrunina przed oblicze sprawiedliwości.

Innego wyjścia nie miał. Niebezpiecznie byłoby się nawet zawahać. Aby zdobyć ich zaufanie i pomoc, musiał się zdecydować natychmiast. Ostatecznie mieli narażać własne życie dla jego sprawy. Musiał się więc zgodzić.

- Fakt, to jedyne wyjście - potwierdził Miandad. - Czy jednak masz pomysł, jak dostać Ruska w swoje ręce?

- Zrozum - odwrócił się Hyde do Pakistańczyka. - Siedzisz tu ty, ja i banda zdrowych twardzieli. Są gotowi pozostać w Afganistanie aż do końca roboty. Na razie wciśną im kit o zasadzce. - Wyszczrzył zęby, ale jego minę trudno było nazwać uśmiechem. - Dostaną trochę nowej broni i kto wie, może ktoś dostarczy im aktualnych wieści o Pietruninie.

- Jest pan optymistą, panie Hyde.

- Jak to optymistą? Jestem, cholera, w sytuacji bez wyjścia, chłopie.

- Zapewne tak.

- Przynajmniej zaczekają, aż Pietrunin wejdzie do gry.

- Wiem dużo o twoim Rosjaninie. Jest mało prawdopodobne, aby dał się złapać.

Jeżeli wyrusza śmigłowcem, to zawsze z eskortą dwóch dobrze uzbrojonych szturmowych

helikopterów. Jeżeli lądem, to w potężnym konwoju. Jest po prostu nieosiągalny! Mnóstwo czasu spędza w kwaterze głównej armii sowieckiej w Kabulu, a resztę w ambasadzie. Chociaż ostatnio coraz rzadziej tam bywa. Widzisz, zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest znienawidzony i ile osób pragnie się z nim porachować.

- Dobra już, dobra. I tak wiem, że wdepnęliśmy w gówno - westchnął Hyde. - Bardzo mi miło, że wlałeś w nie razem ze mną.

- Miałem zobowiązania.

- Masz na myśli Aubreya?

- Także ludzi, którzy służyli razem ze mną. Od napalmu twojego Rosjanina płonęli nie tylko Pathanowie - twarz Miandada spochmurniała.

Hyde opuścił głowę, spoglądając na swoje workowate spodnie i kożuszany serdak, które służyły mu za przebranie. Potarł nie ogoloną brodę i westchnął:

- Teraz rozumiem, skąd wiedziałeś, co się może zdarzyć. - Spojrzał ponownie na rozcierającego ramiona Miandada, który podobnie jak i on nosił ubiór pathańskiego partyzanta. Hyde przypomniał sobie, z jaką niechęcią i strachem Pakistańczyk przebiegał się w ten strój. „Płonęli”? Hyde nie chciał wnikać w afgańskie doświadczenia Miandada, lecz nie mógł nie wiedzieć wszystkiego, co możliwe, o Pietruninie. - Jak to się stało? - zapytał.

- Chodzi ci o tego Ruska? - wzruszył ramionami Miandad. - To nie jest przyjemna wojna. To nie baseball lub hokej. Twój Rosjanin został tu przysłany za karę, nieprawdaż? - Pokiwał głową. - To ogromnie zgorzkniały człowiek, ale i cała wojna jest gorzka. Dlatego przypuszczam, że łatwo się przystosował. Zawsze łatwo jest się zdegenerować. - Miandad wstrząsnął się z zimna i wyciągnął ręce do ognia.

Siedzieli sami pośród ruin afgańskiego fortu. Grupa licząca trzydziestu dobranych, dobrze uzbrojonych i wyposażonych ludzi przekroczyła granicę przed świtem. Po wielu milach marszu przez wysokie, ośnieżone przełęcze, a później przez sosnowy las, dotarli przed południem do fortu. Wiejący cały czas ostry wiatr przenikał ich do szpiku kości. Hyde dotarł do postoju ostatkiem sił. Był przemarznięty na wskroś. Rzucił się żarłocznie na jedzenie, potem z wolna odtajał przy niewielkim ognisku. Wiatr jęczał i skowyczał pośród na wpół zrujnowanych ścian koszar i stajni. Zmęczenie Australijczyka zdawało się sprawiać Mohammedowi pewną satysfakcję. Wkrótce jednak Pathanowie udali się na zwiad w rejon drogi łączącej Kabul z Dżalalabadem.

- Zaraz zamarznę - oznajmił Hyde. - Przejdźmy się.

Wyszli. Minęli kilka pomieszczeń, które w przeszłości służyły zapewne jako biura, na co wskazywały połamane krzesła i postręcane półki. W końcu dotarli na główny dziedziniec fortu. Pokryte śniegiem sosny porastały skoki coraz gęściej aż do miejsca,

gdzie tworzyły jednolitą ścianę lasu. Nieprzyjazny i opustoszały krajobraz był prawie pozbawiony barw.

Przeszli po ubitej ziemi dziedzińca, pooranej kołami wozów lub starych armat. Hyde poklepał się po bokach dla rozgrzewki.

- To gra na śmierć i życie, przyjacielu - wyrzekł po dłuższej chwili Miandad, przerywając ciszę wypełnioną szumem wiatru i odgłosem ich własnych kroków.

- Wiem.

- Spocznie na tobie odpowiedzialność, jeżeli się nie...

- To też wiem - mruknął Hyde. Opanował się jednak i odwrócił do Miandada. - Tak długo, jak nie dostanę Pietrunina i nie wyciągnę z niego prawdy, moje życie nie jest warte funta kłaków. Pamiętaj, koleś, w tych warunkach nietrudno obiecywać złote góry i dawać za coś głowę.

- No dobrze, ale jak zamierzasz powstrzymać Mohammeda przed zabiciem Rosjanina natychmiast po jego schwytaniu, oczywiście zakładając, że uda się go schwycić żywcem?

- Sam dziadygę zastrzelę, jak będę musiał. Trzeba mieć nadzieję. Im mogę powiedzieć, że jeśli nie pozwolą mi pogadać z Pietruninem, to go wcześniej zastrzelę.

- Jak chcesz go zmusić do mówienia?

- Bóg jeden wie! Może obiecując mu możliwość ucieczki? Spójrzmy prawdzie w oczy. Paru facetów na pewno będzie rozczarowanych, ale miejmy nadzieję, że to nie będziemy my.

- Doskonale.

- O siebie się nie boisz?

Miandad pokręcił głową.

- Mohammed Dżan mnie nie skrzywdził. Jak wiesz, kojarzę się, mu z bronią, amunicją i schronieniem.

- Do diabła, jakże chciałbym wiedzieć, co mam robić!

- Może powinieneś się pomodlić do Allaha o natchnienie? Czy też do swego własnego Boga?

- Do kogo? Do Janusa o dwóch twarzach? Zawsze to jakaś nadzieja.

- Nie wpadaj w rozpacz, przyjacielu. Jeżeli natrafimy na patrol i schwytamy paru rosyjskich żołnierzy, łatwo ich będzie zmusić do mówienia. Z pewnością będą coś wiedzieli o Pietruninie. Pietrunin to dla nich legenda. Jedna z nielicznych, jakie mają. Mogą znać jego ruchy i rozkład zajęć. Wtedy może ci przyjdzie do głowy jakiś pomysł.

Hyde spojrzął na strzeliste sosny i białe góry widoczne na tle bladego nieba. Nie mógł otrząsnąć się w tym kraju ani na chwilę z poczucia obcości. Jego misja była

skazana na niepowodzenie. Gdyby nie własna krytyczna sytuacja, nigdy by się na nią nie zdecydował i nie musiałby przekraczać granicy.

Odwrócili się gwałtownie na dźwięk głosu mówiącego coś w paszcie. Hyde w geście obrony chwycił karabinek Kałasznikowa. Jeden z Pathanów w turbanie machał ku nim porozumiewawczo, stojąc przy głównej bramie.

- Chodzi o patrol - rzekł Miandad. - Mamy rozkaz się pośpieszyć. - Spojrzał w niebo. - Zostały najwyżej dwie godziny do zmroku. Zaraz będzie wracał patrol do Dżalalabadu lub do Kabulu. Chodź, przyjacielu. Miejmy nadzieję, że zdobędziemy sporo nowych karabinów, a może nawet wyrzutni rakiet. Mohammed Dżan złagodnieje, jak zobaczy te łupy.

- W takim razie nic więcej już nie możesz zrobić. Musisz się jakoś z tego wyplątać - mruknął Shelley.

Massinger podniósł wzrok - twarz Shelleya była ponura, a on sam, Paul, wciąż wpatrywał się w aparat telefoniczny, chociaż już dawno odłożył słuchawkę. W uszach Massingera jeszcze wyraźniej niż pesymistyczny ton i obawy Shelleya brzmiała histeryczna nieomal odmowa Margaret. Nie chciała go widzieć na oczy, nie wierzyła mu i nie interesowała się więcej jego losem. Myśl o jej utracie obezwładniała go.

- Ale jak mogę się wycofać? - zapytał niepewnie.

- Jak możesz? Po prostu zostaw całą tę sprawę, człowieku! - Było jasne, że Shelley błagał go o nienarażanie ich obu na niebezpieczeństwo.

Szylkretowa kotka spłoszyła się, jakby ich obawy poraziły ją niczym prąd elektryczny. Po chwili jednak powróciła do swego kącika na sofie i ułożyła się obok Massingera. Żeby z tego wybrnąć, musiał blefować.

- Wygląda na to, że już to wszystko przemyślałeś. - Słowa Massingera zabrzmiały jak oskarżenie i Shelley spuścił oczy.

- Tak. - Znów spojrzął przed siebie z wyrazem buntu na twarzy.

Massinger pomyślał, że Shelley mógł widzieć pierwszą stronę „Sunday Timesa”, co przypominało mu, że właśnie porzuca Aubreya. Los jego dawnego szefa wydawał się już przesądzony i ostateczny. Zapewne nie można było uczynić nic więcej.

Zdusić tę myśl niczym denerwującego owada. Wywołała w nim jednak strach przed niesamowitą, na wpół fizyczną pokusą, aby zrobić, jak radził Shelley, ale po prostu nie mógł porzucić Aubreya. Potrząsnął głową i rzekł:

- Nie mogę!

- Ależ musisz! Słuchaj, sporo nad tym myślałem. Ktokolwiek prowadzi ten show, pozamykał przed tobą wszystkie drzwi. Wielki Boże, czy nie rozumiesz, iż wydarzenia

w Helsinkach świadczą, że nasze plany były im znane, zanim jeszcze przystąpiłeś do ich realizacji? Zadzwoiłem do ciebie zaledwie parę razy, spotkaliśmy się w Calais, a skończyło się tak, jak byśmy chodzili z plakatami obwieszczającymi nasze zamiary. - Shelley mówił z napięciem i lękiem. - Czas spojrzeć prawdzie w oczy. Nic już więcej nie zwojujemy. Nie jesteśmy w stanie nic przed nimi ukryć. Prędzej czy później będą nas mieli dość jak natrętnej muchy i dadzą się nam we znaki. Tobie, mnie, naszym rodzinom...

Massinger klepnął swego młodszego kolegę w kolano i rzekł zniżając głos:

- Nawet jeżeli tak zrobię, czy oni w to uwierzą? - Miał wrażenie, że Aubrey słyży każde jego słowo. Mimo to Margaret była światelkiem na końcu tunelu. Może zdecyduje się do niego wrócić, może pozwoli na jego powrót.

- To proste - odpowiedział szybko Shelley. Massinger stwierdził, że tamten znów poczuł się spiskowcem. - Przekonaj ich, że interesuje cię prawda dotycząca tej sprawy. - Postukał palcem w gazetę. Gapiła się stamtąd na nich twarz Aubreya. Wilgotny palec Shelleya zabarwił się od farby drukarskiej. *Sens zdrady* - głosił tytuł. Wylał palec o dzinsy. - Nie ukrywaj się tu, nie waruj. Idź do Babbingtona i zapytaj go o wszystko. Powiedz mu, że chcesz się zobaczyć z tym facetem z Guernsey. Tym opisanym w gazecie, jak on się tam nazywa, chyba Murdoch? Przekonaj go, że wszystko, co cię interesuje i co zawsze chciałeś wyjaśnić, sprowadza się do pytania, czy Aubrey zamordował Castleforda. Jeżeli potrafisz to zrobić, to wybrniesz z tego całego pasztetu - zakończył Shelley łagodnym, kuszącym głosem.

Massinger wiedział, że takie postępowanie może przynieść pożądany skutek. Babbington i Margaret pewnie by je zaakceptowali. „Sunday Times” otworzył mu drogę ucieczki z dżungli, w której się znalazł. Mógłby się z niej wydostać przed zmrokiem cały i zdrowy.

- No, a ten, kto zdradził? - wyszeptał Massinger.

- Cholera z nim.

- Ale przecież wiemy, że on istnieje.

- I nie możemy nic zrobić - odburknął Shelley. - Musimy przeżyć, przynajmniej ja chcę przeżyć, a podejrzewam, że ty też.

- Ale...

- Nie wiesz, od którego końca zacząć. Nie masz z czym startować, nie posiadasz żadnych wpływów, żadnych uprawnień ani informacji. Nawet nie możesz się odpowiednio zabezpieczyć. Daj spokój!

Mógłby dziś wieczór zjeść z żoną obiad, trzymać ją w ramionach już za kilka godzin. Bezpieczny. Droga do wyjścia z dżungli stała otworem. Nie czyhało na niej żadne niebezpieczeństwo.

- No, a ty? - zapytał.

- Zadzwoń w twoim imieniu do tego faceta na Guernsey. Taki trochę wymuszony, ostatni gest dla dobra sprawy. Potem mogę wrócić do biura z czystą kartoteką. - Na policzkach Shelleya pojawiły się dwie czerwone plamy wstydu, lecz widać było, że jest już zdecydowany. Opuścił Aubreya i właśnie uczył się żyć po amputacji części swoich przekonań. - A co do ciebie - dodał - dlaczego nie miałbyś się spotkać z jedną lub dwiema osobami, które, jak ustaliłem, były w 1946 roku w Berlinie? To ich przekona. - Shelley wziął jakieś papiery ze stolika. - Właśnie, dlaczego by nie pogadać z jednym czy z dwoma facetami? Potem zadzwonisz do Babbingtona i poprosisz o rozmowę. Powiesz, że chciałeś się przekonać. Mów tak, jakbyś wierzył we wszystko, o czym piszą gazety. - Wymuszony żart Shelleya zabrzmiał fałszywie. Właśnie wczuwał się w nową rolę.

Massinger bardzo chciał zrobić to samo.

- Kiedy się już spotkasz z Babbingtonem, musisz go jedynie przekonać, że jesteś usatysfakcjonowany. Aubrey zabił Castleforda. Udowodnij im, że uwierzyłeś. Zresztą kto wie, może stary rzeczywiście go załatwił w przystępie wściekłości.

- Nie wygłupiaj się!

- Przepraszam.

Nastąpiła chwila długiej, napiętej ciszy. Massinger przestał myśleć, niemal wstrzymał oddech. Wyjść z dżungli, powtarzał sobie raz po raz.

- Dobrze - rzekł wreszcie. - Zgadzam się. Nie ma innego wyjścia.

Shelley westchnął z ulgą. Massinger wyobraził sobie starczą, skuloną postać Aubreya stojącego w długim, marnie oświetlonym korytarzu. Samotnego i opuszczonego. Zaciśnął pięści i zmusił się do myśli o żonie.

To absurdalne, rzekł w duchu Aubrey, zapraszać na niedzielny lunch złożony z pieczonego bażanta i butelki czerwonego wina swojego śledczego, i to jeszcze wtedy, gdy ten jest w szczytowej formie i pokazuje, co potrafi. Napelniając szklanek przyglądał się Eldonowi, który nabrał na widelec groszku i właśnie podnosił go do ust. Aubrey nalewając wino uważnie patrzył na swoją rękę. Nie drżała. Zdążył ochłonąć z szoku, w jaki wprowadził go artykuł w „Insight”. Jeszcze zanim Eldon zadzwonił i przyjął jego zaproszenie na lunch. Pani Grey uznała pomysł wspólnego posiłku za kompletne szaleństwo, przygotowała jednak jeden ze swoich najlepszych zestawów, a na deser szarlotkę. Pomimo fałszu całej sceny Aubrey pragnął dramatu, który by się toczył w pozornie normalnych warunkach, chciał bowiem odegrać przed Eldonem człowieka obojętnego i opanowanego. Był przekonany, że będzie umiał sprostać tej roli.

Stało się oczywiste, że narastała wokół niego kontrolowana wrzawa, która przybierała

na sile niczym tropikalna burza. Pojawił się wątek Clary Elsenreith. Aubrey wiedział, że będą jej szukali. On musiał dotrzeć do niej pierwszy, bez względu na ryzyko.

- Wygląda na to, że ta pani na dobre zniknęła - rzekł Eldon. - Och, dziękuję, sir Kenneth. To naprawdę wyborne wino.

- Jestem pewien, że bardzo pan żałuje, iż moja znajomość z tą damą nie trwa do dzisiejszego dnia - rzucił Aubrey. Odkroił eleganckim ruchem kawałek bażanciego udka i ostrożnie podniósł mięso do ust. Wczuł się dobrze w rolę i był przekonany, że zagra świetnie aż do końca przesłuchania. Mimo narastającego zmęczenia i desperacji oraz nowego, niespodziewanego zagrożenia wiedział, że to on musi zrobić pierwszy ruch. Jego pamiętnik, przechowywany u Clary przez trzydzieści pięć lat, musi zostać zniszczony. Ten dokument może obecnie stać się ostatnim ogniwem łańcucha, którym on sam zostanie skrępowany. Prowadzący śledztwo są przekonani, że dysponują teraz motywem „menage à trois”, pomyślał z niesmakiem. Jego wyznanie na temat morderstwa Castleforda znajduje się w rękach tej kobiety, i kiedy ją odszukają, znajdą je.

Oczy Eldona badały uważnie Aubreya. Eldon uśmiechnął się lekko.

- Czy potwierdza pan chociaż, sir Kenneth, że zna pan tę damę?
- Oczywiście. Murdoch nie jest jedynym, który o tym wiedział.
- Czy była ona również kochanką Castleforda?
- Nie. - Aubrey ściągnął usta i zmarszczył czoło.
- No, ale przecież... - Eldon, wodząc trzymanym w rękę widelcem, zdawał się poszukiwać w pokoju gazety z oświadczeniem Murdocha.
- Tak przypuszczał Murdoch.
- Czy to samo podejrzewały również inne osoby?
- Naturalnie.
- Ciekawe, dlaczego. - Brwi Eldona ściągnęły się w wyrazie zadumy.
- Ponieważ Castleford słynął z tego rodzaju afer i uganiał się za Clarą Elsenreith.
- Czyż nie miał pan w takim razie powodu do zazdrości? Przecież to pan de facto był jej kochankiem. Pana obdarzała względami i uczuciem ta kobieta. - Ton Eldona był ironiczny i kąśliwy.

Należy z rozmysłem pomniejszać znaczenie i udział tej kobiety w całej sprawie, pomyślał Aubrey.

- Istotnie - odpowiedział ze spokojem.
- Będziemy musieli poprosić tę panią o potwierdzenie.
- Jeśli ją znajdziecie - wyrwało się nieostrożnie Aubreyowi.
- A ma pan powody przypuszczać, że te poszukiwania będą bezowocne? - spytał raptem Eldon, opuszczając nóż i widelec.

- Nie, skąd - zaprzeczył Kenneth ruchem głowy, pociągając łyk bordeaux.
- Nie orientuje się pan, gdzie ona może być?
- Jak wspomniałem, ta pani należy do starych kart mojego życiorysu. Byłem przekonany, że ten epizod jest już dawno zamknięty. - Zabrzmiała w tych słowach całkiem szczerza gorycz. - Nie mam pojęcia, gdzie możecie ją znaleźć. - W tej samej chwili przypomniał sobie elegancki apartament naprzeciwko katedry Świętego Stefana, nad eleganckim sklepem z obuwiem. Bez wysiłku odtworzył w myślach pokoje tego mieszkania, większość mebli, ozdób, urządzenie salonu i sypialni dla gości, gdzie czasami nocował. Clara prowadziła sklep na parterze. Sprzedawano tam buty produkowane przez małe firmy francuskie, włoskie. Posiadała udziały w tych firmach.

Dzięki Bogu, że tego sklepu nigdy nie prowadziła pod własnym nazwiskiem ani po mężu, ani panińskim. Dobrze, że chociaż tyle.

Castleford uganiał się za nią. To prawda. Wpadał w chorobliwą zazdrość, gdy zobaczył, że zainteresowała się innym mężczyzną. Czuł się oszukany przez Aubreya. Uważał, że sukces w miłości odniesiony przez słabszego fizycznie i mniej znaczącego Aubreya uwłacza jego godności. Aby posiadać Clarę, uciekał się do próśb, siły, szantażu i przekupstwa. Castleford zwykł kobiety traktować jak rozrywkę i wykorzystywać, by potem odrzucić je niczym puste butelki. Clara nie cierpiała go.

Ale Aubrey był pewien, że gdyby się nie pojawił w jej życiu, zgodziłaby się zostać kochanką Castleforda. Umiała dbać o własne interesy. Wtedy zamiast niego Castleford organizowałby jej dokumenty, żywność, pieniądze, ubrania, ochronę i bezpieczeństwo.

Tak, Castleford był zazdrosny, ale Aubrey początkowo też był zazdrosny o Castleforda, którego podejrzewał o to, że zamierza odebrać mu kochankę, nawet gdyby ten romans nie miał mu sprawić szczególnej satysfakcji. Jednak to nie seks stał się motywem zabójstwa Castleforda.

Nie seks, nie pieniądze i nie władza...

- Wygląda pan na zamyśłonego, sir Kenneth.

Cholera, pomyślał Aubrey.

- Nie, skądże. Czy napije się pan jeszcze wina?

Eldon odmówił, przykrywając szklankę dłonią.

- W takim razie zadzwonię na panią Grey i zjemy deser.

Musisz się ratować. „Tylko ty możesz to zrobić”. Umysł Aubreya dyktował mu te słowa w rytm srebrnego dzwoneczka. Muszę się dostać do Wiednia. Zniszczyć ten idiotyczny pamiętnik, zanim...

Spojrzał spokojnie w twarz Eldona.

Zanim Eldon go przeczyta.

- Mike, słuchaj, jak wyście trafili na tego typu Murdocha? Tylko nie bujaj. - W napiętym głosie Shelleya słysząc było udawaną wesołość.
 - Mówiłem ci już, Peter, ten facet sam do nas przyszedł. Wiesz, że takie rzeczy zdarzają się codziennie.
 - Uwierzyliście mu? - Shelley siedział na sofie ze słuchawką przy uchu i obserwował przez okno swoją córkę, która cierpliwie toczyła w ogrodzie śnieżną kulę. Alison czuła, że dziecko potrzebuje jej fizycznej obecności. Dlatego stała teraz ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, ubrana w futro, i uważnie przyglądała się córce.
 - Czyżbyś przypuszczał, że mogliśmy pominąć sprawdzenie staruszka? - zabrzmiał w słuchawce rubaszny, twardy i pewny siebie głos. Ten głos jakby kpił nie tylko z jego naiwności, ale również ze sceny, jaką Shelley obserwował przez okno. Nowe drzwi do patio wydały mu się nagle bardzo słabym zabezpieczeniem. Były zbyt przeszklone.
 - Myślę, że nie.
 - Cóż, gadaliśmy z nim długo i ostro. Wykorzystaliśmy nawet do tego twoich ludzi. Nie było to konieczne, ale nie chcieliśmy niczego zaniedbać. Twoi pracownicy podali nam parę innych nazwisk. Wszyscy o tym wiedzieli, stary. Aubrey i Castleford z uporem godnym lepszej sprawy miesiącami usiłowali dobrać się do tej wdowy po nazwisku. Ale nie udało się nam jej niestety odszukać. Trudno mi sobie wyobrazić, że twój szefunio tyle sobie poużywał za niewielkie w sumie pieniądze - zaśmiał się Mike.
 - Mnie też - odparł smętnie Shelley. Miał zaufanie do Mike'a. SIS niejednokrotnie korzystało z usług tego dziennikarza, w zależności od sytuacji udostępniając mu lub czerpiąc od niego informacje. Był wiarygodny. Prawdopodobnie uzna dociekanie Shelleya za coś naturalnego i uwierzy w jego informacje. Jeżeli szczęście będzie Shelleyowi sprzyjać, to ta rozmowa rozpocznie jego zawodową rehabilitację. Równocześnie jednak stwierdził z niechęcią, że pytania tamtego są zgodne z kierunkiem zainteresowań Massingera.
 - A więc wierzysz w to?
 - Jasne, a ty nie?
 - Raczej tak. Chociaż chwilami trochę to mnie szokuje.
 - Stary, ludzie, których byś nigdy o to nie podejrzewał, dostają czasami kota na punkcie seksu. Dlatego myślę, że ten twój szef też jest po prostu normalnym człowiekiem. - Mike ponownie ryknął śmiechem.
- Sprawiało to wrażenie, że naśmiewa się z nielojalności Shelleya. Uraziło to jego godność.
- Może masz rację.
 - Czy mogę liczyć, że dasz mi cynk, kiedy Aubreyowi oficjalnie przedstawią zarzuty?

- Oczywiście. - Na czoło Shelleya wystąpił pot. Nawet o tym nie pomyślał! Zarzuty. Akt oskarżenia wpłynie przeciwko staremu łada dzień. - Tak, oczywiście będziemy w kontakcie - dodał. - Cześć.

Pośpiesznie odłożył słuchawkę. W ogrodzie zapadał zmierzch. Shelley zapragnął, aby żona i córka wróciły już do domu. Przeszedł szybko do drzwi patio; pies, labrador, który siedział na dywanie pod kominkiem, otworzył ospale jedno oko. Shelley uchylił szklane drzwi.

- Hej, dziewczyny, wracajcie! - zawołał, ale nie potrafił nadać swemu głosowi wesołego brzmienia. Alison natychmiast spojrzała na niego z uwagą.

- Za chwileczkę, tatusiu! - odkrzyknęła córeczka, zajęta śniegową kulą, teraz tak dużą i ciężką jak ona sama. Popchnęła ją i kula potoczyła się w stronę klombu z krzewów różanych.

- Ostrożnie! - zawołał. W myślach błagał je o powrót do domu.

- Zamknij drzwi - upomniała go Alison. - Wypuszczasz ciepło, za które tyle trzeba płacić.

Zamknął więc drzwi z powrotem,

- O, cholera! - aż krzyknął. Przecież zdołał zapewnić sobie alibi. Ten Murdoch z Guernsey niechętnie odpowiadał na telefony, nie chciał rozmawiać i nic nie potwierdził na piśmie. Natomiast Mike, autor artykułu w „Insight”, całkowicie zaspokoił jego ciekawość. Te informacje mógł wykorzystać na różne sposoby. Shelley był usatysfakcjonowany ustaleniem motywu zabójstwa Castleforda i dowodem winy Aubreya. Zakończył walkę o los przyjaciela, stał się przez to nieszkodliwy, odrzucił broń i przestał komukolwiek zagrażać.

Ale jednocześnie gnębił go wstyd, że opuścił Aubreya na zawsze.

Biegąca pod nimi główna szosa łącząca Kabul z Dżalalabadem wiła się jak wąż pośród zwalistych, pokrytych śniegiem skalnych zboczy. Wyglądała niczym żywa istota. Od czasu ostatnich opadów śnieżnych tylko raz przejechał po niej pług. Po drugiej stronie drogi, pomiędzy jej skrajem a szarymi zakolami rzeki, której smolisty i pełen kamieni nurt przypominał szosę, tkwiły przysypane śniegiem, ogołocone szczątki spalonego transportera. Świt wstawał łagodnie, odślaniając stopniowo z ciemności ścianę wznoszących się po drugiej stronie skał.

Patrol wołał spędzić noc w zbombardowanej, opuszczonej wiosce niż narażać się na zasadzkę w ciemnościach na szosie. Zwiadowcy z radością donieśli, że żołnierze z patrolu najwyraźniej się bali i nie kładli się spać. Podali także stan liczebny i uzbrojenie przeciwnika. Mohammed zdecydował poczekać do świtu, aż patrol powróci na

drogę i rozpocznie marsz do Kabulu. Pathanowie ukryli się wysoko w skałach po obu stronach szosy. Ze swego dogodnego punktu obserwacyjnego Hyde mógł dostrzec co najwyżej sześciu partyzantów. Czuł, że będą jego konkurentami w wyścigu po jeńców. Nie liczył na to, że którykolwiek zachowa przy życiu rosyjskiego żołnierza na tyle długo, aby starczyło czasu na przesłuchanie. Potrzebny mu był raczej oficer. No, ale cóż, ostatecznie niechby był żołnierz.

Jeżeli będzie wystarczająco szybki, to w zamian za informacje może zaofiarować tylko kulę w łeb zamiast obcięcia rąk i nóg. W jego skurczonym wśród skał ciele narastało napięcie. Siedzący obok Miandad był bardziej opanowany. Prawie dokładnie pod miejscem, gdzie czuwał, osunęła się na drogę masa skał i gładów, blokując skutecznie możliwość przejazdu. Nieco dalej przygotowano podobną lawinę. Miała odciąć odwrót uciekającemu patrolowi.

W nocy powietrze ochłodziło się. Hyde uświadomił sobie, że od kiedy wsiadł w Karaczi do wojskowego samochodu, ani razu nie było mu ciepło. Zimne promienie wschodzącego słońca oświetlały coraz wyżej skały. Dostrzegł sygnał wysłany w ich stronę lusterkiem. Mohammed Dżan wstał i w odpowiedzi dał znak ręką.

- Są bliżej niż o pół mili - szepnął Miandad. Hyde kiwnął głową. Pakistańczyk wpatrywał się w jasne niebo. - Ciekawe, czy przyślą śmigłowca z Kabulu.

- A mają taki zwyczaj?

- Jeszcze przed rokiem każdy patrol miał osłonę śmigłowca. Ale teraz któż może wiedzieć? Przez większą część zimy w tym rejonie był spokój. Rosjanie doszli więc do wniosku, że przejęli kontrolę nad drogą. Przypuszczam, że śmigłowca się nie pojawi, przynajmniej do czasu, aż skończymy naszą robotę. - Uśmiechnął się i podkręcił wąsa, pozując na brytyjskiego oficera.

Uwaga Hyde'a znów skupiła się na szosie. Po niecałych trzech minutach na najbliższym zakręcie pojawił się pomalowany na zielono opancerzony transporter rozpoznawczy typu BTR-40. Jechał powoli. Załoga zachowywała wręcz przesadną ostrożność. Mała wieżyczka ze sterującym z niej karabinem maszynowym obracała się w prawo i w lewo. Wydawało się, że sam transporter przeżywa nerwowe napięcie swoich pasażerów. Wkrótce pojawiły się za nim dwa przysadziste, zielone, dobrze uzbrojone transportery gaśnicowe BWP*. Każdy z nich posiadał wyrzutnię pocisków rakietowych i 73-milimetrowe działo. W jego wnętrzu mogło kryć się ośmiu żołnierzy, zdolnych do prowadzenia ognia podczas jazdy przez specjalne luki. Mimo ciemności dobrze widoczne były czerwone gwiazdy na pancierzach. Niewielką kolumnę zamykał drugi transporter kołowy.

* W tekście oryginału autor używa skrótów angielskich. Z opisu zawartego w treści wynika, że

chodzi mu o transporter BWP. W dalszej części, dla jasności tekstu, przyjęto stosowanie oznaczeń literowych używanych w regulaminach walki Polskich Sił Zbrojnych. - Przyp. tłum.

Hyde zadygotał z chłodu i napięcia. Chociaż widział przed sobą transportery i ciężkie uzbrojenie, miał wrażenie, że wolno sunący patrol jest przestraszony i podatny na atak. Cztery opancerzone pojazdy, dwie wyrzutnie pocisków raketowych, dwa ciężkie działa zamontowane na BWP, dwa karabiny maszynowe na transporterach rozpoznawczych, szesnaście do dwudziestu kałasznikowów, schowanych pod pancierzami żołnierzy, cztery, może pięć pistoletów, granaty, jeden lub dwa karabiny maszynowe PK lub RPK...

Ale wykaz sprzętu jeszcze nic nie znaczy. Sprzęt nie uchroni rosyjskich poborowych, skulonych we wnętrzach pojazdów, przed nieustannym strachem w drodze do Kabulu. Trzydziestu Pathanów uzbrojonych w stare karabiny i zdobyczne rosyjskie pistolety maszynowe oraz parę granatów produkcji amerykańskiej, brytyjskiej, czeskiej i rosyjskiej stanowiło dużo większą siłę. Znali oni bowiem teren i byli przepojeni fanatyczną nienawiścią. Prowadzący kolumnę transporter zwolnił na widok małej, podejrzanie wyglądającej kamiennej lawiny, zanim jeszcze zbliżył się do osuwiska. Od tej chwili dowodzący oficer będzie analizował założenia taktyczne. Czy w stanie napięcia psychicznego potrafi dojść do wniosku, że lecące kamienie zostały zrzucone ludzką ręką i stanowią element zasadzki? Na decyzję, czy złożyć meldunek radiowy, będzie miał niecałą minutę.

BTR zawrócił niezgrabnie na szosie i ruszył w kierunku transporterów gąsienicowych. Drugi BTR uczynił to samo i zmierzał teraz do zakrętu drogi. Wyobraźnia podpowiadała Hyde'owi, że patrol wzywa właśnie śmigłowiec z Kabulu. To niecałe trzydzieści mil od ich pozycji - dla MiL-24 zaledwie około dziesięciu, piętnastu minut lotu.

Oba większe transportery zaczęły powoli manewrować, przesuając się w przód i w tył. BTR wyglądał przy nich jak owczarek. Poza przesuwanymi się pojazdami na szosie nie widać było żadnych oznak ruchu. Hyde usłyszał odległy łoskot podobny do dźwięku grzmotu lub wystrzału. Domyślił się, że zrzucano drugą lawinę, dłoń odruchowo chwyciła chłodną plastikową kolbę zdobycznego kałasznikowa. Zrobiło się nieco jaśniej i Hyde dostrzegł na broni resztki okrągłej żółtej nalepki przedstawiającej twarz uśmiechniętego ludzika. Wytarty napis cyrylicą wzywał do zachowania pogody ducha. To odkrycie do reszty zmaćliło jego pozorny spokój obserwatora niewinnej sceny tam, na dole.

Czyżby rowem wzdłuż drogi czołgał się człowiek? Hyde nie był pewien. Drugi pojazd rozpoznawczy, który wyjechał już na łuk drogi, zdawał się teraz wracać. Grudy

blota pryskały spod kół, gdy przyśpieszał na zakręcie. Hyde przykrył dłonią uśmiechniętego ludzika i ruszył powoli na dół, na scenę, gdzie miał się rozegrać dramat. Był on równie nieuchronny jak tragedia, którą oglądał poprzednio. Kątem oka zaobserwował, że Miandad także schodzi w dół. Nie było wątpliwości, że i on zna zakończenie tej sztuki.

Tak, to był człowiek.

Ubrany na brązowo Pathan wślizgnął się na czworakach na szarą wstęgę drogi. Odepchnął od siebie okrągły przedmiot i ponownie dał nura do rowu. Zafascynowany tą sceną Hyde wstrzymał oddech. Jeszcze cztery sekundy i pod transporterem eksplodował granat. Spod kół wyskoczyły płomienie, lecz niemal natychmiast zgasły. Jeśli nie liczyć przypalonej oliwkowej farby, BTR-40 wyglądał na nie uszkodzony. Hyde rozczarowany opuścił lornetkę, lecz Miandad trącił go łokciem i wskazał na dół.

Dmuchawce. Poprawił ostrość szkielec. Pełno dmuchawców. Szybowały w równym szyku, delikatne, niewinne, wypuszczone gdzieś z najniższych skał prosto ku pojazdom na drodze. Jeden obrócił się, drugi zajął pozycję na środku szosy. Z pewnością dowódcy wszystkich czterech pojazdów prowadzili teraz nerwowe rozmowy przez radio. Zasadzka była tuż-tuż.

Czy granat był sygnałem? Czy tylko szaleńczym wyczynem?

Dmuchawce.

Wtem pojął, co oznaczały. To radzieckie granaty przeciwpancerne RPG-6. Rzucane ręką, mogły przebić pancierz grubości 12,5 cm. Pancierz BWP miał 14 milimetrów grubości, a transportera rozpoznawczego 10 milimetrów. Białe zaś łatki przypominające dmuchawce to małe stabilizujące lot rękawy z tkaniny, gwarantujące, że w chwili gdy granat uderza w cel, jego wydłużony korpus znajduje się w odpowiedniej pozycji.

Jeden z BWP odpalił pocisk z wyrzutni rakiet. Wyglądało to tak, jakby transporter splunął ogniem. Skała, śnieg i kurz posypały się z ciemnego jeszcze stoku góry ponad drogę, ale Pathanowie nie ponieśli strat, bo pocisk przeleciał nad nimi. W dół zboczy toczyły się odłamki skał. Ich echo zagłuszyło Hyde'a.

Pierwszy dmuchawiec uderzył. Po chwili drugi. Pierwszy zdetonował na powierzchni szosy, lecz drugi trafił w tył toczącego się BTR-a. Pancierz niemal zagotował się, i otworzył niczym gwałtownie rozsunięty suwak. Ze szczątków wyskoczył chwiejny płonący kształt. Świsnęła kula karabinowa i postać upadła. Ze swego wysokiego stanowiska Hyde nie usłyszał krzyku. Kolejne granaty ugodziły jeden z BWP. Płomień, huk, rozrywające się stalowe płyty. Hyde nigdy nie słyszał straszego hałasu pękających panczerzy. Ten odgłos przypominał krzyk siedzących wewnątrz transportera okupantów.

Drugi nie uszkodzony BWP wystrzelił kolejny pocisk PPK. Przemówiło też działo pierwszego transportera. Skały kipiały i pękały. Wąwóz huczał i wypełniał się gęstym dymem. Powierzchnia szarej rzeczki bulgotała wściekle od spadających odłamków skał i metalu. Ludzie w mundurach biegali, inni leżeli nieruchomo powaleni wzdłuż gasienic pojazdów bądź na brudnej szarej smole szosy. Oba 73-milimetrowe działa transporterów wystrzeliwały pociski. Hyde słyszał to wszystko, ale nie mógł już odróżnić poszczególnych rodzajów broni. Płomienie oświetlały dymiącą chmurę pyłu. Krótkie jasne ognie to efekt strzałów, wysokie, ciemne - to dymy palących się BTR-ów.

Słysząc było ryk góry ugodzonej następną raketą i gdakanie karabinu maszynowego. Po chwili huk jednej ocalałej armaty wraz z nową jasną smugą światła przebiły się przez chmurę dymu i kurzu.

Miandad trącił Hyde'a nachylając się ku niemu.

- Czas na nas! - wykrzyknął. - Bo inaczej nie będzie kogo przesłuchiwać.

Hyde pobladł na widok kipiącej, gęstej chmury, jaskrawo podświetlonej płomieniami. Przez chwilę nawet nie mógł sobie wyobrazić, że pokona ten dystans i znajdzie się na dole. Wreszcie kiwnął głową. Zaczęli wspólnie złazić po gładkiej pochyłości, zanurzając się w chmurze gęstego dymu. Hyde owinął twarz szalikiem i kaszłał gwałtownie. Oczy mu łzawiły.

Miandad zdawał się jedynie cieniem.

- Dokąd teraz? - krzyknął Hyde, połykając gryzący dym. Czuł płonące paliwo, kordyt i swąd spalonych ciał. Wydostał się z rowu. Dopiero teraz usłyszał krzyki. Natknął się na jednego z Pathanów. Wreszcie wyszedł na szosę. Pod butami chrzęściły odłamki metalu i skał.

- Tędy! - Miandad chwycił go za ramię i pociągnął w lewo. Hyde ruszył za nim. Plama ognia wybuchła gdzieś przed nimi. Poczul na skórze buchające ciepło. Obok nich przemykali się Pathanowie. W pobliżu zamajaczyła postać w płonącym mundurze. Hyde spojrział na nią przelotnie. Raptem parę minut, i już można było sądzić, że zjawili się za późno.

- Na drugą stronę drogi? - krzyknął mu Miandad wprost do ucha. Hyde potwierdził skinieniem głowy.

Z prowadzącego kolumnę pojazdu pozostał przewrócony wrak. Z przedniego wjazdu zwiślało ku ziemi nieruchome ciało, przypominające plamę rozlanego paliwa. Miandad pochylił się nad martwą postacią, lecz po chwili podniósł wzrok. Hyde dostrzegł jego błyszczące źrenice i intensywną biel gałek ocznych.

- No i co? - krzyknął głośno.

- Część uciekła. Musieli się jakoś wydostać.

- Ale gdzie są?

Gdzieś z bliska odezwał się karabin maszynowy, kula gwizdnęła obok powalonego ciała leżącego na transporterze.

- Tam! - wykrzyknął Miandad.

Nastąpiła gwałtowna, miazdząca eksplozja, po której usłyszeli łoskot - spadających dookoła rozżarzonych części i obrzyneków metalu. Jeden z nich przeciął i zapalił serdak Hyde'a, inny osmalił mu dłoń. Był to efekt wybuchu jednego z transporterów. Żołnierzy zostało już pewnie niewielu. Pathan w turbanie oparł się o transporter i runął po chwili wprost na Miandada. Pakistańczyk z obrzydzeniem nieomal odepchnął padające ciało. W krótkiej chwili ciszy Hyde usłyszał podobny do pisku królika krzyk. Potem karabin maszynowy znów otworzył ogień, ostrzeliwując drogę z ich lewej strony. Oficer dowodzący obroną wydał rozkaz, że wszystko, co wyłoni się z kręgu czarnego dymu, należy traktować jako wroga. A nawet jeśli nie, to i tak nie warto ryzykować dla dobra jednego czy dwóch żołnierzy.

- Idziemy. - Miandad ruszył na prawo, Hyde kuśtykając niezdarnie posuwał się za nim tak sprawnie, jak tylko potrafił. Ukazała się krawędź drogi. Szarość przeszła w brąz piachu i brudnego błota. Znaleźli się w wilgotnym rowie. Śnieg wpadał w szerokie nogawki i rękawy Hyde'a.

Po chwili na lewo od siebie zobaczył i usłyszał gdaczącą serię, błyskające z lufy lekkiego karabinu maszynowego ogniki. Strzałów z innej broni nie było słyhać. W chwili gdy umilkł straszliwy huk, usłyszał kroki i krzyki.

Dookoła ginęli ludzie.

Jakże blisko. Hyde uchwycił się ramienia Miandada, jakby w przypływie panicznego lęku. Gdzieś przed nim, nie dalej niż dwadzieścia jardów, umilkł karabin maszynowy. Chmura dymu zaczęła rzednąć. Walczyli tam ludzie. Wykryto i zabijano obsługę karabinu maszynowego.

Znaleźli się pośród walczących. Ktoś potrącił Hyde'a, który dojrzał srebrny błysk wojskowego bagnetu, a potem cios zakrzywionego noża. Miandad odszukał go i zachęcał do pośpiechu. Coraz bardziej zdeterminowany Hyde kręcił głową na prawo i lewo. Wypatrywał niedużych, nie rzucających się w oczy naszywek lub naramienników. Potrzebny mu był oficer.

Miandad tymczasem męczył się z kimś leżącym na ziemi. Włókł go wzdłuż rowu i ściągnął na pobocze. Gdy tylko schylił się, by unieść nieruchome nogi tamtego, z opadającej chmury wyłonił się Pathan z karabinem na plecach i nożem w rękę. Kiedy ujrzał Miandada zmagającego się z nogami leżącego Rosjanina, na moment się zawałał, po czym uniósł nóż. Hyde nie wiedział, czy partyzant rozpoznał Miandada, czy

uznał go za swego pobratymca. Hyde miał czas tylko na jeden krok w przód i głęboki zamach kałasznikowem. Twarda kolba ugodziła Pathana tuż nad lewym okiem. Po ciosie upadł obok Miandada i Rosjanina, wypuszczając nóż z ręki.

- Szybko! - zakomenderował Miandad, rozglądając się.

Widoczność zdecydowanie się poprawiła. Hyde dostrzegł ze dwunastu Pathanów przesuwających się pośród wraków i ciał. Ujrzał rosyjskiego żołnierza, któremu właśnie obcinano ręce. Mordowany, ogłuszony wcześniej ciosem w głowę, nawet nie jęknął.

- Pomóż mi go wynieść w skały - dodał Miandad.

Hyde przewiesił broń przez plecy i wspólnie przeciągnęli Rosjanina przez rów, i dalej w kierunku rzeki. Młoda, nieprzytomna twarz z sińcem na skroni, o lekkich poparzeniach na policzkach i szczękach. Rosjanin miał dystynkcje oficerskie.

Przeprawili się z pluskiem przez płytką wodę, trzymając Rosjanina między sobą, i dotarli do osłoniętego skałami podnóża urwistej skarpy. Hyde łapczywie chwycił powietrze w płuca, schylił się i opadł na kolana, jakby zbierało mu się na wymioty. Miandad położył dłoń na jego ramieniu. Wydostali się z kurzu i dymu. Rozprasająca się chmura odsłoniła, niczym morze w czasie odpływu, pobojuwisko na skraju drogi. Niebo nad nimi było bladobłękitne.

Miandad wskazał na zakamarki popękanych skał.

- Pomóż mi. Pociągniemy go dalej - powiedział. Hyde uświadomił sobie, że nie musi już więcej krzyżeć. Z kotliny dochodziły jedynie coraz rzadsze, lecz przerażające wrzaski. Od czasu do czasu padał pojedynczy strzał. Potem straszliwy wybuch części amunicji, potem znów tylko krzyk, bardziej przypominający głos wron niż ginących, ćwiartowanych ludzi. Hyde pokiwał głową. - Nie masz za wiele czasu - dodał Miandad, kiwnąwszy głową w kierunku szosy.

- Okay, chodźmy.

Pociągnęli Rosjanina w stronę skał, chcąc go ukryć. Jęczał z bólu jak dziecko. Odeszli może siedemdziesiąt-osiemdziesiąt jardów od zbrocza i ze sto jardów od szosy.

- Śpiesz się z robotą! - komenderował Miandad, przechyliwszy do ust młodego Rosjanina srebrną manierkę. Chłopak odkaslnął. Otworzył oczy i przeraził się, ujrawszy przed sobą odzianego w turban Hyde'a.

- Cisza! - rzucił Hyde po rosyjsku. Oczy chłopaka rozszerzyły się z zaskoczenia i szoku. Odwrócił głowę, dostrzegł wąskie, ciemne rysy Miandada. - Teraz, poruczniku - ciągnął Hyde - jeżeli chcesz ujść z życiem, to mów cicho.

- Kim jesteście? - Hyde nie był pewien akcentu, lecz słowa te zabrzmiały z ukraińska. Porucznik nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia, może dwadzieścia jeden lat.

- Nieważne. Jesteś moim jeńcem, nie Pathanów. Zrozumiałeś, na czym polega różnica? - Porucznik pokiwał głową, przetykając bryłę lęku tkwiącą mu w gardle. - To dobrze. Dokumenty, szybko!

Porucznik opierał się przez chwilę, jak gdyby dokumenty były jego talizmanem, ale sięgnął i wydobyl je z bluzy. Podał Hyde'owi papiery drżącą ręką. Od szosy dobiegł wysoki krzyk agonii, jego echo wstrząsnęło ciałem. Ofiara. Hyde otworzył portfel z dokumentami. Małe zdjęcie przedstawiało młodego oficera. Na jego twarzy nie widać było uśmiechu, ale również i buty. Pieczęcie i urzędowe adnotacje. Porucznik Azimow. Zgadza się, z Kijowa na Ukrainie. Mianowany dwa lata temu, zaraz po ukończeniu akademii. Afganistan był jego pierwszym przydziałem służbowym. Siergiej Azimow. Oto biała, osmalona, posiniaczona twarz; jakże dziwnie wygląda w tak obcym miejscu.

Z portfela wysunęła się i upadła na ziemię złożona, pomięta kartka papieru. Oczy chłopaka śledziły jej lot. Hyde podniósł papier. Wśród innych świstków wsuniętych w przegródkę zauważył także fotografię. Portfel był wymięty, mógł być kiedyś własnością ojca tego chłopaka. Część rodowego dziedzictwa. Hyde odczytał list.

„Drogi Sasza,

kocham Cię i ogromnie mi Ciebie brak. Tak mało mieliśmy czasu dla siebie. Trudno mi skupić się w pracy, myślę tylko o Tobie. Cały czas tak się o Ciebie martwię...”

Hyde przerwał lekturę. Twarz dziewczyny była okrągła, jej dziwna uroda rzucała się w oczy, włosy związane z tyłu. Nadia. Żona Azimowa. Hyde poczuł, że wtrąca się w nie swoje sprawy. Pośpiesznie zwrócił list i zdjęcie porucznikowi, który przycisnął je do kurtki. Przeżyty wstrząs i ziąb przyprawiły go o dreszcze.

- W porządku, poruczniku Azimow, jeżeli dowiem się od ciebie tego, czego potrzebuję, daruję ci życie, rozumiałeś? - Nagły krzyk, który z trudem można by przypisać człowiekowi, podziałał na Azimowa stymulująco. - Zrozumiałeś? - Azimow pokiwał głową.

- To świetnie. Chcę wiedzieć wszystko, co wiesz i słyszałeś o pułkowniku Pietruninie. Zrozumiałeś? Pułkownik Tamaz Pietrunin. Chcę wiedzieć, gdzie on teraz jest, jakie ma zwyczaje. Odpowiesz, to przeżyjesz.

Ty oszuście, łajdaku, rzekł sobie w duchu Hyde. Mam przecież powód, sram na to, potem...

Miandad ponownie przechylił manierkę. Porucznik łyknął i przeplukał gardło.

- Dziękuję, dziękuję - rzekł.

Hyde kiwnął głową. Chłopaka wyraźnie nie interesowało, kim on jest, nie zależało

mu na przysiędze, do której zobowiązywał mundur. Interesowała go jedynie myśl o przeżyciu. Hyde podniósł głowę i rozejrzał się po pobliskich skałach. Chmura już zniknęła. Zimne słoneczne światło niczym odpływająca fala penetrowało krawędź drogi. Rzeka błyszcząca niby oksydowana stal. Poćwiartowane ciała leżały porozrzucane w rowach po obu stronach szosy.

Pathanowie zajęci byli zbieraniem broni, amunicji, karabinów i pistoletów maszynowych. Jeden z nich machał triumfalnie trzymanym nad głową granatnikiem RPG. Z płonących wraków wydobywano skrzynie z pociskami. Dwaj mężczyźni wymontowywali nawet karabin maszynowy z wieżyczki przewróconego pojazdu rozpoznawczego.

Zostało im może z dziesięć minut.

Nagle natchniony nowym pomysłem Hyde zaczął prawie zapominać o młodym jeńcu. Granatnik z nie uszkodzonym na szczęście noktowizorem był zdolny przebić ponad trzydziestocentymetrowy pancerz - albo solidną ścianę...

Mundur, zaskoczenie, przebranie...

- Wypytaj go - polecił Miandadowi. - Wypytaj go o wszystko. Czy jest... - Był wyraźnie podniecony. Warknął na oficera: - Gdzie jest Pietrunin, dzisiaj, jutro? Wiesz? Mów!

- Ten sukinsyn? - wymamrotał młody oficer.

- Tak, ten sukinsyn. Gdzie jest?! - To był prawie krzyk.

Azimow odsunął się gwałtownie.

- Jest w ambasadzie...

- W Kwaterze Głównej Dowództwa Armii, to chciałeś powiedzieć?

- Nie, w ambasadzie. Pamiętajcie, że on jest z KGB. Nie używa łączności wojskowej, bo nie uważa jej za wystarczająco utajnioną.

- Dlaczego w ambasadzie?

- Kto to wie? Kogo to obchodzi? W administracji, w rządzie, w armii jest czystka. Kto wie, dlaczego? Pietrunin może tam siedzieć i tydzień, tak słyszałem.

Ach tak...

- I co? - zapytał Miandad, stając obok.

- Dowiedz się wszystkiego. Niech ci narysuje plan ambasady. Postaram się powstrzymać Mohammeda, jak długo się da.

- Masz jakiś plan?

- Chyba tak, o ile ten tu rzeczywiście coś wie. Ustal to. Ja ich jakoś powstrzymam.

Mohammed Dżan właśnie przejmował w swe ręce, niczym symbol władzy, granatnik RPG-7. To jest to, pomyślał z determinacją Hyde.

- Słabo znam rosyjski, a ty nie mówisz w paszcie. To już lepiej ja postaram się ich spławić, a ty wypytaj tego chłopaka.

Hyde ociągał się, lecz skinął głową.

- Dobra. Dziesięć minut.

- Postaram się. - Miandad odszedł parę kroków, ale po chwili odwrócił się do Hyde'a. - Rozumiesz chyba - rzekł cicho, przenosząc wzrok z Hyde'a na Azimowa - że nie możesz go ani puścić, ani pozwolić mu się gdzieś tu ukryć. Jeżeli przyleci śmigłowiec, to on wie zbyt dużo... - Hyde pokiwał głową. - Więc nie możesz wydać go tym... rozumiesz, że...

- Rozumiem - wyszeptał Hyde. - Jak już wszystko powie, zastrzelę go.

W tym zapomnianym przez Boga miejscu szybka śmierć równała się miłosiernej eutanazji.

Rozdział VIII

Urowadzenie

W swoim ogrodzie panna Catherine Dawson krzątała się energicznie wokół karmnika dla ptaków zupełnie jak jedno z tych maleńkich stworzonek, które starała się utrzymać przy życiu, karmiąc je skrawkami bekonu, chlebem i orzeszkami ziemnymi. Miała na sobie gumowe boty, stare jasne futerko, a spod chustki wymykały się jej kosmyki cienkich siwych włosów. Śnieg padał cicho z zaciągniętego, szarego o poranku nieba. Panna Dawson, jeśli nawet była zniecierpliwiona z powodu swego gościa, sprawiała wrażenie opanowanej.

Massinger ocenił, że kobieta miała około siedemdziesiątki. Musiała więc dobiegać trzydziestki, kiedy została wysłana do Berlina jako tłumaczka przy Komisji Kontroli. Wkrótce potem wojna w Europie skończyła się. Przez ponad rok, zanim Castleford zniknął, była jego pracownikiem.

Massinger zatelefonował do niej poprzedniego popołudnia. Nikt nie odpowiadał. Dzwonił wielokrotnie, ale zastał ją dopiero późnym wieczorem. Cały dzień była z wizytą u przyjaciół. Tak, naturalnie, może do niej wpaść następnego ranka. O dziesiątej? Oczywiście. Massinger przenocował w mieszkaniu Hyde'a. Teraz kiedy miał już zapewnione bezpieczne przejście przez granicę, zdał sobie sprawę, że w chwili gdy zrezygnuje z poszukiwania prawdy, najważniejsza dla jego bezpieczeństwa będzie umiejętność skutecznego przekonywania innych. Musiał porozmawiać z tą kobietą i może z innymi jeszcze żyjącymi, zanim odłoży narzucone sobie zadanie i będzie mógł powiedzieć, że odkrycia w związku z przestępstwem Aubreya satysfakcjonują go.

Niewiele spał. Wstydził się, że pragnienie powrotu do Margaret dokuczало mu bardziej niż poczucie winy z powodu opuszczenia przyjaciela. Było nieco po dziesiątej rano, kiedy Terry Wogan żegnał się w radio ze słuchaczami. Paul wyszedł przez kuchnię do ogrodu. Panna Dawson odwrócona była do niego plecami. Massinger zainstalował się w tylnej części zmodernizowanego wiejskiego domku w Oxfordshire, starając się rozwiązać szaradę, która mogła uratować jego życie i małżeństwo. Mimo braku snu czuł się świeżo; była w nim też niecierpliwosć i rosnący optymizm. Od dłuższego już czasu nie było mu tak lekko na duszy. Miał poczucie, jakby czas się dla niego cofnął, a jakaś ekspedycja ratunkowa przyniosła mu szczęście i zadowolenie. Duże, delikatne

płatki śniegu spadały mu na gołą głowę, topniały na płaszczu przeciwdeszczowym. Czuł ich miły chłód na gładko ogolonych policzkach. Chciał nieomal wysunąć język, by jak dziecko poczuć ich smak.

- To bardzo miło, że znalazła pani czas, by mnie przyjąć - zwrócił się ponownie do ruchliwych pleców panny Dawson. - Na pewno przeszkadzam.

- Ależ skąd - odpowiedziała, odwracając się ku niemu. - Cóż, pana zdaniem, mogłoby mnie tak zaabsorbować, żeby gość nie był przeze mnie mile widziany? - W jej niebieskich oczach pojawiły się iskierki. Zęby miała nienaturalnie białe, kiedy pokazała je w szczerym, nieomal figlarnym uśmiechu. Zastanawiał się, czy należy jej współczuć z powodu jej staropanieństwa.

- Przepraszam - mruknął.

Kiedy skończyła zajęcia przy ptakach, podeszła do Massingera. Prawie natychmiast w karmniku pojawił się rudzik. Za nim przyleciały dwie sikorki o żółtych brzuszkaach i zawisły na lekko kołyszącej się czerwonej plastikowej siatce z orzeszkami. Nadleciały wróble. Panna Dawson odwróciła się i przyglądała przez moment tej scenie, niczym zadowolony Zbawiciel. Następnie wprowadziła gościa do domu, jak gdyby dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że pada śnieg, a on stoi z gołą głową.

- Kawy, kakao? - spytała, wskazując mu jedno z kuchennych krzeseł. Usiadł na nim ostrożnie. Mimo to powrócił gwałtowny ból biodra. Od kiedy zdecydował się odzyskać zaufanie żony i Babbingtona, miał wrażenie, że nosi sumienie w kaburze umieszczonej na chorym biodrze.

- Poproszę o kawę - powiedział. Panna Dawson przyglądała się jego dziwnym ruchom.

- Powinien pan poddać się operacji - mruknęła, zajęta teflonowym garnuszkiem na kuchence. - Ja to zrobiłam, oba biodra.

- Tak, powinienem - odpowiedział. Rozmowa spowodowała, że poczuł się stary. - Może jak lato minie...

Nalała mleka do garnuszka i zapaliła gaz. Zdjęła gumowce, płaszcz i chustkę, przygładziła włosy. Jej oczy były jasne i bystre.

- Chce pan rozmawiać o kochanym Robercie Castlefordzie - pewnie z powodu wczorajszych artykułów? - Kiwnął głową. Miał się na bacności, bo dosłyszał ostry ton w jej głosie. - Żał mi bardzo pana żony - dodała. - Jak mogę panu pomóc?

Milczał przez chwilę; położył dłonie na kuchennym stole. Kraciasty obrus harmonizował z zastonami. Potem wyznał trochę nieszczerze:

- Ja... Ja muszę znać prawdę. Od jakiegoś czasu przyjaźnię się z Kennethem Aubreyem - a ożeniłem się z córką Castleforda. Może sobie pani wyobrazić mój dylemat...

- Spojrzał na jej skupioną, łagodną, lekko speszoną twarz.

- Rozumiem. Jest pan Amerykaninem, panie Massinger? - zapytała, chociaż nie miało to żadnego znaczenia.

- Tak.

- Dylemat? - Wydawało się, że powtórzyła to słowo z pogardą. - Nie rozumiem, dlaczego. Co sądzi o tym pana żona?

- Nie wie, co o tym myśleć.

- Może więc jej pan ode mnie powiedzieć, że Kenneth Aubrey prawie na pewno zamordował jej ojca!

Massinger był zaskoczony, a twarz panny Dawson przybrała wrogi wyraz. Zdawało się, że razem z chustką i gumowcami zrzuciła z siebie maskę niewinności. Była teraz złą królową z zatrutym jabłkiem, a nie staruszką o słodkim głosie. Massinger odgadł, że potajemnie musiała się kiedyś kochać w Castlefordzie i uczucie to ciągle jeszcze nie wygasło.

- Jak... jak może być pani tego pewna? - zapytał. - Po tylu latach, taka pewność?

Panna Dawson odwrócona była teraz do niego tyłem. Zestawiła mleko z kuchenki i naląła do dwóch malowanych kubków.

- Cukru? - zapytała z ożywieniem.

- Poproszę jedną łyżeczkę.

Wróciła z garnuszkami i usiadła.

- Jak mogę być pewna? - powtórzyła natychmiast. - Jak mogę być pewna? Ponieważ zawsze się kłócili, kiedy tylko się spotkali. Ponieważ Aubrey nienawidził pana Castleforda, nienawidził go za jego sukcesy, za to, że był kimś ważnym, miał urok, właściwie wszystkiego w nim nienawidził. - Massinger wymieszał cukier i małymi łykami pił kawę. Wybuch panny Dawson sprawiał wrażenie sztucznie wyreżyserowanego. Ale nie mógł tego zlekceważyć. Nie miał nawet powodu, by uważać to za część przedstawienia, w którym grał rolę poplecznika Babbingtona, ale jednocześnie także sympatyka zdrajcy. Człowiek z Guernsey był pewien winy Aubreya, panna Dawson również w nią wierzyła, dlaczego?

- Aubrey nie miał szacunku dla zasad, panie Massinger, ale pan pewnie o tym wie. Z własnego doświadczenia, jeśli jest pan jego przyjacielem. - Massinger wzruszył ramionami. - Był ambitny. Stał w cieniu Castleforda. W istocie pan Castleford traktował go jak kogoś, kto jest za stary, żeby walczyć, lecz żałuje, że wojna już się skończyła. Rozumie pan to?

Massinger kiwnął głową wpatrując się w swoją kawę.

- Tak - powiedział. Czy ojciec Margaret był taki jak jego córka? Myśl ta nigdy wcześniej nie przyszła mu do głowy, a jednak teraz wydawała się kluczem do całej

sprawy. - Czy Castleford był dobrym człowiekiem? - zapytał nagle, nie mogąc się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

- Pan Castleford? Tak, delikatnym, miłym, wyrozumiałym. Czarującym, no i oczywiście ambitnym. Ale zawsze liczył się z innymi... Prawdziwy gentleman, stara szkoła. Człowiek z klasą, dobre maniery wyssał z mlekiem matki, jak to się mówi.

Wydawało się, że kobieta ponownie zmieniła nastrój, ukazując niespodziewanie prawdziwe myśli i uczucia. Darzyła Castleforda tym samym szacunkiem co niegdyś. Jeśli chodziło o niego, to nawet teraz była snobką. A jednak mężczyzna, którego opisała, podobny był do Margaret.

A jeśli taki był, to czy Aubrey zignorowałby, czy też zaakceptował człowieka takiego pokroju? Czy mógł być osobą wzbudzającą zazdrość? Kimś, kto obnażył ukryte, złe strony osobowości Aubreya? Massinger poczuł, że braknie mu tchu od tej gonitwy myśli, która oszalała go i kładła się ciężarem na piersi.

Wypił łyk kawy.

- Więc myśli pani, że Kenneth Aubrey mógł go zabić? - zapytał zmęczonym głosem.

- Z pewnością - odparła gwałtownie. - Proszę powiedzieć swojej żonie, że jestem o tym przekonana. Jeśli ta wiadomość w czymś jej pomoże. Musi to być dla niej przykre.

- Tak. - Podniósł wzrok. - Ale po cóż by to zrobił?

Milczała przez dłuższy czas, potem westchnęła.

- W końcu dlaczego miałabym tego nie powiedzieć? Z pewnością sam pan to odgadł. Byłam zakochana w Robercie Castlefordzie. Bardzo zakochana. Miałam trzydzieści lat, byłam atrakcyjna i pełna temperamentu.

- A on myślał o pani jedynie jako o swojej pracownicy?

Kiwnęła głową. Lok siwych włosów opadł jej na czoło, gdzie w głębokich zmarszczkach osiadł puder.

- Tak - przyznała niechętnie. - Nigdy nie patrzył na mnie w inny sposób. Na nią tak, na mnie nie.

- Chodzi pani o...

- Tak. Ta wredna Niemka. Zapewniała sobie przyszłość. Dość szybko przerzuciła się z Aubreya na Castleforda. W końcu on więcej mógł jej załatwić, rozumie pan? - Jej twarz ponownie skurczyła się, była teraz zła. Po trzydziestu siedmiu latach nie zamierzała wybaczyć Klarze Elsenreith.

- Rozumiem. Była więc kochanką Castleforda. Jest pani tego pewna? W trakcie swojej znajomości z Aubreyem? - Panna Dawson kiwnęła głową, a jej lok podskoczył gwałtownie. Drobne ciało kobiety było skurczone z gniewu. Zazdrość pozostała w niej na zawsze.

Strzeżcie się zielonookiego potwora...

Był w stanie zrozumieć zazdrość - czuł siłę tego uczucia. Poznał je w szkole średniej, nawet w college'u. Wydawało mu się, że z niego nie wyrósł - tak jak to bywa z niektórymi odmianami trądziku.. Nie miał raczej powodów do zazdrości, ale gdyby ktoś mu zabrał Margaret...

- Jest pani pewna? - zapytał ponownie. - Pewna, że ona była...

Panna Dawson jeszcze raz kiwnęła głową.

- Tak - powtórzyła przez zaciśnięte zęby. - Tak. On powiedział mi o niej, o tym, że do niego przychodzi.

- Powiedział pani?

Policzki panny Dawson zarumieniły się. Spuściła wzrok.

- Podśledzałam. Mówił o tym jednemu ze swoich kolegów, małemu świntuchowi, który zapytał go o to wprost... On mu powiedział. Powiedział, że odebrał Aubreyowi tę kobietę, nawet... - przerwała. Lecz po chwili dodała: - Musiałam wyjść do innego pokoju, a kiedy wróciłam, drzwi zatrzasnęły się i nic więcej nie usłyszałam.

Massinger wciągnął powietrze. Zabrzmiało to jak świszczący jęk. Przyjrzał się twarzy panny Dawson. Zupełnie nieoczekiwanie odkrył coś, czego istnienia się nie spodziewał. Ale to odkrycie nie było niczym więcej niż przystankiem na drodze podstępny. Skłaniał się, by uwierzyć relacji panny Dawson. Nawet po uwzględnieniu, że mogły one wynikać z jej zazdrości, podziwu dla Castleforda oraz niechęci do Aubreya i jego kochanki. Podśledzała. Castleford ukradł Aubreyowi tę kobietę.

- Aubrey był wściekły?

- Kilka dni później wybuchła potworna kłótnia. Nie słyszałam, o co, ale dowiedziałam się potem, że padały groźby. Przez resztę dnia i wiele dni później pan Castleford był bardzo zdenerwowany i niespokojny. - Przełknęła ślinę. - Właściwie aż do czasu, kiedy zniknął.

- Czy Aubrey groził mu?

- Tak.

- Z powodu tej kobiety? - Głos Paula był natarczywy. Nie mogąc się powstrzymać dodał: - To dla mnie bardzo ważne.

- O cóż innego mogło chodzić? Castleford był bardzo, bardzo niespokojny.

Massinger dopił kawę. Poczul, że musi wyjść, musi mieć czas na zastanowienie się. Wstał bez zbędnych ceremonii.

- Dziękuję za pani czas - powiedział. - Dziękuję za kawę. Przepraszam, że panią niepokoiłem.

- Czy pomogłam panu? - zapytała.

- Nie wiem - przyznał. - Być może tak. Cóż, do widzenia, panno Dawson. Proszę się nie trudzić, sam wyjdę. Jeszcze raz dziękuję.

Kobieta patrzyła, jak odwrócił się i wyszedł z kuchni. Nasłuchiwała. Kiedy frontowe drzwi mocno się za nim zamknęły, jej ciało lekko zadrżało. Nadal nasłuchiwała jakby szeptów w powietrzu. Kiwnęła głową dopiero, gdy usłyszała, że samochód rusza i oddala się od domu.

Westchnęła i rozpięła sweter. Odpięła maleńki mikrofon, który miała na pasku, i zdjęła z siebie przewód. Uśmiechnęła się, patrząc na ten sprzęt, i rzekła kładąc go na stole: - Mam nadzieję, że spełniłam oczekiwania. Jestem pewna, że poważnie zwałpił w niewinność Aubreya.

Sir Andrew Babbington odłożył plik złożonych niemieckich gazet porannych na jedną stronę biurka. Eldon przyglądał się pewnej siebie, zadowolonej minie swego przełożonego. Większość niemieckich obywateli zapoznała się z historią Gunthera Guillaume'a i wydarzeniami z roku 1974, czytając „Sunday Times” z poprzedniego dnia. Gazeta pełna była najrozmaitszych spekulacji. Jednomyślnie, choć w sposób zawołowany, oskarżano Aubreya o udział w skandalicznej sprawie Guillaume'a. Od kiedy opublikowano pierwszą wiadomość o „Lzie”, Eldon uwierzył święcie, że Aubrey robił krecią robotę w wywiadzie brytyjskim i że ostrzegł wschodniemieckiego agenta o grożącym mu aresztowaniu. Nie ma dymu bez ognia.

- Obawiam się, że nic nowego - skomentował prasę Babbington.
- Chociaż nie ma to większego znaczenia.
- Słucham?
- Rok 1974 nie jest naszym największym problemem, Eldon.
- Z całym szacunkiem, sir, naprawdę wydaje mi się, że powinniśmy pójść tym śladem. W pełnej współpracy z BfV... - Babbington już potrząsał głową. Twarz Eldona była nieruchoma i pozbawiona wszelkich uczuć. Kostki dłoni leżących na udach zbiegły. Niech to cholera, Babbington po prostu tego nie rozumiał!

- Nie wydaje mi się, Eldon. To, do czego mogliśmy się dokopać, niewarte byłoby prawdopodobnie naszego wysiłku. Trzymajmy się tego, co mamy, jak to się mówi. Ostatnich dwóch lat prawdziwej działalności Aubreya. A dla mojej osobistej satysfakcji i przez wzgląd na ducha Roberta Castleforda znajdź tę cholerną kobietę, z którą obaj byli związani w Berlinie!

- Nie uważałbym jej za obiekt wart rozpracowania, sir Andrew - zauważył Eldon ciągle tym samym tonem.

Babbington przyglądał się rysom jego twarzy: nozdrza Eldona ściągały się i rozszerzały w tłumionym gniewie.

- Nie? - zapytał lekko.
- Co ona może wiedzieć?
- Na przykład to, kto zamordował Roberta Castleforda. - Sarkazm w jego głosie

był oczywisty. Babbington spojrział na zegarek. - O jedenastej muszę się spotkać z ministrem spraw zagranicznych.

Eldon widział, jak skrywany uśmiech uniósł w górę kąć ust Babbingtona. Na spotkaniu obecny będzie także sir William Guest jako przewodniczący JIC i minister spraw wewnętrznych. Ta mała grupa ludzi zatwierdzi utworzenie nowej służby - Zarządu Kontrwywiadu i Wywiadu (SAID) i mianuje Babbingtona na stanowisko pierwszego dyrektora generalnego. Babbingtona dzieliła niecała godzina od osiągnięcia władzy absolutnej w świecie tajemnic.

Eldon nie zazdrościł Babbingtonowi. Był mu tylko wdzięczny, że SIS nie będzie dłużej działała pod egidą służb bezpieczeństwa ani nie pozostanie organizacją niezależną. W przyszłości jej praca będzie odpowiednio nadzorowana. Eldon był głęboko wdzięczny także za to, że to oni odkryli „Łzę” - Aubreya. Wyrządzoną przez niego szkodę można było naprawić. Najwyżej rok lub dwa lata zabierze pozbycie się wszystkich, którzy współpracowali z Aubreyem, a zmiana struktury organizacyjnej umożliwi zmniejszenie negatywnych skutków przecieku.

Tak, to był finał, za który należało być głęboko wdzięcznym.

- Dobrze, sir Andrew - odpowiedział. - A co z Shelleyem i Paulem Massingerem?

- Hm. - Oczywiście było, że Babbington podjął już decyzję i tylko udawał, że się zastanawia. - Jestem zupełnie pewien, że Shelley będzie w przyszłości grzecznym chłopcem. Myślę, że został trochę wprowadzony w błąd - dawna lojalność... no i oczywiście Massinger wywierał na niego presję. - Oparł łokieć na biurku. - Jeśli chodzi o Massingera, to rozmowa z panną Dawson zasiała w nim poważne wątpliwości. Mam prawo przewidywać, że bardzo szybko zrezygnuje z tej sprawy. Zaczyna wierzyć, że Aubrey popełnił jednak tę niegodziwość.

- Jest pan tego pewien, sir Andrew?

- Nie, Eldon, nie jestem pewien. Sądzę po prostu, że nie warto posuwać się dużo dalej. Nie ma potrzeby, by przez pochopne działanie jeszcze bardziej zaognić całą tę sprawę. Massinger nie chce stracić żony.

Przyjmie skwapliwie wszystko, co przekona go lub pomoże przekonać, że Aubrey ponosi winę za zamordowanie jej ojca. Pozwólmy, by sprawy potoczyły się swoim torem.

- Rozumiem, sir Andrew. A Hyde?...

- Ukrywa się gdzieś na kontynencie, jakby uciekał przed wierzycielami. W końcu i tak wyjdzie na światło dzienne. Z nim nie ma problemu. A propos, jakies działania KGB?

- Żadnych.

- Przynajmniej się. A więc zostawili Aubreya na pastwę losu?

- Na to wygląda, sir Andrew.
- W ich sytuacji to mądre posunięcie. Dobrze, Eldon. DPP ujawni te papiery w połowie tygodnia. Oczywiście, jak zobaczy je już premier i prokurator generalny. To nadzwyczajny przypadek. Czy twój Wydział może się tym zająć?

- Tak, sir Andrew. Sir Kenneth może zostać formalnie oskarżony w tym tygodniu.

- Dobrze.

- Wiesz, gdzie on teraz jest?

- Tak, towarzyszu rezydencie*. W tej chwili wraca z Oxfordu. Prowadzi wóz.

* Użyte w tekście określenie „rezydent generalny” brzmi nieprawdopodobnie w ustach pracownika wywiadu prowadzącego rozmowę poza granicami ZSRR. Zgodnie z obowiązującą w KGB nomenklaturą użyto by w tym wypadku nazwy stanowiska dyplomatycznego, pod którego przykryciem działa rezydent, lub stopnia wojskowego. Dla zachowania specyfiki tekstu przyjęto określenie: rezydent, pomijając słowo: generalny. - Przyp. tłum.

- To nie ma znaczenia. Po prostu upewnij się, żeby go nie zgubili w Londynie. Przypuszczasz, że planuje powrót do mieszkania Hyde'a?

- Tak przypuszczamy, towarzyszu rezydencie.

- Dobrze. Pozbądź się go dziś rano. Tak szybko i cicho, jak to możliwe. Nasz przyjaciel wydaje się zbyt pewny tego, że Massinger jest niegroźny. To, co już wie, jest zbyt niebezpieczne. Mógłby, tylko mógłby, porozmawiać na przykład z kimś, kto by mu uwierzył. Z kimś takim chociażby jak pułkownik Eldon. Nie, to zbyt niebezpieczne. Massinger stanowi zbyt wielkie zagrożenie. Oni zgubili w Wiedniu Hyde'a, za to my znaleźliśmy Massingera. Musimy mieć pewność. Wydaj rozkaz zabicia go. Podpisz pełnomocnictwo.

- Dziękuję, towarzyszu rezydencie.

- Nie przypuszczałeś chyba, że zostawię cię z dzieckiem na ręku, co?

- Przepraszam, towarzyszu rezydencie.

- Dobrze. Zajmij się tym. Biedny Paul.

- Przepraszam, nie rozumiem, towarzyszu.

- To nie ma znaczenia. Po prostu upewnij się, że to zostało wykonane.

Hyde jadąc przez Kabul porządnie się wytrząsł. Dojechali do stolicy krótko przed południem, do miasta przedostawali się małymi grupkami. Na spotkanie umówili się na jednym z najstarszych i najbardziej zatłoczonych bazarów miasta, a kwatery główną wyznaczyli sobie na tyłach sklepu wytwórcy dywanów. Okazało się, że właściciel sklepu był krewnym Mohammeda Dżana. Oplakiwał stratę synów tamtego, roniąc

rytualne łyzy i oddając swe zasoby do dyspozycji wodza Pathanów.

Kiedy zjedli pikantny, niestrawny chleb nan oraz danie z ryżu, baraniny i rodzynków, Mohammed i Miandad wyszli z Hyde'em ze sklepu, by dowiedzieć się czegoś o budynkach ambasady sowieckiej. Całe miasto, od biednych przedmieść do czynnych całą dobę bazarów, było pełne ludzi. Wydawało się, że tych kilka starych samochodów i pojazdów wojskowych nie pasuje do osłów i ręcznych wózków. Zakwefione kobiety, mężczyźni w turbanach lub w czapkach naszywanych koralikami, złotem; obok nich hotel Inter-Continental i wysokie biurowce. Ziemia pod stopami zamieniła się w asfalt. Kontrast ten oszołomił Hyde'a. Przed domem towarowym, na chodniku, stał sprzedawca dywanów. Próbkę towaru przewieszono miał przez ramię i rozłożone przed sobą. Hyde uśmiechnął się szeroko, a Miandad odpowiedział mu tym samym.

- Nic się nie zmienia - wymruczał Pakistańczyk.

Zapach idących ulicą osłów mieszał się z odorem spalin samochodowych. Słychać było hałas przejeżdżającej rosyjskiej ciężarówki. Przed hotelem mężczyzna w dobrze skrojonym palcie z futrzanym kołnierzem i kobieta w futrze wysiadali z długiego amerykańskiego sedana. Skrzyp kółek wózka, hałas autobusu. Damskie swetry z golfem w witrynie najbliższego sklepu.

W samochodzie osobowym lub w ciężarówce strzelił tłumik. Hyde'owi natychmiast stanęła przed oczami twarz Azimowa, w chwili gdy oddał do niego jeden strzał z pistoletu. Chłopak wiedział i bał się. Ta świadomość przerażała go, przygniatała. Wiedział. Jego oczy jednak zachowały spokój. Może był w nich wyraz przebaczenia, nawet wdzięczność, ale Hyde nie mógł być tego pewien. Niewykluczone, że sam to wymyślił.

Jeden strzał w czoło i martwe ciało chłopaka osunęło się na skałę. W ten sposób niezbędny, wręcz bezcenny sowiecki mundur wojskowy pozostał nietknięty, czysty i nie zbrukany krwią.

Mimo że Mohammed Dżan kłótliwie domagał się oddania mu chłopaka, Hyde nie mógł tego zrobić. Kiedy na rozkaz Mohammeda jeden z Pathanów ruszył po Azimowa, Hyde po prostu odwrócił się i strzelił, prawie nie celując.

- On był moim więźniem! - krzyknął z wściekłością do wodza Pathanów.

Powieki czarnych oczu Mohammeda Dżana w obwódce pyłku antymonowego jednym mrugnięciem uznały prawo Hyde'a do jeńca. Nieco uspokojony Hyde wyjaśnił cel tej szybkiej, czystej śmierci. Chodziło mu o mundur. Mohammed zaakceptował to. Wysłuchawszy uzyskanych od chłopaka informacji zaakceptował również plan schwytania Pietrunina. Jeniec naprawdę chętnie mówił. Dużo wiedział, dużo pamiętał i powiedział Hyde'owi wszystko, uznając to za towar, za który będzie mógł kupić sobie życie. Przekupywał członków plemienia Pathan, którzy mówili po rosyjsku, mieli jasne

oczy i skórę jaśniejszą od innych. Mówiąc przez cały czas przyciskał list i zdjęcie żony do pozbawionej baretok bluzy munduru. Hyde włożył zdjęcie i list do zniszczonego portfela. Przywłaszczył sobie w ten sposób zarówno tożsamość prywatnego człowieka, jak i osoby publicznej - bądź co bądź oficera.

- Hyde? - Miandad potrząsnął go za ramię.
- Co?

Mohammed Dżan oddalał się teraz od nich dużymi krokami. Szedł w kierunku głównego placu Kabulu, gdzie fasada hotelu Inter-Continental stojącego naprzeciw wysokich biurowców i bloków mieszkalnych górowała nad terenem ambasady sowieckiej.

- Nie wolno nam tu łązić - poinstruował Miandad.

Dwaj żołnierze z kałasznikowami na ramieniu zajęli pozycję po obu stronach głównych drzwi Inter-Continentalu. Dwaj inni wartownicy po zejściu z posterunku pomaszerowali w kierunku wojskowych samochodów, by po chwili wspiąć się pod osłonę plandeki. Ciężarówka odjechała z rykiem, wyrzucając z rury wydechowej czarne kłęby dymu.

- W porządku.

Posuwali się powoli za wysokim Pathanem. Przechodzili przez plac. Stało na nim pełno samochodów, wśród nich wiele rosyjskich, z małymi, sztywnymi flagami na maskach czarnych limuzyn. Inne pojazdy, głównie kremowe i białe, również wyglądały na wozy służbowe. W przejeżdżających autobusach panował tłok. Było popołudnie. Zaczynały się zapalać pierwsze latarnie, a niektóre neony nabierały bardziej zdecydowanego blasku. Reklamy towarów kontrastowały z surowymi portretami członków rządu oraz afgańskimi i radzieckimi flagami.

Flagi na radzieckiej ambasadzie. Za wysokimi, czarnymi prętami ogrodzenia stały parterowe budynki, za nimi dopiero budynek ambasady. Wzdłuż niego biegła brzydka, nowoczesna przybudówka z betonu i szkła. Wyglądała jak przysadzisty statek handlowy zacumowany obok eleganckiego żaglowca starej daty. Nowoczesny wygląd przybudówki wskazywał, że postawiono ją już po radzieckiej inwazji. Po obu stronach biało-czerwonego szlabanu przy głównej bramie stali wartownicy. Dziesięć jardów dalej w głąb placu w wielkim betonowym bunkrze mieściła się wartownia.

Hyde oparł się wygodnie o słup latarni, podczas gdy Mohammed Dżan i Miandad zaczęli się targować ze sprzedawcą dywanów, który ustawił swój kram na małej, łysej wysepce pośród ulicznego ruchu naprzeciwko bram ambasady. Hyde wiedział, że kiedy się tak niby wyklócali, oceniali jednocześnie odległość, pozycje ogniowe, kąty ostrzału, osłonę. Ich wiedza o Kabulu i o zabijaniu Rosjan była precyzyjna i użyteczna. On

sam czuł się w tej chwili zwykłym obserwatorem. Jego praca zaczynała się za tymi czarnymi prętami, gdzie miał wejść ubrany w mundur Azimowa. Pomiędzy Hyde'em a ogrodzeniem przemykały samochody i autobusy. Plac za nim kipiał gwarem.

Wódz Pathanów obiecał wyprowadzić ich z miasta, gdy tylko Hyde zakończy operację porwania Pietrunina, Hyde zaś potwierdził daną Mohammedowi wcześniej obietnicę. „Dam wam Pietrunina - niech was diabli, dam wam Pietrunina! Do czego był wam potrzebny ten biedny smarkacz? Dam wam tego faceta!” - obiecał wtedy tam, na skałach. Miandad nie zadał sobie trudu, by przetłumaczyć jego słowa, i Mohammed, pełen godności, odwrócił się do niego plecami i zszedł po zboczach na drogę. Hyde patrzył za nim zły, zdenerwowany i niepewny.

Hyde spojrzawszy ukradkiem na zegarek, zasłonięty luźnym rękawem bluzy. Czwarta. Ściemniało się. Za budynkami ambasady, czterdzieści mil na północ od miasta, kończyła się równina i góry Hindukuszu jaśniały różowo, pokryte śniegiem. Z tej perspektywy zdawało się, że ich zbocza odbijają matowe światło, które już gasło w ciemności. Zgodnie z informacją chłopaka Pietrunin zwykle przychodził o tej porze.

„Drogi Sasza...”

Nie „Kochany Sasza”, tylko „Drogi Sasza”, jak „Drogi Panie”; nie było w tym wiele zażyłości.

„Drogi Sasza”... Nadia nie dostanie nawet listu i zdjęcia - chyba że Rosjanie znajdą je przy moich zwłokach - nie będzie ich przy obdartym z munduru i wciśniętym między skały ciele Saszy.

Nadia nigdy nie dowie się dokładnie, co się stało. Będzie się z całą pewnością obawiała, że zdarzyło się najgorsze.

Mohammed Dżan niespodziewanie stanął obok. Hyde aż podskoczył, kiedy Pathan przemówił.

- Co z twoją obietnicą? - zapytał naiwnie niewprawną angielszczyzną, która brzmiała jak parodia wymowy Miandada. Miandad też stanął obok.

- Ciągle obowiązuje - odpowiedział Hyde.

- Dasz radę? - zapytał Miandad w chwilę później, tłumacząc pytanie Mohammeda Dżana.

- A czy możecie zrobić coś zamieszania, kiedy już znajdę się za bramą? - odpowiedział Hyde zaczepnie, wpatrując się w twarz wodza. - Możecie uruchomić wyrzutnię rakiet? Zdołacie trafić w ambasadę z tej odległości i zabić wartowników w bunkrze? Potraficie potem zatrzymać Rosjan przez piętnaście minut? Bo jeśli nie zdołacie zrobić tego, co trzeba, wszystkie moje obietnice nie będą warte funta kłaków. Pamiętajcie, że to ja biorę na siebie ryzyko, wchodzę tam i polegam na was dwóch. Przypomnijcie Gunga Dinowi o tym drobnym fackie, dobrze?

Kiedy Miandad zaczął tłumaczyć, Hyde odwrócił się tyłem. Ciało świerbiło go ze zdenerwowania, skóra cierpła z rosnącego w środku napięcia; chociaż temperatura spadła niemal do zera, czuł na ciele krople potu. Wiedział, że wszystko będzie w porządku, że sobie poradzi, że mu się uda. Wiedział w każdym razie, że musi. Podjęcie tego ryzyka było rodzajem zadośćuczynienia, aktem skruchy mającym dowiesć, że nie zawsze zabijał bezbronnych chłopaków, by uratować ich przed torturami i okaleczeniem.

Już go nie przerażała myśl o Pietruninie. W końcu to właśnie Pietrunin był odpowiedzialny za śmierć tego chłopca na chłodnym zboczcu wzgórza w świetle poranka. Tak naprawdę to Pietrunin winien był temu, co przydarzyło się Aubrey owi. Tak naprawdę to Pietrunin odpowiedzialny był za niebezpieczną sytuację, w jakiej Hyde się znalazł, za jego obecność w tym obcym kraju. To Pietrunin odpowiedzialny był za to, że Hyde zginąłby z ręki własnych kolegów, gdyby go znaleźli.

I dlatego ścigał Pietrunina bezlitośnie.

Godzina policyjna zaczynała się o dziesiątej. Ciemność zapadała przed piątą.- Czarny samochód eskortowali motocykliści z kałasznikowami przewieszonymi przez plecy i dwie czarne limuzyny, z których jedna jechała za nim, a druga przed nim. Wszystkie trzy samochody miały przyciemnione szyby. Pojazdy były ciężkie i niezgrabne. Ich karoserie i podwozia chronił pancerz, który miał zabezpieczać przed rzuconym pod koła granatem lub miną. W oczach Hyde'a wyglądało to jak przybycie zniechęconego lokalnego despoty czy wielkorządcy. To był Pietrunin. Samochód bez chorągiewki, powiedział chłopak. Bez żadnych oznakowań. No i motocykliści.

Szlaban uniósł się w górę i otworzyła się elektronicznie sterowana brama. Prawie nie zwalniając, kawalkada wjechała na teren ambasady. Hyde obserwował samochody do chwili, gdy się zatrzymały przed brzydką przybudówką, potem jego wzrok przeniósł się na las anten na dachu nowego budynku, aż w końcu dotarł do okien na trzecim piętrze. Liczył.

Biura Pietrunina. Chłopak nie znał liczby wartowników, systemu alarmowego, ukrytych punktów kontrolnych. Kiedy Hyde znajdzie się wewnątrz budynku, będzie zupełnie sam, zdany tylko na siebie, odizolowany i bez żadnej pomocy.

- Obejrzałeś sobie wszystko? - zapytał Miandad cicho. W ciemniejącym powietrzu krążyły płatki śniegu. - Skończyliśmy rozpoznanie.

Hyde pokiwał głową.

- Tak, to mi wystarczy.

Mówią, że on w ogóle nie sypia, powiedział chłopak. Wyrzuty sumienia. Uśmiechnął się mówiąc te słowa. Stale bierze tabletki pobudzające. Nie może spać, więc pracuje po nocach.

- Tak, wystarczy mi - powtórzył Hyde. - Idziemy.

Massinger zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Na zakręcie Wilton Crescent już prawie nie było śniegu. Zaparkował tuż przed własnym domem. Kiedy spojrzął w górę, niemal oczekiwał, że w jednym z okien zobaczy Margaret - może w oknie jadalni, może salonu.

Nie odrywał rąk od kierownicy wynajętego forda granady w obawie, że gdy tylko to zrobi, zaczną drżeć, a on nie będzie w stanie tego opanować. Minęło już południe. Przez jakąś godzinę krążył po centrum Londynu, po prostu jeździł bez żadnego celu po zatłoczonych, jak w każdy poniedziałek, ulicach. Wciąż miał głębokie poczucie winy. Winił Aubreya i winił siebie. Ostatnie dni, począwszy od ranka, kiedy odwiedził Aubreya, przeżył jak w delirium. Były napięte, gorączkowe i nierzeczywiste. Stracony tydzień, godziny poza czasem, dni skradzione z życia.

Aubrey był złodziejem jego czasu. Aubrey był mordercą.

A jednak nie jestem o tym przekonany... Nie jestem o tym przekonany, powtórzył w duchu, ani trochę. Z drugiej strony nie mógł wyzbyć się podejrzeń, że to prawda, że istnieje takie prawdopodobieństwo...

Massinger potrząsnął głową jak stare, umęczone zwierzę, które zwietrzyło woń krwi pierwszej ofiary z jego stada. Miał przygnębiającą świadomość, że rozpoczął się w jego mózgu proces myślowy, który miał doprowadzić do przekonania o winie Aubreya. I na chwilę poczuł ulgę, że to już koniec, że może wrócić do swego życia, które odstawił jak paczkę - ale to wszystko było nieistotne wobec ogarniającego go przerażenia na myśl o tym, że to Aubrey zamordował ojca Margaret. Zrobił to, zrobił.

Nawet myśl o tym, że on i Margaret żyliby tak jak przedtem - przed całą tą historią, przed jego wizytą u Aubreya - wydawała się bez znaczenia w porównaniu ze zdradą, jakiej prawdopodobnie dopuścił się Aubrey. Aubrey - najgorszy z ludzi? Aubrey - sprawca najstraszliwszej zbrodni?

Nie mógł ruszyć się z samochodu. Ociężałe, jakby jego kończyny ulegały sile przyciągania jakiejś ogromnej, złośliwej planety, wytarł zamgloną przednią szybę.

Hyde, pomyślał, ale ta myśl straciła kształt, oddaliła się.

Hyde?

Prawdopodobnie nie żyje.

Zdrajca?...

Nie ustalony.

On sam?...

Wszystko układało się w słowa, wyraźne, lecz puste, martwe, jakby wyświetlane na ekranie komputera.

On sam?...

Bezpieczny.

Tak, bezpieczny. Mógł przejść przez ulicę, wejść do mieszkania, przywitać się z żoną, zjeść obiad, wypić przedtem kieliszek wytrawnego sherry, potem zadzwonić do Babbingtona z czystym, spokojnym sumieniem.

Parę minut, wiele słów. Honorowy remis. Wszyscy zadowoleni. Nie miałby powodu do wstydu - Aubrey prawdopodobnie to zrobił, kierując się sobie tylko znanymi motywami, szaleństwem, a może zawiścią.

Margaret przyjmie go z powrotem. To był kolejny pewnik w myślach Massingera.

No to wysiadaj z samochodu...

Był słaby. Frontony budynków na Wilton Crescent wyglądały tak zachęcająco. Mój Boże - Aubreyowi prawie się udało wszystko zniszczyć, wszystko, co dla niego kiedykolwiek coś znaczyło, wszystko, co nadawało życiu sens! Szary gołąb usiadł na parapiecie okna w jego bawialni. W odległości czterech stóp, w mieszkaniu, wisały jeden nad drugim dwa oryginały Turnera. Kiedyś siedział pod nimi Babbington, na samym początku tego wszystkiego.

Znów będą do niego należały. Odzyskać Margaret i zaznać spokoju.

Wysiadaj z samochodu.

Gołąb ciężko poderwał się z parapetu. Nabrał wysokości. Wydawał się teraz smuklejszy. Uniósł się w górę i poszybował w szare niebo.

Paul otworzył drzwi i wysiadł z granady z nowym zapalą. Tak, wszystko będzie dobrze, pomyślał.

Zamknął samochód i przechodząc przez ulicę popatrzył w górę, na okno bawialni. W jednym z okien sąsiedniego mieszkania ukazała się twarz starej, bogatej panny Waggoner, a potem w oknie, właśnie w tym, w którym się spodziewał, ujrzał twarz Margaret. Pomachał żonie ręką. Jej dłoń zatrzepotała przy uchu, a potem dotknęła ust, tak jakby Margaret pożałowała tego mimowolnego odruchu, pamiętając o wydarzeniach ubiegłego tygodnia. Pomachał jeszcze raz i przyspieszył kroku, stukając laską. Nie patrzył pod nogi, jak zwykł to robić, bo wpatrywał się w okno i w twarz żony. Powinien się tu pojawić z bukietem kwiatów jako młodszy, o wiele młodszy kochanek; pragnął zostawić za sobą niedobre chwile i pełnego winy starego człowieka.

Jej oczy oderwały się od niego, potem stały się okrągłe. Usta - widział całkiem dokładnie - otwały się na kształt czarnej, okrągłej litery „O” - najwyraźniej próbowały go ostrzec.

Hałas samochodu, gwałtowne przyspieszenie.

Hałas nadjeżdżającego samochodu, ostrzegła go młodsza, wyszkolona część świadomości.

Odwrócił głowę.

Wyrazna sylwetka granatowej cortiny - i kłujący, przeciągły ból w biodrze. Dotyk gładkiego drewna laski, którą trzymał mocno w ręce. Świadomość, że znajduje się bez żadnej osłony na środku Wilton Crescent. Dwadzieścia, piętnaście, dziesięć jardów.

Niewyraźny zarys kota pędzącego przez jezdnię, znikającego pod kołami cortiny. Samochód nawet nie zбочył. Kot tylko pisnął. Paul bezradnie spojrział w górę na czarny, okrągły otwór ust Margaret; widział, że zaczęła krzyczeć, jakby to mogło mu jakoś pomóc, zmienić sytuację, w której się znalazł. Potknął się, zachwiał, zatoczył, upadł...

Bok cortiny odbił się od solidnie wykonanej karoserii rollsa. Nadjeżdżające małe, czerwone renault skręciło w lewo, w stronę krawężnika, rozplaszczając i tak płaski przód o bagażnik niskiego sportowego wozu. Massinger leżał w rynsztoku, a krew z niewielkiego zranienia spływała mu do lewego oka. Kiedy leżąc prawie pod przednimi kołami rollsa, przyglądał się twarzy zawodowca z cortiny, jego prawe oko zaszło mgłą od łez albo potu. Powyginana i rozdarta karoseria była zbyt blisko jego twarzy, żeby mógł na niej skoncentrować wzrok.

Za dużo ludzi. Już za dużo ludzi. Biodro sprawiało piekielny ból, jakby mu wrywano nogę. Rozbił sobie rękę przy zderzeniu z rollsem. Statuetka srebrnej damy umieszczona na karoserii oderwała mu rękaw płaszcza. Miał zranione czoło. Ale żył i...

Twarz zawodowca przyglądała mu się uważnie przez chwilę. Ta chwila przeciągała się i Massinger zaczął sobie mgliście zdawać sprawę z tego, że nie był jeszcze bezpieczny, że to się nie skończyło. Szyba po stronie kierowcy zaczęła się otwierać, opuszczała się powoli, zabierając ze sobą odbicie białej fasady jego domu i pozostawiając jedynie twarz bez wyrazu.

Pistolet?

A potem ta scena się urwała. Ktoś klęczał przy przednim kole rollsa, pomiędzy jego ciałem a mężczyzną w cortinie. Męskie kolano, głos sąsiada szepczący jakieś zatroskane, niespokojne słowa. Chciał go ostrzec, a potem poczuł, jak cała energia i napięcie odpływają od niego, kiedy zawył wściekle silnik cortiny i samochód z piskiem opon odjechał od krawężnika.

Pokiwał głową w odpowiedzi na słowa mężczyzny. Potem znów odzyskał wzrok. Patrzył na oddalające się stopy sąsiada. Zobaczył, jak mężczyzna przyklęka zasmucony nad przejechanym kotem. To był kot sąsiada, teraz zdał sobie z tego sprawę.

Siedząca za kierownicą renaulta kobieta skarżyła się wysokim, ostrym głosem zebranym wokół gapiom. Massinger jęknął z ulgą.

Zobaczył nad sobą twarz Margaret, która dotykała zadraśnięcia na jego czole. Gorączkowo chwycił dłoń żony i przycisnął ją do policzka. Znowu jęknął, uświadamiając sobie, co się stało.

- O co chodzi, kochanie? Co takiego?

Pokręcił głową.

- Pomóż mi wstać, moja droga.

Podtrzymała go. Oparł się na lasce, którą mu podała, wbijając ją - niczym skoczek opierający tyczkę o występ na rozbiegu - w załamanie rynsztoka. Przez chwilę kręciło mu się w głowie. Dobiegły go jakieś niewyraźne słowa, które Margaret uciszyła gestem ręki. Pomogła mu przejść przez chodnik, a potem pokonać trzy schodki przy wejściu do budynku. Na parterze mieszkał producent filmowy, rzadko bywający w domu, a pierwsze i drugie piętro należało do Margaret - do nich, poprawił się.

Przytulił się do żony, gdy wchodzili na pierwsze piętro. Powracający kochankowie...

Westchnął i zaklął pod nosem.

- Jesteś ranny? - zapytała Margaret. - Czy mam wezwać doktora Evansa?

Pokręcił głową.

- Nie. Właśnie zdałem sobie sprawę z tego, że nic się nie zmieniło.

- O Boże! - westchnęła ciężko.

- To nie był wypadek.

Gwałtownie otworzyła drzwi do mieszkania.

- Wiem o tym - powiedziała z westchnieniem. - Zdejmij płaszcz. Przynieś wodę i jodynę. Masz jeszcze jakieś zranienia? - Była energiczną, zręczną pielęgniarką. By stworzyć chociaż na chwilę złudzenie spokoju, grała tę rolę bez zarzutu. - Napij się whisky. Zaraz wracam. - Mocno ścisnęła jego rękę, potem ją puściła i zniknęła w sypialni. Massinger spojrzął na schody prowadzące na drugie piętro i do jego gabinetu, tak jakby muzyka była mu potrzebna bardziej niż alkohol, ale jednak wszedł do bawialni.

Karafka brzęknęła, kiedy stuknął nią o szklanę, do której nalewał dużą whisky. Przelknął łączywie alkohol, zakaszłał i oparł obolałe ciało o kredens. Parę razy odechnął powoli i głęboko.

Nie darują mu. Shelley się myli, on sam się mylił, wierząc w tę iluzję ucieczki. Wiedział za dużo, mimo że wiedział mało. Mógłby zacząć mówić, a w końcu ktoś mógłby zacząć słuchać.

Gdyby był martwy, nie byłby już niebezpieczny.

Margaret była przy nim. Jodyna była piekąca jak jego myśli, wywoływała łzy. Czuł ciepło w piersiach i w żołądku. W parę minut później badali się nawzajem wzrokiem,

rozdzieleni przestrzenią dywanu, przycupnięci na brzeżkach krzeseł jak ludzie w obcym pokoju, wieśniacy, którzy nie czują się swobodnie w odziedziczonym pałacu. Margaret zacierała złożone na kolanach dłonie; widać było, że toczy się w niej walka wewnętrzna. Obraz kobiety dobrze urodzonej, bogatej, zadbanej, pewnej siebie i godnej pożądania zakłócały jedynie nerwowe ruchy rąk i niesforny pukiel blond włosów.

Jakże łatwo ją teraz skrzywdzić, podobnie jak jego.

- Już prawie uwierzyłem... - zaczął.
- Co się stało? - przerwała mu gwałtownie.

Uśmiechnęli się do siebie. Jej uśmiech był smutny, a jego pełen obaw. Gestem ręki poprosiła, żeby mówił dalej, ale on jedynie odpowiedział na jej pytanie.

- Próbowali mnie zabić.

Zapach jodyny przypominający o ranach...

- Kto, na litość boską, kochanie? Kto?

Nic ich już nie dzieliło. Wrócił do domu, chociaż dotarł tu inną drogą, niż zamierzał.

- Nie wiem. Ktoś, kto wierzy w to, że wiem za dużo.
- A wiesz?

Pokręcił głową.

- Nie sądzę. Spotkałem w Wiedniu Hyde'a, ale on wiedział tylko tyle, że wiedeńska placówka pracuje dla Rosjan. Cała lub jej część.

Oczy Margaret przez moment zdawały się protestować przeciw istnieniu tego utajonego świata, lecz po chwili skinęła głową. Chciała, aby wiedział, że mu uwiaryła.

- Mów dalej.
- Próbowali go zabić.
- Gdzie on teraz jest?
- W Afganistanie. Nie wiem, czy jeszcze żyje.
- Ale kto ciebie?...

- Jest ktoś - zaczął - na samej górze naszych służb wywiadowczych, i tym kimś nie jest Kenneth Aubrey. - Uniósł w górę rękę, chcąc powstrzymać jej protesty, ale Margaret nie zareagowała na dźwięk tego imienia. Jej białe dłonie przerwały swój kapryśny spór. - Ktoś, kto jest rosyjskim agentem, ktoś, kto się boi, że ja i Hyde będziemy po stronie Aubreya... - Westchnął. - Powiem ci wszystko, co wiem.

Słuchała go nie przerywając. Aubrey, Wiedeń, Helsinki, Oxfordshire. Raz czy dwa jej twarz nerwowo drgnęła, kiedy niczym złamana kość przebijająca ciało sprawa ojca wyłaniała się z gmatwaniny faktów. Poza tym siedziała z oczami utkwionymi w Paulu. Widać było, że dominowało w niej uczucie strachu o męża. Czasami jej spoczywające na kolanach ręce znów wracały do nerwowego sporu na tle jasnej niebieskoszarej spódnicy.

Po chwili ciszy oświadczył:

- To jasne, że mnie zabiją, chyba że przedtem dowiem się, kim oni są. Kim on jest. - Potem wysączył resztę whisky. Jego gardło było suche od długiego mówienia i nawrotu strachu. Wyjaśnił wszystko po prostu, jasno i bez emocji. Teraz, kiedy tak starannie i przejrzyście uporządkował wszystkie elementy zagadki, spostrzegł, że te logicznie ułożone fragmenty wzbudzają w nim większy strach niż bezładna kotłowniana przeczuć i koszmarów.

To dziwne, pomyślał. Kiedy powiedział jej, że zaczął wierzyć, iż to Aubrey jest mordercą Castleforda, nie wywarło to na niej większego wrażenia. Zamilkł na chwilę, dając jej czas na zastrzeżenia, ale ona tylko pokazała mu gestem ręki, żeby mówił dalej. Teraz, kiedy czekał na jej słowa, patrzyła na niego w milczeniu długo i uważnie. Jej policzki pobjadły pod warstwą makijażu, a nad nosem ukazała się mała, ostra zmarszczka. Potem Margaret wstała, podeszła do kredensu i naląła sobie drinka. Wróciła do swojego krzesła i stanęła przy nim tak samo jak tydzień temu, gdy twarz ojca wypełniała ekran telewizora, a Alistair Burnet zaszokował ich wiadomością o aresztowaniu Aubreya i stawianych mu zarzutach.

Ścisnęła kurczowo jego rękę. Nie spojrział w górę. Czuł przepływające przez dłoń drżenie. Łagodnie pokręcił głową. Usłyszał, jak jej zęby zadzwoniły o podnoszoną do ust szklankę.

- Więc co zrobimy? - zapytała.

Westchnął. Jeszcze raz delikatnie wstrząsnęła jego dłonią. Naprawdę był w domu. Ale to nie był już ten sam dom - w czasie jego nieobecności zmienił się w fortecę. Massinger nie czuł się już samotny. Lecz wracając przyprowadził za sobą wrogów, którzy zagrażali teraz im obojgu.

Dzięki jednej z kart kredytowych Aubreya oraz telefonowi w pobliskiej restauracji pani Grey kupiła zmianę ubrań, bieliznę, przybory toaletowe i walizkę, która miała to wszystko pomieścić. Jej znajomy zabrał ubrania i kosmetyki w walizce, zaniósł ją na Victoria Station i umieścił w skrytce. Kluczyk od skrytki zwrócił pani Grey. Aubrey musiał teraz zabrać swój nowy bagaż osobisty z nie znaną mu zawartością. Musiał kupić bilet do Dover, którego mu nie załatwiono, ale to zajęło mu zaledwie chwilę oczekiwania przy kasie biletowej. Musiał tylko wysliznąć się z domu, znaleźć taksówkę, wsiąść do niej, kazać się zawieźć na stację, odebrać walizkę...

Uporczywa myśl o przygotowaniach krążyła wciąż niespokojnie w jego głowie, podczas gdy on sam był na krawędzi snu. Nie mógł rozbudzić się na tyle, aby uwolnić się od tych myśli lub znaleźć odpowiedzi na nurtujące go pytanie: jak ma to wszystko zrobić.

Powtarzanie w myślach tego, co musiał zrobić, było tylko wymówką, próbą oszukania samego siebie. Największa bowiem trudność polegała na opuszczeniu mieszkania tak dyskretnie, aby go nie zauważono. Był to problem niemal nie do pokonania. A jeszcze głębiej w swoistej stratygrafii jego strachu leżało poczucie nieodwracalnej, sromotnej klęski. Rozpacz na myśl, że ktoś mógłby znaleźć jego dziennik, zanim on będzie miał szansę go zniszczyć. Czterdzieści pięć lat służby, prawie siedemdziesiąt lat życia zostałyby obrócone w kompletną i nieodwracalną ruinę. „Lepiej by było dla tego człowieka, gdyby się nie urodził” - pamięć cytowała mu to zdanie przez cały dzień. To stwierdzenie nie było wcale melodramatyczne, przesadzone, wyolbrzymione. Zdał sobie sprawę, że właśnie w ten sposób odebrały swoją zawodową klęskę. Gdyby mógł teraz przewidzieć, jak potoczy się rozwój wypadków, mógłby także zdecydować, czy coś jeszcze zaczynać, czy dalej istnieć.

Wiedział, że nie może spocząć, dopóki pokłada nadzieję w przekazanej Clarze informacji. Ufał jej, ale nie dowierzał sobie. Uznał, że nigdy nie odzyska spokoju, jeśli własnoręcznie nie wrzuci dziennika do ognia lub nie podrze go na drobne kawałeczki i nie spuści wody, niszcząc go nieodwracalnie. Ponieważ jego przekłete skrupulatne sumienie i uczciwość zmusiły go do dania na papierze świadectwa prawdzie, spisał w pamiętniku prawdziwą relację o śmierci Roberta Castleforda. Można było odnieść wrażenie, że oczekiwał kiedyś w dalekiej przyszłości pytań na temat morderstwa Castleforda, no i teraz mu je zadawano.

Ale obecnie prawda nie była mu już potrzebna. Nie mógł z niej zrobić żadnego użytku. Zostałaby uznana za kłamstwo, a motywy jego postępowania zlekceważone lub pominięte. W końcu jedynie brutalna wymowa faktów miałaby znaczenie. Eldon z triumfem w głosie powiedziała: „A więc pan to zrobił? Wiedzieliśmy o tym. A jeżeli chodzi o całą resztę, to czysty nonsens. Napisane własną ręką przyznanie się do morderstwa...”

Musi zobaczyć palące się lub spływające z wodą strzępy stronic! Nie było innego wyjścia, innego rozwiązania. Musi odbyć tę podróż, uciec z Anglii.

Sama myśl o tym była przerażająca i wywoływała palący ból w piersi. Musi uciekać z własnego kraju, kraju, któremu lojalnie służył przez większą część swego dojrzałego życia, w czasie pokoju i wojny. Wojny toczonyj na frontach i cichej walki wywiadów.

Spojrzał na zegarek. Prawie szósta. Na ulicy był duży ruch. Światła przejeżdżających samochodów błyskały na suficie ciemnego pokoju. Gdyby uniósł się w fotelu, przez okno mógłby zobaczyć skryty w ciemnościach Regent's Park. W oddali, za oknem, nieco bardziej na północ, pod osłoną zimowego nieba z pomarańczową poświatą

migotały światła Primrose Hill. Pokazały się już pierwsze gwiazdy, twarde i kruche. W pokoju było ciepło, ale on siedział w fotelu ubrany w płaszcz, a na kolanach trzymał kapelusz, niczym człowiek, który już nie może sobie pozwolić na opłacenie elektryczności.

Był gotów do odejścia. Musiał tylko zebrać dość sił, aby zacząć, postawić pierwszy krok. Przygotowywał się na tę chwilę, chyba od momentu, w którym stał się więźniem tego mieszkania.

Niejako z konieczności, bez określonego celu, wykorzystując zawodowe umiejętności, obserwował zespoły obserwacji; nawyki tych ludzi, codzienne czynności, słabostki... a przede wszystkim coraz większą nonszalancję w działaniu.

Namawiał panią Grey, aby wbrew swojej woli przełamala niechęć i zaczęła częstować poszczególne zespoły filiżanką gorącej kawy, aby podgrzewała im kupowane tosty, ryby i frytki. Żeby podawała im kanapki przy różnych okazjach. Żeby im matkowała.

Pełna oporu i złości uczyła się swojej roli, aż się do niej przyzwyczaiła. On w tym samym czasie obserwował poszczególne zespoły, szczególnie te, które obejmowały służbę po zapadnięciu zmroku. Najbardziej interesował go ten, który przychodził o szóstej. Przyglądał się tym facetom co wieczór.

Nonszalancy. Zadowoleni z siebie, leniwi. Z każdym dniem coraz bardziej niedbale traktowali swoje obowiązki. Mieli za zadanie pilnować tylko jednego starego człowieka na górze... prosta... spokojna robota...

Tego wieczora było curry z hinduskiej restauracji. Pani Grey ochłodziła w lodówce piwo, które mieli wypić do posiłku. Właśnie im je zaniósła. Wzięła wystarczająco dużo puszek, żeby oddzielić oba zespoły. Kończący i rozpoczynający służbę. Po matczyne-mu pogada z nimi parę minut, aby jeszcze bardziej uspić ich czujność. A potem, gdy jej zdaniem nadejdzie bezpieczny i odpowiedni moment, wróci do frontowych drzwi i naciśnie dzwonek. To będzie sygnał do rozpoczęcia podróży. Krótka chwila, kiedy będzie mógł niezauważenie przeslizgnąć się na ciemniejszą stronę położonej obok parku ulicy. Potem może uda mu się dojść do rogu, do Marylebone Road, wykorzystać godzinę szczytu, złapać taksówkę...

Nie będą się tego spodziewać.

W cichym mieszkaniu ostro zabrzmiał dzwonek. Aubrey szarpnął się jak porażony prądem. Rękoma chwycił się fotela. Kapelusz upadł na podłogę. Wstał niczym automat, unosząc ciało w górę. Schylił się, żeby podnieść kapelusz, a potem sztywno ruszył w kierunku drzwi. Nawet nie rzucił okiem na meble, nowe szaty króla, które nie były niczym więcej niż iluzją, i opuścił mieszkanie, patrząc przed siebie pustym wzrokiem. Zszedł na parter. Frontowe drzwi były lekko uchylone. Widział panią Grey na

podeście, ukrytą w głębokim cieniu przed samochodem zespołu obserwacji. Odwróciła się, kiedy dotykał klamki. Po jej przestraszonej minie i gwałtownym ściągnięciu brwi zorientował się, że jego twarz wyraża gniew i poczucie zagubienia. Poklepał ją niezdarnie po ręce, jak stary, dziedzinniejący człowiek. Nie zmniejszyło to jej obaw. Minał ją. Nie miała pojęcia, dokąd się udawał. Wiedziała tylko, że ucieka za granicę. Nie wiedząc nic więcej, nie mogła nieopatrnie czegoś powiedzieć.

Oddalał się od jej pomocnej dłoni. Swoją trzymał przy boku, tak jakby miała wziąć na siebie część jego ciężaru. Dłoń, potem ręka, a wreszcie całe ciało i nogi stały się ciężkie i powolne. Przechodząc przez ulicę stanowczym, choć nierównym krokiem, Aubrey nie rozglądał się na boki. Doszedł do przeciwległego chodnika. Kiedy się odwrócił, fasady domów odbijały białopomarańczowe światło ulicznych latarni. Zaczął się oddalać od zaparkowanych samochodów obu zespołów obserwacyjnych. Pani Grey nie zdążyła mu nawet powiedzieć, że wszyscy czterej mężczyźni jedzą, siedząc w jednym samochodzie. Szedł dalej, melodramatyczny, dziedzinniejący aktor, parodiujący chód ślepego.

Odezwała się do niego kobieta z psem. Uniósł kapelusz, nie widząc jej i nie rozpoznając. Z tyłu słyszał hałas nadjeżdżającego samochodu, ale nie budziło to w nim strachu. Doszedł do końca ulicy i skręcił w prawo, w kierunku Marylebone Road.

Światła, ruch uliczny. Czuł, że jego nogi są słabe i niemal sparaliżowane. Czuł bardzo ciężkie ciało. Stawiało ono opór psychicznemu pragnieniu nabrania rozpędu, chęci ucieczki. Zmuszał wprost do ruchu kończyny. Coraz wyraźniej słyszał hałas ulicy. Doszedł do Marylebone Road.

Taksówka, taksówka, taksówka...

Tracił już resztki opanowania, rysy twarzy zmieniły mu się, jakby pokrywająca je maska zaczęła pękać. Kiedy jego zdecydowanie i siła woli skruszyły maskę, zaczęła się rozpadać niczym przepalona skorupa.

Zatrzymała się taksówka.

- Dokąd, szefie?

Pytanie było jak haust ożywczego powietrza. Wymacał klamkę i mruknął „Victoria” zdławionym głosem. Niemał wpadł do wnętrza taksówki i usiadł, na moment zanim nogi odmówiły mu posłuszeństwa, a fala gorąca oblała całe ciało. Westchnął, rozpiął płaszcz, odprężył się.

- Mamy dzisiaj duży ruch - usłyszał głos taksówkarza, ale nie miał ochoty na rozmowę. Chciał tylko odpocząć, pozwolić nad sobą zapanować słabości i emocjom. Dopiero później miał zamiar się temu przeciwstawić.

Zrobiłem to, powiedział w myślach. Po omacku, jak dziecko lub ślepiec, wyszedł ze swojej niewoli. Udało mu się.

Alison Shelley była zafascynowana siedzącą naprzeciw niej w bawialni kobietą, która wciąż ubrana w tweedowy płaszcz trzymała w niespokojnych rękach kapelusz. Kobieta może z dziesięć lat starsza od niej samej, niespokojna, błada. Kobieta wyczerpana. A jednak był w niej jakiś spokój, poczucie pewności, której Alison jej zazdrościła. Margaret Massinger, osoba dobrze urodzona, świetnie wychowana i bogata, nigdy nie przejawiała zainteresowania dla ruchu feministycznego, równouprawnienia i praw kobiet. Natomiast dla Alison Shelley wszystkie te problemy były czymś naturalnym.

Bacnie przyglądała się też swojemu mężowi rozmawiającemu z Margaret Massinger. Peter bał się i ciągle rzucał szybkie, ukradkowe i pełne winy spojrzenia w jej kierunku, ale jakaś ukryta część jego osobowości była zaintrygowana, zadziwiona, pobudzona do działania. Alison wiedziała, że Peter jest o krok od podjęcia decyzji o przyłączeniu się do Massingerów. Zdawała sobie sprawę, że i ona sama, chociaż z oporami, też zrobi to samo. Włączy się w to, ponieważ wie, że bezsenność i ciągle zdenerwowanie męża wpływa z pogardy, jaką odczuwa on wobec samego siebie, oraz z faktu, że nie potrafi zmusić się do nielojalności.

- Nie ma innego wyjścia, pani Massinger - mówił Peter, rozkładając bezradnie ręce. - Chciałbym, żeby było inaczej. Przed pani mężem zatrzaśnięto wszystkie drzwi. Obawiam się, że tak to właśnie wygląda. - Przypominał rozżalonego wyżła.

- To niewiele pomoże, pani Massinger - stwierdziła spokojnie Alison, przenosząc wzrok z kieliszka sherry na twarz Margaret. Wyglądało na to, że Margaret Massinger jest wdzięczna za jej interwencję. Zdawała się rozumieć jej motywy. Pojmowała, że Alison udziela zgody mężowi na zajęcie się jej sprawą.

Twarz Petera Shelleya początkowo wyrażała wątpliwości, lecz rozpoznała się.

Zrozumiał, dlaczego żona wtrącała się do rozmowy. Wzruszył ramionami.

- Wiem, że nie - powiedział. - Ale to nie zmienia faktu, że to prawda, kochanie.

- Jestem pewna, że jest jakiś sposób - zaczęła Margaret, spuszcżając oczy na wygnieciony kapelusz. Głos jej drżał. Była wytrącona z równowagi i widocznie nie czuła się na siłach podważać fachową ocenę Shelleya opartą na doświadczeniu człowieka wtajemniczonego. Po chwili dodała cicho: - Paul nie może pozostać w zamknięciu na zawsze, panie Shelley.

- Nie wiem, co powiedzieć - rzekł w zakłopotaniu Shelley.

- Dlaczego nie możemy porozmawiać z Andrew Babingtonem? - wymamrotała.

Shelley zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział kręcąc głową:

- Nie wiemy - powiedział cicho - nie wiemy, kto to jest. I jeżeli temu komuś obje się coś o uszy, wtedy... - mówił dalej pospiesznie: - Cóż, nie mamy żadnego dowodu. Nie uwierzono by nam.

- A co z Hyde'em?
- Bóg jeden wie, gdzie teraz jest. Pojawił się w Pakistanie, ale od tej pory nie było z nim żadnego kontaktu.

- Boże, czy nie istnieje nic, co mógłbyś zrobić? - zapytała Alison głośno, napiętym głosem. Wstała i zaczęła spacerować przed kominkiem, tam i z powrotem. Jej kieliszek sherry odbijał refleksy płonącego ognia. - Na Boga, Peter, musi być przecież coś takiego! Życie pana Massingera jest w niebezpieczeństwie. Ukrywa się w swoim mieszkaniu jak kryminalista. Potrzebuje twojej pomocy!

- Cóż ja mogę zrobić? - spytał pełnym skruchy głosem Shelley. Miał do niej żal za te słowa. Wiercił się na krześle niczym niesforny mały chłopak.

- Nie mogę ci powiedzieć, co masz robić, Peter... - ciągnęła, patrolując teraz granice salonu jak niedoświadczony, nerwowy wartownik. „Sunday Times”, „Insight”... - Nie wiem, co zaproponować... - Gazety, nie sprzątnięte od wczoraj, wystawały spod różowo obitego krzesła. „Sunday Times”, „Insight”. Wczorajsze wiadomości. Celowo kilkakrotnie szczegółowo przeczytała tekst, ale Peter po paru rozmowach telefonicznych nie był zbyt chętny do dyskusji na ten temat. Dała więc spokój. Ale teraz dziwna przemoc tajnego świata Petera przeniesiona została do jej salonu przez...

Uświadomiła sobie, że Margaret Massinger patrzy na nią wyczekująco. Sama ściągnęła na siebie uwagę Margaret swoim protestem. Teraz miała to sobie za złe, bo w ten sposób naraziła Petera.

„Kto jeszcze został zdradzony?” - wydrukowano małą wytłuszczoną czcionką. To też przeczytała. Przeszła obok kominka. Nagłe ciepło, które poczuła na łydkach, uświadomiło jej, jak bardzo jest zziębnięta i bezradna. Peter przez rozczapierzone palce ponuro wpatrywał się w dywan przed kominkiem. Kredens, typowe lampy, drzwi, półki - klasyka angielska Petera i książki o żeglarsztwie. Jej ulubione biografie - potem znowu ta gazeta. Ponownie zaczęła patrolować granice pokoju. „Kto jeszcze został zdradzony?” - przeczytała.

- Peter?... - rzekła pytająco.

- Tak? - odpowiedział z gotowością. Zawsze uznawał jej intuicję za rzecz pewną i naukowo udowodnioną.

W swojej pracy potrzebował intuicji. Ale naprawdę podziwiał intuicję Aubreya.

- Rok 1974 - wyskandowała wolno. Każda sylaba tych słów zwiastowała dobrą nowinę. - Ta historia w Bonn.

- Tak - powiedział Shelley. - No i co?

- Czy to były tylko gazetowe plotki? - Jej ręka sięgnęła po gazetę. Rok 1974 - Bonn - Gunther Guillaume, starszy doradca Willy Brandta. Wschodniemiecki

szpieg. Pogłoski, że brytyjski oficer próbował go ostrzec, nawet zorganizować mu ucieczkę.

- To nie były plotki. Zrobiło się z tego powodu mnóstwo zamieszania. Dzisiaj w biurze wszyscy o tym mówili. Rzecz jasna, Aubrey jest teraz głównym podejrzanym, ponieważ był w tym czasie w Bonn, doradzając Niemcom, jak się zabezpieczyć przed terrorystami podczas piłkarskich mistrzostw świata. Po tragedii podczas monachijskiej Olimpiady... Oczywiście to bzdury. Ale błoto na pewno do niego przyłgnie - zakończył wzdychając.

Alison stała przed nim.

- Czy była w tym choć odrobina prawdy?

- Nigdy się do tego nie przyznaliśmy - MI5 wykręciło nam numer, tak jak my to zrobiliśmy naszym własnym ludziom. Nic. Trochę dymu, ale ani śladu ognia. - Uśmiechnął się niepewnie, potem pokręcił głową. - Szkoda, że nie możemy zapytać Guillaume'a, jest teraz z powrotem wśród swoich.

- Czy nie ma nikogo innego? - rzuciła rozczarowana Alison, trochę zła, że tak łatwo i bez oporu dała się wciągnąć w świat tajemnic. Czowała, że jest tak blisko męża, jak wtedy gdy się kochają. Policzki jej się zaróżowiły z wewnętrznego napięcia. Spostrzegła, że stoi obok krzesła, na którym siedzi Margaret Massinger.

- Żeby go spytać? - zastanowił się Shelley. - Wątpię.

- A jeżeli? Jeżeli, Peter?... - Alison przyłożyła sobie pusty kieliszek do czoła, a drugą rękę zanurzyła w gęstych, czarnych włosach. - Wiesz co, myślę, że mam jedno z przeczuć, jakie miewał Aubrey.

Shelley mimo woli się uśmiechnął.

- Posłuchaj, jeżeli w 1974 ktoś, jakiś brytyjski agent, chciał pomóc Guillaume'owi... to czy nie mógłby on teraz pomagać w zniszczeniu Aubreya? - Już mówiąc te słowa traciła do nich przekonanie.

- Tak?... - zapytał Shelley z wyraźnym rozczarowaniem.

- Sądzi pani, że skoro oskarżają pana Aubreya... - Ostatnie słowo małe usta wyrzekły z odrazą, a potem Margaret ciągnęła dalej: - Jeżeli pani zakłada jego niewinność... - Spuściła wzrok, walcząc ze sobą. - Jeżeli tak jest, to ten ktoś, kto być może działał w 1974 roku, działa i teraz. Czy rozumie pan, co mam na myśli, panie Shelley?

Shelley potarł policzki długimi palcami i zamilkł na chwilę. Dopiero gdy napięte oddechy obu kobiet stały się głośniejsze niż trzaski płonących szczap, podniósł wzrok i powiedział: - To jest wąty, bardzo wąty ślad.

- Czy myślisz, że pan X istniał w roku 1974? - domagała się odpowiedzi Alison.

- Nie, ale wierzę, że istnieje teraz - i nie jest to Kenneth Aubrey, pani Massinger.

- Nie łączę tych dwóch spraw - oznajmiła Margaret z lodowatym spokojem. - To ta sprawa zagraża Paulowi, a nie morderstwo mojego ojca.

Shelley skinął głową.

- Bardzo dobrze.

- Jeżeli on działa nadal, to musiałby to być ktoś bardzo wysoko postawiony, prawda? - spytała Alison.

Shelley jeszcze raz skinął głową, ale tym razem była to reakcja na myśl, która przyszła mu do głowy.

- Tak - wymamrotał. - Musiałby, w samej rzeczy.

- Jeżeli teraz pomaga Rosjanom - to czy nie mógł być człowiekiem, który im pomagał w roku 1974? - Alison poczuła, jak jej dłonie zaciskają się w pięści. Siłą woli przekonywała męża do swego przeczucia. Zapomniała o chwilowym zrozumieniu dla dylematu Margaret Massinger, który sprowadzał się do pytania, kto jest mordercą jej ojca.

- Mógłby... rzeczywiście mógłby - przyznał Shelley. Spojrzał na Margaret. - Cóż, idąc tym tropem, należałoby pozwolić Paulowi na chwilowe chociaż opuszczenie kraju - na wyjazd do Niemiec. Byłby tam bezpieczniejszy. Czy możecie to zrobić?

Margaret skinęła głową i zapytała:

- Ale dokąd? W jakim celu?

- Niemiecka służba bezpieczeństwa BfV współpracowała z Aubreyem i naszymi ludźmi, potem z MI5 przy ich śledztwie. W archiwach mają dokumenty. Są tam również ludzie, z którymi Paul mógłby porozmawiać.

- Kto?

- Wolfgang Zimmermann.

- Czy to ten?... - zaczęła Alison.

- Ten, którego KGB starało się zrobić jako podwójnego agenta, kiedy upadł Układ Berliński. Może teraz odwdzińczyć się Aubreyowi za jego ówczesne wysiłki. Czas na uregulowanie długu.

- Ale czy poprzedni kanclerz nie wywalił go?

- Sam się podał do dymisji.

Margaret zdała sobie sprawę z tego, że Peter i Alison zapomnieli o jej obecności. Zazdrościła im, że tak łatwo potrafią się ze sobą porozumieć i współpracować. Stanowili całkowite przeciwieństwo tego, czego ona sama doświadczyła w ciągu ostatnich dni. Nie było między nimi rozdzwienku, jaki zamienił się w prawdziwą przepaść pomiędzy nią a Paulem. Zaryzykuje teraz, pojedzie z nim do Niemiec. Jej ojciec musi poczekać - tak jak czekał pod ruinami tego zbombardowanego domu w Berlinie...

Potrząsnęła głową. Rozmawiający zajęci ożywioną dyskusją nawet tego nie zauważyli. Musiała o nim zapomnieć. Musiała pomóc Paulowi ratować życie. Nie mogła znieść nawet myśli o jego ewentualnej śmierci, o tej nowej, najgorszej z możliwych strat. O utracie człowieka, który zastąpił jej ojca - męża - kochanka - Paula.

Kiedy znów wróciła myślami do pokoju, usłyszała Shelleya, który mówił do żony:

- Tak, kiedy wykryto tę intrygę, kanclerz nie chciał go przyjąć z powrotem na to samo stanowisko, lecz mianował go specjalnym doradcą BfV. Ten człowiek ma dużą władzę - może grzebać w starych kartotekach, przeczesać je dla was bardzo gruntownie... nawet zapewnić wam ochronę.

- Czy może pan to załatwić? - spytała Margaret niepewnie.

- Tak, mogę z nim porozmawiać. Zrobi to. Od kiedy jego ludzie poinformowali go, że ma wobec Aubreya do spłacenia dług wdzięczności, bo to on, a nie jego podwładni, doprowadził do oczyszczenia go z podejrzeń, Zimmermann poszukiwał możliwości wyrównania rachunków. Zrobi to. - Twarz Shelleya zachmurzyła się. - Kto wie, Ally - może w ten sposób znajdziemy twojego pana X. Myślę, że właśnie odkryliśmy ukryte drzwi do twierdzy. Furtkę Judasza. - Uśmiechnął się prostodusznie do Margaret. - Na pani miejscu spałoby się do podróży - dyskretny wyjazd. Jesteście prawdopodobnie pod obserwacją. Mieszkanie z pewnością też. - Przerwał, lecz po chwili ciągnął: - Proszę mi wierzyć, pani Massinger, że nie będzie pani pomagać człowiekowi, który zabił pani ojca. Kenneth Aubrey nie mógł tego zrobić, nawet gdyby miał osobisty powód. Przysięgam pani.

Margaret Massinger nagle wstała.

- Dziękuję, panie Shelley. Bardzo dziękuję. - Po jej oczach było widać, że nie wierzy w zapewnienia Shelleya na temat niewinności Aubreya.

Dźwięki muzyki pop z nie oświetlonego okna na górze. Gdzieś w głębi ulicy czyjś śmiech, potem przeraźliwy płacz dziecka. Zapach jedzenia, ścieków i śmieci. Podczas gdy transporter opancerzony BTR-60 powoli wtaczał się na plac, Miandad powrócił myślami do swojego dzieciństwa. Ze znajomych zapachów brakowało tylko gorącego i cuchnącego zapachu, niesionego przez wiatr znad Indusu. Tutaj, w Kabulu, noce były chłodniejsze i znajome zapachy odczuwał ostrzej w nozdrzach. W Karaczi...

Jednak tamtych zapachów nie da się niczym zastąpić. W okularze noktowizora widział błyszczący, lekko rozmazany kontur zmierzającego w jego stronę transportera. Ponad dwoma lekko uchylonymi lukami na płaskim korpusie zamontowana była wieża przypominająca rozplaszczony hełm, w której czerniał czarny otwór 14,5-milimetrowego karabinu maszynowego. Gumową osłonę okularu noktowizora miał

przyciśniętą do prawego oka. Czuł, jak powietrze, które wydycha, ochładza się, przepływając koło jego ramienia i pleców. Niczym zmartwychwstały porucznik Azimow, czekał za nim Hyde w mundurze zdjętym z martwego ciała. Był tam również Mohammed Dżan z dwoma innymi Pathanami. Reszta jego ludzi zajęła pozycję wokół placu. Po potyczce z patrolem zostało Pathanów zaledwie siedemnastu. Siedemnastu, pomyślał. Siedemnastu wystarczy, ale z trudem. To, że byli armią fanatycznych cieni, zwiększało ich liczebność.

BTR-60 zbliżał się do nich, objeżdżając utwardzony plac, przesuwając się wzdłuż sklepów i hotelu, jakby nie mógł tu znaleźć dość miejsca. Teraz znajdował się w odległości nie większej niż siedemdziesiąt jardów od nie oświetlonej alei, w której czekał wraz z Hyde'em i Mohammedem Dżanem. Zegar wybił gdzieś godzinę. Trzy, cztery, liczył. Czwarta rano. Ręka Miandada zacisnęła się na przednim uchwycie, jego palec lekko przyciskał spust granatnika. Lewą ręką przytrzymał na ramieniu koniec rury z tylną podpórką. Pocisk wyglądający jak miniaturowa złożona parasolka czekał na końcu lufy. Transporter nadjeżdżał. Oprócz pojazdu na placu nic więcej nie było. Wyglądał jak scena bez aktorów lub wielki stadion oświetlony jarzącym się, rozproszonym światłem. Ale nie dla niego. Dla niego plac był czerwony. Matowoczerwony, jak dopalające się ognisko. W tym świetle widział zbliżający się ciemny kształt złożony z kół, pokryw luków i karabinów maszynowych. Swoją cel. Miał go teraz czterdzieści jardów przed sobą.

Nacisnął przesuwający się z oporem spust granatnika RPG-7. Rura na jego ramieniu podskoczyła. Rozległ się straszliwy huk. Widział w noktowizorze, jak pocisk zapala swą własną wewnętrzną rakietę. Obserwował potem kulę ognia poruszającą się precyzyjnie po krótkim płaskim torze w kierunku bryły BTR-60.

Pocisk kumulacyjny uderzył w transporter tuż poniżej lekko uchylonych luków obserwacyjnych, przebijając w chwili uderzenia dziesięciomilimetrowy pancerz. Płomień eksplozji przypominały oglądany od końca film, na którym pokazano lot pocisku. Ogień granatu połknięty został przez bryłę transportera, który w tym samym momencie podskoczył, nadął się jak zielona przysadzista ropucha, powiększając się dwa, trzy, cztery razy, a następnie wybuchnął. Później widać było już tylko odrywające się koła, burty pojazdu rozpadające się na płachty rozdartego metalu, wieżyczkę otwierającą się jak rozcinane ostrym nożem ciało. Dym, łoskot detonacji, odgłos tłuczonych szyb i opadających odłamków. Coś podobnego do manekina, ale bez dolnej części tułowia, odrzucone zostało na odległość około stu stóp. Dwa inne manekinopodobne kształty niby figurki na sprężynce wyskoczyły z otworów obserwacyjnych. Eksplodująca amunicja nappełniła plac przerażającym podmuchem ognia.

Miandad włożył drugi pocisk w koniec gorącej rury RPG-7.

Spojrzał na Hyde'a. Na terenie ambasady zawyły syreny alarmowe. Nie do wiary. Wprost trudno było w to uwierzyć, ale ktoś krzychał wśród bezkształtnego wiru szalejących płomieni. Miandad drgnął, uklęknął wygodniej. Betonowy bunkier wartowni przed bramą ambasady znajdował się niewiele ponad sto jardów od wąskiego przejścia, w którym się ukryli.

- Zaczynaj - powiedział Miandad do Hyde'a. Z bunkra wyłonili się dwaj oszołomieni i przerażeni rosyjscy żołnierze, którzy ukryli się w nim w chwili wybuchu. Miandad widział ich zdumione, zdesperowane, wystraszone twarze, bardzo blade, choć podbarwione czerwienią noktowizora. Wydawali się równie młodzi jak Azimow. Większy chłopcy albo robotnicy fabryczni, a nie zawodowi żołnierze. - Powodzenia - dodał Pakistańczyk.

Hyde klepnął go w nie obciążone bronią ramię i zaczął biec alejką w stronę placu przed ambasadą. Miandad ustawił ostrość. Gumowa osłona była wilgotna od potu. Mohammed stał obok niego bez ruchu, jak gdyby chciał okazać swą pogardę dla nowoczesności tego ataku. Tulił w ramionach starego Lee Enfielda.

Miandad zmienił pozycję granatnika na ramieniu. Jakiś oficer wydał żołnierzom rozkaz udania się w kierunku wypalonego transportera. Ci ociągali się. Niemal odmawiali wykonania rozkazu. Cała grupa była dostatecznie blisko kolejnego celu, aby znaleźć się w polu rażenia. Miandad pociągnął za spust.

Pocisk odpalił. Kula ognia pomknęła prosto i płasko. Sto metrów, jedna trzecia sekundy, spowolniona przez perspektywę celownika i przyływ adrenaliny do krwi. Następne uderzenie. Beton nad workami z piaskiem rozdarły płomienie. Dach sfrunął deszczem betonowych głazów. Ściany zwały się na zewnątrz, grzebiąc tych, którzy opuścili bunkier. Podniósł się tuman kurzu, osłaniając brutalną rzeź. Spokojnie, pewnie i umiejętnie Miandad załadował trzeci pocisk. Oparzył nadgarstek o gorącą lufę RPG-7, ssał bolące miejsce przez chwilę, potem przeciągnął rękami wzdłuż złożonej parasolki pocisku. Nastawił celownik, poczuł, jak pot wsiąka mu w niedbale zawiązany turban. Od tej roboty bolały go plecy - zabijał tak wielu, tak łatwo. Poprawił na ramieniu rurę granatnika. Znów było mu wygodnie.

Kiedy kurz zaczął osiadać, światła ambasady zgasty niczym wielkie gwiazdy. Na wpół zburzony bunkier sterczał wśród zgłiszczy. Ciała na ziemi. Jedna lub dwie postaci oddalały się, wyraźnie okaleczone, chwiejnym krokiem. Miandad musiał przyznać w duchu, że w ciemnoczerwonej poświacie noktowizora wyglądało to na wizję piekieł. Krzyk przerywany eksplozjami amunicji. Rzęsiście oświetlony teren stał się polem walki.

Teraz.

Nacisnął spust. Odpalił, jedna trzecia sekundy, uderzenie. Ponieważ był zmęczony, działał w większym pośpiechu. Zaczynało mu brakować adrenaliny. Teraz była ona potrzebna Hyde'owi. Wystarczająco długo patrzył przez celownik, aby dostrzec kołyszące się na zawiasach drzwi. Eksplozja skręciła je i wyrwała nieomal z ościeżnic. Olbrzymia potłuczona czerwona gwiazda przypominała ułożoną ręką szaleńca mozaikę. Po chwili zdjął z ramienia RPG-7 i odłożył. Wtedy jeden z Pathanów wziął go od niego, śmiejąc się do siebie cicho z radości i podziwu. Miandad usłyszał pierwsze strzały z kałasznikowów i płaczliwe wycie syren zagłuszające odgłosy innych alarmów. Wstał. Hyde był teraz sam. Od chwili przekroczenia bramy miał dokładnie piętnaście i pół minuty.

Pozostało już mniej niż piętnaście minut.

Hyde chwycił pręty ogrodzenia. Wzdrygnął się, ale to była tylko seria przypadkowych wybuchów amunicji eksplodującej w zrujnowanym bunkrze. Uspokoił się. Dwóch stojących obok ludzi gapiło się bezradnie na to wszystko. Biało-czerwony szlaban był wyrwany z zawiasów. Hyde zaczął kasłać od dymu i kurzu. Popatrzył na swoje o numer za duże oficerki wypchane gałganami. Z zadowoleniem zauważył, że pokryte były warstwą kurzu, która osiadła na nich, gdy przechodził wzdłuż ogrodzenia. Dotknął skórzanej kabury na biodrze, w której miał dziewięćmilimetrowy pistolet Makarowa. Następnie pochylił się i podniósł odłamek betonu. Ze złością potarł nim czoło i lewy policzek. Zabolalo go, aż się skręcił. Czuł ból i pieczenie. Czubkami palców dotknął czoła i policzka. Odrzucił trzymany w ręku okruch. Kiedy przyjrzał się rękom, zobaczył krew. Krew, kurz i pot zmieszane z brudem. Zaczął kuśtykać. Przez ostatnie piętnaście jardów od strzaskanej bramy wiodącej na teren ambasady powłóczył nogą.

Betonowa wartownia wyglądała niczym opadły kwiat. Dym unosił się, pochłaniając większość rześistego białego światła padającego od strony placu. Ciało. Niektórzy ludzie trzymali się jeszcze na nogach, ale albo mieli wstrząs mózgu, albo byli w szoku. Byli też ranni. Alarmy, syreny, ryk pojazdów, eksplozje amunicji. Rany zadane same-mu sobie piekły nieznośnie.

Dotarł do bram. Już słyszał z oddali cichy odgłos śmigłowca. Zimne powietrze nocy niesło wycie i huk motorów. Ewakuacja. Pomoc, obrona, ewakuacja - w takiej kolejności. Hyde popatrzył na zegarek. W piętnaście i pół minuty po nim Pathanowie opuszczą plac i wycofają się w kierunku bazaru. O świcie mieli zniknąć z Kabulu.

Wpadł na niego jakiś żołnierz idący niepewnym krokiem. Nie miał szczęki, jego oczy błagały o litość. Hyde oparł go jak kloc drewna o ogrodzenie i prześliznął się

przez bramę. Nikt nie próbował go zatrzymać. Kurz i krew pokrywały gładko ogoloną twarz. Miał na sobie pełne umundurowanie i uzbrojenie lejtnanta Armii Radzieckiej. Niczym światła nadpływającego transatlantyku jaśniały przed nim lampy w przybudówce ambasady. Uzbrojony BWP wytoczył się na gąsienicach zza głównego budynku ambasady, przyspieszył na zwirowanej ścieżce i ze zgrzytem i chrzęstem zbliżał się do niego. Wzniesione działo i wyrzutnia PPK odcinała się wyraźnie od korpusu pojazdu na tle fasady budynku.

Hyde zaczął biec.

Biegli tam też i inni. Zdezorientowani, przerażeni, pokonani, którzy zrozumieli, jak mało ich jest w tym obcym kraju. Jego oficerki chrzęściły na żwirze. Jego własny cień biegł przodem. Postać Hyde'a oświetlona była z tyłu światłami z placu i płonącym bunkrem. Potem, kiedy wszedł w krąg światła bloku KGB, cień zaczął zostawać z tyłu, zachęcając jakby do powrotu. BWP z rykiem przejechał obok. Jego działo, niby oczy nauczyciela, rozglądało się w poszukiwaniu obiektu, który należało najpierw ukarać. Potknął się i wpadł w drzwi budynku ze szkła i betonu, przypominał mu on... co właściwie przypominał?

Nagle stało się to ważne, jak przeobrażenie, przebranie, jak cały ten blef- i wtedy wartownik zastąpił mu drogę w drzwiach.

Czeska ambasada w Kensingtonie, pośród wszystkich tamtych uroczych, podniszczonych budynków najbrzydsza i najnowocześniejsza!

Warknięciem postawił strażnika na baczność, poprawił mu czapkę, przejechał ręką po zadanych sobie własną ręką ranach i spiorunował go spojrzeniem.

- Pułkownik Pietrunin czeka na meldunek - teraz! Won! - Z twarzy wartownika zniknęła podejrzliwość, po chwili sprezentował swego kałasznikowa i stanął na baczność. Potem w oczach żołnierza pojawił się strach i Hyde zorientował się, jaki z niego dzieciak. Tak jak w 1914 roku, Rosjanie wysyłali teraz swoich najmłodszych, swoją młodzież... - No, już lepiej - burknął. Minął wartownika i skierował się ku schodom ze sztucznego marmuru z żelazną balustradą. Mur pękł i schody oddzieliły się od przylegającej do nich ściany.

Hyde podkpiwał w duchu z własnego podniecenia. Żaden z tych biednych smarkaczy nie był nawet najprawdopodobniej w partii. Wysyłają swoich najlepszych? Nie bądź głupi...

Poczuł zapach palącego się papieru. Niektórzy wpadli w panikę i zaczęli podpalać najważniejsze materiały, obciążające kartoteki, jak gdyby wyzwolicielska armia już stała na placu. Pamiętał dowcip, jaki krążył po SIS, kiedy tłumy zwolenników Chomeiniego wspięły się na ogrodzenie ambasady USA w Teheranie. Jedyną modlitwą,

jaką było słuchać, była prośba o jeszcze jedno pudełko zapalek...

Na zakręcie schodów opanował się. Wydzielająca się w jego organizmie adrenalina działała jak uderzające do głowy wino. Nie mógł powstrzymać swoich myśli. Co Pietrunin teraz robił? Spojrzał na rękaw swojego munduru i jednocześnie ujrzał twarz chłopca z przestrzeloną, krwawiącą głową. Krew tryskała cienkim strumyczkiem, z nim martwe ciało osunęło się w stos kamieni. Potarł policzek, znów odczuł piekący ból. Przestań, przestań...

Na zewnątrz słyszał szum nadlatujących śmigłowców.

Śmigłowce składały czarne jaja, które się otwierały i wyrzucały mgłę zapalaną przez Pietrunina. Straciło życie pięćdziesięciu ludzi, w ciągu sekundy zostali zwęgleni jak przypalone ciastka. Czerwony śmigłowiec wracał w kierunku doliny...

Może cię zabić, jeśli się nie opanujesz!...

Minęli go dwaj mężczyźni o zaciętych twarzach. Ich ręce ścisnęły kureczowo stopy akt. Nawet na niego nie spojrzeli. Mieli rozkaz opuszczenia walczącego nadal okrętu.

Narastał hałas śmigłowców. Hyde spojrzął przez okna na teren ambasady. Jeden śmigłowiec, na razie tylko jeden, rzucał czerwono-niebiesko-białe plamy światła na śnieg trawnika, lądował.

Za pięć minut Pietrunin będzie już w drodze powrotnej do kwatery głównej armii i na zawsze wymknie mu się z rąk.

Wbiegł stukając butami na ostatnie półpiętro schodów. Pognął wzdłuż korytarza. Doskonale pamiętał plan budynku, który narysował na podstawie zeznań nieżyjącego chłopaka. Jak na zamówienie wyświetlił mu się on nagle w głowie. Dzięki napięciu i pobudzonej wrażliwości zmysłów widział plan niby na ekranie, na którym sam był jasnym, poruszającym się punkcikiem. Drugi koniec budynku, zakręt, pusty korytarz...

Dziewczyna w wąskiej spódnicy wyłoniła się z jakiegoś gabinetu. Wpadli na siebie, przewrócił ją i wyminął. Usłyszał pod butami chrzęst jej miażdżonych okularów i już będąc za następnym zakrętem usłyszał jej krzyk. Na zewnątrz zaś - łoskot śmigieł pierwszego helikoptera.

Usłyszał też terkotanie karabinów ustawionych na ogień automatyczny, któremu odpowiadały z oddali pojedyncze wystrzały Pathanów ukrytych na placu.

Popatrzył na zegarek. Pozostawało mu dwanaście minut. Za jakieś cztery minuty korytarz, gdzie stał wahając się niby zagubiony turysta, wypełni się ludźmi przybyłymi z pomocą, gotowymi przeprowadzić Pietrunina do śmigłowca i sowieckiego ambasadora.

W następnym korytarzu strażnicy. Ich nerwowe słowa brzmiały jak zakłady hazardzistów. Dużymi krokami przeszedł za ostatni załom ściany. Nagle pod stopami wyczuł dywan zamiast linoleum. Apartamenty Pietrunina - oficera KGB. Wyrzwał przez

przyciemnione szyby po jednej stronie korytarza. Strażnicy rozplaszczali nosy na szybach jak dzieci w lunaparku.

- Wracać na stanowiska - warknął.

Oddziały przebiegały przez zaśnieżony trawnik w kierunku głównego budynku ambasady. Jeden z żołnierzy padł zabity przez kulę - mogła ją wystrzelić każda ze stron. Inni żołnierze uciekali w kierunku budynku KGB, nad nimi zwalniały łopaty śmigłowca transportowego MiL-8.

Trzy minuty.

Żołnierze właśnie wracali na stanowiska. Miny mieli ponure. Ustawiali się nieomal jak do uroczystego apelu, kiedy tak przechodził korytarzem do głównych dwuskrzydłowych drzwi na końcu holu. Jeden wartownik, drugi, trzeci, czwarty...

- Obywatelu poruczniku, tu nie wolno wchodzić - zakomunikował czwarty wartownik zdejmując z ramienia kałasznikowa.

Hyde odwrócił się i utkwiał w nim wzrok. Wskazał na swoje czoło i policzek.

- Myślicie, że przyszedłem na kawę? - zapytał. - Towarzysz pułkownik Pietrunin chce pełnego raportu na temat sytuacji przy bramie. Ja byłem przy bramie, nie tak jak wy, skurwysyny, szczęściarze! Zrozumiano? A może chcecie opóźnić raport dla towarzysza pułkownika?

- Ależ nie, poruczniku.

- Więc zejźdź mi z drogi. Nie wpuszczaj nikogo innego, póki nie zobaczysz odpowiedniej przepustki.

- Tak jest.

Hyde szybko minął wartę, nim zdołano zapytać go o papiery, których nie miał. Zapukał w dwuskrzydłowe drzwi. Krótko, głośno i stanowczo. Potem otworzył jedno skrzydło i wsunął się do przedpokoju; jego dłoń manipulowała przy zapięciu kabury i rękojeści pistoletu Makarowa.

Mężczyzna przy telefonie natychmiast podniósł wzrok i skoncentrował uwagę, próbując rozpoznać rysy pokaleczonej i posiniaczonej twarzy. Prawą ręką sięgnął do górnej szuflady biurka, a lewą nadal trzymał słuchawkę. Nie przerywał naglącej prośby o posiłki, wsparcie.

Potem nad biurkiem ukazał się pistolet automatyczny i telefon przestał być ważny. Hyde strzelił dwukrotnie z przyciśniętego do biodra Makarowa. Sekretarz dał nurka pod biurko, jakby schylał się po pieniądze, które upuścił. Słuchawka z brzękiem upadła za nim.

Hyde szybko przeszedł przez wyłożony dywanem, komfortowo urządzony przedpokój do drzwi gabinetu Pietrunina. W obecnej sytuacji Pietrunin będzie czujny jak kot. Ilu ich tam jest w pokoju, ile karabinów?

Szarpnął za klamkę u drzwi, napał ramieniem, świadom, że jego wklęsły brzuch stanowi doskonały cel dla każdej kuli wystrzelonej przez drzwi. Usłyszał stłumiony krzyk i wpadł do środka. Nogą zamknął za sobą drzwi. Zatrzasnęły się jak na rozkaz przyjęcia postawy zasadniczej.

Hyde obrzucił wzrokiem pokój. Pietrunin był sam. W mundurze wydawał się dużo starszy i bardziej doświadczony. Pchnięte przez Hyde'a drzwi rzuciły Pietrunina na ziemię, ale zdążył się już podnieść i siedział na okrągłym chińskim dywanie. Lśniące drewno podłogi, afgańskie, perskie, indyjskie dywany i makaty. Egzotyczne. Wschodnie. Nie zachodnie.

Pietrunin patrzył na niego i na pistolet skierowany w jego brzuch. Co to za młody porucznik, oparty plecami o drzwi? Było w nim coś znajomego...

- Dzień dobry, towarzyszu generale - powiedział Hyde po angielsku.

Jego ciało drżało z emocji, a głos załamywał się. Po chwili wybuchnął chłopcim śmiechem.

- Hyde!... - To było wszystko, co powiedział Pietrunin. Po chwili powtórzył jeszcze raz: - Hyde.

Rozdział IX

Więżniowie

- Hyde - powtórzył jeszcze raz Pietrunin i dodał: - Przebyłeś daleką drogę.

Emanowała z niego spokojna i obłudna pewność siebie, siedział na dywanie i witał gościa, który zjawił się przypadkiem na egzotycznym przyjęciu. Hyde stał tyłem do drzwi; z zewnątrz nie dochodziły żadne odgłosy, martwy sekretarz leżał za biurkiem. Ktoś, kto by wszedł do sąsiedniego pokoju...

- Towarzyszu generale Pietrunin - powtórzył Hyde, słysząc warkot nadlatującego drugiego śmigłowca.

Przez duże okno za biurkiem Pietrunina widział ludzi popędzanych w kierunku śmigłowca przez ubranych w szare płaszcze żołnierzy. Ambasador w ciemnym palcie narzuconym na piżamę i wysokich futrzanych butach szedł wydeptaną w śniegu ścieżką. Podążała za nim kobieta otulona w szlafrok. Zgodnie z ustalonym wcześniej planem Hyde miał teraz mniej niż dziesięć minut do czasu zakończenia operacji. Jednocześnie miał mniej niż minutę do chwili, gdy do biura Pietrunina wkroczy grupa ewakuacyjna.

Pietrunin wstał powoli. Wyglądało na to, że się nie boi.

- Niezłeś się zamotał - zauważył wyrównując czubkiem prawego buta frędzle dywanu. Hyde czujnie mu się przyglądał, chcąc przewidzieć jego zamiary.

Przez okno, na którego tle stał Pietrunin, widział figurki ewakuowanych ludzi tłoczące się i wpychane do wnętrza śmigłowca MiL. Hałas wirujących rotorów był teraz głośniejszy.

- Czas na nas - powiedział Hyde.

- Ależ tak, wyjdźmy do tych, którzy po mnie przybyli. - Pietrunin wskazał na okna. - Ratowanie ambasadora to tylko oficjalna wersja - tak naprawdę to śmigłowiec przyleciał tu po mnie. Teraz już nie ma stąd dla ciebie drogi ucieczki.

- Zobaczymy. Ruszaj.

Pietrunin uśmiechnął się, ale nie drgnął. W pokoju zrobiło się za gorąco. Cicho bulgotało centralne ogrzewanie. Pietrunin wpatrywał się w swoje biurko. W końcu odwrócił się do Hyde'a.

- Po coś tu przyszedł?

Hyde uśmiechnął się szeroko.

- Po to żeby cię zabić. Wątpisz w to? - powiedział. Właściwie było to stwierdzenie, a nie pytanie. - Mogłem cię zabić w Australii, ale wiedziałem, że powinienem być to zrobić w Anglii. Wiesz o tym dobrze.

- I dlatego tu jesteś? - Pietrunin wystrzegał się okazania jakichkolwiek emocji, chociaż był zaniepokojony.

Hyde pokręcił głową.

- Jestem tu z powodu „Łzy”. Dlatego oddam ci paszport. Muszę cię mieć żywego. Pietrunin zaśmiał się głośno.

- A więc zrealizowali to? - zapytał z podnieceniem w głosie. - Ciekaw jestem, kiedy mogłem spotkać tego Aubreya... ale mówisz, że to „Łza”. Mój plan. - Twarz mu się zachmurzyła. - A ja tu tymczasem gnilem - dorzucił z głęboką goryczą.

- Pośpiesz się.

- Nie wyjdiesz stąd.

- Ty też nie. Jeśli do tego dojdzie, to cię zabiję. Wiesz o tym. Ruszaj!

Hyde podszedł bliżej. Intensywnie wpatrywał się w twarz Pietrunina, obmacując jednocześnie przód jego marynarki. Potem stanął ostrożnie za Rosjaninem i przesunął ręką wzdłuż bioder przeszukiwanego, lecz nie znalazł przy nim żadnej broni. Kiedy lufą pistoletu wskazał mu drzwi, Pietrunin zawahał się na moment. Potem zdjął z wieszaka szary płaszcz, podniósł czapkę i rękawiczki z małego stolika. Z pozorną nonszalanecją wyszedł z biura. Hyde posuwał się tuż za nim z pistoletem w ręku, co miało sprawić wrażenie, że ochrania Pietrunina.

Do sekretariatu zajrzał wartownik. Ze swego miejsca Hyde widział nogi sekretarza wystające spod zasłaniającego ciała biurka. Wartownik zaszalutował. Hyde zbliżył się do Pietrunina, przyciskając mu lufę do pleców. Po chwili ponownie cofnął się o krok.

- Czy jest tu moja eskorta? - zapytał Pietrunin.

- Tak jest, towarzyszu pułkowniku!

Ramię Pietrunina uniosło się w chwili, gdy tamten wymienił jego obecny stopień, jakby umyślnie, by Hyde mógł się zorientować, że jego uprawnienia są zmniejszone.

- To zabieraj się z nimi. Won mi z drogi!

Twarz wartownika zbladła i wyciągnęła się. Przytrzymał otwarte drzwi. Hyde odepchnął wartownika i zatrzasnął je za sobą właśnie wtedy, gdy Pietrunin zamierzał wydać żołnierzowi rozkaz. Może zamierzał polecić mu, by udzielił pomocy sekretarzowi?... Hyde uśmiechnął się. Pietrunin wykonał nerwowy ruch, w chwili gdy narzucał swój szary płaszcz. Hyde spojrział przez okno. Rozbłyśki światła na kolorowym śniegu. Hałas lądującego śmigłowca. W przeszklonym korytarzu stało trzech żołnierzy i oficer. Wszyscy mieli na sobie mundury polowe i byli uzbrojeni w karabinki AKMS. Koman-dosi. Oficer oddał honory Pietruninowi.

- Proszę się pospieszyć, towarzyszu pułkowniku - poinstruował. - Śmigłowiec czeka na was. - Jego spojrzenie prześlizgnęło się po Hydzie, ale widok munduru uspokoił go. Pietrunin skinął głową i nic nie powiedział, lecz wśliznął się w krąg stojących żołnierzy i stanął po drugiej stronie grupy. Stanowili teraz żywą tarczę oddzielającą go od Hyde'a swoimi ciałami. Hyde zdał sobie sprawę, że stracił przewagę. Pietrunin - ten piekielny Pietrunin - był szybki i sprytny niczym zwierzę. Jedno słowo. Chwila bezpieczeństwa, później szybki rozkaz, i mógł zostać zabity. Rosjanie ruszyli korytarzem i skręcili za załom ściany. Świadom grożącego mu niebezpieczeństwa, Hyde pospieszył za nimi. Dookoła biegali ludzie, czuło się zapach palonych papierów, plastiku i celulo-
idu. Hyde wpadł w panikę. W chwili gdy duży transportowy śmigłowiec MiL znalazł się w polu ich widzenia, w odległości około trzydziestu jardów, nad trawnikiem rozległo się kilka pojedynczych strzałów spoza terenu ambasady. Światła maszyny migały na trawie, śniegu i nagich drzewach po drugiej stronie zabudowań ambasady. Pietrunin nadal się nie odzywał. Ten człowiek zamierzał poczekać na dogodniejszą sposobność. Hyde przypuszczał, że całe zajście zaczęło go po prostu bawić. Wiedział, że karta się odwróciła i że teraz on miał Hyde'a w swoich rękach.

Hyde dotarł do schodów. Ludzie ustępowali im miejsca, kiedy Pietrunin wraz ze swą małą eskortą zaczęli schodzić ze schodów. Stukały buty, jeżyła się broń. Pietrunin był w samym środku ciasnego kręgu żołnierzy. Hyde pozwolił sobie jedynie na małą chwilę odprężenia i w tym samym momencie Pietrunin już otoczył się ochronną zasłoną z ciał. Śmigłowiec przybył o kilka minut za wcześniej, tylko kilka minut.

Jasne, pozornie gorące promienie słońca oślepiająco świeciły w umieszczone wzdłuż klatki schodowej okna, podkreślając bladość wartowników i wszystkich członków personelu ambasady. Hyde był niemal oślepiony.

Pietrunin obejrzał się ze schodów, które oddzielały go teraz od Hyde'a. Doznał olśnienia. W tej chwili ten człowiek nie był w stanie wydać rozkazu, który mógł wcześniej wypowiedzieć. W takim razie naprzód...

Pierwszy śmigłowiec zjawił się o parę minut za wcześniej i według obliczeń Hyde'a powinien już być odlecieć. Drugi śmigłowiec, wielki, transportowy...

Kawałki rozżarzonego metalu, palące się ciała, łopaty śmigłowca i wartownicy zgromadzeni wokół pierwszego MiL-a. Ogromny uroczysty fajerwerk. Miandad po raz kolejny użył granatnika. Zrobił to być może dlatego, że przewidział trudności, jakie napotkał Hyde. Wybuchła panika.

Hyde ruszył, przeskakując po kilka stopni schody. Pietrunin patrzył, jak tamten się zbliża, i jego ręka w rękawiczce już miała ująć ramię oficera. Chciał go odwrócić i

uświadomić mu nadciągające niebezpieczeństwo, ale w tym właśnie momencie Hyde stanął obok pułkownika, przyciskając mu mocno lufę pistoletu do boku. Uśmiechnął się szeroko.

Na trawniku ambasady dopalało się ognisko ze szczątków transportowego śmigłowca. Po śniegu tarzali się żołnierze, próbując ugasić płonące mundury. Jedna lub dwie zielone plamy płaszczy nie poruszały się. Z kabiny ocalałego śmigłowca spoglądały przerażone twarze. Żołnierze otaczający Pietrunina zaczęli przemieszczać się w stronę szklanych drzwi budynku. Jedna z łopat zniszczonego śmigłowca leżała na trawniku niczym miecz. Nagle w górę uniosła się ognista kula eksplodującego zbiornika paliwa. Światło wybuchu załaziło hol. Popękała większość szyb. Hyde poczuł, że twarz i ręce nakłuwają mu drobne odłamki szkła. Do pomieszczenia wpadło zimne nocne powietrze i wydmuchnęło falę żaru, która rozproszyła się teraz na mrozie.

Hyde odzyskał panowanie nad sytuacją.

- Pilnujcie śmigłowca! - wrzasnął po rosyjsku wysokim, spanikowanym głosem gotowego na wszystko dowódcy. Aby upewnić się, że Pietrunin się nie odezwie, przyciskał mu do boku lufę pistoletu. Oficer dowodzący częścią eskorty odwrócił się w jego stronę. - Wykonać! To jedyna droga ucieczki dla pułkownika, barany. Jazda, ruszać się!

Do ratunkowego śmigłowca wdrapywali się członkowie personelu cywilnego, żołnierze, urzędnicy, sekretarki. Czepiali się jego burt, pragnąc uciec z płonącego transatlantyku ambasady. - Wszyscy wysiadać ze śmigłowca! Zostaje tylko ambasador i jego żona! - krzyczał Hyde po rosyjsku. - Wyrzucicie tamtych!

Ruszyli. Oficer dopilnował wykonania rozkazów Hyde'a. Makarów nadal tkwił przyściśnięty do żeber Pietrunina. Za budynkiem przetoczył się ostrożnie BWP i ze zgrzytem gąsienic ominął zaparkowany samochód któregoś z pracowników. Pietrunin wyciągnął ręce, chcąc jak gdyby zawrócić biegnących teraz żołnierzy, ale nie wyrzekł ani słowa. Żołnierze rozbiegli się, przesuwali się w kierunku śmigłowca, którego śmigła zaczynały wirować z narastającą prędkością. Rozległ się krzyk. Jakaś kobieta została wyrzucona z wnętrza MiL-a i runęła bezwładnie na rozdeptany śnieg.

- Teraz - szepnęła zdecydowanie Hyde do ucha Pietrunina.

Używając dla zachęty pistoletu, wypchnął Rosjanina przez główne drzwi budynku. Zrobiło się znów zimniej, bo ogień z rozbitego śmigłowca już dogasał. Przy głównej bramie nadal toczyła się strzelanina. Ruiny bramy były niemal zablokowane przez manewrujący, tam BWP. Hyde zobaczył, że transporter odpalił jeden z tkwiących na

wyrzutni PPK pocisków. Koło bramy znajdowało się teraz kilkudziesięciu żołnierzy, dwie ciężarówki i transporter opancerzony. Zdawało się, że płoną budynki wokół utwardzonego placu.

Dotarli do samochodu służbowego ambasady. Hyde otworzył drzwi. Żołnierze z eskorty stojący na schodach patrzyli na nich, niezdecydowani, co dalej robić. Pietrunin obejrzał się w ich stronę, a później spojrzął na Hyde'a. Pokręcił głową.

- Właż - powiedział Hyde i zachęcająco wskazał kierunek pistoletem.

Żołnierze z eskorty, którzy nabrali jakichś podejrzeń, lub może w trosce o bezpieczeństwo Pietrunina, zaczęli schodzić ze schodów. Pietrunin wyczuł odpowiedni dla siebie moment i podniósł głowę w zamiarze przywołania ich. Niewielka eksplozja przy bramie odwróciła zarówno uwagę jego, jak i eskorty. Hyde uderzył Pietrunina w skroń lufą makarowa i popchnął jego padające ciało na tylny fotel samochodu, starając się przy tym najostrożniej, jak mógł, ulokować je na głębokim siedzeniu. Potem siadł na miejscu kierowcy. Kluczyki tkwiły w stacyjce zila. Uruchomił silnik. Hałas motoru znów zwrócił uwagę żołnierzy. Pomachał im i ruszył w stronę bramy. Tylne koła zabuksowały, zostawiając koleinę na zwirowanym podejździe.

W bocznym lusterku zauważył, że wartownicy uznali całą tę scenę za normalną. Drużyna ochrony była zajęta opróżnianiem MiL-a z niepożądanych pasażerów. Jednocześnie nadal w kierunku śmigłowca płynął strumień złożony z członków personelu ambasady, którzy zmierzali doń niczym do Grobu Pańskiego. Wielu z nich było tylko częściowo ubranych lub miało na sobie nocną bieliznę. Nieprzytomny Pietrunin siedział oparty o poduszki tylnego fotela.

Część rosyjskich żołnierzy przeszła przez bramę i posuwała się naprzód. Hyde spojrzął na zegarek. Jego czas się skończył. Pathanowie zaczęli się wycofywać i teraz pędził, aby ich dogonić. Ominął ciężarówkę, później przejechał tuż przy wysokiej burcie BWP, którego załoga wyrzucała łuski na plac. Spojrzął w górę i dojrzał hełmy radzieckich żołnierzy stojących na panczeru pojazdu. Kałasznikowy ustawione na ogień ciągly tworzyły gęstą osłonę ogniową przedpola BWP, który teraz ruszył w kierunku placu.

Lewe koła samochodu podskakiwały na gruzach bramy. Niespodziewanie zjawił się oficer piechoty i schylił się, aby zajrzeć do wnętrza. Następnie polecił Hyde'owi opuścić szybę. Dwóch żołnierzy zatarasowało drogę. BWP oddalił się, odślaniając światła na placu, które świeciły wprost na Hyde'a, jakby podniesiono kurtynę. Betonowy bункier jeszcze się tlił. Dookoła bramy leżała spora liczba ciał. Niemal cała powierzchnia placu zaśmiecena była odłamkami i złomem. Gdzieś widać było jeszcze

plómienie i dym. Hyde opuścił okno. Porucznik sprawdził tożsamość pasażera. Hyde spostrzegł grymas niechęci na twarzy oficera.

- Zranili tego sukinsyna. Odwożę go! - wyjaśnił Hyde, stawiając wszystko na jedną kartę.

- Szkoda, że go nie zabili. Racja, że to sukinsyn. Gdzie masz eskortę?

- Zamierzaliśmy polecieć sieczkarnią, ale tam wpadli w panikę. Wszyscy się chcą załapać. Za parę minut dojdzie do strzelaniny o miejsca.

- Pierdolone KGB!

- Za bardzo się boi, że może zostać zastrzelony przez swoich. Chciał się zmyć po cichu. Jeżeli tam na zewnątrz mają granatnik, to mogą mu przypieprzyć... Pośpiesz się, człowieku. Jak go nie dowiozę, to równie dobrze mogą sobie strzelić w łeb.

- Aleś trafił. Pyska jak szczur?

- Trafiłeś. To co, mogę jechać?

- Dobra. Ej, wy! Zróbcie mu miejsce.

Porucznik machnął na Hyde'a, który przejechał ostrożnie obok wraku przez bramę. Koła podskakiwały na gruzie i ludzkich ciałach. Z tyłu, za nim, Pietrunin powoli ob-suwał się na poduszki fotela, aż upadł na siedzenie, i teraz leżał. Hyde nie zwracał na niego uwagi. BWP miał przed sobą. Ogień transportera skoncentrowany był na ciemne uliczki poza linią świateł latarni. Wyglądało na to, że tamta strona nie odpowiada ogniem. Za transporterem posuwała się piechota, uzbrojona po zęby, wystraszona i ostrożna. Poprzez wciąż otwarte okno docierał do Hyde'a głośniejszy niż odgłos kano-nady hałas zbliżających się śmigłowców. Upewnił się, że Pietrunin jest nadal nieprzy-tomny, i nacisnął pedał gazu, skręcając w stronę wąskiej uliczki, na której rogu klęczał Miandad i z RPG-7 wyrąbywał mu drogę. Samochód podskoczył na wyboistym bruku. We wstecznym lusterku Hyde widział srebrny skrawek placu, wypełniony żołnierzami i światłem. Atak został odparty.

Rozpiął bluzę i wydobył z wewnętrznej kieszeni otrzymaną od partyzantów mapę Kabulu. Zatrzymał samochód w wąskiej cichej uliczce, trochę szerszej niż alejka. Włą-czył lampkę nad głową. Analizował: tędy płynie rzeka, tu jest gmatwanina wąskich uliczek, dalej szeroka arteria komunikacyjna ze wschodu na zachód, przedmieścia i szosa do Dżalalabadu.

Przestraszył go na chwilę śmigłowiec lecący nisko nad budynkami wzdłuż ulicy. Drgnął i oderwał od mapy palec, który wskazywał okolice bazaru, gdzie mieli umó-wiony punkt spotkania z Pathanami i Miandadem.

Na uliczce zrobiło się szaro. Ciemności znikają. Sznury z rozwieszonym praniem wyłoniły się spośród bezkształtnych brył bloków mieszkalnych. W wielu oknach palily

się światła. Nad ulicą po raz kolejny przeleciał śmigłowiec, zmierzając tym razem w kierunku placu. Hyde odłożył mapę na siedzenie obok. Upewnił się, że Pietrunin jest nadal nieprzytomny, i ruszył. W jego głowie rozwinęła się plastyczna mapa sieci ulic, uliczek i alejek. Sięgnął po czerwoną lampę, którą zamierzał przyczepić na dachu, i rozglądał się, szukając wyłącznika syreny ostrzegawczej. To powinno być proste. Miał jechać w kierunku Kwatery Głównej i dopiero w ostatniej chwili skrócić w gmatwaninę alejek bazaru, skryć się wśród zimnych, nędznych krętych zaułków i niebrukowanych ulic wiodących do warsztatu wytwórcy dywanów.

Wychylił się przez okno i przyczepił czerwoną lampę do dachu. Nowy Jork, pomyślał. Zabawa w gliniarzy. Z tyłu zaczął mrużyć Pietrunin. Hyde odwrócił się. Uczucie zagrożenia powracało. Cofnął dłoń od światła ostrzegawczego, od tej niby-zabawki, przypominającej mu celuloidowego policjanta i ślepe naboje. Przy końcu alei zatrzymał się i odwrócił, aby spojrzeć na Rosjanina. Patrzył, jakby widział go po raz pierwszy.

Mężczyzna był nadal nieprzytomny. W pierwszych bladych, szarawych promieniach świtu jego twarz zdawała się chora i wychudzona. Miał głębokie zmarszczki na policzkach, na czole i wokół warg. Wyglądał teraz na znacznie starszego, przypominał wątlego, samotnego emeryta, który nikogo już nie przestraszy. Chociaż była to tylko twarz śpiącego, podobna do maski, Hyde poruszony był zmianami, jakie na niej dostrzegł, gdy wywalił drzwi do biura Pietrunina. Ujrzał postarzałego, przebiegłego człowieka o rozbieganych, pustych oczach, które czasami wypełniały się strachem lub gwałtownym instynktem przetrwania. Stał twarzą w twarz z barbarzyńcą, degeneratem, kimś, kto często i bez wahania odbierał ludziom życie. Kto nauczył się cieszyć z tej władzy, pożądać jej i potrzebować. Przekonał się o tym, w chwili gdy czerwony śmigłowiec zawisł w powietrzu, obserwując zagładę pięćdziesięciu tubylców w wąskiej zaśnieżonej dolinie. Zmieniona, zdegenerowana twarz Pietrunina potwierdziła to, czego Hyde był pewien.

Pokręcił głową. Kiedy zdjął stanowiącą jego przebranie luźną tunikę i włożył bluzę mundurową, kołnierz obtarł mu szyję. Podrapał się w tym miejscu. Przebranie. Ubrania śmierdziały, ale nie o to chodziło. Nienawidził, zaczynał nienawidzić tego, że ubrania upodobały go do kogoś takiego jak Mohammed Dżan. Odrzucił od siebie myśli o tamtym i skoncentrował uwagę na nieprzytomnym Pietruninie. Rosjanin stał się dzi kim, niebezpiecznym zwierzęciem. Nie był już starszym oficerem KGB, którego postępowanie ograniczały niepisane prawa regulujące konflikty pomiędzy służbami wywiadowczymi. Tak jak Pathanowie tropił i niszczył, nie znając litości.

Hyde był świadom, że nie może ufać Pathanom, jeśli chodzi o Pietrunina. To mogło

oznaczać, że za pół godziny zacznie się dla niego i Rosjanina podróż w ładowni ciężarówki dostawczej udającej się do Dżalalabadu. Gdyby jego, Hyde'a, tu nie było, zanim jeszcze oddział partyzantów dotarłby do gór, Pietrunin stałby się pozbawionym rąk i nóg kadłubem.

Pietrunin znów jęknął, przeżywając senne koszmary. Hyde obejrzał się. Był na siebie zły za to, że nie potrafi przestać się wsłuchiwać w te ciche jęki i jest nimi niemal poruszony. Po raz kolejny poczuł się obco w tym kraju i wśród tych ludzi. Pomyślał, że Pietrunin jest teraz jeńcem wojennym. W rzeczywistości on sam stał się jasnoskórym Pathanem. Zastanawiał się, w jaki sposób można będzie zmusić Pietrunina do mówienia. Torturami?...

Obcięcie kończyny i obietnica skrócenia cierpień przez zadanie szybkiej śmierci. Czy będzie musiał się posunąć do tak barbarzyńskich gróźb i metod? To dobre dla Pathanów.

Wściekle nacisnął stopą pedał gazu, skrzył kierownicę i wyjechał z wąskiej alejki na szeroką arterię, jaka mogła znajdować się w każdym z odbudowanych po wojnie miast Europy Wschodniej. Wyglądałaby swojsko nawet w Moskwie. Szeroka szosa biegła wzdłuż rzeki. W pierwszych promieniach słońca wyglądała jak smutna szara wstęga.

Aubrey wyszedł z głównego pomieszczenia pasażerskiego promu; ciała śpiących w niedbałych pozach ludzi przypominały mu pobojuwisko, a wysokie, podniesione głosy grupy uczniów zdawały się go przedrzeźniać. Drażniły go również ostro, nieprzyjemnie świeące lampy. Na pokładzie wiał silny, porywisty i mroźny wiatr. Mimo to Aubrey ruszył w stronę rufy. Jeszcze zanim tam dotarł, poczuł się starym uchodźcą i wygnańcem, który musi się ukrywać. Miał wrażenie, że tam, gdzie widział światła Brighton rozsypane wzdłuż wybrzeża, zgromadził się znikający teraz za rufą promu do Dieppe tłum, który miał być świadkiem jego wyjazdu z Anglii.

Niemal z zabobonną obawą unikał Dover, podejrzewając, że tam skoncentrują się poszukiwania. Nie zadzwonił do pani Grey, bo nie mógł się zdobyć na to, aby usłyszeć, że polowanie już się zaczęło. Podróż z Victorii przebiegła bez wydarzeń. Pościg ograniczył się do gonitwy myśli w jego głowie. Własne lęki ściagały go po całym obszarze wyobraźni.

Chwytał się relingu. Zimno metalu natychmiast przeniknęło przez rękawiczki.

Brighton, miasto, którego nigdy specjalnie nie lubił, teraz wydało mu się niesłychanie pociągające. Odpływała ostatnia łódź ratunkowa, która przybije do wybrzeża jego ojczyzny. Wybrzeża skąpanego w świetle. Wiatr bryzgał mu w oczy wodą. Nie chciał

dopuszczyć do siebie myśli, że to były łzy. Zamiast tonąć w smutku próbował skoncentrować się na rozważaniach, jak łatwo udało mu się uciec. Jeden znudzony policjant na Victoria Station wydawał się bardziej zainteresowany wyglądem dwóch pijaków niż tropieniem kogoś takiego jak on. Systematycznie przedłużany paszport na fikcyjne nazwisko bardzo mu się teraz przydał. SIS nic nie wiedziała o tym oszustwie. To była jego prywatna sprawa. Niemal każdy, kto pracował w wywiadzie, posiadał co najmniej jedną fikcyjną tożsamość. Dla Aubreya była ona tym, czym dla zwierzęcia przyjęcie postawy obronnej w chwili, gdy zostanie zaatakowane. Odczuwał podświadomą przyjemność z posiadania ukrytych i nie używanych dokumentów legalizacyjnych. Tajny świat tworzył własne specyficzne nawyki, od których nie sposób było się uwolnić.

Ale on?... On...

Uciekał potajemnie z Anglii. Wiatr zaciągał ciemną kurtynę pomiędzy nim a światłami Brighton. Fala za promem rozplynęła się w ciemnościach jak ostatnia nadzieja. On.

Później myślał o nich. O innych ludziach z tajnego świata. O stałych jego mieszkańcach, z których większość kiedyś poznał, spotkał lub przesłuchiwał. Lekko rozbawiony William Joyce, siedzący pomiędzy dwoma policjantami na ławie oskarżonych w Old Bailey po wojnie. Lord Haw-Haw, pozbawiony głosu. Potem Fuchs, potem Burgess, MacLean, Philby, Blake, Blunt, a po nich jeszcze inni. Zdawało się, że widzi ich paradujących w swoim śnie, tak jak księżę Clarence widział w noc, kiedy miał zginąć utopiony w beczce z winem, duchy tych, którzy pomagali jego bratu w morderstwie. Aubrey zobaczył swoje własne duchy, które pragnęły, aby stał się jednym z nich. Zdrajcy.

Wiedział, że roztkliwia się nad samym sobą. Pochylił się, wpatrzony w lekko wzburzoną burtami wodę, jak gdyby oferowała mu szansę ucieczki, a później głośno westchnął. Przepęłniała go także złość. To już ponad czterdzieści lat wierności. Wstąpił do służby na rzecz swej ojczyzny, wtedy kiedy Joyce i Mosley zostali faszystami, a Blunt i pozostali przyłączyli się po cichu do komunistów.

A teraz jego kraj niknął w oddali za horyzontem. Jedyne odbłask światła przypominał miejsce, gdzie leży jego ojczyzna. Odjeżdżał na wygnanie. Kiedy odkryją, że uciekł, rozpoczną poszukiwania. Później będą czekali, aż kret wystawi łeb w Moskwie, żeby odebrać należne medale i wynagrodzenie.

W ciemnościach słyszał również śmiech swego ojca. Ohydne, radosne ujadanie. Niepowodzenia i potknięcia innych, odkąd sięgał pamięcią, były dla ojca źródłem nieustającego zadowolenia. Kościelny nienawidził świata tajemnic i Aubrey często podejrzewał, że on sam uciekł weń, aby zbudować mur, który oddzieli go od ojca na zawsze.

Prawdopodobnie nie zdołałby utrzymać swych spraw w tajemnicy przed matką, ale ona zmarła, kiedy był jeszcze w szkole. Coraz rzadsze wizyty, jakie składał ojcu, zawsze sprawiały mu satysfakcję, że całe jego dorosłe życie stanowiło zagadkę dla mściwego rodzica. Teraz, kiedy od jego śmierci upłynęły już lata, w tych wietrznych ciemnościach słyszał szyderczy śmiech. Ojciec śmiał się z upadku syna.

Hałas rozbawionych nastolatków. Jeden próbuje obalić drugiego na pokład, pomyślał przerywając swoją zadumę. Jego ciało znów ziębło od wiatru. Jeden z chłopców wpadł na niego, zrzucony z grzbietu kolegi.

Aubrey zachwiał się przy tym zderzeniu. Zaciśnął wargi, aby powstrzymać okrzyk protestu.

- Przepraszam, dziadku - powiedziała czarna twarz i zniknęła, zanosząc się od śmiechu. Aubrey poczuł, że drży na całym ciele. Gorączkowo ścisnął poręcz relingu. Fala znikła tuż za statkiem. Brighton było już tylko plamą światła. Zadrżał z zimna, strachu i żalu nad samym sobą. Anglia zanurzała się w morzu niczym tonący okręt. Odwrócił się do niej plecami i ruszył przed siebie w stronę światła, hałasu i śpiących w sali pasażerskiej ludzi.

Trident British Airways wyłonił się z nisko wiszącej, ciężkiej, szarej chmury dopiero kilkaset stóp nad pasami startowymi portu lotniczego Flughafen Koln-Bonn. Już kilka minut później Massinger wraz z żoną przechodzili przez dwudziestojardową, zimną płytę lotniska, zmierzając do budynku przylotów. Choć nie było ku temu powodu, Massinger poruszał się szybko, a idąca za nim Margaret zastanawiała się nad jego dziwnym zamyśleniem, nad półśmiechem wyrażającym poczucie winy i smutek oraz uspokajającymi gestami męża, który gładził ją po ramieniu. Wyglądało na to, że chce jej tym sprawić przyjemność, a może chodziło o to, że pragnął jej coś obiecać. Margaret była zdezorientowana. Paul zdawał się raczej roztargniony niż napięty lub podekscytowany. Ona sama była już rozluźniona po napięciu, jakie towarzyszyło jej w czasie lotu z lotniska Heathrow. Wiedziała, że nikt się nimi specjalnie nie interesował i na miejscu nie będzie z całą pewnością nikogo, kto by ich śledził, ale mimo to ani na chwilę nie była w stanie w to uwierzyć i uspokoić się. Lekkie dreszcze wstrząsały jej ciałem, wprawiały w drżenie ramiona, nogi, twarz. Nienawidziła tajnego świata Paula, dopóki nie weszli na pokład samolotu, a maszyna nie pogrążyła się w szarej chmurze, aby później wznieść się w jednolicie niebieskie niebo, pod którym rozciągał się biały dywan chmur. Po pewnym czasie Margaret zaczęła się uspokajać. - Pomagał w tym dżin z tonikiem.

Ale Paul? Nie była w stanie powiedzieć, co go nurtowało. Spędził większą część nocy w mieszkaniu Australijczyka na Earl's Court, skąd - posługując się telefonem bez

podłuchu - rozmawiał z Wolfgangiem Zimmermannem. Był tam również Shelley. Margaret absolutnie nie potrafiła się odprężyć. Próbując swoistej autoterapii, pakowała i rozpakowywała rzeczy, dopóki Paul nie wrócił z Wilton Crescent.

W poczekalni dla pasażerów było równie gorąco jak w holu bagażowym. Ich walizki zmierzały ku nim na taśmociągu. Ściany budynku szeptały i mruczały, coś się tam działo. Paul Massinger stał obok żony, obawiając się o nią nawet wtedy, gdy zdawało się, że jego uwaga skupiona była na walizkach, podrygujących niczym przyczepione na sznurkach cele na strzelnicy. Dotąd zdawało się, że po wyjeździe z Anglii będzie bezpieczny, ale teraz poczucie winy bardzo wzrosło. Przypominało to nawrót wirusowej choroby. Wiedział, że musiał ustalić prawdę o śmierci Castleforda i przekonać Wolfganga Zimmermanna, aby mu pomógł. Musiał wiedzieć. Dzięki tej wiedzy, dzięki prawdzie mógł odplacić żonie za jej lojalność i decyzję złączenia z nim swojego losu. Mimo że pomagał człowiekowi, który zamordował jej ojca. Pragnął jej to zrekompenzować...

Istniał tylko jeden sposób. Prawda. Nawet jeżeli ta prawda pogrzyżyłaby Aubrey a.

- Pan Massinger? - rozległ się za nim głos mówiący po angielsku z lekkim niemieckim akcentem.

Wzdrygnął się z zaskoczenia. Odwrócił się.

- Nazywam się Wolfgang Zimmermann - oznajmił wysoki mężczyzna, pokazując jednocześnie z lekkim uśmiechem swoją legitymację. Następnie uchylił przed Margaret futrzaną czapkę. - Witam panią w Republice Federalnej, pani Massinger. - Podkreślił intonacją głosu oficjalną nazwę Niemiec Zachodnich, odzwierciedlającą sytuację polityczną kraju.

Massinger uścisnął mu gorąco dłoń.

- Dziękuję, że przyszedł nas pan powitać. Dziękuję, że zechciał pan nam pomóc - dodał z uśmiechem.

Zimmermann puścił jego rękę. Był jakieś dwa cale wyższy niż Amerykanin. Massinger już widział w nim człowieka zdolnego i pełnego osobistego uroku; te cechy spowodowały, że stał się niezastąpiony dla kanclerza Vogla. Jednocześnie dostrzegł Paul jego podkrążone niebieskie oczy, mówiące o nie przespanej nocy.

- Już zacząłem pracować - wyjaśnił Zimmermann. - Zgodnie z pańskimi przewidywaniami jest do przejrzania ogromna ilość materiałów. Jestem samochodem. Zawiozę państwa do hotelu. Myślę, że tam urządzimy naszą kwaterę główną... - Massinger znów dostrzegł na jego twarzy oznaki lekkiego rozbawienia, tak jakby rozczarowanie spowodowane załamaniem się nadziei w związku z upadkiem Układu Berlińskiego pozwalało Zimmermannowi na oczywisty dystans do idiotycznych posunięć politycznych gremiów. - ...jeżeli oczywiście pani Massinger nie będzie miała co do tego zastrzeżeń - dokończył.

Margaret uśmiechnęła się i pokręciła głową, po czym powiedziała:

- Przyjechałam tu, aby pomóc, jeżeli tylko będę mogła. Dopóki ta sprawa się nie wyjaśni, życie Paula będzie w niebezpieczeństwie. - Przyglądała się badawczo Zimmermannowi.

- W porządku - zgodził się z lekkim ukłonem. - Chodźmy. Wezmę jedną z państwa walizek i wskażę państwu drogę na parking. - Podniósł jasnoniebieską skórzaną walizkę Margaret i ruszył przodem.

Przed budynkiem dworca lotniczego owiał ich zimny, porywisty wiatr. W powietrzu wirowały płatki śniegu. Zimmermann zaprowadził ich do szarego mercedesa. Otworzył drzwi i gestem zachęcił, by wsiedli do środka.

W minutę później skręcił na południowy zachód, wjeżdżając na autostradę do Bonn. Na siedzeniu obok Zimmermanna Massinger ujrzał zgrabny stos teczek z aktami, kopert i kołonotatników. Jakby wyczuwając jego ciekawość, Zimmermann wskazał na plik dokumentów.

- Efekt wstępnych poszukiwań - wyjaśnił ze śmiechem. - Na szczęście BfV to nie Abwehra i nie trzyma tylu papierzysek. Pan, panie Massinger, jest za młody, aby znać G-2?

- Mam tylko powojenne doświadczenia - przyznał Massinger.

- CIA. Dosyć błyskotliwa kariera.

- Oczywiście pan to sprawdził.

- Przepraszam. Wszystko przez tę moją ciekawską naturę. To nie podejrzliwość. Mój stary kumpel Aubrey jest szczęściarzem, mając w panu przyjaciela. - Przez chwilę milczał. Zdawało się, że skoncentrował uwagę na dużym ruchu ulicznym, ale po chwili dodał: - Tak jak ja byłem szczęśliwy, mając przyjaciela w nim, człowieku o takich umiejętnościach i tak lojalnym. To, co się ostatnio wydarzyło, bardzo mnie zasmuciło, ba, wręcz zaalarmowało. Z pewnością wasze MI5 tak naprawdę w to nie wierzy? To przecież zupełna niedorzeczność.

- Tak jak załatwienie pana przez Chińczyków i Amerykanów. - Massinger westchnął, pochylając się do przodu.

- Bardzo proszę, nie mówmy o tym - powiedział Zimmermann.

- Proszę mi wybaczyć.

- Nic nie szkodzi.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu w stronę Bonn. Minął ich autobus jadący na lotnisko. Jak zawsze, uwagę Massingera zwróciła duża liczba nowoczesnych samochodów. Zdołały szosy i autostrady niczym baretki odznaczeń za zasługi i osiągnięcia. I to mimo recesji, jaką przeżywała niemiecka gospodarka.

Było oczywiste, że Zimmermann uważał swoje własne doświadczenia za temat verboten*, chociaż tak przypominały problemy Aubreya. Ktoś chciał urządzić szefa SIS w taki sam sposób, w jaki próbowano zrobić Zimmermanna w szpiegostwo na rzecz Rosjan. Zimmermann przetrwał w pewnej mierze dzięki temu, że Aubrey ujawnił oszustwo, ale Aubrey nie wydostał się z zastawionej na niego pułapki. Chyba że...

W czasie tamtych trudnych dla Zimmermanna dni uznano go za drugiego Gunthera Guillaume'a. Były to jednocześnie ostatnie dni, kiedy to przebywał na wolności prawdziwy Gunther Guillaume, który mógł znać prawdę o „Łzie”. Mógł. Ale tylko mógł.

* *Verboten* (niem.) - zabroniony, zakazany.

Zimmermann znów mówił.

- ...bardzo wiele obszarów zainteresowań, panie Massinger. Podczas mistrzostw świata prowadzona była oczywiście ścisła współpraca. Moja służba najbardziej zainteresowana była w tym, żeby uniknąć powtórzenia sytuacji, jaka zdarzyła się w Monachium w 1972 roku. Za wszelką cenę należało ustrzec się przed kolejną tragedią. Przez parę tygodni, ba, nawet miesięcy, było tu oprócz pana Aubreya wiele osób, które pracowały w Bonn i gdzie indziej. Sądzę, że w tym samym czasie w ambasadzie brytyjskiej prowadzono jakieś wewnętrzne śledztwo dotyczące finansów. Nie znam niestety szczegółów. Nie miało to wpływu na bezpieczeństwo, jednak...

Massinger słuchał go z grzeczności, dyplomatycznie okazując zainteresowanie. Jednocześnie zastanawiał się nad sposobami uzyskania możliwie najszerszych informacji na temat Berlina i morderstwa Castleforda. Z całą pewnością w BfV mogli nadal pracować ludzie, którzy znali tę sprawę. Może nawet ci wykorzystywani wtedy przez Aubreya? Musiał to zrobić. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, był to winny Margaret.

Przejechali przez Ren mostem Kennedy'ego. Pod ołowianym niebem płynęła wzbudzona szara rzeka. Massinger zauważył, że wycieraczki mercedesa pracujące ze średnią częstotliwością już zgarniają pierwsze płatki śniegu. Chłapa. Skupisko budynków w parku nad brzegiem rzeki, gdzie mieścił się parlament federalny Bundeshaus oraz rezydencje kanclerza i prezydenta, zdawało się białe i osamotnione. Massinger spostrzegł, że Zimmermann odwrócił raptownie głowę, a później zmusił się, aby spojrzeć jeszcze raz przed siebie. Patrzył wzrokiem wygnańca.

Po chwili skręcił z Adenauerallee na podjazd hotelu Königshof. Dziesięć minut później cała trójka zniknęła w przestronnym apartamencie z widokiem na rzekę. Długie czarne barki ślizgały się po stalowoszarej wodzie, która wyglądała jak utwardzona nawierzchnia. Stos akt i kopert leżał teraz na dużym niskim stole. Zimmermann, który przyniósł do pokoju dokumenty, nie okazywał chęci wyjścia. Massinger zorientował

się, że tamten przeznacza dla niego rolę podrzędną, rolę podporządkowanego. Odczuwał z tego powodu dziwną radość i miał wrażenie, że zdjęto mu z barków część dźwiganego ciężaru. Margaret zdawała się przygotowana do rozpoczęcia pracy pod kierunkiem Zimmermanna. Miała minę człowieka, którego skierowano do nieprzyjemnego, może nawet odrażającego zajęcia. Robiła wrażenie osoby, która ze stoickim samozaparcem zamierza zbadać problem do końca.

Przygotowała drinki. Dżin z tonikiem i dwie whisky. Potem rozsiedli się wokół akt, jakby mieli za chwilę otworzyć paczki ze spóźnionymi prezentami pod choinkę.

- Zaczynamy? - zapytał Zimmermann, biorąc do ręki notatnik z wierzchu stosu. - Rozumieją państwo, że to tylko efekt wstępnej selekcji materiałów. Pracuje u mnie kilku entuzjastycznie nastawionych, ale niezbyt doświadczonych młodych ludzi. Myślę, że zrobimy to lepiej niż oni. - Położył dłoń na stosie akt. - Panie Massinger?... - zachęcił.

- Czego szukamy? - zapytała Margaret, odstawiając szklankę. Syrena barki zawyła na szarej rzece. Rozmiękły śnieg na szybie topniejąc spływał strumyczkami po wielkiej szklanej tafli. - Czy zna pan okoliczności aresztowania Guillaume'a?

Zimmermann skrzywił się. Massinger nie był pewien, czy była to reakcja na osobiste przeżycia, czy też wyraz jakiejś narodowej niechęci, a może krzywdy.

- Znam - odpowiedział.

- Czy w takim razie przypuszcza pan, że był tam ktoś, kto próbował ratować Guillaume'a? - wtrąciła Margaret.

Zimmermann oświadczył:

- Tak uważam i nie sądzę, aby tym człowiekiem był Aubrey. Przypadkowo ma to związek z pani ojcem. - Zimmermann zwracał się teraz do Massingera, który aż się wychylił do przodu z niecierpliwością.

- Nie jestem tutaj po to, aby o tym dyskutować - mruknęła niechętnie Margaret. Całe okno pokrywały teraz strumyczki topniejącego śniegu. Przecinały się nawzajem lub torowały sobie nowe ścieżki w miejscach, gdzie duże płatki śniegu przyklejały się do szyby. Z tej odległości trudno było nawet dojrzeć rzekę. W oddzielnym od świata podwójnymi szybami pokoju było ciepło. - Jestem tutaj, ponieważ zagrożone jest życie mojego męża.

Spojrzała gdzieś w przestrzeń pomiędzy obu mężczyznami. Po chwili Zimmermann odezwał się, skłaniając lekko głowę:

- Przepraszam. Proszę mi pozwolić wyjaśnić państwu wydarzenia z kwietnia 1974 roku. Guillaume został aresztowany w nocy 23 kwietnia przez funkcjonariuszy

BfV - naszego kontrwywiadu, takiego, jakim jest MI5 w Anglii. Podejrzewano go już od pewnego czasu. BfV sugerowało kanclerzowi Brandtowi, aby pozostawił go jeszcze przez pewien okres na stanowisku bliskiego doradcy. Liczono bowiem, że Guillaume ujawni, być może, swoją siatkę oraz oficera prowadzącego - kontrolera. To on właśnie spełniał rolę rurociągu, którym wiadomości płynęły do NRD lub nawet do Moskwy...

Massinger przytaknął ruchem głowy.

Margaret oparła podbródek na pięści i słuchała z przejęciem, z jakim . słucha się lekcji nowego, wspaniałego nauczyciela. Massinger zdał sobie sprawę, że jego żona wygląda niemal dziecinnie. Była spokojna, pochłonięta słowami Zimmermanna. Wyraz twarzy Margaret zdradzał jedynie część jej uczuć i doświadczeń przeszłości, bo i ta praca pochłaniała tylko niewielką część jej umysłu i emocji.

- ...ja bym tego nie zrobił. Mimo to kanclerz nadal zatrudniał Guillaume'a, a nawet mu ufał, ponieważ jeszcze przed 27 kwietnia jego doradca zdołał podważyć wiarygodność większości dowodów zgromadzonych przez BfV. Poddano go jednak ścisłej inwigilacji.

- Tak więc macie pełny zapis jego ruchów, kontaktów, słowem - wszystko? - zapytał Massinger.

- Oczywiście. Ale BfY ocenia oficjalne raporty jako niepełne, ponieważ Guillaume musiał się zorientować, że jest podejrzewany. Do niczego nas nie doprowadził. Należało go aresztować, ponieważ nie można było liczyć, że wyciągnie się jeszcze jakieś korzyści z jego pobytu na wolności. BfY wiedziało, że kanclerz nie chce uwierzyć w winę Guillaume'a i nie sprzyja podejmowanym krokom. Dlatego poczekano, aż Brandt wyjedzie do Kairu, i wtedy dokonano aresztowania... - W oczach Zimmermanna pojawił się błysk.

Massinger zorientował się, że tamten poddaje próbie jego intuicję, powiedział więc szybko: - To jeszcze nie wszystko, czyż nie tak? Zgaduję, że BfV ledwo zdążyło w ostatniej chwili.

Zimmermann pokiwał z uznaniem głową.

- Dokładnie tak było. Miał telefon na podsłuchu. Obserwowano jego ruchy. Wyszedł do pracy jak zwykle. Myśleliśmy, że mysz urządzi sobie bal, kiedy nie będzie kota - kanclerza. Przepraszam, że tak często odruchowo używam formy „my”. Nie miałem wtedy powiązań z tą służbą. - Nastąpiła chwila milczenia, po której Zimmermann dodał: - Usiłował zgubić ogon. Udało mu się to osiągnąć dwukrotnie, na tydzień przed aresztowaniem. Wytrwale trzymał się z dala od swej agentury, kurierów i kontrolera. Zdawało mu się, że są bezpieczni. Ale z kimś się spotykał. Ktoś nam nie znany

pomagał mu z całą pewnością. Ostrzegął go. - Przekartkował notes i potwierdził: - Tak, 22 kwietnia człowiek mówiący po angielsku z wyraźnym niemieckim akcentem zatelefonował do Guillaume'a i ostrzegł go o podsłuchu. Guillaume natychmiast opuścił mieszkanie i udał się do budki telefonicznej. Na całe szczęście założyliśmy podsłuchy we wszystkich budkach położonych w pewnej odległości od jego domu. Dobrze, że wybrał dostatecznie bliską. - Zimmermann mówił z satysfakcją, jakby odtwarzał szczególnie przyjemny fragment swojego życia.

Mimo wszystkich rozczarowań, jakich doznał w ciągu ostatnich dwóch lat, całym sercem poświęcił się roli specjalnego doradcy niemieckiego kontrwywiadu. To było tak, jakby znów wracał z nowym zapałem i siłami do czasów Abwehry.

- I co?

- Był pewien kłopot. Przecieki. W BfV krążyła plotka, która dotarła do Guillaume'a. Ta plotka mogła wyjść wyłącznie od nas albo od ludzi oddelegowanych do BfV i działających jako część zespołu badającego stan zabezpieczenia mistrzostw świata. - Wzrok Zimmermanna sposepniał. - Papiery zostały przygotowane, wynajęty samochód... Ustaliliśmy szereg automatów w różnych budkach telefonicznych, ale nigdy nie udało nam się ustalić dzwoniącego. Przerzut do NRD miał nastąpić dwudziestego czwartego, samochodem i na podstawie fałszywego paszportu. Dlatego Guillaume został aresztowany poprzedniej nocy.

- Zawsze dzwoniła ta sama osoba?

Zimmermann potwierdził:

- Zawsze. Anglik mówiący poprawną szkolną niemczyzną. BfY było pewne, że chodzi o zawodowego pracownika operacyjnego wywiadu, który przekazywał instrukcje mocodawców Guillaume'a. Kimkolwiek był, pracował dla wywiadu wschodnio-niemieckiego lub KGB i prawdopodobnie nadal pracuje.

Zimmermann skończył mówić, wypił łyk whisky i uśmiechnął się zachęcająco do Margaret. Massinger zobaczył, że ściągnęła brwi w skupieniu. Mimo to jej twarz nadal pozostała gładka. Margaret skryła głęboko swoje uczucia, aby skoncentrować się na sprawie bezpieczeństwa męża;

Śnieg stopniał i okno powoli się oczyściło. Barki odplynęły niczym spłaszczony wieloryby.

- Czy były jakieś dowody, które by wskazywały na konkretne osoby?

Zimmermann pokręcił głową.

- Niestety nie. Ustalono firmę, która wynajęła samochód, i uzyskano rysopis mogący pasować w zasadzie do każdego. Znaleziono w mieszkaniu Guillaume'a bilety na

pociąg, który - jak przypuszczamy - miał być zastępczym środkiem transportu, zostały kupione przez kogoś, kto mówił po niemiecku trochę dziwnie, ale to zbyt mało do identyfikacji. Prawdę mówiąc, nie mieliśmy żadnego punktu zaczepienia.

- A ilu było podejrzanych?

- Ostrożnie licząc, około dwudziestu, dwudziestu pięciu osób. Wśród nich większość stanowili doradcy, ale byli tam również zwykli członkowie personelu ambasady.

- Czy ma pan listę nazwisk?

- Proszę. - Zimmermann podał Massingerowi kartkę. Lista nazwisk była elegancko rozmieszczona na środku strony. Krój czcionki wskazywał, że lista mogła zostać napisana przez drukarkę komputera.

- Dobrze. - westchnął Massinger. - Jak do tej pory, nikt niczego nie znalazł. Co mamy do stracenia?

- Mam tu dla pana jeszcze jedno nazwisko - powiedział Zimmermann i zdumiał się, widząc chciwą informacji, pełną zapału twarz Massingera. Spojrzał na Margaret, a potem znów zwrócił wzrok na Massingera. Na ich twarzach dostrzegł uczucie wzajemnej miłości, przepojonej nie do końca ukojonym bólem. Żałował, że ujrzał to uczucie w tak nagłej, obnażonej formie. Mimo że przeczuwał nadchodzący moment krytyczny, podał Massingerowi małą, złożoną kartkę, którą wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki. - Ten człowiek jest już na emeryturze - wyjaśnił.

Margaret od razu zdała sobie sprawę z konsekwencji słów Zimmermanna.

- Kto to jest? - zapytała gniewnie. - Co to znów za nazwisko?

Massinger przygarbił się.

- To się łączy z...

- Z moim ojcem? Czy o to chodzi? Prosiłeś pana Zimmermanna, żeby mnie pomógł!

- Nie tobie. Nam.

- Nie!

Zimmermann poruszony był jej bólem. Nagle się postarzała. Była poruszona. Nawet załamana.

- Nie mogę tego tak zostawić... - rzekł Massinger.

- Nie chcę, żebyś... - przerwała Margaret.

- Muszę...

- Przestań!

Zimmermann zawahał się, ale powiedział:

- Nie przypuszczam, abyście uznali, że to było...

- Nie obchodzi mnie to! Nie chcę wiedzieć! - jęknęła Margaret.
- To nie może być Aubrey.
- Dlaczego nie?
- Wierzę, że to niemożliwe. - Zimmermann przyglądał się Massingerowi, potem popatrzył na jego żonę i znów zwrócił wzrok na Massingera. Niepewnym głosem powiedział: - Ale pan wierzy, że to mógł być Aubrey, panie Massinger. Wierzy pan?
- Nie wiem już, co myśleć.
- Myli się pan.
- Przestańcie! Przestańcie! Nie chcę, abyś dalej się tym zajmował, Paul. Chcę wreszcie zapomnieć. Czyż nie możesz tego zrozumieć? Proszę.

- Muszę - mruknął rozkładając papier. Margaret wstała sztywno i wyszła z pokoju. W chwilę później usłyszeli odkręcany kran w łazience i brzęk szklanki.

Massinger poczuł na sobie spojrzenie Zimmermanna. Ten człowiek wypełniał pokój wrogością, jak oficer śledczy. Paul rozejrzał się bojaźliwie.

- Gdybym wiedział - zaczął Zimmermann - że taka była pańska opinia...

Massinger podniósł rękę.

- Proszę - powiedział. - Proszę. Ja muszę wiedzieć. Margaret musi wiedzieć. Chryste. Nie wiem, w co wierzę!

- Ale podejrzewa pan?...

Massinger potwierdził ostrożnie:

- Tak.

Zimmermann siedział na krześle w niewygodnej pozycji. Zdawał się rozbrojony tym nie kontrolowanym cierpieniem Amerykanina.

- Nie rozumiem - mruknął w końcu. - Nie rozumiem, skąd takie podejrzenia. Poprosiłem BfV o wytopienie kobiety, która według pana była związana z Aubreyem i ojcem pańskiej żony. Człowiek, którego nazwisko pan otrzymał, był jednym z ludzi pozyskanych przez Aubreya w Berlinie. Jednym z wielu, którzy później zostali dobrymi funkcjonariuszami BfV. Alianci przeszkolili wielu naszych najlepszych ludzi, aby chwytali innych Niemców. - Twarz Zimmermanna była obojętna. - Ten człowiek mieszka w Kolonii. Będzie panu potrzebny samochód.

Massinger podniósł wzrok.

- Co? - zapytał, jakby nie dosłyszał słów tamtego.

- Im wcześniej załatwi pan tę sprawę, tym wcześniej będę mógł pomóc panu i żonie, Aubreyowi, a może nawet Anglii. Nie wiem. Podejrzewam, że żona nie będzie chciała pana widzieć. - Uśmiechnął się. - Proponuję, aby pan pozwolił mi zaprosić ją na obiad, podczas gdy pan będzie ścigał demona z Kolonii. Tego wieczora zatem pan

pomoże mnie, a ja panu...Ostatnie słowa, które zabrzmiały niczym cięcie noża, zawierały subtelną aluzję, że Zimmermann wie więcej. Massinger dotkliwie, wyraziście odczuł swoją ociężałość, egoizm i winę.

- Rozmawiał pan już z tym człowiekiem, prawda? - zapytał.

Zimmermann uśmiechnął się.

- Może.

- Więc niech mi pan powie.

- Nie. Niech pan sam go wysłucha.

Przez chwilę Massinger przyglądał się Zimmermannowi złym wzrokiem, a później wstał sztywno. Biodro doskwierało mu równie mocno jak świadomość. Istniała pewna nadzieja, skoro Zimmermann lekceważył jego wątpliwości w stosunku do Aubreya.

- Bardzo dobrze - rzekł Paul. - Świetnie. Zrobię tak, jak mi pan radzi.

- Zarezerwowałem samochód na pana nazwisko. Musi pan tylko zgłosić się w recepcji. - Przystojna twarz Zimmermanna wyrażała teraz gorzką wzdargę. - Nie życzę panu szczęścia - dodał kwaśno.

Zastępca przewodniczącego KGB Kapustin obserwował ruch uliczny na placu Dzierżyńskiego ze swoich okien. W rękę pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym trzymał cienką bibułę z treścią meldunku. Poszarpana u góry kartka wskazywała, że pospiesznie wyrwano ją z dalekopisu i dostarczono jednemu z jego sekretarzy.

Niewielka kawalkada czarnych służbowych wołg z przesłoniętymi szybami skręciła w kierunku Kremla. Wozy jechały w tumanach śniegu. Przewodniczący i kilku jego starszych doradców uczestniczyli w niektórych posiedzeniach Biura Politycznego. Kapustin rozważał, czy powinien czuć się jak chłopiec, którego nie zaproszono na przyjęcie. Nie, był raczej myślą, szalejącą w czasie nieobecności kota.

Śnieg walił coraz gęściej na placu.

Naprzeciwko jego okna na drugim piętrze niczym podświetlana tablica ogłoszeniowa błyszcząły światła należącego do KGB ekskluzywnego sklepu. Kiedy odwrócił się do sekretarza, który przyniósł szyfrogram, miał w twarzy złość. Starł się stłumić przecucie klęski i towarzyszący mu strach.

- Na ile wiarygodne są te dane? - zapytał.

- Towarzyszu zastępczo, melduję, że członkowie zespołu towarzysza Pietrunina przesłuchali bardzo dokładnie żołnierzy z ochrony.

- Sprawdziliście?

- Oficer nasłuchu zameldował swojemu przełożonemu, że zanim zdecydowano się przesłać ten szyfrogram wyżej, sprawdzono wszelkie informacje w Kabulu.

- I co?
 - Kabul stwierdza...
 - Konkretnie kto w Kabulu?
 - Kierownik zespołu Pietrunina, kapitan KGB. To nasz człowiek.
 - Dobrze. Jego wnioski?
 - Że facet, który uprowadził pułkownika Pietrunina, jest niewątpliwie brytyjskim agentem. - Sekretarz niespokojnie przestępował z nogi na nogę.
 - Nic konkretniejszego? - zapytał przygnębionym głosem Kapustin.
 - Naszemu człowiekowi wydaje się, że go zna.
 - Skąd? Z przelotnego kontaktu czy z opisu?
- Sekretarz skinął głową.
- Towarzyszu zastępcu, zadałem sobie pytanie. Rozważałem sprawę opóźnienia. Warte jest ono chwili zastanowienia, jeżeli weźmie się pod uwagę skutki.
 - Skutki?
 - Towarzyszu, zastępca Pietrunina był naszym tajnym współpracownikiem. Kiedy pułkownik Pietrunin został karnie przeniesiony, prosił o możliwość zabrania ze sobą na nowe stanowisko w Kabulu swego najbliższego współpracownika. Rozumiecie, towarzyszu zastępcu, że lepiej było wysłać z nim kogoś, komu moglibyśmy zaufać.
- Śmiech Kapustina przypominał szczekanie psa.
- Pamiętam! - wykrzyknął. - Biedne chłopisko. Pamiętam jego minę. - Po chwili nastrój mu się znów pogorszył i dodał: - No i co dalej?
 - Oświadczył, że zamieszany w to człowiek jest agentem brytyjskim. Zna nawet jego nazwisko. Twierdzi, że to Patrick Hyde.
- Kapustin wyglądał na zaskoczonego.
- Kto taki?
 - Hyde był z Aubreyem w Helsinkach i w Wiedniu. Był razem z nim w czasie wielu naszych spotkań.
- Kapustin szeroko otworzył oczy.
- On? - Głośno wciągnął powietrze. - W Kabulu? Nie wierzę. Ukrywa się gdzieś w Europie...
 - Nasz człowiek jest pewien. Zna tego typa. Towarzyszu zastępcu, nie ma nawet cienia wątpliwości...
 - „Łza”. Czy przypuszczacie, że on...
 - Nie wiem. Nie możemy sobie pozwolić na ryzyko. Chociaż. Według mnie...
- Kapustin wpatrywał się w twarz sekretarza, a następnie raz jeszcze przestudiował trzymany w ręku dokument.
- Sprawdziliście? Sprawdziliście dwukrotnie?...

- Tak jest, towarzyszu zastępcu. Nasz człowiek daje za to głowę.

Kapustin milczał przez dłuższą chwilę. Później powiedział: - W takim razie pozostaje tylko jedno rozwiązanie. A szkoda. - W jego głosie zabrzmiał pusto dziwnie sentymentalny ton. - Ale nie mamy wyboru.

Nie możemy pozwolić sobie na najmniejsze ryzyko. Dobrze. Wydać rozkazy temu cholernemu wojsku. Powiedzieć naszemu człowiekowi, że przejmuje dowodzenie. Pozbyć się Pietrunina i Hyde'a. Znajdźcie ich i pozbądźcie się wszystkich.

- Tak jest.

Dla Eldona było oczywiste, że sir Andrew Babbington ucieszy się z gratulacji. Eldon uważał, że powinien je złożyć, zarówno z obowiązku, jak też z sympatii dla swojego przełożonego. Dziś rano Babbington otrzymał nominację na stanowisko pierwszego dyrektora generalnego SAID. Eldon wiedział, że może awansować wraz ze swoim szefem, ale nie podzielał optymizmu, który zawarł w życzeniach. Kierował się też w pewnym stopniu swoimi prywatnymi interesami. Eldon był zły i skłopotany z powodu zniknięcia Aubreya. Chciał w ten sposób usunąć powody, które mogłyby wywołać u Babbingtona te same uczucia. Z drugiej strony, uważał utworzenie SAID za pożyteczną innowację, a Babbingtona za odpowiedniego dyrektora.

- Dziękuję, Eldon. Szkoda tylko, że nasz triumf nie jest pełny, a wszystko przez niedbałość pańskich ludzi, którzy mieli pilnować Aubreya.

- Przypomina pan sobie chyba, sir Andrew, że początkowo wnioskowałem o ściślejszy nadzór nad sir Kennethem? - Eldon był pozornie spokojny.

Babbington rzucił gniewne spojrzenie, po chwili jednak machnął ręką, jakby chcąc strzepnąć okruchy z białego lnianego obrusa, który przykrywał stół. Jadalnia w klubie była prawie pełna, ale stolik Babbingtona ustawiono dość daleko od pozostałych. Eldon pamiętał czasy, gdy Babbington jako adept w świecie tajemnic nie zasługiwał jeszcze na taki odosobniony zakątek jadalni. To wspomnienie rozbawiło go. Zuchwałość ucieczki Aubreya też go w pewien sposób bawiła, chociaż dosyć mocno drażnił jego poczucie moralne fakt, że ten człowiek wywinął się od procesu i wyroku.

- Pamiętam bardzo dobrze. Dopóki Kenneth się nie znajdzie, nie dojdzie do wzajemnego obrzucania się oskarżeniami. Shelley z pewnością nie był w to zaangażowany. Kennethowi zabrakło szczęścia, sił i czasu. Ale, Eldon, wróćmy do SAID.

- Słucham, sir Andrew?

- Chciałbym pana mianować na stanowisko zastępcy dyrektora generalnego. Oczywiście drugiego, bo na pierwszego będę musiał zaproponować kandydaturę Worthingtona. Przynajmniej na jakiś czas.

- Rozumiem, sir Andrew. Dziękuję. - Eldon spojrział na swój kotlet z jagnięcia. Babbington wypił łyk czerwonego wina. - Nie spodziewałem się tego. - Eldon uznał, że musi to powiedzieć, zdziwił się tylko, że ta wiadomość nie wywołała w nim większego podniecenia.

- Nigdy się pan nie spodziewał, prawda? - niemal podrwiwał Babbington. - Czasami mi się wydaje, że nie ma pan żadnych ambicji.

- Przepraszam, sir Andrew - odpowiedział spokojnie Eldon, przeżuując kawałek baraniny. Podniósł wzrok i patrzył spokojnie. Babbingtona zdenerwowało opanowanie podwładnego. Na jego własną radość rzucało cień zniknięcie Aubreya, ale cień ten tylko dla niego był widoczny. Aubrey sam w sobie nie miał żadnego znaczenia. Przegrał, był przegrany.

- Świetnie, Eldon - rzekł Babbington. Był lekko zirytowany, że Eldon nie okazywał radości i zaskoczenia, ale szybko o tym zapomniał. Eldon był dobry, godny zaufania, sumienny i mało ambitny, wprost idealny drugi zastępca. Gdzieś w Hampshire mieszka jego żona, która bez wątpienia podejdzie do tego awansu w bardziej praktyczny sposób, sprawi jej on znacznie więcej przyjemności niż jej mężowi.

- Gdzie teraz może się znajdować nasz drogi Kenneth?

Eldon studiował etykietkę na butelce wina, jakby jego rocznik i pochodzenie można było wykorzystać do skonstruowania legendy dla agenta. Później upił łyk wina i oświadczył:

- W drodze na Wschód, sir Andrew. Odnajdzie się w Moskwie. Nie mam wątpliwości, że za jakiś czas tam wypłynie, jak będą mu przypinali medal.

Wydawało się, że Eldon powiedział to bez ironii.

- Też tak przypuszczam - zgodził się Babbington. - Idiotyczna historia, wciąż to samo.

- Lepsze to niż sytuacja, w której nie wiedzielibyśmy, gdzie jest - mruknął Eldon.

- Eldon, niech pan przeczesa jego przeszłość. To pańskie pierwsze zadanie. Wszyscy jego rezydenci, tajni współpracownicy, kontakty operacyjne. Cała jego agencja. Chcę to wszystko mieć.

- Oczywiście. To bardzo rozsądne.

Babbington właśnie zamierzał coś odpowiedzieć, kiedy zbliżył się kelner. Podsunął mu srebrną tacę, z której Babbington wziął zapieczętowaną kopertę. Podanym usłudnie nożem do papieru podważył czerwoną woskową pieczęć i otworzył kopertę. Gestem ręki odesłał kelnera. Eldon obserwował go, gdy czytał, analizując jednocześnie własne uczucia; zastanawiało go, że nie odczuwa w tej chwili przyjemności, jaką sprawił mu

niedzielny lunch z Aubreyem. Mimo woli porównywał uczucia, jakie wywoływali w nim Babbington i Aubrey. Babbington nie miał w sobie naturalnego wdzięku, potrafił go roztaczać tylko wtedy, gdy się o to specjalnie starał. Aubrey za to był wprost czarujący. Utalentowany, obdarzony intuicją, potrafił zająć właściwe stanowisko, zanim jeszcze okoliczności udowodniły, że miał rację. Aubrey był wspaniały. Takim Eldon chciałby widzieć siebie, z jednym tylko wyjątkiem - Aubrey był zdrajcą. Mimo to jednak Eldon nie chciałby być Babbingtonem.

Patrzył na grube rysy Babbingtona. Można go było uznać za przystojnego brutala. Elaine spodobałby się. Jego siła charakteru, która widoczna była nawet teraz, w chwili narastającego zdenerwowania, ba, strachu. Właśnie to przyszło Eldonowi do głowy, chociaż śmiał się w duchu z tego, jak żona odbiera cechy osobowości innych ludzi. Wydawało się, że podświadomie wybrał żonę, która nigdy nie będzie mogła rywalizować z nim lub naśladować jego umiejętności wnikania w głąb cudzej osobowości.

Również strachu?

Dlaczego?

Babbington pochwycił spojrzenie Eldona, w którym dostrzegł jedynie gniew. Ale Eldon zaraz przybrał spokojną, pozbawioną wyrazu minę.

Babbington zmiął papier w kulkę.

- Informacja z kontynentu - oznajmił z ponurą ironią. - Widziano Massingera w Bonn.

- To jeden z pierwszych sukcesów SAID - zauważył Eldon.

- Nie ma z czego żartować, Eldon!

- Przepraszam.

- Co, u diabła, Massinger robi w Bonn? - Eldonowi wydawało się, że Babbington podejrzewa jakiś blef lub wybieg w całej zagadce. A jeżeli Babbington zna odpowiedź?... Odrzucił to przypuszczenie. W niektórych sytuacjach lepiej naśladować Elaine, ostrzegł się w duchu. Paranoja oficera śledczego. - Dlaczego, do cholery, nie rzuci tej cholernej sprawy? - denerwował się Babbington. Po chwili dodał: - Trzeba go zatrzymać.

- Jeśli to ważne? Czy mogę?... - Eldon wyciągnął rękę. Babbington niechętnie podał mu papierową kulkę. Eldon rozprostował ją na obrusie, przeczytał i powiedział: - Nie bardzo rozumiem, co możemy zrobić, dopóki jest z Zimmermannem. Chyba tylko grzecznie go poprosić?

- Więc niech pan to zrobi i znajdzie Aubreya. Chcę, żeby stanął przed sądem. Pragnę zobaczyć Aubreya na ławie oskarżonych w Old Bailey*.

* Old Bailey - siedziba Sądu Najwyższego w Londynie. - Przyp. tłum.

Eldon znów dostrzegł przeblysł strachu, skrywany grubą warstwą gniewu. Teraz on zgniótł w kulkę kartkę z wiadomością.

Hyde'owi wydawało się, że przybycie przed zmrokiem do opuszczonego afgańskiego fortu jest tym, czym start do wyścigu, w którym zwycięzcom rozdano już nagrody. Ten dzień był wyczerpujący. Nie tyle ze względu na długość trasy, co na napięcie wokół niego i więźnia. Przy życiu pozostało jedenastu Pathanów, wśród nich Mohammed Dżan. Wszyscy oni pożąдали Pietrunina, jakby był wysadzany drogimi kamieniami. Nawet tu, w zaciszu fortu, w salach, gdzie hulał wiatr, wywiewający z zakamarków pomieszczeń kupki śniegu, które tworzyły małe zamiecie - Hyde widział głodne zemsty oczy partyzantów skierowane nieustannie na Rosjanina. Miandad również wyczuł zbliżający się moment krytyczny, przykucnął bowiem obok Hyde'a i Pietrunina. Jego drobna sylwetka sprężyła się w niespokojnym oczekiwaniu. Mohammed Dżan po rozmieszczeniu posterunków wartowniczych paradował po forcie niczym magnat, któremu подарowano dwór wymagający całkowitej przebudowy. Owładnięty był żądzą zmian i jednocześnie ogromnie zadowolony z faktu posiadania nowych dóbr. Pietrunin należał do niego. Wskazywały na to wyraźnie postawa i zachowanie Mohammeda.

Opuścili ciężarówkę po drodze do Dżalalabadu, około pięciu mil od miejsca, gdzie stoczyli potyczkę z patrolem i gdzie Hyde zabił porucznika Azimowa. Pathanowie, którzy wymknęli się z Kabulu na rowerach, pieszo lub na wozach, spotkali się z nimi przed południem. Hyde zdziwił się widząc, jak niewielu ich zostało. W sklepie wytwórcy dywanów nie mógł porozmawiać z Miandadem, bo Pakistańczyk pośpiesznie załadował go wraz z przytomnym już wtedy Pietruninem do ciężarówki, a później wsiadł do kabiny kierowcy. Samochód ambasady zabrał jeden z synów właściciela sklepu. Hyde podejrzewał, że wyjechał nim za miasto i zepchnął pojazd w przepaść.

Nikt nie szukał ciężarówki. Zdołali uciec z Kabulu około dziesięciu, piętnastu minut wcześniej, zanim rozpoczęto blokadę miasta. Udało się wykorzystać moment zaskoczenia; dzięki temu Pietrunin wciąż był w ich rękach.

Całe popołudnie towarzyszył im warkot śmigłowców. Kiedy weszli w rejon wzgórz, podobne do rekinów cienie szturmowych MiL-ów przemykały po otulonych śniegiem zboczach. Hyde zauważył, że Pathanowie strzegli Pietrunina niczym głowy rodu. Był strażnikiem skarba, w którym zamknięto ich nienawiść i żądę odwetu. Błyszczące złote monety. Uniknęli wykrycia. Było to z pozoru proste, ale wymagało przekradania się wąskimi wąwozami lub ukrytymi, cienkimi niby włos ścieżkami pośród niemal pionowych skał. Wreszcie doszli do fortu, gdzie Hyde i Miandad odpoczywali przed dwoma dniami.

Po zmroku będą kontynuować marsz. Miandad ocenił, że przed świtem przekroczą granicę z Pakistanem. Przeprawa przez granicę i poprzedzające ją godziny kojarzyły się Hyde'owi wyłącznie ze skrajnym wyczerpaniem, a nie z bezpiecznym odpoczynkiem, czekającym go u kresu podróży.

Nienawiść. Nawet teraz, kiedy temperatura spadła poniżej zera, nienawiść rozgrzewała ciało Hyde'a. Niemal trzy czwarte Pathanów zginęło w czasie operacji uprowadzenia Pietrunina. Ostatni z nich padli na placu, spaleni rozrywającymi się raketami lub przeszyci pociskami. Niektórzy z nich mogą jeszcze umrzeć z ran, wyczerpania lub gangreny. Ten wysiłek i straty wymagały rekompensaty w postaci obciętych kończyn Pietrunina i jego powolnej śmierci. Aby zaspokoić swoją nienawiść, gotowi byli narażać się na schwywanie lub śmierć, bo tym groziło pozostanie tu przez dwa lub trzy dni, tylko po to, aby zabijać go powoli, doznając przy tym niewypowiedzianej rozkoszy.

Cóż, Pietrunin spalił pięćdziesięciu ludzi Mohammeda Dżana. Spalił mu dwóch synów.

- Przyjacielu - powiedział cicho Miandad, siedzący po drugiej stronie Pietrunina, który zdawał się spać. - Co zrobisz? Czy już zdecydowałeś?

W pozbawionym stropu pomieszczeniu, gdzie zgromadzili się wokół małego, ledwo pełgającego ogniska, wiatr poderwał z podłogi sypki śnieg, tworząc z niego na moment śnieżny tuman. Szary płaszcz Pietrunina obsypany był śniegiem. Na razie Pietrunin nadal był żywy i cały. Nie odpowiedział dotąd na żadne z pytań Hyde'a. Zdawał sobie sprawę, jaką przedstawia wartość dla Australijczyka, i ufał, że tamten będzie w stanie zapewnić mu ochronę. Pietrunin zdawał sobie z tego sprawę równie dobrze, jak Pathanowie zdawali sobie sprawę z faktu, jak cennym jest dla nich towarem. Wiedział, że Hyde nie sprzeda go Mohammedowi Dżanowi nawet za cenę własnego bezpieczeństwa.

Hyde pokręcił głową.

- Nie wiem - rzekł. - Chryste, nie wiem! - Pietrunin zdawał się zapadać w sen. Hyde wbił mu energicznie łokieć w żebra. - Obudź się, sukinsynu! - warknął. Kiedy Pietrunin się wyprostował, Pathanowie zamruczeli niczym wielkie koty. Ich głosy były gardłowe, żądne krwi. - Ty sukinsynu, ty sukinsynu... - powtarzał Hyde bezwiednie.

- Nie możesz mnie oddać w ich ręce - zauważył spokojnie Pietrunin, chociaż jego twarz zdradzała, że sens pomruku Pathanów jest dla niego jasny. - Nie odpowiem ci, ponieważ później będziesz mógł mnie im oddać. Jeśli to zrobisz, a oni zaczną swoją robotę, to nawet jak zacznę mówić, i tak nie będziesz ich w stanie powstrzymać. Nigdy ci na to nie pozwolą.

- Zatem jak pan sobie wyobraża swoje własne bezpieczeństwo, które ma panu zapewnić pan Hyde, skoro oni są tacy groźni? - zapytał Miandad.

Pietrunin przyjrzał się Pakistańczykowi.

- Nie możesz nas przeprowadzić przez granicę? - zapytał Hyde.

- Stąd mogę, ale wątpię, czy będziemy się w stanie prześliznąć nie zauważeni, przyjacielu.

- Cholera.

- Straciłem już ich zaufanie. Boję się - kontynuował Miandad. - Moja sytuacja nie pogorszy się, jeżeli pomogę ci w ucieczce. Ale nie bardzo rozumiem, jak zdołamy uciec przed Mohammedem Dżanem. Widzisz taką możliwość?

- Nie widzę. W tej kwestii jesteśmy zgodni. Dzięki temu sukinsynowi.

- Nie prosiłem, żebyście mnie porywali! - zauważył Pietrunin z werwą, która zdawała się być odzwierciedleniem innych czasów i miejsc, a nawet innej osobowości.

- Aubrey też się nie prosił, żeby go zrobić! - burknął Hyde.

Pathanowie znów się sprzyli. Dzikie, wielkie koty. - Ja się nie prosiłem, żeby moi koledzy dostali polecenie zabicia mnie, ani o to, żeby tu być.

- Nie zrobiłem nic oprócz wymyślenia „Łzy”. Nie wykorzystywałem tego. To nie było nic więcej niż ćwiczenie intelektualne.

- Jaki miało cel?

- Ach - mruknął z zadowoleniem Pietrunin i uśmiechnął się.

W zapadającym zmroku jego twarz zdawała się odmłodzona i gładsza. Była oczywiście wymizerowana, odbijały się na niej wysiłek i strach, ale teraz było to prawdziwe oblicze Pietrunina. Takim go kiedyś poznał Hyde. Była to twarz ciężko chorego, który wyzdrowiał po długiej obłożnej chorobie. Ale była to także twarz groźnego nadal wroga.

- Posłuchaj - powiedział Miandad, przechylając głowę na bok. - Chyba wracają śmigłowce.

Oczy Pietrunina błysnęły, kiedy podniósł głowę i spojrział w ciemniejące niebo. Hyde słuchał. Zdawał sobie sprawę, że Pietrunin nadal oczekuje cudu, który przyniesie mu ocalenie.

Mohammed Dżan pojawił się w drzwiach. Później, kiedy nad głowami usłyszeli pierwszy dźwięk, odwrócił się i szybko wybiegł. Hyde zerwał się na nogi. Większość Pathanów także się zaniepokoiła. Wstali i ukryli się w cieniu, w kącie pomieszczenia. Ktoś zdeptał ognisko. Pietrunin leciutko się uśmiechał. Hyde wyciągnął makarowa i dźgnął Rosjanina łufą w bok. Teraz huk silników był bardzo głośny. Hyde nachylił się do ucha Pietrunina, aby tamten usłyszał, co mówi.

- Cofnij się pod ścianę. W twoim wieku powinieneś mieć dość rozumu.

Pietrunin skinął głową i wykonał polecenie Hyde'a. Cofnęli się w cień. Hyde'owi wydawało się, że widzi cienkie pasemko dymu wijące się nad rozrzuconym ogniskiem. Ale równie dobrze mógł to być tylko zapamiętany zapach ognia. Z podłogi i zakamarków sali wzbil się skłębiony i wirujący śnieg. Gdzieś bardzo blisko ogłuszająco huczały śmigła.

- Patrz! - usłyszał Hyde okrzyk Miandada. Podniósł głowę.

Śmigłowiec szturmowy wisiał tuż nad pozbawionym sufitu pomieszczeniem. Hyde zaczął mimo woli drżeć, tak jakby wirujące łopaty młóciły klepisko pod stopami. Śmigłowiec przycupnął w powietrzu niczym ropucha, a oni jak kijanki patrzyli na ciemny potworny kształt. Śnieg niby zarzucana sieć spowił ich, pokrył odzież, oblepiał skórę i wciskał się do oczu. Pokój był zamglony skłębionym śnieżnym pyłem. Patrząc w górę Hyde zauważył, że śmigłowiec nadal się zniża. Nie był teraz wyżej niż pięćdziesiąt stóp ponad pomieszczeniem, do którego zimnych ścian przyciskali plecy. Powiększał się powoli niby nadymająca się ropucha. Podmuch wysysał śnieg przez nie istniejący sufit. Śmigłowiec niczym dach zasłaniał wieczorne niebo.

Przywarły plecami do ściany wśliznął się do środka Mohammed Dżan. Po chwili uderzył w podłogę biały strumień reflektora szperacza. Hyde zmartwiał. Usłyszał, że Mohammed Dżan próbuje przekrzyczeć ryk silników. Rozległ się też wrzask Miandada.

- Żołnierze!... Obserwatorzy zameldowali, że żołnierze wspinają się po zboczach, aby nas otoczyć!

Hyde szturchnął Pietrunina lufą pistoletu.

- Nie! - ostrzegł. Wydawało się, że Pietrunin drgnął. Światło ślizgało się po podłodze, było już prawie u ich stóp. Pathanowie wymykali się przez sień i posuwali się przyciśnięci do ścian. Śnieżny cyklon przesłonił jaskrawe światło szperacza. Niebo nad nimi zniknęło. Był tam tylko ciemny kadłub MiL-a z umieszczonym w środku reflektorem.

- Ruszaj! - rozkazał Hyde. - Ruszaj, sukinsynu! - Popchnął Pietrunina wzdłuż ściany.

Znów zobaczyli niebo. Światło niczym wodospad wlewało się przez drzwi raz do tego, a raz do sąsiedniego pokoju. Zastygły z przerażenia Pathan wpatrywał się w światło. Hyde rozpoznał hałas innych śmigłowców. Z zewnątrz, z placu apelowego fortu, dochodziły odgłosy wystrzałów. Miandad wyprzedził opierającego się Pietrunina. Światło, które zastygło na Pathanie, rozlało się teraz nad nimi. Pozostający w zawisie śmigłowiec zaczął wykonywać obrót i światło jego reflektora pod kadłubem przesunęło się gdzieś dalej. Inny szperacz umieszczony w nosie maszyny oświetlił pokój za nimi.

- Teraz! - krzyknął Miandad. Hyde popchnął Pietrunina do przodu.

Ominęli osłupiałego Pathana i nieopatrznie weszli w słup światła z przedniego szperacza. Pociski karabinu maszynowego wbijały się i rykoszetowały na ubitej ziemi. Hyde napał na Pietrunina, aby go zmusić do biegu. Omal nie nadepnęli na ciało Pathana. Pociski odbijały się od kamiennych ścian.

Z trudem wydostali się na podwórko zalane światłem reflektorów. Coś ciemnego oderwało się od ściany fortu i runęło na ziemię. Ogień karabinów maszynowych z dwóch dalszych MiL-ów przesunął się w poprzek otwartej przestrzeni. Hyde zobaczył uciekające ludzkie sylwetki.

Panika, hałas, śmierć. Trzy, cztery ciała. Padali kolejni Pathanowie. Później światło schwyciło także ich. Hyde ze zdumieniem zauważył, że Miandad kłęczy. Wydawało się, że kaszle. Jeden, a później drugi pionowy słup światła. Coraz jaśniejszy blask. Wyglądało to tak, jakby podwórko stało się sceną, a punktowe reflektory świeciły wprost na trzy małe figurki.

Pietrunin patrzył w górę, w reflektor. Jego cień zniknął, zdmuchnięty reflektorem czołowym drugiego śmigłowca, który przesunął się bliżej w czarnej przestrzeni. Coraz więcej strzałów. Jedna z na wpół zrujnowanych ścian starego fortu zawałiła się do środka i wtedy Hyde dostrzegł postacie i światła przesuwające się w ich kierunku po nagle odsłoniętym zboczu.

Pietrunin machał. Hyde był zdezorientowany potwornym kaszlem Miandada. Wierował dookoła niego śnieg, ale w jasnym świetle obłok, który dotykał jego pochylonej sylwetki, był czerwony. Plama szkarłatu. Hyde przysunął się do niego. Pietrunin machał w kierunku śmigłowca. Miandad, trzymając się kurczowo za pierś, spojrział na niego. Próbował się uśmiechnąć. Głośno odkaslnął, spryskując krwią przód kożuszanego kurtki i wyciągniętą pomocną dłoń Hyde'a. Później osunął się do tyłu. Jego oczy rozszerzonymi źrenicami wpatrywały się w światło szperacza. Hyde pozwolił, aby ciało samo opadło na ziemię. W górze wisiały śmigłowce. Czuł obroty łopat. Odwrócił głowę.

Pietrunin machał i krzyczał. Śmigłowiec obniżał się. Ktoś potknął się o Hyde'a i upadł. Zielony turban Mohammeda Dżana był tak blisko, że aż hipnotyzował. Patrzyła na Hyde'a martwa twarz Pathana. Zakrzywiony nóż błyszczał w śniegu. Hyde wyciągnął makarowa i przyłożył Rosjaninowi lufę do brzucha.

Pietrunin patrzył w otwarte boczne drzwi MiL-a z rękoma złożonymi jak do modlitwy. Hyde widział muszkę wycelowanego w niego kałasznikowa. Przesunął lufę makarowa, zdając sobie podświadomie sprawę z całej sytuacji. Wiedział, choć nie rozumiał. Pietrunin zrobił krok w tył. Strzelec oparł się o metalową framugę drzwi. Śmigłowiec

wisiał idealnie równo. Kałasznikow wystrzelił. Hyde ujrzał rozbłysk ognia. Później strzelił Hyde. Strzelec wypadł przez otwarte drzwi z rozłożonymi ramionami. Karabin leciał przed nim. Ciało głucho rąbnęło w śnieg.

Hyde biegł. MiL kołysał się w powietrzu, buchając płomieniami.

Jeden z ocalałych Pathanów użył granatnika lub oddał celny strzał z karabinu. Śmigłowiec uderzył w mury fortu i eksplodował. W trupiobladych świetle płomienie palącego się MiL-a odbijały się na siatkówkach oczu Hyde'a. Hyde odwrócił ciało Pietrunina i zdał sobie sprawę, że stracił już wszystko.

Rozdział X

Wyprawa do granicy

Zespół luksusowych budynków na wschodnim brzegu Renu liczył nie więcej niż kilka lat. Widać je było za rzeką, gdy się patrzyło w stronę kolońskiej starówki. Nawet w głębi skórzanego fotela Massinger mógł dostrzec na tle ołowianego nieba zagładające do okien wierzchołki trzech okopconych, strzelistych katedralnych wież. Zaraz po przyjeździe poczęstowany został whisky, ale ponieważ po alkoholu żołądek domagał się jedzenia, gospodarz natychmiast zaproponował, że zrobi kanapki. Na długim stoliku do kawy stał teraz talerz pełen pokrajanego w trójkąty chleba i niemieckich kiełbasek.

Gerhardt Disch - człowiek pobudliwy, bystry i czujny - od niedawna był na emeryturze i od niedawna również był wdowcem. Porozstawiane i porozwieszane wszędzie fotografie żony - w górach, na nartach, na plaży, na tle wieżowców Dolnego Manhattanu - rzucały się w oczy bardziej niż zdjęcia dzieci i wnucząt. Obszerny, wygodny i ciepły pokój zastawiono ciężkimi meblami, w większości antykami. Wyglądało na to, że kiedyś gospodarz musiał mieć większe mieszkanie. Wszystko tu błyszczało wręcz przesadną czystością; widać było, że lokator jest pedantem i ma za dużo wolnego czasu. Tylko jeden czy dwa drobiazgi odbiegały od tego stylu i świadczyły, że ktoś tu naprawdę mieszka. Uwagę Massingera przykuło zwłaszcza stare, podkolorowane portretowe zdjęcie zatknięte w narożniku ozdobnego lustra nad gazowym kominkiem. Młoda, uśmiechnięta kobieta, z pewnością żona Discha, wpatrywała się w obiektyw, mrużąc oczy w blasku słońca. Massinger pomyślał, że Disch pewnie trafił na tę fotografię, pakując lub rozpakowując rzeczy przy okazji niedawnej przeprowadzki. Kiedy zostało zrobione to zdjęcie? Podczas pierwszych wspólnych wakacji? Miesiąca miodowego? Może jednodniowej wycieczki? Suknia kobiety została uszyta po wojnie. Disch miał niewiele ponad sześćdziesiątkę. Massinger przypuszczał, że jego żona była pewnie o kilka lat młodsza.

Wziął jeden z sandwiczów, ugryzł i pokiwał głową z uznaniem. Disch był niesłychanie rad, że goście smakuje jego poczęstunek.

- Zapewne pan Zimmermann rozmawiał już z panem? - zapytał Massinger, przełknąwszy kęs jedzenia.

- Zgadza się - kiwnął głową Disch. Mówił po angielsku dobrze i wyraźniej niż

Zimmermann. Głos miał donośny. - Ale bardzo krótko, pytał jedynie, czy będę mógł panu pomóc. Znam Wolfa Zimmermanna już od kilku lat... byłem przydzielony do Wydziału Ochrony Kanclerza. Czy wie pan, o czym mówię? - Massinger potwierdził. - Oczywiście, jeżeli potrafię pomóc, będzie mi bardzo miło. - Ze smutkiem skinął głową. - To przykre, co mówią o panu Aubreyu, o, przepraszam, o sir Kennecie Aubreyu. Absurdalne zarzuty.

Ogromna ulga, jakiej doznał Massinger, spowodowała, że serce zaczęło bić mu mocniej w piersiach. Jednakże wątpliwości szybko powróciły.

- Proszę kontynuować - rzekł. - Z tego, co mi wiadomo, po zakończeniu wojny pracował pan z Kennethem w Berlinie.

- Ach, więc to pana interesuje? - Oczy Discha rozjaśniły się. Massinger zauważył, że jego rozmówca bacznie mu się przygląda i ocenia. Stan spoczynku i żałoba nie pozabawiły tego człowieka zawodowego instynktu i zdolności. - Czyżby miał pan jakieś wątpliwości co do tej sprawy? - zapytał Disch ostro. - Nie mówiono mi o tym.

- Bardzo przepraszam, ale myślałem... - zaczął Massinger. Zwężone oczy Discha obserwowały go z bystrą podejrzliwością. Niemiec podniósł dłoń. - Co powiedział panu Herr Zimmermann? - chciał wiedzieć Paul.

- Tylko tyle, że życzył pan sobie zobaczyć się ze mną. Wyjaśnił oczywiście, kim pan jest oraz że stara się pan pomóc swemu przyjacielowi, sir Kennethowi Aubreyowi.

Massingerowi zrobiło się gorąco ze wstydu i zakłopotania. Powiedział z wahaniem:

- Herr Disch, nie przybywam pod fałszywym pretekstem. - Nawet w jego własnych uszach zabrzmiało to nieszczerze. Wyrażna lojalność Niemca wobec Aubreya zaskoczyła go. Trwała, mimo że upłynęło już czterdzieści lat. Z ironicznym zadowoleniem Massinger skonstatował, że taka sama lojalność zmusiła go do odwiedzenia Aubreya nazajutrz po przeczytaniu fatalnej wiadomości w gazecie.

- Chciałbym poznać pańskie motywy - powiedział Disch. Przeczesał resztki siwych włosów. Jego niemal anielska twarz pod wpływem tłumionego gniewu przybrała wyraz, który upodabniał go do żaby. - Istotnie, Herr Massinger, jestem ich ciekaw.

Ale Massinger uchylił się od wyjaśnień, czując, że zasłanianie się Margaret i jej sytuacją będzie wykrętem. Wciąż nie był gotów, by wyznać, że chodzi o usprawiedliwienie jego wątpliwości. Jego nielojalności...

- Proszę opowiedzieć mi o Berlinie - poprosił.

Disch nadal mu się przypatrywał, wreszcie rzekł ostrożnie:

- Czy to pomoże? Pomoże sir Kennethowi? - Massinger potwierdził z kamienną twarzą. - Co się z nim stanie? - zapytał Disch.

Massinger wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Jeśli będzie miał szczęście, wielkie szczęście, zdoła zachować dobre imię. Nie wiem, co się wydarzy.

- Rozumiem. - Disch stwarzał wrażenie strażnika cennego skarbu, który w każdym dzwoniącym do drzwi upatruje złodzieja. Potarł policzek i schylił głowę, co spowodowało, że jego podbródek nabrał żabiego wyglądu. Wydawało się, że patrzy na gościa przez półszkła. - Rozumiem - powtórzył łagodnie.

Massinger stłumił irytację i napięcie. Intuicja mu podpowiedziała, że ukryta za jowialnością i nienagannymi manierami czyha czujność i profesjonalne nawyki. Z tymi cechami charakteru Discha niełatwo będzie sobie poradzić. Pytanie Massingera wywołało jednak pewien niepokój. Musiała więc istnieć jakaś tajemnica. Wyczuwał w Dischu nieufność. Czyżby chodziło o Aubreya?...

Tak, o Aubreya. Disch był na swój sposób nielojalny. Prawdopodobnie spowodowała to ostatnia rozmowa z Zimmermannem. Zimmermann oczywiście budził zaufanie, ale Massinger nic nie wiedział o jego poczuciu moralnym. Ten człowiek miał zobowiązania wobec Aubreya i chciał je uregulować. Spłacał zapewne długi, nie przywiązując wagi do tego, co Aubrey zrobił kiedyś w Berlinie. Ale z Dischem było inaczej. Disch wiedział lub podejrzewał coś, co mogło zaszkodzić Aubreyowi.

- Proszę mi powiedzieć - nalegał Massinger.

Disch poruszył gwałtownie ramionami i spróbował się uśmiechnąć.

- Dobrze - rzekł z ulgą. - Ale jestem pewien, że sir Kenneth nie jest winien cięższych na nim przestępstw, o które się go oskarża, nie jest rosyjskim agentem... - I dodał pośpiesznie: - Pracowałem z nim ponownie w siedemdziesiątym czwartym, kiedy był w Bonn. To, co sugeruje prasa, i tutejsza, i w waszym kraju, to nonsens!

- Ale wróćmy do Berlina...

Disch skinął głową i przełknął ślinę. Najwidoczniej coś go dręczyło. Massinger powinien był zorientować się wcześniej i wykorzystać to. Nagle jakoś samoistnie zrodziła się atmosfera zaufania.

- Dobrze, dobrze - rzekł z gotowością.

- Kenneth został schwytany w Berlinie wschodnim i zatrzymany na kilka dni, dopóki nie uciekł.

- Jestem przekonany, że naprawdę uciekł - protestował Disch. Był zły, ale i nieco odprężony tym przesłuchaniem. - Wszelkie inne sugestie to nonsens.

- Dlaczego udał się do wschodniego Berlina? Czy nie było to niebezpieczne? - Jakże trudno było wyobrazić sobie Aubreya jako młodego agenta terenowego. Taką miał pracę. Głupie pytanie. - Mówiono mi - dodał Massinger - że jedna z jego siatek była zagrożona.

- Tak - przyznał Disch niechętnie. - Też tak uważaliśmy.
- Też tak uważaliście? Czy to znaczy, że to była nieprawda?

Disch gwałtownie pokręcił głową.

- Nie powiedziałem tego.

- Kto tak uważał?

- Sir Kenneth. Oraz inni. Było nas czterech. - W głosie Discha słychać było poczucie winy. Massingera ogarnęła trwoga. O jaki spisek tam chodziło?

- Dlaczego tak uważaliście?

- Chodzi o to, że my... jak by to powiedzieć? Sir Kenneth oświadczył nam, że właśnie dlatego musiał tam pójść, że... - Głos Dischowi zamarł. A więc doszło do jakiejś historii. Jak długo to trwało? Od czterdziestu lat czy też od rozmowy Zimmermanna z Dischem?

- Ale dlaczego? Dlaczego to zrobił?

- Ze względów bezpieczeństwa. To była jedynie wersja oficjalna - przełamał się Disch. - Nie, ma w tym nic niezwykłego. Tej wersji trzymaliśmy się od początku.

- Ale po co? Jaka była prawdziwa przyczyna wyprawy Aubreya do Berlina?

Disch kręcił się niespokojnie na swoim fotelu. W pełnej napięcia ciszy, jaka zapanaowała w pokoju, słychać było, jak fotel skrzypi.

- Już dobrze - powiedział wreszcie. Massinger machnął ręką, jakby odpędzając ewentualne wątpliwości. - Dobrze. Legenda stworzona, aby ukryć prawdziwy cel operacji, zakładała, że powodem było podejrzenie sir Kennetha, iż wewnątrz jednej z siatek na terenie sektora rosyjskiego działa podwójny agent.

Massinger kiwnął głową.

- Pan wie, że poszukiwaliśmy również nazistów? - zapytał nagle Disch zupełnie bez związku.

- Oczywiście.

- To był właśnie prawdziwy cel.

- Nie bardzo rozumiem, Herr Disch. Do czego więc potrzebna była legenda? Nazistów poszukiwali wówczas wszyscy.

- To fakt. W ściganie zaangażowanych było też wielu Niemców. Choćby ja sam.

- Tak, wiem - przyznał zakłopotany Massinger.

- Nie musi pan być zażenowany - uśmiechnął się Disch. - Moja rodzina zginęła z rąk Rosjan podczas bombardowania miasta. Wszyscy co do jednego. Miałem dwadzieścia jeden lat i umierałem z głodu. Spaliłem mundur, ukryłem się, nie ujawniłem się, dopóki nie podzielono miasta na cztery sektory. Nie byłem ani nazistą, ani komunistą,

choć mój ojciec sympatyzował z komunistami. Dopóki nie zobaczył, co Rosjanie wyprawiali w jego kraju i w jego mieście. Z sir Kennethem zetknąłem się podczas internowania, przesłuchiwał mnie na okoliczność mojej pracy w rosyjskich zakładach... pracowałem bowiem przez rok w sektorze rosyjskim. Znałem ludzi, adresy. Postanowił, że będę z nim pracował. Odebrałem dobre przeszkolenie. Taką historię jak moja może opowiedzieć wielu ludzi. Nie ma w niej nic niezwykłego.

- Rozumiem. Proszę dalej.

- Ta oficjalna wersja była jednak konieczna, albowiem od dłuższego czasu staraliśmy się ustalić, ilu nazistów nadal ma możliwości ucieczki z Berlina czy nawet z terenów zajętych przez Rosjan. Sir Kenneth nabrał przekonania, że muszą oni mieć oparcie wewnątrz samej Komisji Kontroli.

Disch zawiesił głos. Zakłopotanie i poczucie winy spowodowały, że jego twarz oblała się rumieńcem. Widać było, że chciałby zakończyć rozmowę.

- Kto ich popierał? - zapytał Massinger schrypniętym głosem.

Disch pokręcił głową.

- Tego nie wiedzieliśmy. Pewnego razu jednak sir Kenneth otrzymał wiadomość od jednego z naszych ludzi w sektorze rosyjskim, że wie coś o tym człowieku z Komisji Kontroli, który pomaga uciekającym nazistom. Informator nie mógł przybyć do nas na spotkanie i dlatego sir Kenneth natychmiast podjął przygotowania do wyprawy do rosyjskiego sektora. Ale po powrocie powiedział nam, że nic nie ustalił. Informacja była jedynie sprytną pułapką zastawioną na niego.

- I nic więcej? Nie wie pan, co dalej? - zapytał Massinger, rozczarowany. Disch nieznacznie wzruszył ramionami, pochylił się nad stołem i wybrał jedną z kanapek. - Co podejrzewał Kenneth przed wyprawą na drugą stronę?

- Że tym kimś jest Brytyjczyk, i to na wysokim stanowisku - wyrzekł Disch pośpiesznie ustami pełnymi chleba i kiełbasy, jakby spodziewał się, że pomogą mu one ukryć prawdę przed Massingerem.

Massinger już otwierał usta, aby coś powiedzieć, ale wręcz osłupiał, kiedy zrozumiał do końca stwierdzenie Discha. Może nawet puściłby je mimo uszu, gdyby Niemiec nie udzielał mu wciąż tak wymijających odpowiedzi, a on sam nie był przekonany, że ten człowiek ma własny pogląd na to, jak wyglądała prawda.

- Brytyjczyk? - wykrztusił wreszcie.

Disch patrzył przymrużonymi oczyma. Pokiwał głową.

- Na wysokim stanowisku, ale sir Kenneth oświadczył nam, że w sektorze rosyjskim nie uzyskał żadnych danych i że była to jedynie pułпка!

- Pan chyba nie przypuszcza, Herr Disch?...

- Jestem pewien, że nie ma żadnego związku pomiędzy...
- Przecież widzę, że pan w to wierzy! Pan uważa, że owym wysoko postawionym stronnikiem nazistów był Castleford, którego Aubrey zamordował po powrocie z rosyjskiego sektora.
- Ależ nie - bronił się słabo Disch.
- Mój Boże, człowieku, pan rzeczywiście w to wierzy! Myśli pan tak od rozmowy z Zimmermannem.

Disch zbladł i potwierdził ruchem głowy.

- Uwierzył pan, że Aubrey zabił Castleforda, ponieważ ten pomagał uciekać nazistom? Czy tak?

W nagrzanym pokoju zabulgotało cicho centralne ogrzewanie. Wieże katedry pięły się w górę na tle szarego nieba, równie bladego i nieokreślonego jak rodząca się w głowie Massingera wizja.

- Tak - przyznał na koniec Disch cichym, łamiącym się głosem. - Tak właśnie uważam.

Drugi śmigłowiec uniósł się w górę i odleciał. Jego kadłub oświetlały czerwone płomienie buchające z rozbitej maszyny. Zbiornik z paliwem eksplodował, a kula białego ognia wystrzeliła w powietrze, niemal omiatając spód ocalałego MiL-a. Cały dziedziniec zaalało jasne światło. W jego blasku Hyde dostrzegł zabitych Pathanów, czyjeś ruchy, ciało Miandada i leżący kilka jardów dalej zielony turban Mohammeda Dżana. Hyde obrócił ciało Pietrunina, szarpnięciem rozpiął jego płaszcz i mundur. Na koszuli munduru rosła plama krwi. Cienka jej strużka wydobywała się także z kącika ust Pietrunina. Hyde jęknął, jakby to on sam został ranny. Płomienie z rozbitego śmigłowca przygasły już i teraz z trudem dostrzegał, że Rosjanin mruga powiekami; chyba nie mógł się mylić, słyszał też bolesne pojękiwanie. Było chrapliwe, jak gdyby bulgoczące. Po policzku Pietrunina ściekało coraz więcej krwi. Hyde dźwignął go do pozycji siedzącej. Później chwytem używanym przez strażaków zarzucił sobie ciało na barki i wstał. Konający lub nieżywy Pietrunin spoczywał na jego plecach. Hyde zataczając się ruszył po ubitej ścieżce przecinającej dziedziniec. Wrócił drugi śmigłowiec. Jego reflektor sunął znów ku miejscu, skąd odpalono pocisk. Strzelanina ucichła. Po chwili czterolufowy karabin maszynowy umieszczony w nosie śmigłowca zaczął ostrzeliwać przeciwną stronę dziedzińca.

Hyde stanął i poprawił ciało Pietrunina na plecach. Kiedy już rozłożył równomiernie ciężar, ruszył przez wyłamane wrota fortu. Jego nogi natychmiast zaczęły grzęznąć w gęstniejącym śniegu. Oddech stał się cięższy. W ograniczonym przez jego pozycję

połu widzenia nie dostrzegł żołnierzy. Zanim to sobie w pełni uświadomił, podjął wspinaczkę. Ze zmęczenia stawiał niepewnie krok za krokiem, a przygnieciona ciężarem głowa coraz bardziej pochylała się do śniegu. Nagle usłyszał jęk, ale nie wyczuł, aby Pietrunin się poruszył. Ogień rzucał na śnieg nikle, słabnące światło. Zdawało mu się, że poza biciem swojego serca i oddechem słyszy wykrzykiwane gdzieś rozkazy, lecz nie był pewien, czy to przypadkiem nie jego własny głos, który zachęcał go do większego wysiłku. Blask na śniegu przygasł. Hyde uświadomił sobie, że znalazł się pośród drzew ponad fortem. Pochylił się wraz z ciężarem i oparł o chropawy pień sosny.

Następnie opuścił ciało Rosjanina do pozycji leżącej, a sam odpoczywał z rękami na kolanach, wciągając w płuca lodowate powietrze. Gdy odwrócił głowę, zdawało mu się, że Pietrunin wstrzymał oddech i wpatruje się w niego. Hyde mógł jedynie żałować, że zamiast Rosjanina nie mógł wynieść z fortu żywego Miandada. Nie wiedział, czy drżenie wszystkich jego członków bierze się z nienawiści, czy ze zwykłego zmęczenia. Krew poplamiała Pietruninowi brodę. Hyde klęknął przy nim. Podniósł go do pozycji siedzącej i obmacał mu plecy. Były lepkie. Stwierdził, że kula przeszła przez ciało Rosjanina na wylot, przedziurawiła płuco i ranny wkrótce umrze.

Zlustrował teren poniżej. W świetle pozostających w zawisie dwóch śmigłowców kręcili się jacyś ludzie, przeszukujący leżące ciała. Pośrodku dziedzińca leżeli trzej Pathanowie w turbanach. W zimnym powietrzu wyraźnie usłyszał wystrzały, które ich zabiły. Rozbity śmigłowiec spalił się niemal doszczętnie. Na ziemi doliczył się ponad dwudziestu rosyjskich żołnierzy, ale nawet go nie obeszło, ilu ich było na pokładzie dwóch MiL-ów. Jego uwaga skupiła się ponownie na Pietruninie, który tymczasem lekko wykręcił głowę i spoglądał prosto w twarz Hyde'a. Rosjanin próbował się uśmiechnąć, lecz zdołał jedynie kasznąć krwią. Wolno i ostrożnie Hyde otarł jego podbródek rękawem swej luźnej koszuli. Po chwili zobaczył, że cały rękaw niemal do łokcia ma zboczony krwią.

Pietrunin skinął głową, jakby zgadł, o czym myśli Hyde.

- Mieli rozkaz cię wykończyć - rzekł Hyde. - Ładnie siedzisz w gównie, tak samo zresztą jak i ja. - Pietrunin znów potwierdził ruchem głowy. - Nie chcieli ani odrobinę zaryzykować, co? Woleli nie narażać twojej cholernej „Łzy”. Jak tylko ktoś położył na tobie łapę, interesowało ich wyłącznie jedno: jak cię za wszelką cenę uciszyć. - Hyde znów ciężko oddychał. Pochylił się w stronę Rosjanina. Wstał. - Pieprzę to - burknął. Odwrócił się do Pietrunina. - Chcesz żyć czy wolisz tu zostać?

Pietrunin uniósł jedną z bezsilnych dłoni. Hyde przyklęknął przy nim.

- Sraj na nich, chłopie. Opowiedz mi o tej „Łzie” - powiedział. Pietrunin ostrożnie pokręcił głową, wyrażając tym najbardziej znaczącym gestem swoją odpowiedź.

Hyde popatrzył na mego i wzruszył ramionami. Teraz nie było już czasu. Może potem.

Podciągnął Pietrunina za ramiona, zarzucając go sobie ponownie na plecy. Ranny jęknął, a jego ciało stało się bezwładne. Hyde ułożył je na ramionach i wstał z przysiadu. Pod wpływem ciężaru i własnej słabości zachwiał się na nogach, lecz znów podjął wspinaczkę. Powoli i ostrożnie, mdlejącymi nogami stawiał krok za krokiem. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem...

Wspinając się w głąb leśnych ciemności i ciszy, mijał kolejne drzewa, odpoczywając najpierw co dwadzieścia kroków, potem co piętnaście, a potem co dwanaście. Co pewien czas kładł nieprzytomne ciało Pietrunina na śniegu i odpoczywał, dopóki drżąca niemoc nie opuściła jego nóg i choć trochę nie uspokoił się oddech. Później, po sprawdzeniu słabnącego, nierównego pulsu i plamy krwi przesiąkającej przez mundur Pietrunina, zarzucał go sobie na plecy i kontynuował wspinaczkę. Dwieście czterdzieści trzy... cztery... pięć... sześć... siedem... osiem... dziewięć... dziesięć... jedenaście... Znów położył ciało. Gdy doszedł do siebie na tyle, by móc rozejrzeć się wkoło, fortu nie było już widać. Las był ciemny i cichy. Z oddali dochodził hałas śmigłowca, który jemu zdawał się dźwiękiem z innego świata i czasu. Nie interesował go ten hałas i nie budził w nim poczucia zagrożenia. Ciało sygnalizowało mu narastającą słabość i zarazem wściekłość z powodu dzwiganego ciężaru. Poza tym Hyde wyzuty był z wszelkich emocji.

Siedemset sześćdziesiąt dwa, trzy... tysiąc pięćdziesiąt, nie siedemdziesiąt, osiemdziesiąt trzy... tysiąc dwieście osiemdziesiąt trzy... cztery... pięć... sześć. Trzy tysiące czterdzieści jeden... Jeden, dwa, trzy... sześć, siedem...

Hyde zachwiał się i upadł. Drzewa były tu niższe, rzadsze i bardziej rozłożyste. Coś miękkiego spadało mu na twarz i ręce. Zaczął się czołgać. Utykał w śniegu, chwycił się go niczym liny ratowniczej, aż wygrzebał spod niego skałę. Przyłgął do niej, jakby znajdował się na pionowej skalnej ścianie.

Tracił świadomość... to znów koncentrował się... tracił... znów się przebudził. Jego oddech uspokoił się, ciało odrętwiało. Pietrunin leżał o kilka jardów od niego na łagodnym stoku z twarzą zwróconą do góry. Hyde uniósł głowę i rozejrzał się w zmienionym krajobrazie, ale nic nie dostrzegł. Ze względu na znaczną wysokość drzewa były tu cieńsze i karłowate. Hyde przekręcił się na plecy. Zawisła nad nim ciemniejsza od nieba skalna półka. Przestraszył się, lecz wkrótce ocenił, że może mu ona zapewnić bezpieczeństwo i schronienie. Nasłuchiwał. Uspokajające się bicie serca, oddech, szum wiatru, pisk zwierzęcia. Potem cisza. Czegoś tu brakowało. Jakiegoś dźwięku?

Nie słyhać było wirujących śmigieł. Z radości poklepał się po bokach. Oczywiście! Nie ma śmigłowców, nie ma hałasu. Nie zastanawiał się nad swoim szczęściem, wyborem kierunku lub przyczyną, dla której nie odkryto jego śladów. Spojrzał na swą

obsypaną śniegiem postać. Oblizwał wilgotne usta. Zamrugał powiekami. Na niebie nie było gwiazd. Chmura?

Sypał śnieg. Nawet tego nie zauważył, dopóki podmuch wiatru nie dmuchnął mu śniegiem prosto w twarz. Uniósł głowę. Pietrunin z wolna stawał się biały, jakby okrywał go śmiertelny całun.

Całun...

Hyde ukląkł, po czym przeczołgał się szybko do Pietrunina. Dotarł do niego. Złapał tamtego za kłapy i zaczął nim potrząsać. Usłyszał kaszlnięcie, ukazała się krew, drgnęły powieki...

- Wstawaj, draniu! - wydyszał wściekle Hyde. - Złaż ze śniegu, dziecko - zachichotał w duchu, ciągnąc Pietrunina pod nawis. Oparł go o skałę i owinał ciasno płaszczem, trochę po to, by zakryć poplamioną krwią koszulę. Twarz Pietrunina była biała i zmizerowana. Był bliski śmierci.

Hyde'a ogarnęło poczucie klęski. Zupełnie jakby jego zadyszane ciało stanowiło jakąś zatokę, do której emocje mogą dotrzeć dopiero wraz z przyplywem. Oto konał obok niego z upływu krwi człowiek, który rozumiał i stworzył „Łzę”. Hyde nie mógł temu zaradzić.

Nie czuł rąk, które zacisnął w pięści, aż paznokcie wbiły się w skórę. Nie wiedział, czy brak czucia spowodowany był zimnem, czy wyczerpaniem. Nie był w stanie dostrzec niczego poza czarną krawędzią skały, pod którą się schronił, oraz sypiącego śniegu, co tworzył falującą na wietrze, unoszącą się w porywach, to znów opadającą kurtynę. Nie mógł nic zrobić...

Mógł tylko słuchać. .

Pietrunin zaczął mówić. Mówił do rzeczy, nie majaczył. Lecz jego głos był słaby i przerywany kaszlem. Hyde oderwał kawałek swojej koszuli i ocierał mu usta po każdym nawrocie kaszlu. Wyglądało to tak, jakby małe dziecko siedziało z pełną buzią sosu pomidorowego, a matka kawałkiem szmatki ścierała mu z policzków nadmiar nie przelkniętego jedzenia. Pietrunin wpatrywał się w śnieżną zasłonę, która skryła ich ślady przed pościgiem i zapewniła im schronienie. Mówił. Wyraźnie zdawał sobie sprawę, że nadchodzi jego kres.

- Nienawidzę tego miejsca - rzekł Pietrunin. Jego głos niemal oddzielił się od ciała i stanowił ostatni ślad tłącego się jeszcze życia. Głos był znużony, ale niemal afektowany. W innych okolicznościach Hyde pomyślałby, że ma do czynienia z nieporadną artykulacją miernego aktora. - Nienawidzę tego miejsca. - Było jasne, że będzie powtarzał to zdanie tak długo, aż zwróci uwagę swego towarzysza. - Nienawidzę tego miejsca...

- Tak - odrzekł Hyde spokojnie.

Ta odpowiedź wystarczyła. Dziwnym, bezbarwnym głosem Pietrunin kontynuował:

- Co za koszmarny koniec... wiem, że umieram, Hyde. Wiem... - Odchrząknął nieznacznie, Hyde starł małą strużkę krwi z brody Rosjanina. - Jestem taki wściekły... - powiedział z gniewem, na jaki mógł się zdobyć umierający. Hyde wiedział, że głębia odczuć Pietrunina mogłaby zniszczyć nawet zdrowe ciało. Nieznacznie przytaknął, nawet nie patrząc na Rosjanina. Czuł, że sam zasypia. Zdawało mu się, że wpada i wyczołguje się z płytkiej zimnej wody. Potrząsnął głową i usiadł prosto, przyciskając plecy do ostrych krawędzi skały. Dłoń Pietrunina pokazała słabnącym gestem zasłone sypiącego śniegu. - Tamto... to kloaka, Hyde. Jakiej jeszcze nie widziałeś. - Gesty towarzyszyły angielskim słowom, ale wymowa była pozbawiona wszelkiego akcentu; głos przypominał maszynę do tłumaczenia. Pietrunin mówił zresztą na przemian po angielsku i po rosyjsku, czasem nawet w tym samym zdaniu czy frazie używał obu języków. - Jakiej ja sam nie widziałem...

Hyde czuł, że czas ucieka, a Pietrunin próbuje po raz ostatni wykręcić się sianem. Nie mógł go normalnie przesłuchać, nie mógł nawet kierować jego wynurzeń na interesujący go temat. Gdyby przerwał Pietruninowi, ten mógłby przestać mówić lub najzwyczajniej w świecie umrzeć. Hyde nie miał pojęcia, ile czasu jeszcze zostało. Był zły, lecz wciąż tylko słuchał.

- Tyle ciał... żadnych reguł... o tak, wiedzieli, co robią. - Hyde wytarł mu brodę. Twarz była szara, zęby zabarwione ciemnym tuszem krwi. Hyde odwrócił spojrzenie. Pietrunin kontynuował ochryple: - Kapustin, Nikitin i cała reszta tych uśmiechniętych, pewnych siebie facetów. Wiedzieli, co robią. Chłopiec zrobił się za sprytny, zaczął wyrastać z butów... no to wrzucmy go prosto w gówno... - W jego tonie pojawił się bezbarwny odcień żalu. - Wyślijmy spryciulę do Afganistanu. Może nawet zaoszczędzimy na kuli! - Hyde wytarł mu brodę, choć krwi było niewiele. Zaczął się niepokoić, że gdy krwawienie ustanie, rozpocznie się krwotok wewnętrzny, który uniemożliwi Pietruninowi dokończenie opowieści. Rosjanin wyszedł już z szoku i teraz zachowywał się jak człowiek rozżalony. Hyde'owi pozostało oczekiwać, że nabierze do niego przed śmiercią większego zaufania. Będzie mówił innym tonem, potrzebując towarzystwa i ukojenia.

- Dwa lata... przetrwałem dwa lata... Boże, ile się nauczyłem o zabijaniu, rzeziach, ćwiartowaniu! Rebelianci nauczyli mnie wszystkiego. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem nasz patrol po ataku rebeliantów, porzygałem się. - Nie kaszłał, przelknął tylko głośno ślinę i czknął. - Napalmem, spalić jak szczury, jak brudy w kącie, jak wszy, jak ich znajdziesz, spał wszystkich...

Hyde słuchał zniecierpliwiony. Obsypał ich porwany podmuchem wiatru śnieg.

Hyde spróbował, jak smakuje. Roztarł trochę śniegu na twarzy, jakby chciał się umyć lub odświeżyć. Nie ogolony zarost drapał; nie tylko zmieniał jego wygląd, ale i osobowość. Pietrunin również cierpiał, zmieniając się. Rzeczywiście wiedzieli, co robią, gdy zesłali go na wygnanie do Kabulu.

- Jak tylko będziesz miał dość napalmu, spal ich wszystkich - powtórzył Pietrunin. - Kapustin... mam w oczach tę chytrą, chłopską twarz... siedzi po lewej stronie Nikitina i mówi mi, że przeholowałem... - Jego angielszczyzna poprawiła się, akcent był lepszy, jak gdyby w chwili śmierci powracał do swego dawnego, bardziej cywilizowanego wcielenia.

- Mów dalej - szepnęła Hyde. Śnieżna kurtyna zakolysała się, zatrzepotała i opadła.

- Że przeholowałem... nawet wówczas. Głaskał „Łzę” jak głowę nowo adoptowanego syna... nawet wtedy... ten kmiot! - Świszczący głos przeszedł w kaszel. Hyde niemal zatkał Pietruninowi usta nasiąkniętym krwią strzępem koszuli, by powstrzymać krwotok. Wargi Hyde'a poruszały się bezgłośnie niczym w modlitwie. Wreszcie uniesiona pierś Pietrunina opadła. Hyde zabrał szmatę. Policzki i broda Rosjanina pomalowane były krwią w ciemne plamy i pasy. Jego twarz przypominała zwierzęcą maskę, która zdobiła krwawoczerwony śmigłowiec wiszący nad płonącymi partyzantami. Hyde opadł do tyłu, a znużenie prawie natychmiast zamknęło mu oczy. Otrząsnął się po przebudzeniu. Wlepił wzrok w padający śnieg. Buty i spodnie okrywała cienka biała kołderka. Usłyszał szczykanie zębów Pietrunina i zrozumiał, że nie może mu pozwolić na dalsze błądzenie w świecie własnej goryczy.

Z udanym szacunkiem w głosie powiedział po rosyjsku:

- Fatalnie was załatwili, towarzyszu generale, ci partyjni siepacze. - Wypowiedział te słowa, zanim zdążył się nad nimi zastanowić, ale mimo to wiedział, że przyniosą oczekiwany skutek. Przypomniał sobie dobiegający z tyłu mercedesa głos Massingera, który przesłuchiwał wiedeńskiego rezydenta. O to chodziło, aby po raz ostatni oszukać umierającego, rannego, zszokowanego człowieka. - Macie rację... to wszystko kmioty.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, po czym Hyde usłyszał słaby, cichy głos Pietrunina:

- Chciałbyś wiedzieć, co? Hyde? Przyjechałeś tu, żeby się dowiedzieć? Tak?

- Tak. - Hyde nie był w stanie zaprzeczyć. Bliskość oczekującej Pietrunina śmierci rozbijała go.

Pietrunin zaśmiał się. Zaczął tak kasać, że Hyde odsunął mu od brody tampon z materiału, mimo to tamten śmiał się dalej. Jego rozbawienie było równie autentyczne jak gorycz, jak zezwierzczenie.

- Dlaczego nie? - wyrzekł wreszcie. - Dlaczego nie? - I potem, po bardzo długiej przerwie: - Właściwie dlaczego by nie?

Hyde wpatrzył się w skalny nawis wzrokiem, którym zwykle patrzył w niebo. Zaciął z ulgą pięści, czując opuszczające go napięcie.

- To był na pewno twój pomysł. Diabło sprytny.
- Nie wiedziałeś... domyślałeś się, ale nie odgadłeś?
- Nie.

- To dobrze. Istotnie, to był mój pomysł. To ja stworzyłem „Łzę”. Kapustin właściwie mi ją ukradł. Kiedy nie zdołał mnie uratować... pozwolił mi się ugotować na oczach Nikitina w sosie mojej kłęski... po prostu poszedł za ciosem i zagarnął wszystko.

- Dlaczego?

- Dlaczego? Bo to był właściwy moment, oto dlaczego. Aubrey był szefem służby... to był właściwy moment. Dla każdego w moskiewskiej Centrali czas był dobry. Wspaniały... - Głos Pietrunina był cienki i nikły niczym odległy chłopięcy alt, wybijający się z ukrytego chóru. Brzmiał niezmiernie. Ale nawet bliskość śmierci nie była w stanie usunąć z niego nuty satysfakcji. Zemsta Pietrunina dopełniła się. Ten wysoki, bladej ton brzmiał niby przydługie amen. Pietrunin był spokojny.

- Ale... czyżby chodziło ci tylko o zemstę? Wymyśliłeś to tylko po to, żeby pogrozić Aubreya? - W głosie Hyde'a słychać było rozczarowanie.

- Nie Aubreya... - chociaż aż miło o tym pomyśleć. Każdego, kto byłby wówczas dyrektorem generalnym... Były inne scenariusze... ale najlepszy, najlepszy pasował do Aubreya. Wszyciutko pasowało... a ten 1946 rok to jeszcze jakby premia. O, byłem namiętnym czytelnikiem jego biografii. Wiem o nim więcej niż ktokolwiek na świecie... może nawet więcej niż on sam. Coś wspaniałego...

- Ale dlaczego? Jaka była prawdziwa przyczyna? - nalegał Hyde. Śnieżna zasłona stała się bardziej przejrzysta, nieomal przezroczysta. Pietrunin umilkł na dłuższą chwilę. Hyde zmarzł. Najbardziej przemarzła mu i zdrętwiała lewa ręka i ramię. Nagle zorientował się, że opiera się na niej całym ciężarem Pietrunin. Miał zamknięte oczy. Szczęka mu opadła. Niewidoczne wśród plam i smug zakrzepłej krwi usta otworzyły się. Hyde o mało co głośno nie zaszlochał. Potrząsnął Pietruninem za ramiona, lecz powieki tamtego nie drgnęły.

Z oddali dobiegał warkot śmigłowca.

Wolfgang Zimmermann odczuwał dziwną wdzięczność za to, że Margaret Massinger z takim zapalem pogroziła się w plikach raportów i meldunków z obserwacji,

które jej wręczył. Odnotował, że ta kobieta przeglądając je potrafi utrzymać się w ry-
zach. Analizował jej charakter, podczas gdy ona przeglądała strona po stronie starą
teczkę inwigilacji. Stare zdjęcia, informacje o mało znaczących ludziach nie przyciąga-
ły jej uwagi. Starła się jednak okazać zainteresowanie pracą, której się podjęła.

Według Zimmermanna Margaret zdawała sobie sprawę, że on sam nie wierzy w
niewinność Aubreya. Gdy wypytywała go o Discha, starał się ukryć prawdę o swoich
wnioskach i podejrzeniach, lecz ona chłonęła wszystko, pragnąc odkryć dowód winy
Aubreya. Obawiał się, że nie uda mu się jej zwieść i wystarczająco dobrze zamaskować
swoich przeczuć. On sam nie chciał uwierzyć w zbrodnię Aubreya, ale zlikwidowanie
Castleforda jako ukrytego nazisty dopomagającego w ucieczkach zbrodniarzom wojen-
nym nie było sprzeczne z tym, co wiedział o charakterze Aubreya. Ukradkiem spojrzął
na zegarek. Od lunchu spędzili już przy pracy prawie dwie godziny, a Massinger wciąż
nie wracał. Zimmermann nieomal obawiał się jego powrotu.

Kątem oka Margaret dostrzegła ostrożne ruchy Zimmermanna, który chciał odsłonić
zegarek. Nie podniosła wzroku. Paul - czego dowiedział się Paul? Czy boi się wró-
cić? Czy już wie? Zaciśnęła mocno zęby. Wydawało jej się, że szczęki chrupnęły gło-
śno. Odepchnęła wszystkie myśli o ojcu. Przez większość czasu - zwłaszcza gdy
uświadamiała sobie grożące Paulowi niebezpieczeństwo - była w stanie wierzyć, że
problem prawdy na temat śmierci ojca schodzi na dalszy plan. Lecz w chwilach odprę-
żenia, takich jak ta, gdy Zimmermann zerkał na zegarek, żądza poznania prawdy wra-
cała z całą siłą. Mimo to musiała zdławić to pragnienie, musiała.

- Przepraszam, Wolf. - Zimmermann spojrzął na nią i uśmiechnął się. Mówiła po
niemiecku, trzymając się ściśle reguł gramatycznych, ale brak jej było praktyki. - Zro-
biłam listę tego, co można nazwać nie usprawiedliwionymi nieobecnościami, w okresie
od lutego do kwietnia 1974 roku. Jest tego sporo.

Wyciągnęła rękę. Zimmermann także pochylił się nad stolikiem do kawy i wziął od
niej kartkę papieru. Przejrzał ją, skinął potakująco głową i spojrzął przed siebie.

- Zgadza się. To wystawia złe świadectwo ochronie, jaką oferowaliśmy naszym
gościom. Obawiam się, że w tamtym okresie ekipa SIS nie była w stanie rozliczyć
wielu godzin spędzonych przez dozorowane osoby poza jej kontrolą. - Westchnął. -
Niedobrze, że ilekroć pragniemy coś sprawdzić po upływie dłuższego czasu, to okazuje
się, że rezultaty takich badań są bardzo niepewne. - Zadumał się, a potem spytał: - Czy
wykryła pani jakieś nieprawidłowości?

Margaret potrząsnęła głową.

- Niektórzy naruszali dyscyplinę częściej niż inni. Zaznaczyłam nazwiska. Naj-
trudniej określić, co robili w nocy. - Uśmiechnęła się. - Czy to może coś znaczyć?

- Niewykluczone. Musimy próbować.

- A pan? Znalazł pan coś? - Rzuciła na niego przenikliwe spojrzenie. Zażenowany spuścił wzrok i popatrzył na stos akt leżący na kolanach. Przechowywał akta Aubreya dla własnych celów. Badał jego ruchy, kontakty, analizy z działalności oraz wnioski osób przydzielonych do jego ochrony przez BfV. Zgodnie z własnymi przewidywaniami nie znalazł w dokumentach nic interesującego. Powoli, z namysłem pokręcił głową. Rysy Margaret ściągnęły się w nieprzyjemny, protekcyjny grymas.

- Nie. Nie spodziewałem się tego zresztą - rzekł Zimmermann chłodno. Jej podejrzania wydały mu się nagle irytujące i głupie. - To, co mogło czy też nie mogło się wydarzyć w 1946 roku, nie ma nic wspólnego z rokiem 1974 ani obecnymi wydarzeniami - dodał pedantycznie. - Jestem tego pewien. Nie ma tu nic, co pozwoliłoby połączyć Aubreya z Guillaume'em lub kimkolwiek innym.

- Czy mówi pan tak dlatego, że jest pan jego dłużnikiem, Herr Zimmermann?

- Nie - odpowiedział gniewnie. - Jestem jego dłużnikiem, i co z tego? Ten dług nie może być powodem do stawiania mi zarzutów. Czy pani aby nie zapomina, że prawdopodobnie zarówno pani, jak i mąż jesteście w niebezpieczeństwie? Jego to zagrożenie dotyczy z całą pewnością. Człowiek, którego szukamy, jest gdzieś tutaj, jego nazwisko tkwi gdzieś pośród stosu starych papierzysek. Pani ojciec zginął przed niemal czterdziestu laty... a pani mąż żyje.

Margaret poczerwieniała. Zaciśnęła dłonie na kolanach.

- Nie ma potrzeby mnie pouczać, Herr Zimmermann.

- Bardzo przepraszam.

- To ja. Ja przepraszam... Tak trudno pomagać człowiekowi, który zapewne zabił mojego ojca.

- A zatem proszę dopomóc mężowi!

- Dobrze. Czego pan ode mnie oczekuje?

Zimmermann wstał, trzymając w obu rękach plik dokumentów.

Rzucił je na sofę.

- Bardzo proszę! Skoro pani uważa, że to on zabił pani ojca, proszę samej znaleźć coś przeciwko niemu. Ja nie potrafię! A nie potrafię dlatego, że tu nic nie ma. - Zimmermann wyraźnie drżał. Margaret zdała sobie sprawę, że pragnie odkryć prawdę równie mocno jak ona.

Nie patrzyła na akta Aubreya.

- Przepraszam. Wezmę się do dalszej pracy...

- Jak pani sobie życzy - rzekł zimno Zimmermann i odwróciwszy się od niej poszedł do okna. Śnieg przestał sypać, lecz ciężkie niebo zapowiadało dalsze opady.

Zimmermann był wściekły na siebie za brak opanowania. Margaret Massinger była niemal załamana.

Powinien już przystąpić do przeprosin, ale nie potrafił się na to zdobyć. Wolał zostawić ją na chwilę samą i pozwolić jej się uspokoić. Słyszał, jak wertowała papiery. Wiedział, że nawet przelotnie nie zerknie na materiały dotyczące Aubreya. Chwilę się zastanawiał, czy sam nie powinien do nich wrócić.

Gdzie jest Massinger?

Powstrzymał się od kolejnego spojrzenia na zegarek. Na dworze już zaczynało się ściemniać. Po szarej wstędze Renu, niczym czarne ślimaki, płynęły barki. Nie, to była jedna barka, na której pomimo brzydkiej, mroźnej pogody wywieszono pranie - powiewało niczym cały rząd morskich sygnałów z pozdrowieniami lub kondolencjami.

Gdzie jest Massinger?

Zimmermanna opanowało zdenerwowanie. Narastał w nim irracjonalny lęk. Powinien był przydzielić mu opiekuna. Kogoś, kto zapewniłby mu ochronę.

Usłyszał, że Margaret Massinger coś do niego mówi.

- Co? - zapytał szorstko.

- Nie przypuszczałam, że Andrew Babbington był w tym czasie w Bonn - powtórzyła, nie zwracając uwagi na jego ton.

- A, tak. Kierował zespołem oficerów śledczych, których MI5 przysłało w kilka dni po aresztowaniu Guillaume'a - odparł z roztargnieniem Zimmermann, przyglądając się barce, z której powiewało sygnałami kolorowe pranie. Płynęła w górę rzeki w stronę Kennedybrücke.

- Nie! Był tutaj jeszcze wcześniej - mówiła dalej Margaret. - Prowadzono jakieś wewnętrzne śledztwo w kancelarii ambasady brytyjskiej. Chodziło o sprzeniewierzenie funduszy. Tu jest tak napisane.

Zimmermann odwrócił się od okna.

- To nic niezwykłego... - zażartował ponuro.

Drzwi otwarły się i stanął w nich Paul.

- No i co? - zapytała dosłownie w tej samej chwili Margaret, wstrzymując oddech.

Zimmermann ujrzał na twarzy Massingera wyraz pewności i poczuł, że przebiegają go ciarki. Wątpił, czy pomagając im, może dopomóc w ocaleniu Aubreya. Massinger uwierzył w winę Aubreya, to było po nim widać. Równie dobrze było widać, jak bardzo pragnąłby ukryć to przekonanie przed żoną.

- Co ustaliłeś? - zapytała złowieszczo Margaret.

Massinger powiesił płaszcz na oparciu krzesła. Nie był w stanie ukryć swoich uczuć. Zimmermann zrozumiał, że próba oszustwa zakończy się klęską.

- To w zasadzie tylko spekulacja - zaczął.
- Co takiego? - spytała ostro Margaret.
- Twój ojciec... Ta zwariowana zgadywanka... Aubrey mylił się, jestem tego pewien...

- W czym? - wyrzekła lodowato.

Zimmermann ponownie odwrócił się do okna. Teraz barka z wywieszonym praniem przeciskała się właśnie pod Kennedybrücke. Kolejny czarny ślimak na szarym tle. Znów prószył śnieg. Zimmermann przypomniał sobie, że gdy Massinger stanął w drzwiach, jego siwe włosy lśniły wilgocią. Pragnął stąd wyjść, bo przeczuwał, jaka będzie odpowiedź Massingera. Nie chciał słuchać tych nonsensów... zasłużył na swój los. Jeżeli to była prawda, to Aubrey wiedział i musiał być pewien tego, co robi.

- Nie! - krzyknęła nieomal Margaret. - Nie, nie, nie! - Ta plama na honorze była nie do zniesienia, to była hańba. To, co Zimmermann ustalił w rozmowie z Dischem, zostało potwierdzone i uznane przez Massingera. Zapewne Disch po namyśle również dał temu wiarę. Teraz Margaret Massinger próbowała zaprzeczyć zarzutowi, który oni uznali za prawdziwy. Tylko nie to - za nic w świecie, tylko nie to... Jej ojciec nie mógł współdziałać z ludobójcami odpowiedzialnymi za zgładzenie sześciu milionów ludzi, z maniakami, zwyrodnialcami, rzeźnikami, przeklętymi zbirami, oprawcami. Nie mógł być jednym z nich! Mimo że Zimmermann był po jej stronie, mógłby jako Niemiec poczuć się urażony, taka odraza była w jej głosie.

Szlochała, a Paul mamrotał bezużyteczne słowa pociechy, jeszcze bardziej rozstrajając jej nerwy. Zimmermann miał nadzieję, że Disch przemilczy swoje podejrzenia, ale nie wierzył zbyt, że tak się stanie.

- Nie, nie, nie... - szeptała.

Dość, pomyślał. Wystarczy. Nie należało podejrzewać, bez sensu było wierzyć, ale jeszcze gorzej jest wiedzieć. To się wydarzyło prawie czterdzieści lat temu. Ona musi zrzucić to z siebie. Oboje muszą odprawić egzorcyzmy nad duchem jej ojca. To może być sprawa życia i śmierci - ich obojga...

A w oknie śnieg, ślimacze ścieżki długich, powolnych barek, stalowa rzeka. Gdzie ta barka z praniem, co ona mówiła, kiedy patrzył na barkę, zanim kadłub skrył się pod mostem?...

Babbington. Sir Andrew Babbington. Dyrektor generalny MI5.

Trzeba otworzyć testament, pomyślał. Gdy w bibliotece znajduje się ciało i stwierdza się, że zamordowano bogatą staruszkę, odczytuje się testament. Kto najwięcej zyskuje? Kto ma z tego korzyści? Kto się wzbogaci?

Uśmiechnął się. Szlochy Margaret i uspokajające słowa jej męża nie docierały już

do niego. Targała nim jedynie niecierpliwość, aby zabrać się znów do studiowania akt. Babbington... Przeczytaj testament, inspektorze. Przeczytaj testament...

Myśli sir Kennetha Aubreya koncentrowały się wokół tego, jak zniszczyć dziennik leżący u Clary Elsenreith. Świadomość, że dziennik mógłby przetrwać, napawała go lękiem i bólem, choć wszystkie inne problemy przerażały i bolały go równie mocno. Poza myślą o zniszczeniu dokumentu, w którym przyznawał się do zabójstwa Castleforda, nie istniało już nic. Pusty krajobraz. U Clary mógłby zapewne ukrywać się całymi dniami, może tygodniami. Ale później zostałyby mu tylko pustka. Jego zniknięcie, akt świadomej zmiany osobowości, przejście do anonimowości, zerwanie z poprzednim wcieleniem!... Z pewnością mógłby przycząć się gdzieś do końca życia jaka Herr Jones, monsieur Smith albo señor Smith, a może señor Jones. Ale już nigdy nie będzie Kennethem Aubreyem.

Jeden z jadących w tym samym przedziale Francuzów ściągnął buty i rozprostował nogi. W przegrzanym, suchym powietrzu rozeszła się woń przepoconych skarpetek. W najodleglejszym kącie przedziału pomrukiwało i kręciło się śpiące dziecko. Matka tuliła je w ramionach. Ekspres znajdował się około godziny jazdy od Strasburga. W Wiedniu będzie nazajutrz.

Francuska prasa nie informowała o jego zniknięciu z Anglii. Oczywiście, nie brakowało różnych zabawnych i dowcipnych historyjek, opowiadań o jego potwornych okrucieństwach, o wywiadzie brytyjskim, o samej Brytanii. Nie było tylko nic na temat jego aktualnego miejsca pobytu. Ta dyskrecja wcale go nie uspokajała, wręcz przeciwnie, wskazywała, że on sam jest na drodze do nieuchronnego rozplynięcia się w nowej tożsamości. Schodził powoli z łamów gazet, a przecież był to dopiero początek. Gdyby rzeczywiście był zdrajcą, oczekiwalaby przynajmniej na niego jakaś Moskwa, gdzie znalazłby azyl i bezpieczne schronienie.

Wszystko, co mógł uczynić, to zniszczyć pisemny dowód swojej winy. Na nic więcej nie należało liczyć. Na jego kolanach leżała kupiona jeszcze w Paryżu popołudniówka „France-Soir”. Mitterrand spotkał się w Londynie z panią premier w sprawie budżetu EWG i kontroli ruchu powietrznego. W krótkim przeblysku światła na mijanej wiejskiej stacyjce Aubrey zobaczył wyraźnie tytuł i podpis pod zdjęciem. Zaczął niemal przyzwyczajając się do fizycznego bólu w piersiach. Przecież to on, Kenneth Aubrey, powinien zostać wezwany na konsultację do pani premier w godzinę po rozmowach z Mitterrandem, następnego dnia lub dwa dni później...

To się już nigdy więcej nie zdarzy.

Nie, nie pragnął władzy. Odparł samooskarżenie, które zrodziło się w ciemnej głębi świadomości. Nie... Ale minęło już czterdzieści pięć lat, odkąd służył swemu krajowi i stał się osobą, za jaką pragnął się uważać. Tymczasem zaś miał wyrzec się tego kraju i tej osobowości.

Eksperyment prania mózgu, pomyślał nagle z irracjonalnym lękiem. Zawieszono w letniej wodzie ciało, które w przeciągu jednego dnia zamienia się w czystą kartę. Całkowity brak fizycznych doznań kasuje osobowość. Zanika pamięć, rozumowanie, człowiek. To właśnie zaczyna się dzieć z nim.

Załomotały zwrotnice. Ekspres kołysał się, mknąc przez zimową noc. Zajaśniały światła stacji w innym już kraju. Jakiś kolejarz - może dróżnik, zawiadowca czy sygnalista - obserwował przejeżdżający pociąg. Aubrey uświadomił sobie, że to właśnie on stał się dla tego anonimowego człowieka przeszłością, którą świat pognał dalej i rozwiął w przestrzeni.

W zmęczonych oczach zapiekły łzy. Sen nie nadchodził. Odór skarpet Francuza mieszał się ze słodkim zapachem na wpół rozpuszczonych cukierków w przeciwnym kącie przedziału.

Pietrunin otworzył oczy. Chociaż wydawało się to nieprawdopodobne, te oczy pozostały wciąż otwarte, tak jakby nie miały mogących je przesłonić powiek. Twarz miał ściągniętą i szarą, a jedyny widoczny teraz na niej ślad krwi był zakrzepłą plamą. Oddech Hyde'a zamienił się w poszarpany, długi jęk ulgi. Odgłos śmigłowca jeszcze raz powrócił i znowu ścichł. Hyde pochylił się nad wilgotną bluzą Pietrunina, którego zdążył już uznać za martwego, i wsłuchiwał się w bicie serca pod nią. Śnieg przestał prawie padać. Na tle bieli Hyde mógł dostrzec czarne gałązki najbliższych karłowatych drzewek. Pietrunin wciąż jeszcze żył. Po prostu żył.

- Dlaczego? - rzekł Hyde natychmiast, gdy tylko zobaczył, że wzrok Rosjanina jest pusty, jakby jego oczy patrzyły w głąb ciała. Jak to możliwe?

Pietrunin nie odzywał się od dłuższego czasu. Wiatr z szumem wdmuchiwał śnieg we wszystkie, nawet osłonięte skałami, zakamarki ich kryjówek. Hyde zeszytywniał z zimna. Wreszcie Rosjanin wymruczał coś obojętnym, znanym już Hyde'owi tonem.

- Nie chcę, by mnie pamiętano jako rzeźnika z Kabulu. - Pietrunin mówił spokojnie, ale w jego słowach było rozżalenie. Hyde nie bardzo rozumiał, o czym tamten mówi. - Nie chcę, by mnie pamiętano jako rzeźnika z Kabulu - powtórzył słowo w słowo Pietrunin. Hyde nie przypuszczał, że tamten miał już nawet przydomek. Mówił więc teraz o sobie.

- Dlaczego? - zaczął krzyczeć Hyde. - Po co ci była „Łza”?

- Wykorzystywano mnie, nawet wtedy, w czterdziestym pierwszym, podczas dziewięciuset dni... - zawiesił głos. Hyde nie zrozumiał, o co chodzi. - Już wtedy chodziłem na zwiady, nosiłem meldunki... Byłem jeszcze chłopcem, miałem trzynaście lat, kiedy wybuchła wojna... Mieli mnie już w kieszeni, jak miałem trzynaście lat... już od Leningradu...

Hyde'a zmroziło to przelotne spojrzenie w przeszłość Pietrunina. Już jako chłopiec doświadczył nędzy i terroru trwającego dziewięćset dni oblężenia Leningradu przez Niemców.

- Tak - powiedział.

- Już w ich kieszeni... ich człowiek, ich własność...

- Ale dlaczego?

Coś nakazywało Hyde'owi trzymać się bardziej rzeczywistości niż wątlej nici porozumienia, jaka zawiązała się pomiędzy nimi. Nastąpiła cisza, przerywana cichymi westchnieniami wiatru. Śnieg padał znowu, choć mniej intensywnie. Nie słychać było śmigłowca.

Pietrunin nie odpowiedział na pytanie. Zamiast odpowiedzi odezwał się zimny, odległy głos - Leningrad... To było westchnienie, to było słowo-talizman, chroniące Pietrunina przed wspomnieniami ostatnich lat. Hyde całkowicie identyfikował się z Rosjaninem. Uznał go za współtowarzysza walki. Zidentyfikował się z nim tak dalece, że przestał myśleć o granicy lub dalszej ucieczce.

- Dlaczego? - zapytał jeszcze raz cicho, bez nadziei na odpowiedź.

- Dlaczego? - powtórzył Pietrunin. - Dlaczego? - mówił teraz znów po angielsku wyraźniejszym, znów nieco bardziej rozbawionym głosem. - Żeby go umieścić. Umieścić naszego człowieka na samym szczycie, na świeczniku... tak jak zawsze pragnęliśmy. Gdy nadeszła... - Pietrunin lekko zakasłał. Przymknął oczy, jakby dla uśmierzenia bólu. Hyde wpatrywał się w niebo. Tamtemu zostało dosłownie kilka minut. Lecz właśnie teraz poczuł przyływ sił. - Nadeszła właściwa chwila”- oznajmił. - Sir William był przewodniczącym JIC, z jego zdaniem liczyła się premier... mogła teraz powstać wasza nowa służba, połączenie wywiadu i kontrwywiadu! Nadeszła właściwa chwila... - odkaszlnął i dodał: - ...dla naszego człowieka...

Do Hyde'a dotarła tylko ostatnia część zdania. Głos ścichł jak słaby sygnał radiowy. Dla ich człowieka. Hyde nie był w stanie opanować drżenia. Do pełnej odpowiedzi brakowało tylko jednego zdania. Świadomość tej bliskości przypomniła mu wyraźniej o jego sytuacji. Z chwilą gdy będzie wiedział wszystko, musi się stąd wydostać, przeżyć.

- Kto to jest? - zadał pytanie, ale zanim Pietrunin się odezwał, zakrył mu dłonią usta. Oczy Rosjanina rozszerzyły się. Hyde nie był pewien, czy tamten widzi idącego powoli przez śnieg żołnierza w zimowym mundurze maskującym, z kałasznikowem przewieszonym przez pierś. Był czterdzieści jardów od nich. Stąpał ciężko, ubijając śnieg założonymi na buty rakami.

Poczuł, że Pietrunin porusza ustami pod jego zimną dłonią. Może wypowiedział nazwisko zdrajcy lub protestował przeciwko temu nagłemu przyduszeniu. Może rzucił ostatni, czczy epitet. Hyde przycisnął dłoń na ustach Rosjanina jeszcze mocniej; żołnierz pozostawał wciąż w ich polu widzenia.

Rozdział XI

Powrót

Jeszcze dwóch żołnierzy wyszło spośród karłowatych drzew. Wspinali się po wzniesieniu i znaleźli się nagle w polu widzenia. Wyglądało na to, że zauważyli skurczone pod nawisem sylwetki Pietrunina i Hyde'a i z karabinami przewieszonymi przez pierś zmierzali wprost na nich. Ciało Pietrunina jeszcze raz opadło na Hyde'a, niemalże w jego objęcia, i Hyde wiedział, że mężczyzna żyje, bo usta, które czuł na swojej dłoni, ciągle mamrotały jakieś bezgłośnie słowa. Rękę rozgrzewał mu słaby oddech Rosjanina, ale było to nierówne tchnienie, które w każdej chwili mogło ustać.

Pierwszy żołnierz zniknął im z oczu, a dwaj pozostali podążali za nim. Ich zamaszty krok rozrzucał puszysty śnieg. Nie było słyhać śmigłowca. Pietrunin dygotał oparty o Hyde'a. Dziesięć sekund, piętnaście, dwadzieścia, minuta... czas dłużył się. Hyde chciał rozładować napięcie. Zimno wprawilo go w odrętwienie, które przeszło w doprowadzające do szału mrowienie. Półtorej minuty...

Żołnierze zatrzymali się i rozglądali dookoła. Hyde był przekonany, że dostrzegli lekkie wgniecenia pozostawione w śniegu przez jego buty. Wydawało mu się, że widzi płytkie zagłębienie, które powstało, kiedy poślizgnął się, ciągnąc Rosjanina pod nawis. Żołnierze z łatwością odczytują te ślady.

Odeszli jednak, jakby trochę przestraszeni, że zostaną za daleko w tyle za swoim towarzyszem. Hyde słyszał własny oddech i bicie swojego serca. Ledwo wyczuwał płytki, nierówny oddech Pietrunina. Zejdźcie mi z oczu, zejdźcie mi z oczu - szybciej, szybciej...

Jeszcze parę jardów, tak, trzy, dwa, jeszcze krok...

Poszli. Słyszał, jak jeden z nich wołał do pierwszego żołnierza. Dotarło do niego skrzywienie raków. Teraz śnieg wokół nawisu był gładki i nienaruszony, poza miejscami, po których szli. Łagodnie, jakby w geście usprawiedliwienia, Hyde zdjął rękę z ust Pietrunina. Wargi Rosjanina nadal bezgłośnie pracowały, nie tyle szukając słów, co układając się w grymas - może uśmiech.

- Wasz człowiek? - zapytał Hyde. - Kto to jest?

- Babbington - odpowiedział Pietrunin po chwili wahania. - Jego usta wypowiedziały nazwisko i ułożyły się w uśmiech. - Babbington.

- Chryste - udało się wam!
- Oczywiście, że tak. - Jego głos był znowu odległy, ale tym razem miał w sobie ton wyższości i niemal olimpijskiego spokoju. - Oczywiście.

- Na rany Chrystusa! - wydyszał Hyde. - On?

- On.

- Od kiedy, jak długo, na litość boską?

Pietrunin oddalił pytanie słabym gestem ręki, jakby uważał, że Hyde marnuje tę odrobinę czasu, jaka im została, pytając o niewłaściwe rzeczy.

- Długa historia - wymamrotał. - Jak zawsze. Co teraz zrobisz?

Hyde potarł twarz.

- Bóg jeden wie.

Pietrunin roześmiał się, potem zakaszłał. Nie krwawił, ale jego głowa zakołysała się tak, jakby ciało tonęło. Znowu opadł. Zmienił punkt ciężkości. Hyde pomyślał: Nic... nic nie mam... ani świstka papieru, ani nagrania, ani żadnego dowodu, nic...

Zdawało się, że Rosjanin czyta w jego myślach.

- Widzisz? - zapytał. - Nie masz żadnego dowodu. Nic nie masz. Nie możesz nawet uciec. Myślę... - Odchylił się do tyłu. Jego twarz była blada, a mętne oczy wpatrywały się w skałę ponad ich głowami.

- No to pomóż mi - odezwał się zdesperowany Hyde. - Pomóż mi przyskrzycić tych sukkinsynów. Pomóż mi dorwać ludzi, którzy chcą cię zabić - którym to się już udało. - Pochylił się nad Pietruninem, aż ich twarze niemal się zetknęły. Na policzku nie czuł ciepłego oddechu Rosjanina. - Pomóż mi. Zabili cię. Pomóż mi zepsuć im tę ich cholerną grę.

- Jak? - zapytał Pietrunin, a dopiero potem w pełni zdał sobie sprawę z tego, co powiedział Hyde. Ale bał się. Nie chciał przyjąć do wiadomości słów Hyde'a. Hyde wydał na niego wyrok. - Nie - wyrzucił z siebie. Krew spływała mu z ust na brodę. Plamiąc Hyde'a. Była ciepła, obrzydliwa, niosła w sobie śmierć. Hyde chwycił Rosjanina za ramiona, obejmując go niemal jak kochankę.

- No już, ty cholerny, sprytny draniu - gdzie są dowody? Powiedz mi, gdzie są dowody, aja im zepsuję tę ich cholerną grę. Szybciej... - Wciąż obejmował Pietrunina. Głowa Rosjanina opierała się o Hyde'a, a usta przyciśnięte były do jego ucha. Wilgotne. Podbródkiem opierał się Pietrunin na ramieniu Australijczyka. - Szybciej - szepnął Hyde nagłym tonem, obawiając się, że za parę chwil czas się ostatecznie wyczerpie. Zostały już tylko minuty - może nawet mniej...

- Wszystko jest w komputerze. Ty nie mógłbyś się do tego dostać... tylko ja mógłbym to zrobić - z ambasady radzieckiej...

Hyde jęknął. Chciał w odruchu protestu odepchnąć ciało Pietrunina, ale jakiś instyngt nie pozwolił mu tego zrobić. A może było to jedynie współczucie. Pietrunin, nadal uporczywie mamrotał coś w ucho Hyde'a. Usta miał mokre od piany. Hyde za drżał. Żołądek skurczył mu się w nagłym odruchu nienawiści i zawodu.

Babbington był nie do ruszenia - był brytyjskim wywiadem, tak jak i Aubrey. Hyde nie miał nic. Jego informacja nie poparta dowodem była bezwartościowa, a wysiłki daremne. Babbington był człowiekiem w warownym zamku, nie do zdobycia. Pietrunin mówił dalej, jakby się spowiadał. Było jasne, że swoim słabym, prawie nieczłowieczym szeptem naigrawa się z Hyde'a, nawet jeżeli jego wolą było, aby tamten poznał prawdę i mógł podjąć jakieś działanie. Zemsta i chwilowa rozrywka.

- Dostęp ściśle ograniczony - powiedział. - Musiałbyś być mną, żeby się do tego dostać. Rozumiesz? Rozumiesz? Tylko ja mam do tego dostęp. Musiałbyś być mną! Rozumiesz?

- Tak. - Hyde nie rozumiał.

- Mam to w zbiorze danych ukrytych w pamięci komputera... Uznałem, że warto posiadać polisę ubezpieczeniową... Nakłoniłem programistę do stworzenia tajnej bazy danych, wprost pod ich nosami... wszystko w niej jest - prowokacje, operacje, nawet wasza drogocenna „Łza” - moja drogocenna „Łza”... Rozumiesz?

- Tak. - Hyde nadal nie rozumiał. Po prostu zaakceptował to, że musi słuchać Pietrunina, do momentu kiedy ten nie będzie już mógł mówić. Podtrzymywać tego człowieka, aż poczuje bezwład jego ciała.

- Dostęp z każdego terminalu połączonego z moskiewską Centralą... z każdej naszej ambasady na Zachodzie lub w bloku wschodnim... jeżeli znałbyś wszystkie hasła, mógłbyś dostać się do tych danych. Tylko ja je znam. Tylko ja... - Przerwał, jego ciało nagle się przesunęło. Wyprostował się trochę. Na jego twarzy pojawił się wyraz przeżenienia. Dostrzegł teraz nadchodzący koniec i przynaglał odmawiające posłuszeństwa ciało do dodatkowego wysiłku. - Oczywiście zabiłem programistę, zanim wysłali mnie tutaj... To miało być moje ubezpieczenie, może nawet mój bilet na Zachód... Mając jedynie komputerową dyskietkę, byłbym najcenniejszym azylantem na świecie. - Jego głos ścichł, ale Pietrunin mówił teraz szybciej i z większym naciskiem. - Posłuchaj mnie, posłuchaj... musisz dostać się do Kartoteki Osobowej komputera, do Dokumentacji Przydziałów... potem do mojego zbioru danych... - Przerwał. Jego twarz była tuż przy policzku Hyde'a. Kilkakrotnie otwierał i zamykał oczy, próbując skupić wzrok w jednym miejscu. Albo coś sobie przypomnieć. Potem powiedział:

- Przedtem musisz zapamiętać hasła - posłuchaj. Posłuchaj... dostęp do Głównego Menu przez hasło K-2-U-7-spacja-R-S-4-k... Powtórz to! - Hyde powtórzył, a potem jeszcze raz w myślach. Tak... - Do akt personalnych uzyskuje się dostęp, wprowadzając

inne hasło. Znowu litery i cyfry... C-7-3-5- spacja -D-W- spacja -P-R-X... powtórz... - Podczas gdy Hyde powtarzał hasła, Pietrunin westchnął z wyczerpania, a może zadowolonia. - Dobrze, dobrze... - Ręka Pietrunina musnęła Hyde'a po ramieniu równie delikatnie jak padający śnieg. - Dokumentacja Przydziałów ma hasło Białe Noce-Biało... rusin, Biały Niedźwiedź, bez spacji... Potem zażadasz dokumentacji moich przydziałów. Potem użyj nazwy ostatnich trzech placówek, w których pracowałem, ale w odwrotnej kolejności - w odwrotnej kolejności. Bez spacji, żeby wejść do utajnionego zbioru. Potem komputer wydrukuje wiersz. Będzie to wyglądało na wydruk z innego zbioru. To ma zbić ludzi z tropu... nie kasuj tego zbioru. Poczekaj, aż na ekranie zobaczysz wszystkie czternaście linijek... dla dziewczyny, którą kiedyś znałem... potem ukaże się wszystko - wszystko...

Przerwał, czekając na reakcję Hyde'a. Hyde nic nie zrozumiał, poza nagłym charakterem wypowiedzi. Zapamiętał jednak wszystko. Gdyby tego zażądano, byłby w stanie odtworzyć słowa Pietrunina jak magnetofon. Jeśli kiedykolwiek zdoła porozmawiać z kimś, kto to zrozumie.

- Jest skrót „Łzy”. Jest skrót „Łzy”... skrót wszystkiego... nie miałbym wiele czasu, pewnie deptaliby mi po piętach... musiałem zapewnić sobie dostęp do najsočystszych... szczególnie do „Łzy”... skrót! - wykrzyknął Pietrunin, jak gdyby ujrzał zbliżającego się wroga. Hyde wzdrygnął się i omal nie odwrócił głowy, aby sprawdzić, co się dzieje z tyłu. Pietrunin zaczął kaszleć. Szyja i policzki Hyde'a były mokre, wręcz oślizgłe. - Nie, nie!

- Skrót - ponaglił Hyde, lekko potrząsając Pietrunina za ramiona.

Prawa dłoń Rosjanina gwałtownie klepała Hyde'a po łopacie, wybijając słowa, których Australijczyk nie słyszał. Potem ręce próbowały uchwycić się kożucha Hyde'a, jakby broniąc się przed upadkiem w przepaść. Coś zabulgotało.

- Krótsza droga... krótsza... droga... krót... droga... dro...

- Tak, tak!

Bezładne ciało Pietrunina zważyło się na Hyde'a i niemal natychmiast zesztyniało. Wydawało się, że nie żył już od wielu godzin. Był zamrożony na kość. Hyde oparł go o skałę. Pietrunin usta miał ciągle umazane krwią, a brodę pokrytą ciemnymi plamami. Smugi na policzkach i szyi. Palce rozcapierzyły się i przypominały pazury.

Hyde był bezsilny, a jego informacje bezużyteczne jak martwy Pietrunin. Ambascada sowiecka. Gdziekolwiek na świecie. Jedyne miejsce, skąd jest dostęp do systemu komputerowego moskiewskiej Centrali. To było beznadziejne. Bezcelowe i beznadziejne. Był prawie zadowolony z tego, że Pietrunin nie żyje. Starając się przekazać hasła, skrócił sobie życie, może tylko o kilka minut, ale jednak.

Hyde dziwnie nie mógł oderwać rąk od martwego ciała. Wydawało mu się, że zimne dłonie przymarzły do płaszcza Pietrunina.. Rosjanin patrzył niewidzącymi oczyma na Hyde'a, na ciągle jeszcze padający śnieg i karłowate drzewa, i dalej, w nieskończoną dal. Hyde cofnął ręce i ciało ześliznęło się na bok, opadając bezwładnie niczym dziecinna lalka zapomniana wśród skał. Hyde parę razy głęboko odetchnął, potem wypełznął spod nawisu. Wiatr i śnieg, które poczuł na twarzy, raczej go orzeźwiały, niż mroziły. Posuwał się jak w transie. Był zdezorientowany i przerażony obcością tego miejsca. Pełził na czworakach niczym pies szukający tropu. Nie słyszał żołnierzy, ale z oddali dobiegał go hałas helikoptera. Niewyraźny szum, podobny do dźwięku telewizora po zakończeniu programu.

Uratował go instynkt. Dopiero później usłyszał dźwięki. Instynkt albo pamięć. Zapamiętał to, co krzyknął ostatni z trzech przechodzących obok ich kryjówki żołnierzy. Coś o odległości, o małej liczebności patrolu, o czasie i konieczności zameldowania się...

Potrząsnął głową, lecz nie mógł przypomnieć sobie dokładnie słów. Jego podświadomość zarejestrowała jednak informację o odległości i o powrocie...

Będą tędy wracali, pomyślał.

Z trudem stanął na nogach. Resztki współczucia dla Pietrunina zniknęły. Ten człowiek chciał spalić za sobą wszystkie mosty i uniemożliwić nawet to, aby w Moskwie uznano go za bohatera. Był człowiekiem, który musiał stawić czoło zwierzęciu ukrytemu w jego ciele. Był już tylko cieniem inteligentnego, zadowolonego z siebie, cywilizowanego człowieka.

Hyde zaczął niemrawo poruszać nieposłusznymi, zdrętwiałymi kończynami. Zatoczył się jak pijany, zachwiał, ruszył naprzód. Szczegóły informacji Pietrunina stały się mało ważne już w chwili, w której usłyszał pierwszy głos. Kiedy spojrzął za siebie i zorientował się, że żołnierz zachęca kogoś do pośpiechu. To zawołanie natychmiast przerodziło się w okrzyk zdziwienia, rozkaz i zachwyt. Usłyszał trzask włączanego nadajnika, potem trajkotanie Rosjanina podającego swoją pozycję. Przebiegł przez głęboki śnieg na brzegu polany. Błyskawicznie wspiął się na strome wzniesienie ponad nawisem. Słyszał głosy. Okrzyk informujący, że coś znaleziono. Wrzask wydawanych rozkazów i cichszą, zniekształconą odpowiedź przekazaną przez radiostację pierwszego żołnierza. Piął się w górę zgięty w pół, z kolanami pod brodą, z trudem utrzymując równowagę. Karłowate drzewa tłoczyły się wokół niego niczym płatki na torze przeszkód. Kiedy potraçał giętkie gałęzie, wzniecał tumany śniegu. Twarz go piekła. Wiedział, że za pasem ma broń. Z tyłu słyszał pokrzykiwania i sapanie. Wspinali się za nim.

Był może cztery czy pięć mil od granicy. Zatrzymał się. Jego oddech tworzył obłok pary. Był zmęczony jak pies. Spojrzał w górę. Białe, z szarymi smugami nagich krawędzi i stromych zboczy wzniesienie wydawało się nie mieć końca. Nie widział wierchołka i załamania obok niego, któredy wiodła droga z doliny do fortu. Miał wrażenie, że na śniegu pojawiła się szarość brzasku. Hałas śmigieł wydawał się głośniejszy.

Pierwsza kula przeszła gęste, nisko rosnące gałęzie obok jego głowy. Znalazł się na czworakach, a potem pochylił głowę i kontynuował swą nieudolną wspinaczkę. Śnieg był głęboki i puszysty, a on brnął dalej, nie czując stóp ani nóg. Pierś ciężko falowała w oddechu, dławiona coraz ciaśniejszą, stalową obręczą. Kolejne dwa strzały. Oba niecelne. Strach przypominał mu o każdym centymetrze ciała na plecach i pośladkach. Nie wiedział, czy zależy im, aby go wziąć żywego, czy chcą go tylko zabić. Skręcił w prawo. Przesuwał się wzdłuż pofałdowanej grani, która pięła się w kierunku zbocza góry, wyraźna niczym cel na strzelnicy. Pod śniegiem była ścieżka. Szlak Pathanów, o którym mówił mu Mohammed Dżan. Hyde wiedział, że tą samą drogą przyszli tu z Pakistanu, ale nie mógł odnaleźć ścieżki. Przestał wierzyć w jej istnienie i myśleć o niej racjonalnie. Jego krokami kierowała jedynie wyszkolona, precyzyjna pamięć. To ona kazała mu zmieniać kierunek lub przyspieszać wspinaczkę. Znowu strzały, i tym razem niecelne. Słyszał, jak kule zawodzą w powietrzu, odbijając się od nagiej skały, jakieś dwadzieścia jardów od niego. Lekko unióśł ciało i dla utrzymania równowagi rozłożył ręce. To było tak, jakby biegł po linii ukreślonej ze śniegu. Po obu stronach grani była przepaść. Czterdzieści stóp po lewej stronie, tysiące stóp po prawej. Pochylił się do przodu, przerażony myślą o zwolnieniu tempa i utracie równowagi.

Znów wspinał się po grani. Stok rozszerzał się niczym strzelista przypora katedry. Zmusił pozbawione czucia, ociężałe nogi do jeszcze większego wysiłku. Jeden, dwa, trzy, cztery kroki. Wspinając się na coraz bardziej pionową stromiznę, przypomniał sobie tę grań, za którą biegła wąska ścieżka w poprzek zbocza. Pamiętał powolną i krętą wspinaczkę aż do załomu góry, który maskował wejście do długiej, wąskiej doliny, gdzie Pietrunin spalił Pathanów.

Dziesięć, jedenaście, dwanaście...

Jego lewa noga zapadła się w śnieg aż po pachwinę. Prawa ugięła się. Zdołał odzyskać równowagę, lecz po chwili zaczął się obsuwać ponad krawędzią grani. Spadał w dół wraz ze śnieżną lawiną przypominającą wodospad. Kręciło mu się w głowie. Widział gwiazdy, śnieg, szarość i znów śnieg. Miał śnieg w oczach, w nosie i za ubraniem. Próbował sięgnąć po broń, lecz wtedy niczym pozbawiony sterów statek uderzył w skałę skrytą pod śniegiem. Leżał poskręcany, na wpół przytomny. Jego ciało nie było już zdolne do żadnego wysiłku.

Przystanął w tajemniczej ciemności wąskiej klatki schodowej, zastanawiając się, czy duch starej ciotki, która zmarła w staropanieństwie, zauważy jego przybycie. Przypomnił sobie, że tak naprawdę nie była jego ciotką. Na samej górze znajdowało się mieszkanie należące do żyjącej samotnie wiekowej, nie mającej żadnej rodziny starej panny. Zmarła zupełnie sama. Jej śmierć przeszła nie oplakiwana i nawet nie zauważona. Pozostały po niej dobytek nigdy nie został sprzedany. Pozbyto się jedynie kota i kanarków. Mieszkanie było idealnym miejscem do spotkań. Bezpieczny lokal. Na parterze mieściło się biuro małej firmy importującej plastikowe drobiazgi z Dalekiego Wschodu, wkładane do wybuchających niespodzianek bożonarodzeniowych. Firma nie miała żadnych sukcesów w handlu, ale była dobrym przykryciem dla KGB.

Już teraz czuł docierający tu z góry zatęchły zapach małego, nie odnawianego mieszkania. Zapach moczu kolejnych kocich ulubieńców zmarłej i nie oczyszczonych ptasich klatek mieszał się z wonią naftaliny w starych tweedowych spódnicach, staroświeckich sukniach i wyłysiałych futerkach. Zatrzymał się na schodach. Na górze czekał człowiek, z którym ma się skontaktować. Babbington był pewien, że powodem, dla którego przystanął pomiędzy dochodzącym z ulicy hałasem a ostrymi zapachami z mieszkania starej panny, nie była obawa przed spotkaniem. Myślał. Zdrajca przypominał starego rannego słońa. W poczuciu zagrożenia musiał stawać niezdarnie we własnej obronie, niezdolny poruszać się szybko i zdecydowanie. Tajnopisy, materiały pozostawione w skrzynkach kontaktowych, skrzynki na listy, wszystkie te wyszukane formy łączności nie pozwalały na szybkie i zdecydowane działanie. Środki ostrożności, wprowadzone dla jego własnego bezpieczeństwa, stanowiły utrudnienie w sytuacjach alarmowych. Ale wystarczyło tylko się poruszyć, aby słoń zebrał siły i zdruzgotał wrogów. Teraz oni wyglądali na słabych i rannych. Ten krótki przystanek był jedynie reakcją na wstrząs.

Fakt, że intryga Pietrunina była zbyt wyrafinowana. Ostrzegał ich przed tym. Piekielnie sprytna. Aubreyowi, mimo że był samotnikiem, nigdy nie brakowało przyjaciół i pomocnych dłoni. Dlatego włączyli się do gry Massingerowie, Hyde, Shelley, a ostatnio również Zimmermann.

A jednak wystarczyło zaledwie kilka godzin wytężonej pracy, aby znów był bezpieczny. Czy przyzna się do tych godzin napięcia i wyczekiwania, roszących potem skronie? Może tak. Trochę nerwów, ale dla przywrócenia równowagi i zapewnienia powodzenia w rozgrywce tych kilka godzin wystarczyło. Massingerowie byli w Bonn z Zimmermannem, a ta kobieta, Clara Elsenreith, w Wiedniu. Jeżeli dobrze rozszyfrował głupiego, nadmiernie skorego do współczucia Amerykanina, to on i jego żona pójdą do tej kobiety. Kontrolował najważniejsze ogniwa placówki w Wiedniu. Wejdą prosto w

elegancką i pewną pułapkę. Tak zakończą się ich poszukiwania. Kropka. Kres, jakby powiedział Massinger.

Babbington uśmiechnął się do siebie w ciemnościach. Stara tapeta nosiła w wielu miejscach ślady wilgoci i upływu czasu. Jak się dobrze postraszy Zimmermanna, to będzie trzymał język za zębami. A Aubrey - tak, Aubrey też, być może, wyruszy do Wiednia, żeby zobaczyć się z kobietą, z którą kiedyś łączyły go bliskie stosunki...

Babbington potrząsnął głową. Może było to zbyt optymistyczne spojrzenie na sprawę. Cokolwiek by się stało, Aubrey zostanie wkrótce odnaleziony.

I uciszony.

Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze, byle tylko zacząć szybko działać. A on przecież już działa.

Spojrzał w górę, w stronę podestu i drzwi do zatęchłego przedpokoju. Oleg na pewno już jest, z tym swoim irytującym, przenośnym magnetofonem kasetowym na kolanach, z małymi słuchawkami na uszach; skraca sobie czas oczekiwania, słuchając Mahlera i nowoczesnego jazzu. Człowiek siedzący w absolutnej ciszy w obskurnym pokoju. Babbington starał się skorygować swój lekceważący stosunek do Olega.

Za tym wszystkim stało z pewnością KGB, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, nie leżała w ich zamiarach kompromitacja, czy nawet dekonspiracja, spowodowana zbyt pospiesznym działaniem. Po drugie, traktowali to jako egzamin dla niego. Czy da sobie radę w nagłej potrzebie? Teraz ich człowiek był u władzy. Czy potrafi to wykorzystać dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa?

Idąc na górę, Babbington ponownie uśmiechnął się do siebie. Centrala w Moskwie działała pragmatycznie. Aby sprawdzić jego przydatność, gotowi byli narazić go nawet na ryzyko. Więc dobrze, sprawdził się. Ten mały kryzys, tylko mała czkawka, nie potrwa dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. Szczególnie jeżeli zabili w Afganistanie Pietrunina i Hyde'a. Pietrunina powinni byli zabić już na samym początku.

Lubił Pietrunina w czasach, kiedy ten był londyńskim rezydentem. Był także oficerem sztabowym KGB, którego można było podziwiać, uznać za równego sobie pod względem inteligencji, intuicji i poświęcenia. Nie tak jak tego wieśniaka Kapustina. Ale na sentymenty nie byłoby tutaj miejsca. Decydując się na realizację „Łzy” powinni byli z nim skończyć. Żadnych śladów, żadnych niepotrzebnych zagrożeń. Pietrunin powinien być zniknąć.

Babbington dotarł na szczyt schodów i obejrzał się za siebie. Docierały do niego przytłumione odgłosy ruchu ulicznego i coś jakby szczurze skrobanie z parterowego magazynu usytuowanego za biurami firmy importowej. Poza tym cisza. Wszystko będzie dobrze... Nie było prawdziwego zagrożenia. Tylko pojedyncze osobniki,

pojedyncze żądła, nie cały rój. Pionki niewielkiej wartości, które można usunąć z plan-szy. Mając taką władzę, mógł to zrobić bez problemu.

Centrala w Moskwie uważała, że powinien być zadowolony. Dotarł do szczytu. Nigdy jednak nie zrozumieli jego motywów. Przyłączył się do nich po incydencie sue-skim. W roku 1956. Przypuszczali, że tak jak we wszystkich wypadkach, kiedy nie wchodziły w grę przekonania lub pieniądze, zależy mu na zdobyciu władzy. Tej tajemnej, skrytej, pełnej intryg władzy, jaką cieszyli się Philby, Blunt i inni, niezależnie od tego, co wygadywali na temat ideologii. On nie czerpał satysfakcji z tego, co oni. Jego motywby były subtelniejsze i bardziej wyrafinowane.

Jego ciało napełniło się miłym ciepłem. Był z siebie zadowolony. Jeszcze trochę się nim nacieszy. Oleg może chwilę poczekać.

Nie chciał zajmować miejsca w trzecim rządzie rządzących. Nie chciał stać się jedynie tajnym, potężnym trybem w maszynie władzy trzeciego mocarstwa na świecie. Nienawidził ludzi na szczycie tajnych służb, którzy uważali, że najlepszym pociągnięciem w Wielkiej Rozgrywce była ponowna inwazja na Falklandy. Wrzawa wokół tego incydentu przyprawiała go o mdłości. Nawet teraz wzdrygnął się, przypominając sobie odczuwany wtedy wstyd. Teraz, stojąc na szczycie schodów, jeszcze raz utwierdził się w przekonaniu o słuszności swego wyboru.

Może nigdy nie zostałyby, jak to nazywano, zdracją, gdyby urodził się sto lat wcześniej. Anglia byłaby wtedy w stanie ofiarować mu wszystko, czego pragnął. Byłby niezbędny. Człowiek niezastąpiony dla potężnego kraju, światowej potęgi...

W latach pięćdziesiątych nie mógł zwrócić się do Amerykanów, bo nie byli wrogami, w których szeregi mógłby potajemnie się zaciągnąć. Gdyby byli, zrobiłby to. Dlatego zwrócił się ku Wschodowi, ku Moskwie. Dla Związku Radzieckiego, dla KGB, był równie ważny jak Kapustin, równie ważny jak przewodniczący, może nawet prawie tak ważny jak pierwszy sekretarz Nikitin. Na osiągnięcie tego szczytu i potwierdzenie swojej wartości czekał prawie trzydzieści lat. Zapracował na to, podejmując, swą pierwszą decyzję: zdrada zamiast lojalności. Był jedną z najważniejszych figur w hierarchii supermocarstwa. Anglia, teraz zbankrutowana i śmieszna, udowadniała dzień po dniu, że dokonał słusznego wyboru.

Przeszedł wąski, wyłożony linoleum podest i otworzył drzwi. Zateęchły korytarz był nie oświetlony, ale z salonu w głębi dochodziło słabe światło. Tak, Oleg siedzi tam ze swoimi śmiesznymi, małymi słuchawkami na uszach, wybijając pewnie stopą rytm jakiegoś słyszalnego tylko dla jego uszu jazzowego kawałka.

Babington uśmiechnął się. Dwadzieścia cztery godziny, nie dłużej. Taką odpowiedź chciałby usłyszeć Oleg. Babington czuł, że może to zagwarantować.

- Babbington, o dziwo, odegrał niewielką rolę w późniejszym śledztwie. Jego nieobecności, całe jego zachowanie mogłyby łatwo wydać się podejrzanym.

Zimmermann przyglądał się, jak Massinger dokładnie kroi małym widelczykiem strudel z jabłkami. Amerykanin i jego żona z rozmysłem nie podnosili wzroku. Było to okropnie denerwujące. Nawet ich jednakowy wybór popularnego niemieckiego deseru wyglądał na rodzaj zniewagi.

Sala jadalna w Königshofie była prawie pusta. Kilku ostatnich gości jadło - nie, to nie było dobre słowo, skorygował sam siebie Zimmermann - celebrowało późną kolację. Za ich plecami rzeka błyskała odbitymi światłami obu brzegów. Światła nawigacyjne zdawały się przemieszczać po rzece, jakby wisiały w powietrzu. Deszcz uderzał w ogromne okna.

Massinger milczał, więc Zimmermann mówił dalej:

- Po opuszczeniu państwa dzwoniłem do bardzo wielu osób...

- Opuścił wtedy pospiesznie i niezbyt grzecznie ich pokój hotelowy, uciekając od pełnego emocji napięcia, które aż iskrzyło pomiędzy Amerykaninem i jego żoną. Z rozpędu rzucił się w toń własnych przeczuć dotyczących Babbingtona, jakby nurkował do chłodnego, orzeźwiającego basenu. Babbington pozwolił sobie na krótki romans z zamężną kobietą podczas pobytu na placówce w Bonn w 1974 roku. Znakomita legenda dla jego działalności, jeżeli to była legenda. - W więzieniu w Kolonii jest kobieta...

Massinger podniósł wzrok. Jego oczy miały nieobecny wyraz, patrzyły w dal.

- Co? - To było wszystko, co powiedział.

Margaret Massinger nadal była zajęta deserem, dziobiąc go bez apetytu. Zimmermann zdał sobie sprawę z determinacji tej kobiety. Ona już zdecydowała. Wszystko zostało przesądzone. Zimmermann jeszcze raz pożałował, że na dowód swoich pokojowych intencji dał im adres Clary Elsenreith, kiedy wrócił do Königshofu, żeby zjeść z nimi kolację. Błysk w ich oczach pozwalał przewidzieć przebieg rozmowy i jej rezultaty. Zimmermann był niczym więcej niż nudnym pedagogiem, który ostatniego dnia przed wakacjami zachęca do pilnej nauki, podczas gdy na dworze świeci słońce i wszyscy myślą o wypoczynku...

- Więzienie. Aresztowano ją dwa lata temu, pod zarzutem popełnienia... zbrodni wojennych. Jeszcze nie stanęła przed sądem. Mam zamiar zobaczyć się z nią. Była sekretarką Babbingtona podczas jego pobytu w Niemczech... Korzystał z jej mieszkania jako miejsca spotkań. - Zimmermann nadal mówił, nie przerywając ani na chwilę, jakby jego szybkie, pełne afektacji słowa mogły skupić ich uwagę na treści.

Massinger bez większego zainteresowania patrzył gdzieś w przestrzeń, ponad stołem. Margaret, tego Zimmermann był pewien, słuchała z uwagą, ale uparcie usiłowała nie przyjmować do wiadomości wagi omawianego tematu.

- I co spodziewa się pan usłyszeć?

- Potwierdzenie tego, co mówił Babbington, cóż by innego? - odrzekł Zimmermann. Skończył zamówiony na deser sernik i otarł usta serwetką.

- Myśli pan, że to Babbington jest poszukiwaną przez nas osobą?

- Nie, nie myślę. Jedyne podejrzewam.

- Ależ to nonsens! - wybuchnął Massinger; wyglądało na to, że wszystko, co zostało do tej pory powiedziane, było sprzeczne z jego rozumowaniem. - To zbyt nieprawdopodobne, żeby mogło być prawdziwe.

Margaret podniosła wzrok i pokręciła głową.

- Sam pomysł, że Andrew może być zdrajcą, jest niedorzeczny - powiedziała spokojnie, z nie znoszącą sprzeciwu pewnością. - To niemożliwe - dodała, kiedy spostrzegła gniewny wyraz na twarzy Zimmermanna.

Zimmermann przypomniał sobie wypowiedane szeptem obietnice i zapewnienia, które Amerykanin po wielokroć powtarzał swojej żonie. Czuł się tak, jakby podsłuchiwał odgłosy orgazmu, zabłądziwszy przypadkiem do ciemnego pokoju, gdzie dwoje ludzi doznawało miłosnych uniesień. Obietnice, słowa uwielbienia, oddania, głębokiej namiętności. To dlatego uciekł z pokoju. Teraz zrozumiał, że to była prawdziwa przyczyna ich ślepoty i determinacji. Jutro pojedą do Wiednia, aby zobaczyć się z Clara Elsenreith.

Zimmermann nie wysłał tam nikogo. Sam też nie rozmawiał z tą kobietą. Przyznawał, że to było tchórzostwo. Wcale nie chciał wiedzieć.

Ale oni chcieli. Za wszelką cenę musieli wiedzieć. Nie liczyli się z niebezpieczeństwem, przyjaźnią i przyszłością. Kto i dlaczego zabił Castleforda?

Zimmermann rozumiał tę kobietę. Ona była motorem wszystkiego. Całą duszą odrzucała myśl o nazistowskiej przeszłości ojca. Nie zastanawiała się nawet, czy było to prawdopodobne. Aby zadać kłam potwornej fikcji, musiała usłyszeć od Clary, że jeśli już Aubrey zabił jej ojca, to motywem zbrodni była namiętność. Mogła zaakceptować wersję o śmierci spowodowanej uwiedzeniem cudzej kochanki, ale nie mieściło jej się w głowie, że ojciec mógł być nazistą. Jedną z bestii przeszłości.

To było beznadziejne. Nigdy nie będzie w stanie ich przekonać.

- Czy możecie obiecać, że po rozmowie z Frau Elsenreith wrócić tutaj i pomożecie mi? - zapytał błagalnie.

Nawet teraz zawahali się. Wyglądało to, jakby nie byli w stanie przewidzieć tak odległej przyszłości. Ostrożni inwestorzy, niepewni przyszłych zysków. Maszyny zaprogramowane na wykonanie prostego zadania. Obydwoje byli absolutnie przekonani, że skończą ostatecznie całą sprawę, kiedy dowiedzą się o wydarzeniach w Berlinie w 1946 roku. Zimmermann westchnął w duchu. Złość i frustracja były równie konkretne jak niestrawność. Dlaczego oni niczego nie dostrzegają?

- Cóż, nie możemy obiecać, dopóki nie odbędziemy podróży do Wiednia - powiedział Massinger po długiej, kłopotliwej ciszy. Margaret dotknęła dłoni męża, chcąc wzmocnić jego słabnącą stanowczość.

Boże, pomyślał Zimmermann. Dobry Boże!

- Rozumiem - powiedział kończąc ostatecznie rozmowę. Położył serwetkę na stole. Chciał być okrutny, więc dodał: - Pamiętajcie, że znajdę was w Wiedniu. Bądźcie ostrożni. Zdaj się na swój instynkt zawodowy, mój przyjacielu. - Wstał, uklonił się sztywno milczącej Margaret i oznajmił na zakończenie: - Pojadę natychmiast do Kolonii. Chciałbym usłyszeć opowieść tej kobiety. Dobranoc i powodzenia.

Massinger chciał wstać, lecz Zimmermann gestem zachęcił go do pozostania na miejscu, po czym oddalił się sprężystym krokiem.

Śnieg w ustach i nozdrzach dusił go. Nie stopiony i lodowaty, wpadał mu do gardła. Oczy też miał zalepione śniegiem. Nic nie widział. Otarł je dłonią i kaszlał, wypluwając z gardła śnieg. Potem usiadł i głośnym dmuchnięciem oczyścił nos. Był jedną białą skorupą. Śnieg oblepił go od stóp po czubek głowy.

Nad nim stał żołnierz. Kierował lufę karabinowa prosto w jego brzuch. Australijczyk podniósł wzrok, szukając w młodej, bladej twarzy oznak zdenerwowania, obawy lub niepewności. Znalazł wszystko, czego szukał. Jęcząc przewrócił się powoli na bok i złączył obie ręce.

- Nie ruszaj się - ostrzegł go młody żołnierz. Hyde odwrócił się, by zasłonić ciałem prawą rękę przed wzrokiem żołnierza. Stopiony śnieg ściekał mu po plecach niby strużka strachu. Piersi i brzuch miał wewnątrz zlodowaciałe od połkniętego śniegu. Ostrożnie sięgnął ręką i wyciągnął pistolet należący przedtem do młodego porucznika, którego zabił. Usiadł z bronią ukrytą pod udem. Potem dwa razy strzelił do Rosjanina. Po pierwszym strzale w brzuch trafionemu głowa aż odskoczyła do tyłu.

Druga kula ugodziła go w czoło tuż nad lewym okiem. Ciało żołnierza niczym rżone piorunem runęło na śnieg. Czując się zagrożony, bez chwili namysłu zabił człowieka. Spojrzał na bruzdę w śniegu, którą pozostawiło padające ciało. Strzelista

podpora grani biegła w górę. Żołnierzy nie dostrzegł. Rozdzielili się. Prawdopodobnie na rozkaz wydany z najbliższego helikoptera. Po drugiej stronie góry, poniżej miejsca, gdzie się znajdował, słychać było warkot silnika. Niebo było teraz jednolicie szare.

Podniósł się i z wysiłkiem zaczął iść pod górę. Ślizgał się i potykał w głębokim, sypkim śniegu, aż w końcu ponownie wdrapał się na grań. Nadal nikogo. Okrążył ukryty załom i wspiął się po krawędzi stoku do miejsca, gdzie łączył się on ze zboczem góry. Powoli, ostrożnie przesuwiał się wzdłuż wąskiego, ukrytego w śniegu występu. Nie szerszy niż ścieżka dla kóz występ wił się naokoło góry. Jego szerokość była złudnie pogrubiona śniegiem. Przesuwając się tarł plecami o ścianę. Ten kontakt z twardą powierzchnią góry dodawał pewności jego ruchom.

Stopniowo stracił z oczu miejsce, gdzie spadł i pozostawił martwego Rosjanina. Był prawdopodobnie paręset metrów ponad nawisem, pod którym leżał Pietrunin. Wiedział skalny występ nad wierzchołkiem drzew. Po dwudziestu minutach dostrzegł leżące w oddali, zabarwione na złoty kolor wierzchołki szczytów. Tam już był Pakistan. U ich podnóża leżał Paraczinar. Niebo utraciło ołowianą szarość. Chmury były puszyste i cienkie. Śnieg przestał padać. Skalna półka rozszerzyła się do rozmiarów ścieżki, którą mogły iść obok siebie dwie osoby. Pięła się stromo aż do ostrego załomu przy szczycie. Tamtędy wiodła droga w dolinę. Po drugiej stronie przełęczy leżał Pakistan.

Zaczął się teraz poruszać szybciej. Żałował, że nie zabrał radiotelefonu zabitego Rosjanina. Miałby wtedy możliwość rozpoznania ruchów pogoni i ustalenia, na ile się od niej oddalił. Pomimo wyczerpania biegł dalej pochylony do przodu. Głowę wypełniał mu hałas bijącego serca i oddechu. Ten łomot zagłuszał stopniowo myśli o Pietruninie. Hyde przestał myśleć o dotarciu do informacji ukrytych w pamięci komputera; żeby się do nich dostać, musiałby sam być Pietruninem lub zastępcą przewodniczącego KGB; zapominał powoli o Miandadzie, Mohammedzie Dżanie, Pathanach i młodym martwym Rosjaninie, któremu zapomniał odebrać nie tylko radiotelefon, ale i kałasznikowa, o swoich ostatnich krokach, o hałasie śmigłowców...

Wszystko się zamazało. Każdemu stąpięciu przyporządkowana była określona liczba uderzeń serca. Jeden porywisty oddech przy każdym uniesieniu i przesunięciu stopy. Śnieg był tutaj płytszy, ponieważ wiatr niczym ostry nóż odkrawał go od ścieżki. Smagał w twarz i mroził. Teraz Hyde potrzebował już dziesięciu pospiesznych uderzeń serca, aby zrobić jeden krok i rozpocząć następny. Ż trudem posuwał się w górę. Szedł coraz wolniej, potykając się od czasu do czasu, kiedy nie dość szybko opuszczał stopę i tracił równowagę. Oddychał szybciej, powietrze wydawało się bardzo rzadkie i zimne. Jeden płytki oddech nie wystarczał do wypełnienia tlenem płuc, ale Hyde nie chciał oddychać głębiej, gdyż zimno wywoływało ból. Nie ogoloną twarz, w

miejskach gdzie para oddechu przymarzała do skóry, pokrywała warstwa szronu. Nie patrzył na zegarek. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że ma na przegubie lewej ręki zegarek. Nie pamiętał, że w ogóle ma rękę, chyba że była mu ona potrzebna do zachowania równowagi czy podparcia się.

Wszystkie odgłosy pozostały gdzieś za nim. Wspiął się ścieżką wijącą się wokół góry. Jego ręce były śmiertelnie blade w pierwszych promieniach słońca. Bolały go oczy od narastającego śnieżnego blasku. Doszedł niemal do szczytu. Ścieżka zwężała się. Z wysiłkiem przypomniał sobie to miejsce, zapamiętane w czasie drogi w tamtą stronę. Jednak nadal mógł dosyć swobodnie iść ścieżką. Po lewej stronie miał górską ścianę. Dotykał jej często ręką, ocierając się o nią knykциями dla dodania sobie otuchy. Czasami chwycił się jej zeszywniałymi, przypominającymi szpony palcami, aby się podeprzeć, kiedy kręciło mu się w głowie lub tracił równowagę.

Nie zdając sobie z tego sprawy, przeszedł przez załom wąską furtką do doliny. Znowu zaczął schodzić w cień, z dala od pierwszych promieni słońca. Zatrzymał się. Stojąc na czworakach spojrzał przed siebie. Nie oglądał się na Afganistan.

Nagle zdał sobie sprawę, że nie wyobraża sobie dalszej ucieczki. Nie myślał o tym, nie brał tego pod uwagę... Stracił Miandada, swojego kuriera, swojego adiutanta. Nie wiedział, jakie były ustalenia.

Zbocze góry opadało gwałtownie, jakby ścięte przez ogromny nóż, aż do leżącego dwieście jardów niżej, pokrytego śniegiem dna doliny. Dolina wiała się wśród wysokich gór niby ogromny wąż przez trzy, cztery mile, aż do kolejnego wzniesienia prowadzącego do przełęczy, którą mógłby dojść do Paraczinaru i obozu Pathanów.

Wiedział, że nie może wrócić do obozu sam. Nie miał na to odwagi. Coś się w nim załamało i zapadło. Coś bardziej zasadniczego i istotnego niż siła fizyczna. Aż zadrżał ze słabości. Wciąż był na czworakach, niczym wyczerpane zwierzę. A potem przytulił się do zbocza, wciskając się w nie jak dziecko w spódnice matki, jak kochanek potrzebujący pocieszenia. nJego oddech brzmiał niczym łkanie nawet w jego własnych uszach...

Nagle ogłuszył go odbijający się od powierzchni skały hałas nadlatującego szybko helikoptera. Ciało Hyde'a zadygotało od podmuchu. Śmigłowiec wyłonił się zza skał i zawisł w powietrzu. Przyciemnione szyby kabiny wyglądały jak przerażająca maska, złowieszczo uśmiechnięta wyrzutniami pocisków. Maszyna kołysała się na boki. W otwartych bocznych drzwiach Hyde dostrzegł twarze. Widział wycelowany w niego ciężki karabin maszynowy PKMS na obrotowej podstawie. Uklęknął przyciskając się do skały. Śmigłowiec przybliżył się. Był około trzydziestu stóp nad nim, w miejscu

gdzie nachylenie stoku nie zagrażało wirującym łopatom. Ogromny, podobny do pająka, ogłuszający rykiem śmigłowiec szturmowy MiL wisiał nad nim, zasłaniając poranne niebo. Jego hałas odbijał się od góry, zadając Hyde'owi niemal fizyczny ból. Bardzo wolno opuszczał się w jego kierunku. A on nie mógł się nawet poruszyć.

Był spowity wirującym śniegiem, unoszonym do góry i rozrzuconym przez strumień powietrza. Śmigłowiec obniżył się, nurkując w chmurę podrywanego śmigłami śniegu. Hyde przywarł twarzą do skały, czując na rękach i nogach ciśnienie powietrza. Palce ześlizgiwały mu się z kamiennej gładzi. Później jego ciało zaczęło coraz szybciej i mocniej dygotać, gdy siedział skulony, odwrócony plecami do śmigłowca. Po chwili na drżących kolanach zaczął ześlizgiwać się z wąskiego występu w stronę ziejącej za nim przepaści. Powietrze potrząsało nim jak chemik probówką. Wrażenie to potęgował dodatkowo strach przed runięciem w przepaść.

Przytrzymał się, obejmując rękami dużą skałę. Spróbował usiąść, potem położyć się. Stracił panowanie nad nogami, był jak małe, nie umiejące jeszcze chodzić dziecko. Obsunął się w stronę krawędzi ścieżki, w kierunku przepaści. Przewrócił się na plecy i zaparł piętami, ale nie mógł zapobiec ruchowi własnego ciała. Czuł, że podłoże, na którym leży, jest żywe i sypkie. Śmigłowiec na kształt ogromnego żuka wisiał nad nim, chmura porwanego w górę śnieżnego puchu zasłaniała wszystko.

Nogi miał już poza krawędzią przepaści. Pomachał nimi, a następnie ugiął je w kolanach, przyciskając łydki do skalnej ściany. Pośladki spoczywały na samej krawędzi. Nie mógł przewrócić się na brzuch. Nie miał się czego chwycić.

MiL przechylił się na jedną stronę, odsłaniając błękit nieba. Z jego wnętrza opuszczał się umieszczony na linie ciemny kształt. Mniejszy pająk, a może tylko pajęcza nitka. Hyde leżał na plecach z nogami poza krawędzią przepaści. Śnieg kotłował się wokół. Zасыpywał go, kiedy opuszczano nad Hyde'em ze śmigłowca człowieka. Dwa-dzieścia stóp, piętnaście, dziesięć - wyglądało na to, że zaraz runie na Hyde'a, któremu tylko pozostało czekać. Człowiek pochylił się, wisząc na linie, potem MiL zaczął przesuwając go w bok, w kierunku występu.

Dwieście jardów, dwieście jardów, powiedział do siebie. Dwieście jardów, podpowiadał mu instynkt. Nie potrzeba ci więcej, abyś znalazł osłonę. Potem trzy mile, dodał instynkt. Co najmniej trzy mile.

Dwieście jardów, odezwał się w nim inny głos.

Sześć stóp, pięć, cztery, rejestrowały jego oczy. Buty człowieka ze śmigłowca otarły się o krawędź, znalazły oparcie. Jego ciało odchyliło się nieznacznie, potem wyprostowało. Był na występie. Hyde odepchnął go nogami. Człowiek zakołysał się, a

wtedy MiL przesunął się odrobinę. Wyglądał jak marionetka na sznurku. Przybliżył się znowu, kołysząc się jak wahadło i szukając oparcia dla stóp. Kiedy je znalazł, zaczął przesuwac karabinek z pleców na brzuch. Hyde przeturlał się w kierunku mężczyzny, którego MiL znów poderwał w górę. Hyde zaczął grzebać w śniegu. Znalazł skrawek zamarznętej ziemi i wbił w nią paznokcie, powstrzymując obsuwanie się w stronę krawędzi. Był wyczerpany i przerażony, niezdolny już do niczego więcej. Człowiek-pająk znowu się zbliżył, jego stopy lekko wsparły się o występ. Tym razem uśmiechał się, celując w Hyde'a.

Czy chcieli go?...

Za chwilę. Dwieście jardów, zanim cię zabiją...

Poruszył się tak, jakby znowu chciał się przeturlać, a stopy mężczyzny zatańczyły w górze. Chryste, pilot był dobry i już tę sztuczkę opanował wcześniej. Potem człowiek na linie zawisł, wybijając jakby wojskowymi butami dziwne hołubce w mroźnym powietrzu. Buty wisiały około stopy ponad ścieżką. Śnieżny puch osiadał na nogach czającego się pająka. Hyde przeturlał się i wystrzelił. Uśmiech przekrzywił się, potem ukazała się krew, tak jak u Pietrunina, lecz Hyde już na to nie patrzył. MiL oddalił się od występu, a Hyde odwrócił się i zaczął biec. Śmigłowiec warczał za nim. Nadlatywał. Usłyszał przerażający, wrzaskliwy odgłos, a potem ocieranie się metalu, ciała i kości o zbocze góry. Nie wciągnęli mężczyzny, tylko tak go zostawili. Pewnie jeszcze żył, kiedy objęli go o skały uwięzionego na linie. Skończył swój taniec.

PKMS otworzył ogień, siekąc kulami po ścieżce za plecami Hyde'a. Odłupywał kawałki skał w miejscu, gdzie przed chwilą była jego głowa. Hyde przypadł do postrzępionego, krętego, dającego osłonę żlebu skalnego, który prowadził do dna doliny. Strach sprawiał, że ciało Hyde'a płynęło prawie tak łatwo i wartko jak strumień, który musiał kiedyś docierać do doliny tą samą trasą. Hyde poobijany, poraniony i roztrzęsiony szybko schodził w dół.

Obejrzał się za siebie tylko raz. MiL był jakieś sto stóp w górze, właśnie wciągano nieżywego mężczyznę. Jego skręcone ciało zwisało groteskowo pod śmigłowcem. Hyde ześlizgiwał się w dół w desperackiej próbie dotarcia do doliny, zanim MiL wznowi grę.

- Można by udostępnić zeznania, Frau Schröder. Jestem pewien, że pani adwokat mnie zrozumie... - Zimmermann wypowiedział to stwierdzenie lekko, obracając głowę tak, żeby móc zobaczyć reakcję adwokata tej kobiety. Był to młody człowiek ze skłonnościami do tycia, w okularach w złotej oprawie nadających mu uczony wygląd, który

nie pasował do modnie skrojonego garnituru i ekstrawaganckiej koszuli. Pewnie był jeszcze małym dzieckiem, kiedy Schröder popełniała okropności, o które ją oskarżano.

Prawnik skinął głową, zachęcając go do dalszych prób przekupstwa. Margarethe Schröder obserwowała Zimmermanna spod ciężkich powiek. Nie kryła gniewu i oburzenia, które odmładzały ją i powodowały, że strzecha siwych włosów nie pasowała do jej twarzy. Wzruszyła ramionami, jak gdyby Zimmermann nudził ją, ale w jej oczach pojawił się przebiegły błysk wyrachowania. Ostatnie dwa lata, odwiedzana przez bliskich krewnych, spędziła w więzieniu w rodzinnym mieście, oczekując na proces, który być może nigdy miał się nie odbyć. Była strażniczką w obozie na Majdanku. Zeznania, które przeciwko niej zgromadzono, opisywały jej czyny. Zabijała noworodki, dzieci i kobiety, jakby to było coś normalnego. Rutynowość jej działania, którą Zimmermann dostrzegł już przy pierwszym czytaniu akt, bardziej go zaszokowała niż nadgorliwość, jaką przejawiała, rozwalając głowy, tak że mózgi rozbryzgiwały się na betonowych podłogach czy drewnianych ścianach baraków. Posiadała podobno abażury z ludzkiej skóry i kolekcję zdjęć obrazujących sceny powolnej śmierci, która zdobiła jej mieszkanie.

Zimmermann stykał się już wcześniej z pozostałymi przy życiu członkami SS i gestapo. Nie wywoływali w nim żadnych innych emocji oprócz dławiącego, cichego przerażenia, historią jego własnego narodu.

Schröder wraz z grupą innych emerytek przebywała na wakacjach na Florydzie, gdzie została rozpoznana przez byłą więźniarkę Majdanka. Nigdy nie wypierała się zarzucanych jej czynów. Odrzucała część z nich, uznając je za fakty bez znaczenia. Nie przyjmowała do wiadomości, że dokonywała przestępstw. Zimmermann jednak miał wrażenie, że chciałaby opuścić więzienie. Drażniła ją panująca wokół niej atmosfera bezustannego mnożenia zarzutów. Oburzała się przeciw temu gorzko i głęboko. Mógł oferować Schröder szybki i nieszkodliwy proces. Nawet jeżeli obiecując jej to miał co innego na myśli, to wolał pozostawać w przekonaniu, że nie dotrzyma złożonych obietnic. Ale to był problem na przyszłość.

- Mogę się zobowiązać - ciągnął, przerywając ciszę zakłócaną jedynie cichym buczeniem jarzeniówki - że pani sprawa stanie na wokandzie i zakończy się w tym roku... - Oczy Schröder patrzyły na niego wyczekująco, podejrzliwie i z obawą. Zimmermann spróbował uśmiechnąć się uspokajająco. - Możemy zapewnić pani bardzo niski wyrok dzięki pewnym zeznaniom, zaprzeczającym dokumentom znajdującym się w posiadaniu Federalnego Biura Prokuratorskiego. Frau Schröder, wyrok uwzględni pani dwuletni pobyt w więzieniu i pozwoli pani opuścić to miejsce przed Bożym Narodzeniem.

Przerwał na chwilę. Schröder spojrzała na adwokata, który zamyślił się, rozważając szczegółowo przedstawioną propozycję. Zdjął okulary, przybierając znów wygląd małego chłopca. Przetarł szklą jedwabną chusteczką, a potem włożył z powrotem na nos i ponownie zrobił mądrą minę.

- Nie będzie pan nic notował - ostrzegł. - W ogóle. Słowa mojej klientki nie będą nigdy uznane za rodzaj jakiegokolwiek oświadczenia.

- Oczywiście, że nie.

- Nie będzie pan zadawał pani Schröder żadnych pytań dotyczących okresu od 1941 do 1945 roku. Zgadza się pan?

- Oczywiście, że tak. Ten okres życia Frau Schröder nie interesuje mnie. Nie jest dla mnie ważny - poprawił się, nie chcąc zrazić jej do siebie. Ponownie spróbował się uśmiechnąć.

Patrzyła na swojego adwokata, który kiwnął głową. Zwróciła się do Zimmermanna. Głos miała głęboki i ochryply. Ręce, które położyła na pokrytym laminatem stole, były duże, bez manikiuru. Zimmermann nie wahałby się nazwać ich męskimi. Zdał sobie jednak sprawę z banalności takiego stwierdzenia i nie chciał wtłaczać Schröder w pewnego rodzaju stereotyp. W rzeczywistości trudno było znaleźć coś, do czego można by przyrównać ją i jej podobne osoby.

- O co chce mnie pan zapytać? - zapytała niechętnie.

- Dziękuję, pani Schröder. - Zimmermann usiadł po przeciwległej stronie stołu. Schröder zapaliła papierosa i wydmuchnęła dym w stronę buczącej jarzeniówki. Pokój rozmów był ciepły, od dawna nie wietrzony, ale aseptyczny, jak korytarze, którymi tutaj przyszedł. Więzienie było nowoczesne, czyste i przestronne, przypominało duży biurowiec, w którym nie można znaleźć zbrodni ani przestępców. Jak większość więzień wybudowanych w Niemczech po wojnie, również i ono robiło na Zimmermannie wrażenie ponurego pastiszu hotelu na Costa Brava. - Chciałbym, aby wróciła pani pamięcią do roku 1974, kiedy pracowała pani... - Pokiwała głową, jakby chcąc mu przerwać. Wiedziała, po co przyszedł. - ...dla oficera wywiadu brytyjskiego podczas jego pobytu w Bonn. Była pani sekretarką człowieka o nazwisku Andrew Babbington?

- Tak.

- Chciałbym pani zadać parę pytań na jego temat.

- Zawsze byłem dobrą sekretarką - bardzo sprawną. Nie było żadnych zarzu... - Zacerwieniła się lekko, ale była zła raczej na siebie - ...zastrzeżeń co do jakości mojej pracy. Jestem tego pewna.

- Oczywiście, Frau Schröder. Oczywiście, że nie. Wiem, że pan Babbington był z pani bardzo zadowolony. Nie o pani chcę rozmawiać, ale o nim. Rozumie pani, że w tej chwili nie mogę pani powiedzieć, dlaczego?

Rozważała jego wypowiedź. Zimmermann patrzył na adwokata, który w końcu skinął głową na znak przyzwolenia. Zimmermann wiedział, że nie ma potrzeby, aby ostrzegać którekolwiek z nich o niebezpieczeństwie wiążącym się z jego pytaniami. Ponownie zwrócił uwagę ku Margarethe Schröder. Gasła właśnie papierosa i prawie natychmiast zapaliła następnego. Kiwnęła głową. Widocznie uznała, że nie ma do czynienia z subtelnym wybiegiem, który w zawołowany i pośredni sposób miał zmusić ją do powrotu myślami na Majdanek i do jej przestępstw. Nie rozumiała natomiast z pewnością wagi jej zeznań dotyczących Anglika i 1974 roku.

- Wydaje mi się, że podczas pobytu w Bonn Mr Babbington miał romans z zamężną kobietą, która zmarła potem na raka. - Przyglądał się Schröder. - Oczywiście, wie pani o tym romansie? - Starannie modulował głos. Dawał do zrozumienia, że istnieje pomiędzy nimi jakaś nieokreślona więź lub wspólnota postawy wobec przedmiotu rozmowy. Równocześnie jednak jego wypowiedź miała jednoznacznie sugerować, że Zimmermann był wyższym oficerem w tego samego rodzaju organizacji, w której służyła Schröder. W odpowiedzi energicznie pokiwała głową. - Dobrze. Jak często się spotykali? - W pytaniu Zimmermanna wyczuwało się ton, który sugerował, że odpowiedź może być dla niej groźna. Papieros w jej wargach zadrżał. Odkasznęła. - No, Schröder, nie zrobiła pani nic złego. Gdzie się spotykali?

- W moim mieszkaniu - przyznała cicho. - Przeważnie w moim mieszkaniu. - Powtórzyła to tonem bardziej agresywnym. Uniosła głowę.

- Dlaczego, ze względów bezpieczeństwa? - zapytał obojętnie.

- Oczywiście - odparła z pogardą. - Ta kobieta była żoną urzędnika państwowego, jego współpracownika w Bonn.

Zimmermann kiwał głową, wpatrując się w blat stołu. Spoglądał na bladą mapę plam po kawie i rysunków machinalnie bazgranych ołówkiem oraz śladów gaszonych papierosów.

- Musiał uważać. Poprosili mnie. Pomogłam im. - Wynikało z tego, że jej też płacili. Babbington wyraźnie ujął ją swoim męskim wdziękiem i prezentami. Odrzuciła z czoła kosmyk kędzierzawych włosów. - Spotykali się tam we dwoje, jakieś trzy razy w tygodniu.

- Pamięta pani dokładnie, kiedy to było?

- Oczywiście w 1974 roku. - I wtedy wybuchnęła gniewem. - Kiedy aresztowano tego zdrajcę Guillaume'a. Teraz, po zdradzie Niemiec, on wrócił na Wschód, a ja jestem tutaj! - Zimmermann wysunął rękę, ale ona gwałtownie zabrała ze stołu swoje męskie dłonie. - Dlaczego oni ciągle się tym interesują? - jęknęła. W tym żalu nad sobą tkwiła jednak żelazna siła. - To było czterdzieści lat temu, wszyscy o tym zapomnieli.

Ludzie nie wiedzą i nie chcą wiedzieć! Dlaczego tu jestem? - wykrzyknęła.

Zimmermann wstał. Zaciśnięte dłonie oparł o stół. - Ma to pomóc pani wydostać się stąd, dlatego musi pani odpowiadać na moje pytania, Frau Schröder. Oczekuję więcej pomocy, jeśli pani łaskawa. Jestem bardzo zajęтым człowiekiem i nie mam czasu na wysłuchiwanie pani żalów nad sobą.

Odwrociła wzrok od swego prawnika i spojrzała na Zimmermanna. Pociągnęła nosem i wytarła oczy. Ton jego głosu dotknął ją, ale zrobił też na niej wrażenie. Przełamała się. Energicznie pokiwała głową.

- Co mogę panu powiedzieć? Dwa albo trzy razy w tygodniu, nigdy nie zostawiali bałaganu. Pościel była zawsze zmieniona. Kieliszki po szampanie umyte, żadnego jedzenia... wszystko myli i sprząтали przed wyjściem. Nigdy nie miałam żadnych kłopotów. Kiedy wracałam, mieszkanie było zawsze puste.

- Czy znała pani tę kobietę?
- Tak. Z imienia, widziałam ją raz czy dwa.
- Ale nigdy w mieszkaniu?
- Nie, oni byli dyskretni.

Zimmermann zastanowił się. W końcu stworzył sobie obraz tej sytuacji w oderwaniu od jej głównych aktorów i okoliczności. Margarethe Schröder była teraz jedynie świadkiem wydarzeń 1974 roku, emerytowaną sekretarką, która miała dostęp do ściśle tajnych informacji. Skarbonka, do której wrzucono emeryturę urzędnika państwowego.

- Czy może pani podać dokładne daty? Kiedy zaczął się romans, kiedy zaczęli wykorzystywać do spotkań pani mieszkanie?

- Zaczęłam pracować dla Mr Babbingtona w marcu albo może na początku kwietnia. Nie jestem pewna. Najpierw nie chciałam mieć konkurentki, ale on był szalenie ujmujący, sam czar...

- Oczywiście. A mieszkanie?
- Jakies dwa tygodnie później. Początkowo miał z niego korzystać tylko przez pewien czas. Potem nalegał, tak mnie chwalił... i tak... - Uniosła ręce, nieomal się uśmiechnęła. - Potem dwa, trzy razy w tygodniu. - Zaśmiała się gardłowo.
- Rozumiem. Nie mogli korzystać z hoteli?
- Jak pan wie, ta kobieta była dobrze znana w Bonn. Kobiety z jej środowiska mogły ją rozpoznać. - Dla Schröder te środki ostrożności były całkowicie naturalne.

Zimmermann zrobił krótką przerwę, po czym powiedział:

- W pani mieszkaniu był oczywiście telefon?
- Naturalnie.
- Czy w tym tygodniu, kiedy aresztowany został zdrajca Guillaume, Babbington korzystał z mieszkania?

- Często. Przekonał mnie, że zbyt ciężko pracuję i powinnam wziąć parę dni wolnego. Wyjechałam do Bawarii. Pięknie tam było wiosną. Sam przyniósł bilety na pociąg i zarezerwował hotel. Dobry hotel.

Zimmermann hamował rosnące podniecenie. Babbington w czasie tych kilku przełomowych dni dysponował mieszkaniem z telefonem bez podsłuchu, którego numeru nawet nikt nie zamierzał sprawdzać. Okresy nieobecności Babbingtona tłumaczono jego romanssem. Wiedzano nawet, gdzie przebywał. Taka wersja pozostała w raportach obserwacji i pamięci ludzi. Babbington rozbroił wszystkich swoim uczuciem i staraniami o znalezienie kryjówki dla siebie i kochanki. To tłumaczyło całe jego zachowanie, nadając mu otoczkę zdrady małżeńskiej, a nie czynu kryminalnego. Telefony do Guillaume'a zaczęły się 22 kwietnia.

- Wróciła pani do Bonn. Kiedy?

- 25 kwietnia.

- A Mr Babbington w dalszym ciągu korzystał z pani mieszkania do spotkań z tą kobietą, która już nie żyje?

Margaret Schröder potrząsnęła głową. Wydawało się, że nawet posmutniała na samo wspomnienie.

- Nie, Mr Babbington był bardzo zdenerwowany. Powiedział mi, że jej mąż zaczął coś podejrzewać. Musieli się rozstać, chociaż on ją błagał, żeby z nim została.

- Uwierzyła mu pani?

- Myśli pan, że kiedy stykam się z nieszczęściem, nie potrafię się zorientować? - rzuciła prowokująco.

- Więc romans był skończony i dlatego Babbington poświęcił cały czas pracy. Znalazł ucieczkę w pracy.

- Na szczęście. Powoli wydawał się dochodzić do siebie i odzyskiwać humor.

- Czy przed wyjazdem do Anglii uregulował pani bardzo wysoki rachunek telefoniczny, Frau Schröder? - zapytał szybko Zimmermann. To pytanie zaskoczyło ją i zmieszało.

- Jak pan?... - Odsunęła jednak od siebie podejrzenie, że to właśnie pytanie było głównym celem przesłuchania, i powiedziała: - Tak. Co do feniga.

- To był wysoki rachunek. Czy większość miejscowych rozmów odbyła się w czasie pani pobytu na wakacjach?

- Tak... Tak mi się przynajmniej wydaje.

- A czy przedtem prowadził dużo rozmów międzymiastowych, a nawet międzynarodowych? - Skinęła głową. - Ale kiedy była pani na wakacjach, to były głównie rozmowy miejscowe?

- Nigdy nie próbował mnie oszukać. Mr Babbington wyjaśnił mi, że pracował w

moim mieszkaniu i musiał często telefonować do Londynu. Powiedział to, zanim przyszedł rachunek.

- Ależ oczywiście. To drobiazg... - Popatrzył na zegarek. Pierwsza w nocy. Czuł, jak zmęczenie i napięcie nerwowe dławi mu pierś. Wreszcie zaczęło się dziać coś po jego myśli. Znał już metodę i okoliczności. Być może z czasem odkryje również i motywy? Wstał. Niedbale podał rękę Margarethe Schröder. - Dziękuję - powiedział. - Dziękuję. W ciągu najbliższych dni skontaktuję się z pani adwokatem, Herr Ganzerem. Jestem pewien, że możemy sprawić, aby najbliższe Boże Narodzenie stało się dla pani niezapomniane! - Usiłował ponownie się uśmiechnąć i wypadło to nawet dość naturalnie. To, co zobaczyła Frau Schröder, było odbiciem jego zadowolenia z siebie.

- Dziękuję panu - powiedziała, nie bardzo rozumiejąc jego słowa. Zimmermann krótko uściśnił dłoń Ganzerà, kiwając głową dla podkreślenia szczerzej chęci pomocy i wyszedł. Idąc jasno oświetlonym, wyłożonym kafelkami korytarzem głośno stukał butami.

Kiedy tak szedł w świetle jarzeniówek przez liczne korytarze i poziomy więzienia w kierunku głównej bramy i swego samochodu, wydawało mu się, że ucieka od trudnego do wytrzymania, duszącego, poczucia uwięzienia, jakie wywołała w nim wizyta w pokoju rozmów. Emanowało ono od tej kobiety - Schröder. Była przeszłością ciągnącą na nim i jego ojczyźnie.

Czuł w sobie nie zrealizowane możliwości. Zawsze był szpiegiem i oficerem śledczym. Przyjął to jak dobrowolny wyrok dożywocia. Ale .

Schröder reprezentowała tych, którzy z Niemiec i niemal całej Europy uczynili więzienie i kostnicę. Chciał trzymać się z dala od nich i od tego, co zrobili. Przez całe swoje życie starał się to zrobić. Teraz dług wobec Aubreya zawrócił go z tej drogi niczym planetę na długiej eliptycznej orbicie. W jednej chwili stanął w obliczu największego wstydu w historii Niemiec. W tym ciepłym, suchym pokoju przesłuchań znalazł się twarzą w twarz z koszmarem przeszłości. Szybkim krokiem wyszedł na podwórko, chcąc zaczerpnąć zimnego powietrza. Postawił kołnierz płaszcza. Z ulgą wsiadł do mercedesa. Uruchomił silnik i podjechał do bramy. Pokazał przepustkę. Brama otworzyła się. Był wolny.

Kiedy dojeżdżał do bocznej drogi prowadzącej do autostrady Kolonia-Bonn, zorientował się, że jest śledzony.

Babbington odebrał telefon z Bonn i nieomal natychmiast wyobraził sobie miasto, skąd dzwoniło. Pamiętał zupełnie dobrze małe, zastawione meblami mieszkanie z telefonem. Pamiętał dziesiątki, a może setki rozmów, które stamtąd przeprowadził.

Czasami była tam kobieta. Biedna Use zmarła później na raka w strasznych męczarniach. Ale przeważnie bywał w mieszkaniu sam. Use była dobrą legendą i dobrą kochanką. Była luksusem, z którego musiał zrezygnować, kiedy okazało się, że Guillaume jest skończony. Zatarł za sobą ślady, ale „Łza” miała wywołać duchy z 1974 roku. Teraz, po upływie dziesięciu lat, musiał dokonać egzorcyzmów.

- Zrobione - wszystko tak jak pan kazał. Chce pan to zobaczyć? - Akcent był amerykański. Ten oficer K.GB, jak wielu innych, nauczył się angielskiego studiując prawdopodobnie w Stanach Zjednoczonych.

- Co się dzieje?

- Wyciągnięto dla niego wszystkie potrzebne akta. Był bardzo blisko. Ta kobieta w Kolonii. Widział się z nią.

- Jesteś pewien?

- Tak.

- Miejmy nadzieję, że dzisiejsza noc będzie dla niego dobrą lekcją. Wielkie dzięki.

Babbington odłożył słuchawkę. Potarł nos kciukiem i palcem wskazującym, jakby chciał przynieść ulgę swym zatokom. Oleg, jego kontakt, siedział naprzeciwko w fotelu, ze szklanką whisky na poręczy. Był rozluźniony. Babbington zastanowił się. Czy to będzie dobrze...

Zimmermann poruszał się jednak szybko, wykorzystując swój talent i intuicję.

- Okay - oświadczył po prostu Babbington. - Zrobione. Zimmermann powinien przeżyć szok. To powinno go uciszyć. Przynajmniej na jakiś czas.

- Co to da?

- Czas. W ten sam sposób zyskamy na czasie, kiedy jutro Massinger i jego żona wpadną w moje ręce. Zostaną usunięci z gry.

- A Aubrey?

- Oleg! Moja odpowiedź na to pytanie brzmi - a Hyde?

- Nie martw się. Jest sam. Nie może nam uciec.

- Pietrunin nie żyje?

Oleg kiwnął głową. Jasne włosy opadły mu na czoło. Odrzucił je na bok.

- Tak. Tego są pewni.

- Dwa lata za późno.

- Być może.

- Mam prawo się skarżyć. To ja tu po was sprzątam, Oleg.

- Centrala poleciła mi poinformować cię o niebezpieczeństwach związanych ze zbytnią bezwzględnością w tej sprawie.

- Jak to?

- Co na przykład zamierzasz zrobić z Massingerami? A Aubrey, gdzie go zamierzasz umieścić?

- Sprowadzę ich z powrotem. O co jeszcze chodzi?

Babbington czuł, że jest obserwowany przez mikroskop nieufności. Obawiali się tej samej bezwzględności, która kiedyś ich do niego sprowadziła, a później z biegiem czasu zapewniła mu pozycję. Chociaż w głowie kłębiły mu się różne myśli, zdołał jakoś zachować uspokajający, łagodny wyraz twarzy. Kiedy lekko zaczął mu drgać kącik ust, zamaskował to popijając whisky.

- Posłuzenie się twoimi olbrzymimi uprawnieniami będzie rozwiązaniem zbyt prostym - powiedział Oleg. - To jak z tłuczeniem much. Problem polega na tym, że rozgniecione muchy pozostają na szybie albo na białej ścianie. Jest ślad.

- Nie potrzebuję wykładu na temat ostrożności. To jest wasz egzamin dla mnie. Zdam go. - Zasalutował swemu towarzyszkowi szklaneczką i znowu się napił, bo tik powrócił.

Wykończy ich - jeżeli choć jedno z nich wie, domyśla się lub podejrzewa, albo chociażby błądzi po omacku, z zawiązanymi oczami, starając się desperacko schwytać kogoś, kogo nie widzi. Jeśli się dowiedzą, wykończy ich... Gdyby kiedykolwiek poznali prawdę albo zgromadzili dostatecznie dużo informacji, zlikwidowałyby ich - Massingera, Margaret, Aubreya, Zimmermanna, Shelleya, Hyde'a. Cały ten mały gang. Każdego z nich. Oczywiście, musiałyby być ostrożny. Jeśli będą zachowywali się przyzwoicie, to pozwoli im żyć, ponieważ ich śmierć byłaby kłopotliwą i niepotrzebną komplikacją...

Ale jeżeli się dowiedzą i podejmą działania?

Martwi?

- To też jest już trup - powiedział widząc, że butelka whisky w jego ręku jest pusta.

Zimmermann włożył klucz do zamka, ale drzwi otworzyły się, zanim zdążył go przekręcić. W jednej chwili uświadomił sobie, że ktoś się do niego musiał włamać.

Na korytarzu nie było nikogo. Przeszedł po schodach. Nikogo nie było. Nikt nie jechał windą...

Nasłuchiwał. Nic. Cisza. Zapach alkoholu i potłuczonych butelek. Wszedł do przedpokoju i szukał ręką wyłącznika. Kiedy zapaliło się światło, zobaczył, że drzwi do salonu są szeroko otwarte. Meble leżały poprzewracane. Mały bibelot z miśnieńskiej porcelany rozbity przy drzwiach. Pasterka bez głowy. Woń rozlanej whisky i dżinu była jeszcze mocniejsza. W dalszym ciągu nic nie słyszał.

Śpieszył się teraz. Salon wyglądał jak pobojuwisko. Szeroko otwarte drzwi do sypialni ukazywały przewróconą do góry nogami pościel i wyciągnięte szuflady, które

wyglądały niczym otwarte w zdumieniu usta. Ubrania porozrzucone po całym pokoju.

Natychmiast zauważył, że znikły srebrne przedmioty i porcelana. Obrazy wycięto z ram. Fotografie rzucono na podłogę i zmiażdżono butem. Przedstawiały jego przeszłość. Na jednym ze zdjęć był ubrany w ten sam mundur, w którym Aubrey złapał go w 1940 roku. Uśmiechał się szeroko spod wygiętego daszka czapki. Barek był pusty. Butelka whisky i druga, z dzinem, leżały ze stłuczonymi szyjkami. Alkohol wsiąkł w dywan.

Zobaczył, że mały sejf w ścianie był otwarty. Na ścianie wisiała przekrzywiona rama, obrazu, który zasłaniał skrytkę, nie było. Akta zniknęły. Wszystkie. Wraz z nimi zabrano książeczki oszczędnościowe, książeczkę czekową, karty kredytowe, jego testament i resztę papierów. I dwa tysiące marek w banknotach, które zawsze tu trzymał.

Ale oczywiście chodziło o akta. Przeklęte akta...

Szok nie sparaliżował go, lecz pobudził do działania. Zimmermann wyjrzał przez okno, ale na ulicy nie widać było śledzącego go przedtem audi. Podeszedł do telefonu. Wyplątał go z dywanu i odnalazł słuchawkę przewieszoną przez oparcie kanapy. Wykręcił numer Königshof Hotel. Nie miał ochoty na wzmacniającego drinka. Rozlana whisky dokuczliwie pachniała i uderzała do głowy. Był zły z powodu zniszczeń. Profesjonalne wejście, które nieudolnie maskował modny ostatnio wśród złodziei wandalizm. Był wściekły.

Poprosił o numer pokoju Massingera.

- Szybciej, szybciej... - mrucał, a potem rzekł: - Ach, Paul, mój przyjacielu. Przepraszam, że budzę cię o tej porze.

- Wolfgang? Co się stało?

- Włamano się do mnie. Zabrano akta. Jestem pewien, że one były celem włamania. Dzwonię, bo chcę ci powiedzieć, że w najbliższych dniach będziesz musiał zachować szczególną ostrożność.

- Włamano się, o Boże...

- Proszę cię, bądź ostrożny. Nie powstrzymam cię przed wyjazdem, bo wiem, że nie posłuchasz. Ale patrz za siebie. Może ci będzie potrzebny dawny instynkt i wyszkolenie. Wracaj prędko. Jestem pewien, że możemy potrzebować nawzajem swojej pomocy.

- Dobrze, wrócę. Parę dni, nie więcej.

- Dobranoc.

Rzucił telefon na kanapę; nie miało to i tak znaczenia w tym splądrowanym pokoju. Potarł czoło. Z ręką na biodrze chodził tam i z powrotem po poplamionym i zaśmieconym

dywanie. Wyglądał jak profesor przygotowujący się do wygłoszenia zawilej argumentacji naukowej. Jego myśli były jednak jasne i proste.KGB. Wykonali ruchy, aby usunąć dowód. Na wielkich chłopskich widłach wyniesiono kupę gnoju zawierającą diament.

To musiał być Babbington. Natychmiast przeszli do kontrataku, który miał na celu ochronę jego pozycji.

Należało się mieć na baczności. Najwyższa ostrożność. Jeśli chce dalej działać, będzie musiał być czujny dzień i noc. Przede wszystkim nie wzbudzać podejrzeń, dopóki Massinger nie wróci z Wiednia.

Sięgając znów po telefon pomyślał nagle, że to, co się stało, mogło - tylko mogło - narazić Frau Margarethe Schröder na bezpośrednie niebezpieczeństwo. Podniósł słuchawkę i zaczął wykręcać numer więzienia w Kolonii. Wzrokiem błędził po porozrzucanych, połamanych szczątkach mebli i ozdób. Spojrzenie miał mądre, bystre.

Biegł prosto w zimne, czerwone, wschodzące słońce wiszące nisko nad ziemią. Na tle jego tarczy ścigający musieli doskonale widzieć jego czarną sylwetkę, która rzucała długi, goniący go cień. Czuł ten cień, chociaż go nie widział, wystrzonymi, umęczonymi zmysłami, działającymi niemal w stanie halucynacji. Podążający za nim cień był przynętą dla psów. Stanowił łatwy cel na tle czerwonego dysku. Słyszał huk szturmowego MiL-a przygotowującego się do gwałtownego obniżenia wysokości. Zlustrował skały w poszukiwaniu kryjówki.

- Świetnie, sukinsyny, świetnie, świetnie, świetnie!... - krzyczał bezgłośnie w stronę śmigłowca, aż dopadł krętego dna doliny o stromych zboczach i zaczął biec. Kiedy załoga MiL-a wciągała na pokład martwego członka załogi, Hyde chciał sprowokować ich do podjęcia zabawy w kotka i myszkę. Dzięki temu miał szansę przeżyć.

Śnieżne zasy ciągnące się w wąskiej, niczym wyciętej nożem dolinie hamowały jego kroki, chwytając go w pułapkę. Sprawiały, że potykał się ze strachu, pośpiechu i zmęczenia. Później, tam gdzie natrafił na cienką warstwę śniegu, biegło mu się łatwiej. Poruszał się od skały do skały. Omijał, biegł, schylał się nisko, by po chwili znów się wyprostować. Głowę odchylił do tyłu jak lekkoatleta. Dolina ciągnęła się nie więcej niż cztery mile, a od granicy dzieliła go niecała mila.

Zdał sobie z tego sprawę, łapiąc kilka głębokich oddechów u stóp usianego głazami stoku. Rosyjski śmigłowiec był wciąż z tyłu nad nim.

Mniej niż mila.

Właściwie nie miało to znaczenia. W tym miejscu granica nie była nawet wytyczona. Nie istniała. Pakistan leżał po drugiej stronie doliny, tak jak Paraczinar, który Hyde musiał ominąć. Gdzieś tam była armia i ludzie oczekujący na Miandada zgodnie z

instrukcjami, których pakistański oficer nigdy mu nie wyjawiał.

Mniej niż mila.

Znów biegł. Na ślepo, szybko, wolniej. Pochyłony, wyprostowany, pozornie bez określonego kierunku. Dwa strzały rozeszły się w suchym, zimnym powietrzu poranka, ale kule ominęły go z daleka. To nie kałasznikowa musiał się wystrzegać, ale ognia działa, serii karabinów maszynowych, granatów, bomb kulkowych... całego tego uzbrojenia, szturmowego śmigłowca MiL-24, czyhającego na jego życie.

Pół mili, teraz z pewnością tylko pół mili, zaczął sobie tłumaczyć, kiedy usłyszał, że MiL, zawieszony dotąd nieruchomo nad ziemią, ruszył w jego kierunku jak drapieżny ptak polujący na zdobycz. W rozrzedzonym, suchym powietrzu słychać było odbijający się od skał warkot łopat. Nowoczesny stuka*. Hyde usłyszał tę nazwę podaną mu niedbale przez podświadomość, niby porcja frytek przez marudną kelnerkę z baru. Odrzucał coraz groźniejsze wizje rodzące się w jego wyobraźni. Odwrócił się i popatrzył na MiL-a. Śmigłowiec leciał ostrożnie. Nie, nie ostrożnie. Szydził sobie z Hyde'a - to było odpowiednie określenie. Gdyby przyspieszył, obniżył lot, mógłby go w czasie nie dłuższym niż sześć, siedem sekund zasłonić jak chmura albo wieko trumny. Ale śmigłowiec chciał bawić się w kotka i myszkę. Jego załoga była wściekła i pewna siebie. Chcieli wycisnąć z Hyde'a siódme poty.

* Stuka - bombowiec nurkujący używany przez armię niemiecką w czasie II wojny światowej. W Polsce funkcjonowała w czasie powstania warszawskiego potoczna nazwa: sztukas.- Przyp. tłum.

Przerażenie wypełniało wąską dolinę, ciągnąc za sobą ogłuszający, odbijający się echem hałas. MiL przesuwiał się nieznacznie z jednej strony na drugą. Kołysał się, jakby naśladując groteskowo chód kobiety. Przesunął się w kierunku cienia Hyde'a, i cień zdawał się padać na twarz przed zbliżającym się helikopterem. Hyde czuł, jak jego ciało drży, nie panował nad tym.

Przerażenie.

Ponowił bieg. Tak szybko i zwinnie, jak tylko potrafił, kluczył pomiędzy rozrzuconymi skałami i głazami. Nogi miał jak z ołowiu. Wydawało mu się, że hałas pozbawia je siły. Potem usłyszał, jak jeden czy dwa pociski odpalono z wyrzutni spod krótkich, grubych skrzydeł MiL-a. Zanurkował pod najbliższą skałę i nieomal przeokoziółkował przez nią. Przykucnął po drugiej stronie. Błysk rakiet oślepił go. Poczł ciepło wybuchów. Te dwa pociski eksplodowały dwadzieścia jardów przed nim, wyrzucając w górę ziemię, skały i śnieg, przesłaniając słońce. W dolinie zapanował mrok. Hyde podniósł się i wbiegł w wirującą chmurę rumowiska i dalej, w blask słońca. Bawili się nim. Nie miał umrzeć od razu. Jeszcze nie.

MiL przeleciał ponad mgłą opadającej ziemi i kurzu. Nie odstępował Hyde'a,

posuwając się minimalnie szybciej od niego. Hyde przeskoczył przez niską skałę. Nie wiele brakowało, a skręciłby nogę w kostce, kiedy wylądował na obluzowanym głazie. Podskakiwał na jednej nodze, dopóki nie odzyskał równowagi, wtedy ruszył dalej. Robił uniki, kluczył biegnąc. Co kilka kroków zmieniał kierunek. Zorientował się, że musiał już minąć granicę, lecz nie miało to żadnego znaczenia. Długi, masywny cień MiL-a przesunął się nad nim, maszyna wyprzedzała go nieco. Ukazała się szeroko uśmiechnięta twarz, a sterczący karabin maszynowy zmienił pozycję. Rój trzepoczących żelaznych motyli wydobył się z brzucha MiL-a, odbijając się i rozpryskując przed Hyde'em niby pinezki. Zasadzka na zbliżającego się rowerzystę. Bomby kulkowe, takie niby-zabawki, którymi dzieci w wielu zakątkach świata pozbawiono rąk, oczu i twarzy. Zabawa ciekawą, metalową numerowaną zabawką, pomalowaną na ciemnozielony kolor. Wybuch. Hyde skoczył na skałę, gdy jedna z owalnych bomb potoczyła się ku jego stopom. Przeszedł wzdłuż skały na palcach, niczym niewprawy artysta cyrkowy po linie. Ręce wsparł na biodrach dla zachowania równowagi. Potem przeskoczył na drugą skałę i pobiegł. Posuwał się skokami. Trzy skoki i znów skok na większą skałę.

Jeden żelazny motyl leżał w załomie skały. Hyde nieomal dotknął go końcem buta. Stracił równowagę i przewrócił się na pokrytą śniegiem ziemię. Niby jakieś dziwne rośliny wyzierały z cienkiego dywanu śniegu czułki i brzegi skrzydełek żelaznych motyli. Turlał się jęcząc. Wreszcie zarył się obcasami i dzięki temu zdołał się zatrzymać. Odwrócił głowę i wpatrywał się w białe numery na przycupniętym korpusie jednej z bomb.

Zapalnik z opóźnieniem czy kontaktowy?

Nie potrafił powiedzieć, czy wybuchną przy dotknięciu, czy w ściśle określonym czasie.

Wtedy jedna bomba eksplodowała za nim, wrywając z sąsiedniej skały kawał głazu wielkości bochenka chleba. Uklęknął. Podniósł się i skoczył. Gra w klasy o życie. Na jednej nodze, później w bok do przodu, w bok, w bok, na skałę. MiL był nadal przed nim. Strzelec karabinu maszynowego uśmiechał się szeroko. Polował na niego jak na zwierzynę. Teraz wzdłuż skały. Hyde postawił jedną stopę - tu wolne miejsce, tam bomba. Szybko, szybko, bomba! Wolna przestrzeń, dziura w śniegu, ominąć! Wolna droga, wolna. Bomba, wolna...

Był już poza przygotowanym dla niego poletkiem. Miał wolną drogę. Lecz niemal natychmiast usłyszał ciche detonacje, które wzbijały w górę śnieg i brązową ziemię. Biegł trzymając się blisko rozsypanych skał i głazów. Instynkt regulował jego oddech i ruchy kończyn. Musi być nie więcej niż pół mili od końca doliny. Był po drugiej stronie granicy. Bliżej śmierci. Kici, kici, kici, kici - powtarzał ciągle przez zaciśnięte zęby, w ustach miał zgęstniałą ślinę - kici, kici, kici...

Skały były osmalone, nawet śnieg wydawał się czarny pod cienką warstwą świeżego puchu. Coś się paliło?...

Pięćdziesięciu Pathanów, metalowe kule, dziwne jaja wybuchające przy dotknięciu, połyskliwa, błyszcząca mgła...

To było tam, MiL był nad nim. Widział nieomal spadające jajka, wybuchy, zapach napalmowej mgły.

Jajo, jajo, trzy, cztery, sześć, dziesięć, piętnaście...

Widział je!

Połówki jaj. Toczyły się. Ich zawartość była już rozlana. Rząd jaj złożonych przez MiL-a. Zamierzali go spalić!

Poczuł zimno tej mgły na twarzy. Mgła załamywała i wykrzywiła światło słoneczne. Olbrzymi dysk słońca przed nim wydawał się jeszcze większy. Było zimno, przerażająco. Mgła zwijała się. Była wyżej od niego, on był w środku...

Tunel srebrzystej mgły. Taki jak wówczas, błyszczący nawet w świetle dnia. Promieniował wokół ramienia jak aureola. Widział, jak mgła drżała podobna ogniom świętego Elma. Przylepiła się do jego rąk, do skóry na rękach, do pathańskiego stroju, do niego całego. Do twarzy, do brody, do powiek.

Miał ochotę krzyżeć, zatrzymać się i po prostu tylko krzyżeć. MiL przechylił się gwałtownie i zawrócił ku niemu. Co to było, czy to?...

Zapałka. Żarzący się świetlik, którego widział, gdy robaczek spadał z krwistoczerwonego helikoptera Pietrunina...

Tunel, tuba mgły, która przekształci się w tubę ognistą i pochłonie go.

Potarł ubranie. Mgła poruszyła się wokół niego i otoczyła go ponownie. Śmigłowiec powoli ustawiał się nad nim. Uśmiechnięty strzelec zrobił znak pożegnania - przesadzony, ostatni salut. Hyde ponownie strząsnął mgłę z tych miejsc, gdzie czuł ją na skórze. Pomachał rękami, trząsnął się i podskakiwał, ale mgła jedynie wirowała leniwie, a potem zamykała się znowu, ciężka i niewzruszona jak długie zasłony przy lekkim wietrzyku. Otaczała go. Był w pułapce. Był już martwy. Mgła utworzyła celę. Miała dach, ściany, podłogę. Pochłonie wszystko, co było w środku.

W środku?

Iskra?...

Widział tę iskrę w czarnym kadłubie MiL-a. Za chwilę iskra zapali mgłę.

W środku...

Biegł. Mgła poruszyła się, zamknęła za nim. Lśniła i połyskiwała, przyćmiewając światło. Biegł. Teraz przerzedziła się, ale wciąż istniała. Jej struktura i zasięg uzależnione były od składu chemicznego. Jak szeroka, jak wysoka, jak długa będzie ta ogniwa celą?... Nie podnosił głowy. Biegł.

Światło, powietrze, trochę ciepłej wokół twarzy i wierzchów dłoni, Biegł.

Mgła gromadziła się z tyłu. Przed nim były skały. Biegł.

W dalszym ciągu był nią pokryty!...

Zanurkował w poszukiwaniu kryjówki wśród skał, gdy usłyszał ryk płomieni. To zapaliła się mgła. Potoczył się po śniegu, kryjąc twarz i ręce, przyciskając je do ciała. Toczył się. Obok niego był dym, ból spalonej twarzy i rąk. Wepchnął je w śnieg. Płoneły mu nogi. Toczył się i toczył w śniegu, kierując się w kierunku zasy przy skałach, gdy w nią wreszcie wpadł, na wpół go pogrzebała. Śnieg zasypał mu nos, usta, oczy, odcinając go od wszystkich wrażeń zmysłowych i płonącej mgły. Płomyki ognia musiały spłynąć z prądem powietrza płynącym w dół od helikoptera i niektóre dosięgły go. Nie chciał nic wiedzieć o swoich poparzeniach.

Nie chciał nic wiedzieć. Było już po nim. Śnieg chłodził go i mroził zarazem. Hyde nie mógł się poruszyć. To był koniec. Odwrócił głowę, wypluł śnieg, odetchnął. Dostyc tego. Powietrze, choć miało smak napalmu, orzeźwiło go.

I nic ponadto.

Będzie czekał.

Oczy miał wciąż zamknięte. Były ciężkie od śniegu. Usłyszał śmigłowiec i napiął mięśnie. Czekał.

Hałas, podmuchy wirnika odbijające się od zboczy doliny. Było ich coraz więcej, dwa, trzy, wirujące śmigła. Może przyleciały jeszcze inne?... Nie obchodziło go to. Już dłużej nie potrafił się bać. Niedługo, teraz już niedługo...

Był skostniały i czysty. Zapach napalmu zanikał, gorąco ulatniało się. Powoli rozwarł powieki. Na pół roztopiony śnieg przemył mu gałki oczne. Śmigłowiec zawisł nad nim, czarny, lecz otoczony aureolą słonecznego światła. O trzydzieści jardów dalej Hyde widział inny śmigłowiec. Usłyszał oddalający się hałas śmigieł. Tak, hałas się oddalał.

Koła, zielone, białe. Hyde był zdezorientowany. Czekał na śmierć. Półksiężyc i gwiazda na ogonie jednego ze śmigłowców.

Zielono-białego, bez czerwonej gwiazdy na kadłubie. Kółka?...

Nie mógł pojąć, co się stało, nawet wtedy kiedy helikopter bojowy typu Sikorski S-61, należący do armii pakistańskiej, łagodnie obniżał lot ku osmolonemu dnu wąskiej doliny. Obniżał lot. Prąd sprężonego powietrza nawiewał śnieg na ciało Hyde'a.

Rozdział XII

Wyznanie starego człowieka

- Cała ta sprawa zamieniła się w jatki. - Sir William Guest, GCMG*, przewodniczący Połączonego Komitetu Wywiadu i były szef Służby Dyplomatycznej, zdawał się rad z możliwości zademonstrowania swej pozycji. Skórzany obrotowy fotel skrzypiał pod jego ciężarem. Babbington po raz kolejny zauważył, że podpuchnięte oczy grubasa i mięsista, pozbawiona wyrazu twarz sugerują powolność umysłu, a nawet głupotę. No, może pazerność i pewien prymitywny spryt. Ale to były tylko pozory. Tak naprawdę sir William był jego mistrzem i przewodnikiem o niepodważalnych zdolnościach intelektualnych. To w jego umyśle powstał SAID. Narodziny tej instytucji były rezultatem jego perswazji. Przekonał panią premier i członków odpowiednich komisji rządowych. - W jatki - powtórzył sir William z naciskiem. - Pamiętaj, Andrew, że byłem przeciwny rozwijaniu wersji, zgodnie z którą sprawa Aubreya jest kombinacją dezinformacyjną, a już szczególnie zarzucaniu mu zdrady. - Ta wypowiedź nie była próbą umycia rąk, lecz raczej reprimendą.

* GCMG - Grand Cross of St. Michael and St. George - Wielki Krzyż Orderu Św. Michała i Św. Jerzego. – Przyp. tłum.

- To prawda - odpowiedział Babbington wyczekująco. Sir William i inni widzieli w nim odpowiedniego następcę, wytrwale popierali jego awans i przyczynili się do objęcia przez niego kierownictwa MI5. To pasowało do jego planu i gry, jaką prowadziła moskiewska Centrala. Kapustin określił to kiedyś w rozmowie jako ekspres na szczyt góry. Ten wieśniak, zastępca przewodniczącego KGB, zaśmiał się wtedy poufale. Zawsze potrafił przypomnieć Babbingtonowi, że dla niego jest on człowiekiem Moskwy, własnością Moskwy i tworem Moskwy.

Babbington zdusił nienawiść. Gruba, prawa brew sir Williama drgnęła, jakby w reakcji na uczucia, których odbicie dostrzegł na twarzy Babbingtona.

Biurowo sir Williama stanowiło wygodną, choć niezbyt efektowną część dawnej królikarni w zespole Kancelarii Rządu przy Downing Street. Sir William tak to kiedyś określił: „Możecie ją sobie nazywać halą fabryczną, ale dla mnie zawsze będzie to przybudówka hotelu”. Mówiąc te słowa, sprawiał wrażenie, że widzi na wskroś

poprzez wszystkie drzwi po obu stronach krętych wąskich korytarzy, prowadzących aż do gmachu głównego Sekretariatu i prywatnego biura premiera. Z satysfakcją powrócił myślami do własnego pokoju, tak jakby ten opis pomieszczeń Kancelarii Rządu obniżał ich wartość.

Fotel znów zaskrzypiał, kiedy sir William przemieścił na nim swój pokaźny ciężar.

- Rad jestem, że się zgadzasz, Andrew. Nie robię ci przecież wyrzutów. - Popiół z cygara spadł na klapę ciemnego garnituru i stary krawat szkoły w Eton. - Mniejsza o to, jak było. Jesteśmy teraz w pewnym stopniu skompromitowani.

- Nie bardzo pojmuję twój tok myślenia.

- Dziennikarze mają nosa, więc musimy pozwolić im się wykrzyczeć. - W jego oczach osadzonych w ciężkich powiekach pojawił się cień uśmiechu. - Tak szczerze mówiąc, to ty pozwoliłeś uciec Kennethowi Aubreyowi, nie przywiązując dość wagi do tej sprawy. Nie wiesz, gdzie jest, a chcemy mu przedstawić zarzut zdrady. Moja chrzestna córka, niech ją Bóg ma w opiece, pojechała do Niemiec, aby szukać prawdy o swoim ojcu! - Uniósł ręce w udanym przerażeniu, a następnie opuścił je z plaśnięciem na biurko. Nie uśmiechał się już, kiedy mówił dalej. - Nie sądzę, by ten wyjazd przyniósł jej wiele satysfakcji lub prawdziwe informacje w tej sprawie... - Wyglądało na to, że sięga pamięcią do odległych wydarzeń i starych, bolesnych spraw. Po chwili potrząsnął głową. - Dziwny człowiek - mruknął. - Wspaniały, ale dziwny. - W ukrytych w fałdach tłuszczu oczach pojawił się znów wyraz zainteresowania. - Pani premier zmieniła zdanie w tej sprawie. - Jego głos i twarz zdradzały frustrację, właściwą od wieków urzędnikom nawykłym do kaprysów polityków. - Tę wrzawę trzeba uciszyć. Aubreya należy odszukać i nakłonić do pozostania za granicą. Chyba że ma zamiar w najbliższym czasie objawić się w Moskwie.

- A gdzie indziej mógłby pojechać?... - zauważył zgryźliwie Babbington.

- Bez względu na to, co zrobił, jakoś nie mogę wyobrazić sobie Kennetha Aubreya rozkoszującego się państwową emeryturą i służbowym mieszkaniem w Moskwie. Cokolwiek... tak czy owak, nie potrzebujemy go tutaj z powrotem. Jasne? - Babbington z zaciśniętymi ustami pokiwał głową. - Dobrze. Teraz najważniejsze dla nas to spojrzeć w przyszłość i to będzie twój problem, przynajmniej częściowo. Należy oczyścić stajnię i przeprowadzić wnikliwe śledztwo. To powinno usatysfakcjonować Parlament i prasę. Opadł już pierwszy skromny entuzjazm pani premier. Została jedynie irytacja po sprawie Blunta i pozostałych oraz wspomnienia o złych wieściach nadchodzących od służby wywiadu. Posłuchała swoich doradców, którzy zalecali spokój. - Sir William miał teraz w oczach wściekłość. Babbington, oczywiście, był jednym z

łowców głów... Pani premier słuchała z entuzjazmem i wyraziła zgodę. Teraz sir William uznał za stosowne zmienić zdanie, dzięki czemu zaczęto liczyć się z jego opiniami.

- Rozumiem.

- Doskonale. Możesz ściągnąć Margaret z powrotem tak szybko, jak sobie życzysz, masz na to moje błogosławieństwo. Jej mąż jest głupcem... ale tak naprawdę, to czy kiedykolwiek oczekiwaliśmy rozumu od naszych kuzynów zza Atlantyku, co? - Babbington, zachęcony uwagą sir Williama, skwapliwie się uśmiechnął. Zrozumiał, że nie obwiniano go za to, co się stało. Pozostanie dyrektorem generalnym SAID i nadal będzie na świeczniku. Sir William i wszyscy pozostali będą trwali w nieświadomości, nie zdając sobie sprawy, jak daleko sięga jego władza. Mogło być dużo gorzej, pomyślał.

Mała grupka ludzi wiernych ideałom.

Massinger, Aubrey, Hyde oraz Shelley. Sir William uczynił ich nietykalnymi, lecz będą musieli zostać uciszeni.

- Kiedy za parę dni wrócę z Waszyngtonu, chciałbym przeprowadzić dłuższą rozmowę z moją chrześnicą. Nigdy nie zrozumiem, dlaczego od razu się do mnie nie zwróciła! - Znów załamał melodramatycznie ręce. - Żeby się tak zagalopować! A miała dla mnie urządzić za tydzień małe przyjęcie. - Jego grube wargi skrzywiły się w wyrazie żartobliwego pobłażania. Było jasne, że ten stary kawaler traktuje Margaret Massinger jak własną adoptowaną córkę, której obecność przynosi mu spokój i ukojenie. Jej wychowanie nic go nie kosztowało. Nie poświęcał jej smartwień ani pieniędzy, czerpiąc jedynie czystą przyjemność z faktu posiadania córki chrzestnej. Ojcostwo bez odpowiedzialności, pomyślał gorzko Babbington. Przed oczami stanął mu obraz jego własnego, pijanego do nieprzytomności syna, który w przekrzywionym krawacie i poplamionej marynarce przypominał typową postać z rysunków satyrycznych. Były uczeń Eton, były student Oksfordu, były, były, były...

Poczuł gwałtowny przyływ nienawiści do Margaret Massinger i jej męża. Jakie stanowili dla niego zagrożenie? Co mogli wiedzieć lub podejrzewać? Wszystkiemu winne stare duchy z 1974 roku. Jeżeli oni wiedzieli, to...

Ba, gdyby nawet tylko podejrzewali...

- Rozumiem pański niepokój, sir William. - Wystudiowana chłodna uprzejmość dotknęła starszego pana. Spojrzał groźnie.

- Andrew - rzekł twardym głosem. - Ja się nie niepokoję. Po prostu chcę, żeby ta idiotyczna sprawa została wreszcie zamknięta, tak jak zamyka się fabrykę, której wyrobów nikt nie chce kupować, albo jak stare akta. Zamknięta. Zakończona. Ściągnij ich z powrotem. Wsadź ich jeszcze dzisiaj w samolot do Londynu. Możesz mi mówić:

William. - Teraz dopiero, przed jednoosobową publicznością, sir William poczuł się dobrze w swojej roli. - Tak - kontynuował z westchnieniem. - Mam nadzieję, że potrafiś przekonać ich oboje, aby trzymali się z dala od tej afery. Ten dureń, jej mąż, wciąż trwa w przekonaniu, że Aubrey jest niewinny.

- To wprost niewiarygodne. Powinieneś go być przekonać.

- Próbowałem, na Boga, próbowałem. To amerykańskie zamięłowanie do śledztwa... To ono spowodowało, że nie dostrzegali nawet najbardziej oczywistych faktów.

- Zgadzam się całkowicie z twoim zdaniem.

Oto siedzieli naprzeciw siebie wpływowi członkowie tego samego ekskluzywnego klubu. Nie różnili się między sobą. Sir William uśmiechał się zyczliwie do Babbingtona.

Jakąż rozkosz musieli odczuwać w takich chwilach Kim Philby albo Guy Burgess, pomyślał Babbington. Musieli się śmiać w kułak. Komiczny kawał. On mi ufa. Myśli, że jestem po jego stronie, i demonstruje mi swoją wątpliwą władzę. Znowu stanowimy jedną klikę. Dożywotni członkowie klubu, do końca świata.

Tak właśnie smakuje władza, tak pachnie, niczym aperitif przed wielkim bankietem.

- Cóż, gdybyśmy pomówili z nim wspólnie, zabronili mu dalszych działań, może by się opamiętał.

- Powinniśmy sobie z tym poradzić. A mojej Margaret z całą pewnością należy przypomnieć o jej obowiązkach - prychnął sir William. - Ta głupia baba mogła się wpędzić w niezłe kłopoty, na miły Bóg. Co za amatorzy! - To słowo zabrzmiało w jego ustach niczym wyzwisko lub ekskomunika. Ty nadęty, ślepy staruchu, pomyślał Babbington.

Sir William znowu podniósł rękę, ale tym razem zrobił to spokojniej.

- No cóż - westchnął - stało się. Teraz pozostało do załatwienia tylko parę spraw, no i twoja robota związana ze sprzątnięciem stajni. Później możemy ruszyć naprzód. Wszystko musi działać jak w zegarku, zanim ostatecznie zwolnię ten fotel - mruknął dając do zrozumienia, że mówi do swego następcy na tym fotelu i urzędzie. Babbington odrzucił w myślach aluzję sir Williama, ale zaraz z satysfakcją zaczął się zastanawiać nad tą perspektywą. To już nie był śmiech w kułak ani potakiwanie możliwym tajnego świata. Uzyskanie stanowiska sir Williama byłoby szczytowym osiągnięciem w jego szpiegowskiej grze. Wprost nieocenionym dla Moskwy. Kapustin w porównaniu z nim stałby się chłopcem na posyłki.

- Williamie. Opanuj sytuację, zanim powrócisz z Waszyngtonu. Sprzątnięcie stajni powierzę Eldonowi.

- Skończmy z tym wreszcie - dodał sir William z nieoczekiwaną irytacją. - Z tą nieprzyjemną, pochłaniającą czas sprawą. Uporajmy się już raz z nią i przejdźmy do ważniejszych zagadnień - rzekł niechętnie, świadom swej ogromnej władzy. Babbington poczuł się skarconym uczniakiem, marnującym cenny czas swego wychowawcy. Sir William jakby odgadł uczucia Babbingtona i dorzucił: - Nie traćmy zbyt wiele czasu na stare wspomnienia. Było, minęło.

- Racja. - Babbington rad był, że udało mu się przez cały czas kontrolować swoje reakcje. Spojrzał na zegarek. - Bardzo cię przepraszam, Williamie, ale jestem umówiony na lunch - wyjaśnił z szacunkiem.

- Ależ oczywiście, mój drogi. Tak się składa, że też mam spotkanie. - Sir William wstał, wyciągając wielką, pulchną dłoń. Babbington uściśnął ją i uśmiechnął się.

- Wiosenne porządki rozpoczną się wcześniej w tym roku. I będą przeprowadzone bardzo starannie - obiecał.

- Nie wątpię w to, mój drogi. A więc odzyskaj Margaret i tego idiotę jej męża. Zrób to dla mnie. Muszę odbyć długą, ojcowską rozmowę z tą młodą damą.

- Naturalnie.

Babbington ujrzał nagle linoskoczka nad przepaścią. Wybranie odpowiedniej chwili będzie bardzo ważne, ale najważniejsza jest odwaga potrzebna, aby to zrobić. Sir William ostatecznie będzie musiał zadowolić się wiadomością, że jego chrestna córka wraz z mężem wpakowali się w najgorsze kłopoty, których tak bardzo zawsze się obawiał. Niestety, wścibskość pary amatorów doprowadziła ich do...

Co do Aubreya - jeżeli starszka dopadną, wywiozą go do Moskwy. Pokażą światu jego przejście na drugą stronę, a potem... cicho zgładzą. Aubrey popełnił chyba najpoważniejszy błąd. W Londynie byłby bowiem bezpieczniejszy niż w jakimkolwiek miejscu na świecie.

Tak. Do odważnych świat należy, pomyślał z ironią. Tylko do odważnych.

Paul Massinger bał się. Nie był to strach profesjonalisty, lecz raczej głębokie, pochodzące z głębi duszy przeczucie. Nie umiał go stłumić ani zlekceważyć. Rezultatem ostrzeżenia Zimmermanna, zalecającego wykorzystanie starych instynktów i umiejętności, była podjęta bez przekonania próba wykrycia obserwacji po wylądowaniu na wiedeńskim lotnisku Schwechat. Strach dokuczał mu i dręczył wizjami podczas bezsennej nocy. Obok niego na sąsiednim łóżku, udając, że śpi, kręciła się i przewracała z boku na bok Margaret. Niestety nie udało mu się ustalić, czy był obserwowany. Kazał żonie iść razem z parą wychodzących z hotelowego holu Amerykanów. Sam został

z tyłu, lustrując wzrokiem poczekalnię, schody i drzwi. Jego wysiłki okazały się daremne. Jak próba rozwiązania zadania z matematyki, do którego potrzebna była znajomość dawno zapomnianego wzoru. Nie był już agentem.

Zrezygnował z dalszych prób. Dogonił Margaret, która zdążyła już wyjść przez szklane drzwi. Wydawało się, że porywisty wieczorny wiatr drwi sobie z nich. Złapali natychmiast taksówkę.

Siedząca na tylnym siedzeniu Margaret mówiła cicho, lecz z przejęciem. Massinger od czasu do czasu spoglądał w boczne lustro, ale nie dostrzegł, aby śledził ich jakiś samochód. Te spojrzenia nakazywał mu bardziej obowiązek niż zdobyta niegdyś wiedza zawodowa. Żona bez ustanku odpierała oskarżenia zarzucające jej ojcu współpracę z nazistami. Słyszała oczywiście o Cliveden, o przyjaźni z Mosleyem. Ale to nie miało nic, absolutnie nic wspólnego z...

Był niezastąpiony w czasie wojny... Nie pozwolono mu stanąć przed komisją wojskową, bo był zbyt ważny w służbie cywilnej. Nikt nie pracował ciężiej niż on, nikt nie był bardziej szczerzy w apelach na temat konieczności rozgromienia Hitlera i faszystów... Ludzie mu ufali... Churchill... Sir William wyśmiewa takie przypuszczenie... to musiała być kobieta... to na pewno z powodu kobiety.

Niedorzeczność. Absurd. Głupota...

Głupota, głupota, głupota...

Mózg Massingera zmagął się z tym obsesyjnym, namiętym głosem. Nadal nic się nie zmieniło. Nadal tak bardzo pragnęła poznać przyczynę i okoliczności śmierci ojca. Nic oprócz tego nie było ważne. Jej umysł aprobował tylko własne wyobrażenia, odrzucając wszelkie argumenty.

Paul zdawał sobie sprawę, że mogło to rzutować na przyszłość ich małżeństwa.

Przez całą noc słyszał pojękiwanie, jak przy dokuczliwym, długotrwałym bólu zęba. Ale ilekroć próbował zagadnąć żonę lub siadał na jej łóżku, natychmiast udawała, że śpi. W ciemnościach sypialni wstrzymywała oddech, jakby nadsluchując odgłosów intruzów. Ale udawało jej się to tylko do czasu, kiedy on nie zaczynał oddychać równo, pozorując sen. Wtedy już po chwili znów zaczynała płakać. Oddalili się od siebie. Ich łóżka stały teraz jakby na dwóch brzegach szerokiej zatoki. Paul fizycznie odczuwał dzielący ich dystans i to uczucie napawało go strachem. Obawą napawały go też ewentualne wyniki poszukiwań w Wiedniu, chociaż Margaret tak bardzo się do nich zapaliła.

Kiedy wpatrując się w przesłonięty strugami zacinającego deszczu Ren telefonował do Clary Elsenreith, był przekonany, że jest to jedna z najtrudniejszych rozmów w jego

życiu. Kobieta była podejrzliwa, ale kiedy wymienił nazwisko Aubreya i powiedział, że jest jego przyjacielem, zgodziła się z nim zobaczyć. Nie obiecywała, że udzieli pomocy czy dostarczy informacji.

Katedra Świętego Stefana. W samym centrum Wiednia.

Z wielkim trudem rozpoznawał miasto, w którym był raptem niecały tydzień temu. Miasto, w którym oszołomił narkotykiem rezydenta KGB. Miasto, gdzie Hyde wystawił się na niebezpieczeństwo.

Jakże trudno było przypomnieć sobie Hyde'a. Tamten był teraz dla niego rozbitkiem tonącym w oceanie bólu jego żony, wyciągającym osłabłą dłoń po ratunek. Prawdopodobnie nawet już nie żył.

Taksówka zatrzymała się. Kierowca wskazał na okazałą, siedemnastowieczną fasadę dwupiętrowej kamienicy mieszczącej elegancki sklep z obuwiami. Za szeroką wystawą znajdowało się zapewne wejście do części mieszkalnej. Massinger zapłacił, dając kierowcy suty napiwek.

Margaret wysiadła, a wiatr natychmiast rozwiał jej pośpiesznie przyglądzone w taksówce włosy. Gruba warstwa makijażu zamiast poprawić wygląd zmęczonej i wymizerowanej twarzy tylko dodawała jej lat. Wiatr ściągnął i wyostrzył rysy, nadając im wyraz kompletnej rezygnacji. Gdy tylko taksówka odjechała ze Stephansplatz, Paul wziął żonę za ramię i wprowadził ją przez półkolistą bramę na dziedziniec. Porywisty wiatr igrał tu z wodą niewielkiej fontanny. Zieleń była zwiędła, zszarzała.

Massinger nacisnął dzwonek. W głośniku domofonu niemal natychmiast usłyszał głos, który zapytał go o nazwisko. Po chwili zamek odskoczył i weszli do szerokiego holu wyłożonego eleganckim chodnikiem. Tu i ówdzie stały małe stoliczki. Zarówno hol, jak i klatka schodowa dyskretnie świadczyły o zamożności domu. Massinger ujął Margaret jeszcze mocniej za łokieć, drugą ręką przeczesał zmierzwione włosy. Wszędzie wisały obrazy, stały stoliki i kanapy.

Gdy weszli na górę, otworzyły się drzwi. Stała w nich jasnowłosa kobieta, zapewne około sześćdziesiątki. Była o cztery lub pięć cali wyższa niż Aubrey, wzrostu Castleforda, może odrobinę niższa. Rzeczywiście, ona i Castleford mogli uchodzić za piękną parę. Ale Clara Elsenreith wybrała Aubreya... Ubrana była w bluzkę i spodnie, co nie odpowiadało raczej jej wiekowi, ale nosiła je śmiało, wręcz ostentacyjnie. Jej oczy były inteligentne i czujne. Przedstawiła się z uśmiechem.

- Nazywam się Clara Elsenreith. A więc państwo Massingerowie. Proszę wejść. - Mówiła uprzejmym, ale chłodnym głosem, jakiego zwykły używać recepcjonistki. Młoda służąca odebrała ich płaszcze i wyszła. Również na ścianach holu gęsto wisały obrazy. Autorów niektórych płócien Massinger rozpoznawał. Niejeden obraz był w stanie bez pudła wycenić zgodnie z aktualnym kursem. Mógł teraz skonfrontować

wizję samotnej, biednej Clary Elsenreith ciągnącej korzyści z mężczyzn sprzed prawie czterdziestu lat z jej obecną zamożnością. Kobieta gestem zaprosiła ich, by weszli przez dwuskrzydłowe drzwi do długiego i bardzo wysokiego salonu. Złocenia, bogactwo obrazów i ornamentów. Duży marmurowy kominek. Przez wysokie okna widoczna była bryła katedry z wieżami. W pokoju było ciepło.

Gospodyni wskazała na głębokie wygodne fotele. Sama usiadła na lekkim krzeselku z wysokim oparciem, bogato haftowanym złotem i błękitem. Skrzyżowała nogi i objęła dłońmi kolana niczym o wiele młodsza kobieta. Była w eleganckiej czekoladowobrązowej jedwabnej bluzce i beżowych spodniach, a wąskie stopy zdobiły złote pantofle. Przyglądała się gościom z przyjemnością. Nie stwarzała wrażenia niechętniej do rozmowy.

- Zaraz będzie kawa - oznajmiła po krótkiej chwili.
- Bardzo dziękujemy - odrzekła Margaret.

Massinger wyczuł, że kobieta patrzy na nich z pewną wyższością, jak na parę dalekich kuzynów z prowincji, którzy przyjechali do miasta z pierwszą w życiu wizytą.

- To miło, że zgodziła się pani tak szybko z nami spotkać - zagadnął.

Clara milczała, bo pokojówka właśnie wniosła kawę. Serwis był ze współczesnej rosenthalowskiej porcelany, za to dzbanuszek z cennego, starego srebra. Odezwała się dopiero po wyjściu służącej.

- Byłam bardzo ciekawa. Zwłaszcza odkąd dowiedziałam się, że mój drogi Kenneth również wybiera się do Wiednia, i to w tym samym czasie. Nie wierzę w przypadki... - Jej angielszczyzna była gardłowa, toteż słowa zabrzmiały jak fałszywie wypowiedziana przez aktora kwestia. - A pani wierzy? - Wydawała się rada, że zdołała zbić z tropu i zaszokować Margaret, tak jakby rozwiązywała właśnie trudną układankę, dodając ostatni brakujący element. Pokiwała głową, co potwierdziło wrażenie Massingera.

- On się wybiera... tutaj?
- Jest... jest częstym gościem, Frau Massinger. To mój stary przyjaciel.

Margaret spojrzała na Paula, dając mu do zrozumienia, że natychmiast ucieknie, jeśli tylko Aubrey zbliży się do drzwi tego domu. Paul próbował złagodzić uśmiechem obawy żony, lecz wyraźnie mu się to nie udało. Wiadomość, że być może Aubrey się tu zjawi, zbyt mocno ją poruszyła. Przecież dążyła do prawdy, a ten człowiek był synonimem oszustw i kłamstw. Kobieta była prawdopodobnie jego sojusznikiem. Massinger uświadomił sobie nagle, że dawno powinien był wpaść na to, do których drzwi zapuka Aubrey, jeśli zdoła umknąć. A przecież prawda tkwi właśnie tutaj. Być może jedynie w pamięci tej kobiety. Czyżby to prawda stanowiła prawdziwe zagrożenie dla Aubreya?

Obwiódł wzrokiem salon. Mieszkanie było większe i zamożniej wyposażone niż ich dom przy Wilton Crescent.

- Interesuje pana mój dom. - Clara Elsenreith wyczuła jego zaciekawienie. - Zaczęłam od sklepu z butami na parterze. Potem były następne sklepy, potem drobni wytwórcy. Te sklepy sprzedają moje wzory, odzież i buty wyrabiane w moich firmach... w całej Europie.

Massinger kiwnięciem głowy przeprosił za swoją ciekawość, lecz nie zwróciła nawet na to uwagi. Mówiła dalej: .

- Jest pan przyjacielem Kennetha. Słyszałam o panu. Rozumiem, co usiłował pan zrobić... ale jestem też świadoma, co interesuje pańską żonę.

- Czy powie mi pani prawdę? - zapytała niecierpliwie Margaret, zwijając pasek od torebki. Oczekiwanie wyostrzyło jej rysy.

Clara zastanowiła się.

- Jaką prawdę?

- O moim ojcu.

- Ach, więc to o niego chodzi? - Wyglądało, jakby bawiła ją udręka Margaret. Massinger podejrzewał, że za tymi chłodnymi oczyma kryje się głęboka odraza do Castleforda. Mając dwadzieścia, dwadzieścia dwa lata, Clara musiała być bardzo piękną i budzić pożądanie. Jeszcze dziś roztaczała dyskretną, lecz wyczuwalną atmosferę zmysłowości. - To są sprawy... Nie, zostawmy to. Pragnie pani wiedzieć, co się stało z pani ojcem. Umarł.

- No i?...

- Nic więcej nie wiem. A gdybym nawet wiedziała, to nie do mnie należałoby wyjawienie tego pani.

- A zatem wie pani więcej?...

- Już powiedziałam, że nie. - Ton głosu Clary zdusił w zarodku dalsze protesty Margaret. Ta kobieta przywykła, aby jej słuchano.

- Znała pani mojego ojca? - zapytała Margaret. Clara przytaknęła. - Była pani jego... kochanką? - Nadzieja była silniejsza od potępienia, a chęć samospokojenia stanowiąca sprawę najważniejszą. Massinger siedział w fotelu. Przyglądał się obu kobietom jak postronny obserwator, niemy świadek wydarzeń. W tym akcie nie wchodził na scenę.

- Nie, nie byłam - rzekła Clara z uśmiechem.

- Ale...

- Jest pani przekonana, że musiałam nią być. - Kobieta wzruszyła ramionami. - Może by się tak stało, gdybym nie poznała wcześniej Kennetha. - Odruchowo poprawiła włosy. - Kenneth mógł mi załatwić wszystko, co było potrzebne do wyjazdu z Berlina.

Później wyrobił mi austriackie dokumenty. Był pomocny na wiele sposobów. Pani ojciec miał wprawdzie większą władzę, ale ja nie miałam wyboru. Pani ojciec zniknął. Dziś wiemy, że został zabity. - Wszystko to zostało wypowiedziane spokojnym i chłodnym tonem. Massingerowi trudno było ocenić, na ile Clara jest szczerą, a na ile gra osobą taką, za jaką ją uważano - wyrachować na upartą w dążeniu do celu jak poszukiwacz złota i polegającą tylko na sobie. Domyślał się, że pociągały ją możliwości Castleforda, lecz...

- Pani nie lubiła Castleforda? - zapytał łagodnie.
- W tamtych czasach i w tym miejscu słowo „lubić” nie wchodziło w grę.
- Ale coś panią zniechęcało do niego. Co to było?
- Opętanie - wyznała z nagłym zdenerwowaniem, zatrzymując ciężkie spojrzenie na Margaret.

- Aubrey i mój ojciec nienawidzili się wzajemnie? - spytała Margaret.
- To prawda.
- A pani... była tego przyczyną. Przyczyną opętania, jak to pani nazwała.
- Nie. Schlebiałabym sobie, gdybym tak uważała. W przypadku ojca pani, być może, ale... - Teraz zwróciła się do Massingera: - Pan zna Kennetha. Jak pan sądzi, czy namiętność mogła wywołać w nim aż taką reakcję?

Massinger wzruszył w odpowiedzi ramionami.

- Ależ z pewnością tak było! - rzuciła Margaret.
- Skąd ta pewność? - zapytała Clara. - Skąd? Niechęć Kennetha do pani ojca zrodziła się na tle zawodowym. Pani ojciec ingerował w jego pracę.
- Więc Aubrey go zabił. - Margaret zmieniła taktykę. - Teraz chce mi pani powiedzieć, że to była rywalizacja i animozje zawodowe.

Clara spoglądała w odległy koniec salonu. W stronę drzwi do sypialni. Massinger podążył za jej wzrokiem. Odnosił niezwykle silne wrażenie, że za drzwiami stoi Aubrey. W tej samej chwili owo wrażenie zmaterializowało się i do pokoju wszedł stary, zmęczony Aubrey. Miał na sobie jedwabny szlafrok, spod którego wystawały spodnie od pizamy. Był jednak ogolony i odświeżony. Wydawał się stałym domownikiem w apartamentach Clary Elsenreith.

- Paul - odezwał się cicho. - Pani Massinger, chciałem...
- Co? - Zabrzmiało to jak obelga.

Clara z dezaprobatą pokręciła głową. Ujawnienie przez Aubreya swojej obecności uznała najwyraźniej za błąd.

Aubrey podszedł do fotela Margaret i przyglądał się jej uważnie. Spojrzała na niego i odwróciła wzrok. Aubrey przypatrywał się jej jeszcze przez dobrą chwilę, a później zwrócił się do Massingera. Mówił smutnym głosem człowieka doświadczonego przez los:

- Czy twoja żona dojrzała do tego, aby usłyszeć prawdę, po którą przyszła?
- Tak - rzuciła Margaret ochryple.

Massinger po chwili namysłu wolno skinął głową. Clara spojrzała na zegarek.

- Kenneth, mam kilka spotkań po południu. Muszę się przebrać. Mieszkanie jest do twojej dyspozycji. - Na ustach Clary zagościł przelotny uśmiech. Aubrey skinął głową. Wymienili krótkie, tajemnicze spojrzenie. Umowny znak. Wyglądało na to, że łączy ich co najmniej wzajemne przywiązanie.

- Doskonale, moja droga. Bądź co bądź, ja jestem za to odpowiedzialny. Wszystko wyjaśnię. Potrzebuję pomocy tych ludzi. Oboje są mi bardzo drodzy.

- Uważaj - ostrzegła Clara.

- Nie, czas na rozwagę już minął. Biegnij, moja droga.

Clara opuściła pokój, skinąwszy jedynie lekko głową w stronę Massingerów. Ku ich zdziwieniu pocałowała Aubreya w policzek. Starszy pan był wyraźnie uradowany jej zachowaniem. Gdy tylko drzwi zamknęły się za Clarą, usiadł na kanapie. Nie spuszczał wzroku z Margaret. Bez żadnego wstępu zaczął mówić.

Zimmermann uruchomił automatyczną sekretarkę. Jego osobista sekretarka nie wróciła jeszcze z lunchu. On sam był nieobecny w biurze niemal przez godzinę. Słuchał. Głos dobiegający z taśmy był mu znany, ale treść nagrania zdenerwowała go. Mówił osobisty sekretarz kanclerza.

- Kanclerz pragnie, aby skorzystał pan z przysługującego panu tygodnia urlopu. Niezwłocznie. Ta niefortunna sprawa samobójstwa aresztantki dosłownie w parę godzin po dokonaniu przez pana przesłuchania musi zostać wnikliwie zbadana. Adwokaci tej kobiety oraz jej rodzina są gotowi do publicznego wyrażenia swoich opinii. W tym również podejrzeń, że pańskie pytania zakłóciły równowagę jej umysłu...

Głos mówił dalej. Nie było polecenia stawienia się osobiście u kanclerza. Nie polecono też, aby złożył wyjaśnienia. Miał po prostu zejść ze - sceny, dopóki wrzawa nie ucichnie. Nie wiązano samobójstwa Margarethe Schröder w Kolonii z włamaniem do jego mieszkania. Zwrócono mu tylko uwagę na to, że mianowany urzędnik państwowy może zostać zamieszany w skandal.

Zimmermannowi przypomniawszy się inna wiadomość nagrana przed laty przez automatyczną sekretarkę. Oficjalnym tonem wyraźnie przekazano mu informację. Było to późno w nocy. Wrócił do domu kompletnie zmordowany. Pragnął położyć się do łóżka, ale wiedział, że przyjdzie mu spędzić kolejną dobę w szpitalnej izolatce, gdzie powoli, lecz nieuchronnie dobiegało kresu życie jego żony. Wtedy właśnie wysłuchał nagrania. Jego duszę wypełniał ból i poczucie winy. Ból złagodniał po kilku miesiącach od pogrzebu. Poczucie winy trwało nadal.

W porównaniu do tamtej dzisiejsza wiadomość nie miała znaczenia. Mogła go jedynie trochę zdenerwować, Była niczym sznur, którym został przywiązany do krzesła. Uświadomił sobie, że nie będzie odtąd mógł pomagać Massingerowi i Aubreyowi.

Ktoś zamordował Schröder. Ktoś spenetrował jego mieszkanie. Musiało to zrobić KGB lub ktoś z nimi związany. Byli zaniepokojeni. Chcieli ochronić Babbingtona, a nie Aubreya. Zastanawiał się intensywnie, gdzie może być Aubrey. Zdołał stłumić w sobie poczucie winy za to, że nie był przy żonie, kiedy umierała. Fakt, że umarła w śpiączce, niezdolna do mówienia i rozpoznania własnego męża, nie stanowił dla niego usprawiedliwienia. Gdzie jest Aubrey? Gdyby mógł pomówić z Aubreyem, może jeszcze potrafiłby im pomóc.

W przeciwnym wypadku - nic z tego.

- Udałem się do rosyjskiego sektora Berlina na spotkanie z mężem Clary - mówił Aubrey. - Karl Elsenreith, były członek SS, a mówiąc dokładniej, pracownik Wydziału VI zajmującego się wywiadem zagranicznym pod kierownictwem Schellenberga, pracował już wtedy dla nowych mocodawców. Dla Rosjan. Dla departamentu NKWD. - Aubrey przyglądał się chwilę swoim słuchaczom, po czym podjął relację. Sprawiał wrażenie, że kieruje swe słowa w stronę wysokiego sufitu lub żyrandola. - Karl Elsenreith nie odważył się na powrót-do strefy zajętej przez sprzymierzonych ani na podróż na Zachód. Był rodowitym berlińczykiem. Jego dzielnica lub raczej to, co z niej pozostało, było pod okupacją rosyjską. Jestem pewien, że nie był zadowolony z przymusowej separacji z żoną... lecz znalazł gdzie indziej pocieszenie po jej stracie.

- Rosjanie ufali mu? - zapytał Massinger.

- Wykorzystywali go. Docenili jego talenty. Miał wygodne mieszkanie, kochankę, stały dochód oraz rozgrzeszenie z poprzedniego życia i powiązań. De facto jego jedynym problemem były wizyty kumpli, którzy nie byli tak cennym towarem dla Rosjan jak on. Wyżsi oficerowie, „Kameraden”, nachodzili go raz po raz z prośbą o pomoc, pieniądze, dokumenty lub umożliwienie opuszczenia rosyjskiej strefy okupacyjnej. Cóż mógł uczynić? Ani przez chwilę nie był pewien, czy organizacja nie zniszczy go, jeżeli odmówi... toteż zaczął im pomagać. Moja ostatnia wizyta w sektorze rosyjskim spowodowana została jego wezwaniem.

Aubrey przerwał. Massinger popatrzył na Margaret i zapytał:

- Dlaczego?

Margaret pochyliła się. Siedziała teraz obrócona bokiem do Aubreya. Robiła wrażenie pogrążonej we własnym, tylko jej dostępnym świetle.

- Słyszał o moich... związkach z Clarą. Wyglądało, że nadal zależy mu na niej... przynajmniej tak osądziłem, gdy otrzymałem wiadomość. Obiecał mi pewne cenne informacje, o ile zagwarantuję, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby jej dopomóc i zaopiekować się nią. Sam jednak nie odważył się wyjść stamtąd i dlatego poszedłem do sektora rosyjskiego.

- Co dalej?

- To był podstęp. Zaślepiła mnie szansa sukcesu, no i szlachetność nakazująca złożyć obietnicę mężowi mojej kochanki! - Aubrey kpił sam z siebie. Mówił dalej: - Elsenreith był sympatycznym i przystojnym młodym człowiekiem. Zrozumiałem, dlaczego Clara nadal darzyła go uczuciem, chociaż już nie nosił tego ohydneho munduru z błyszczącymi epoletami. Wtedy pojąłem też, po co właściwie mnie wezwał. Stałem się dla Rosjan niewygodny ze względów wywiadowczych. Postanowili mnie usunąć... Oczywiście, kiedy im zdradzę wszystkie zapamiętane nazwiska.

- Ale zdołałeś uciec?

- Tak.

- W jaki sposób?

- Otrzymałem pomoc. Pomogli mi ci, którzy nie mogli znieść widoku mojej kłęski. Moi ludzie. Nastąpiło to podczas transportu z więzienia do Kwatery Głównej, a ściślej, do biura Elsenreitha. Samochód wpadł w zasadzkę. Wydostałem się w zamieszaniu i wróciłem do zachodniego sektora.

- I koniec? - spytał Massinger. - To już wszystko?

Aubrey niemal niedostrzegalnie pokręcił głową, lecz Margaret natychmiast wyczuła w tym geście wahanie.

- Co jeszcze? - zapytała wyzywająco.

- Moja droga... Nie jest mi łatwo z tobą o tym rozmawiać. Elsenreith przekazał mi pewną informację. Był z siebie bardzo zadowolony, uważał bowiem, że złowił mnie w sieć; nie zamierzał pozwolić, abym kiedykolwiek mógł z niej uciec i wykorzystać tę wiadomość. Było to nazwisko człowieka w sektorze zachodnim, którego opiece i protekcji powierzał swych Kameraden, zwracających się o pomoc.

- No i? - Na twarzy Margaret malowała się nienawiść.

- Moja droga, to był twój ojciec.

- Nie! - jęknęła. Massinger zrozumiał, że od razu uwierzyła w słowa Aubreya. Uważając go za mordercę ojca, wierzyła jednocześnie jego wyznaniom.

- Jak on to zdołał zrobić? - szlochała Margaret. Chciała poznać okoliczności, a nie motywy, które skłoniły jej ojca do tej działalności.

- Moja droga, mógł to zrobić z łatwością. Podlegało mu bardzo ważne biuro. Nie-trudno było załatwić nowe dokumenty.
- Ale dlaczego?...
- Ponieważ miał rozdartą duszę - wyjaśnił Aubrey. Szczere współczucie zawarte w tych słowach poraziło Massingera. Był w straszliwej rozterce.
- O mój Boże - westchnęła Margaret zmartwiałym głosem.
- I co? - ponaglił Massinger.
- Zabiłem go.

Słowa te zawisły w nieruchomym, nagrzanym powietrzu salonu. Po nich zapadła absolutna cisza, która zdawała się trwać bez końca. Massinger wiedział, że te słowa pozostaną, utrwala się w ich pamięci na zawsze.

Zdawał się widzieć ponad czasem.

Wreszcie Margaret odezwała się nienaturalnym, głuchym głosem:

- Jest pan więc mordercą mego ojca?

Aubrey przytaknął ze smutkiem:

- Stało się to w walce. Mój palec nacisnął spust jego pistoletu. Tak, moja droga. Jestem winien śmierci pani ojca.

Margaret zupełnie się załamała. Siedziała bez ruchu i bez słowa, zwrócona w stronę fotela; nogi wyciągnęła przed siebie. Stopy miała wykręcone na zewnątrz. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś ją rzucił na krzesło. Jeden but spadł jej z nogi. Przypominała teraz manekina, wyrzuconego ze sklepu po zmianie dekoracji.

Massinger odchrząknął i zapytał:

- Cóż mogło go z nimi wiązać, Kenneth? Jak mogli go nakłonić do współpracy?
- Całkiem zwyczajnie. - Aubrey rozłożył ręce. - Wierzę w to, co mi powiedział.

Jeszcze przed wojną poznał wielu ważnych niemieckich dyplomatów, oficerów i urzędników. Część z nich zaprzyjaźniła się z nim. W latach trzydziestych podobne znajomości utrzymywało wielu Anglików z jego klasy społecznej... w latach naszej niewinności. W Cliveden, w Londynie, na przyjęciach, w operach, na pokazach, popi-jawach, polowaniach, strzelnicach... Jednakowe twarze. Pełni nadziei, pewni siebie młodzi blondyni. Castelford podziwiał ich, naśladował i sympatyzował z nimi. Och, nie sądzę, aby posunął się wtedy dalej. Nie chcę sugerować, że zdradził z chwilą wypowiedzenia wojny, pomimo że uważał wypowiedzenie wojny w związku z napaścią na Polskę za paranoję. Za jeszcze większe szaleństwo uznał sprzymierzenie się z barba-rzyńską Rosją w czterdziestym pierwszym.

- Ale przedtem?...

Aubrey machnął ręką, uciszając Massingera.

- Myślę, że to mogły być najwyżej jakieś niedyskrecje. Luźne pogawędki bez ujawniania żadnych tajemnic. Nic więcej, towarzyskie rozmowy, że tak powiem.

- W takim razie jaki mogli mieć z niego pożytek w czterdziestym szóstym?

- Lubił wspaniałomyślnie gesty. Oto pojawił się stary przyjaciel. Jeden z tych młodych blondynów z Cliveden. Rozpoznał Castleforda na ulicy. Ukrywał się w mieście od tygodni. Był ścigany... Czy możecie sobie to wyobrazić? - Massinger potaknął. - Castleford wyposażył go w pakiet sfabrykowanych dokumentów, zgodnie z którymi tamten był odtąd Polakiem, byłym jeńcem wojennym, a obecnie przesiedleńcem-dipisem. Ten człowiek zdołał zbiec. Ale przysyłał kolegów. Jednego po drugim. Nie kończąca się kolejka. Wszyscy po nowe papiery, nowe tożsamości. Jak wiesz, wyłapywaliśmy wiele takich płotek z marnie podrobionymi lewymi dokumentami. Toteż potrzebowali nowych źródeł zaopatrzenia. Świeżych dostaw. Chodziło im o angielskie dokumenty poświadczone przez samego Castleforda lub podległy mu, nieświadomy niczego personel. Elsenreith również kierował do niego swoich. Takich samych jak on esesmanów, pracujących aktualnie dla Rosjan. Musiałem zatkać dziurę i zatamować ten przeciek. Nie potrafię powiedzieć, czy pierwszy z młodych ludzi, którzy zgłosili się do Castleforda, był jego znajomym ze wspólnych wypadów na dziwki lub na strzelnicę, czy z treningów jeździeckich. Może kumplem od kielicha. Nie wiem nawet, czy poprosił o pomoc z własnej inicjatywy, czy też został przysłany, aby wciągnąć Castleforda w pułapkę.

- Więc tak to się zaczęło?

- I trwało prawie rok. Na długo przed moim przyjazdem do Berlina. Nie wiedziałem, dlaczego Castleford od samego początku nie darzył mnie sympatią. Dziś przypuszczam, że się mnie obawiał. Clara... Nasz związek z tą kobietą to była ślepa uliczka. Ona nie wie o niczym. Jedynej jej związek z tą sprawą polega na tym, że Castleford chciał ją omotać, aby później przy jej pomocy móc mnie kontrolować. Lecz tego celu nigdy nie osiągnął.

- Co się ostatecznie stało? - zapytał cicho Massinger.

Na twarzy Margaret dojrzał skupienie. W pokoju ściemniało się. Niebo na zewnątrz przybrało barwę ołowiu. Podmuch wiatru zastukał okiennicami. Mimo słabego oświetlenia Paul widział jej napięte ramiona i wysoko uniesioną głowę.

- Zaczęliśmy walkę o pistolet. Przedtem wysłuchałem tego, co miał mi do powiedzenia. Wydawało mi się, że to trwało godzinami. Przyjechałem tam, aby postawić mu konkretny zarzut i aresztować go. W chwili gdy wyjął pistolet, wydało mi się, że w desperacji chce palnąć sobie w łeb. Ale on chciał zabić mnie. Walczyliśmy i on zginął. Właściwie natychmiast. Minęło wiele godzin, niemal do świtu, zanim ukryłem ciało w

piwnicy i spowodowałem, że zawaliły się resztki stropu, który ostatecznie go pogrzebał. Oto co się stało. Jeśli pani chce, mogę pokazać dokładny opis tego zdarzenia, który Clara przechowywała dla mnie przez prawie czterdzieści lat. Przybyłem tutaj po to, aby go zniszczyć. - Patrzył wprost na Margaret. Spoglądała na niego niczym dzikie zwierzę szykujące się do skoku. - Ale mogę go pani dać. Ma pani do niego prawo, tak przynajmniej uważam...

Margaret zerwała się z fotela i omal się nie potknęła o własny leżący na podłodze but. Stała przed Aubreyem z zaciśniętymi pięściami, z wyciągniętymi ku niemu ramionami. Całe jej drżące drobne ciało zdawało się mu grozić. Aubrey siedział nieruchomo. Twarz miał zmęczoną; wyrażała jakby smutne usprawiedliwienie. Właśnie ta mina rozbroiła Margaret, bliską fizycznego zaatakowania Aubreya. Zamiast tego wsunęła nogę w but i błyskawicznie rzuciła się ku drzwiom, jakby uciekała przed pożarem.

- Margaret! - Massinger wstał.

Drzwi zatrzasnęły się gwałtownie. Massinger zamierzał ruszyć w ślad za żoną, lecz zatrzymał go nagły ból w biodrze.

- Paul - ostrzegł Aubrey. - Paul... jeszcze nie. Zostaw jej trochę czasu, aby mogła pobyć sama.

Massinger, zaniepokojony ucieczką Margaret, znajdował się już w połowie drogi do drzwi. Po chwili jednak odwrócił się do Aubreya.

- Masz rację - przyznał. - Chyba i tak bym nie wiedział, co jej powiedzieć. Masz rację...

- Elsenreith wyszła - została tylko pokojówka i nasi przyjaciele.

- Pamiętaj, Wilkes, nie możemy w to mieszać ani pokojówki, ani jej pani. Nie teraz. To obywatelki austriackie. Czy jesteś pewien, że są w środku wszyscy troje? Razem z Aubreyem?

- Tak, wszyscy troje.

- No to do roboty. Zabierz ich do willi. Zatrzymaj ich tam aż do mojego przyjazdu.

- Rozumiem.

- Uważaj na pokojówkę i na to, co masz jej powiedzieć. Wy tłumacz, że Massingerowie zostają zatrzymani jedynie w związku z podejrzeniem o udzielenie pomocy zbiegłemu przestępcy - Aubreyowi. Nic więcej. Bez względu na to, co się będzie działo, musisz grać swoją rolę.

- Zrozumiałem. Kiedy pan tu wróci?

- Jutro; Mam jeszcze kilka ważnych komisji i spotkań. Po prostu zatrzymaj ich, dopóki nie przyjdę.

- Oczywiście.

Oszłomiła ją rozpacz. Co za koszmar! Pamięć, myśli, uczucia, intuicja, wina - wszystko to stanęło w obronie Aubreya, wypierając z jej myśli pełne grozy wspomnienie o ojcu. Zrozumiała, czemu walczyli o pistolet, stały się dla niej jasne okoliczności, w których jej ojciec mógł zamordować Aubreya, gdyby ten nie zorientował się odpowiednio wcześniej...

Szamotała się z płaszczem. Upuściła w holu torebkę. Podniosła ją i przycisnęła do siebie. Usiłowała zapiąć guziki. Napała ciałem na drzwi i dopiero wtedy przypomniała sobie, że trzeba nacisnąć klamkę. Na dworze ściemniało się. Było chłodno i pusto. Przeszła przez dziedziniec. Woda z fontanny rozbryzgiwała się niemal poziomo, zwiwana podmuchami wiatru, który szarpał też liśćmi zwiędłych roślin. Ten właśnie zimny wicher uderzył w nią, jakby próbował wepchnąć ją z powrotem do domu. Kiedy Aubrey mówił, ujrzała oczyma wyobraźni niczym na starej kronice filmowej ciała zepchnięte do wypełnionego wapnem, masowego grobu. Lemiesz buldożera przeorywał zeszywniałe kończyny i czaszki. Koszmarne pasiaki, gwiazdy Dawida...

Ta wizja nie chciała zniknąć. Po raz pierwszy Margaret widziała takie obrazy w dzieciństwie, na dokumentalnym filmie telewizyjnym z okresu wojny. Teraz obrazy z ekranu wiązały się z jej życiem. Przysssały się do niej niczym pijawki. Opanowały ją jak choroba. Nie mogła tego znieść. Jej ojciec nie zasługiwał na takie wyobrażenie. Zwłaszcza dziś, gdy poznała już dokładnie całą prawdę; jednakże wszystko, co się z nim kojarzyło, było straszne, okropne, odrażające...

Przemknęła pod łukiem bramy na Stephansplatz. Masyw katedry był ponury i czarny jak sadza. Ciemny kształt piął się w górę, wsparty jakby o snop światła latarni. Rozdarta dusza. Przyznał to nawet człowiek, który przybył, by go aresztować. Jego zabójca. Wszystko stracone. Stracił wszystko, pragnąc im pomóc.

Wzdłuż placu ściagały ją głosy krewnych. Ciotek i wujków, dziadków, nawet babci ze strony matki. Zwłaszcza babki, ponieważ ojciec był antysemitą. Przynajmniej tyle o nim wiedziała. Podziwiał nazistów, przyjaźnił się z nimi, to też wiedziała. W latach trzydziestych nie zachowywał się jak wielu innych wspaniałych młodych ludzi. Unikał komunizmu od pierwszych studenckich dni.

Głosy huczały i dudniły w jej głowie. Wtuliła ją w ramiona i pochyliła, jak gdyby głosy były pociskami, przelatującymi tuż nad nią w wietrznym zmroku. Biegąc przez plac w nadciągającej godzinie szczytu, wyglądała na starą, słabą i ściganą przez niewidzialną chmurę żądających owadów kobietę.

Najtrudniej było zaakceptować prawdę: Ten człowiek był przecież zgubiony na długo przed tragiczną śmiercią. Informacja Aubreya wymazała definitywnie z jej pamięci wszystkie inne wspomnienia o ojcu, całą głębię uczuć, jakimi go darzyła. Nie był

to już ten sam człowiek. Człowiek, po którego śmierci matka postradała zmysły... Człowiek, który uśmiechał się wprost w obiektyw aparatu lub szedł ku dziecinnej huśtawce, pośród kolorowych promieni słońca, przedzierających się przez drzewa jabłoni.

W górę, wyżej, wyżej, w górę...

W upalnym powietrzu słysząc ich wspólny śmiech. Sukienka trzepece, gdy huśtawka wędruje ku górze, przesłania widok na wapienne wyżyny. Jego ręce znów lekko chwytają huśtawkę i popychają ją mocno. Wreszcie, gdy Margaret już się kręci w głowie i trochę się boi, ojciec przytrzymuje linki, bierze ją w ramiona...

Taki ojciec odszedł. Tu było ciemniej, trochę pachniało stęchlizną. Powietrze stało... Wszystkie wizerunki ojca zniknęły.

Rozwiał się. Robert Castleford rozplątał się.

Stojące, zatęchłe powietrze. Odbite światło ulicznych latarni wpadało przez wysokie okna. Wysokie, niezemskie głosy, dochodzące jakby z odległości, z końca wysokiego tunelu.

Potrząsnęła głową. Ogarnął ją kolejny przyływ rozpacz. Szła dalej. Jej ciałem wstrząsały dreszcze, jak gdyby zagnieździły się w niej złe moce. Starła się uciec od prawdy, a nie odrzucić ją.

Ponieważ w nią uwierzyła!

Wierzyła Aubreyowi. Przyznał się do zabójstwa ojca. Reszta też była prawdą. Prawda starego człowieka. Dobrze wiedziała, że to prawda. Równie dobrze jak to, że ojciec bywał w Cliveden, podróżował i przestawał z wpływowymi przyjaciółmi w Niemczech w 1937 roku. Pamiętała fotografie, a na nich martwe dziki, drewniane pawilony myśliwskie, zielone kapelusze z piórkiem, skórzane szorty albo zielone pumpy, także czarne mundury... Na każdym niemal zdjęciu ojciec był uśmiechnięty... Jej babka ze strony matki była półkwi Żydówką. Teraz Margaret zrozumiała, skąd podejrzenia staruszki wobec zięcia.

Wierzyła.

Dopiero teraz zorientowała się, gdzie jest. Wydało jej się, że po raz pierwszy otworzyła oczy. Katedra - Stephansdom. Olbrzymi dach. Wysmukła nawa i prezbiterium. Zatęchłe, chłodne, stojące powietrze. Chłopięcy sopran szybuje w górę, aż pod sklepienie.

To było coś, w co nie wierzyła. Nie znajdzie tu ukojenia. Zdołała tylko wyjść z tamtego mieszkania, uciec przed wiatrem i znaleźć się tu niemal sama. Usiadła ciężko na brzegu ławki, jakby zamierzała zsunąć się na klęcznik u jej stóp. Słuchała śpiewu i cichej organowej muzyki. Połyskiwało mgliście światło padające na wysoki ołtarz. Złoto świeciło matowo. Farba rozmywała kontury ścian, zamieniając je w bezkształtne plamy. Ale to nie znaczyło dla niej nic...

Nic poza ciszą, poza niemal całkowitym bezruchem...

Zdała sobie sprawę, że chór i organy umilkły, a ona zmarzła, mimo że była w płaszczu; miała zupełnie skostniałe nogi. Rozejrzała się wokoło, spojrzała na zegarek. Było prawie wpół do siódmej. Natychmiast pomyślała o Paulu. Rozejrzała się niespokojnie, pragnąc go ujrzyć blisko siebie. Pomyślała także o Aubreyu oraz o pisemnym świadectwie zdarzeń, które jej obiecał. Nie potrzebowała tego dokumentu. Tak Aubreyowi powie. Niech go sobie zniszczy, jeżeli to może mu pomóc.

Na chwilę opuściły ją wszelkie uczucia. Powitała tę pustkę z wdzięcznością. Było po wszystkim. Przynajmniej na chwilę, na dziś. Nie wyobrażała sobie powrotu tych uczuć. Roztarta zmarznięte nogi i wstała. Zachodnimi drzwiami opuściła katedrę.

Na Stephansplatz wciąż panował ruch. Tłumy ludzi zdawały się znikać w paszczy wejścia do metra po drugiej stronie placu. Śpieszący do domów przechodnie mijali ją, idącą powoli w stronę sklepu z obuwiem, w stronę łuku, dziedzińca i tego mieszkania, gdzie, jak jej się zdawało, mogła znów wrócić.

Postawiła kołnierz. Wiatr nie ucihał. Szałał i wirował wokół niej. Poderwał w górę połę płaszcza, kiedy przechodziła przez bramę. Fontanna przypominała osłabły, złamany ogon gołębia. Zwiędła zieleń szumiała na wietrze. Margaret nacisnęła dzwonek.

Spostrzegła, że drzwi są otwarte.

Nikt nie reagował na dzwonienie. Nie słyszała zwalnianego zamka.

Ktoś zostawił otwarte drzwi. Weszła do środka i ruszyła schodami w górę. Idąc powtarzała niczym wyuczoną lekcję słowa, które chciała powiedzieć Aubreyowi i Paulowi.

Dwuskrzydłowe drzwi do salonu były otwarte. Drzwi na górze również były uchylone. Wszystkie drzwi stały otworem. Salon był pusty.

- Paul! - zawołała. Potem głośniej: - Paul! - Wreszcie ochryple, z podejrzeniem, które natychmiast przerodziło się w strach: - Paul!

Krzesło, na którym siedziała przedtem Clara Elsenreith, było przewrócone. Na fotelach i kanapie zostały jeszcze wgniecenia, ślad, że niedawno ktoś tam siedział. Na dużym chińskim dywanie leżały szklanki i czuć było zapach rozlanej whisky. Pochyliła się, by podnieść szklankę. Gdy jej dotknęła, palce zabarwiły się na czerwono. Sądziła, że się skaleczyła, ale po chwili dostrzegła okrągły ślad krwi na cienkim wzorzystym włosie dywanu. Na fotelu również widniała plama krwi, tak jakby upadł tam ranny.

To na tym fotelu siedział Paul!

Dobiegło ją słabe, ciche postukiwanie. Było odległe i nieważne. Paul!

Gdzie on jest? Gdzie Aubrey? Krew?...

Usłyszała szybkie kroki. Ktoś lekko wspinał się po schodach.

Rozdział XIII

Nasze wszystkie Rubikony

Światło słoneczne odbijało się od stateczników i kadłubów zaparkowanych lub kołujących samolotów na lotnisku Leonarda da Vinci w Rzymie. W porównaniu z górskim chłodem Afganistanu dzień wydawał się ciepły, niemal wiosenny. Ale Hyde'owi to miejsce wydawało się zbyt przeszklone. Nazbyt łatwo można go było dostrzec. Wprawdzie przed wejściem do budki telefonicznej zlustrował z tuzin razy główną poczekalnię dla pasażerów i nie dostrzegł nikogo poza ludźmi z ochrony lotniska, lecz wciąż podejrzewał, że może być obserwowany i schwytyany.

Nadal był szczelnie owinięty w ciemny płaszcz. Dostał go w Peszawarze. Ludzie Miandada przyglądali mu się z dezaprobatą czujnymi, smutnymi, piwnymi oczami osadzonymi w poważnych ciemnych twarzach. Byli rozczarowani i zasmuceni, że wrócił on, a nie ich dowódca, lecz sumiennie wypełniali otrzymane wcześniej rozkazy nieżyjącego przełożonego. Zapewnili mu opiekę medyczną, jedzenie, kąpiel, golenie, bezpieczne połączenia telefoniczne i transport. Ponieważ nie mógł pisać zabandażowanymi, bolącymi rękami, pozwolili mu korzystać z magnetofonu i pustego pokoju. Upewniwszy się, że jest sam i nic mu nie grozi, podyktował do mikrofonu świeże jeszcze w pamięci słowa Pietrunina dotyczące wydobycia informacji o „Łzie” z komputera służb bezpieczeństwa w Moskwie. Wszystko zostało załatwione sprawnie i szybko, jakby usługiwali mu najlepsi hinduscy służący. Tylko czasami ich usta i oczy zdradzały rozczerowanie. Obwiniali Hyde'a za to, co się stało.

Załadowano go na pokład wojskowego samolotu lecącego do Karaczi. Później załatwiono mu bilet na pierwszy lot do Rzymu. Występował jedynie w roli bagażu. Obchodzono się z nim ostrożnie i z szacunkiem, gdyż był własnością bogatego i wpływowego człowieka, ale traktowano go obojętnie niczym przedmiot. Wypytano o kilka szczegółów dotyczących głównie okoliczności śmierci Miandada. Nawet zgon Pietrunina zbytnio tamtych nie interesował. Według nich to, co się wydarzyło, nie było warte życia pułkownika Miandada. Pietrunin ściągnął zgubę na głowy Pathanów i innych mudżaheddinów, dlatego jego śmierć zładodziła może trochę ból rodzin po stracie Mohammeda Dżana i innych.

Pozbyli się go najszybciej, jak tylko mogli. Oficjalnie nigdy nie był w Pakistanie i nie przechodził z Miandadem przez granicę. Wielokrotnie słyszał, jak powtarzali ostatnie

słowa Miandada. Cytowali je niczym wersety Koranu: „Należy udzielić panu Hyde'owi jak najdalej idącej pomocy. Niezależnie od okoliczności i niezależnie od ostatecznego rezultatu akcji”.

To właśnie dlatego odszukał go i zabrał ich śmigłowiec.

Spędził ponad godzinę, rozmawiając przez telefon z Shelleyem, którego Ros wezwwała do mieszkania na Earl's Court. Złożył wyczerpujący raport. Jeszcze raz wyrecytował beużyteczne instrukcje Pietrunina na temat sposobów uzyskania dostępu do informacji. Shelley był zaszokowany tymi rewelacjami i oszołomiony komputerowym żargonem. Paraliżowało go jednak poczucie bezsilności wobec działań Babbingtona.

W czasie lotu do Karaczi Hyde spał, nie mając nic lepszego do roboty. Zrobił już wszystko. Wiedział, lecz jego informacje były beużyteczne zarówno dla niego, jak też dla Shelleya. Sytuacja poprawiła się tylko o tyle, że zmniejszył się ból rąk i twarzy.

Zabandażowaną lewą ręką wykręcił niezdarnie numer telefonu w swoim mieszkaniu. Odczekał cztery sygnały i odwiesił słuchawkę. Potem podniósł ją znowu i zadzwonił po raz drugi. Shelley oczekujący na Earl's Court odebrał telefon, kiedy Hyde usłyszał trzeci sygnał.

- To ja - oznajmił Hyde. - Są jakieś wiadomości?
- Beznadziejne, Patrick. Zupełnie tragiczne. - Głos Shelleya brzmiał przez telefon tak ponuro, że to było aż śmieszne. Hyde wyczuł szok i strach kryjący się pod przygnębieniem Shelleya.
- Co się dzieje?
- Babbington dopadł starego i Massingera.
- Chryste, w jaki sposób? Kiedy? Wczoraj nawet nie wiedziałeś, gdzie oni są.
- W Wiedniu.
- Massinger tam wrócił? - Hyde był tak zdenerwowany, że od jego oddechu aż zaparowały szyby w budce. - Nie wierzę w to.
- Myślałem, że są w Bonn z Zimmermannem. To ci wczoraj powiedziałem. Ale natrafili na jakiś ślad dotyczący jej ojca i 1946 roku.
- Po diabła teraz się tym zajmują?
- To obsesja jego żony. Biedna dziewczyna. Ale stary też tam był - w mieszkaniu kobiety, którą poznał w Berlinie razem z Castlefordem. - Głos Shelleya był spokojny i odległy, jakby dochodził z bardzo daleka.
- Rozmawiałem z nią. Dostałem jej numer od Zimmermanna... À propos, zawieszono go w czynnościach. Na polecenie z góry.
- A więc Babbington złapał ich w swoje sidła? Weszli prosto do klatki. Chryste, kiedy ja byłem pośród tej dziczy, stary odgrzewał stare romanse, a ci cholerni Massingerowie interesowali się tylko nieskazitelną przeszłością kochanego tatusia nieboszczyka! Co za pieprzone zamieszanie, Shelley. Co za pieprzona chryja!

- Lepiej się czujesz? - zapytał Shelley po chwili ciszy.
- Coś jeszcze?
- Nie złapali jeszcze żony Massingera ani tej Clary Elsenreith. Obu nie było w mieszkaniu, kiedy zabrano mężczyzn. Na dywanie była krew. Pokojówkę zamknięto w szafie. Ta Elsenreith to twarda sztuka, ale jest przestraszona. Więc co jest tutaj grane - Aubrey musiał ją we wszystko wtajemniczyć.
- Gdzie jest teraz Massingerowa?
- W bezpiecznym miejscu.
- A stary?
- Tego nie wiem. Natomiast wiem, że Babbington ma zarezerwowany na dzisiejsze popołudnie bilet do Wiednia.
- A więc chce zobaczyć się ze starym. Co masz zamiar, kurde, zrobić w tej sprawie?
- Nic nie mogę zrobić. Kto mnie będzie chciał słuchać?
- Sir William. On ma bezpośredni kontakt z panią premier.
- Od lat popiera Babbingtona. To on powołał do życia nową strukturę, SAID, i to on chciał, żeby Babbington stanął na jej czele. Wysłucha, być może, tego, co mu powiem, lecz nigdy nie uwierzy nam na słowo. A jeżeli tylko wyda się cokolwiek z tego, co wiemy, to po nas.
- Dobrze, rezygnujemy z próby z sir Williamem. Jak oceniasz szansę odnalezienia Massingera i starego, zanim ich zabiją? Jeżeli komukolwiek powiemy, Babbington dowie się o tym w ciągu paru minut.
- Niech licho porwie tego Massingera. Stary dureń. Żeby zajmować się 1946 rokiem, kiedy w każdej chwili ktoś może go wepchnąć pod autobus. W jaki sposób Babbington zdołał dostać ich w swoje łapy bez wzbudzania podejrzeń?
- Jego kolesie z KGB mogli go w tym wyręczyć. Może już nawet zabrali starego do Moskwy, żeby zanim go zabiją, przygotować do publikacji zdjęcia z jego przyjazdu. A co do Massingera, to może się zdarzyć, że jadąc wynajętym samochodem zboczy z drogi i wpadnie w przepaść. Skąd, u diabła, mam to wiedzieć? Ale on tak właśnie skończy.
- Co za paskudna historia - wymamrotał Hyde. - Taka chryja.
- Czy możemy coś zrobić w sprawie starego, Patrick?
- Bóg jeden raczy wiedzieć. Gdzie on jest?
- Gdzieś w Wiedniu. W wiedeńskiej placówce nie ma nikogo, komu odważyłbym się zaufać. Nie mam też nikogo, kogo mógłbym tam wysłać.
- Jesteśmy tylko my?
- Tak.

- Chryste... - westchnął Hyde. - Na litość boską, wymyśl coś. Znajdź kogoś. Kogokolwiek. Chyba znasz jakiegoś godnego zaufania specjalistę od komputerów!

- Nie mam nikogo takiego. Boże. Głowiłem się nad tym, ale nie przyszło mi do głowy ani jedno nazwisko. Nikt, kogo mógłbym być absolutnie pewien.

- To powiedz komuś. Bez dowodów. Po prostu idź i powiedz!

- Nie mogę! To zbyt niebezpieczne. Posłuchaj, twoim zadaniem będzie wyjazd do Wiednia i rozmowa z Massingerową.

- Chryste! Spodziewasz się, że popełnię samobójstwo?

- Jest zdesperowana i przestraszona. Może coś wiedzieć. Może będzie w stanie...

Posłuchaj, Patrick, sir William jest jej ojcem chrzestnym.

- A Babbington jest przyjacielem rodziny. Wiem, co jest grane.

- Ona może być twoją jedyną szansą - powiedział cicho i z naciskiem Shelley.

- Ty draniu - westchnął Hyde. - No dobra, już dobra. Ale musisz wymyślić jeszcze coś. Znaleźć dodatkowe rozwiązanie. Bo to, co zrobię, nie wystarczy. Dobrze o tym wiesz.

- W porządku. Obiecuję. Ale jeżeli uda ci się ją stamtąd wydostać, zrób to. Ukryj ją w bezpiecznym miejscu. Może będziemy jej potrzebować.

- Shelley! A co ze starym?

- Zapomnij o nim, Patrick. Nie możemy się teraz do niego zbliżyć.

- Na litość boską, Shelley! Ty tu jesteś od myślenia! A więc myśl! Stary może już jutro albo pojutrze znaleźć się w Rosji. Wykombinuj jakiś sposób, żeby ich powstrzymać. Zawdzięczasz staremu wszystko! - Złość spowodowała nawrót bólu w rękach. Szczególnie w lewej, którą nieporadnie ścisnął słuchawkę. Piekielnie go także policzek.

- Dobra, dobra, nie musisz mi o tym przypominać. Będę myślał.

- Znajdź jakieś wyjście. A teraz daj mi numer tej Elsenreith w Wiedniu.

- Jak, cholera, jak?

Shelley stał przed ogromną mapą Europy, Bliskiego Wschodu i Azji, która wisiała na ścianie bawialni w mieszkaniu Hyde'a. Ros patrzyła na niego z nie ukrywaną dezaprobatą. Hyde był nieporządny, to prawda, ale podczas jego częstych nieobecności zawsze była w stanie przywrócić w mieszkaniu niemal doskonałą czystość. Odzyskiwało wtedy swój dawny wygląd z czasów, zanim wynajęła je Patrickowi Hyde'owi.

Była rozdrażniona i zniecierpliwiona, ponieważ Shelley powiedział jej, gdzie jest Hyde i w jakim pozostaje niebezpieczeństwie. Nie chciała nawet o tym myśleć.

- Przyniosłam lunch - powiedziała stawiając za Shelleyem talerz z kanapkami i puszkę fostera. Peter Shelley odwrócił się i spróbował się uśmiechnąć. Twarz miał

bladą. Zmarszczył brwi. Napięcie i poczucie klęski nadawały jego obliczu niemal rozpustny wygląd. W jego podkrążonych oczach spostrzegła też strach. Bał się o samego siebie, lecz próbował zlekceważyć strach.

- Dzięki, Ros. - Wziął talerz i opadł na kanapę. Łapczywie napił się piwa, wpatrując się w wydarte z notatnika kartki, które zasłaly stolik i dywan. Kotka bawiła się jego pisakiem. Ciągnęła go po zielonym dywanie, pozostawiając przerywany niebieski ślad. Jakby przepaszając, otarła się o dzinsy Ros, która delikatnie odepchnęła ją stopą. Nie zrażona tym kotka, znęcona zapachem kanapek z tuńczykiem, wskoczyła na sofę obok Shelleya.

- Dobre są - pochwalił Shelley. Na nogawkach spodni miał kocią sierść. Ros wybaczyła mu protekcyjny ton.

- Czy nic mu się nie stanie?

Shelley zaskoczony podniósł wzrok. - Mam nadzieję.

- Zawsze mógłby wrócić do Australii. Nikt go tam nie zdoła odnaleźć. Tylko że pewnie nie będzie chciał...

- Może kanapkę?

- Już jadłam lunch. - Mimo to nadal siedziała naprzeciw niego w fotelu, który cały wypełniała swoją osobą. Był dla niej nawet trochę za ciasny. Patrzyła na Shelleya, a potem przeniosła wzrok na mapę rozpostartą na ścianie za jego plecami. W paru miejscach coś na niej nabazgrano. Kółka, krzyżyki, nazwiska, daty. Do mapy przypięte też były postrzępione kawałki papieru z notatnika. Zasłaniały one dużą część Morza Śródziemnego, kawałek Morza Północnego, fragmentu Związku Radzieckiego, Bliskiego i Dalekiego Wschodu. Wyglądało to na dzieło niezwykle pedantycznego dziwaka, planującego wakacje lub piszącego przewodnik turystyczny.

- Co to jest? - zapytała, wskazując głową w kierunku mapy.

Spojrzał na nią niemal z poczuciem winy. Był nieco zawstydzony tym, że zabrało mu to wiele godzin pracy. Przeprósł ją, bo właśnie w tym samym momencie zaczęło mu burczeć w brzuchu. Spojrzał na zegarek. Było po trzeciej. Nic dziwnego, że był głodny.

- To wszystkie sowieckie ambasady w Europie i prawie wszystkie w pozostałych częściach świata oraz to, co mogę sobie przypomnieć na ich temat, no i na temat naszych ludzi tam zatrudnionych. - Uśmiechnął się. - To oczywiście jest ściśle tajne.

- Pewnie, że tak - odparła Ros.

Shelley powiedział jej część prawdy. Oczywiście nie wszystko. Pragnęła się upewnić, że praca Hyde'a jest ważna. Domagała się choćby mglistej obietnicy, że wszystko dobrze się skończy. To jej wystarczyło. Shelley nie rozumiał, jakie stosunki łączą ją z

Hyde'em. Nie miał też czasu, żeby się nad tym dłużej zastanawiać.

Być może na jego twarzy pojawił się wyraz zniecierpliwienia, bo wstała i wygładziła fałdy na dzinsach.

- Zostawię cię teraz w spokoju - powiedziała.

Z uwagą i napięciem przewracał końcami palców kartki notatnika.

- Słucham?

Shelley podniósł wzrok.

- Przepraszam, mówiłem do siebie.

- To jest niebezpieczne, prawda? - nie wytrzymała Ros. Duże pulchne ręce splotła pod obfitym biustem, jakby chciała sobie dodać otuchy.

Shelley pokiwał głową.

- Tak. Ale nie dla ciebie.

- Nie o to mi chodzi! - odburknęła. - Chodzi mi o niego i o ciebie, i o tego Mas-singera... no i waszego szefa. Jeśli już o tym mówimy, to jest to cholernie głupia gra. Lecz kiedy okazuje się, że to gra na serio, to już jest beznadziejne.

- Przykro mi.

Zdenerwowana Ros parsknęła drwiąco i wyszła z pokoju. Kotka wyśliznęła się za nią. Shelley został sam. Wstał i obszedł kanapę, żeby jeszcze raz stawić czoło nie chcąc się poddać mapie. Trzymał nadal w ręku puszkę piwa. Drugą rękę włożył do kieszeni spodni. Zaczął bawić się kluczykami od samochodu. Na wszelki wypadek zaparkował go dwie ulice dalej. Alison pojechała do matki do Hove. Ten środek ostrożności podjął natychmiast po telefonie Hyde'a z Peszawaru. Przez całą drogę nad morze musiał namawiać żonę i córkę do pozostania tam. W końcu udało mu się wrócić do Londynu bez nich.

Tego ranka wyszedł z biura w godzinę po przyjściu pod pretekstem nagłego przeziębienia. Wrócił do mieszkania Hyde'a, żeby poczekać na jego telefon z Rzymu i przekazać mu niepomyślne, a może nawet fatalne wieści o Aubreyu i Massingerze. Większą część poprzedniej nocy spędził przy telefonie. Ostatnie parę godzin przed świtem usiłował się przespać w łóżku Hyde'a, ale było mu za twardo. Został bez dachu nad głową. Bezbronny.

Ukrywam się, przypomniał sam sobie. Uciekam tak jak Hyde. Ukrywam się. Nikt tego jeszcze nie wie, a ja już uciekam.

Jeszcze raz przestudiował mapę. Ogarnął wzrokiem najpierw całe kontynenty, potem czytał notatki przyklejone przy tych ambasadach i konsulatach, które według niego były najbardziej dogodne do penetracji.

Z biur w Queen Anne's Gate lub Century House wiele razy kierował takimi operacjami. Ale nigdy przedtem bezpieczeństwo Aubreya nie zależało od niego. Nie mógł

się skoncentrować, mając wciąż w oczach twarz starego, a przecież skupienie było konieczne przy tego rodzaju ezoterycznych szachach, specyficznej grze wojennej. Westchnął i pociągnął jeszcze łyk piwa. Pieniło się. Czknął lekko. Po podkręceniu centralnego ogrzewania w pokoju zrobiło się trochę cieplej.

No już, no już. Zaczynj jakoś, powiedział sobie w myślach. Alison jest bezpieczna w Hove. Może spaceruje z córką i psem po plaży. Może zabrały też ze sobą drugiego psa. Spaniela jej matki. Na razie i on jest bezpieczny.

Bezpieczny, dopóki z kimś nie porozmawia. Nie może zwrócić się do sir Williama, nie mając tu Hyde'a i Margaret Massinger. Cokolwiek powie, zostanie to natychmiast przekazane Babbingtonowi. Tylko narazi się bez potrzeby. Dziś wieczór sir William wyjeżdża do Waszyngtonu. Jeżeli porozmawiałby z nim teraz, to on na pewno przekazałby całą sprawę do Kancelarii Rządu lub JIC, a ci natychmiast poinformowaliby Babbingtona. Nie! W ten sposób ostatecznie przesądziłyby o zniknięciu Aubreya.

Dla Massingerów też nie byłoby nadziei...

On był jedyną nadzieją Aubreya. On i ta zabazgrana adnotacją mapa na ścianie. Wzdrygnął się na myśl o spoczywającej na nim odpowiedzialności. Miał pewność, że Aubrey zostanie przetransportowany do Moskwy tak szybko, jak tylko zdołają to załatwić. Logiczne rozwiązanie. Oszołomiony narkotykami Aubrey pozuje do zdjęć w Moskwie. Świat wierzy w jego zdradę. Babbington jest bezpieczny.

„Szkoda biednego Massingera, który zginął w wypadku samochodowym... To było zbyt ciężkie przeżycie dla jego żony i dlatego popełniła samobójstwo... Biedna kobieta”. Szybko i bez większego wysiłku oczyści się stajnię i zapewni Babbingtonowi możliwość kontynuowania działalności na rzecz KGB. Agent, który nadzoruje cały brytyjski wywiad i kontrwywiad.

Zdjęcia Aubreya. Babbington na pewno już o tym pomyślał i teraz tylko musi zorganizować dostarczenie przesyłki do Centrali w Moskwie... Aubrey z medalami na piersi. Aubrey w swoim nowym moskiewskim mieszkaniu.

Zanim umrze i zostanie zapomniany.

Szybciej, szybciej!

Shelley zbliżył się do mapy. Londynu nie można było brać pod uwagę. Za dobrze strzeżony. Brak możliwości przeniknięcia do środka. Do tego nie miał ludzi... Tak samo w Paryżu, Rzymie, Sztokholmie, Helsinkach...

Bliski Wschód. SIS dysponowała tam niewielką ilością źródeł. Prawie natychmiast odrzucił też Bagdad, Kair i Amman... Daleki Wschód. W niektórych miejscach nie mają połączeń komputerowych z moskiewską Centralą, a inne są zbyt dobrze strzeżone i zabezpieczone.

Jego długie palce dotykały pieszczotliwie mapy. Wyglądał ją, głaszcząc kraje, całe kontynenty. Nic. Wszystkie jego notatki, prawie co do jednej, były zapisem braku nadziei. Mógł ufać jedynie nędznej garstce ludzi. Im wyższe mieli stanowiska, tym mniej mógł na nich polegać. Żaden z nich nie dysponował wiedzą konieczną do obsługi terminalu komputerowego, uzyskania dostępu do danych zgodnie z instrukcjami Pietrunina i poradzenia sobie z wejściem do ambasady i jej opuszczeniem. Niemal wszyscy z ewentualnych uczestników tej akcji zaakceptowali już kandydaturę Babbingtona na stanowisko dyrektora generalnego oraz projekt przekształcenia SAID. Aubrey był jedynie niefortunnym elementem ich zbiorowej przeszłości.

Jakaś bezsensowna pedanteria kazała mu podnieść dolny róg mapy i spojrzeć, czy nie pozostawił tam śladów pinezek i bazgrołów. Tak... Ślady pisaka, małe plamki, dziurki po pinezkach, cholera!

Zganił się w myślach. Zaglądać pod mapę. Też coś!

Mapa. Kurtyna. Mapa. Kurtyna... Kurtyna...

Podniósł mapę. Zerkał niczym staruszka zza firanek, podglądająca przelotne obrazy małżeńskich zdrad, kłótni, przeprowadzki w domu naprzeciwko. Ale zaraz przyszła mu na myśl polityczna żelazna kurtyna pisana dużymi literami.

Za Żelazną Kurtyną...

I tak już wpadło mu w oko parę ambasad we wschodniej Europie... Wstępna lista ludzi ciągle jeszcze lojalnych wobec Aubreya. Takich, którzy mogliby działać na słowo. Bez oficjalnych rozkazów, bez wyjaśnień... Gdzie?

Uklęknął przy stoliku. W głowie miał gonitwę myśli. Żadna nie chciała jednak przyjąć konkretnego kształtu, umykały, gdy tylko usiłował je pochwycić. Instynktownie starał się nadążyć za chybikimi myślami... Gdzie?

Przekładał papiery. Niektóre odsuwał na bok, oceniając, że nie mają już znaczenia. Głupie rozmyślenia. O to chodziło. Garstka ludzi. Będzie ich jeszcze mniej niż do tej pory. Ci pracownicy SIS, którzy zawdzięczali wszystko staremu. Tak jak on.

Berlin, Warszawa, Praga, Sofia, Belgrad, Budapeszt, Bukareszt...

Musiał popatrzeć na mapę. Wstał. Kartka papieru w ręku. Miejscowi, nieoficjalni współpracownicy, biznesmeni, oficerowie SIS, urzędnicy, sprzątaczk i sekretarki. Wewnątrz i w otoczeniu sowieckich ambasad.

Berlin... Postukał pisakiem w kółko, znajdujące się akurat na wysokości jego głowy. Berlin... Żadnych nieporozumień pomiędzy Rosjanami a wschodnimi Niemcami. Przyjaźń starych kumpli. Wywiad wschodnioniemiecki był wykorzystywany przez KGB. Wykonywali wiele wspólnych akcji, może byli przez to mniej ostrożni... Berlin. Babbington na pewno już dawno skaperował szefa placówki berlińskiej. Macauley

nie przepuści okazji do objęcia londyńskiego stanowiska Shelleya - dyrektora Wydziału Wschodnioeuropejskiego... Kto tam jeszcze jest? Urzędnicy, szyfranci - może zdołaliby to zrobić, a może nie. Shelley ich nie znał i nie mógł sobie pozwolić na ryzyko zaufania. W ambasadzie sowieckiej mieli mnóstwo sprzątaczek i sekretarek opłacanych przez SIS, sporo osób również w najbliższym otoczeniu, ale nie było wśród nich żadnego agenta terenowego, któremu można by powierzyć to zadanie.

Westchnął rozczarowany. Luźne myśli, bez związku ze sprawą, wirowały mu w głowie. Poddawał się jedynie ich kolistemu ruchowi, ich samoistnej energii. Nic nie przesądzał.

Warszawa.. Od czasu stanu wojennego nie mieli tam żadnego źródła. Ludzie SIS zostali złapani w sieć zastawioną na przywódców Solidarności razem z miejscową agenturą opłacaną przez SIS. Warszawa, zauważył ponuro, była jedynie czystą kartką papieru przyczepioną do mapy.

Bukareszt. Też nie. Za daleko. Za dużo niewiadomych. Placówka mogła nie mieć bezpośredniego połączenia z głównym komputerem w moskiewskiej Centrali.

Budapeszt. Pomyślmy. Budapeszt?...

Istniejącą tam siatkę zwinęto sześć miesięcy temu. Już jej nie reaktywowano. Przyłapano jakiegoś niższego rangą, nie przestrzegającego zasad konspiracji pracownika Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Podał wszystkie nazwiska łącznie z danymi oficera, u którego był na kontakcie. Zdradził także innego oficera, który przyjeżdżał od czasu do czasu na spotkania kontrolne. Zgarnięto wszystkich.

Dwóch udało im się wydostać. Trzech siedziało jeszcze w więzieniu - dwóch biznesmenów i stypendysta. Wszyscy rodowici Węgrzy zostali rozstrzelani. Budapeszt. Kolejny biały arkusz. Dalej...

Belgrad. Trudny teren, z powodu statusu Jugosławii jako państwa niestowarzyszonego. Dla KGB to dziki teren. Mają na swoich usługach mnóstwo Jugosłowian, ale prawie żadnych efektów.

Praga... Tam działają starzy kumple. KGB używało agentów czechosłowackiego wywiadu STB w charakterze chłopców na posyłki. Od czasu do czasu zatrudniali ich jako morderców na zlecenie... Banda bez skrupułów. Czeska ambasada na Kensington Palace Gardens, zbudowana z szarego betonu i przydymionego szkła, na której dachu znajdowało się więcej anten nadawczych dużej mocy oraz urządzeń odbiorczych niż na samej ambasadzie radzieckiej, wyglądała wprost nieprzyzwoicie. KGB i STB przez cały czas były w jak najlepszej komitywie.

Shelley przypomniał sobie pewien raport z niezbyt wysoko postawionego źródła, że sieć komunikacyjna używana przez KGB mieści się teraz w Zamku na Hradczanach,

a nie w ambasadzie sowieckiej. Przypomniało mu to o wakacjach, które spędził jako turysta w Pradze. Natychmiast pojawił się obraz ogromnej, niebosiężnej katedry Świętego Wita, stanowiącej część Zamku. Stał w kolejce przez parę godzin, aby wejść do tego osłepiającego, niemal orientalnego w wystroju wnętrza. Katedra kolońska zaadaptowana do koncertu muzyki pop. Tak określiła to Alison.

Widział - oboje z żoną widzieli - duże, czarne, rosyjskie limuzyny zaparkowane w taki sposób, że tworzyły coś na kształt barykady obronnej wokół rządowych budynków na Zamku. To było przed 1968 rokiem. Teraz Rosjanie o wiele mocniej ugruntowali tu swoją władzę. Jedni z drugimi szli ręką w rękę. Pomiędzy KGB i STB panowały niemal kazirodcze stosunki.

Przy tak ścisłej współpracy osłabia się system ochrony. Shelley spojrzął na mapę. Postukał palcem wskazującym w miasto nad Wełtawą. Zagłębił się w swojej liście, a potem spojrzął na mapę nieomal z tęsknotą. Czy w Pradze mógł zaufać komuś poza Godwinem? Godwin był człowiekiem Aubreya. Ale niestety bezużytecznym... Shelley usłyszał echo tych słów w swojej głowie. Wstydział się ich i myślał z goryczą, jak są trafne. Godwin został ranny w Niemczech, chroniąc życie rzekomego chińskiego azylanta. Dostał dwie kule w plecy. A teraz chodził o kulach, ciągnąc za sobą dwie bezużyteczne nogi. Aubrey, chociaż powinien był to zrobić, nie przeniósł go na rentę. Zamiast tego stary wysłał Godwina do Pragi jako szyfranta. Biedny, cholerny Godwin.

Dwie kalekie, ciągnące się po ziemi nogi. Nie ma mowy. Brak widoków na przeniknięcie do tamtejszej placówki. Jak na złość, Godwin miał akurat potrzebne kwalifikacje. Szkolono go na komputerach. Pracował przy nich w Century House, przed wyjazdem na placówkę do Hongkongu. Niechętnie zgodził się tam pojechać. Dał się przekonać tylko dlatego, że świeciło tam słońce, bo pracy na komputerach nie było w Hongkongu zbyt dużo. Godwin byłby w stanie zrozumieć, przeanalizować i wyjaśnić wszystko, co Pietrunin powiedział Hyde'owi. On by zrozumiał!

- Cholera! Niech to cholera weźmie! - wykrzyknął Shelley. Godwin, sprawny i zdrowy, byłby w stanie to zrobić.

Myśli w jego głowie zdawały się odpywać ku dalekiemu horyzontowi, niby chmury w przyspieszonym filmie, gdzie w ciągu kilku sekund przemijają dni, a nawet tygodnie. Sytuacja bez wyjścia. Jeszcze raz dotknął mapy. Rozłożył palce, jakby zamierzał ustawić kombinację cyfr otwierającą sejf w ścianie.

Godwin ma bezużyteczne nogi. Godwin nie może nawet kuśtykać bez ciężkich metalowych kul.

Bez ustanku powtarzał w myślach te zdania. Klęska. Ślepy zaułek. Gładził palcami mapę, próbując znaleźć rozwiązanie wśród kolorów, konturów i granic. Powoli, ociężałe sunął ręką na południe.

Wiedeń?

Beznadziejny. Nazywano go miastem szpiegów. Wszyscy tam byli bezpieczni, ale nikomu nie ufano. W Wiedniu nie uda się przeprowadzić żadnej akcji w ambasadzie, nawet przy wykorzystaniu Hyde'a z jego mocnymi nogami. To było naganne, lecz nie mógł powstrzymać się od myśli o tym, jak wykorzystać Hyde'a.

W Wiedniu agenci zmieniali swoich pracodawców przy każdej wypłacie. Wizerunek królowej, twarz prezydenta, niemiecki filozof, ludowy bohater... Wszyscy byli posłuszni jedynie obrazkom na banknotach. Ich wiedeńska placówka działała na rachunek Babbingtona. Nic z tego.

Kompletne fiasko.

A potem pomyślał.

Hyde... Wodolot. Hyde - wodolot. Hyde - wodo...

W Wiedniu organizowano turystyczne wycieczki wodolotem po Dunaju. Trwały krócej niż godzinę, ale nie wymagano okazywania żadnych dokumentów... Bratysława w Czechosłowacji... Hyde - wodolot. Hyde łatwo może przedostać się do Czechosłowacji.

Kłębiące się w jego głowie myśli zaczęły przepływać tak szybko, jak gdyby film zaczęto wyświetlać od końca, klatki przesuwają się w nieprawdopodobnym tempie. Emanowały energią. Może. Na pewno. To było możliwe, mogłoby się udać.

Dunaj. Styczeń. Lód.

Wodolot kursował jedynie w lecie, kiedy organizowano turystyczne rejsy.

Natychmiast poczuł się pokonany. Pomysł skurczył się, wysechł jak dawno opadły z drzewa owoc. Ale chmury myśli nadal płynęły. Dlatego prawie natychmiast pomyślał o Zimmermannie.

Zdawał sobie sprawę z niemożności przedostania się do Czechosłowacji bez odpowiednich dokumentów. Wiedział też, że sam nie może ich dostarczyć. Pomyślał jednak o Zimmermannie, który ma kontakty w Wiedniu. On mógłby się tym zająć.

Narty. Urlop na nartach. Wizy dawano na granicy i nie trzeba było załatwiać ich wcześniej. Jedyne, czego Hyde potrzebował, żeby dostać się do Czechosłowacji, to wynajęty samochód z bagażnikiem na dachu i parą nart w charakterze legendy. A ponadto austriacki lub niemiecki paszport dostarczony przez Zimmermanna. W ten sam sposób mógłby później stamtąd wyjechać.

Hyde wie, co robić, a Godwin wie, jak. Hyde miał nogi. Wchodzenie i wychodzenie to był jego zawód... Godwin mógłby go nauczyć, jak zabrać się do komputera, znałby usytuowanie i charakter łączności komputerowej pomiędzy Pragą a moskiewską Centralą... Hyde i Godwin, nie Godwin sam.

Tak.

Będzie musiał wrócić do biura, żeby nadać długi, zakodowany sygnał - GODWIN - DO RĄK WŁASNYCH - niezależnie od stopnia zagrożenia... i tego, jak desperacki był to plan. Babbington na pewno jest już w drodze do Wiednia. Shelley spojrzął na zegarek, a następnie wyjrzał przez okno. Ściemniało się. Latarnie uliczne były zapalone. Mapa nurzała się w pomarańczowym blasku, jakby podświetlona od spodu.

Działal jak desperat, lecz musiał podjąć ryzyko i pójść do Century House. Podobnie Hyde i Godwin musieli się podjąć swoich ryzykownych zadań. Godwin na pewno zna jakiś telefon bez podsłuchu i porozumie się z nim w mieszkaniu Hyde'a.

Usiadł. Nie chciał teraz zaprzętać sobie głowy zastrzeżeniami, szczegółami planu lub niebezpieczeństwami, których istnienie przeczuwał i które dobijały się do jego świadomości niczym szaleniectwo do drzwi.

Obszar, na którym mógł popełnić błąd lub ponieść klęskę, był wprost niewyobrażalnie rozległy.

Nie. Nie!

W niemal euforycznym nastroju, o którym wiedział, że nie potrwa zbyt długo, zaczął układać sygnał do Godwina w Pradze. Byle szybciej.

Margaret Massinger siedziała skulona obok kierowcy w wynajętym fordzie. Czekali obok parkingu przy zjeździe z drogi prowadzącej z lotniska Schwechat do autostrady. Było parę minut po czwartej, ale żółte światła latarni powodowały, że niebo wydawało się przedwcześnie pociemniałe. Płynęły po nim chmury gnane przez wiatr, grożąc w każdej chwili śniegiem. Szyby w samochodzie zaparowały od oddechów. Tablica rozdzielcza była podświetlona, bo Hyde włączył silnik, aby ogrzać samochód. Margaret nie czuła się zbyt swobodnie w towarzystwie swego wybawiciela Hyde'a. Zdawał się on stanowić istotny element zasadzki, w którą przez poczucie lojalności i przyjaźni wpadł jej mąż. Chociaż przede wszystkim znalazł się w pułapce z jej powodu. Obwiniała się o to bez przerwy, bez wytchnienia. Bała się, że Paul może teraz umiera albo już nie żyje. Jej potępienie rozlewało się niczym płama wilgoci i obejmowało wszystkich, którzy mieli coś wspólnego z Aubreyem i jego klęską. Dlatego też na Hydzie rozładowywała swe wzburzenie.

Hyde znalazł ją siedzącą na polowym łóżku, używanym niekiedy przez kierowniczkę małego butikującego do Clary Elsenreith. Clara zastała ją przed godziną w mieszkaniu. Margaret wodziła wtedy palcem po małej plamie krwi na chińskim dywanie. Kobieta zostawiła ją w sklepie i przykazała, aby się stąd nie ruszała. Gdy tylko Hyde odnalazł kryjówkę Margaret, poinstruował Clarę, że musi wyjechać z Wiednia.

- Dokąd? - rzuciła wyzywająco.

- Nie ma pani letniego domku?
- W St. Wolfgang, ale...
- Proszę tam pojechać. Zaraz.

Kobieta zgodziła się. Hyde był świadkiem jej odjazdu. Zauważył też, że jest śledzona. Byli to raczej Rosjanie niż Wilkes i inne skorumpowane typy. Najwidoczniej czekali na powrót Margaret. Oczywiście pojedą za porsche Clary, ale za nimi też podąży obserwacja. Clara miała wpływowych przyjaciół na wysokich stanowiskach w wiedeńskiej policji. Wykorzystując te kontakty poskarżyła się, że ktoś obserwuje dom i jeździ za nią samochodem. Obiecali jej pilnować aż do St. Wolfgang.

Szkoda, że прияciiele z policji nie mogli rozwiązać problemu Margaret i Paula Massingerów oraz starszego pana. Wiedeń był miejscem, w którym służby wywiadowcze mogły robić, co chciały. Pełna swoboda działania. Pełna demokracja. Policja po prostu nic nie wiedziała, nic nie słyszała i nie wypowiadała się w tych sprawach. W najlepszym wypadku przekażą Margaret Massinger Babbingtonowi, uważając, że to on powinien rozwiązać problem.

Hyde spojrział na Margaret. W jej oczach i bladej twarzy dostrzegł poczucie winy. Czowała się winna bardziej, niż rzeczywiście była. Obwiniła się za całą tę sytuację i jej skutki. Dodatkowo bała się jeszcze, że zabito jej męża. Uważała z pewnością, że odprawienie egzorcyzmów nad duszą ojca kosztowało życie męża. Hyde jednak ze względu na sytuację, w jaką wpakowała Aubreya, nie potrafił jej współczuć. To ona przywlokła za sobą całą tę groźną bandę Babbingtona do mieszkania Clary Elsenreith w Wiedniu. Przeszkadzała mu w realizacji planów, ale rozumiał jednocześnie, że jedyne, co mógł teraz zrobić, to zatroszczyć się o jej bezpieczeństwo, bo dla Aubreya nie mógł zrobić nic.

- Był w samolocie - powiedział Hyde. Zaledwie kilka minut wcześniej wrócił do samochodu z tarasu widokowego na lotnisku. - Czekają na niego. - Spostrzegł Babbingtona idącego pospiesznie w kierunku terminalu przez pięćdziesięciojardową, smaganą wiatrem płytę lotniska. Gdyby miał karabin, załatwiłby tę sprawę jednym strzałem.

Hyde właściwie nie miał broni. Odruchowo pomacał ubranie. To, co miał, trudno było nazwać pistoletem. Mała astra kaliber 5,6 mm należąca do Clary Elsenreith i jeden magazynek zapasowy z sześcioma pociskami. Damska broń o niewielkiej sile rażenia i krótkim zasięgu. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie używał. Tych paru agentów operacyjnych lub dostawców broni, którzy posługiwali się ostrą, przestrzegało go, że trzeba zużyć przynajmniej pół magazynka, aby zneutralizować przeciwnika. Ta broń nie zapewniała mu poczucia bezpieczeństwa. Po prostu czuł się z tym odrobinę lepiej

niż bez żadnego pistoletu. Bez słowa usiadł za kierownicą. Ta broń może rzeczywiście była niemal bezużyteczna, lecz odwinął trochę bandażu na prawej dłoni, aby w razie potrzeby łatwiej ją utrzymać. Zabolało, kiedy na próbę zacisnął dłoń na rękojeści. Prowadzenie samochodu wywoływało ból w poparzonych dłoniach, ale teraz ból powoli ustępował.

Minął ich pierwszy z samochodów eskorty. Za nim jechała limuzyna. W środku, za przyciemnionymi szybami, z pewnością siedział Babbington. Margaret Massinger była wstrząśnięta tym widokiem. Siedziała sztywno wyprostowana. W pewnej chwili zwróciła się do Hyde'a, który właśnie uruchomił silnik forda:

- Co on im zrobi?

- Kto? Ten stary przyjaciel twojej rodziny i towarzysz wycieczek do opery? - zadrwił Hyde. Trzeci samochód jechał za limuzyną. Wyglądało to jak procesja KGB. Uświadomił sobie, że to określenie nie było żartem.

Twarz Margaret wykrzywiła złość.

- Tak. On.

- Słyszałem też, że rezydent KGB w Londynie parę razy dał sobie w szyję w twoim domu. - Ostrożnie dotknął rękami kierownicy, lecz po chwili zacisnął na niej dłoń. Przeszył go ostry ból, który wkrótce zamienił się jednak w tępe, niezbyt dokuczliwe rwanie. Ruszył łagodnie w stronę autostrady. Kiedy już tam dotarł, przyspieszył. Zaczynała się godzina szczytu i było coraz ciasniej. Wąż światła mknął w ich kierunku. Wtopili się w wąski strumyk aut zmierzających do miasta. W oddali po lewej stronie migotały światła lądującego samolotu.

- Tak - przyznała Margaret przygnębiona. Hyde powstrzymał się przed dalszymi komentarzami. Uznał, że oskarżenia i roztrząsanie sprawy umocnią w niej jedynie przekonanie o własnej winie. Z tym poczuciem winy była dla niego bezużyteczna, a może nawet niebezpieczna. - Co on im zrobi? - zapytała znowu, gdy przejechali w milczeniu kilka mil.

- Jeśli jeszcze na to nie wpadł, wkrótce wpadnie.

- Na co?

- Pokaże starego w Rosji.

- Jak mógłby to uczynić?

- Bardzo łatwo. Nafaszeruje biedaka narkotykami. Zrobi mu parę zdjęć, a potem się go pozbędzie. Babbington będzie wtedy bezpieczny, bo zdrada starego zostanie udowodniona.

- A co z Paulem?

- Wypadek.

- Nie... - Głos Margaret zadrżał. Zakryła twarz rękami.

Kawalkada trzech jadących przed nimi samochodów zjechała z autostrady. Znaleźli się teraz na przypominających labirynt, wijących się w górę i w dół rozjazdach, prowadzących w różnych kierunkach. Hyde podjechał bliżej do sunących przed nimi pojazdów. Starał się nie zgubić w tej mnogości znaków, drogowskazów i tablic informacyjnych. Samochody zwolniły i skręciły. Hyde wjechał za nimi na autostradę numer 23, biegnącą na południowy zachód. Ponieważ wszystkie trzy pojazdy zawróciły znów na drogę, z której zjechały, wydało mu się, że dostrzegłi jego samochód. Potem doszedł do wniosku, że manewr ten był jedynie rutynowym środkiem ostrożności. Wjechał swoim ffordem w strumień samochodów. Od kawalkady dzieliło ich teraz z pół tuzina pojazdów.

Szczególną czujność zachowywał na wszystkich zjazdach do miast i innych dróg. Przejechali przez Favoriten i Liesing. Tam autostrada skręcała na południe i przechodziła w drogę E7. W Vosendorf trzy samochody zjechały z autostrady i skręciły na zachód autostradą 21. Wtedy Margaret miała już na kolanach mapę i od czasu do czasu zapalała światełko w samochodzie.

- Wygląda, jakby jechali do Lasu Wiedeńskiego - powiedziała gasząc jednocześnie światło.

- Nie wydaje się, żeby mieli pojechać dalej. Ciekawe, kto jest właścicielem tych terenów. My czy te czerwone diabły?

Za wsią Perchtoldsdorf samochody zjechały z autostrady. Hyde zwolnił. Dopiero po chwili również i on skręcił na krętą boczną drogę. Teraz, kiedy wyjechali już z tunelu świateł, zobaczyli niskie pagórki na tle błękitnych jeszcze plam nieba widocznych pomiędzy chmurami. Po obu stronach drogi ciągnęły się winnice. Krzewy winorośli oplatały specjalne kratownice. Wioska była cicha, jasna i maleńka. Hyde zobaczył otwarte drzwi gospody. Bez trudu wyobraził sobie, że słyszy muzykę akordeonu i śpiew. Wśród zabudowań były też nowoczesne domy. Nowe bogactwo zmieniło małownicze przedmieście i poszerzyło granice wioski. Hyde zobaczył porsche zaparkowane przed przebudowaną stodołą. Pod zaadaptowanym na dom młynem stało BMW, a nieco dalej ferrari. Minęli mały kamienny most i wtedy trzy jadące przed nimi samochody zjechały z wąskiej drogi pomiędzy drzewa. Widział przed sobą światła ich reflektorów, tańczące na pokrytej wybojami ścieżce. Minął miejsce, gdzie skręcili śledzeni, i podjechał około stu jardów dalej. Zobaczył wąski podjazd i światła dużego niskiego domu. Było to już na krańcu wsi. Hyde zatrzymał samochód.

- Witamy w pałacyku myśliwskim króla Babbingtona - rzucił. - Kto powiedział, że zbrodnia nie popłaca? Nas nie byłoby na to stać... - Dotknął swoich rąk. Po prostu bolały... Nie było najgorzej.

- Czy oni są w środku? - zapytała Margaret. W jej głosie dosłyszał pierwszą, delikatną nutkę hysterii. Zirytowało go to.
- O, tak. Są w środku.
- Co zamierzasz zrobić?
- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

W ogromnym kominku płonęły polana. Oświetlenie było łagodne i ciepłe. Kiedy wszedł, mężczyźni zerwali się na równe nogi. Ich cienie chwiały się na ścianach i suficie. Wygodne, stare krzesła, kanapa, lśniący drewniany parkiet pokryty grubymi dywanami o żywych barwach. Babbington uznał, że wystrój i umeblowanie domu przypominają daczę wysokiego urzędnika partyjnego w lasach pod Moskwą. Jednak podobało mu się tu. Zawsze mu się podobała ta willa. Czuł się tutaj bezpiecznie. Był tu bezpieczny w szerszym rozumieniu tego słowa, niż przewidywał to wywiadowczy żargon. Skinął głową trzem mężczyznom w pokoju. Pojawiło się więcej cieni, kiedy weszła do środka eskorta. Ktoś zabrał jego ciemny płaszcz. Wilkes przeszedł przez pokój i wymienił z nim serdeczny uścisk dłoni. Placówka w Wiedniu to był Wilkes. Człowiek bezwzględnie potrzebny, a nawet niezastąpiony. Pozostali obecni to ludzie stąd. Płatni żołnierze wywiadu. Najemnicy.

- Trzymaliście ich osobno? - zapytał Babbington, wypuszczając rękę Wilkesa.
- Wilkes kiwnął głową.
- Przez cały czas.
 - To dobrze.

Babbington podszedł do kominka. Żar płonących polan musnął jego zimną twarz. Roztarł ręce, a następnie pochylając się lekko do przodu, wyciągnął je nad ogniem. Wyglądało to tak, jakby starał się coś dojrzeć wśród płomieni. Ale to były tylko pozory. Miał przed sobą jasno określony cel; nie było tu już miejsca na pomyłki lub fantazjowanie.

Kiedy ogrzał dłonie, odwrócił się tyłem do ognia i przyjrzał ludziom obecnym w pokoju. Wyglądali na tle pobielonych kamiennych ścian pokoju jak na paszportowych lub policyjnych zdjęciach, ostro skonstrastowanych. To byli jego ludzie. Placówka w Wiedniu. Wszystko zaczęło się oczywiście od Wilkesa. To on skontaktował się z KGB, kiedy po raz pierwszy przysłano go do tego miasta. Chciwy człowiek. Pożądał pieniędzy, ale kochał również ryzyko, jakie niosła ze sobą zdrada. W końcu poznał Babbingtona, który zaczął go wykorzystywać. To Wilkes zwerbował większość ludzi znajdujących się w tym pokoju. Praktycznie rzecz biorąc, Wilkes kierował wiedeńską placówką, której oficjalnym szefem był jego przełożony Parrish. Wilkes był wyższym

oficerem. Rezydentem działającym poza strukturą ambasady. Parrish pozwalał mu sprawować nadzór nad działalnością placówki. To Wilkes zajmował się placeniem, kontaktami, montowaniem operacji i werbunkiem. Wilkes pozyskiwał miejscowych i emigrantów. Skaperował nawet dwóch ludzi przysyłanych do Wiednia z Londynu. Przez ostatnie trzy lata robił bardzo dobrą robotę. Zapewnił Babbingtonowi bazę łączności, a w końcu zorganizował operację schwytania w pułapkę Aubreya.

Babbington uśmiechnął się w duchu, kiedy przypomniał sobie drobną postać Aubreya, który przekonany o własnej ważności zbliżał się do niego, idąc przez ogrody Belwederu. To było zaledwie dwa tygodnie temu. W ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin wszystko się skończy.

Skończy się z nimi, poprawił się.

- Czy Massinger jest ciężko ranny? - zapytał Wilkesa. - Twoi koledzy nie potrafili tego jednoznacznie ocenić. - Mówił to z wyraźną ironią. Wyraz twarzy Wilkesa nie zmienił się.

- Niezbyt ciężko. Obejrzał go lekarz, którego nasi przyjaciele wykorzystują od czasu do czasu. Głupiek chciał być bohaterem. Będzie żył. Stracił tylko dużo krwi. To wszystko. - Wilkes udawał zdumienie.

- A Aubrey? - Babbington ledwo potrafił ukryć nutkę satysfakcji w głosie.

- Wścieka się i grozi.

Na twarzy Babbingtona odbiło się rozczarowanie. Było oczywiste, że Aubrey jeszcze się nie załamał. Babbington zastanawiał się, czy powinien się z nim zobaczyć, czy pozwolić mu jeszcze trochę dojrzeć.

- Wiadomo coś o kobiecie?

- O której kobiecie?

- O żonie Massingera. Och, Wilkes, odpraw swoich kolegów...

Wilkes machnął na nich ręką. Posłusznie, z obojętnymi minami wyszli jeden za drugim z pokoju. Kiedy już byli na zewnątrz, Babbington usłyszał przytłumiony szmer ich głosów. Rozchodzili się na swoje stanowiska. Ktoś nawet zaśmiał się prostacko. Cóż, zwykły zestaw - pazerniacy, głupcy i sadyści. W samochodzie czuł mdłości i teraz zdał sobie sprawę, że nie były one spowodowane kołysaniem, zmęczeniem lub napięciem, lecz odrazą do bliskiego już kontaktu z tym mięsem armatnim tajnego świata. Wilkesa oczywiście można było znieść - na ogół...

- Żony Massingera nigdzie nie widać. Ta druga kobieta, Niemka, jest na krótkim wypoczynku w swoim domu w St. Wolfgang.

- Kazałeś ją śledzić, tak? Napiję się czystej szkockiej.

Wilkes przeszedł do bogato zdobionego barku. Wyjął butelkę i szklanki, unosząc je zachęcającym gestem. Nalał dwie whisky. Podszedł do kominka i podał Babbingtonowi szklankę.

- Tak. Policja też tam była.
- Dlaczego?
- Ona ma wpływowych przyjaciół w wiedeńskiej policji. Dbą o siebie.
- Cóż takiego mogła powiedzieć policji?
- Sprawdzamy to. Myślę, że niewiele. Nawet jeśli coś powiedziała, to nie wydaje się, aby cokolwiek zrobili. Gdyby tylko wymieniła nazwisko Aubreya, wycofali się z przerażeniem. Wiesz przecież, że oni nie mieszają się w nasze sprawy.

- Wiem. Czy policja szukałaby Margaret Massinger?
- Możliwe. Jeśli ją znajdą, dowiemy się o tym. Nie martw się. Nie sądzę, żeby się zbyt starali. Nie w tym przypadku.

- Co będzie, jeśli ona pójdzie na policję?
- Nie może im nic powiedzieć. A oni jak zwykle będą działali opieszale. Jeśli chcesz, to możemy się do niej wziąć po ewentualnej wizycie w policji.

Babbington pociągnął łyżeczek szkockiej i odsunął się trochę od ognia.

- Jeszcze nie wiem... Nie chcę, żeby stała nam na drodze. Wolałbym, aby to nasi ludzie ją znaleźli. Wtedy możemy skończyć tę sprawę.

- Co zrobisz z Aubreyem?

Babbington uśmiechnął się.

- Aubrey pojedzie za granicę. Kochany stary Kenneth pojawi się tam, gdzie wszyscy się go spodziewają.

- Masz na myśli Moskwę?

- Moskwę.

- Wypiję za to. Ale czy Kapustin się zgodzi?

- Mam nadzieję. Nie można przegapić takiej okazji, nie sądzisz? Trzeba to tylko zorganizować. Dzisiejszej nocy skontaktuj się z Centralą i przekazaj Kapustinowi wiadomość.

- Co mam mu powiedzieć?

- Przekaż mu tylko, że chcę z nim rozmawiać. Że to pilne. - Babbington zmarszczył czoło. - Nie pozwolę temu wieśniakowi zlekceważyć takiej okazji. Mogą załatwić Kennetha, gdy już zrobią mu parę zdjęć i rozpuszczą wiadomość, że przybył do Moskwy odebrać medale oraz awans na generała KGB! Jeśli tak się stanie, to my, Wilkes, będziemy całkiem bezpieczni. Nie pozwolę Kapustinowi zmarnować takiej okazji.

- Chce pan zobaczyć Aubreya?

Babbington spojrzał na swoją pustą szklaneczkę.

- Nie. Najpierw się jeszcze napiję. Co o tym sądzisz? Kenneth bardziej skruszeje, jak go trochę przetrzymamy. - Uśmiechnął się.

- Możliwe - odpowiedział Wilkes, zabierając szklaneczkę Babbingtona.

- Na ulicy Żydowskiej, przy katedrze, będzie czekał na ciebie samochód. Brązowa skoda. Na siedzeniu obok kierowcy położę sweter z wrobionymi reniferkami na kieszeniach. Kluczyki będą pod...

- Nie. Na miłość boską. Nie. To moje ostatnie słowo! To niemożliwe.

- Na Boga, Patrick, nie masz wyboru. Godwin zna się na komputerach. Ty potrafisz przenikać i wychodzić z... - Docierający z daleka po łączach telefonicznych głos Shelleya brzmiał teraz błagalnie. Przedtem był pełen rozczarowania z powodu nieprzejednanego oporu Hyde'a i udzielał mu reprimendy jak komuś, kto pomimo przekonania o własnej mądrości nie zdał egzaminu. Teraz jednak Shelley był zły, nie chodziło już o jego uczucia. Nieważne było, że to on obmyślił plan. Chodziło o Aubreya. - Musisz to zrobić. - Mówił łagodnie, ale tonem nie znośnym sprzeciwu.

- Nie. Potrafisz chyba opracować plan operacji, która pozwoli pomóc Aubreyowi. Można przecież zadzwonić do gliniarzy!

- Spodziewasz się, że prędzej uwierzą tobie niż Babbingtonowi?

- Ale Aubrey byłby żywy - zaprotestował Hyde. Mówił szeptem, jakby budka telefoniczna na tyłach wiejskiej gospody nie była w stanie stłumić jego głosu.

- Jak długo? A jak długo ty byłbyś żywy?

- Człowieku, ja nie chcę ot tak, po prostu, wynająć samochodu, nart i przyjechać do Bratysławy, aby tam przesiąść się w inny samochód, bo nawet nie wiadomo, czy jakiś wóz będzie tam na mnie czekał!

- Możesz. Możesz też dostać się na Hradczany. A Godwin może udzielić ci instrukcji...

- Chryste!

- Posłuchaj. Nie musisz mi mówić, że to desperackie przedsięwzięcie. Dobrze o tym wiem. Ale nie ma innego wyjścia.

Shelley zamilkł niespodziewanie. Wydawało się, że siedzi teraz razem z Hyde'em w gospodzie, zasłuchany w dźwięki akordeonu, skrzypiec i bębna.

Podobna do setek innych ludowa melodia.

- Shelley...

- Patrick, muszę wyjrzeć przez okno. Wydaje mi się, że usłyszałem dzwonek na dole - wyjaśnił Shelley przepraszająco. - Robię się trochę nerwowo... Jego głos znów wolno ścichł, jak gdyby coś innego zaabsorbowało jego uwagę.

Hyde czekał. Poczł mrowienie w końcach palców. Wiedział, że ta rozmowa może zakończyć się tylko w jeden sposób, i już zaczęło dokuczać mu poczucie winy. Ale nie mógł się tego podjąć. To było niemożliwe.

- Shelley?

- Tak, Patrick.

- Co się dzieje? - zapytał Hyde, stając się nagle czujny, jakby wróg wszedł do oświetlonej ciepłym światłem, zadymionej gospody. Rzeczywiście drzwi się otworzyły i dym z kominka wpłynął do pomieszczenia. Wszedł jakiś człowiek. Hyde go nie znał. Przywitali go stali bywalcy. Niebezpieczeństwo, pomyślał. - Co się stało?

- Myślę, że mnie odkryli. Na ulicy stoi kilka samochodów. Musieli znaleźć mój wóz i ruszyli głową. Wydaje mi się, że już są w domu...

- Jesteś pewien? - Hyde czuł, że się poci. Skulił się cały. Zbliżył jeszcze bardziej usta do mikrofonu.

- Tak, jestem pewien. Więc słuchaj... brązowa skoda na Żydowskiej. Sweter na siedzeniu obok kierowcy. Kluczyki pod dywanikiem. Dokumenty zamknięte w schowku - wszystko, czego ci potrzeba. Będzie tam jutro rano... - Shelley przerwał, wyraźnie nasłuchiwał. Hyde'owi wydawało się, że słyszy pukanie do swego mieszkania w Anglii. - Zrozumiałeś?

Hyde chciał zignorować tę informację, ale powiedział:

- Tak.

- Ukryj tę kobietę w jakimś bezpiecznym miejscu. Później spotkaj się z Zimmermannem. On da ci paszport austriacki. W Bratysławie zmień samochód i papiery. Potem jedź do Pragi. Godwin będzie tam na ciebie czekał na jednym z przystanków autobusowych na El 5. W miejscu gdzie droga przechodzi przez przedmieście. Rozglądaj się za nim... - Urwał nagle. Do uszu Hyde'a doleciało oddalone pukanie, które zakłócało ciszę w słuchawce. Słyszał też oddech Shelleya.

- Są już?

- Nie. Ale niedługo będą. Dałem ci numer Zimmermanna w Bonn. Zadzwoń do niego. Jeśli coś pójdzie źle i będziesz musiał uciekać, zadzwoń do niego... - Shelley urwał.

- Są już, Shelley?

- Tak. Dzień dobry, panowie - dodał zwracając się do gości w mieszkaniu Hyde'a. Hyde słyszał gwałtowne protesty Ros dochodzące gdzieś spoza pokoju. Ktoś odezwał się do Shelleya, ale Hyde nie dosłyszał słów.

Potem Shelley powiedział do niego:

- Słyszysz, kochanie, że nie mogę rozmawiać. Przypuszczam, że wyjdę na jakiś czas. Zadzwoń, jak wrócę. Uważaj na siebie... - Głos oddalił się, kiedy ktoś wyrwał Shelleyowi słuchawkę.

Hyde wsłuchiwał się w ogłuszającą ciszę. Potem usłyszał oddech w słuchawce. Ktoś sapał z wysiłku i ze złości. Słyszał skierowane do Shelleya pytanie, z kim rozmawiał, ale pozostało ono bez odpowiedzi. Hyde odruchowo odwrócił głowę, by móc

obserwować drzwi. Udzieliło mu się poczucie zagrożenia Shelleya. Drzwi nadal była zamknięte. Do wnętrza kabiny nie przedostał się dym z kominka. Przez kilka chwil Hyde słyszał w słuchawce oddech. Potem ktoś zapytał:

- Kto przy aparacie?

Hyde nie rozpoznał tego głosu. Wstrzymał oddech. Zegar w jego mózgu wystukiwał sekundy. Stał przy telefonie od ponad dwudziestu minut, klóćąc się z Shelleyem. W głębi pokoju słyszał odgłosy awanturującej się Ros. Mężczyzna przy telefonie kazał jej być cicho.

- Kto przy aparacie? - powtórzył pytanie. Z jego głosu zniknęła łagodność.

Dwadzieścia minut. Teraz nie miało to znaczenia. Shelley był od niego odcięty. Zostanie aresztowany i będzie przesłuchiwany. W mieszkaniu mogą nawet znaleźć dowody ujawniające plan operacji. Shelley nie mógł przecież opracować planu bez map i notatek.

Następnie głos powiedział:

- Domyślam się, że interesuje panią urlop w Czechosłowacji. - Widać było, że mówi to z satysfakcją. Hyde westchnął. - A jednak! - znów odezwał się głos. - Kto przy aparacie?

Shelley miał mapy i notatki. Na miłość boską, co tam było? Czy wystarczająco dużo, aby zgubić swego agenta?

On sam zadzwonił do Shelleya, a Shelley oddzwonił, kiedy Hyde'owi skończyły się drobne. Teraz Shelley był aresztowany. Mogli się domyślać, kto był na linii po drugiej stronie...

- Wszystko diabli wzięli - usłyszał wyraźnie Shelleya. W jego głosie brzmiała rezygnacja, ale Hyde wyczuł, że w ten sposób Shelley przekazuje mu wiadomość. Shelley pozbył się zatem wszystkiego, więc...

Z brzękiem odłożył słuchawkę na widelki. Uraził się przy tym w rękę. Szybko opuścił budkę. Dym uniośł się znad płonących w kominku szczap, kiedy otworzył drzwi, aby następnie zatrzaskać je za sobą.

Noc była pochmurna i nie widać było księżyca. Na dworze ochłonął i zaczął iść z powrotem w kierunku samochodu zaparkowanego koło mostu. Margaret siedziała na siedzeniu obok kierowcy. Zaczął powoli biec dla przyjemności. Chciał poczuć się zdrowy i silny. Lecz przede wszystkim pragnął udowodnić sobie, że może jeszcze uciekać. Był wściekły. Czuł się jak zwierzę schwytane w potrzask.

Jedyne, co mógł robić, to realizować plan Shelleya. Wiedział, że za każdym zakrętem mogą już na niego czekać. Wyprzedzić go o krok.

Dotarł do samochodu. Przestraszył Margaret, otwierając drzwi gwałtownym szarpnięciem. Ciężko wgramolił się za kierownicę. Oddychał z trudem. Zatrzaskał drzwi.

Starał się nie myśleć o bolesnych oparzeniach. Rzucił na nią pełne wściekłości, niemal dzikie i wrogie spojrzenie.

- Co mówił? - zapytała przepraszającym, lecz zdecydowanym tonem. Poprawiła makijaż i wyglądała teraz młodziej. Jednakże Hyde uznał to jedynie za efekt fachowych zabiegów kosmetycznych Margaret. Nie zdołała zmienić ugruntowanego w nim wizerunku osoby kłopotliwej, stanowiącej niebezpieczne obciążenie.

- Kto, Shelley? - Skinęła głową. - Właśnie wpadł w ich łapy. Zwinęli go. Oto wiadomość z Londynu! W porządku? Teraz, cholera, załatwiłaś już wszystkich! Zadowolona jesteś?

Chociaż moment był nieodpowiedni i cios nie miał odpowiedniej siły, Margaret wymierzyła Hyde'owi policzek.

- Nie odzywaj się do mnie w ten sposób! - krzyknęła. Kosmyk włosów opadł jej na blade czoło. Strach nie dodawał jej uroku, wywoływał jedynie grymas na twarzy, który nadawał kobiecie niebezpieczny wygląd w światłach nadjeżdżającego z przeciwka samochodu. - Przestań oskarżać mnie o wszystko! - dodała, kiedy samochód ich minął. - No dobrze. Czy rozmawiał z Williamem?

- Twój szanowny chrzestny wyjechał teraz na parę dni do Waszyngtonu. Takie mamy cholerne szczęście! - Mocno uderzył rękami w deskę rozdzielczą. Skrzywił się z bólu. - Nawet ty nie możesz z nim teraz rozmawiać - dodał.

- Psiakrew... - zamruczała. Wpatrywała się przez przednią szybę w ukryty w głębi dom, w którym, jak mogła przypuszczać, umierał teraz jej mąż.

Tak, powiedział Hyde do siebie. Już się na to zgodziłem, to stało się gdzieś między gospodą a samochodem. Uważnie, taksując przyglądał się Margaret Massinger. Uwodzielski zapach jej perfum był nie na miejscu w napiętej atmosferze, jaka panowała w samochodzie.

- W jakiej jesteś formie? - spytał wprost.

- W porządku, a o co chodzi? - odpowiedziała, zwracając się ku niemu twarzą. - Okay.

- Muszę znaleźć jakieś miejsce, gdzie mógłbym cię zostawić... Jakies bezpieczne miejsce. Będziesz sama, może przez kilka dni. - On również spojrzał w kierunku drzew, które przesłaniały dom. No dalej, pomyślał. Zgódź się.

- Dlaczego? - zapytała, wciąż wpatrując się w dom.

- Trzeba zrobić coś, co może pomóc, jeżeli się uda. Zrealizować plan Shelleya. Będę musiał spróbować.

- A ja oczywiście bym w tym przeszkadzała - zauważyła. Potem dodała: - Ale co z tym miejscem? Skoro obaj są tu uwięzieni, to kto będzie pilnował tego domu?

W porządku, pomyślał.

- Nikt - powiedział.
- Ale oni mogliby przecież... ich stąd zabrać - powiedziała z obawą.
- Być może.

Milczała przez kilka chwil, aż wreszcie, jakby podjęła już decyzję, energicznie kiwnęła głową.

- Daj mi aparat z tak czułym filmem, abym mogła robić zdjęcia w każdych warunkach. Daj mi też ten samochód i znajdź jakiś ustronny hotel... - Do tej chwili patrzyła przez szybę, lecz teraz odwróciła się do niego. - Dostarczę dowodów, że oni tam są.

- Masz to załatwione - powiedział. Zdumiało ją to.
- Nie masz nic przeciwko temu?

- Jesteś teraz jedyną dziewczyną na świecie. We dwoje stanowimy całą armię. A więc... - Uruchomił silnik. Popatrzył na nią z aprobatą. - Nie daj się złapać - ostrzegł. - Gdyby starali się wywieźć jednego z nich albo obu lub gdyby ktoś przejeżdżał czy wyjeżdżał, sfotografuj to. I zmuś tego cholernego sir Williama, żeby cię wysłuchał. Nawet jeśli jest w Timbuktu, dopadnij go i powiedz mu wszystko, co widziałas i sfilmowałaś. Potem błagaj, żeby wstrzymał całą operację, nim będzie za późno. Jeśli nie zdołasz się z nim porozumieć i nie będziesz mogła przekonać go, żeby cię wysłuchał, możesz pojechać za samochodem wiozącym Aubrea i twojego męża i patrzeć, jak zepchną wóz ze skały.

Twarz Margaret znieruchomiała. Kobieta starała się ze wszystkich sił zapanować nad uczuciami. Zdecydowana na wszystko, kiwnęła gwałtownie głową.

- W porządku - powiedziała. Potem powtórzyła jeszcze raz, mocniejszym głosem: - W porządku.

CZEŚĆ TRZECIA

DUCHY W MASZYNIE

...jednak lepiej będzie
Zamysł działania wypracować tajny,
Jak by podstępem lub kłamstwem dokonać
Tego, co siłą zdobyć się nie dało.

Milton, *Raj utracony*
(przekład Macieja Słomczyńskiego)

Rozdział XIV

Starzy mężczyźni bez ojczyzny

Hyde wyłonił się z niskiej drewnianej chaty. Zamknął swój austriacki paszport z weekendową wizą zezwalającą mu na wjazd do Czechosłowacji. Rozejrzał się, odnalazł wzrokiem wynajętego forda i stojącą obok niego kobietę w futrze. Trzepnął się paszportem w zmarznięty policzek, później zszedł po schodach w kierunku szarego, brudnego volkswagena garbusa z bagażnikiem na dachu, gdzie umocowane były narty i kijki. Manfred Eicher, na takie nazwisko był bowiem wystawiony paszport, jechał na narty w Małe Karpaty na północ od Bratysławy. W kolejce do przekroczenia granicy w Petrzalce, którą wiodła główna autostrada pomiędzy Wiedniem i Bratysławą, stało jeszcze co najmniej do tuzin samochodów z nartami na dachu.

A jednak obserwując Margaret Massinger wsiadającą do forda, który potem cofnął się i odjechał w kierunku Wiednia, z trudem uspokoił oddech. Niczym sygnał SOS, wydmuchiwał w górę małe, szare obłoczki pary. Nie sądził, żeby groziło jej niebezpieczeństwo, ale zdawał sobie sprawę z własnego zagrożenia. Wzrokiem podążał za oddalającym się foldem. Wreszcie odwrócił głowę i ze smętną miną wpatrywał się w czerwono-biały szlaban, za którym wartko płynęła rzeka.

Patrzył na miasto za rzeką i za mostem. To już była Czechosłowacja.

Przecież wiele razy przekraczałeś granice, powiedział sobie w duchu i roztarł ręce w rękawiczkach. Gojąca się skóra była nadal wrażliwa. Całe dłonie miał wciąż zabezpieczone lekkim opatrunkiem. Uświadomił sobie, jaki jest wrażliwy na zranienia, i co dziwniejsze, na samotność pomiędzy obcymi. Odwrócił się i patrzył na obłok spalin z rury wydechowej forda znikający w szarej, porannej mgłę. Kiedy znów spojrzął w stronę Bratysławy, zdawało mu się, że widoczny na tle lada chwila mającego sypnąć śniegiem nieba zamek przesunął się w kierunku rzeki, niby wartownik przeczuwający jego zamiar przekroczenia granicy. Hyde wzdrygnął się i otworzył drzwi. Ostukał o samochód błoto z butów, a potem usiadł za kierownicą. Uruchomił silnik. Szlaban zaczął się podnosić. Uzbrojony wartownik machnięciem ręki przepuszczał stojące w kolejce samochody. Hyde przetaił wsteczne lustro. Po fordzie nie było już ani śladu. Przez moment Margaret Massinger zaistniała w jego świadomości jako jego partner

wykonujący zlecone instrukcje za pomocą aparatu fotograficznego. Wkrótce zapomniał o tym. Chwycił kierownicę, zaciskając na niej ręce aż do bólu. Wzdrygnął się znowu. Nie mógł się otrząsnąć z przecucia nieuniknionego niepowodzenia ani też wyzwolić z szaleńczej desperacji gnającej go ku przejściu granicznemu.

Załatwił wszystkie sprawy bez trudności. Telefon do Zimmermanna. Adres na cichej, starej wiedeńskiej uliczce. Margaret Massinger uporczywie wpatrywała się w niego, gdy w ostrym oświetleniu robiono mu tam zdjęcia do paszportu. Parę godzin pracy, kilka fałszywych pieczęci i w wyniku tych zabiegów otrzymał austriacki paszport oraz nową tożsamość. Narty i kijki, gogle, zimowy strój, ocieplane buty...

Mechaniczny, gorączkowy pośpiech, żeby zdążyć na nie zaplanowane wakacje albo raczej wyjazd służbowy.

Tutaj jest kres, pomyślał włączając bieg i zwalniając ręczny hamulec. Pod zachmurzonym, śnieżnym niebem Bratysława wyglądała równie niegościnnie jak płynący pod nim Dunaj. Nacisnął na gaz i przesunął się w kolejce. Tutaj jest kres - zszargane nerwy, pewność siebie opadająca jak ocean podczas odpływu. Jak wysychające koryto rzeki, pomyślał. Był w kiepskim stanie. Wszystko zależało od niego. Ciężar odpowiedzialności wprost go przygniatał.

Tyłne koła garbusa ślizgały się na błotnistych koleinach przy końcu podjazdu. Przejeżdżał pod podniesionym szlabanem. Spojrzał w górę na barierę i opuścił wzrok na przednią szybę. Na tle poszarpanego bryłami budynków, niewyraźnego horyzontu dojrzał obok zamku wieże. Wyglądały jak postawione na sztorc karabiny albo dzidy. Hyde czuł, że nie potrafi się cieszyć ze swoich dokumentów, z łatwości, z jaką przekroczył granicę, ani ze świadomości, że w Bratysławie czeka na niego samochód z przymocowanym pod podwoziem pistoletem w wodoszczelnej torbie. Nie istniało nic, co dodawałoby mu otuchy. Ta cała sprawa była beznadziejna od samego początku...

Rzeka prześlizgiwała się pod mostem. Woda wyglądała jak brudne szkło, ale można ją było też porównać do zwinnego i niebezpiecznego cielska ogromnego węża.

Lufami pistoletów brutalnie bili Massingera po głowie. Gdy nie padł pod ciosami na podłogę i próbował utrzymać równowagę, walcząc desperacko, postrzelili go w nogę. Być może zresztą broń wystrzeliła przypadkowo. Wilkes był wyraźnie wściekły z powodu hałasu i krwi, ale wyglądało na to, że koniecznie chcą go ukarać za stawianie oporu. Aubrey pomyślał, że w ten sposób chcą całą winę za pokrzyżowanie im planów zwalić na Massingera.

W trzydzieści sześć godzin później łatwo było uwierzyć, że Paul Massinger jest umierający, a może nawet martwy. Gdy Aubrey wspomniawszy moment, kiedy wrzucono

obok niego na tylne siedzenie dużego mercedesa na wpół przytomnego mężczyznę, natychmiast stawiała mu przed oczyma poplamiona krwią chustka, którą przewiązano udo tamtego. To była nieomylna zapowiedź śmierci Amerykanina. Od przyjazdu do lokalu konspiracyjnego nie pozwolono mu zobaczyć się z Massingerem. Przez cały ten czas nie potrafił przestać myśleć o tym, co Massinger mamrotał, leżąc na wpół przytomny z bólu na tylnym siedzeniu samochodu. Amerykanin rozpaczliwie usiłował wyszeptać w ucho Aubreya swoje podejrzenia, zanim będzie za późno. To właśnie świadczyło o jego zbliżającej się śmierci.

Przestań, przestań, skarcił siebie samego. Massinger nie umiera, Massinger nie umrze.

Nie umrze od zadanych ran, zaczął upewniać się w duchu. Lecz to sformułowanie wydało mu się nieprecyzyjne. Zmodyfikował je więc, dodając słowa „na razie”. Massinger na razie nie umrze.

Massinger umrze. To było przesądzone. Obaj umrą. Tamci pozbędą się ich, żeby wszystko się zgadzało i żeby znowu zapanował ład i porządek. Aubrey siedząc na brzegu twardego łóżka, zgarbiony, z rękami na kolanach, pokiwał głową, potwierdzając tym gestem własne wnioski. Zasłony w zakratowanym oknie były ciągle zaciągnięte. Mdle żółte światło lampy oświetlało jego głowę i ramiona, wymiętą koszulę bez kołnierzyka, nie ogolone policzki i nastroszone resztki włosów. Przeszedł go dreszcz, chociaż w pokoju było ciepło. Jego myśli, jakby w zмовie z hałaśliwymi kaloryferami, nie pozwalały mu spać przez większą część nocy, wciągając go w stan półświadomości, w którym wracał do niego obraz luf pistoletów spadających na plecy Massingera; ponownie usłyszał też ogłuszający hałas wystrzału w pokoju z wysokim sufitem. Gwałtowne otwarcie drzwi i uczucie, że zostanie zaatakowany i schwytyany. Szamotania. Schody. Zimny zmierzch. Tylne siedzenie samochodu. Jęki bólu Massingera przerywane próbami wyszeptania treści podejrzeń. No i to nazwisko.

To jedno nazwisko, które nawet go nie zdziwiło, gdyż pasowało do całego pomysłowego scenariusza. Było ostatecznym usprawiedliwieniem „Łzy”.

Babington.

Massinger nie wiedział. Prawdziwe podejrzenie zrodziło się w głowie Wolfganga Zimmermanna i Aubrey w to uwierzył. Wiedział, że podejrzenia są prawdziwe. Potarł ramię i zauważył małą czerwoną plamkę w zgięciu łokcia. Dopiero wtedy skojarzył sobie suchy, ohydny smak w ustach z podanym środkiem nasennym. Dopiero około dwóch godzin po przebudzeniu przypomniał sobie igłę i ironiczny grymas Wilkesa. Chcieli mieć z nim spokój i dlatego go uspili.

Czy wobec tego chwile półświadomości w nocy były tylko snem? Czy śnił o stukających kaloryferach i duchocie wąskiego pokoju? Z uczuciem zmęczenia i strachu potarł nie ogolone policzki. To nagłe, nowe wrażenie absolutnej bezbronności przestraszyło go i zdenerwowało. Ręce mu się trzęsły. Nie mógł tego opanować. Czuł ślinę ściekającą po brodzie i z wściekłością zaczął ją wycierać. Przyglądał się rozdygotanym palcom. Być może Babbington, Wilkes i pozostali przyglądali mu się, gdy spał, „być może byli tutaj...

Usłyszał stuknięcie w kaloryferze. Ten odgłos sprawił, że wstał sztywno i przeszedł w róg pokoju, gdzie znajdowała się umywalka. Unikał spojrzenia w lustro. Pochylił się i zaczął pić letnią wodę wprost ze stulonych dłoni. Przemył oczy, policzki i czoło. Woda była coraz zimniejsza.

Lodowata.

Rozejrzał się w poszukiwaniu ręcznika. Cienki, pasiasty, zużyty. Dobry i taki. Wytarł twarz.

Drzwi otworzyły się. Wilkes przytrzymał je otwarte na oścież. Do pokoju wszedł Babbington. Był ogolony, pachnący wodą kolońską, w czarnym, idealnie odprasowanym garniturze. Uśmiechał się. Aubrey nie był zdziwiony. Wiedział, że ten człowiek przyjdzie do niego.

Nie spałem, pomyślał. Budziłem się. Środek nasenny nie działał dość skutecznie. Zasnęłam tylko chwilami. Mimo to wiem, że Babbington stał wieczorem lub w nocy nad moim łóżkiem. Zdradza to jego uśmiech.

- Kenneth - powiedział Babbington miękko. Niemal z czułością.
- Co z Massingerem? - warknął Aubrey, składając i wieszając ręcznik.
- Żyje.
- Ufam, że ma się lepiej.
- Tak, można chyba powiedzieć, że czuje się coraz lepiej...
- Każdy cios był zadany twoją ręką. Za tym wszystkim kryje się twoja zła wola. - Ten wybuch wściekłości zdziwił samego Aubreya. Trząśnięcie na całym ciele. - Mściłeś się za to, że próbował mi pomóc!

- Przykro mi, że tak to odbierasz, Kenneth - mruknął Babbington. - Proszę, usiądź, mój drogi, no, siadaj. - Wskazała na jedno z dwóch wąskich krzeseł i na łóżko. - Proszę - dodał łagodnie.

Aubrey obserwował jego oczy. Czy wiedział? Czy przyszedł się dowiedzieć?

Babbington usiadł na jednym z krzeseł. Wilkes rozsunał zasłony. Światło dzienne było szare. Padał śnieg.

- Wilkes, przynieś sir Kennethowi śniadanie - polecił Babbington.

Zanim Aubrey zdążył się odezwać, Wilkes wyszedł z pokoju. Aubrey opadł na łóżko z pognicioną pościelą. Babbington pochylił się do przodu na krzesło i złożył ręce, jakby szykował się do modlitwy.

- Możesz mi wierzyć, Kenneth, że przykro mi z powodu Massingera. On sam to wszystko sprowokował. Jestem pewien, że zdajesz sobie z tego sprawę.

- Tłukli go z wyraźną przyjemnością.

Babbington niecierpliwie machnął ręką. Natychmiast jednak jego dłoń dołączyła do swej bliźniaczki, aby kontynuować modlitwę.

- Powiedziałem już, że mi przykro, Kenneth. Zbyttnia gorliwość i gniew. Tak, być może gniew był tu uzasadniony. Twój amerykański przyjaciel przysporzył nam sporo kłopotów.

- Rozumiem.

- To dobrze.

- Zakładam, że jest już w szpitalu. - rzekł Aubrey, celowo obojętnym tonem.

Babbington zawahał się. Aubrey wiedział, że nadszedł właśnie decydujący moment. Babbington nie pozwoli mu na powrót do Anglii. Babbington musi wiedzieć o Zimmermannie. Widzi zacieśniający się wokół niego krąg podejrzeń! Aubrey zrozumiał jego wahanie. Dostrzegł też jakby cień pragnienia, by rozwiązać problem bez użycia dalszej przemocy. Może na Babbingtonie także zrobiła wrażenie pobita, posiniaczona twarz i przestrzelona noga Massingera?

- Zawieziemy go do szpitala - odpowiedział w końcu Babbington.

Z jego tonu Aubrey wynioskował, że Babbington uporał się już z wątpliwościami. Wiedział, że oni wiedzą. Był przekonany, że obydwaj muszą zginąć. W spojrzeniu Babbingtona dostrzegł cień usprawiedliwienia za podjętą decyzję. Potem Babbington dodał z westchnieniem: - Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia, prawda?

- Raczej nie.

- Zrozum. W samochodzie Wilkes usłyszał... - Babbington zaczął wyjaśniać ciężkim, przepojonym poczuciem winy głosem.

Aubrey odwrócił się, by zgasić nocną lampkę, świecąca coraz bardziej mdłym światłem. Odwrócony mruknął:

- Rozumiem.

- Nie miałeś chyba nadziei? - upewnił się Babbington.

- Nie - burknął Aubrey, zwracając ku niemu twarz. - A co masz zamiar zrobić z Zimmermannem? Niewątpliwie zdajesz sobie sprawę z tego, ile on wie?

Babbington obnażył zęby, ale nie zdołał się zmusić do uśmiechu.

- Tak - potwierdził nieprzyjemnym głosem.

Aubrey uniósł do góry dłoń z rozstawionymi palcami. Wyliczał kolejno nazwiska:

- Shelley, Hyde, Zimmermann. Lawina ruszyła i nie da się powstrzymać, Andrew. Chyba to rozumiesz... - Głos Aubreya zamarł.

Babbington zaprzeczył ruchem głowy. Uśmiechał się teraz z większą pewnością siebie.

- Wszystko rozwiąże twoje własne przeznaczenie, Kenneth - oznajmił. Jego głos nadal brzmiał fałszywie. Było jednak wyraźnie widać, że Babbington jest coraz bardziej pewny siebie. Wkrótce to on będzie kierował rozmową.

- Moje przeznaczenie? - zapytał Aubrey.

- Twoje i Amerykanina, rzecz jasna.

- Rzecz jasna. - Aubrey skrzywił się, słysząc drwiący ton Babbingtona. Mruknął:

- Nie potrafię, po prostu nie jestem w stanie pojąć twojej zdrady!

Babbington zaczerwienił się. Wargi mu obrzmiały i wyglądał, jakby dostał w twarz. Wzrok miał chłodny.

- Nie bądź tak idiotycznie naiwny, Kenneth.

- Naiwny?

- Patriotyzm. Wiesz doskonale, jak wygląda świat. Znasz tyle brudnych tajemnic.

Wierzysz w patriotyzm? - W jego głosie była ostra nuta potępienia. Babbington panował już teraz nad swoim głosem. - Kenneth, jesteś równie naiwny jak ten Amerykanin w sąsiednim pokoju. Myślałem, że zaszliśmy już tak daleko, iż flagę i hymn narodowy możemy spokojnie zostawić naszym kolonialnym kuzynom. Zdziwiasz mnie.

- Sam się sobie trochę dziwię. - Aubrey pokręcił głową i uśmiechnął się lekko.

- Właśnie dlatego nigdy nie mógłbym cię wypuścić lub pozwolić ci odejść - oznajmił Babbington. - Jesteś nawet bardziej niebezpieczny, niż myślałem.

- Dlaczego, Andrew? - zapytał natychmiast Aubrey, wytrącając Babbingtona z równowagi i znów wywołując rumieniec na jego policzkach. Ale Babbington przesunął po nich dłońmi, jakby chciał zetrzeć ten dowód braku opanowania.

- Dlaczego co?

- Dlaczego zdradziłeś? Masz przecież wszystko. Twoje własne zdolności doprowadziły cię na szczyt. Co jeszcze spodziewałeś się osiągnąć, decydując się na zdradę?

- W przeciwieństwie do ciebie nigdy nie byłem bez reszty pochłonięty życiem pełnym tajemnic. - Babbington uśmiechnął się chytrze.

- Pytam raz jeszcze. Cóż oni mieli ci do zaferowania? - Aubrey przerwał, a potem mówił dalej ze zjadliwą ironią: - Komuś tak szczerze obdarzonemu przez los jak ty. Z twoim pochodzeniem, wykształceniem, wpływowymi krewnymi, potencjałem

intelektualnym? Cóż to było? Chęć doświadczenia tego rodzaju niebezpieczeństwa, jakie każe wybitnej osobistości życia publicznego, która przypadkiem bardziej gustuje w mężczyznach niż kobietach, uczęszczać do publicznych toalet? - Uśmiechnął się. - Czy o to chodzi? Niebezpieczeństwo, jakie niesie ze sobą każde oszustwo. Ryzyko usłyszenia kroków i głosu policjanta za drzwiami brudnej, śmierdzącej kabiny w publicznym szalecie?

Policzki Babbingtona poczerwieniały. Potem machnął lekceważąco ręką.

- Być może - przyznał. - Ale ma to chyba większy związek z publiczną toaletą, w której ty oferujesz swój naiwny patriotyzm. - Twarz mu pociemniała i pochylił się do przodu. - Ten kraj, Kenneth. Ten kraj od czasów wojny. Tu szukaj odpowiedzi. Na małym, nic nie znaczącym amerykańskim lotnikowcu, którym staliśmy się w ciągu tych lat. Potrafimy tylko skamleć, zawodzić w korytarzach ONZ! - Babbington wybuchnął nagle nieklamany oburzeniem. Aubrey był tym wstrząśnięty. Wstrząśnięty był też pogardą, która wypełniała Babbingtona do szpiku kości. Jego ego wspięło się na samotny, niebotyczny szczyt. Zaciśnięta pięść Babbingtona uderzała o udo. - A ty ciągle jesteś lojalny? Lojalny w stosunku do naszych szefów? Jak możesz? Jak ci się to udaje?

- Tak jak powiedziałeś. Naiwność.

- Mnie to nie wystarczyło. Nie potrafiłem być naiwny.

- Nie. Nigdy nie potrafiłeś. A co oni ci zaoferowali?

- Zaszczyty. I to nie te wasze tajne zaszczyty, lekceważone nawet przez was samych. - Przerwał. - Ty nigdy nawet nie próbowałeś ubiegać się o stanowisko dyrektora generalnego po odejściu Cunninghama. Czy nie mam racji? - Aubrey pokiwał głową. - Zaszczyty - powtórzył Babbington. - Zaszczytne stanowisko w najpotężniejszej na świecie tajnej organizacji. Rozumiesz?

- Myślę, że tak. Mała, która chce mieć większą publiczność dla swoich sztuczek.

- Ty głupi starcze - zasyczał Babbington.

- Co jeszcze możesz mi zrobić? Więcej niż to, co zamierzałeś?

Babbington pokręcił głową.

- Nic. Nie więcej niż to, co wcześniej sobie zaplanowałem. - Uśmiechnął się. - Jakoś nie przejawiasz większego zainteresowania moimi planami.

- A powinienem?

- Myślę, że chyba powinienesz.

- Kiedy znajdę się w Moskwie, będziesz miał oczyszczone pole działania. Sądzę, że taki pomysł wydaje ci się pociągający. A jeżeli chodzi o biednego Massingera, to mam wrażenie, że chcesz po prostu szybko się go pozbyć. - Aubrey przypatrywał się

uważnie swoim dłońmi leżącym bez ruchu na kolanach. Nie da Babbingtonowi satysfakcji. Tamten nie zobaczy strachu na jego twarzy.

- Nie masz już żadnej ojczyzny, Kenneth - oznajmił Babbington. - Absolutnie żadnej. Nie jest to specjalnie chwalebne po czterdziestu latach lojalnej służby.

Aubrey gwałtownie uniósł głowę. Jego matowe spojrzenie było teraz twarde.

- Mam jednak małą satysfakcję, bo wiem, że przez czterdzieści lat zajmowałem czas i przestrzeń, które w innym wypadku mógł zajmować ktoś taki jak ty - oznajmił pogardliwym, wyniosłym tonem. Ucieszył go cień reakcji w oczach Babbingtona.

- Teraz jednak ja zajmuję tę czasoprzestrzeń - odparł Babbington po chwili. - I w konsekwencji okazało się, że zmarnowałeś te czterdzieści lat twójego życia. Całe twoje życie było bez sensu. - Wstał.

Aubrey powiedział:

- Dlaczego teraz?

- Co?

- „Łza”. Dlaczego teraz, akurat w tej chwili?

- Czas wydawał się po temu odpowiedni. Scenariusz był pod ręką. Gdy tylko dałeś się złapać Kapustinowi na przynętę, cała sprawa potoczyła się po prostu siłą bezwładu. Jak Wielki, gładki kamień toczący się w dół. Kenneth, przecież bardzo chciałeś, żeby Kapustin przeszedł na waszą stronę!

- Tak było.

Babbington skierował się ku drzwiom.

- Zostawię cię na chwilę... - zaczął.

Aubrey przerwał mu:

- Kiedy, Andrew? Kiedy cię zwerbowali? Powiedz mi.

Babbington zatrzymał się na chwilę, a potem wzruszył ramionami.

- Dobrze, powiem ci. Po Suezie. Wtedy zacząłem pracować w kontrwywiadzie. Tak, Suez, to był dla mnie decydujący moment. Ta farsa!

- Rozumiem.

- Nie widziałem żadnych perspektyw. Upokorzenie, upadek, bankructwo... no i doszliśmy do tego.

- To droga rozumowania wszystkich faszystów - mruknął Aubrey z miażdżącą pogardą. - Wiodąca do świątyni, w której wielbi się porządek. Czy to o to chodziło, Andrew? O porządek? Pociągało cię to, co jest tylko trochę lepsze od zwykłej sprawności?

- Nie zbliżyłeś się nawet do sedna - odpowiedział Babbington, wzruszając ramionami.

- A więc podobnie jak Castleford podziwiałeś brutalną siłę. Wolałeś Węgry od Suez.

- Być może. - Było oczywiste, że Babbingtonowi nie podobało się, iż Aubrey porównuje go z kimś innym. - Hm, Castleford... - mruknął. - Biedny Castleford. Jestem całkowicie przekonany, że zasługiwał na śmierć. Jednak za grzechy trzeba płacić, Kenneth. W każdym razie ty zapłacisz.

Babbington uśmiechnął się, zadowolony z siebie, i szybko otworzył drzwi. Wyszedł, ale drzwi się za nim nie zamknęły. Pojawił się w nich Wilkes z tacą. Aubrey poczuł kuszący zapach bekonu, grzanek, marmolady. Miał wrażenie, jakby sztucznie wzmocniono jego zmysł powonienia. Spojrzał ze złością na Wilkesa.

- Zabieraj to i wynoś się! - krzyknął.

Wilkes wyszczerzył zęby w uśmiechu, wzruszył ramionami i wyszedł z pokoju, zamykając drzwi nogą. Ktoś inny musiał je zamknąć na klucz, bo Aubrey prawie natychmiast usłyszał chrobot zamka.

Słuchał oddalających się kroków i innych docierających do pokoju dźwięków. Jakiś samochód bzyknął w oddali jak owad. Zaszczekał pies. Aubrey kompletnie wyczerpany siedział nadal na łóżku ze zwieszoną głową. Był zbyt obezwładniony porażką, aby odczuwać złość lub niechęć do Babbingtona za uwięzienie i to, co czekało go w przeszłości. Nie czuł też jako profesjonalista żalu, że wywiad brytyjski znajdzie się pod przywództwem i kontrolą człowieka Moskwy.

Pierwszą twarzą, która pojawiła się w ciemności za jego zamkniętymi powiekami, była twarz Castleforda. Przeczuwał, że tak będzie. Castleford uśmiechał się w swój zwykły, cholernie wyniosły sposób. Aubrey wzdrygnął się na myśl o tym, jak nisko upadł. Zdał sobie sprawę, że kiedy Babbington deptał jego służbę i jego ojczyznę, on zajęty był wyłącznie sobą. Ale nie mógł się nad tym zastanawiać. Dla niego istniała jedynie twarz Castleforda sprzed czterdziestu lat, roześmiana na samą myśl o unicestwieniu rywała.

Przez prawie godzinę Hyde obserwował brązową skodę. Była zaparkowana niemal na samym końcu przylegającej do Dunaju ulicy Żydowskiej. Obok wznosiła się gotycka wieża katedry św. Marcina. Przez zaparowane okno małego, zatłoczonego baru miał nieograniczony widok na obie strony ulicy i na plac przy katedrze. Bratysława tonęła w śniegu.

Ludzie z trudem przedzierali się przez brązowe blocko na chodnikach. Przejżdżające samochody obryzgały brudny bok skody szarobrązowym, na wpół roztopionym śniegiem.

Zaparkował volkswagena na podziemnym parkingu. Narty schował pod samochodem. Wóz pozostanie tam, brudny i anonimowy, aż do jego powrotu z Pragi. Samochód dawał mu szansę ucieczki. Wyjazd z Czechosłowacji to będzie zwykły powrót z wypadu na narty.

Miał dziwne, graniczące niemal z halucynacją uczucie, że na tylnym siedzeniu skody siedzi z nogami owiniętymi kraciastym pledem zgięty wpół Kenneth Aubrey i czeka, aż on usiądzie za kierownicą. Wyrazistość i długotrwałość tej wizji zaniepokoiły Hyde'a. Narastało w nim napięcie. Nie był w stanie skoncentrować się wyłącznie na powodzeniu całego przedsięwzięcia i zapomnieć o wszystkich innych sprawach. Wizja Aubreya przybrała niemal fizyczną postać, Hyde zaś denerwował się na samą myśl o przejściu przez ulicę i zbliżeniu się do skody. Zdążył się upewnić, że samochód nie jest obserwowany i ludzie z STB nie zastawili na niego pułapki. Ale kurczowo trzymał się bezpiecznego, dusznego, wypełnionego gwarem prowadzonych półgłosem rozmów baru.

Jeżeli zostaną tutaj, jeżeli nie wsiądę do samochodu... Nie wsiądę do samochodu...

Było mu ciepło. Siedział skulony w ocieplanej kurtce, z brodą na wpół zasłoniętą szalikiem. Ciemne, czeskie piwo oziębiało. Anonimowa i brudna brązowa skoda kojarzyła mu się z paczką zawierającą być może - na pewno - bombę...

Nie wsiadaj do samochodu...

Aubrey tam był. Miał wrażenie, że stary zaraz otworzy drzwiczki i przywoła go gestem ręki. Detonator. Druty i materiały wybuchowe były jego wizjami pobytowymi, fałszywymi dokumentami, kartą wozu i innymi papierami ukrytymi pod siedzeniem kierowcy. Wraz z pistoletem przymocowanym taśmą do podwozia. Musi zatrzymać się na skraju miasta i odczepić broń. Będzie bezpieczniejszy z bronią schowaną pod ręką. Tak, będzie o wiele bezpieczniejszy. Na wszelki wypadek.

Nie wsiadaj do samochodu!

Ciemne piwo przelało się przez brzeg kufła. Ostrożnie odstawił naczynie na półkę pod oknem. Przyjrzał się swoim rękóm. Trzęsły się. Bezradnie spojrział na rękawiczki leżące obok kufła, jak gdyby szukając w nich pomocy. Wsunął ręce głęboko w kieszenie kurtki.

Wiedział, że samochód jest czysty. Żadnego ogona. Żadnych obserwatorów. Na podstawie materiałów, które znaleźli w jego mieszkaniu, i tego, co pozostawił Shelley, nie domyślili się, gdzie, jak i dlaczego zostanie przeprowadzona akcja. Miał nad nimi przewagę. Nie przyjdzie im nawet do głowy pomyśleć takiego scenariusza!

Nie rób tego.

Idź, rozkazał sobie w myśli. Idź teraz.

Rozejrzał się po barze. Dym papierosowy był szary jak niebo za oknami. Błede, pomarszczone twarze. Śmiech i ponura, przytłaczająca samotność. Barmanka wyglądała na zmęczoną. Miała wyblakłe włosy i głębokie cienie pod oczami. Zrób to dla samego siebie, powiedział do swoich zaciśniętych, tkwiących nadal w kieszeniach dłoni. Powtórzył to swoim nogom, które wydawały się teraz jak z waty i nie chciały słuchać poleceń mózgu. Dla siebie samego.

Albo już do końca życia uciekaj.

Nie chciał dramatyzować. Nie tolerowałby podobnego zachowania u innych, a sam nie pozwoliłby sobie na takie pomysły lub słowa w innych okolicznościach. Ale to była prawda. Już nigdy i nigdzie nie będzie bezpieczny.

Chyba że...

Chwycił rękawiczki, strącając przy tym z brzękiem popielniczkę na podłogę. Szybko opuścił bar, zanim jeszcze ludzie zorientowali się, co było powodem hałasu. Siedzący przy drzwiach, palący fajki gracze w domino nie zwrócili na niego uwagi. Kiedy był już na ulicy, skrzypiące drzwi zamknęły się za nim. Stawiał niepewnie stopy, ślizgając się po błocie na chodniku. Ostrożnie stąpnął na krawężnik. Gruba, niemal bezkształtna kobieta w starym, kraciastym płaszczu wpadła na niego i poszła dalej, nie rzucając mu nawet przelotnego spojrzenia. Hyde zadrżał. Rozejrzał się po ulicy. Oceniał natężenie ruchu. Czarna wieża katedry na tle ciężkiego, ciemnoszarego nieba rozpychała podwieszane w górze światła uliczne, które zmieniały się właśnie z czerwonych na zielone.

Pospieszył do samochodu. Tylnie siedzenie było puste. Szybko chwycił klamkę od strony kierowcy i otworzył drzwi. Pochylił głowę i ramiona, świadom powierzchni swoich płców. Podświadomie czekał na ciężkie uderzenie czyjejś ręki.

Zrobiony na drutach rozpinany sweter. Renifery na kieszeniach. Zgodnie z zapowiedzią Shelleya. Po raz pierwszy zobaczył go godzinę temu na przednim siedzeniu pasażera. Wtedy identyfikował samochód. Teraz?

Leżące na szafie czekoladki, opakowane w cienki, tani papier. Na sztywnym, błyszczącym pudełku niedźwiadek Biffo i stary, tłusty, ubrany na czerwono starzec w saniach. Nogi zaprzęzonego do sań kreskówkowego renifera zdobiły świąteczne ozdoby. Po raz pierwszy naprawdę dostrzegł śnieg, renifera, zimę...

Hyde uśmiechnął się. Widmo Aubreya zniknęło z samochodu. Było mu teraz ciepło, czuł się bezpieczniejszy. Znów czuł, że żyje. To on był tu najważniejszy. W tej grze chodziło o jego życie. Jeżeli uzna te dwie zasady, wtedy sobie poradzi.

Siadł za kierownicą. Pod siedzeniem wymacał paczuszkę z dokumentami. Miał świadomość, że pod samochodem przymocowana jest broń zapakowana w polietylenową torebkę, która ma chronić pistolet przed błotem. Był pewien, że tam jest.

Równie dobrze wiedział, że Godwin będzie czekał na przystanku autobusowym na przedmieściach Pragi.

Miał do przejechania dwieście pięćdziesiąt mil.. Uruchomił silnik.

Przedstawił się jako zastępca rezydenta, tymczasowo pełniący obowiązki Bajewa, zastrzelonego podczas przesłuchania przez Hyde'a i Massingera. Mimo to Babbingtonowi wydawało się, że w jego twarzy jest coś z więziennej bladości. Miał wrażenie, że ten człowiek został tu niedawno przysłany z moskiewskiej Centrali. To był człowiek z Kapustina. Babbington wyrzucał sobie okazaną przybyszowi chęć złożenia pospiesznych wyjaśnień; ożywienie, sposób, w jaki poruszał się i mówił, sugerowały, że raczej blefuje, niż faktycznie przedstawia to, co osiągnął.

Oczy młodego człowieka były zimne, skupione, przenikliwe i niewiele wyrażały. Zmusiły Babbingtona, by zagłuszył chłodne milczenie jeszcze bardziej przesadnymi zapewnieniami.

Ogrody Belwederu. Czy ten człowiek na rozkaz Kapustina specjalnie wybrał to miejsce na spotkanie? Tutaj aresztowano Aubreya. Czy to miało przypomnieć mu o tym fackie i zmusić do wypełnienia obowiązków? Czy żądano od niego zapłaty, konkretnych efektów działalności? Śliskie ścieżki pokryte zmarzniętym żwirem. Sztywne żywopłoty i pokryte szronem trawniki, przypominające grube, białe dywany. Widoczne na tle szarego nieba rzeźby zdawały się wcale nie być zrobione z ciężkiego kamienia.

Młody mężczyzna nazwiskiem Woronin dotrzymywał kroku Babbingtonowi, podczas gdy Wilkes wraz z głównym ochroniarzem szli o parę metrów za nimi. Woronin wyglądał dziwnie staroświecko w swoim ciężkim płaszczu z brązowego flauszu. Babbington czuł, jak zwilgotniał mu szalik okrywający szyję i brodę. Para oddechu skropiła się na nim, niczym zimny pot. Inni członkowie obstawy szli po ich prawej i lewej stronie, a także z przodu i z tyłu. Jednak Babbington czuł się wystawiony na pokaz, idąc przez odkrytą przestrzeń ogrodów Belwederu. Czy o to właśnie im chodziło? Każdy może go tutaj zobaczyć... Lecz młody mężczyzna nalegał na spotkanie na wolnym powietrzu.

- To wszystko nadal nie wyjaśnia, gdzie podziła się ta kobieta i Hyde - powiedział Woronin, nie okazując nawet gniewu czy zniecierpliwienia. Mówił jak uprzejmy nauczyciel. W uszach Babbingtona jego słowa brzmiały tak, jakby wypowiadał je Kapustin, a może nawet sam Nikitin. Był wyższy od Rosjanina o parę cali i bardziej postawny. Usiłował wierzyć, że te cechy dodają mu powagi i autorytetu.

- To tylko kwestia czasu. Ujęcie obojga to tylko kwestia czasu - zapewnił.

- Tak, tak - burknął Woronin. Teraz w jego głosie słyhać było zniecierpliwienie.
- Zgadzam się, że ten facet nie jest ważny. Gdzieś, kiedyś wychyli głowę i wtedy zostanie zgarnięty. Ale kobieta. To już inna sprawa... - Zatrzymał się w pół kroku i odwrócił do Babbingtona. - Ma powiązania, zna wpływowych ludzi. Nie można pozwolić, aby pozostała na wolności.

- A więc wyrażcie zgodę na to, o co prosiłem - odparł Babbington ze złością. - Zgódźcie się na moją propozycję pozbycia się ciała.

Woronin wzruszył ramionami, ignorując słowa Babbingtona. Znów ruszył przed siebie. Babbington burknął coś, co można było wziąć za sprzeciw, i pospieszył, aby się z nim zrównać. Rosjanin powiedział:

- Twoje rozwiązanie w ogóle pomija kobietę. Gdzie ona jest?

- Powiedziałem ci, Woronin, że nie wiem! W tym mieście ma tylko jednego sprzymierzeńca... Musi być z Hyde'em.

- Jeżeli Hyde tutaj jest.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Czy w innym wypadku Shelley interesowałby się Czechosłowacją?

- Dlaczego Shelley interesuje się Czechosłowacją?

- Bóg jeden raczy wiedzieć! Może Hyde chce się tam ukryć. Czy jest lepsze miejsce niż tuż pod naszym nosem?

- Gdybyś założył podsłuch w telefonie w mieszkaniu Hyde'a, to wiedziałbyś dokładnie, dlaczego Shelley tak bardzo interesował się Czechosłowacją.

To była oczywista nagana. Babbington zaczerwienił się ze złości i odburknął:

- W odróżnieniu od tego, jak to się dzieje w twojej ukochanej ojczyźnie, w Anglii przed rozpoczęciem akcji trzeba uzyskać dokumenty, zezwolenia, podpisy i akceptację. Postanowiłem się nie wychylać. To było wręcz nieprawdopodobne, aby Hyde zadzwonił do własnego mieszkania. Zgodnie z naszymi informacjami ta kobieta na górze jest jedynie jego gospodynią - niemal się usprawiedliwił. Ale zaraz dodał z chłodną obojętnością: - Daj sobie z tym spokój, Woronin. To nie jest ważne.

- A Massingerowa? - nalegał Woronin.

- Placówka wiedeńska jej szuka. Wasi ludzie też szukają... Bądź cierpliwy i zamiast się martwić spróbuj się zastanowić nad moją propozycją.

- A co mi innego pozostało?

- Daj znać Centrali, Kapustinowi. Powiedz mu to, co ode mnie usłyszałeś. Aubreya trzeba zabrać do Moskwy. Massingera należy się pozbyć. Wszystko jedno, jak. Jego żony też. Być może wszystkich ich trzeba zabrać do Moskwy? Wtedy nikt nigdy

nie znajdzie ich szczątków... - Babbington przerwał na chwilę. Żywo stanął mu w pamięci obraz ciała Castleforda, które odkryto w wiele lat po śmierci. Odpędził tę myśl. - Tak. Tak byłoby najlepiej. Zabrać ich do Moskwy i natychmiast się pozbyć. W każdym razie Aubrey musi zjawić się w Moskwie. To rozproszy wszystkie wątpliwości. Myślę, że to rozumiesz.

Doszli do końca alejki. Ciągące się w górę w stronę Belwederu trawniki były już daleko za nimi. W oknach pałacu było ciemno. Światło wygaszono, ale Babbingtonowi wydawało się, że dostrzega w nich odbłyśki promieni zachodzącego słońca, jarzące się intensywną pomarańczową barwą. Dokładnie tak samo jak wtedy, gdy był w ogrodach ostatnim razem. Miał przed oczami Kapustina wychodzącego z parku i ubranego w płaszcz Aubreya. Potrząsnął głową, jakby chciał ją opróżnić z resztek alkoholu.

- Wydaje mi się to bardzo ryzykowne - zauważył Woronin, patrząc na Belweder.
- Ryzykowne? - warknął Babbington. - Co ryzykujecie?
- Nie my, miałem na myśli ciebie.
- Nie zdajesz sobie sprawy, że dla mnie ryzykowna była decyzja sekretarza generalnego Nikitina i zastępcy przewodniczącego Kapustina nie zezwalająca na zabicie Pietrunina w dniu, w którym wydali rozkaz rozpoczęcia operacji „Łza”. - Gniew i kryjący się za nim strach podsunęły Babbingtonowi brakujące argumenty.

W oczach Woronina malowała się teraz niepewność.

- Być może - powiedział.
- To jedyne satysfakcjonujące rozwiązanie - nalegał Babbington.

Woronin wzruszył ramionami.

- Gdybyście mieli tę kobietę... - zaczął.
- Zostaw w spokoju tę kobietę! - Babbington odwrócił się do Woronina. Wściekłość zmieniała gwałtownie wyraz jego twarzy. - Jutro muszę być z powrotem w Londynie, a najpóźniej pojutrze. Przedtem potrzebna mi wasza zgoda na moją propozycję. Chcę zgody Kapustina. Przygotujecie i przeprowadzicie akcję uwolnienia waszego agenta Aubreya, Aeroflotem przetrzucicie go do Moskwy, gdzie zainscenizujecie konferencję prasową dla grupy wybranych dziennikarzy radzieckich i zachodnich. Mój Boże, człowieku, jeśli tylko zechcecie, stanie na rękach i będzie śpiewał sopranem przed kamerami. Macie przecież odpowiednie narkotyki. - Wyciągnął z kieszeni dłoń zwiniętą w pięść. Zdawał się grozić Woroninowi użyciem siły. - Więc jak, dostanę zgodę Kapustina? Czas nagli.

- Taka ryzykowna akcja - mruknął Woronin, potrząsając głową. - Sam nie wiem.
- Jak inaczej wytłumaczę zniknięcie Aubreya? - rzucił Babbington drwiącym głosem.

W głębi duszy był zadowolony. Woronin był niezdecydowany i czuł się niepewnie. Babbington niemal go już przekonał.

Strach jednak powrócił kurczami w żołądku i uciskiem w piersiach. Babbington powoli wziął oddech i ostrożnie wypuścił z płuc ogrzane powietrze. Starał się uspokoić.

- No i co? - ponaglił.

Woronin wahał się, ale później niechętnie skinął głową. Westchnął głośno.

- Zgoda - powiedział. - Natychmiast skontaktuję się z towarzyszem Kapustinem i poinformuję go o twojej propozycji. Może się zgodzi.

- Musi się zgodzić. Nie ma innego wyjścia. Chcę, żeby Aubrey zniknął z Wiednia w ciągu najwyżej czterdziestu ośmiu godzin i znalazł się w drodze do Moskwy. To musi wyglądać na desperacką akcję KGB, mającą na celu odbicie swego zdekonspirowanego agenta.

- Bądźmy realistami. Niektórzy z twoich ludzi będą musieli przy tym ucierpieć.

Babbington kiwnął głową, nie mrugnawszy nawet okiem.

- Oczywiście. Niektórzy strzegący Aubreya pracownicy wiedeńskiej placówki zginą niechybnie w czasie akcji. Wielka szkoda.

- Świetnie. - Babbington okazał się bezwzględny i Woronin wydawał się z tego zadowolony. Wyglądało na to, że Babbington poprawnie odpowiedział na końcowe pytanie długiego, wyczerpującego przesłuchania. - Świetnie. Możemy już iść, sir Andrew Babbington*. - Przynajmniej raz okazało się, że angielski Woronina nie jest jeszcze doskonały.

* Używając tytułu sir wymienia się jedynie imię, bez nazwiska. - Przyp. tłum.

Babbington uśmiechnął się.

- Tak, towarzyszu Woronin. - Chodźmy.

Odwrócił się i skinął na Wilkesa, na którego twarzy pojawił się wyraz ulgi. Sam ruszył zdecydowanym krokiem aleją w dół, w stronę Dolnego Belwederu, do bramy i czekającego za nią samochodu. Za nimi sunęła niczym ciągnięta za trawlerem w sieci mała ławica płaszczy i trenczy członków ochrony.

Margaret zobaczyła, że znajdujący się najbliżej niej, idący przodem mężczyzna jakby na jakiś niewidzialny znak odwraca się i odchodzi. Natychmiast zrobiło jej się zimno. Poczula się słabo i złapały ją kurcze. Trencz mężczyzny był trochę ciemniejszy od śniegu pokrywającego trawniki. Obserwowała jego odejście, widziała, jak mijal jedną z ozdobnych fontann. Kiedy znowu go dojrzała, był mały i daleki. Wizjer aparatu wydawał się zamglony. Miała załzawione oczy. Teleobiektyw stuknął o kamienny

słupek balkonu. Spojrzała ponad wizjerem aparatu na rysy Marii Teresy o twarzy jednego z kamiennych sfinksów. Poczowała zawrót głowy. Wydawało jej się, że sfinks zwali się zaraz na nią, przykucniętą za balustradą tarasu przed pałacem.

Jej wyobraźnię wypełniły nieruchome obrazy, zmieniające się niczym w kalejdoskopie. Przypominało to jej przemyślnie skonstruowaną sekwencję filmu. Ludzie poruszali się, zatrzymywali, fotografowano ich, później ruszali naprzód. Stop, ruch, stop, zdjęcie, ruch, stop, zdjęcie, ruch.

Dłońmi w wełnianych rękawiczkach roztarła zmarznięte policzki. Pomimo futrzanej kurtki była potwornie przemarznięta. Roztarła też bolące, zziębnięte uda. Palce jej skostniały. Nie miała siły stać.

Prosimy o aparat odpowiedni do fotografowania dzikich zwierząt, powiedział wtedy Hyde i uśmiechnął się do niej szeroko. Ale ona widziała, że za tym uśmiechem kryła się niepewność. Sprzedawca w sklepie z aparatami fotograficznymi skinął głową i pokazał im cały zestaw teleobiektywów do aparatu Nikkormat. Starła się wszystkiego szybko nauczyć. Bezsennie spędzona noc w hotelu nie pomogła jej w tym. Hyde zachowywał się jak surowy egzaminator. W końcu jednak zrozumiała. Wystarczyło, że przeczytała dokładnie instrukcję do aparatu i teleobiektywów.

Babbington unosi pięść ku twarzy nie zidentyfikowanego mężczyzny. Twarze obu mężczyzn widziała wyraźnie przez teleobiektyw. Tło było zamazane. Tysiącmilimetrowy obiektyw miał małą głębię ostrości. Margaret zdecydowała się na najsilniejszy z teleobiektywów, bo chciała być jak najdalej od niego. Od Babbingtona. Nie bała się aż tak bardzo obstawy w białych trenczach i ciemnych płaszczach, jak tego jednego człowieka. Pozostali to płotki. Bała się go nawet w pozornym zbliżeniu teleobiektywu. Zdawało jej się, że w każdej chwili może ruszyć ku niej, rozpoznać ją i pojąć, a wtedy widziane przez wizjer złudzenie zamieni się w rzeczywistość. Żeby tego uniknąć, ukryła się za balustradą tarasu.

Słowiańskie kości policzkowe i usta widoczne spod kapelusza. Zdjęcie, jeszcze jedno i jeszcze kolejne. Silnik aparatu przewijał filmy do przodu. Tylko Babbington i Rosjanin. Goryle, nawet ci stojący najbliżej, to jedynie niewyraźne sylwetki w tle. Ustawiała ostrość. Robiła zdjęcie za zdjęciem. Była przerażona. Zmarzniętymi palcami nieporadnie zmieniała rolę filmu w aparacie. Jeszcze więcej zdjęć. Więcej i więcej.

Dowód, dowód, dowód, zdawał się za każdym przesunięciem klatki recytować silniczek w aparacie. Jeszcze jeden dowód. Więcej dowodów, więcej zdjęć.

Odwrócili się, kiedy skończyła się druga rolka filmu. Była zupełnie wyczerpana. Myślała tylko o niesympatycznej, lecz przystojnej twarzy Babbingtona.

Uniosła się lekko i spojrzała przez teleobiektyw. Nic. Babbington, Rosjanin, strażnicy. Wszyscy zniknęli z ogrodów. Trochę się ściemniło.

Popatrzyła na zegarek. Trzecia dziesiątka. Natychmiast zaczęła się martwić, czy dobrze ustawiła przesłonę, czy zdjęcia będą wyraźne.

Zła odległość, za ciemno? Czy będą w stanie rozpoznać Babbingtona? I tego drugiego mężczyznę, tego Rosjanina? Wstała gwałtownie. Dla rozgrzewki uderzyła parę razy dłońmi po ciele. Wpatrywała się w aparat. Za duży pośpiech, za mało czasu na zastanowienie. Patrzyła, jak Hyde przekraczał granicę. Później wróciła, aby obserwować dom, gdzie więziono Paula. Po mniej więcej dwudziestu minutach Babbington wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku Wiednia. Był bez ochrony. Trzymała się spory kawałek w tyle. Aparat i obiektywy na przednim siedzeniu stanowiły dla niej wyzwanie. Czekala. Pozwoliła sobie jedynie na sandwicza, podczas gdy Babbington jadł lunch w hotelu Sachera. W końcu pojechał do Belwederu. Towarzyszyło mu kilka samochodów. Zaparkowała przy Prinz Eugen, zabrała aparat i obiektywy i pospieszyła do pałacowych ogrodów.

Widać ich było jak na dłoni.

Wynalazła ten taras i balustradę w obawie przed własnym strachem i nieporadnością. Zaczęła się przechadzać, rozgrzewając nogi i stopy, do których wróciło uczucie. Nadal nie mogła uwierzyć, że jej się udało. Jej aparat leżał na balustradzie jak porzucona broń. Dwie rolki filmu. Twarz Babbingtona na każdym prawie zdjęciu. Zidentyfikowanie jego towarzysza będzie pierwszym krokiem na drodze do uratowania Paula.

Nie mogła uwierzyć, że to takie łatwe, ale doznawała jednocześnie uczucia triumfu. Hyde nie musiał wyjeżdżać, wystawiać się na niebezpieczeństwo.

Niebezpieczeństwo. Paul. Krew w mieszkaniu. Paul.

Podbiegła i chwyciła aparat. Ogrody były puste, tylko na odległej drewnianej ławce widać było czarną plamkę mężczyzny w płaszczu. Otaczały go wygłodniałe gołębie. Jego ręka poruszała się miarowo. Coś rozrzucał. Małe szare punkciki podskakiwały i przesuwwały się pod dyktando tej ręki. Biegła. Trzeba porozmawiać z ojcem chrzestnym, z sir Williamem. On musi jej wysłuchać.

Hyde ujrzał Godwina przy przystanku autobusowym na przedmieściu. W tym samym momencie odczuł niemal fizycznie ciężar tego ciała wspartego na dwóch kulach. Mężczyzna był w palcie i futrzanej czapce. Twarz zasłaniał mu częściowo szalik w szkocką kratę. Był to jedyny akcent kolorystyczny i niemal jedyny znak życia. Nieruchome, bezwładne ciało wyrażało nieskończoną cierpliwość i uległość. Hyde niechętnie skręcił na pobocze, ku małej, przeszklonej wiacie przystanku. Na stojącego obok

wiaty mężczyzną o kulach padał śnieg. Godwin stanął z boku pewnie dlatego, że chciał, aby Hyde łatwiej go zauważył. Obficie osypane śniegiem ramiona jakby wyrażały pogodzenie się z losem. Czarna futrzana czapka też była ośnieżona i przypominała futro borsuka. Patrzył przez boczną szybę na Hyde'a, gdy ten nacisnął na hamulec i otworzył drzwi.

Godwin zobaczył, że Hyde wysiadł z samochodu. Domyślił się, po co to robi, i burknął:

- Nie potrzebuję pomocy. Czy te drzwi są otwarte? - Rękę trzymał na klamce. Hyde, który był już przed samochodem, jedynie skinął głową. Nachmurzona twarz Godwina wyrażała urazę i pogardę dla liitości, jaką wzbudzało jego kalectwo. Hyde wrócił na swoje miejsce, jakby uciekał przed rannym zwierzęciem.

Godwin zawisł ciężko na otwartych drzwiach. Miał stare, ciężkie kule z metalowymi klamrami na przedramiona i solidnymi wspornikami z gumowymi uchwytami. Rzucił je na tył samochodu, a sam upadł niemal na siedzenie. Hyde aż zadrzał z obawy o Godwina i o siebie. Godwin wciągnął nogi do samochodu i natychmiast ponownie zastął w bezruchu. Patrzył przez przednią szybę. Czapkę trzymał na kolanach, a topniejący śnieg spływał na poły płaszcza i sztruksowe spodnie, okrywające bezużyteczne nogi. Na ramionach połyskiwał mu topniejący śnieg. Hyde wsunął się za kierownicę. Dokładnie kontrolował swoje ruchy, starając się, aby jego sprawne nogi nie rzucały się w oczy.

Chciał ułagodzić Godwina, więc powiedział:

- Pietrunin nie żyje. - To było głupie, lecz nie był w stanie znieść uciskającej skronie ciszy w samochodzie.

- Ty go zabiłeś? - zapytał Godwin po chwili milczenia.

Szyba naprzeciw jego twarzy już zaczęła pokrywać się parą. Zdawało się, że wychnęła z siebie jakąś falę gorącą.

- Nie. Jego kumple sami go załatwili.

Po kolejnej, tym razem dłuższej przerwie Godwin powiedział jedynie:

- Z moimi nogami jest w dalszym ciągu źle.

- Posłuchaj, Godwin - zaczął Hyde, a Godwin odwrócił się do niego. Twarz miał bladą. Malowała się na niej przerażająca wściekłość. Hyde miał wrażenie, że Godwin czekał na przystanku autobusowym od wielu dni, może nawet od chwili, kiedy został postrzelony. Jakby czekał tu właśnie na przybycie Hyde'a.

- Chryste Panie, Hyde - dlaczego to musisz być właśnie ty? - wypluł z siebie. Postarzał się. Stracił na wadze - Hyde'owi wydało się, że raczej zmizerniał, niż zeszczuplął. Pod oczyma miał ciemne kręgi. Źrenice małe i zwężone, włosy rzadsze, proste.

Hyde starał się nie patrzeć na jego nogi. - Ty i stary? Spośród wszystkich ludzi wy dwaj, dlaczego? - Dolna warga drżała Godwinowi, kiedy umilkł. Litował się nad sobą, ale Hyde nie czuł dla niego pogardy. - Zagrzebałem się tutaj miło i cicho. Nie zapomniał mnie. Ja tylko cicho i skutecznie umierałem. Zmieniałem się w roślinę. I wtedy ty... - Wpatrywał się w Hyde'a, który oderwał wzrok od mokrej futrzanej czapki na kolanach Godwina. Wyglądała niczym utopione zwierzątko, którego śmierć spowodowała żal i gniew właściciela.

- Odpieprz się, Godwin! - Hyde powiedział to cicho, lecz dobitnie. - To twoje cholerne litowanie się nad sobą! Wsadź je sobie gdzieś. - Godwin wpatrywał się w niego, poruszając bezgłośnie ustami i spoglądając ze złością w przymrużonych oczach, osadzonych w bladej twarzy. - Żyjesz. Nie mam dość czasu ani współczucia, żeby zagłębiać się w twoje stany psychiczne... Bo jeśli mi nie pomożesz i nie będę mógł zrobić tego, co mam do zrobienia, to ja i stary zostaniemy po prostu zabici. Teraz, jeśli chcesz, żebyśmy zamienili się miejscami, to daj mi twoje pieprzone kule, żebym mógł się zacząć uczyć na nich chodzić.

Godwin otworzył usta. Wyglądały niczym okrągła, czarna dziura. Po chwili wydobył z siebie słaby głos, w którym dało się słyszeć zaskoczenie i poczucie porażki:

- Och, ty sukinsynu! Chryste! Ty sukinsynu! - Hyde nie odpowiedział; Godwin odwrócił głowę. Powoli zwiesił ją na piersi. Hyde słuchał jego chrapliwego oddechu. Mogło się wydawać, że Godwin podjął wspinaczkę na nie kończące się schody albo stromy pagórek. Hyde miał nadzieję, że próbuje on walczyć ze słabością, która go tak rozkleja. W końcu Godwin kichnął głośno.

W samochodzie było prawie ciemno. Szyby pokryła gruba warstwa śniegu. Na dworze ściemniło się. Na przystanku nie było nikogo. Zaczął się ruch z Pragi w kierunku przedmieść. W światłach przejeżdżającego pojazdu Hyde zobaczył na policzkach Godwina krople błyszczącej wilgoci.

- Okay - powiedział Godwin z wysiłkiem, kiwając głową. - Okay. Przepraszam.

Hyde znowu nie odpowiedział. Nie interesowały go już reakcje Godwina. Słowa wywołały pożądany skutek. Nie potrafił zająć się niczym innym niż sprawą uratowania Aubreya...

W rzadkiej chwili absolutnej szczerości przyznał, że chodziło mu też o uratowanie własnej skóry. To pochłonęło jego uwagę. Jeżeli z tego zrezygnuje, to Aubrey, Mas-singer, Godwin i cała reszta nie mają szans przeżycia. Stawiając siebie na czele tych, którzy mieli przetrwać, dawał przy okazji szansę przeżycia innym.

- Tu nie chodzi o ciebie - w końcu znów podjął Godwin. Hyde zmusił się do słuchania. Godwin wysnuwał się powoli z kokonu swego kalectwa, niczym motyl.

- Tak? - zapytał niecierpliwie Hyde.

Głowa Godwina drgnęła. Później powiedział:

- Nie winię ciebie. Bóg mi świadkiem! Starego też nie...

- Nie - powtórzył Hyde ostrożnie. Samochody miały ich częściej. Rosło natężenie ruchu.

Godwin patrzył przez chwilę na Hyde'a, jakby przypominał sobie, kim jest jego towarzysz. Potem powiedział:

- Nie wiem, czy rozumiesz, i nawet mnie to nie obchodzi... - Hyde skrzywił się. Chciał powstrzymać ewentualne wyznania, ale się nie odezwał. - ...lecz chcę ci powiedzieć... - Godwin przełknął ślinę, a potem Hyde usłyszał wydobywający się z jego gardła suchy, ironiczny śmiech - ...że przyniosłeś ze sobą świat, który musiałem opuścić. Niech cię za to szlag trafi.

Hyde odwrócił się zdumiony. Godwin spoglądał na niego. Policzki miał ciągle blade, ale już suche. Usta rozchyłał mu lekki, cyniczny uśmiech.

Hyde kiwnął głową.

- Okay - powiedział. - Dokąd teraz?

- Co? Ach, do mojego mieszkania.

- Jest bezpieczne?

- Dali mi spokój. - Godwin klepnął się dłońmi po udach. - Kontuzja to moja legenda. Oni w nią uwierzyli. Jak można być agentem, chodząc o kulach?

- Czy nikt nie wie, że tu jestem lub że miałem przyjechać?

- Nikt. Sygnał Shelleya był bardzo specyficzny. Hyde, co się dzieje?

- Babbington jest człowiekiem Moskwy. Dowód jest w komputerze.

- Babbington? O, cholera!

- Wrobił w to starego... Ale od samego początku była to kombinacja operacyjna Pietrunina.

- Czy Pietrunin powiedział ci to wszystko? Wierzysz temu skurwielowi?

- On umierał i chciał pociągnąć z sobą całą tę firmę. Nie kłamał.

- Kto jest po twojej stronie?

- My, tylko my dwaj. - Hyde nie wspominał o Margaret Massinger. Nie było po co. Ona sobie nie poradzi. Był pewien, że byłoby lepiej, gdyby jej kazał siedzieć cicho i zniknąć. To jej śledzenie Babbingtona i obserwacja drewnianego domu w Perchtoldsdorf nie potrwa nawet pięciu minut. Udzielił jej wskazówek, kupił aparat i obiektyw, a mimo to nie wierzył w jej umiejętność przetrwania. Dlatego celowo nie mówił, co o tym wszystkim sądzi. Kiedy ją złapią i przesłuchają, nic nie powie, bo nic nie wie. - To cała armia - dodał. - Shelley już wpadł.

- Chryste Panie - szepnął Godwin.

- Wchodzisz w to? - zapytał Hyde niecierpliwie. Uderzył dłońmi w kierownicę. Miał ochotę uchwycić się z całej siły, aby powstrzymać nadchodzące drzenie ciała.

Po chwili Godwin powiedział:

- Wchodzę w to. Cholera, to zupełnie beznadziejne, ale wchodzę w to.

Hyde spojrział na niego. Na jedną chwilę spod maski zgorzknienia i starości, jaką przywdział Godwin, wyjrzała twarz młodego człowieka.

- Okay. Którędy teraz?

- Prosto. Mam mieszkanie na Starym Mieście. Pokażę ci drogę.

- Drogi przyjacielu, tak mi przykro, tak mi przykro...

Aubrey gładził Massingera po rękę. Leżała ona na pościeli niczym biała bezwładna ryba, potem powoli uściśnęła dłoń Aubreya. Oczy Massingera lśniły, ale nie było w nich gorączki. Twarz miał spuchniętą i zniekształconą, z ciemnymi sińcami, które kolorem przypominały surowe wnętrzności.

- W porządku - zamruczał. Nieporadnie ruszał wargami, jakby miał zdrętwiałą od znieczulenia przed zabiegiem dentystrycznym szczękę. Rozcięte wargi napuchły mu. Potrząsnął lekko głową. - W porządku - powtórzył.

- Jak noga?

- Ktoś ją opatrzył. W ranie nie ma kuli. Kenneth, cholernie boli. - Starał się nieco podnieść na wąskim łóżku. Jęknął, kiedy poruszył zranioną nogą. Aubrey pomyślał, że opatrunek na udzie był prowizoryczny. Prowizoryczny opatrunek w tymczasowej sytuacji.

Zrozumiał, że Babbington podjął już decyzję. Inaczej nie pozwoliłby mu się spokonać z Massingerem. Nie było już dłużej potrzeby izolować ich od siebie. Ich informacje umrą razem z nimi. Dlatego kiedy Aubrey nie mogąc powstrzymać głodu zjadł lunch i zapytał o zdrowie Massingera, Wilkes uśmiechnął się szeroko i zaprowadził go do pokoju rannego.

Massinger miał opuchnięte jedno oko. Skóra dookoła gałki była obtarta. Opuchlizna spowodowała, że powieka niemal zupełnie zasłaniała gałkę oczną. Większość jednak skaleczeń przemyto, zdezynfekowano i opatrzone plastrem.

- Mój drogi Paul. Chcę, żebyś wiedział, jak jestem ci wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Massinger potrząsnął głową i spróbował się uśmiechnąć.

- Gdyby nawet wszystko, co mi się przytrafiło, stało się z twego powodu - powiedział - to nie bierz sobie tego do serca. - Poruszył się i znowu grymas bólu wykrzywił mu twarz. Potem dodał: - Sobie nie mogłem pomóc. Bogu dzięki, nie złapali Margaret. Bogu niech za to będą dzięki! - Massinger był teraz niemal pogodny.

- Tak, chwała Bogu - wyszeptał Aubrey, zadowolony z reakcji Massingera. Miał nadzieję, że jego żona będzie siedziała cicho i trzymała się z daleka, dopóki sprawa nie ucichnie. Czy mogłaby wpłynąć jakoś na bieg wydarzeń?... Policja, William Guest, prasa?... Nie, z całą pewnością nie. Jest wyłączona z gry. Kiedy zobaczył, że Massinger przelknął ślinę, zrobił to samo.

- Paul, zdajesz sobie sprawę z tego, co Babbington zamierza?... - Głos odmówił mu posłuszeństwa.

Massinger kiwał głową i coraz mocniej ścisnął jego rękę. Potem zapytał natarczywie:

- Nie mają jej, prawda? Nie wiedzą, gdzie jest?

Aubrey potrząsnął głową. Massinger opadł na poduszki. Wydawał się wyczerpany. Zamruczał coś. Może powtórzył: „Bogu niech będą za to dzięki”. Aubrey zorientował się, że w obecnej sytuacji wiara w bezpieczeństwo żony działa na Massingera jak środek znieczulający.

Po długim milczeniu Massinger znów się odezwał: - Rozmawiałeś z Babbingtonem?

- Tak.

- Dlaczego on to zrobił? Kiedy? - Potem Amerykanin otworzył oczy. - To nie ma znaczenia. Ani jedno, ani drugie nie ma znaczenia. A co zamierza zrobić z nami?

- Moskwa, jak sądzę. - Aubrey pokiwał głową. - Tak, Moskwa. Jestem pewien. Przykro mi.

- Tak, na pewno. Ty pożyczysz jeszcze przez krótką chwilę, ale ja już nie. Nasz przyjaciel Babbington musi pochować ciała. Czy musi pochować ciała? - Jego oczy uważnie wpatrywały się w twarz Aubreya. Po chwili Massinger znów niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w sufit, a Aubrey domyślił się, że widzi tam obraz swojej żony. Paul znowu coś zamruczał, ale i tym razem Aubrey nie zrozumiał jego słów.

- Przykro mi... - powtórzył. Zdawało się, że Massinger go nie słyszy. „Dziękuję. Przykro mi”. To wszystko, co mogli sobie powiedzieć. Wiedzieli już wszystko o sobie i o swojej sytuacji.

Aubreya ponownie zaczęła osaczać przeszłość. Dla Massingera znaczyłyby to niewiele albo nic. Przed oczami przesuwiała się Aubreyowi galeria obrazów, tworząc jego prywatną kolekcję. I każda ze scen złościła go. Każdy głos, chwila, pokój, osoba, operacja, misja, komitet. Złościły go.

Babbington zdołał całkowicie zmienić jego przeszłość. Wszystko, wszystko! Zupełnie, całkowicie zmienione - zohydzone i wykoślawione. Za to właśnie nienawidził Babbingtona. Nie za to, że zdradził. To uczucie już zniknęło. Nienawidził go za to, że ten człowiek zrabował mu jego dobrą opinię! Jego uczciwość! Czasy Otella minęły - przypomniał sobie z goryczą.

Drzwi otworzyły się.

Wszedł Wilkes ze słowami:

- On uważa, że dość się nagadaliście. Proszę się pośpieszyć, idziemy. Sir Kenneth z powrotem do swojego pokoju, jeśli łaska. - Powiedział to tonem pielęgniarki ze szpitala psychiatrycznego. Wyraźnie szydził z Aubreya.

Aubrey wstał i puścił dłoń Massingera. Błada, bezwładna ręka opadła na pościel. Znowu stała się podobna do śniętej ryby. Massinger mrugnął do niego zdrowym okiem. Aubrey usiłował się uśmiechnąć.

- Potrzeba ci czegoś? - zapytał. Massinger pokręcił głową.

- Chyba już nie warto, co? - zapytał Wilkes.

- Naprawdę? - burknął Aubrey.

- Naprawdę.

- Kiedy?

- Niecałe czterdzieści osiem godzin - oświadczył Wilkes. - On musi być w Londynie w ciągu najbliższych dwóch dni... Inaczej wyglądałoby to nieco zabawnie, nieprawdaż?

- Boże, Wilkes! - Aubrey zawahał się. Stał z otwartymi ustami. Nie miał pojęcia, co chciał powiedzieć.

- No, dalej - rozkazał Wilkes.

Aubrey wyszedł, nie patrząc więcej na Massingera. Kiedy wyszli na korytarz i Wilkes zamykał drzwi, Aubrey odniósł wrażenie, jakby ktoś zaświecił mu prosto w oczy ostrym światłem. Oślepiła go jego świetlana przeszłość. Każde wspomnienie piekło i bolało. Uderzały z taką siłą, że aż się zatoczył.

Stał twarzą w twarz z Zimmermannem. Pierwszy ujęty przez niego niemiecki oficer... Pierwsze rozmowy w małym, ogołoconym z mebli mieszkaniu na piętrze, gdzieś niedaleko Strandu. Zaledwie parę miesięcy wcześniej opuścił Oksford... Myślał, że to będzie służba dyplomatyczna. Kiedy pokazano mu sekretny świat, pracę wywiadowczą, poczuł głębokie, prawdziwe zadowolenie.

Berlin po wojnie. Jak nieproszony gość pojawiła się twarz Castleforda. Ciągłe żywa, uśmiechnięta... Wróciła jak duch, by napawać się jego upadkiem. W tej gonitwie obrazów Aubrey zapomniał o nim. Sterty papierów i akt przechodzące przez biurko, przez ręce, które rozpoznał jako swoje własne. Kiedy tak patrzył, te ręce starzały się w takim tempie, jakby w ciągu kilku chwil pokazano całe jego dorosłe życie. Zupełnie tak samo jak na przyspieszonym filmie przedstawiającym cykl wegetacyjny rośliny... Z czasem akta stawały się coraz ważniejsze, coraz bardziej tajne.

- Dobrze się pan czuje? - zapytał Wilkes. Aubrey prawie go nie słyszał. Potknął się, a pamięć niczym balast przesunęła się w jego głowie. Wilkes podtrzymał go pod ramię.

Uczciwy człowiek. Czasami był bezwzględny. Zupełnie nie liczył się z życiem ludzi, którzy znaleźli się w jego rękach. Ale usiłował pozostać uczciwym człowiekiem, żyjąc w tajemnym świecie. Czasy Otella przeminęły.

Ręce na biurku. Twarze po drugiej stronie stołu. Ludzie, którym miano wydrzeć tajemnicę. Ludzie, którzy mieli zostać unicestwieni, i ci, których miano przywrócić życiu. Dziesiątki języków, tysiąc małych pokoików, gdzie łamano wolę, determinację, odwagę.

Aubrey potrząsnął głową, odtrącił rękę Wilkesa i przeszedł przez korytarz tak szybko, jak tylko potrafił. Wszedł do swego pokoju, a Wilkes zamknął za nim drzwi na klucz. Kiedy kroki mężczyzny ucichły, Aubrey zaczął trzeć zwilgotniałe oczy rękawem poplamionej koszuli.

W jej pokoju w pensjonacie nie było telefonu. Musiała skorzystać z automatu obok małej recepcji. W holu nie było nikogo oprócz nocnego portiera, który siedział nad popołudniową gazetą. Tło dla jego głowy stanowiły kasyety przegródek i wieszaków na klucze. Miał rozpięty pod szyją uniform. Na kontuarze stała nie dopita szklanka piwa i papierowy talerzyk, na którym leżała kanapka z wędzoną kielbasą. Margaret wsunęła głowę pod przezroczysty plastikowy klosz kabiny telefonicznej. Wyglądało to tak, jakby suszyła włosy pod suszarką fryzjera.

Wykreśliła kierunkowy do Londynu, a potem numer domowy sir Williama Guesta. Hyde powiedział jej, że William był w Waszyngtonie... To było głupie próbować do niego dzwonić. Ale być może dzięki automatycznej sekretarce będzie się z nim mogła jakoś skontaktować. Bo jak inaczej? Czekając na połączenie, niespokojnie szarpała skręcony przewód słuchawki. Wyobraziła sobie wygodny, wyłożony boazerią gabinet, w którym dzwoni teraz telefon. Sir William miał mieszkanie w Albany, urządzone dawno temu przez jego ojca. Kiedy była dzieckiem, przerażały ją te ciemne, ciężkie boazerie i stare, pełne grozy obrazy. Pamiętała, że zawsze, kiedy ojciec ją tam zabierał, sir William grał rolę wesołego, wspaniałomyślnego krewnego. Oczekiwał jednak dośrodkowych manier, długich chwil milczenia, a potem dorosłych odpowiedzi na jego pytania. Bała się sir Williama.

- Szybciej, szybciej - wyszeptwała. Obejrzała się na nocnego portiera. Złożył gazetę i czytał dalej. - Szybciej, błagam, szybciej.

Nagle sygnały w słuchawce umilkły. Nikt się nie odezwał, ale Margaret czuła, że ktoś tam był.

- William? - spytała z wahaniem.

- Kto mówi? - zapytał miły, wzbudzający zaufanie, obcy głos.

- Kto przy telefonie? - spytała zaskoczona. - Gdzie jest pani Carson? - Potem bardziej natarczywie: - Kim pan jest?

- Ach, pani Carson, gospodyni sir Williama. Przykro mi, wyjechała na kilka dni. Sir William również.
- Więc kim pan jest? Co pan robi w mieszkaniu sir Williama?
- Rzeczywiście, miała pani szczęście, że mnie tu pani zastała... - mówił ktoś łagodnym, kulturalnym głosem, lekko przeciągając głoski. Mogła sobie wyobrazić tego człowieka. Młody, bystry urzędnik państwowy. Jeden z pracowników Williama, ale dlaczego tam jest?
- Mówi Margaret Massinger - powiedziała z całą powagą i swobodą, na jaką mogła się zdobyć. - Mam pilną sprawę, muszę natychmiast rozmawiać z sir Williamem.
- Ach, pani Massinger. Proszę wybaczyć. Nazywam się Renfrew, jestem pracownikiem gabinetu sir Williama... Prosił mnie, żebym zabrał z jego mieszkania pewne papiery. Teraz, będąc w Waszyngtonie, musi przejrzeć je za moim pośrednictwem. Właściwie miałem już wychodzić, ale mówi pani, że to pilna sprawa. Czy mam mu coś przekazać?... - To życzliwe, proste pytanie dźwięczało w powietrzu.
- Zawahała się. Potem powiedziała:
- Czy może mi pan podać jego numer w Waszyngtonie?
- Niestety nie. Plany sir Williama ulegają częstym zmianom, a program ma niezwykle bogaty. A może dałaby mi pani swój numer telefonu? Sir William ma skontaktować się z biurem albo dziś, albo jutro rano. Mogę panią zapewnić, że się do pani odezwie. Co pani na to?
- Mówił to spokojnie i naturalnie. Chciał jej pomóc.
- Jestem w Wiedniu.
- W Wiedniu? O wielkie nieba! Pewnie na wakacjach, pani Massinger?
- Wiedeń, numer...
- Zaczęła studiować numer wypisany na tarczy aparatu.
- Tak? - zapytał skwapliwie. - Tak? Pani numer w Wiedniu?... - Zdziwił ją ten głos. Zawahała się i głos odezwał się ponownie. - Pani Massinger, proszę podać mi swój numer w Wiedniu! - To był rozkaz. Tak, z całą pewnością.
- Kim pan jest? - zapytała ostro.
- Powiedziałem pani. - Głos wskazywał, że mówiący jest z każdą chwilą bardziej rozszluszczony.
- A więc kim?
- Jednym z pracowników sir Williama.
- Jednym z... jednym z ludzi Babbingtona, prawda? Wiem, że tak.
- Pani Massinger, proszę podać mi numer swego telefonu w Wiedniu. - Głos był nieprzyjemny i zawierał ton nie ukrywanej groźby.
- Nie!

Z brzękiem rzuciła słuchawkę na widełki. Ręka jej drżała. Upadł trzymany w ręku klips. Szukała go na zniszczonym dywanie, pokrytym smutnym wzorem. Kiedy się wyprostowała, nocny portier spojrział na nią z zaciekawieniem i znowu przeniósł wzrok na gazetę. Wyglądał ponuro i groźnie.

Prawie im już powiedziała! Nie mogła uwierzyć, że to zrobiła. Nie mogła uwierzyć, że Andrew Babbington miał swego człowieka w mieszkaniu sir Williama.

Zaczęła szybko i płytko oddychać. Starła się uspokoić. Znów uświadomiła sobie, co jest teraz dla niej najważniejsze. Przekonanie to narastało w niej przedtem, kiedy jadła obiad, kiedy piła ot tak, dla zabicia czasu, swoje trzy szklaneczki whisky. Wtedy wpadła na pomysł, by skontaktować się z Guestem za pośrednictwem automatycznej sekretarki.

Paul.

Teraz miała dowody, ale nie było nikogo, komu można by je przedstawić. Przypominała unieruchomioną maszynę. Brak paliwa i siły napędowej. W coraz większym nerwowym rozgorączkowaniu mogła się już tylko martwić o życie Paula.

Musi wiedzieć. Znowu musi wyjść. Musi pojechać do Perchtoldsdorf. Musi zobaczyć męża! Bez względu na ryzyko musi się dowiedzieć!

Rozdział XV

Wejście

Babbington spoglądał na swoje palce. Dalekie, samotne przedmioty bębniące po blacie biurka, tuż obok dwóch prostokątnych czarnych skrzynek, kryjących urządzenie szyfrujące dźwięk. Kabel łączył je ze słuchawką telefonu. Głos Kapustina, pomimo że został całkowicie przetworzony przez jego własny zestaw, nabierał tylko lekko nienaturalnego brzmienia i stał się nieco mniej wyraźny. Ale jego spowolniały głos nie był mimo wszystko pozbawiony tonu gniewu i władczości. Babbington precyzyjnie odgadywał nastrój Rosjanina.

Był sam w pokoju. Od grzejników i ognia na kominku rozchodziło się po pokoju przyjemne ciepło. Napelniona do połowy szklanka whisky stała na skomplikowanym urządzeniu szyfrującym, służącym do przekazywania najbardziej tajnych informacji. Z pozoru mogło się wydawać, że Babbington odpoczywa. Ale to były tylko pozory.

- Nie jestem zwolennikiem wypadków - oznajmił zastępca przewodniczącego. - Zwłaszcza w stosunku do tej kobiety. Będziesz miał i tak wiele szczęścia, jeżeli ją schwytasz. Ona ma znajomości. Woronin, mam nadzieję, uprzedził cię o tym. Czyjej zgon nie spowoduje... zamieszania?

- Rozumiem, Kapustin. - W pokoju było nieco za gorąco. Jego palce nie były już takie odległe. Bębniły teraz szybciej, oddając nastrój rosnącej złości. - Oczywiście, istnieje takie ryzyko. Wszystko jest ryzykiem. Ty także powinieneś być pozbyć się Pietrunina już w dniu, gdy cała kombinacja operacyjna została skierowana do realizacji. Tak to bywa, ludzie wiedzą, domyślają się... ale to tylko garstka ludzi, których się eliminuje. Oto jedyna logiczna metoda postępowania.

- Zostaje jeszcze ten Niemiec.
- Wiem o tym.

Śnieg opadał łagodnie na okienne szyby. Babbington odwrócił głowę i wpatrzył się w ciemności, poprzetykane plamami roztopiającego się śniegu. Później powrócił wzrokiem do ognia. Wąska, cienka smużka dymu uniosła się w miejscu, gdzie na leżący przed kominkiem wielki afgański dywan spadła iskierka. Unosząca się wstążeczka dymu przypominała kadzidło.

- Zatem co proponujesz w tej sprawie? - W głosie Kapustina pojawiła się kpiąca nutka. Smużka dymu znikła. Babbington nie mógł dostrzec maleńkiej dziurki, którą

iskra z pewnością wypaliła w dywanie, lecz przez moment zdążył wyobrazić sobie swoją żonę utyskującą nad szkodą.

- W tej chwili nic się nie da zrobić. Pozostaje proponowane przeze mnie śmiałe uderzenie, które uciszy jego i wszystkich innych. Pojawienie się Aubreya w Moskwie zatrzyma falę dalszych pytań. Jestem pewien, że rozumiesz to, co dotychczas powiedziałem. - W jego głosie pojawiła się irytacja. Kontynuował niemal mechanicznie, jakby pękła w nim jakaś tama: - Jestem wam wierny od dwudziestu ośmiu lat. Ty i wszyscy w moskiewskiej Centrali czekaliście przez dwadzieścia osiem lat na taką chwilę. To wasza niecierpliwość, twoja i Nikitina, nie pozwoliła Aubreyowi dotrzeć na swoim stanowisku do emerytury. Ja bym go zastąpił w sposób naturalny. Wiesz przecież, że to starszy człowiek! Lecz nie! Musieliście to wykonać teraz, kiedy Guest cieszy się zaufaniem pani premier i popiera koncepcję SAID oraz widzi we mnie szefa tej służby. Doskonale! Ty ustalałeś terminarz kolejnych etapów „Łzy” i znasz ją na wylot. Nie wykręcaj się teraz z powodu likwidacji jednego Amerykanina i jego ustosunkowanej żoneczki!

Babbington przyjrzał się swoim palcom na biurku. Zaniechały już gniewnego bębnienia i teraz tylko nieznacznie drżały. Dotknął opuszkami szklaneczki z whisky stojącej na gładkiej, czarnej skrzynce aparatu szyfrującego. Poczuł na czole mrowiący pot. Było to może głupie, lecz nie mógł powstrzymać tego wybuchu. Czy tamci nie zdawali sobie sprawy, na miłość boską, o jaką idzie stawkę? Zaciśnął wolną rękę w pięść i czekał na odpowiedź Kapustina.

Wreszcie Rosjanin przemówił.

- Twój gniew jest zrozumiały. Zgadzam się poniewczasie, że powinniśmy byli dawno załatwić Pietrunina.

- Więc ustalmy wszystko teraz.

Kapustin znowu zamilkł na dłuższą chwilę. Na koniec rzekł:

- Nie mogę zdecydować od razu... jedynie, żeby rozproszyć twoje obawy. Trzeba to przedyskutować.

- Z kim? Z Nikitinem? Przypomnij prezydentowi o zasadach inwestowania i dywidendy, dobrze? - Jego dłoń bawiła się szklaneczką whisky. Kryształowe szkło odbijało ciepły blask pokojowych lamp, niczym w zwierciadle widział w nim płomyki w kominku, zmniejszone i rozproszone.

- Cały czas istnieje problem tej kobiety. Gdzie ona jest w tej chwili?

Babbington nie wahał się z odpowiedzią.

- Zapewniam cię, że zostanie schwytana w ciągu dwudziestu czterech godzin. To oznacza, że możesz wyznaczyć termin operacji na jutrzejszą noc.

Kapustin zdawał się tylko czekać na ten blef, gdyż odrzekł bez zwłoki:

- Tak więc będziesz miał jutro w nocy swoją dramatyczną operację odbicia Aubreya. Przy założeniu, że do tej chwili dopadniesz tej kobiety.

Palce Babbingtona zdrząły w chwili, gdy odstawiał ciężką kryształową szklanę.

- Co masz na myśli?

- Transakcję. Twoja próba odbicia w zamian za kobietę.

- Chcesz zabrać ją i Amerykanina do Moskwy i tam zlikwidować? - Był tak podkscytowany, że niemal zabrakło mu tchu.

- Zakładając, że przekonam prezydenta o słuszności takiego rozwiązania, mówiąc mu, iż jest ono niezbędne dla twojego ocalenia... Wówczas tak. - Babbington wstrzymał westchnienie ulgi. - Zlikwidujemy Massingerów, a Aubrey przeparaduje przed kamerami.

Zmarznięty śnieg uderzył w szyby niczym rzucona ostrzegawczo garść żwiru. Babbington wzdrygnął się, a następnie w skupieniu wpatrzył się w kominek, rozważając słowa Kapustina. Zastanawiał się też nad własną przechwałką. Jak szybko zdołają schwytać Margaret Massinger?...

Margaret Massinger przywarła całym ciałem do pnia jodły. Światło z okna Babbingtona oświetlało jej kryjówkę niczym myszkujący snop promieni latarki. Ujrzała, jak Babbington odwraca głowę na dźwięk tłukącego w szyby śniegu. Schowała się natychmiast. Nie mógł jej dostrzec, na pewno nie...

Mimo wiejącego wiatru słyszała własny oddech. Śnieg sypał się jej za kołnierz i wciskał pod wełniany берет. Teraz widziała dwóch spośród nich - Aubreya i Babbingtona. Jeden siedział przy biurku, rozmawiając przez telefon. Drugi - do którego już dłużej nie mogła żywić nienawiści - siedział w fotelu, za zakratowanymi oknami, wpatrzone w swoje stopy, nieruchomy, jakby już umarł. Zadygotała z zimna. Za pokojem Aubreya były dalsze zakratowane okna. Zasłony spuszczone, pokój zaciemniony. Domyśliła się, że to tam trzymają Paula. Nie mogła otrząsnąć się z myśli, że opuszczone kotary oznaczają śmierć. Po jej matce nigdy nie znać było żałoby, ponieważ nigdy nie uwierzyła, że Robert Castleford nie żyje. Ale sama Margaret zasłoniła okna po śmierci matki. Oni też postąpili tak samo, bo Paul nie żyje...

Poczuła dziecięcą tęsknotę za jakimś ukochanym miejscem. Czuła się samotna w zawianych śniegiem ciemnościach. Oczy się jej zaszkliły, a policzki zdrętwiały z zimna. Pragnęła dostać się do środka. Musiała tam wejść.

Musiała się dowiedzieć. Nic innego się nie liczyło. Wypełniała swoje zobowiązania wobec Aubreya i Hyde'a. Teraz mogła dokonać wyboru. Wszystkie inne rozterki opuściły ją z chwilą, gdy wrzuciła dwie rolki filmu w szczelnym plastikowym pudełku do skrzynki pocztowej w holu pensjonatu. Jej ciotka w Bath otrzymała nie wywołane filmy z dokładną instrukcją, aby doręczyła je osobiście Williamowi do Londynu. Starsza

pani zapewne pojedzie pociągiem. Przez całą drogę przerażona będzie perspektywą towarzystwa Williama i jego strasznych cygar.

Tak czy owak, sir William otrzyma te filmy. I przystąpi do działania. Przeczyta jej kartkę. Zobaczy zdjęcia i będzie działał. Babbington zostanie powstrzymany. Wypełniła swój obowiązek.

Musiała w to głęboko uwierzyć. Dygocząc z zimna zdecydowała, że pozwoli się schwytać w pobliżu tego domu. Równie mocno pragnęła wierzyć, że Paul jednak żyje, a ona będzie mogła połączyć się z nim, gdy już ją będą mieli.

Zasłony w oknie rozsunęły się. Paul, żyje, nie żyje?

Z pewnością przekona Babbingtona, że w dalszym ciągu nienawidzi Aubreya i nadal wierzy, iż jest on sowieckim agentem, winnym zabójstwa jej ojca. Morderca, zdrajca, opryszek, drań - wszystko, co mogłoby przekonać Babbingtona, że Paul i ona nie stanowią dla niego zagrożenia. Byle tylko pozwolił Paulowi żyć...

Przecież ona nic nie wie. Hyde - a któż to jest Hyde? Nic mu nie powiedziała, bo nic nie wie... cokolwiek powiedział Paul, to tylko majaczenie, koszmarny sen, histeria, nic więcej...

Spowodowane utratą krwi, obrażeniami.

Aubrey nie był ranny. To była krew Paula. Ale Paul nie zginął. On żyje i jest ranny, żyje i jest ranny... Może go ocalić, jeżeli idealnie zagra swoją rolę. Powinno się udać opóźnić jego śmierć o jakiś czas. Przekazała Williamowi, gdzie należy ich szukać, gdzie sama będzie.

Jeżeli Aubreyowi pisana jest śmierć, to trudno. Ona musi ocalić Paula.

Oderwała się od drzewa. Widziała Babbingtona przy biurku. Nadal rozmawiał przez telefon. Czekala. Dwuosobowy patrol, poprzedzany skaczącymi świetlikami latarek, powinien powrócić za kilka minut. Wszystko, co musi zrobić, to stanąć przed nimi i modlić się, aby nie zaczęli strzelać, zanim oświetlą latarką jej twarz. Ze zdenerwowania szczękała zębami. Czula, że słabość ogarnia jej nogi i całe ciało. Mimo to nie powróciła chęć ukrycia się. Tamto było już za nią. Stała dotykając czubkami butów krawędzi obszaru oświetlonego światłem padającym z okna. Oczekiwała, by światło ruszyło ku niej jak fala.

Czy w ogóle kiedykolwiek poznała Hyde'a? Czy powinna w ogóle znać jego nazwisko? Może od Paula? Czy Babbington jej uwierzy? Czy uwierzy chociaż w jedno jej słowo?

Musi...

Nasłuchiwała. Kroki na żwirze. Światło na żwirze. Nadchodzi.

Nie może robić wrażenia, że na nich czeka. Przecież musi zostać schwyтана!

Ostrożnie, zgięta prawie w pół, posuwała się w stronę okna Babbingtona. Jeżeli

Paul nie żyje, to podda się łatwo i... ale porzuciła buntowniczą myśl. Dotarła do okna. Dotknęła palcami parapetu i uniosła głowę, by zajrzeć do wnętrza pokoju.

Nagle światło natrafiło na jej twarz, na żwir leżący dookoła. Usłyszała odgłos kroków.

Warczenie psa!

Pies. Światło. Żwir. Głosy. Zamarła ze strachu. Ktoś biegł. Nasłuchiwała odgłosu psich łap na żwirze. Słyszała warczenie, potem kroki, stukot ciężkich butów, czyjś bieg. Zmartwiła w oczekiwaniu na atak psa.

Wtedy zwróciła twarz w stronę, skąd padało światło. Człowiek z latarką aż zaśmiał się z zaskoczenia i satysfakcji. Trzymany przez drugiego wartownika pies najpierw warknął, a później zaczął zajadle szczekać. Usunęła twarz z kręgu oślepiającego światła. Babbington odwrócił głowę, zbladł i osłupiał, jakby zobaczył ducha. Śnieg osypywał policzki Margaret i okno. Pies wciąż szczekał i chyba dzięki temu ujadaniu Babbington otrząsnął się z transu, po czym zaczął się uśmiechać coraz szerzej i szerzej.

Z wyrazem triumfu na twarzy powiedział coś szybko do słuchawki. Widział, że człowiek z latarką już trzyma Margaret, a jego dłoń zaciska się na jej ramieniu.

Człowiek ten powiedział:

- Dobry wieczór, pani Massinger. Jak to miło, że pani wpadła.

Odwróciła głowę. Wpatrywała się w otwarty pysk psa, w którym widoczne były białe zęby i różowy język. Powstrzymywała go przed atakiem kolczasta obroza i naprzężona smycz. Margaret, nagle osłabła, wsparła się na mężczyźnie, trzymającym ją wciąż za ramię.

- Margaret. Żona Massingera jest tutaj! - rzucił Babbington do telefonu. Nie potrafił ukryć ulgi i radosnego zaskoczenia. - Mamy ją! Teraz twoja część transakcji, Kapustin!

- Doskonale - odparł natychmiast Kapustin. - Bardzo dobrze. Masz szczęście. Postaram się przekonać prezydenta i mojego przewodniczącego, aby przyjęli twój plan.

- Świetnie!

- Całe to przedsięwzięcie nie wzbudzi ich entuzjazmu, ale spodziewam się, że zostanie zatwierdzone. Tak myślę. Przygotuj wszystko na jutrzejszą noc. Aubreya i Massingerów też. Zdejmiemy ci ten kłopot z głowy.

Godwin wpatrywał się w czarnego kota sąsiadów, równie uważnie, jakby patrzył na wroga. Następnie podniósł kule stojące dotąd po obu stronach krzesła i uniosł się ciężko. Powłócząc nogami ruszył w kąt kuchni. Hyde pomyślał, że ktoś musiał mu przywieźć zagraniczne jedzenie dla kotów z urlopu w Londynie. Tego produktu nie mógł kupić w Pradze. Godwin odwinął puszkę z polietylenowej torebki, chroniącej danie

przed zwietrzeniem, i wrzucił pokrajane kawałki do żółtej miseczki. Potem postawił talerzyk na podłodze. Czekający na jedzenie kot przez cały czas, kiedy Godwin szykował mu jedzenie, ocierał się zapamiętałe o nie czujące nic nogi. Od czasu do czasu jego żywiciel spoglądał w dół na te objawy przyjaźni zwierzaka i uśmiechał się.

Hyde otarł usta brzegiem dłoni. Kot pogłaskany przez Godwina zaczął jeść. Ostrożnie przełykał pokarm. Hyde zastanawiał się, czy kota boli, kiedy tak silnie wygina kark i prostuje ogon. Później z rosnącą irytacją odsunął krzesło. Znowu musiał znęcać się nad Godwinem. Znienawidził to zajęcie. Godwin nieomal rozwiązał już problem, lecz nie mogli się porozumieć bez wzajemnego rozdrażnienia.

Spojrzał wprost na Hyde'a i warknął:

- Zasuwasz jak Murzyn, odkąd tu jestem. Od pierwszej chwili!

Przygotowywał się do tego wybuchu, gdy jedli smaczny obiad. Być może robił to już od chwili, gdy wpuścił Hyde'a do swojej klasztornej samotni. Wyłożone cienkim chodnikiem schody, ściany brzemienne wiekiem i wilgocią i obłuzowane drzwi, zaopatrzone w angielskie zamki. Do tego - zapach podgrzewanych, gotowych posiłków, zbyt długo gotowanych wschodnioeuropejskich warzyw, kota sąsiadów, wreszcie ozon wydzielający się z bezustannie eksploatowanej wieży hi-fi oraz komputera. Nieciekawe, skryte w cieniu życie Godwina. Hyde zdawał sobie doskonale sprawę, że jego zdrowe kończyny tworzą barierę dzielącą go od Godwina i otoczenia, w którym tamten przebywał.

Ale Godwin już prawie miał odpowiedź. Wprawdzie tylko jej część, ale wystarczającą niemal za całą odpowiedź.

- ...jak Murzyn - powtórzył, jakby chciał się usprawiedliwić.

- Jasne - odparł Hyde.

Godwin hamował się od wielu godzin. Starał się kontrolować, gdy uczył Hyde'a posługiwania się klawiaturą z cyrylicą, gdyż ten niebawem na takiej miał pracować. Uczył go żargonu, słownika, języka komputerowego oraz zasad bezpieczeństwa. Mówił mu o Hradczanach. Hyde niewiele wiedział o komputerach. Godwin nie tylko chciał mu przekazać podstawowe umiejętności, ale pragnął go wręcz wykształcić. Powtarzał godzinami, wielokrotnie te same ćwiczenia, aż Hyde przestał się mylić, robić błędy w operowaniu klawiaturą. Lecz jednocześnie Godwin cały czas przygotowywał się do swego najważniejszego, nadrzędnego zadania - wybuchu wściekłości. Hyde oczekiwał tego.

- Tak jest, jak Murzyn! - atakował dalej Godwin ze złością. Włączył maszynkę do kawy tak niechętnie, jakby ktoś go do tego zmuszał. - Czy zdajesz sobie sprawę, czego ty i Shelley ode mnie żądacie? Zdajesz sobie sprawę czy nie? - Wprowadził Hyde'a z powrotem do małego przedpokoju. Z klawiatury i monitora stojącego na starym kuchennym stole, który służył Godwinowi jako biurko, wydobywał się wciąż silny

zapach przegrzanych układów elektrycznych. Hyde słyszał za plecami stukanie kul i powłóczenie nogami.

Usiadł pośpiesznie, starając się nie drażnić Godwina. W kuchni bulgotała maszynka do kawy. Słysząc było, jak kot pochłania swoje jedzenie. Po chwili zaczął chleptać mleko, które podsunał mu Godwin.

- A najśmieszniejsze jest to, że Shelley chce to wszystko zrobić dla Aubreya. Dla starego! - Godwin wprost kipiał. - Dla tego starego, ślepego, durnego wała, który nie chciał wykorzystać materiałów, jakie mu dałem! - Pochylił się w stronę Hyde'a. Mała klawiatura i monitor spoglądały jak żywe istoty, ciekawe rewelacji, jakie mogły zaraz usłyszeć. - Zlekceważył je. Wiesz, co mi powiedział? Wiesz czy nie? - Ciało Godwina kołysało się w przód i w tył, naśladując jakby ruch poruszającego się w klubowym fotelu zdrowego Hyde'a. Po chwili Godwin powtórzył: - Wiesz, co mi kiedyś powiedział Aubrey? „To raczej nie będzie działało, Godwin. Jeżeli wprowadzimy ten program, to tak, jakbyśmy się poddali”. To wszystko. To był werdykt i opinia tych jego zastraszonych ekspertów, z którymi się konsultował. Wyrzucił mój „Początek Nitki” do kubła, nawet nie próbując się po raz drugi nad nim zastanowić! A teraz chce, żebym to odtworzył i ratował jego skórę. Śmiechu warte. Co za pieprzona szopa!

- Co to jest „Początek Nitki”? - Hyde przerwał ponurą ciszę. Był przygotowany na to, że powietrze wydobywające się z jego płuc wraz ze słowami będzie iskrzyć w panującej tu atmosferze.

Szara twarz Godwina skrzywiła się.

- Nie udawaj, że nie wiesz.
- Nie wiem - pokręcił głową Hyde.
- Nie wciskaj mi kitu! Przecież Shelley musiał ci to opowiadać! - Hyde nie chciał mu nawet przerywać. - Czy którykolwiek z was zaczął się chociaż domyślać, co naprawdę zrobił Pietrunin, programując komputer w moskiewskiej Centrali? Czy przynajmniej przeczuwacie, czego musiał dokonać, żebyś teraz mógł dobrać się do „Łzy”? - Godwin zachwiał się na kulach, jakby miał za chwilę upaść w tył, na fotel. W kuchennych drzwiach stanął kot. Oblizywał pyszczek, nie interesując się otoczeniem. W kuchni przestał bulgotać ekspres do kawy.

Godwin opadł w fotel naprzeciwko Hyde'a. Oddech miał przerywany, niemal bolesny. Zagłębił się w fotelu, nie zniechęcony trudnościami, jakie musiał pokonać, by w ogóle usiąść.

- Po pierwsze - oświadczył i wyprostował palec wskazujący prawej ręki - musiał wziąć pod włos jakiegoś informatyka, wyjątkowo zdolnego, niemal genialnego programistę. Ale wcześniej musiał sam na to wpaść! Był naprawdę bardzo dalekowzroczny, podejmując pracę w tej komisji... żeby dostrzec taką szansę i wykorzystać ją. Sprytne...

Godwin zadumał się nad finezją tego pomysłu, lecz po chwili ciągnął dalej:

- Pietrunin musiał zmienić strukturę bazy danych. Zrobił to wtedy, gdy po raz pierwszy wprowadzano do pamięci program archiwum. Wtedy zaczęli komputeryzować cały swój system. Ale nawet wówczas bardzo uważał... a przy tym miał dostęp do najlepszych, najnowocześniejszych metod programowania...

Twarz Godwina zaróżowiła się bardziej z emocji niż od cienkiego wina, które pili do wieprzowiny. Jego oczy patrzyły w głąb własnej duszy. Godwin widział tam idącą drogą postać, której nie mógł towarzyszyć z powodu swego kalectwa. Hyde uświadomił sobie, jakim koszmarem dla Godwina muszą być jego porażone nogi. Może Aubrey wcale nie zrobił dobrze, zatrzymując go w służbie? Czy duża firma komputerowa nie odpowiadałaby bardziej ambicjom Godwina?

Godwin odchrząknął i powiedział:

- Teletransmisja uświadomiła mi, że całkiem swobodnie i bezpiecznie można przekazywać informacje tuż pod wężącym wszędzie nosem moskiewskiej Centrali. Możliwość połączenia się po łączach kablowych z centralnym systemem nasunęła mi pomysł, aby w alarmowej sytuacji wykorzystać do tego celu któryś z terminali komputerowych zainstalowanych w każdej radzieckiej ambasadzie, konsulacie czy misji. Do włączenia się w system potrzebował jedynie klawiatury i specjalnego własnego hasła dostępu. Był w stanie dotrzeć do wprowadzonego przez siebie materiału o, tak - Godwin strzelił palcami. Jego oczy badały sufit. Kot ocierał grzbiet o żeberko grzejnika. Hyde wstał i przeszedł obok Godwina do kuchni. Godwin odczuł coś na kształt ulgi. Od razu też zaczął mówić dalej, teraz głośniejszym głosem, żeby zagłuszyć brzękanie filiżanek i bulgot nalewanej kawy: - Musiał zatem zmienić całą strukturę bazy danych, po prostu na wypadek, gdyby ktoś dostał się do jego zbioru w wyniku zwykłego przypadku... Kiedy wejdiesz do przebudowanego przez niego zbioru, otrzymasz niemal dokładnie to, co tam umieszczono. Z tym jednak wyjątkiem, że po pominięciu normalnej procedury dotarcia do akt kadrowych przejdzie się do podzbioru będącego wstępem do wszystkich zgromadzonych przez niego brudnych tajemnic.

- Słodzisz? - zapytał Hyde.

- Nie. Kiedy jednak został wysłany do Afganistanu jako persona non grata, musiał wprowadzić modyfikację procedury, pozwalającą na wejście do bazy danych z terminalu niższego szczebla... - Hyde podał mu filiżankę. - Dziękuję. - Godwin wyglądał na odprężonego. Jego monolog nabrał rozpędu. Mówił teraz z przekonaniem. W tej materii był ekspertem. Właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Hyde wrócił na swoje krzesło.

- Na pewno zaraz potem zabił tego biednego sukinsyna, który mu pomagał... bo

czy potrafiłby sam dokonać korekty programu skracającej procedurę? A czy dałby radę to zrobić po zabicju programisty? Myślę, że mógł sobie z tym poradzić. Na pewno musiał przestudiować instrukcje i stopy programów użytkowych, aby znaleźć procedurę pozwalającą obejść program zabezpieczający zbiór... Z twojego opisu wynika, moim zdaniem, że wprowadził modyfikację do kompilatora, która przekłada procedurę hasła na system zarządzania bazą danych. W rezultacie spowodowało to dopisanie dodatkowej linii do wersji kodu maszynowego. Pokażę ci zatem, jak to działa. Byłoby mu dużo łatwiej, gdyby miał więcej czasu na działanie po decyzji skierowania go do Kabulu. Oczywiście, o ile programista jeszcze żył.

- Być może przewidywał, że popadnie w niełaskę; wszystko, co się wydarzyło, też mógł przewidzieć.

- Czy to był aż tak zdolny facet?

- Bardzo.

Godwin wykręcił się z trudem w fotelu.

Hyde wstał, przeszedł do kuchni i wstawił filiżankę do zastawionego naczyńiami zlewu.

- Będziesz mnie musiał tego nauczyć, Godwin - rzekł. - Wszystkiego, co będzie mi potrzebne.

- Jak dużo wiesz o „Początku Nitki”? - zawołał Godwin.

- Nic nie wiem.

- Shelley nic ci nie mówił?

- Nie.

Godwin stłumił gniew. Hyde podniósł głowę, spojrzął w sufit i powstrzymał westchnienie ulgi. Miał więc haka na Godwina. Kiedy wszedł do pokoju, zobaczył przejętą, niemal lubieżnie podnieconą twarz Godwina.

- Opowiedz mi o tym - poprosił Hyde.

- Później. To po prostu metoda włączania się do linii łączącej ten pokój z Centralą w Moskwie.

- Co?... - zaczął Hyde, usiłując udąć zaskoczenie.

- Później - powtórzył Godwin z fałszywą skromnością. - To ci pomoże dostać się do stacji komputerowej na Hradczanach. Wystąpisz jako specjalista od kontroli systemów. Spowodujemy małe uszkodzenie na łączach... Później. Potrzymam cię jeszcze trochę w niepewności. - Wyszczrzył zęby. Na jego twarzy malował się triumf. Miał minę sławnego aktora, pewnego burzy oklasków, które powitają jego wejście na scenę.

Hyde uśmiechnął się.

- Dobra, potrzymaj mnie więc w niepewności.
- Jesteś pewien, że nie chcesz trochę odpocząć, zanim zaczniemy? - zapytał zarobliwie Godwin. - To zajmie resztę nocy. Jesteś pewien, że możemy zaczynać?
- O ile tylko ty jesteś gotów. Tak więc moje przykrycie to specjalista od systemów. Kto albo co wprowadzi mnie na Hradczany?

Godwin pominął to pytanie machnięciem ręki.

- To jest już załatwione. Otrzymasz tam pomoc i wskażą ci, gdzie masz się ukryć.
- Okay. Jestem więc w środku.
- Będą się ciebie spodziewać. W tym właśnie cały smak. Będzie im potrzebny specjalista. Rozumiesz, nie byle jaki technik, tylko ktoś uprawniony do dostępu do szczególnie tajnych informacji. Ktoś z ambasady sowieckiej. Twoje prerogatywy będą większe niż personelu, z którym się zetkniesz. Będą się ciebie obawiać.

- A dlaczego będzie im potrzebny ten... specjalista?

- Z powodu awarii na łączach. Będzie ona na tyle poważna, że zajdzie potrzeba sprawdzenia, czy ich zbiory danych przesyłane z innych końcowych terminali komputera nie zostały uszkodzone lub zniszczone. Będą bardzo zaniepokojeni. Będą chcieli, żebyś przeprowadził kilka testów polegających na przesłaniu do Moskwy pytań w najbardziej zagrożonej strefie zagadnień i sprawdził, czy nadchodzą prawidłowe odpowiedzi.

Rozumiesz?

- Tak.

- A więc dostaniesz się do głównej hali komputerowej, gdzie będziesz miał dostęp do jednego z zewnętrznych terminali. Z klawiaturą, drukarką, urządzeniami peryferyjnymi... ze wszystkim.

- Jesteś tego cholernie pewny.

- Oczywiście, że jestem tego cholernie pewny! Człowieku, dostajesz wszystko, co miałem najlepszego, ludzi, pomysły i legendę. Dostarczam ci wszystko.

- Okay.

- Na Hradczanach są standardowe terminale komputerowe. Używają pirackiej wersji IBM. Konkretnie CICS, to znaczy „Systemy Kontroli Informacji dla Klientów”. Terminal jest na stałe połączony z Centralą w Moskwie i cały czas jest gotowy do współpracy. To się nazywa odpytywanie. Wszystko, czego będziesz potrzebował, oprócz wystarczającej ilości czasu dla siebie, to hasła, których używał Pietrunin. Podaś je, gdy komputer ich zażąda.

- Dlaczego muszę udawać akurat specjalistę od systemów?

- Ponieważ w ten sposób... - Kot znów przyszedł i zaczął ocierać się o nogi Godwina. Godwin spojrzał w dół, zupełnie tak jakby dotyk miękkiego futerka sprawiał

przyjemność pozbawionym czucia goleniom. Uśmiechnął się i wziął zwierzę na kolana. Kot mościł się tam jak na poduszcze, aż wreszcie ułożył się spokojnie. Wielka dłoń Godwina głaskała jego grzbiet mocno i metodycznie. - ...ponieważ w ten sposób uzyskujesz wejście do danych kadrowych. Szkolnych, wojskowych, kryminalnych. Wszystkich, jakich chcesz. Będziesz tam po prostu siedział i sprawdzał, czy łącza, modemy i aparaty utajnijające nie spowodowały uszkodzenia danych lub systemu ich przekazywania. Gdyby się tak stało, to będą musieli uruchomić łączność rezerwową, aby odbudować dane. Możesz tam być przez trzy, może cztery godziny. A jeżeli zajdzie potrzeba, to i całą noc. Praca może się przeciągnąć... i nikt, żaden człowiek, nie poleci ci wyjść i nie zapyta, co tu jest grane! Zdajesz sobie sprawę, jaki ci robię prezent?

Trzy godziny.

Hyde kiwał głową. Plan Godwina był śmiały i atrakcyjny, ale ogromnie niebezpieczny.

Nie ma jednak innego wyjścia, podsumował Hyde. Starał się opanować ogarniający go lęk. Za późno. Ale, mój Boże...

- Dobrze - rzekł Godwin. - Cieszę się, że to aprobujesz. Mam nadzieję, że dasz sobie radę z rosyjskim.

- Chyba tak. Ale nie z czeskim.

- Jesteś Rosjaninem, nie Czechem.

- Tak, jestem Rosjaninem.

- Boisz się, Hyde.

- Nie.

- Nie podoba ci się mój plan. Myślisz, że się nie uda.

- To nie to.

- To jest to, Hyde. Siądź i posłuchaj. Obmyśliłem go bardzo dokładnie. Zapewniam cię, że wszystko przewidziałem.

- Dobra, mów.

- Będą się tam ciebie spodziewali. Kiedy pewien nieszkodliwy inżynier teletransmisji skończy sprawdzać łącza po ustąpieniu awarii, zawsze telefonuje do ambasady radzieckiej po specjalistę od kontroli systemów.

- Więc pojawia się tam po jego telefonie, a prawdziwy człowiek od systemów wchodzi tam zaraz za mną.

- Nie. Ty już jesteś w środku... Zjawiasz się, zanim tamten skończy pracę i zadzwoni do ambasady. Ambasada będzie już wiedziała o awarii w sieci, ale nie wyśle kontrolera systemów, czekając na telefon od inżyniera teletransmisji. Ty uprzedzasz bieg wypadków i przejmujesz sprawę w chwili, gdy on skończy.

- A ta awaria... tak po prostu ustąpi?
- Ustąpi. Uwierz mi. Jutro rano wszystko przygotujemy. Wejdiesz tam po południu. Awaria nastąpi około ósmej lub dziewiątej wieczorem. Inżynier nie skończy przed jedenastą. Ty powinieneś się z tym uporać do dwunastej, a później szybko do domu.

- Kim jest ten inżynier od teletransmisji?

- Cóż, to prawdziwy inżynier. Nie ma innej rady. Ale będzie się ciebie spodziewał, pamiętaj. Rosjanina rzeczoznawcy. Musisz zagrać na tyle przekonywająco, by nie wzbudzić jego podejrzeń.

- Będą mi potrzebne dowody na piśmie lub zdjęcia.

- Żadnych zdjęć. To zbyt ryzykowne. Światło lampy błyskowej będzie się odbijało od ekranów. Wydruki z drukarki mogą być zbyt duże, aby je wynieść. Wykorzystasz magnetofon ze specjalnym nośnikiem magnetycznym. Nazywają to serpentynką. Działa tak samo jak magnetofon kasetowy. Włączasz to i nagrywasz niczym film z telewizji! - Godwin uśmiechnął się szeroko. Po raz pierwszy tego wieczora przypominał dużego chłopca. Był to Godwin, jakiego Hyde znał wcześniej. Optymista pełen pogody ducha. - Guest będzie mógł sobie bez problemu odtworzyć to nagranie w zaciszu Kancelarii Rządu. Większość używanego przez Czechów sprzętu została wyprodukowana przez ICL albo IBM pod innym szyldem! Kontrakt rządowy sprzed kilku lat.

- Dobra. A kiedy skończę, mam po prostu wyjść tą samą drogą?

- Tak jest. Masz po prostu wyjść. Oświadczysz, że zakończyłeś testy. Podpiszesz parę formularzy. Zapakujesz torbę i w nogi.

- A jeżeli nawalę?

- Cóż, znając twoją subtelność, domyślam się, że utworzysz sobie drogę paroma strzałami.

- Czy to rzeczywiście takie proste?

Godwin potaknął.

- Do stworzenia programu zabezpieczającego bazę danych komputera potrzebny jest geniusz, ale wystarczy byle głupiec dysponujący paroma hasłami dostępu, aby dotrzeć do danych. Nawet ty to zrobisz, Hyde. - Godwin podrapał się w brodę. - Będziesz też potrzebował trochę szczęścia. To, czego Pietrunin omal ci nie przekazał, w chwili gdy przenosił się do Wielkiej Centrali w niebiosach, to był skrócony program dostępu do „Łzy”. Nie wiemy, co tam jest. Będziesz musiał przesiać wszystko, co zgromadził w swoim tajnym archiwum, aż natrafisz na właściwe informacje.

- Jak sądzisz, ile tego jest?

- To nie może być długie. Przecież Pietrunin też musiał liczyć się z tym, że być może będzie się śpieszył przy odszukiwaniu danych. Mógł przewidywać, że będzie

pracował w tych samych warunkach co ty, czyli będąc w miejscu, gdzie nie powinien być, i szukając danych w pamięci komputera. - Godwin znów uśmiechnął się szeroko.

- I tak nie mam innego wyjścia - pokiwał głową Hyde i wstał. - Dobra. Pokaż mi, co mogę zobaczyć na ekranie. Potem mi opowiedz, co robi i jak się zachowuje specjalista od systemów. - Wyciągnął rękę do Godwina, który też uczynił ten sam ruch. Zaniepokojony tym kot zeskoczył lekko z jego kolan. Hyde wyczuł zgrubienie naskórka wewnątrz dłoni Godwina od długiego posługiwania się kulami. Pomógł Godwinowi wstać z fotela i podał mu kule. Godwin sunął ciężko w stronę stołu i ustawionego na nim komputera.

- Chodź tu - rzekł. - Wszystko ci przygotowałem. - Hyde zbliżył się do stołu. - Siadaj, siadaj - ponaglał Godwin niecierpliwie. - Zobaczymy, co tam mamy na ekranie. - Zastukał w klawiaturę. Na małym ekranie pojawiła się jasna lista zielonych literek. - Typowe menu. Takie samo, jakie zobaczysz na terminalu na Hradczanach lub na każdym innym ekranie terminalu. Widzisz, czeka, abyś wydał mu polecenie. W tym momencie musisz użyć pierwszego hasła.

Godwin wsparł się o ramię Hyde'a, gruby palec niemal oskarżycielskim gestem wycelował w ekran. Zaczął chrapliwie oddychać. Hyde poczuł na policzku ciepło tego oddechu.

- Spójrz na to. Wszystko, co wiemy o pracy centralnego komputera, wskazuje, że to menu jest takie samo jak u nich. Wszystko spoczywa w bazie danych, a materiał uzyskuje się poprzez wybór jednego z następujących haseł. Akta osobowe, wojskowi, wykształcenie, karalność. Przebieg pracy zawodowej itd.

- Karalność?

- Tu jest najmniejszy nawet strzępek informacji o każdym, absolutnie każdym, kto kiedykolwiek miał do czynienia z KGB, MWD, NKWD, a nawet OGPU. Jeżeli istnieje teczka, wszystko jest w bazie danych. Nie kończące się miliony znaków informacyjnych. To wszystko jest tutaj. Czeka, żeby się do nich dobrał choćby taki idiota jak ty. Dysydenci, psychopaci, złodzieje i mordercy, no i także pracownicy kadrowi. - Godwin czknął.

- Okay. Skąd mamy wiedzieć, czego mi potrzeba?

Godwin zastukał w klawiaturę. Ekran wyświetlił polecenie podania większej ilości danych. Znów uderzył w klawisze. Ekran oczyścił się, po czym zaprezentował graficzny szkic. Co on przypominał? Chyba drzewo genealogiczne, zdecydował Hyde.

- Spójrz na to - rzekł Godwin lekko, wsparłszy się mocniej na kulach. - Tu masz coś w rodzaju ich schematu. Widzisz, to jest administrator. Program, który nadzoruje bazę danych. Został przedstawiony jako to górne okienko. - Opisane było ono jako

„System”. Linie łączyły je z niższymi okienkami. Jeszcze więcej kresek wiodło do kolejnych rzędów kratek. Wszystkie łączyły się ze sobą i z „Systemem”. Kartka położona pod „Systemem” była oznaczona mianem „Wybór Nazwisk”. Kolejne kratki oznaczone były: „Historia Przydziałów Służbowych”, a dalsze, poniżej: „Przebieg Nauki” oraz „Pochodzenie i Kontakty”. Na dole ekranu pod kolejnymi sześcioma opisanymi prostokątami znajdowały się dwa puste okienka. - Widzisz te puste?

- Tak. Dlaczego są puste?

- Na podstawie tego, co mi powiedziałeś, mogę je teraz opisać. Nazwijmy je - wystukał polecenie - „Łza” oraz, aha, „Brud”, dobrze? - Oba słowa ukazały się po kilku sekundach w pustych dotąd okienkach. To jest model uproszczony. W schemacie danych osobowych takich krater są setki i tysiące.

- Co oznaczają te połączenia? Dlaczego są numerowe?

- Oznaczają drogi, mój kochany, którymi można dotrzeć do informacji. Te dwie kratki, które Pietrunin dodał po kryjomu, wiodą wyłącznie do zestawu dotyczącego jego przydziałów służbowych. Rozumiesz? Oto jak sobie wyobrażam to, co zrobił. Z chwilą kiedy zażądaś informacji o Pietruninie, podając właściwy kod musisz go uzupełnić odpowiednim hasłem dostępu, które służy sprawdzeniu, czy jesteś czysty. Następnie prosisz o jego kolejne przydziały i tak dalej... oczywiście, o ile jesteś czysty. Ale w twojej sytuacji, uzyskując dostęp do jego przebiegu służby, użyjesz jego hasła, którego elementy ułożone są w odwrotnym porządku. Dotarcie do tego etapu wymaga zupełnie innego programu wywoływania informacji. Toteż musisz postępować według następującej procedury... - Wskazujący palec Godwina posunął się po linii od kratki „System” do „Wykaz Nazwisk”, stamtąd do „Historia Przydziałów Służbowych”, aż dotarł do prostokąta opisanego jako „Łza”. - Chyba że znasz hasło do okienka „Brud”, którym będziesz musiał się posługiwać przez całą drogę do „Łzy”. Na podstawie tego, co ci powiedział Pietrunin, zakładam, że miał on programy pozwalające po podaniu hasła na wejście do każdego z utajnionych przez niego podzbiorów. Ty będziesz musiał zdać się na ślepy los i sprawdzać wszystko, dopóki nie odnajdziesz „Łzy”. Rozumiesz?

- Tak - zapewnił Hyde. Ręce mu drżały, wcisnął je między uda, aby ich nie widzieć. - Jak długo to może trwać?

- To zależy przede wszystkim od ilości materiału wprowadzonego do pamięci oraz od tego, czy w okresie ostatnich paru lat uzupełniał zbiory.

Sądzę, że to kwestia minut.

- Wszystko, co się ukaże na ekranie albo zostanie wydrukowane, to kwestia minut?

- Tak.

- Jak długo powinienem być zupełnie sam?
- Dziesięć minut. Nie wiesz, jak dotrzeć do „Łzy” bezpośrednio. Musisz przeдрzeć się przez wszystkie zgromadzone przez niego brudy.
- Prawdziwa szansa to zamiast skakać po kratkach od razu iść do więzienia - mruknął Hyde.
- To najbezpieczniejsza metoda.
- No myślę! - Hyde spojrział na Godwina. - Ten sukinsyn Pietrunin wyciął na koniec dobry numer, nie uważasz? Jeszcze mnie może zabić. A pomyśleć, że zbój już nie żyje od ładnych paru dni!

Godwin powiedział tylko:

- Przeświczmy program pozwalający na uzyskanie dostępu do pamięci. Wszystko już przygotowałem.

Hyde przyjrzał się klawiaturze małego komputera. Godwin cierpliwie ponaklejał na każdym z klawiszy małe karteczki. Na każdej z nich widniały litery napisane cyrylicą. Przed posiłkiem i w czasie, gdy przygotowywał w kuchni jedzenie, zmuszał Hyde'a do bezustannych ćwiczeń, które miały go zaznajomić z klawiaturą, przy jakiej miał pracować na Hradczanach. Hyde przyglądał się z niedowierzaniem, jak Godwin czyścił ekran monitora z jego pisaniny i wracał na nowo do menu. Dzięki Godwinowi radził już sobie z żargonem i z programami, które miały mu umożliwić dostanie się do poszukiwanych informacji. Obawiał się natomiast, czy poradzi sobie z samą sytuacją, z niebezpieczeństwem i osamotnieniem.

Będzie tam zbyt osamotniony, wystawiony zbyt długo na ogień przeciwnika... Upiływające odcinki czasu będą jakby kolejnymi pasami pół minowych. To będzie trwało zbyt długo, zbyt długo.

- Gotowe? - zapytał Godwin. - No to zaczynamy.

W chwili gdy Margaret ujrzała Babbingtona, który skończył rozmawiać przez telefon i siedział teraz za biurkiem, opuściła ją odwaga, aby go okłamywać. Ciepło pokoju rozpromieniło jej policzki barwą spowiedzi i winy. Strażnicy trzymali ją nadal za ramiona, a pies drapał drewnianą podłogę w głębi korytarza. Dyszał głośno i groźnie, duszony przez kolczatkę na szyi.

Babbington szeroko się uśmiechnął. Obmyślane wcześniej kłamstwa wydawały się teraz Margaret głupie, nedorzeczne. Babbington wiedział wszystko. Nie zdoła go więc przekonać o swojej niewinności.

- Margaret, moja droga Margaret - rzekł wstając. Dał znak ręką, by ją puścili. Opuściła bezwładnie ręce wzdłuż boków. Czy była jakaś nadzieja? Nie. Głos brzmiał

kpiąco i pewnie. Babbington zbliżył się do niej z wyciągniętymi ramionami. Jego uścisk spowodował, że zadrżała. - Margaret? - Patrzył na nią coraz twardszym spojrzeniem. Wreszcie odsunął się od niej i oznajmił: - Przysporzyłaś mi mnóstwo zmartwienia. Mnóstwo zbędnego niepokoju. - Słowa te zabrzmiały jak parodia surowego ojcowskiego gniewu.

- Andrew! - wybuchnęła, drżąc cała, jakby w nagrzanym pokoju panował mróz.

- Tak? - odwrócił się do niej na pięcie.

Dał prawą ręką kolejny znak, po którym usłyszała zamykające się za nią drzwi. I tak jednak słyszała odgłos ślizgających się, ciężkich psych łap.

Ktoś z trudem odciągał zwierzę. Pies szczeknął, próbując pokazać, jaki jest groźny.

- Ja... - zaczęła. - Gdzie jest Paul? Paul żyje, prawda? Trzymasz go tutaj, tak?

Babbington spojrzał na nią ponuro. Nakazał jej gestem ręki, aby usiadła na fotelu. Idąc trzymała się blisko kominka, aby uniknąć dotknięcia Babbingtona. Fotel zdawał się zapraszać i przynaglać do zajęcia miejsca. Traciła władzę w nogach. Babbington zasiadł naprzeciwko.

- Obawiam się... - zaczął.

- Nie! - zawyla i w tej samej chwili zatkała usta wierzchem dłoni. Oczy zasły jej mgłą. Spojrzenie Babbingtona rozjarzyło się. - Och, nie... - dyszała. - Nie, nie...

- Przykro mi.

- On nic nie wiedział. Nie mógł ci w żaden sposób zaszkodzić! - zaprotestowała, uznając, że zaplanowane przez nią oszustwo pozwoli jej oderwać się od rzeczywistości.

- Myśmy nic nie wiedzieli! Nic. Przysięgam, że nic, nic nie wiedzieliśmy... - Głos Margaret przeszedł w szloch. Zawisła jakby na wskazówkach wielkiego zegara, pragnąc cofnąć czas. Jeżeli będzie wciąż i wciąż stawiać opór, może Paul przeżyje. - My nic... nic...

Kiedy podniosła wzrok, ledwie widziała Babbingtona przez mgłę łez. Otarła oczy i dostrzegła na jego twarzy wyraźny teraz uśmiech satysfakcji.

- Niestety, Margaret, to nic nie da. - Westchnął. - Dużo myślałem na ten temat. Nie mogłem dłużej wierzyć, że się nie dowiecie. Początkowo miałem taką nadzieję. Uwierz mi. Potem daremnie chciałem się ludzić, że wierzę. Nie mogę uciec przed prawdą. Wicie wszystko. O Aubreyu i o mnie.

Postanowiła zaprotestować, powstrzymać go. Za daleko i za prędko się posunął. Przecież na szachownicy były jeszcze figury i można było grać dalej. Byle nie naga prawda, bo ta nieuchronnie pociągnie za sobą śmierć Paula.

- Nie - to wszystko, co powiedziała, opuszczając wyciągniętą ku niemu rękę, którą jakby pragnęła powstrzymać jego słowa.

- Obawiam się, że tak musi być, Margaret - rzekł łagodnym, nieomal pieszczotliwym głosem. Wstał z fotela i szedł w jej stronę. Znów nie mogła jasno odczytać wyrazu jego twarzy.

Ujął ją wielką dłonią za podbródek.

- Paul żyje, moja droga. Jest ranny, ale żywy.
- Co takiego?

Wtedy padł cios. Jej głowa podskoczyła, szczękę przeszył ból, a szyja zapiekła od uderzenia zaciśniętą pięścią. Usłyszała, jak się cofnął. Coś zaszemrało i strzeliło w kominku niczym w kościach starca. Obmacała szczękę. Poczowała smak krwi w ustach. Wypłuła ją.

- Żyje i będzie żył, jeśli powiesz, co tutaj robisz. Gadaj, gdzie byłaś i co wiesz. Kto z tobą współpracuje? Jeżeli się dowiem, to Paul będzie żył. Zrozumiałaś? - Odwrócił się do niej i krzyknął. - Czy mnie zrozumiałaś?

- Tak, tak! - Spływająca z ust krew zmieszana ze śliną ściekała jej na utrzymaną przy ustach dłoń. Przeniosła wzrok na jego twarz. Nie robił wrażenia, aby żałował aktu przemocy lub miał zamiar się przed nią powstrzymać.

- To dobrze. Gdzie jest Hyde?
- Kto taki?

Skuliła się, gdy ruszył napięty w jej stronę.

- Hyde! - warknął. - Gdzie jest Hyde?
- Nie wiem.

Wymierzył drugi cios. Krew z jej dłoni spłynęła na palenisko, zaskwierczała wśród pniaków. Margaret jęknęła przy nowym ciosie.

- Gdzie on jest?
- W Czech... Czechosłowacji - wyszlochała.
- Po co?
- Nie wiem! - krzyknęła. - Nie mówił mi. Właśnie na wypadek, gdyby tak się stało!

Babbington opuścił zaciśniętą pięść. Wyglądał na usatysfakcjonowanego.

- Co ci kazał robić podczas jego nieobecności? - zapytał ochrypłym głosem. - Co ci kazał?

Margaret patrzyła na niego. Nie może mu już nic więcej powiedzieć! Powiedziała za dużo. Ogluszona ciosami i krzykiem, powiedziała o wiele za dużo. Spojrzała z poczuciem winy na torebkę, na swoje ręce i stopy. Skuliła się w sobie, jakby kryjąc się przed Babbingtonem. Jeśli się wszystkiego dowie, zabije ją i Paula.

- Co ci polecił zrobić? Śledzić mnie? Obserwować?

Była przygotowana na dalsze pytania, ale oni zastosowali metodę wrzucenia znie-nacka do lodowatej wody. Pochyliła się pragnąc uchylić się od odpowiedzi i przyłożyła drżącą dłoń do warg.

Babbington schwycił jej torebkę i wysypał zawartość na jasny dywan przed komin-kiem. Czubkiem buta rozrzucił drobiazgi: puderniczkę, klucze, szczotkę do włosów, papierowe chusteczki i kosmetyczkę. Później but trafił na broszurkę z instrukcją monta-żu i użytkowania teleobiektywu oraz plastikowe pudełko, w którym znajdowała się druga rolka filmu.

Niczym piłkarz, z gracją kopnął pojemniczek, który potoczył się po dywanie, a na-stępnie odsunął instrukcję, oddzielając ją od innych, niepotrzebnych rzeczy. Schylił się i podniósł oba te przedmioty. Twarz jaśniała mu od triumfu w blasku kominka. Gdy tylko jednak otworzył i przejrzał instrukcję, wzrok mu stwardniał. Wielką łapą zgniótł plastikowe pudełko.

- Ho, ho! - szepnęła łagodnie. - Cóż z ciebie za pracowita istotka, ho, ho. - Znow zaczął mówić ostrzejszym głosem: - Po coś robiła zdjęcia, Margaret? Gdzie te twoje urlopowe fotki?

Milczała, drżąc jak młode drzewko w pierwszym podmuchu nadciągającej burzy. Nie była w stanie powstrzymać drżenia głowy, co wyglądało, jakby bezustannie prze-czyła jego słowom.

- Co fotografowałaś? - wrzasnął na nią. Skuliła się w fotelu. Chwycił ją za ręce. Wykręcił je i przyciągnął ją bliżej. Przeleżała się ostrych błysków w jego oczach i głod-nych ust. - Gadaj, Margaret, albo on już nie żyje! Rozumiesz? Już umiera! - Cisnął ją gwałtownie w głąb fotela.

Krzyknęła:

- Nie!

- Daję ci słowo. Umiera! - Ruszył ku drzwiom.

- Nie! - Nie zatrzymał się. - Śledziłam cię... na spotkaniu w Belwederze!

Zawrócił na pięcie. Usłyszała jego westchnienie, równie głębokie jak przy seksual-nej satysfakcji. W pokoju upał uderzał do głowy. To miejsce, odpowiednie do hodowli egzotycznych roślin, cuchnęło.

- Masz dowody z tego spotkania?

- Dwie rolki filmu... teleobiektyw...

Ruszył ciężko w jej stronę.

- Gdzie te dwie rolki?

Skuliła się przed uniesioną ręką.

- Ukryłam je...

Chwycił ją za podbródek i szarpnął, unosząc go w górę. Kciukiem i wskazującym palcem ścisnął boleśnie jej szczękę.

- Gdzie są? Kiedy je wysłałaś? - Potrząsnął jej głową niczym niezwykle kruchym, łatwym do stłuczenia przedmiotem. - Mów, Margaret. Mów!

Zdradziła nazwę pensjonatu i czas wysłania filmów. Puścił natychmiast jej brodę i spojrzął na zegarek. Podszedł szybko do biurka i warknął coś do interkomu. Rzucił polecenie w mikrofon, po czym oświadczył:

- Jeszcze ich nie odebrali. Tak, oczywiście, legitymacje policyjne dla ciebie i dla tego, kogo zabierasz ze sobą! Pośpiesz się!

Puścił przycisk i odwrócił się do Margaret. Poczwała, że coś w niej pękło. Wola lub stanowczość. Nie bardzo wiedziała. Również chyba nadzieja. Wykonała w tej grze już ostatni ruch. Doprowadziła do sytuacji matowej. Rękami przesunęła po rozbitej szczęce i drżących ustach. Straciła wszystko, wszystko.

Było szaleństwem zakładać, że zdoła odwrócić bieg wydarzeń. Od pierwszej chwili było to bezsensowne. Wszystko, co się liczyło, naprawdę liczyło, to życie Paula. I on żył. Teraz Babbington go odda. Spojrzała w górę w chwili, gdy Babbington zwrócił się do niej:

- Teraz powinnaś zobaczyć się z mężem, Margaret. - Potarł nieznacznie dłonią o dłoń i otrzepał je. - Cóż, przykro mi za to, co się stało. Musiałem cię zastraszyć czy nawet uderzyć, aby oszczędzić czas. Nie mam go zbyt wiele do stracenia. Niemniej jednak... - Świecił swój triumf. Jego wyrachowana łaskawość zmroziła ją bardziej niż niedawny atak sadyzmu i mściwego gniewu. - Jest jeszcze trochę czasu... - Ujął ją za ramię i pomógł wstać z fotela. Straciła poczucie rzeczywistości. Zdawało jej się, że jest workiem przenoszonym na inne miejsce. - Szkoda, że nie wiesz nic bliższego o miejscu pobytu Hyde'a lub jego planach, ale wierzę w twoje słowo. Jest dość cwany, żeby ci nie ufać - Babbington uśmiechnął się. Gdy doszli do drzwi, skuliła się w obawie, że czai się za nimi pies. Babbington otworzył drzwi. Korytarz był pusty. - Chodź - powiedział. - Zaprowadzę cię do Paula.

Tak ją to przejęło, że niemal zapomniała, co się przed chwilą stało. Odezwał się do niej miłym głosem. Jego ręka bardziej ją podtrzymywała, niż ograniczała swobodę ruchów. Każdy krok po wyfroterowanej podłodze przemieszczał ją w głąb kruchej fikcji. Czwała, że opiera się o Babbingtona, szukając w nim podpory.

„Najpierw kłamał, potem uderzył, abyś straciła nad sobą kontrolę” - podpowiadało jej coś w myślach. „Zniszczył cię, kompletnie cię zniszczył”.

Z trudem panowała nad sobą, aby nie wypowiedzieć głośno tych myśli. Twarz ojca, twarz Aubreya, twarz Babbingtona z wyrazem okrutnej satysfakcji, twarz Paula...

Fotografia z gazety. Czaszka oddzielona od szkieletu łopatą robotnika. Czaszka rozłupana przypadkową kulą Aubreya. Zadrżała i oderwała się od Babbingtona.

- Nie - wyszeptala.

- Alez juz jesteśmy na miejscu - oznajmil Babbington z jowialną drwiną. Obok nich stal uzbrojony straznik. - To pokój Paula. Proszę otworzyć drzwi. - Straznik przekrecil klucz i uchylil drzwi. - Co za mile spotkanie! Znowu razem, prawda, moja droga Margaret? - rzekl Babbington, pchnawszy ją do przodu. Drzwi głośnie zatrzasnęły się za nią.

Massinger rozejrzal się roztargnionym wzrokiem, jak gdyby ktoś obcy zakłócił spokojną atmosferę domostwa. W rękę wciąż trzymal książkę. Z niewielkiego tranzytorowego radia, które otrzymał od swoich prześladowców, płynęła muzyka. Nie przyniesiono mu jedzenia, bo nie nadeszła jeszcze pora kolacji, ani tym bardziej czas na dużą szkocką, którą dostawal późnym wieczorem.

Więc co to, zastanawial się usilnie.

Gdy rozpoznal żonę, doznał szoku. Uczucie zaskoczenia bylo tym silniejsze, że nie pogodzil się jeszcze z uwięzieniem. Jednocześnie dostrzegl rozchylone usta i przerażone oczy żony oraz siniaki na jej twarzy.

Margaret drzala, stojąc w drzwiach. Ból przeszył mu udo i biodro, kiedy unosil raną nogę, dźwigajac się niezgrabnie z niskiego łózka. Odrzucil książkę i niepewnie stanął na nogi.

Ruszyła ku niemu. Utwór Haendla, wbrew atmosferze panujacej w pokoju, przeszedl z andante w niemal wesołe allegro. Paul stal skonsternowany. Gdy po chwili przytulil Margaret do siebie, poczul drzenie całego jej ciała. Wciąż, bez przerwy, powtarzala szeptem jedno słowo:

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam, przepraszam...

Nie potrafil pojąć, za co go przeprasza. Zrozumial to, gdy poglaskal jej włosy i łagodnie dotknal ręką policzka. Skrzywila się, jakby w obawie przed bólem. Ona również byla więźniem. Przyszła tu, aby go odnaleźć. Nieostrożna, nierozważna, myśląca tylko o jednym...

Byl absolutnie pewien, że powiedziala Babbingtonowi wszystko, co wiedziala.

Uniosl w górę jej twarz. Pocalowal ją ostrożnie i miękko, uważajac, by zarostem nie urazic posiniaczonego podbródka. Patrzyla na niego jak dziecko. Gdy wzial ją w ramiona, poczul jej ciało przez koszulę. Futrzaną kurtkę miała mokrą od topniejacego śniegu. Przez moment chcial ją odepchnąć i z daleka powiedziec jej, jakie popełnila głupstwo, jaki fatalny bład...

Ale ona juz to wszystko wiedziala.

Poddala się, szepczac przeprosiny przywarla twarzą do jego piersi. Spojrzal na jej blond włosy na tle zaryglowanych drzwi malego pokoju. Wydal mu się, że dostrzega czujajacego na zewnatrz uzbrojonego straznika. Pogladzil ją z roztargnieniem po

głowie, a nawet po futrzanej kurtce. Tak jakby głąskał małe zwierzątko, którego nie można za nic winić.

- Już wszystko dobrze, kochanie. Wszystko w porządku - zaczął łagodnie, biorąc ją jeszcze mocniej w ramiona. - Wszystko w porządku... Jesteś bezpieczna. Odchodziłem od zmysłów, martwiąc się o ciebie. W porządku, w porządku... - To wszystko zrobiła z miłości. Zabiła się, tak jak i on. Przelknął ślinę. - Już wszystko dobrze, wszystko okay... - Szlochała cicho. Musiał pomóc jej w przewyciężeniu poczucia winy. - Nie martw się. Zrobiło się zamieszanie, ale całe twoje postępowanie było uczciwe. Nie wiń się za to... Już wszystko w porządku. - Wciąż szeptał do jej zakrytego włosami ucha. Gładził ją po twarzy i ramionach. - Nie powinienem był. To moja wina. Toja narobiłem tego zamieszania... - Czy tak uważał? O, tak. - To ta moja głupia, nie-dorzeczna zapalczywość. Moja ślepotą, głupota - wyrzucał z siebie kolejne słowa. - Chciałem pomóc i nie pomyślałem o tobie... Wybacz mi. Nie myślałem o tobie...

Nieustannie wpatrywał się w drzwi, mimo że czuł, jak bardzo Margaret pragnie spokoju. W końcu otworzyła zaciśnięte dłonie i mocniej przycisnęła go do siebie. Przełknęła łzy. Usłyszał, że zaczęła spokojniej oddychać. Wciąż gładził jej włosy i twarz.

Hyde nie zwracał uwagi na niezdarne ruchy Godwina na ruchomych schodach. Po raz kolejny patrzył na trzymane w dłoni niewielkie zdjęcie. Na schody wszedł za ciężko dyszącym Godwinem, dźwigając na ramionach torbę z narzędziami. Fotografia była mała, czarno-biała, wykonana za pomocą lampy błyskowej. Przedstawiała zwoje kabli ukrytych pod podniesioną na chwilę pokrywą. Na fotografii widniały nagryzmolone przez kogoś długopisem znaczki. To nie było pismo Godwina. Napisy w języku czeskim u dołu fotografii oraz strzałka wskazywały jeden ze sfotografowanych kabli.

Połączenie między terminalami hali komputerowej na Hradczanach i moskiewską Centralą.

Wcisnął zdjęcie do kieszeni poplamionego kombinezonu, naciągniętego na sztrukturalne spodnie i kraciatą koszulę. Nie ogolił się. Gdy drapał się po szorstkiej brodzie i policzkach, przypominała mu się prawie nie przespana noc. Przypomnił sobie wyćwiczone w nocy, wśród kłębow papierosowego dymu, umiejętności, które wciąż zaprzętały mu myśl. Próbował je odsunąć, skupiając uwagę na swoich stopach. Dojechał tak do końca schodów. Godwin poprawił kule i oparł na nich pewnie swoje ciało. Nie mieli teraz czasu, aby zastanawiać się nad nadchodzącym popołudniem i wieczorem...

Ludzie przemykali za nimi, tłocząc się w dyskretnie oświetlonej hali stacji metra Mustek. Śnieg połyskiwał wilgocią na ramionach, kapeluszach, chustkach na głowę.

Posadzkę pokrywały ślady błota pozostawionego przez przechodniów. Tłum śpieszący do pracy przesuwał się wzdłuż sklepowych wystaw.

- W porządku? - mruknął po czesku Hyde, pochylając się do Godwina, który lekko się skrzywił i skinął głową.

Hyde zarzucił na ramię pasek monerskiej torby. Miał na sobie szaroniebieską bluzę roboczą. Jeszcze jeden idący do pracy. Przyłączył się do zdyscyplinowanej procesji ludzi zmierzających na peron. Za nim podążał Godwin. Hyde czuł narastające napięcie i wiedział, że wyczerpują się resztki jego sił. Brak snu utrudniał mu myślenie. Miał wrażenie, że umysł oddzielił się od jego ciała. Zdenerwowanie ograniczało zdolność myślenia.

Stojący za nim Godwin odpoczywał na kulach, kiedy czekali na metro. Następna stacja - Muzeum. Po drugiej stronie placu Waclawa. Później spacer długim tunelem do zapieczętowanej pokrywy luku kontrolnego zamocowanej w murze. Wpatrując się w szyny, ujrzał przed oczyma dzielącą go od tego miejsca wymierzoną krokami odległość. Miał przed sobą trzy szyny metra. Jedną z nich, tą gorącą, płynął prąd. Mierzył odległość wzdłuż tej gorącej. Nie umiał myśleć o tym inaczej. Rzucił odruchowo spojrzenie w głąb tunelu, tam gdzie kończyły się światła, a gorący tor ginął w pułapce. Wstrząsnął nim dreszcz.

- Nic ci nie jest? - syknął Godwin.

Hyde energicznie pokręcił głową.

- Zamknij się - warknął.

Rozkłady jazdy, odległości, narzędzia, fotografia, wymaginowane hałasy z tunelu kłębiły się w jego głowie. Wcisnął rękę do kieszeni. Drugą uchwycił tak mocno pasek monerskiej torby, że aż pobiegały mu kostki dłoni. Czuł mdłości pomimo rogalików, bułek i kawy, które Godwin w niego wmusił. Jego pewność siebie była krucha jak wafel. Tworzyła wokół niego zaledwie delikatną osłonkę; mógł ją przebić byle bodziec zewnętrzny.

Wyprodukowany w Rosji skład wagonów na gumowych kołach wpadł na stację. Światła i słoczone w oknach twarze podróżnych, przesuujące się coraz wolniej przed oczami Hyde'a, pojawiły się dokładnie w chwili, gdy zdołał opanować drzenie głowy wywołane dudnieniem nadjeżdżającego pociągu. Tłum wpełchnął go do wagonu niczym opornego przedstawiciela komitetu protestacyjnego, wysłanego, aby przedstawić zażalenia załogi. Godwin posuwał się ciężale z tyłu.

Drzwi zamknęły się. Pociąg szarpnął i ruszył. Nagle Hyde zobaczył tuż przed sobą ściany tunelu. Były zdecydowanie zbyt blisko. Tuż za rzędem ludzkich twarzy. Znać było na nich brak snu, złe, nie urozmaicone odżywianie, przedwczesną starość. Tylko najmłodsze kobiety miały nałożony lekki makijaż.

Znów światła. Pociąg zwalniał przed przystankiem. Drzwi otworzyły się. Na tablicach ogłoszeniowych plakaty z wizerunkiem Muzeum. Czyste kremowe dachówki. Twarze Dworzaka i innych brodatych postaci. Tłum wyrzucił Hyde'a z wagonu na peron. Za nim wypadł Godwin. Zaczął wściekle stawiać opór napierającym mu na plecy ludziom.

Peron opustoszał. Pociąg odjechał. Hyde śledził go wzrokiem. Wyobrażał sobie swoje ciało przyciśnięte do ściany tunelu, prężące się, aby przywrzeć możliwie najmocniej do walcowatej ściany w chwili zbliżania się wagonów. Były zbyt blisko.

- Co się dzieje? - wyszeptał chrapliwie Godwin. Peron był niemal pusty. Stało na nim dwóch kolejarzy w mundurach i sprzątaczką ze ścierką i wiadrem; może z tuzin pasażerów szedł wzdłuż peronu.

- W porządku - odpowiedział oschle, kiwając głową: - Dobra jest.

Zaczyna być niezłe, powiedział sobie w duchu, kiedy Godwin wpatrywał się w jego błąd, nie ogoloną twarz. Zaczyna być niezłe... Zauważał ludzi, oczy, odległości.

- Okay - powiedział w końcu Godwin, jakby telepatycznie uświadamiał sobie przemianę zachodzącą w Hydzie. - Chodźmy... - Zaczął sztywno posuwać się wzdłuż zatłoczonego teraz bardziej peronu. Zastanawiał się, gdzie podzieli się ci dwaj w mundurach. Zauważył jednego, ale drugi gdzieś zniknął. Hyde ruszył za nim i zrównał się z Godwinem, uważnie rozglądając się dookoła. Tunel rozszerzał się, w miarę jak się do niego zbliżali. - Odległość?

- Czteryście jardów.

- Przewód?

- Trzeci od góry.

- Kolejność czynności?

- Zdjąć osłonę. Przewiercić zamek... powiedzmy, trzy, cztery minuty... cewka indukcyjna. Kolejny pociąg. Tranzystor zakłócający z baterią. Zegar... Zanim przyjedzie kolejny pociąg.

- Dobra. O to mi chodziło. Ustaw wyłącznik zegarowy na ósmą.

Hyde skinął głową. Doszli do końca peronu. Hyde spojrzął na zegar. Za minutę przyjedzie pociąg. Peron wypełnił się podróżnymi. Nie widział nikogo w mundurze. Nikt nie patrzył w ich stronę. W wyobraźni zobaczył swoje stopy stąpające ostrożnie po płamie światła z latarki, pokrywę luku, pracującą wiertarkę, montaż cewki indukcyjnej. Znów skinął głową.

Twarz Godwina była skupiona i spokojna. Twarz oficera operacyjnego, któremu nie powierzono żadnego zadania. Godwin uśmiechnął się szeroko niczym mały chłopiec. Hyde został z tyłu. Czy usłyszał nadjeżdżający pociąg? Doszedł do krawędzi peronu i

oparł się o ścianę. Wpatrywał się przez chwilę w gorącą szynę i w leżące pomiędzy nią a drugim torem zmięte w kulkę opakowanie od papierosów. Rozejrzał się po peronie. Wszystkie twarze zwrócone były w innym kierunku. Cichy, odległy łoskot.

Godwin zbliżył się do krawędzi, aby go zasłonić. Hyde opuścił się w dół. Uświadomił sobie, że jego buty i nogawki spodni znajdują się tylko parę cali od szyny pod napięciem. Zachowując maksymalną ostrożność, ruszył szybko w głąb tunelu. Nie słyszał za sobą krzyku lub pomruków świadczących, że go zauważono. Zaświecił latarkę. Wyczuł drżenie gruntu pod stopami i usłyszał hamujący pociąg, który wjeżdżał na stację. Miał ochotę przyspieszyć kroku lub nawet pobiec. Przesunął promień latarki na ścianę tunelu. Później znów poświecił na buty. Widział swoje stopy poruszające się w kręgu światła. Znów oświetlił ściany. Wciąż liczył sekundy.

Świadom kruchości swoich kostek i skutków potknięcia, kierował latarkę raz na ścianę, raz na stopy. Mijały sekundy. Ściana. Stopy. Oddech. Hałas. Hałas. Szarpnięcie przyspieszonych wagonów. Znów drżenie pod butami. Gwizd gumowych kół. Pomruk trakcji elektrycznej.

Przestąpił szynę pod prądem i wcisnął się we wnękę techniczną w ścianie tunelu. Pociąg łomotał i dudnił tuż za nim. Wargi mu drżały niemal w rytm przelatujących ponad nim bocznych lamp wagonów. Przycisnęła policzek do chropowatych cegieł. Srebrna rozmazana linia wagonów, rozpędzona ściana metalowej zamieci przesuwała się obok płytkiej niszy wnęki i umieszczonego w jej górnej części szybu wentylacyjnego, przypominającego komin w kominku.

I nagle cisza, chociaż w uszach wciąż słyszał dzwonienie wywołane hałasem pociągu. Po chwili usłyszał jednak burczenie szyny zasilającej. Mijały kolejne sekundy. Oderwał się od ściany. Miał pięć minut. Znów przekroczył gorący tor i zaczął iść na miękkich, drżących nogach w głąb skracającego w tym miejscu tunelu.

Druga wnęką techniczną, później trzecią. Trzysta pięćdziesiąt jardów od stacji. Liczył równo stawiane kroki. Nogi odmierzały odległość i czas. Każdy krok to jeden jard. Każdy krok to jedna sekunda.

Cienki strumień światła latarki ślizgał się po ścianie tunelu. Tabliczki informacyjne, rury, skrzynki bezpieczników. Metalowa płyta. Bez oznaczeń, przypomniał sobie. Szedł dalej. Sześć kroków. Tam. W tym miejscu, gdzie kończyło się oświetlone pole. Metalowa płyta. Tym różniła się od drzwiczek metalowej szafki na lekarstwa, że nie miała żadnych oznaczeń. Śpieszył do niej, omijając gorącą szynę. Poświecił latarkę. Wyciągnął zdjęcie. Sprawdził wymiary podane na odwrocie wraz z odległością od peronu. Wszystko się zgadzało.

Skomplikowany zamek.

Kable łączące terminale komputerowe na Hradczanach z moskiewską Centralą zostały umieszczone w ścianach w czasach, gdy budowano metro. Kładziono je pod nadzorem KGB. Skalne wzgórze, na którym stały Hradczany, zabezpieczało przed bombami halę komputerów równie dobrze jak głębokie tunele, chroniące przed uszkodzeniem kanały tajnej łączności przewodowej.

Hyde dotknął zamka w pokrywie, a później wyjął z torby wiertarkę. Świecił po ścianach, aż znalazł gniazdo prądu trójfazowego. Włożył weń wtyczkę wiertarki. Naciśnął wyłącznik i niemal fizycznie odczuł, jak wycie wiertarki niesie się przez ciemność w kierunku peronu. Mogło ono kogoś zaniepokoić.

Przycisnął wiertło do drzwiczek skrzynki rozdzielczej. Poczuł, jak koniec ześlizguje się na bok. Przycisnął wiertarkę obiema rękami i zaczął przewiercać zamek.

Umieścił latarkę pomiędzy szczęką a opuszczonym nieco ramieniem. Słaby strumień światła podskakiwał, drżał i zdawał się przygasać. Hyde czuł otaczające go ciemności. Uświadamiał sobie, że za nim jest tor, którym płynie prąd. Od następnej wnęki w ścianie tunelu dzieliło go trzydzieści jardów. Poprzez gwizd wiertarki musiał wsłuchiwać się, czy nie nadjeżdża kolejny pociąg.

Przerwał pracę i przykucnął. Szybko odpiął z przegubu pasek zegarka. Później zanurzył rękę w stojącej z boku torbie z narzędziami i wyłowił z niej rolkę czarnej taśmy izolacyjnej. Wstał. Oświetlił drzwi latarką i taśmą przykleił do nich zegarek. W bladym świetle widać było cyferblat. Minęły dwie minuty i czterdzieści siedem sekund od chwili, gdy stanął na torowisku po przejeździe ostatniego pociągu. Dwie minuty. Dwie minuty i dziewięć sekund do przyjazdu następnego. Sekundnik przeskakiwał wokół tarczy zegarka. Zacisnął ponownie latarkę między szczęką a ramieniem i umieścił końcówkę wiertła w zamku. Jeden otwór, dwa, trzy. Została mu minuta dwadzieścia. Minuta dziesięć. Trzy, cztery otwory. Przebił się przez metalową płytę. Wyszarpnął wiertło, aby nie uszkodzić żadnego z umieszczonych w skrzynce kabli. Znow skontrolował czas. Czterdzieści pięć sekund. Pięć otworów. Ile jeszcze, trzy?

Trzydzieści sekund. Chociaż z ust buchała mu para pokrywająca mgiełką tarczę zegarka, pot spływał mu po twarzy, zalewając oczy. Para osiadała na metalowych drzwiczkach. Był cały mokry od potu. Dwadzieścia pięć sekund. Słuchał niosącego się dookoła hałasu wiertarki. Dźwięk płynął aż do niewidocznego stąd peronu na końcu tunelu. Znow zaczął wiercić.

Dwadzieścia. Piętnaście. Dziesięć.

Sześć dziur. Zaczynał siódmą. Zgodnie z rozkładem jeszcze pięć sekund. Pociąg

powinien wjeżdżać na stację. Czas się ruszyć. Nerwowo opuścił wiertarkę. Światła na przeciwnym ścianie, drżenie gruntu pod stopami. Hyde pobiegł.

Pociąg z rykiem pędził przez zakręt tunelu. Ściągał go. Hyde świecił latarką przed siebie, później na ścianę i znów pod nogi.

Zobaczył w świetle płytką wnękę. Rzucił się do środka, plecami do pociągu, który był za jego plecami, a metalowa zamieć wokół wagonów ryczała o kilka cali od niego. Wagony przejechały. Oderwał się od ściany. Pociąg przybył z blisko trzydziestosekundowym wyprzedzeniem.

Powoli, chrapliwie oddychając, powrócił Hyde do skrzynki rozdzielczej i pozostawionej gdzieś koło niej wiertarki. Nerwowo świecił dookoła, dopóki jej nie znalazł. Leżała tuż przy szynie. Obok szyny. Nie została uszkodzona. Na szczęście koła nie przecięły też przewodu zasilającego. Podniósł wiertarkę i sprawdził jej działanie. Od-dychał głośno. Wokół niego unosiło się niczym mgła wypuszczane z jego własnych płuc powietrze. Znów zacisnął latarkę, sprawdził zegarek i z szalonym pośpiechem przewiercił dwa ostatnie otwory.

Wyciągnął z torby cienki, długi śrubokręt i podważył zamek. Napał na niego. Roz-rwał w ten sposób małe pasemka blachy, które pozostały między wywierconymi dziurami. Zamek puścił i spadł na najbliższą szynę. Wznicił słup iskier, które jasno oświetliły postać Hyde'a i jego otoczenie. Miał jeszcze na siatkówce oczu błysk szyny zasilającej, kiedy ponownie spojrzął na otwarte teraz drzwiczki szafki. Po chwili znów zobaczył wyraźnie wskazówki zegarka i dopiero wtedy zaczął uważnie przyglądać się skrzynce i umieszczonemu w niej przewodom.

Trzeci od góry. Jeden, drugi, uśmiechnął się. Ten czerwony. Gruby czerwony. Schylił się po raz kolejny do torby. Wyprostował ciało i włożył z powrotem na rękę zegarek. Później końcami palców obmacał czerwony kabel. Było dość miejsca. Zaczął nawijać na przewód cewkę. Wykonał sześć lub siedem nawinięć. Przypomnił sobie fragment rozmowy:

- Skąd wiesz?
- Ze źródeł nieoficjalnych.
- Kto ci o tym powiedział?

Obciążył kombinerkami zwój przewodu, którym okręcał kabel, robiąc cewkę, a potem podniósł w górę tranzystorowy multiwibrator bistabilny. Spowoduje on okresowe zakłócenia na łączach. Przerwie przepływ sygnałów z moskiewskiej Centrali. Wywoła opóźnienia, zmiany i przerwy. Nie będzie to jednak stałe zakłócenie, które mogłoby łatwo zostać usunięte. Trudności w jego zlokalizowaniu spowodowane zostaną występowaniem nieregularnych awarii w różnych przedziałach czasowych.

Zaczął montować tranzystor.

- Sygnatariusze Karty, ludzie chowający urazę, chciwi, będący wiecznie w potrzebie - odpowiedział mu wtedy z uśmiechem Godwin, siedząc nad filiżanką kawy. - Sprzedają, proponują, dają. Istnieje cały czarny rynek informacji, które można wykorzystać przeciw Sowietom. Wystarczy tylko się rozejrzeć...

Ale takie urządzenia?

- Inżynierowie, projektanci, naukowcy. Wielu z nich podpisało Kartę 77 i straciło pracę. Albo jedzenie, albo nienawiść do Rosjan... Wielu inteligentnych ludzi w 1968 roku było studentami... Wielu z nich do dziś ma uraz...

- Wierzysz im?

- Wierzę w ich nienawiść.

Hyde sprawdził, czy złącza są prawidłowo oczyszczone, a później wyjął z torby baterię i podłączył ją do układu.

- Sprawdź czas.

Minęło trzy minuty i dziesięć sekund. Tym razem zachowa ostrożność.

Odwinął kawałek taśmy izolacyjnej i przymocował nią do odchylonych drzwiczek baterię małej pojemności. Upewniwszy się, że ogniwo trzyma się solidnie, ostrożnie docisnął drzwiczki. Kiedy je puścił, znów się same otworzyły. Hyde przekopał opróżnioną już niemal torbę w poszukiwaniu wyłącznika czasowego. Ustawił wskazówki w świetle latarki.

Minęło trzy minuty pięćdziesiąt sekund.

Odruchowo rzucił spojrzenie w głąb tunelu w kierunku ukrytej w głębi peronu stacji Muzeum. Cisza. Na rozgrzanej twarzy czuł zimne powietrze. Zadrżał, świadom panującej wokół niego temperatury. Znów się wyprostował i szybko podłączył wyłącznik zegarowy do obwodu. Dziś o godzinie ósmej wieczorem wyłącznik zamknie obwód prądu i urządzenie zacznie emisję impulsów przenikających przez izolację kabla, zniekształcając sygnały przepływające pomiędzy Hradczanami a Moskwą. Nieregularne zakłócenia będą trudne do zlokalizowania i usunięcia. Inżynier teletransmisji będzie bliski załamania, kiedy Hyde przyjdzie sprawdzić funkcjonowanie systemu. W niedługi czas później bateria o małej pojemności wyczerpie się i zakłócenia ustąpią.

A on zostanie sam z końcówką komputera, monitorem, klawiaturą, drukarką, magnetofonem, całym sprzętem i „Łzą”.

Cztery minuty dwadzieścia...

Ostrożnie.

Sprawdził cewkę, tranzystor, przewody, ogniwo. Później zamknął drzwiczki i zakleił je taśmą.

Oświetlił bladym światłem latarki skrzynkę rozdzielczą. Na pierwszy rzut oka wyglądała na nietkniętą. Sprawiała wrażenie zamkniętej na zamek.

Zamek. Gdzie jest zamek?

Poświecił latarką na tory, ale nie mógł odszukać zamka, który odbił się od gorącej szyny. Ucieszył się, że nie zauważą go robotnicy lub zespół naprawczy, który może przechodzić przez ten odcinek tunelu przed północą. Wtedy kiedy jego robota będzie skończona. Albo on sam będzie skończony.

Przestań.

Cztery minuty pięćdziesiąt osiem, dziewięć. Pięć minut...

Pośpieszył wzdłuż toru, utrzymując płamę światła wokół swych stóp.

Słuchał w napięciu, czy nie nadjeżdża kolejny pociąg.

W tym kraju ludzie niemal ustawiają się w kolejkach, aby przekazać ci informację, usłyszał głos Godwina. Cały problem polega na tym, że mało kto zadaje sobie trud, by ich wysłuchać.

Doszedł do wnęki technicznej i wcisnął się w nią. Torowisko pod butami znów zaczęło drżeć. Czekał, wyłączwszy latarkę. Natychmiast ogarnęły go lodowate ciemności. Słyszał zbliżające się wagony metra.

Wracając zabierz wiertarkę i torbę monerską, przypomniał sobie i przeszył go dreszcz. Za nim przelatował niczym burza pociąg.

- Nie jesz swojego châteaubrianda, Woronin?
- Dziękuję. Wołę, jak mięso jest mocniej wysmażone.
- Wilkes, nalej naszemu przyjacielowi więcej czerwonego wina. Może ono pomoże mu polubić nie dosmażoną wołowinę. Chyba nie będzie mu się to kojarzyć z krwią?
- Wydaje mi się, że jest pan w wyśmienitym nastroju, sir Andrew t Babbington.
- To prawda. Powiedz mi, Wilkes, jak się napracowałeś dziś rano.
- Wszystko jest przygotowane. Parrish, kierownik placówki, dokona dziś wieczorem oficjalnego aresztowania naszych przyjaciół. Ośmiu na jednego. Zostaną zabrani do lokalu konspiracyjnego. Reszta zależy od ciebie. Na służbie będzie pięciu lub sześciu ludzi. Będą w pobliżu. Będziesz otrzymywał aktualne informacje, co się dzieje. Tuż przed waszym wejściem podam ci dyslokację sił, dobrze? Sam wyjdę tylnymi drzwiami...
- Wołę, żebyś nie wychodził.
- Co takiego? Nie będziesz mi...
- Posłuchaj. Lokal konspiracyjny ma monitory i kamery w środku i na zewnątrz budynku?

- Tak, ale...
- I jest tam stanowisko nadzoru?
- Tak.
- W takim razie, sir Andrew Babbington, proponuję, żeby Wilkes pozostał w budynku. Właśnie w pokoju nadzoru, skąd będzie mógł obserwować, jak nam idzie... Mówisz trochę po rosyjsku, Wilkes?

- Mówię.
- W takim razie możesz nas informować przez radiotelefon o ruchach twoich pechowych kolegów.

- Poczekaj chwilę, chłopie.
- Dobry pomysł, Woronin. To już postanowione, Wilkes... Wypij wino i nie marudź.

- Ci z placówki w Wiedniu nie dociekali, jak i gdzie schwytałeś tych zatwardziałych przestępców?

- Oczywiście, że dociekali. Wilkes im naopowiadał kłamstw w moim imieniu. Ze względu na zdradę Aubreya nikomu nie można już ufać. Musiałem wykorzystać tutajszych nielegalnych* oraz ludzi, których skierowałem osobiście do tego zadania, no i oczywiście potrzebny mi będzie doskonale zakonspirowany lokal. Parrish tyknął prawie całą tę historijkę, mam rację, Wilkes?

* Nielegalni - agenci wywiadu wysyłani do innych państw jako obywatele tych krajów lub państw trzecich. Zaopatrzeni w dokumenty legalizacyjne, czekają często kilka lat na rozpoczęcie zadania wywiadowczego. - Przyp. tłum.

- Niczym zgłodniały pstrąg. Stary głupi pierdoła.

- A ty co zrobiłeś, Woronin?

- Wszystko jest przygotowane. Wychodzimy o jedenastej trzydzieści.

Dużą grupą. Aubrey i pozostali zostaną przetransportowani do ambasady, a później na lotnisko. Samolot dyplomatyczny Aeroflotu zabierze ich do Moskwy. Wylądować na... ale to już was nie dotyczy. Znajdą się bezpiecznie w Moskwie i już jutro przed świtem przestaną stanowić dla ciebie zagrożenie.

- Dobrze. Cieszę się, że Kapustin miał dość rozsądku, aby zaakceptować mój scenariusz.

- Teraz, jeśli można, chciałbym obejrzeć plan lokalu konspiracyjnego.

- No i nie skończyłeś swojego châteaubrianda.

- Mimo wszystko wolę mniej krwiste mięso. Jak wy to nazywacie? Dobrze wysmażone?

- Tak, naturalnie. Dobrze wysmażone.

- Proszę bardzo. Stoimy przed zamkiem Draculi. Dobrze się czujesz?
- Jak groch przy drodze.
- Po prostu wał prosto przed siebie. Miniesz bramę i wartowników. Tak jak ten autobus z wycieczką szkolną.
- Trochę późno, nie sądzisz? Robi się ciemno.
- Nigdy nie jest za późno na małą powtórkę z historii partii.
- Chryste. Zobacz, dzieciaki ustawiają się w kolejce, a ja nie słyszę żadnych krzyków. Trzeba przyznać, że partia też ma pewne osiągnięcia.
- Pamiętaj, żeby kupić przewodnik po Hradczanach. Na pierwszym dziedzińcu jest biuro Čedoku. Później, idąc w stronę katedry, możesz pokręcić się po drugim i trzecim dziedzińcu. Po drugiej stronie dziedzińca przed katedrą mieści się Kancelaria Prezydenta. W podziemiach tego budynku i pod dziedzińcem znajdują się między innymi hale komputerów. Pokręć się tam, podziwiając architekturę. Ktoś cię odszuka i podejdzie do ciebie.
- Kierownik sprzątaczek?
- Właśnie on. Odezwie się do ciebie po imieniu. Nic więcej o tobie nie wie. Zna wyłącznie twoje imię. Przechowa cię do wieczora.
- Jesteś pewien, że będzie wiedział?...
- Tak, będzie wiedział, kiedy przyjdzie inżynier teletransmisji. Z pewnością będzie wiedział. W godzinę po jego przybyciu przyjdzie do ciebie i da ci znać. Wtedy zagrasz swoją rolę. Wielki finał. Chór śpiewa, balet tańczy.
- Dlaczego on to robi?
- Ach. Chce sobie podreperować finanse... A poza tym jest rozżalony. Był inżynierem elektrykiem, dopóki któregoś dnia coś mu się nie popieprzyło we łbie i nie podpisał Karty. Teraz nadzoruje baby od miotły na Hradczanach. Ktoś miał poczucie humoru. Nie zrobiłby tego, gdybyśmy mu nie zapłacili, i to jest wystarczający powód, abyś mu zaufał...
- Wychodzę tą samą drogą?
- Twoja sowiecka legitymacja jest w porządku. Sprawdzalem to dwukrotnie. Wartownicy zmieniają się około dziesiątej. Kiedy będziesz wychodził, nie przyjdzie im do głowy, aby sprawdzać twoje dokumenty, skoro jesteś w środku. To będą ci z nowej zmiany.
- Dobra. Idę.
- Powodzenia, Hyde. Wiesz, co mam na myśli.
- Teraz nie próbuj już na zimno weryfikować swoich genialnych planów, Godwin. Więcej mi nie trzeba!

- Nic nie weryfikuję. Wszystko się uda, jeżeli będziesz miał głowę na karku.
- Postaram się.
- I pamiętaj. Moskiewska Centrala będzie oczekiwała na twój sygnał w trakcie testowania. Bez względu na to, kiedy do ciebie zadzwonią, musisz być przygotowany, aby opowiedzieć im przekonująco bajeczkę. Musisz ich przekonać, że nie robisz nic złego i że jest ci potrzebny dostęp do informacji, których zażądałeś, są one bowiem niezbędne do gruntownego zbadania funkcjonowania systemu. Jeżeli nie zdołasz tego zrobić, to oni po prostu mogą ot, tak sobie, wyłączyć twoją końcówkę komputera w dowolnej chwili! Ekran zgaśnie, terminal umilknie i nigdy nie dostaniesz się do „Łzy”.
- Jasne. Przyjechał drugi autobus z dziećmi do wesołego miasteczka. Idę.
- Będę tu na ciebie czekał. Skończysz i przed północą będziesz w drodze do Bratysławy. Wystarczy odrobina szczęścia. Zanim się rozwidni, możesz być już po drugiej stronie granicy.
- Miejmy nadzieję, że nie jest za późno.
- Powodzenia.
- Będzie dobrze.

Ukryte w czarnej rękawiczce obtarte kostki prawej dłoni Babbingtona, opuchłe, skrzywione w niewyraźnym uśmiechu wargi Margaret Massinger oraz wlokąca się za wyczerpanym do kresu sił Massingerem noga stanowiły przekonujące dowody postępowania w realizacji planów ich bezlitosnego przeciwnika. Pokaleczone usta i podbródek Margaret były jakby etykietą, na której Babbington opisał swoją własność.

Po chwili wyszli na dwór. Massinger, w płaszczu przeciwdeszczowym włożonym wprost na koszulę, zadrzał z zimna. Margaret otuliła się w swoją futrzaną kurtkę. Aubrey poczuł uderzenie wiatru, który rozwichrzył jego rzadkie włosy, i przesywający, zimny podmuch dookoła szyi. W miejscach odsłoniętych przez pędzące chmury widać było pełne gwiazd niebo. Pod stopami chrzęścił żwir. Słysząc było, jak Massinger wlecze po nim swoją zranioną nogę. Margaret, wyężdżając wszystkie siły, pomagała iść mężowi. Obok nich spokojnie kroczyli strażnicy. Aubrey zorientował się, że całą uwagę skupia na przesuwających się po niebie, zmieniających kształty, zgoła nierealnych obłokach. Myśłami był daleko stąd.

Schylił głowę i wszedł do czarnego BMW. Zajął miejsce z tyłu. Przy nim usadowił się wartownik. W świetle reflektorów Aubrey ujrzał nad głową Massingera obłok pary. On i żona umieszczeni zostali w czarnym mercedesie, który miał ich zawieźć do lokalu konspiracyjnego. Po chwili do BMW wszedł kierowca. Babbington ciężko opadł na przednie siedzenie dla pasażera i zasłonił Aubreyowi stojący przed nimi samochód.

Babbington polecił kierowcy jechać. BMW pomknęło wąską drogą, która prowadziła

do biegnącej przez wieś szosy. Reflektory kołysały się i podskakiwały, oświetlając jadący przodem samochód, w którym przytulone do siebie głowy Margaret i Paula zdawały się zlewać w jedną sylwetkę. Pogodzeni, akceptujący się nawzajem.

Aubrey czuł w sercu zawiść i złość. Głowa siedzącego przed nim od początku drogi Babbingtona przesłoniła mu widok na drugi pojazd. Strażnik siedział spokojnie u jego boku. Ledwo go zauważał, pewny, że stary człowiek nie może stanowić zagrożenia.

Tak. Massingerowie zaakceptowali wzajemnie swoje postępowanie. Aubrey zrozumiał to w chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył ich razem. Dostrzegł to pomimo szoku wywołanego widokiem Margaret na korytarzu. Massingerowie zadowolili się faktem, że dzięki temu, co się wydarzyło, ich związek został umocniony. Było im czego zazdrościć. Po tym wszystkim miał jeszcze umierać w osamotnieniu.

Światła błysnęły, kiedy BMW pokonywało ostatnią błotnistą koleinę. Na wpół zamrznięta woda obryzgała przednią szybę. Nagle, gdzieś spoza świateł i migających przed oczyma wycieraczek, dotarła do Aubreya jasna myśl.

Z tego, co powiedział Babbington, wynikało, że zaletą jego planu jest prostota i skuteczność. Wszyscy zobaczą, jak KGB odbija swojego agenta. Massingerowie polecą z nim do Moskwy.

Tu tkwił błąd w rozumowaniu...

Aubrey przełknął ślinę przez wyschnięte gardło. Nie, to nie był błąd. Raczej bezwzględność. Wszyscy wyznaczeni do pilnowania ich w drodze do lokalu konspiracyjnego zostaną zabici w chwili przekazywania więźniów. Massingerowie nie zostaną zaliczeni do tej grupy. Zwłoki będą niezbitym dowodem, że KGB odzyskało swoich ludzi. Jeśli chodzi o Massingerów, to nie będzie świadków, którzy widzieli ich w towarzystwie Aubreya.

A jeśli nawet ktoś przeżyje, wtedy Babbington w sposób nie budzący wątpliwości wyjaśni szefowi placówki, Guestowi lub komukolwiek innemu, że KGB zabrało Massingerów, aby ich uciszyć. Niewinne ofiary sytuacji.

To nie musi być nawet czysta robota. Mogą powstać pewne wątpliwości, ale nikt nie uzna ich za istotne po przeliczeniu zabitych i zniknięciu Aubreya wraz z jego kumpłami z KGB!

Zacisnął palce w beużyteczne pięści i z trudem, niczym utkwioną w gardle kość kurczaka, przełknął twardą bryłkę wściekłego gniewu.

Zamknął powieki. Wyjechali już poza wieś i światła nadjeżdżających z przeciwnej strony pojazdów drażniły mu wzrok. Zobaczył twarz Elsenreitha śmiejącego się w rozświetlonych eksplozjami ciemnościach. To były rozbłyski ognia zaporowego artylerii. Za Elsenreithem dojrzał niewyraźną, mizerną, niedożywną twarz Clary. Taką, jaką pamiętał z ich pierwszego spotkania. Więc to z powodu Clary - miłości? Tak, być

może. Z pewnością szacunku, przyjaźni, jaką nie obdarzył żadnej innej kobiety...

Z powodu Clary, Castleforda.

Mimo zaciśniętych powiek drażniły mu wzrok błyski reflektorów nadjeżdżających nieustannie samochodów. Wjechali już pewnie na autostradę. Otworzył oczy: tak, rzeczywiście. Rzucił przelotne spojrzenie na dwie złane w jedną głowy w jadącym przodem samochodzie. Opierały się o siebie jak głowy kukiełek lub dwóch martwych ciał.

Zadrżał. Oczekiwał niemal, że głowy odsuną się bezwładnie od siebie w chwili śmierci i znikną z tylnego okna mercedesa. Znów zamknął oczy.

Elsenreith, Clara, Castleford.

Z chłodnym dystansem ocenił, że nigdy jeszcze nie czuł się do tego stopnia pokonany, samotny i pozbawiony nadziei. Nawet wtedy, gdy był w Berlinie Wschodnim. Nawet tam, w rosyjskim sektorze, nie był równie bezradny jak teraz i pozbawiony złudzeń. Sytuacja była beznadziejna.

Wyciągnęli go stamtąd jego ludzie. Wywlekli go z samochodu, w który uderzyli małą ciężarówką, kiedy przewożono go z jednego więzienia do drugiego. W każdym kolejnym stosując coraz bardziej wymyślne metody przesłuchań i tortur...

Nie oczekiwał, że go uratują, ale mimo to miał nadzieję. Teraz już nie miał. Nie mógł mieć.

Twarz Castleforda. Jęcząca, błagająca, zawstydzona twarz, która później stała się przebiegłą, ostrożna, zdradliwa i niebezpieczna, aby po chwili zamienić się w śmiertelną maskę. Twarz w rozlewającej się coraz szerzej na podłodze mieszkania kałuży krwi.

Twarz w rozwalonej bombami piwnicy. Nie, jeszcze wcześniej, twarz podskakująca raz powoli, raz gwałtownie na tylnym siedzeniu samochodu. Później ta sama twarz oświetlona słabym światłem latarki w zbombardowanej, zrujnowanej piwnicy. Twarz zasypywana przez Aubreya szuflami gruzu. Aubrey do dziś pamiętał wysiłek włożony w podważenie ściany, która miała runąć w otwór piwnicy, grzebiąc zastygłą, białą, patrzącą nieustępliwym wzrokiem twarz Castleforda.

Jechali na północny wschód przez okolice wiedeńskiej Landstrasse w kierunku Dunaju. Clara była kiedyś w Wiedniu. Spotkali się wtedy jeszcze raz. Pomógł jej założyć tu interes i...

Nie pamiętał o swoim zwycięstwie. Zamiast tego słyszał wyznanie Castleforda. Castleford łamiącym się głosem opowiadał mu o pułapce, w jaką wpadł, kiedy jeden z tych mądrych, pełnych energii, czarujących mężczyzn, teraz z połamanymi paznokciami i wygłodniałym spojrzeniem, błagał go o ukrycie przed władzami. Potem przyszedł jeszcze jeden znajomy Castleforda z Cliveden, później przedstawiciel szanowanej w latach trzydziestych rodziny, po nim - następny.

A w końcu przyszedł Elsenreith i przedstawił Castlefordowi warunki nowego zatrudnienia. Castleford podjął się tego zajęcia, bo nie miał wyjścia. Pomagał uciekać przestępcom wojennym przed sprawiedliwością i zemstą.

Aubrey wpadł w pułapkę równie beznadziejną; kiedyś utkwił w takiej Castleford.

Massingerowie, których ocienione zmrokiem głowy Aubrey dojrzał znowu, w chwili gdy samochody przejeżdżały przez rzekę mostem Praterbrücke, odzyskali spokój. Wyczerpali cały swój zapał. Tego też im zazdrościł. Byłoby lepiej kłamać i cierpliwie czekać na nieuniknione. Byłoby lepiej...

Ile czasu mu zostało? Najdalej za kilka godzin przyjdą po niego. Zabiją tych zbędnych i oszukanych, wysłanych, aby go pilnować w lokalu konspiracyjnym. Może zostawią przy życiu jednego, niczym Izmaela, żeby mógł opowiedzieć bajkę, gdy tymczasem on i Massingerowie przed świtem umieszczeni zostaną na pokładzie samolotu lecącego do Moskwy.

Rzeka połyskiwała światłami. BMW zjechało z mostu i skręciło na północ. Zaczął przyglądać się mijanym budynkom i światłom nadjeżdżających samochodów. Jego umysł zobojętniał, pochłonięty chwilowymi doznaniem.

Pogrążony w ciemnościach Hyde trzymał tak blisko przed oczyma fosforyzującą tarczę zegarka, że szkiełko aż zaparowało. Przetarł je, aby móc obserwować ruch wskazówek. Suk, kierownik sprzętaczek, zniknął na bardzo długo, zbyt długo. W pokoju czuło się wyłącznie kwaśny odór schnących szmat, nie domkniętych starych puszek z pastą do podłóg, kurzu i chłodu.

Ostry zapach detergentów gryzł w nozdrza. W żołądku coś się przelewało. Czekał już zbyt długo na sygnał od Suka. Czekał zbyt długo na wprowadzenie do podziemi... Cała operacja doszła do punktu, w którym należało ją przerwać...

Ilekczo próbował odrzucić tę myśl, podstępnie wracała, opanowując jego umysł z jeszcze większą mocą. Hyde był niczym dziecko kryjące się w ciemnościach starego domostwa, bawiące się w chowanego. Lecz zabawa się przedłużała, nikt go nie szukał, a ciemności gęstniały.

Niemal z wściekłością potrząsnął głową, próbując z niej wyrzucić złe myśli. Dookoła niego leżał niewidoczny teraz sprzęt gospodarstwa domowego - stare odkurzacze, szczotki, miotły, wiadra, okute metalem drewniane skrzynki i inne utensylia. Siedział oparty o ścianę z pistoletem tuż obok uda.

Znów spojrzął na zegarek. Czas uciekał. Minęły trzy kwadranse, odkąd Suk wyruszył na zwiady... Najwyżej za piętnaście minut powinien był wrócić i przekazać wyniki rozpoznania. Inżynier teletransmisji mógł być w hali komputerowej na Hradczanach od ponad pół godziny, a może od godziny...

Gdzie jest Suk?

Korytarz na zewnątrz był cichy i pusty.

Suk wszystko zepsuł. Wzbudził ich podejrzenia, dał się złapać... Bez względu na powód, spóźnił się już o tyle, że na wszystko jest za późno.

To się nie da zrobić. Słyszał, jak jego umysł głosi to z całkowitym przekonaniem. To się nie uda.

Nic z tego. Znalazłeś się w pułapce...

Rozdział XVI

W labiryncie

Zapaliło się światło.

Hyde drgnął przestraszony. Przywarł do ściany. Natychmiast uniósł pistolet, którego lufa drżała pod wpływem jego zdenerwowania, dopóki się nie opanował. Celował.

W brzuch Suka. W brzuch Suka!

Nogi miał jak z waty. Na twarzy Suka malowało się zaskoczenie i ulga zarazem.

- Na Boga! - syknął rozwścieczony Hyde. - Gdzieś ty się, do cholery, podziewał?

- Chodź, chodź szybko - ponągłał Suk. Był chudy i przygarbiony.

Przylgnął niemal całym ciałem do drzwi, które zaraz po wejściu do środka ostrożnie za sobą zamknął.

- Błagam.

- Chryste. Minęła już ponad godzina, odkąd... Człowieku, gdzieś ty był?

- Musisz iść natychmiast. Proszę. Musisz natychmiast iść! - błagał kierownik sprzątaczek.

Hyde poruszył się na zdrętwiałych nogach.

- Dlaczego? Czy coś się stało?

Suk gwałtownie potrząsnął głową.

- Nie, nic się nie stało... Ja...

- Co?

- Trudno mi było podejść i zapytać... W końcu nie powiedziałem ci, że kiedy tu przyszedłem, ten inżynier...

- Co?

- On już tam był. Nie wiedziałem, od jak dawna, musiałem się dowiedzieć. Nie mogłem przyjść wcześniej.

- I?

Wydawało się, że Suk garbił się specjalnie, aby być równego wzrostu z Hyde'em. Ograniczyć pole rażenia ciosów lub oskarżeń. Pocił się. Hyde również to poczuł. Zapach potu wdarł się pomiędzy inne zapachy, które wypełniały jego nozdrza od paru godzin.

- Tylko od dziesięciu minut. Przysięgam, że tylko od dziesięciu. - Suk stchórzył.

Hyde kiwnął głową i popatrzył na zegarek.

- Godzina dwadzieścia. Dobra, zabierz mnie na dół. - Wpatrywał się w Suka, ale nie było to groźne spojrzenie. Był tak napięty, że obawiał się utraty głosu. Dodał więc jedynie: - Dalej, Suk, prowadź mnie na dół.

Hyde włożył biały kitel, który dostarczył mu Suk. Do kieszeni na piersi przypiął zatopioną w przezroczystym plastiku kartę identyfikacyjną z nazwiskiem, zdjęciem i innymi danymi. Śmieszny naukowiec. Czy oni naprawdę spodziewali się zobaczyć go w tym przebraniu? Wyobraził sobie, jak Godwin kiwa głową i uśmiecha się ironicznie. Suk otworzył drzwi z przesadną ostrożnością. Wyglądało to nieomal komicznie. Potem wymknął się przez uchylone drzwi na korytarz. Hyde zrobił to samo.

Szept Suka niby muzyka zaklinacza węży wiódł Hyde'a korytarzami w dół, po schodach do piwnic budynku Kancelarii, gdzie zabezpieczona skałami znajdowała się tajna hala komputerowa KGB.

Teraz Suk był skory do rozmowy. Papłał, aby potokiem słów rozładować napięcie.

- Tego inżyniera zatrzymała jakaś praca poza Pragą. Chyba chodziło o instalację wojskową... Bardzo narzekał, więc przypuszczałem, że nie przyjdzie. Przykro mi, ale nie zauważyłem go... Od czasu jego przyjścia tylko raz zaglądałem do pokoju... Zdaje się, że jeszcze tam pracuje...

Hyde miał ochotę powiedzieć mu, żeby był cicho. Obawiał się jednak, że głos mu się załamie. Słowa Suka były niczym ostre światło, które sprawiało, że wszystkie nitki całej operacji stawały się wyraźnie widoczne i łatwe do zerwania. Zamknij się! Człowieku, zamknij się, powtarzał Hyde w myślach.

Ostatnia kondygnacja schodów. Na dole z za załomu korytarza wystawało ramię umundurowanego strażnika. Hyde cofnął się, aby zniknąć z pola widzenia. Na szyi i policzkach czuł płytki, szybki oddech Suka. Przeszedł go dreszcz. Odwrócił się i spojrział w twarz tamtego.

Potem zerknął na zegarek.

- Spóźnił się?

Suk kiwnął głową. Krople potu na jego bladym czole już wysychały. Odegrał swoją rolę. Za chwilę będzie mógł opuścić to miejsce, rozładować napięcie. Liczyć pieniądze.

- Awaria komputera powinna była już do tej pory ustąpić - powiedział Hyde. Pamiętał, jak w ciemnościach tunelu metra ustawiał wskaźniki wyłącznika.

Zobaczył ramię strażnika, pierwszą przeszkodę na swojej drodze. Jeśli go nawet minie, będą inni. A potem może się okazać, że inżynier już wyszedł. Zakłócenia ustąpiły, i jego, Hyde'a, obecność stanie się zbędna i zdecydowanie podejrzana.

Ramię strażnika drgnęło niczym organ zmysłu podrażniony nowym bodźcem.

- Wchodzę teraz wprost w pułapkę, ponieważ ty nie potrafiłeś porządnie wykonać swojego pieprzonego zadania! - syknął, przysuwając usta do ucha mężczyzny. Usłyszał nierówny oddech Suka, głośny jak sygnał alarmowy, i natychmiast wypuścił z ręki cienki, szorstki materiał jego marynarki. Suk gwałtownie potrząsał głową. Znowu się spocił.

- Nie... - zaprotestował.

- Zjeżdżaj.

Minął Suka. Ten cofnął się niczym aktor grający zastraszonego służącego, a potem wymamrotał szeptem:

- Będę czekał...

Wyjście. Droga odwrotu, podpowiedział mu umysł. Uspokoił Suka kiwnięciem głowy. Potem przestał o nim myśleć. - Słyszał niepewne, niewyraźne kroki. Te odgłosy go nie zaniepokoiły.

Schody prowadziły do niższego poziomu piwnic. Na zielonej ścianie, równoległe do poręczy, namalowano czerwony pasek. Oznaczał on najsilniej strzeżoną strefę. Czerwone pasy biegingy wzdłuż każdej ściany, każdej kondygnacji schodów. Zaczęli od zielonego, żółtego, niebieskiego, a teraz doszli do czerwonego. Symbole wciąż surowszych ograniczeń dostępu. Informowały one Hyde'a coraz wyraźniej o grożącym mu niebezpieczeństwie, o odległości dzielącej halę komputerów od zamku na górze.

Czerwony pasek. Wstęp wyłącznie dla upoważnionego personelu. Surowo zabronione wejście bez odpowiednich dokumentów i potwierdzenia tożsamości. Ponownie popatrzył na ramię wartownika. Pasek na ścianie znajdował się na poziomie odznaki strzelca wyborowego na rękawie tamtego. Koniec lufy karabinka wystawał zza jego ramienia, jakby rozglądał się za Hyde'em, szukał go.

Dwanaście stopni. Potem musi zdać się tylko na kartę identyfikacyjną przypiętą do fartucha i pozostałe dokumenty, z którymi stanie przed pierwszym wartownikiem. Kiedy go minie, znajdzie się pomiędzy wylotem lufy jego karabinu a kałasznikowem następnego strażnika, stojącego w dalszej części korytarza. Znalazłby się w prawdziwie krzyżowym ogniu, gdyby uznali go za podejrzanego...

Dwanaście stopni.

Zrobił pierwszy krok. Postawa wyprostowana. Temperatura w normie. Nogi w porządku. Oddech kontrolowany.

Na trzecim stopniu stąpnął niezręcznie lewą nogą. Natychmiast zobaczył wyraźniej naramienniki i naszywki na mundurze wartownika. Wydawały mu się teraz większe niż przed chwilą. Miał wrażenie, że to potknięcie spowoduje zderzenie z człowiekiem w

mundurze. Zawahał się. Poczłł pot oblewający go pod koszulą, a potem, posuwając się wzdłuż oznaczonej kolorowymi pasem ściany, natychmiast znalazł się w dwóch trzecich odległości od ramienia wartownika. Poczłł zawroty głłwy, jak od świeżego, chłłodnego powietrza. Już lepiej. Odzyskał kontrolę nad swoim ciałem.

Lepiej.

Dotknął nogą najniższego stopnia. Zaniepokojony tym odgłłosem wartownik odwrócił się ku niemu. Hyde patrzył w młłodą, piegowatą otwartą twarz. Wiedział, że gdyby coś poszło złłe, gdyby go podejrzewano lub nawet zdemaskowano, torując sobie drogę odwrotu, musiałyby zabić tego człowieka. Wąski korytarz i klatka schodowa były jedynym znanym mu wyjściem z podziemi Kancelarii.

Odznaki strzelca wyborowego korpusówki KGB.

- Dobry wieczór, towarzyszu - powiedział po prostu Hyde, pokazując kartę rozpoznawczą przypiętą do kieszeni na piersi. Niedbale machnął innymi dokumentami trzymanymi w prawej ręce, jakby zaczynał teatralną hipnozę młłodego wartownika.

Czekał w napięciu, zdając sobie sprawę z przełomowego znaczenia tej chwili. Strażnik wziął dokumenty, starannie je przeczytał. Porównał twarz ze zdjęciem przypiętym do kieszonki...

Kiwnął głłową. Ręka Hyde'a czubkami palców dotknęła miejsca, gdzie za paskiem na plecach ukryty miał pistolet. Zupełnie nieadekwatnie do sytuacji wartownik spojrzł na sprane dżinsy Hyde'a i sportowe adidas zapinane na trzy rzepy. Wydawało się, że ten strój przekonał go i potwierdził tożsamość Hyde'a bardziej niż dokumenty. Prawa ręka Hyde'a powróciła na swoje miejsce. Spoczęła na kwadratowej walizeczce i otworzyła zamek. Wartownik nachylił się, żeby popatrzeć. Jego ucho znalazło się tuż przy twarzy Hyde'a, niemal w oczekiwaniu na szept wyznania. Palce żołnierza, o ogryzionych, ale czystych paznokciach, przerzucały złożone stronicie kolejnych dokumentów, broszur, informatorów, segregatorów, podręczników.

- Dziękuję, towarzyszu - rzekł w końcu strażnik z szacunkiem zabarwionym nutką poufałości. Byli po tej samej stronie, należeli do tego samego klubu. Rosjanie w Czechosłowacji. Rosjanie z KGB. Godwin stwierdził, że te papiery wytrzymają kontrolę. I miał rację.

Hyde powiedział:

- Mam nadzieję, że nie zajmie mi to całej nocy.

- Ja schodzę o dwunastęj - odpowiedział zadowolony wartownik, uśmiechając się szeroko.

- Masz szczęście, chłopie. Ja do tej pory nie skończę. - Mówiąc te słowa miał nieomal ochotę splunąć przez ramię na szczęście.

Oddalił się powoli, z wystudiowaną obojętnością, szedł w kierunku strażnika na końcu korytarza oznakowanego czerwonym paskiem. Ten człowiek nie miał powodów do niepokoju, widział przecież, jak pierwszy strażnik sprawdzał dokumenty Hyde'a. Czuć już było zapach ozonu i klimatyzacji. Widać było schody prowadzące dalej w dół, do kompleksu podziemi. Korytarz kończył się, przechodząc w salę z pokrytymi szkłem ścianami, w której stały krzesła i automat z napojami i słodzcami oraz dziwaczna gumowa roślina. Na stoliku ze szklanym blatem leżały czasopisma. Recepcja nowej firmy, urządzona tak, aby zrobić wrażenie na gościach. Za kolejną, sięgającą samego sufitu szklaną ścianą znajdowały się sale z komputerami. Mężczyźni w białych kitlach i ochraniaczach na buty. Znaki zabraniające palenia, ostrzeżenia dotyczące bezpieczeństwa. Wartownik.

Szelest przeglądanych dokumentów, rzut oka na kartę rozpoznawczą przypiętą do kieszeni, i strażnik odsunął się od drzwi. Hyde poczuł, że traci oddech, a serce zamiera mu w piersiach. Mimo to szedł niemal nie zwalniając, długimi krokami, wprost przed siebie. Dotarł do pierwszych drzwi. Otworzył je i poszedł dalej. Kiedy otworzył drugie, spojrzął na zegarek. Była dziesiąta pięćdziesiąt trzy. Pozwolił, aby drzwi zamknęły się za nim. Stała temperatura, hałas. Raczej terkot niż szum maszynierii. Ze trzy osoby dreptały, prześlizgując się pomiędzy metalowymi szafkami. Jedna niosła dyskietki w pojemniku z przezroczystego plastiku, który położyła na jednym z komputerów. Kierownik zmiany i operator przeglądali wydruk roboczy, odwijając go z bębna. Nocna zmiana.

Wysoki sufit. Długa hala oświetlona białym światłem. Rzędy monitorów i terminali. Obok nóg Hyde'a dmuchało przez jedną z setek kratek znajdujących się w specjalnie skonstruowanej podłodze powietrze. Nawiew klimatyzacji. Grube wiązki kabli wychodziły prosto z podłogi do skrzynek, które stały jak szafy kartoteczne. Większość z nich miała pomarańczowy kolor i napis ICL. Dokładnie tak, jak powiedział Godwin. Brytyjskie komputery.

- Towarzyszu! Gdzie jest inżynier teletransmisji? - zawołał Hyde. Brodaty młody mężczyzna podniósł wzrok znad pliku wydruków. W ustach niczym sztylet trzymał ołówek. Kiwnął jedynie głową na znak, że rozumie, co Hyde tu robi, wykonał nieokreślony ruch ręką. Hyde poszedł w tę stronę. Poruszał się teraz szybciej. Jeśli zakłócenia ustały, ponieważ ogniwo małej pojemności wyczerpało się, jeśli inżynier zadzwonił do ambasady sowieckiej i poprosił o sprawdzenie systemu, a prawdziwy specjalista od systemów jest już w drodze... Jeżeli, jeżeli, jeżeli...

Ktoś popatrzył na niego bez większego zainteresowania, uważając jego obecność za coś oczywistego. Hałas w hali był nieomal nie do wytrzymania. Powietrze i temperatura

były tu stałe. Dywan, kable, ciągi wentylacyjne z kratkami, szklane ściany, półki, dyskietki, drukarki, monitory i klawiatury. Hyde przeszedł przez ten obcy mechaniczny krajobraz w kierunku strefy pod specjalnym nadzorem. Zobaczył umundurowanych wartowników, ale byli całkiem na luzie, uzbrojeni jedynie w pistolety w kaburach, oficera i mężczyznę w kombinezonie, który pasował do tego aseptycznego otoczenia równie dobrze jak hydraulik.

Strażnik poruszył się. Spojrzał na jego kartę rozpoznawczą i skinął głową.

- Nadal sprawia kłopoty? - zwrócił się Hyde do pleców inżyniera teletransmisji, pochylonego nad przypominającym oscyloskop, precyzyjnym zestawem pomiarowym. Obok obrotowego krzesła, na którym tamten siedział, stała skrzynka z przyborami. Mężczyzna dał mu znak ręką, żeby się nie odzywał. Hyde wzruszył ramionami. Ktoś uśmiechnął się szeroko, dając do zrozumienia, jak ważną rozmowę telefoniczną prowadzi inżynier.

Specjalnie strzeżona strefa oddzielona była szklaną ścianą od reszty hali z komputerami. Zupełnie niepotrzebnie, ale zgodnie z zasadami obsesyjnej ostrożności KGB. Istotne znaczenie miał też status zatrudnionego tu personelu. Oficerowie KGB, którzy potrafili obsługiwać zewnętrzną końcówkę komputera, nie rozumieli technologii komputerowej i pogardzali urządzeniami, programistami i operatorami. Cieszyli się z izolacji i dzielącego ich dystansu od ludzi w białych kitlach. Od cywilów.

Inżynier rozmawiał z Zarządem Registratury Archiwum w moskiewskiej Centrali, z którą połączona była bezpośrednio linia telefoniczna. Wachlował się trzymaną w ręku płytką układu scalonego, którą prawdopodobnie przed chwilą wymienił. W podobnym pomieszczeniu inny zaufany, wypróbowany specjalista sprawdzał linię na drugim końcu. Od terminalu do maszyny szyfrującej, od modulatora do łącza telefonicznego. Ci dwaj mężczyźni przemierzali spiesznie mile, żeby się ze sobą spotkać. Wysyłali po łączach i do całego systemu sygnały określonej częstotliwości, odczytywane na drugim końcu linii.

Hyde pomyślał, że przyczyna zakłócenia znajduje się na linii telefonicznej niecałą milę od Hradczan. Tamten powinien był to zlokalizować... Spokojnie. Nie może tego zrobić. Zakłócenia powinny już ustąpić, przypomniał sobie. Dziesiąta pięćdziesiąt sześć.

Inżynier odłożył słuchawkę i odwrócił się do Hyde'a. Twarz miał czerwoną. Pocił się. Zaklął bezgłośnie. Wtedy Hyde zauważył, że to raczej tamten, a nie on, nie pasuje do grupy skupionej wokół terminalu. Inżynier, wciąż jeszcze ze złością, powiedział:

- Nigdy dotąd nie miałem takiej pieprzonej awarii. - Wskazał na telefon. Na ekranie zielone symbole. Może to były zwykłe sygnały kontrolne? Tak przesyłano z Moskwy

wyniki meczów piłki nożnej. Nie do rozszyfrowania. Mieszanina pisanych cyrylicą liter, przerw, półwierszy.

Potem jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej ekran ukazał właściwy obraz. Inżynier skinął głową. Wtedy oficer KGB skasował, a potem ponownie wyświetlił wyniki. Pojawiły się posłusznie na monitorze: Dynamo Tbilisi 2, Dynamo Kijów 1.

- Widzicie? - powiedział inżynier. - Widzicie? Co za cholerne dziadostwo. Towarzyszu specjalisto od systemów! Pojawia się zbyt nieregularnie, aby je zlokalizować. Ciągłe powtarzają mi, że uszkodzenie jest tutaj, nie w Moskwie. Nawet nie na rosyjskim odcinku linii, ale tutaj w Pradze! Pytam was: skąd oni mogą to wiedzieć? To po prostu zwykłe pieprzenie!

- Janek, uspokój się - powiedział do niego jeden ze strażników. - Chcesz jeszcze kawy?

Było oczywiste, że doskonale się znają. Personel KGB tolerował sposób zachowania inżyniera i jego język. Rosjanie uważali to nawet za zabawne. Oficer zdawał się nie bardzo pochylać takie maniery, ale nie chciał wydać się pruderyjny i małostkowy.

- Robi mi się niedobrze od tego paskudztwa z automatu! - zrzędził inżynier.

- Zrobię prawdziwą kawę. Zaraz będzie - podlizywał się strażnik.

- Bóg zapłać, Georgij.

Na biurku za szklanym przepierzeniem Hyde zobaczył maszynkę do kawy firmy Moulinex. - Dla pana też, towarzyszu? - spytał Georgij Hyde'a. Przestraszył go. Hyde opanował się i uśmiechnął.

- Dzięki - ziewnął ostentacyjnie. - Długo jeszcze, kolego?

- Jestem tu od godziny. Z tego powodu oderwali mnie od zadań wojskowych. Teraz te dziady nie dadzą mi stąd odejść, dopóki nie przetestują dziesięć mil tego gówna... Jak dotąd nic. Pojawia się i znika.

- Co się dzieje?

- Jak widać. Albo kompletnie zniekształca wydruk, albo za chwilę wszystko jest w całkowitym porządku.

- Przyszedłem... - zaczął Hyde. Smakował słowa na języku niczym lepki, gorzki klej z koperty. - ...bo dostaliśmy twój meldunek... - Popatrzył na oficera, ten skinął głową. - Chyba koło ósmej?

- Ósma pięć. - Oficer był drobiazgowy, ale sympatyczny. Jego ludzie najwidoczniej podtrzymywali w nim resztki człowieczeństwa. - Przyprowadziłem jednego z członków kierownictwa, żeby popatrzył, co nam tu wychodzi. Uważał, że usterka jest na linii. Daliśmy więc wam znać do ambasady i posłaliśmy po tego lenia, towarzysza Zitka. - Uśmiechnął się. Hyde także uśmiechnął się do niego i czekał. - Myśmy się jeszcze nie spotkali - powiedział lekko oficer. W tym stwierdzeniu kryła się uprzejmie

skrywana ciekawość.

Hyde pokręcił głową. Usiłował zebrać trochę śliny w ustach, aby zwilżyć wyschnięte gardło:

- Dopiero przyjechałem. Wypadł mój dyżur na grafiku. Coś mi się zdaje, że będę miał tu zajęcie na całą noc.

- Pech. Jestem porucznik Stiepanow.

- Radczenko - zamruczał w odpowiedzi Hyde, ściskając dłoń porucznika. Atmosfera poufałości spowijała go szczelnie niczym rulon wysychającej skóry. Udusi go, jeśli nie będzie ostrożny. - Jurij Radczenko. - Tylko ostrożnie, ostrzegał sam siebie. Znajomi są równie niebezpieczni jak brak snu i grupy śledcze prowadzące przesłuchania metodą kija i marchewki.

Uważaj na to, co mówisz, na to, co myślisz.

- Towarzyszu Zitek?

- Tak?

- Zauważyliście jakiś konkretny interwał, jakąś regularność?...

- Szkoda czasu na pytania. Jestem tu półtorej godziny i za cholere nic nie rozumiem! Nie dostałem nawet tego cholernego obiadu, który mi obiecali w koszarach! Typowe dla tej waszej pieprzonej armii, poruczniku!

Stiepanow uśmiechnął się nieznacznie. Próbował jednocześnie uśmiechać się i zachować rezerwę wobec słów inżyniera.

- Powiem, żeby na górze zrobili dla was kanapki, jeżeli...

- Na cholere mi kanapki, poruczniku! - wymamrotał inżynier, sprawdzając odczyt na urządzeniu pomiarowym. Potrząsał głową, mamrotał i dramatycznym gestem wznosił ręce do góry.

Georgij schował się za szklanym przepierzeniem i ukradkiem palił papierosa. Co pewien czas, pilnując zaparzonej kawy, odganiał ręką dym w stronę wywietrznika umieszczonego wysoko w jedynej otynkowanej ścianie tego pomieszczenia. Hyde jak zahipnotyzowany patrzył na zegarek.

Jedenasta, jedenasta dwie, jedenasta trzy, cztery, pięć... Słuchał Stiepanowa, a bezcenne minuty płynęły.

W końcu Stiepanow przestał opowiadać, jak tuż przed końcem lata, na ostatniej przepustce, bawił na wybrzeżu Morza Czarnego, i uśmiechnął się do Zitka. Inżynier spojrzął na zegarek i podniósł słuchawkę. Wykręcił numer w Moskwie. Szybko wymienił uwagi ze swym rosyjskim kolegą. Mówił i energicznie potakiwał słowom ruchami głowy. Potem odwrócił się, odłożył słuchawkę i oświadczył:

- Sprawa załatwiona. Życzę szczęścia, ale sprawa jest już załatwiona! Osiem minut i żadnego problemu. To prawie dwa razy tyle co inne przerwy między zakłóceniami.

Oświadczam, że nie ma już usterki w systemie.

- Raczej masz nadzieję - zauważył Hyde, uśmiechając się szeroko. Splótł mocno ręce, aby nie okazywać zdenerwowania, aby słuchać Stiepanowa, popijając kawę, patrząc na szerokie plecy Zitka okryte kombinezonem. Aby czekać, czekać i jeszcze raz czekać. Było to nieomal nie do zniesienia. Zachowanie spokoju i opanowanie wyobraźni w obecności tych ludzi było trudniejsze od czekania w składziku sprzątarek.

- Mam nadzieję? Słowo pracownika naszej wspaniałej służby telekomunikacyjnej. Awaria minęła.

- Radziłbym... - zaczął Stiepanow, ale Hyde przerwał mu:

- Zaczekajmy jeszcze pięć minut, dobrze? Za pięć minut przeprowadzę pierwszy test.

- Dobrze - zgodził się Zitek niechętnie.

Zadzwoił telefon. Ręka inżyniera aż podskoczyła. Był zdziwiony.

Hyde czuł chłodną wilgoć pod pachami i na bokach.

- Cholerna Moskwa - warknął Zitek. Podnosząc do ucha słuchawkę, zaczął stroić miny. - Tak, mówi Zitek. Co? - Podał słuchawkę Stiepanowowi. - To do ciebie.

Twarz Stiepanowa wyciągnęła się, jakby jej właściciel przygotowywał się do spotkania twarzą w twarz z przełożonym. Wyprostował plecy.

Poprawił krawat.

- Tak? Tak, towarzyszu pułkowniku, tak, tak... - Hyde widział z profilu, jak oficerowi poczerwieniało ucho. Przesunął rękami po policzkach, rozluźniając w ten sposób napięte mięśnie twarzy. - Wygląda na to, że błąd sam się skorygował. Tak, rozumiem, oczywiście zdaję sobie sprawę, jak ważny jest czas... Tak, jest tutaj. - Z wyraźną ulgą Stiepanow odwrócił się do Hyde'a, którego twarz wyrażała jedynie zniechęcenie. Drgnęła mu tylko ręka w kieszeni laboratoryjnego fartucha. Stiepanow podał Hyde'owi słuchawkę niczym zatruty napój.

- T... tak - powiedział Hyde, przetykając ślinę. - Radczenko, towarzyszu pułkowniku, tak, kontroler systemów. - Czekał. Głos z Centrali w Moskwie był szorstki i brzmiał autorytatywnie. Radczenko rzeczywiście należał do personelu ambasady sowieckiej. Przesłany tu został niedawno. „Jeżeli chodzi o ambasady bloku wschodniego, to panuje duża płynność kadr w kręgach specjalistów od komputerów służby bezpieczeństwa...” Teraz zapewnienia Godwina potwierdzały się. Hyde'owi wydawało się, że niewidzialny pułkownik sprawdza go dokładniej niż wartownicy przy wejściu do hali komputerowej.

- Przetestować system. Chcę mieć Pragę z powrotem na linii jeszcze dziś wieczorem. Za godzinę. Zrozumiano?

- Towarzyszu pułkowniku! Pełne sprawdzenie zajmie ponad trzy albo cztery godziny.

- Nie opowiadajcie takich bzdur! Sprawdzać etapami. Wtedy będziemy mogli szybko uruchomić terminale. Zaczniście od kartoteki danych dotyczących wykształcenia. Macie taki test.

- Tak jest, towarzyszu pułkowniku. Wykaz pracowników ambasady.

- Świetnie. Wypróbujcie to. Chcę wiedzieć, na ile będziemy się musieli w to włączyć. Zameldujcie mi za godzinę. Zrozumiano?

- Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

- Godzina do normalnego uruchomienia łączy. Powiedzmy, do północy. Nie. Będę wspaniałomyślny. Do pięć po dwunastej. Radezenko, macie być cały czas uchwytyni telefonicznie. Zrozumiano?

- Tak jest.

Słuchawka w Moskwie z brzękiem opadła na widełki. Na linii słyhać było trzaski, a potem buczenie. Hyde odłożył słuchawkę.

- Słyszałeś go - powiedział uśmiechając się i wzruszył ramionami.

Zitek wpatrywał się w monitor. Ekran z przerażającą dokładnością pokazywał kolumny z wynikami meczów piłki nożnej.

- Powodzenia, synu - zamruczał Zitek. Ostentacyjnie spojrzął na zegarek. - Czternaście minut od ostatniego zakłócenia na linii. Mówiłem ci, pieprzone zakłócenie przeniosło się gdzie indziej.

- Ale co to było? - zapytał Stiepanow.

- Kto to wie? - Zitek wzruszył ramionami. Wstał i przeciągnął się. - W każdym razie ja idę. Gdybyś mnie potrzebował, to oni mają mój telefon. Ale, chłopie, dzwoń tylko wtedy, gdyby była jakaś krytyczna sytuacja! - zwrócił się do Hyde'a.

- Będę się starał - zamruczał Hyde. Jedenasta dwanaście. Zakrył zegarek rękawem fartucha. - Spróbuję cię nie niepokoić. - Wyniki meczów piłki nożnej ukazywały się bez najmniejszych zakłóceń. Bateria w tunelu metra wreszcie się wyczerpała. Operacja trwała nadal.

Patrzył; jak Zitek pakuje swój sprzęt, przykleknąwszy przy skrzynce na narzędzia. Pudło musiało być stare, zdobiły je rzeźbione drewniane wzory i piękne łączenia. Być może należało kiedyś do ojca albo dziadka tamtego? Nie pasowało do podłogi pokrytej wykładziną, kratki wentylacyjnej i pęków kabli. Do Hyde'a docierały strzępki irytującej, słuchanej jednym uchem opowieści Stiepanowa o przepustce i Morzu Czarnym. Myślał o tym, co mu powiedział Godwin, o klawiaturze terminalu, ekranie, tej małej grupce skupionej wokół niego. Zaczynają, powiedział sobie.

Zitek wstał, kiwnął głową swoim towarzyszom, mrugnął do Hyde'a i wyszedł. Stiepanow odwrócił się do Hyde'a, patrząc wyczekująco. Hyde usłyszał w myślach głos Godwina: „Wszystko wskazuje na to, że będą chcieli, abyś zaczął od zapisów dotyczących wykształcenia. Od czegoś niezbyt utajnionego, danych o niewielkiej wartości.

Dlatego masz tu wykaz personelu praskiej ambasady. Jest to jeden ze standardowych testów”.

Jedenasta trzynastcie.

Hyde postawił swoją walizeczkę na stole i otworzył ją. Wyjął gruby plik wydruków i metalową linijkę. Stiepanow zapytał:

- Jeszcze kawy? - Hyde pokręcił głową. - Ja się napiję - mruknął Rosjanin, patrząc na swój pusty kubek. - Pójdę chyba do palarni - uśmiechnął się rozbrajająco. Nagle Hyde ponownie stał się czujny wobec niebezpieczeństwa, jakie groziło mu ze strony oficera. Dobrze ułożony, inteligentny, wierny przełożonym w Moskwie. Zostanie obok i będzie obserwował. Hyde'owi ścierpła skóra na ramionach, na nadgarstkach, na karku. „Kartoteka danych o wykształceniu. Obszar neutralny”. Mało istotne informacje. „Hasło, dodał Godwin z szerokim uśmiechem, jest proste. Wszyscy je znają. *Dominus illuminatio mea*. Po łacinie. Napis umieszczony w herbie Oksfordu. Kiedyś posługiwali się napisem z herbu Cambridge, ale po wpadce Blunta zaktualizowali je. Dla następnej generacji rekrutów. Ci w Centrali w Moskwie nie są pozbawieni poczucia humoru, prawda? Przez ostatnie parę lat każdy dezertier opowiadał nam ten dowcip”.

Hyde położył linijkę w poprzek rolki papieru w drukarce. Sprawdził, czy podajnik papieru i drukarka działają prawidłowo. Później ekran. Skasował widniejące tam nadal wyniki meczów piłki nożnej. Bładozielony ekran oczyścił się. Georgij siedział na krześle obok niego. Inny strażnik przyłączył się do Stiepanowa i obaj palili za szklanym przepierzeniem. Stali pod napisaną po rosyjsku tabliczką zabraniającą palenia. Czerwone kółko tabliczki przesłaniało twarz Stiepanowa. Wyglądało to, jakby miał znamię na skórze.

Zaczynaj. Włączył się do systemu, używając kodu ambasady.

Wartownik imieniem Georgij rozwijał kanapki. Pokrajana w plasterki szeroka pachnąca czosnkiem czeska kiełbasa między kromkami białego chleba. Rozłożył wieczorną gazetę. Był spokojny i zadowolony. Łatwa robota. Hyde ponownie zerknął na długą halę. Dwie postacie poruszały się za szkłem, oddzielającym strefę pod specjalnym nadzorem. Wewnątrz szklanej klatki znajdowali się tylko mundurowi. Jednym z nich był czujny i inteligentny Stiepanow.

Hyde użył hasła, by uzyskać dostęp do Głównego Spisu. Później wybrał z niego prostokąt oznaczony napisem „Wykształcenie”. Zgodnie z tym, co powiedział Godwin, tutejsze terminale były na stałe połączone z Centralą w Moskwie. Chodziło o łatwość i szybkość dostępu do centralnej pamięci. Nikt przecież nie spodziewał się, że ktoś niepowołany, taki jak Hyde, dobierze się do klawiatury. Dostęp do niej miały tylko osoby upoważnione i tylko one znały hasła.

Hala z prawej strony kończyła się korytarzem. Dalej były schody. Po lewej stronie, jakieś pięćdziesiąt stóp od Hyde'a, Stiepanow palił papierosa i pił kawę. Georgij wbił zęby w grube kromki chleba. Hyde znów poczuł czosnkowaną kielbasę, ale po chwili klimatyzacja wchłonęła ten zapach.

Hyde napisał pierwsze nazwisko ze swojej listy, Abalakin I.P. Po chwili ekran wypełnił się informacjami na temat wykształcenia i kwalifikacji tego człowieka. Hyde sprawdził je ze swoim wydrukiem. Z materiałem przygotowanym przez Godwina, który uzupełnił dane informacjami uzyskanymi przez SIS, a dotyczącymi personelu ambasady sowieckiej w Pradze. Zgadza się. Napisał następne nazwisko, Aladko LA. Lawina faktów. Zgadza się. Antipin W.W. Zgadza się. Baranow I.K. Zgadza się.

Georgij zaszeleścił gazetą. Hyde wpatrywał się w zegarek, w chwili gdy na ekranie pojawiły się mizerne informacje na temat wykształcenia Bojki. Jedenasta dwadzieścia jeden. Wybrał opcję druku całej zawartości ekranu. Hałas uruchomionej drukarki przstraszył jedzącego Georgija. Hyde wstał, pochylił się nad drukarką i porównał informację z danymi na ekranie. Osiągnięcia naukowe Bojki prezentowały się dosyć marnie, ale dotyczące jego osoby dane wydrukowane zostały bez zarzutu. Czobotow, Diedow, Didienko, Fatajew A.G. Poprawnie, poprawnie, poprawnie.

Georgij z przesadną skrupulatnością składał papier, w który miał zawiniętą kanapkę. Hyde odwrócił się w jego stronę. Ze stronicy gazety spojrzwały na niego ponure twarze członków partii.

- Przepraszam cię, Georgij - powiedział Hyde. - Nie wolno ci tego oglądać. Nie jesteś dopuszczony do tajnych informacji. Nie zostałeś sprawdzony. - Hyde wzruszył ramionami. - Muszę teraz sprawdzić historię ich przydziałów służbowych. Przepraszam cię.

Georgij spojrzął na oficera, który śmiał się z jakiegoś dowcipu i palił papierosa. Widział go przez szybę ze znakiem zakazu palenia, który szpecił twarz tamtego jak skaza. Na tabliczce napisano, że palenie jest surowo wzbronione. Dym nie przedostawał się do hali z komputerami, więc nikt nie zwracał uwagi na zakaz. „Surowo wzbronione”. Ręce Hyde'a niezdecydowanie spoczywały na klawiaturze. Musiał dokonać nagrania, nim powróci Stiepanow. On miał uprawnienia do kontroli.

Zanim Stiepanow i Moskwa zorientują się, zanim zadzwoni telefon - szybciej, szybciej!...

Georgij wstał powoli, wycierając usta szarawą chustką. Kiwnął głową. Czyścił sobie zęby, językiem wypchnął prawy policzek.

- Przyrowadzę porucznika - mruknął niewyraźnie i po prostu wyszedł. Powoli, jak ociężały przeżuwacz.

Pięćdziesiąt stóp.

Godwin uprzedzał go, żeby skwapliwie korzystał z każdej nadarżającej się okazji. Ale też przestrzegał przed popełnieniem błędu.

Teraz?

Teraz. Patrzył na klawiaturę z rosyjskim alfabetem i- przez chwilę nie wiedział, co robić z tymi dziwnymi znakami. Potem, kiedy ponownie skupił wzrok na klawiszach, ułożyły się same w przejrzysty tekst. „Ostatnie trzy placówki w odwrotnej kolejności, pisane bez spacji”. Słyszał niemal Pietrunina, czuł przy policzku i uchu jego mokre od krwi usta.

Zadrzał.

Skasował zapisy o wykształceniu. Pojawił się katalog, zalecający skorzystanie z bazy danych komputera Centrali. Aby dostać się do historii przydziałów służbowych, potrzebne były hasła, które dał mu Pietrunin. To była nić, która pozwalała poruszać się po labiryncie. Wzbronione. Surowo wzbronione. Zażądał Historii Przydziałów, z ekranu zaś padło żądanie podania haseł określających zakres jego uprawnień do tajnych informacji.

Co?

Napisał: BIALENOCE BIAŁYNIEDŹWIEDŹ BIAŁORUSIN.

Na ekranie ukazał się napis BŁĄD i wezwanie do podania poprawnego hasła. Trzy razy, powiedział Godwin. Masz tylko trzy podejścia. Słyszał głos Pietrunina, niech to diabli! To okropne, puste, szeptem wyrzucone warknięcie. Nienawiść. Radość z destrukcji. Strach przed nadchodzącą śmiercią. Sukinsyn kłamał!

Hyde spojrział w kierunku szklanego przepierzenia, które zaszło mgłą od niebieskiego tytoniowego dymu. Georgij pokazywał na niego, a Stiepanow kiwał głową. Potem porucznik oszacował ilość pozostałej w kubku kawy i długość nie dopalonego papierosa. Hyde pocił się obficie. Machnął niedbale ręką w ich stronę. Pokazywał im, żeby się nie spieszyli.

Skasuj to, cofnij się...

Nie, Pietrunin nie kłamał.

Hyde wpisał: BIALENOCEBIAŁYNIEDŹWIEDŹBIAŁORUSIN bez odstępów. Napisał to tak, jak miał wpisać końcowe tajne hasło, otwierające dostęp do tego, co Pietrunin przechowywał w pamięci komputera. Bez odstępów!

BŁĄD, padło nieubłaganie z ekranu. Hyde poczuł, że temperatura mu podskoczyła. Jego ciało drżało. Stan krytyczny. Reaktor wymknął się spod kontroli. Organizm był przerażony. Georgij, Stiepanow - telefon... Moskwa nie mogła go jeszcze odłączyć. Musieli pozwolić, aby wypadki toczyły się dalej.

Skoncentrował się. Zmrużył oczy i wykrzywił twarz w bolesnym wysiłku. Pochylił

głowę nad klawiszami, jakby miał zaraz zacząć wielki recital. Głuchy szept Pietrunina odbijał się echem w opuszczonej jaskini jego własnego ciała. Co on mówił?

Hyde słuchał. Potem, jak gdyby porozumiał się raczej z zagubionym duchem, niż sięgnął do własnej pamięci, napisał to hasło jak w transie.

BIALENOCEBIAŁORUSINBIAŁYNIEDŹWIEDŹ.

Ekran rozjaśnił się. Hyde otworzył oczy. HASŁO POPRAWNE.

Z ekranu padło pytanie, co chciałby wiedzieć. Jakiej oczekuje pomocy i czego żąda.

Napisał nazwisko Pietrunina, później kolejno jego stopień, imiona, numer w KGB. Spojrzał na szklane przepierzenie. Wyglądało na to, że Stiepanow nie zamierza się stamtąd ruszyć, bo właśnie podniósł do ust kubek z kawą. Po prawej stronie znajdowała się sala zewnętrzna. Dalej Hyde już nie widział. To był jego dystans do przebiegnięcia. Na ekranie pojawiło się streszczenie historii przydziałów służbowych Pietrunina. Hyde nawet na nie popatrzył. Znał trzy ostatnie. Londyn, Pierwszy Zarząd Główny w Moskwie, Kabul. Pietrunin użyłby słowa Kabul, smakując je i nienawidząc zarazem. Czy rzeczywiście? Czy na pewno tak? Kiedy wprowadzał własny program do komputera?

W odpowiedzi na wezwanie do podania kolejnego hasła Hyde napisał KABUL-MOSKWALONDYN.

Pustka. Pusty ekran!

Wiedział chyba dzięki telepatii lub spirytyzmowi, że dla Pietrunina właśnie Kabul był ostatnim przydziałem. Żeby włączyć go do hasła, trzeba zmienić szyk wyrazów. Zrobiłby to z pewnością.

Szybciej, szybciej, szybciej.

Ekran nadal był pusty, ale Hyde czuł, że komputer dokonuje kolejnych operacji, szukając nowotworu wszczepionego mu przez Pietrunina. Szukaj, szukaj, szukaj. Znajdź!

Wiersz. Nie informacja. Wiersz po rosyjsku. Wyświetlenie kolejnych zapisów dotyczących Pietrunina nagle się urwało. Tych czternaście linijek wiersza spływało w dół ekranu niczym delikatna zielona fala. Będą zakłócenia, ostrzegał go Pietrunin. Mimo to ręka Hyde'a zawisła nad klawiaturą. Chciał nacisnąć klawisz przerywający ten zapis i powrócić do Katalogu. Tak postąpiłby każdy, kto przypadkowo natknąłby się na tajemnice Pietrunina. To miało służyć jako dodatkowe zabezpieczenie „Łzy”, co to takiego? Smutne rozstanie. Coś o karierze, miłości i powstałym na tym tle konflikcie. Pietrunin w sentymentalnym, pełnym pobłażliwości dla siebie samego nastroju. Hyde nie miał wątpliwości, kto był autorem wiersza. Młody Pietrunin. Dużo młodszy. Pojedyncza łza. Krajobraz wokół kochanków. Łabędź odpływający w dal. Hyde zmarszczył nos.

Ręka Stiepanowa na drzwiach. Czternaście linijek. Do Lary. Palec Hyde'a zawisł nad klawiszem Reset. Wyglądało jednak, że Stiepanow się nie śpieszy. Wiersz zniknął. Hyde nacisnął na guzik na „serpentyńce” i zaczął nagrywać. „Nie używaj drukarki, żadnych ciągłych wydruków”, usłyszał w głowie ostrzeżenie Godwina. Cofnął rękę od drukarki jak od płomienia. Stiepanow zamknął za sobą drzwi, kroki na dywanie. Skasuj...

Nie! Jeszcze nie...

Litery. Słowa zaczęły płynąć po ekranie, jakby to sam Pietrunin, a nie on je poganiał. Brudy Biura Politycznego. Skandale rodzinne, nepotyzm, niemoralność, biżuteria, dacje, futra, wszystko...

Niczego nie podejrzewający Stiepanow uśmiechał się. Hyde wstrzymywał się przed przerwaniem tego programu, przebiegając wzrokiem pomiędzy porucznikiem, telefonem i ekranem.

...domy, kochanki, zagraniczne konta bankowe, przyjaciele, pieniądze, pieniądze, pieniądze, pedofilia...

Nie można było iść na skróty. Tam gdzieś znajdowała się „Łza”, ale Pietrunin umarł, nim zdołał podać indywidualne hasła do poszczególnych zbiorów swego sekretnego archiwum. Brudy w dalszym ciągu płynęły w dół ekranu. Przypominały pierwsze strony brukowych gazet. Brudy Biura Politycznego, brudy Sekretariatu, szczegóły na temat bieżących operacji zagranicznych Pierwszego Głównego Zarządu, rozmieszczenie agentów...

Wszystko to było użyteczne, właściwie bezcenne, ale Hyde chciał jednego nazwiska, nazwiska jednego człowieka związanego z jedną operacją.

„Łza”.

Dalej, dalej, nazwisko, nazwisko...

Proszę.

Zadzwoił telefon. Hyde podskoczył jak rażony prądem elektrycznym.

Massinger osunął się na brzeg żeliwnej wanny stojącej na zakończonych metalowymi gałkami nóżkach. Patrzył na znów otwartą ranę w nodze. Oddech miał nierówny. Margaret pomagała mu w przejściu korytarzami, ale teraz zdawała się wyczerpana. Białe włosy opadały jej na błądą, pooraną zmarszczkami twarz. Paul czuł w nodze ostry ból. Kurczowo trzymał się brzegu wanny, chcąc opanować drżenie ciała. Stojący przy drzwiach Beach sprawiał wrażenie głęboko poruszonego tym widokiem. Z pistoletem w rękę wyglądał na gotowego do akcji wartownika, ale naprawdę był zaniepokojony. Uważał, że cierpienia Massingera są wynikiem niefortunnego, niepotrzebnego zbiegu przypadków. Aubreya również zaskoczyło ponowne otwarcie się rany Paula. Ale starszy pan pogrzyżył się w odmętach rozpacz, która zdawała się pozbawiać go siły

woli, zdolności do przeżywania współczucia lub strachu. Rozpacz wprawiła go jakby w stan lekkiej hipnozy.

- Margaret, czy możesz mi pomóc ściągnąć nogawki... - wyszeptał chrapliwie Paul. Nie musiał udawać. Noga bolała go jak diabli. Spojrzył na zegarek. Jedenasta dwadzieścia. Zostało mało czasu. Musiał się śpieszyć.

Margaret podeszła do niego.

- Czy możesz się unieść, Paul? Podeprzyj się rękami... - Rozpięła mu pasek. Uklękła, aby pomóc mu się rozebrać i umożliwić przemycie rany oraz założenie nowego opatrunku. Massinger poczuł taki sam ból jak wtedy, gdy uderzając o kant stołu spowodował ponowne otwarcie rany.

Skrzywił się.

- Chryste Panie, postaram się...

No dalej, Beach! Mężczyzna poruszył się mimo woli, jak gdyby odebrał ten nie wypowiedziany rozkaz. Pomóż nam!

Massinger jęknął. Margaret w strachu wykrzyknęła jego imię. Beach podszedł bliżej. Wyciągnął rękę, żeby pomóc Paulowi. Schował broń do kabury.

Massinger uderzył Beacha pięścią w skroń. Margaret rzuciła się na mężczyznę i popchnęła go na wannę. Massinger lewą ręką sięgnął po jego pistolet. Najpierw go dotknął, potem chwycił nerwowo, aż wreszcie pewnie ujął w dłoń. Twarz Beacha wykrzywiona była wściekłością; usiłował walczyć, zamachnął się pięścią na Massingera, a później na Margaret, która niezdarnie uskokczyła, wpadając na ścianę. Szybkim ruchem odgarnęła włosy z oczu. Pochylony nad Paulem Beach usiłował wygramolić się z wanny. Twarz Paula była biała z wysiłku i słabości. Beach był górą. Był silniejszy. Nie uda się, nie.

Cóż mogła zrobić? Zdawała sobie sprawę z własnej słabości. Była małą, drobną kobietą, a Beach silnym, wysportowanym mężczyzną. Znowu uderzył Paula. Pięść trafiła w szczękę jej męża. Margaret miała wrażenie, że twarz Paula przekrzywiła się od tego ciosu. Dzbanek. Ozdobiony sceną pasterską lub myśliwską. Konie. Mężczyźni i kobiety ubrani w osiemnastowieczne stroje.

Na łazienkowym taborecie stał dzbanek i miska. Zakurzone, nie używane przez nikogo. Dotknęła ucha dzbanka. Paul jęknął.

Chwyciła dzbanek za ucho. Ruszyła przed siebie ze szlochem, zamachnęła się dzbankiem, który nagle wydał się za lekki. Nie dość ciężki...

Pękł. Rozłupał się na głowie Beacha, trafiając go obok prawego ucha. Beach jęknął, chyba ze zdziwienia. Wypuścił z rąk koszulę Paula i wpadł do pustej wanny. Krew z rozciętej głowy natychmiast zbrukała białą porcelaną jasnoczerwonymi plamami. Oddech Beacha przypominał jęk protestu i zdumienia.

Margaret pochyliła się z trudem nad wanną, jakby miała zwymiotować. Z wysiłkiem chwyciła powietrze. Massinger wyjął broń z zaciśniętej dłoni Beacha i odbezpieczył.

- Idź! - ponaglił. - Szybko, kochanie! Szybko! - Wyprostowała się, odrzucając do tyłu włosy. Była posiniaczona. Twarz miała szarą i postarzałą. - Możesz? - zapytał, a ona natychmiast skinęła głową. - Grzeczna dziewczynka. Uważaj. Gdyby oni, gdyby oni... po prostu nic nie rób, proszę cię. Odłóż słuchawkę i szybko odejdz. Nie szarp się z nimi. - Margaret znowu kiwnęła głową. Uśmiechnęła się niepewnie niczym ktoś wychodzący z oddziału intensywnej terapii po otrzymaniu wiadomości, że nie ma nadziei dla bliskiego mu człowieka, kto stara się uciec przed nieuniknionym lub przypomnieć sobie lepsze czasy.

Przed wyjściem z łazienki nachyliła się i pocałowała męża w policzek. Spojrzała na Beacha, który nieomal chrapał w wannie. Dla Massingera jej oddalające się kroki brzmiały jak kroki kogoś, kto ucieka. Popatrzył na niedbale trzymany w rękach pistolet. Zdawał mu się bardziej przedmiotem niż bronią. Później spojrzał na Beacha.

Ostatnia walka Massingera. Uśmiechnął się szeroko. W tej samej chwili skrzywił się z bólu i strachu o Margaret. To głupie posunięcie, powiedział sobie w duchu. Głupie i niebezpieczne posunięcie.

Desperacki czyn. Potwornie bał się o jej bezpieczeństwo. Pistolet drżał mu w omdlałych palcach. Beach rządził. Pozostali kręcili się po domu. Wszyscy oni zagrażali Margaret.

Margaret śpieszyła korytarzami. Kuliła się w sobie na każde skrzypnięcie podłogi. Oddychała szybko i płytko. Ramiona i ręce jej drżały. Miała mokre czubki palców i obawiała się, że brudne ślady pozostawione na ścianie mogą ją zdradzić. Serce tukało się w piersiach.

Jeszcze jeden długi korytarz. Kiedy prowadziła Paula do łazienki, policzyła wszystkie zamknięte drzwi. Gdy myślała o tym, co ma zrobić, rozum nie chciał się pogodzić z przemocą i niebezpieczeństwem, ku któremu zmierzała. Otworzyła ostrożnie pierwsze drzwi. Zaskrzypiały lekko. Zaczęła szukać wyłącznika, wsłuchując się w pustkę pokoju.

Nie było telefonu.

Następne drzwi, następny pokój. Światło. Tu też nie było telefonu, tylko drewniane skrzynie, deski podłogowe i pusty stół. W drugiej części korytarza inny pokój, potem jeszcze inny. Za każdym razem, kiedy się zatrzymywała, czuła falę gorąca. Oblewało ją zawsze, gdy ostrożnie otwierała drzwi i zapalała światła. Sprawdziła do tej pory pięć pokoi. Potem były schody prowadzące na piętro tego wysokiego domu niedaleko

Wiener Gaswerk-Leopoldau, na nędznym przemysłowym przedmieściu. Szybko zeszła po schodach pół piętra niżej. Wyrzała przez poręcz na pusty korytarz wyłożony kafelkami, w połowie przykrytych brudnym, wyblakłym dywanem. Potem spróbowała w następnym pokoju.

Drzwi. Wyłącznik. Światło. W chwili gdy nabierała powietrza w płuca, już wiedziała. Dywan. Krzesła. Biurko - na biurku telefon! Cicho zamknęła za sobą drzwi. Zasłony były zaciągnięte, w popielniczkach leżały niedopałki papierosów, a na niskim stole widniały mokre jeszcze ślady, pozostawione przez denko pustej szklanki, na której nie zaschła jeszcze piwna piana. Ktoś tu niedawno był. Przed chwilą wyszedł? Stała szybko za biurkiem, tak by widzieć drzwi. W zamku nie było klucza. Przytknęła słuchawkę do ucha. Usłyszała sygnał miejskiej centrali. Wybrała szybko numer, mocno naciskając klawisze. Patrzyła na popielniczkę i wilgotne koliste ślady. Wpatrywała się w drzwi.

Sygnał wywoławczy. Mieszkanie Guesta w Albany. Jeżeli sir William wrócił z Waszyngtonu, to pojawiła się przed nimi niewielka szansa. Wyraźne, głośnie sygnały. Nikt nie odpowiadał. Pokój pachniał jeszcze dymem papierosowym, jak gdyby weszła tu tuż po czyimś wyjściu. Sygnały w słuchawce umilkły.

- Rezydencja sir Williama Guesta - powiedział ktoś głosem kamerdynera ze starej sztuki. To był ten głos, ten sam głos.

- Nie! - Nie mogła powstrzymać się od krzyku. Jej protest przerodził się w jęk rozczarowania.

- Pani Massinger, pani Massinger. To pani, prawda? - odpowiedział głos. - Jak, u diabła...

- Boże, nie! - krzyknęła.

- Pani jest... Gdzie pani jest?

Uniosła głowę. Nie usłyszała pytania, ponieważ coś przyciągnęło i zatrzymało na sobie jej wzrok. Całą uwagę skupiła na skrzynce, do której dołączono elastyczną rurę przytwierdzoną dziwacznie do ściany. Koniec węża umieszczono wysoko. W ciemnym rogu pokoju. Kamera telewizyjna.

Do podglądu. Jak w sklepach i supermarketach. Kamera do celów wywiadowczych.

- Och, nie... - wyszeptła Margaret. Zawładnęło ją poczucie porażki. Głos w słuchawce nalegał, pytał, groził, ale ona prawie tego nie słyszała. Zahipnotyzowana i bezwładna, wpatrywała się w kamerę.

Spokojnie, nieomal nonszalancko odłożyła słuchawkę, w chwili kiedy do pokoju wszedł Wilkes. Na jego twarzy malowała się złość, ale i pewność siebie. Szybko przeszedł przez pokój, jakby śpieszył na czyjeś wezwanie. Otwartą dłonią uderzył ją w usta. Twarz jej się wykrzywiła. Margaret krzyknęła i zatoczyła się. Uderzył ją ponownie w

twarz. Posiniaczona warga zaczęła krwawić. Z oczu popłynęły łzy. Bolał ją nos. Wilkes gwałtownie przyciągnął ją do siebie, przyciskając usta do jej ucha.

- Z kim rozmawiałaś? Z kim? Z kim?

Potrząsnął nią. Spoczywała bezwładnie w jego uścisku.

- Guest - wyszeptła.

- Co? - Odsunął ją od siebie. Potrząsnął ponownie jej ciałem. W jego oczach wi-
dać było strach.

- Guest, Guest, Guest, Guest! Rozmawiałam z Guestem!

Wtedy uderzył ją jeszcze mocniej. Poleciała do tyłu. Nie mogąc znaleźć punktu oparcia wśród zasłon, zaplątała się w nie i runęła na podłogę. Bolała ją szczęka. W oczach pokazały się gwiazdy. Jęknęła.

Usłyszała, jak Wilkes wybiera numer. Czekał. Usłyszał wiadomość. Zaczął się śmiać, uspokajając rozmówcę. Potem postawił Margaret na nogi i uśmiechnął się szeroko.

- No, dalej, szanowna pani. Zapraszam z powrotem do pokoju we wschodnim skrzydle! Tam, gdzie zawsze zamyka się żony-wariatki! - Popychał ją przed sobą przez pokój, przez drzwi, wzdłuż korytarza prowadzącego na schody. - Gdzie on jest?

- W łazience - powiedziała bez wahania. Wilkes był zdyszany. Pchnął ją na ścianę i powiedział:

- No, dalej. Zrobimy mu niespodziankę!

Pociągnął ją na górę po schodach, wzdłuż korytarza. Przepchnął przez zakręt, aby później znów wlec kolejnym korytarzem.

- W tej łazience? Na tym piętrze?

Kiwnęła tylko głową. Popychał ją przed sobą jeszcze brutalniej, jakby śpieszył się do innych, pilnych zajęć, przewidzianych rozkładem dnia. Nie był już wściekły. Po prostu mu się śpieszyło.

Zastukał do drzwi.

- Massinger, nie każ mi tracić czasu. Mam tu twoją żonę, koleś, i zabiję ją, jeśli spokojnie nie wyjdiesz. - Zamilkł. Po chwili dodał: - O co chodzi, nie wierzysz mi?

Wykreślił jej ramię w żelaznym uścisku. Krzyknęła.

- Słyszałeś? Przyznaję, że to skrócona forma negocjacji, ale to twoja żona.

Drzwi otworzyły się. Ukazała się w nim poszarzała twarz Paula. Wpatrywał się w Margaret. Cofnął się o krok, zostawiając szeroko otwarte drzwi. Beach siedział na wannie, dotykając głowy poplamioną na czerwono chusteczką, do nosa.

- Ty głupi palancie! - warknął Wilkes, wkracząc do środka. - Rusz tyłek i zaprowadź ich do pokoju. - Kiedy Wilkes spojrzał na zegarek, Massinger potulnie oddał broń Beachowi. - Szybko! - rozkazał Wilkes.

Brzęk rozbijanego szkła. Drzwi wyrwano z zawiasów silnym uderzeniem. Inne odgłosy. Znowu brzęk szkła. Wilkes nie wyglądał na zdziwionego, ale powiedział:

- Cóż to, u diabła, było? Beach, zejdź na dół i sprawdź. No, pospiesz się! Ja się zajmę naszymi przyjaciółmi. Szybko, człowieku!

Beach wyminął go i ruszył pośpiesznie korytarzem. Strzał? Wilkes uśmiechnął się szeroko.

- Zaczęło się? - zapytał Massinger, przytulając Margaret mocno do siebie.

- O tak, koleś - zaczęło się. Jazda, wracać do pokoju. Spodziewają się, że tam was zastaną. No, już, szybciej!

Hyde nacisnął klawisz przerywający program. Ekran oczyścił się. Postąpił według instrukcji zawartej w katalogu. Kiedy podnosił słuchawkę telefonu, cień Stiepanowa padł na klawiaturę. Hyde ponownie zebrał w ustach trochę śliny, aby zwilżyć wyschnięte, zaciśnięte gardło. Stiepanow stał nad nim, jakby pozwalając dziecku na krótką rozmowę telefoniczną z kolegą. Porucznik zerknął na plik wydruków z leniwym zainteresowaniem. Bez pośpiechu.

- Tak? - zapytał Hyde. Błefuj. Bądź pewny siebie, zniecierpliwiony, przeszkadzono ci w pracy, przypomniał sobie słowa Godwina. - Tak? O co chodzi?

- Towarzyszu, dlaczego weszliście do zbioru historii przydziałów służbowych? - zapytał głos. - W jaki sposób weszliście do tej kartoteki? Do jakich zbiorów wchodziliście?

- Dlaczego pytacie? O co chodzi? - rzucił Hyde z widocznym sarkazmem. Przyjął ton zwierzchnika. Nie liczył się tu stopień, stanowisko lub zakres wtajemniczenia.

- Weszliście do zbioru dotyczącego wykształcenia, a potem przeskoczyliście.

- A wy postanowiliście mi przeszkadzać! Posłuchajcie, towarzyszu! Próbuję się dowiedzieć, czy zaistniały defekt w jakikolwiek sposób uszkodził zbiory danych. Nie oczekujecie chyba, że będę przeglądał listę pracowników ambasady bez sprawdzenia danych w innych zbiorach, bez przechodzenia z podzbioru do podzbioru? Zróbcie coś dla mnie, dobrze? Nie wtykajcie tu nosa, dopóki nie skończę. W przeciwnym razie obu nam łeb ukręca! Zrozumiano?

Stiepanow nie ukrywał rozbawienia, a Australijczyk dla dopełnienia swojego wizerunku teatralnym gestem potrząsnął głową.

- Ale podczas sprawdzania systemu zazwyczaj nie...

- Chwileczkę! Zazwyczaj nie robi się czego? Nie wchodzi się tak głęboko? Wystarczy się prześliznąć po powierzchni zabezpieczeń? Ja mam prawo dostępu do tajnych dokumentów. A wy? To ja sprawdzam system, nie wy! Wy jesteście zwykłym operatorem. Jutro dostaniecie swój system z powrotem do zabawy. Dzisiaj on jest mój.

A teraz nie zwracajcie mi już dłużej głowy!

- Ja... - Po chwili usłyszał: - Przepraszam, towarzyszu. Pracujcie dalej na linii. - Usłyszał w słuchawce trzask, a później buczenie. Operator z moskiewskiej Centrali dał mu spokój. Dostał burę i poszedł jak zmyty. Tak powiedziałaaby matka Hyde'a. Zazwyczaj w ten sposób odsyłała z kwitkiem poborcę czynszu...

Hyde westchnął zniecierpliwiony. Sukces rozmowy z Moskwą spowodował, że opuściło go całe napięcie. Udało się. Niewielkie opóźnienie. Ale operator nie może zacząć się zastanawiać, rozpytywać, ba, wręcz zagadnąć pułkownika...

Stiepanow. Dlaczego tu jeszcze stoi?

- Coś nie gra? - zapytał Stiepanow przyjaznym tonem. - Czy mogę jakoś pomóc?

Hyde potrząsnął głową.

- Skoro wasz specjalista nie potrafi wykryć usterki, jeżeli taka w ogóle istnieje, to postanowiłem przeprowadzić o wiele głębsze i szersze badania. Ci cholerni biurokraci w białych fartuchach nie spodziewali się tego!

- I jak dotąd wszystko w porządku?

- Tak. - Hyde zerknął na zegarek. Jedenasta dwadzieścia sześć. Za długo. Trwało to za długo... Odczep się, Stiepanow! Na litość boską, odczep się...

- Nie przeszkadzajcie sobie, Radzenko. Nie będę się wtrącał. Obiecuję! - W głosie Stiepanowa dźwięczał skrywany śmiech. Stiepanow przyczepił się do niego niczym zagubiony uczeń. Nowy, nie chciany przyjaciel, który przyssał się jak pijawka. Odczep się wreszcie! - błagał go w myślach Hyde.

W Centrali w Moskwie dokładnie wiedzieli, do jakich danych zaczął się dobierać, od chwili gdy wszedł do centralnej pamięci. Nie wiedzą, co lub kto był przedmiotem jego zainteresowania. Ale mogą to ustalić... Mogą wytropić cel jego dociekań. W ten sam sposób, w jaki można wytropić numer, z którego ktoś dzwoni. I jeżeli to zrobią, lub raczej kiedy to zrobią, zadzwoni telefon. Wyłączą jego terminal. Zablokują mu dostęp do bazy danych, na ekranie pojawi się pustka.

Zostały mu już tylko minuty, a prawdopodobnie jeszcze mniej. Sekundy. Będzie musiał przedzierać się przez wszystkie informacje Pietrunina, dopóki nie natrafi na nazwisko Babbingtona i nie zdoła dokonać nagrania na magnetofon. Dopiero wtedy będzie mógł uciekać...

- W porządku. Nie musisz nade mną sterczeć, jeżeli nie chcesz... Denerwuję się, kiedy ktoś mi stoi nad głową.

- Cóż, szkoda, ale nie mam zamiaru dać się złapać na zaniedbywaniu swoich obowiązków, Radzenko. Nawet jeżeli jesteś równym facetem.

Hyde odwrócił się do porucznika. Czuł przepływające sekundy, jakby kroplówką

podawano mu je wprost do żyły. Te sekundy odmierzały niebezpieczeństwo.

- Jaki jest wasz status wtajemniczenia?
- Aż tak głęboko nie będziecie potrzebowali wchodzić.
- Dlaczego nie?
- Bo skoro ja nie mam tam dojścia, to i wy też nie macie tych uprawnień. - Stiepanow zsunął czapkę z czoła. Ciągle się uśmiechał.

- Czy ktoś ma jeszcze ochotę na kawę? Wy, towarzyszu? Wy? - zawołał Gieorgij, dodając: - Towarzyszu Radczenko, kawy?

Hyde'a ogarnęły nagle dreszcze, jakby niespodziewanie poraził go prąd. Pokpił sprawę, tak szybko, pokpił sprawę.

- Nic wam nie jest? - zapytał Stiepanow. - Dla mnie nie, Gieorgij!
- I zwracając się znów do Hyde'a dodał: - Wyglądacie, jakbyście potrzebowali jednak tej kawy albo czegoś mocniejszego. Jak się czujecie?
- W porządku. Pozwólcie mi wrócić do pracy, dobrze?
- Nic nie stoi na przeszkodzie.
- Nie macie odpowiednich uprawnień!
- A więc wy też ich nie macie. Nie zostaliście upoważnieni do niczego więcej niż sprawdzenie systemu. - Twarz Stiepanowa zachmurzyła się. Przyglądał się bacznie Hyde'owi. - Co wy robicie, Radczenko?

Cholera, o cholera!

- Stiepanow, przestań świrować.
- Nie świruję. Zobaczmy te wasze wspaniałe, bezkresne uprawnienia, co? Ot tak, dla rozrywki...

Cholera...

Gestem, w którym było więcej rezygnacji niż agresji, Hyde wyciągnął zza paska pistolet i przycisnął lufę do ciała Stiepanowa. Trzymał ją poniżej poziomu klawiatury. Usłyszał, jak drzwi zamykają się za Gieorgijem. Ten dureń gotów przynieść kawę, jak tylko będzie gotowa, proszony czy nie. Hyde znalazł się w pułapce uprzejmości. Towarzyska natura Stiepanowa wytrąciła go z równowagi i doprowadziła do dekonspiracji. Oczy oficera rozszerzyły się ze zdumienia. Zmarszczył czoło, zaskoczony nową sytuacją.

- Siadajcie, poruczniku. Siadajcie, proszę, obok mnie. - Pistolet lekko się zakołysał, jak niewinna, dziecięca zabawka. Stiepanow zdjął czapkę, jakby był na przesłuchaniu, i sztywno usiadł na krześle obok Hyde'a. - Spróbujcie się trochę odprężyć, poruczniku. Za bardzo rzucacie się w oczy.
- Kim wy jesteście? Skąd jesteście?

Hyde uśmiechnął się.

- Nie bądź niemądry.

- Czego chcesz?

- Czegoś, czego nie chciałbyś oglądać... Prawdę mówiąc, oddam ci przysługę... -

W głosie Hyde'a pojawiło się napięcie, kiedy odwrócił się, aby ponownie podać komendę wywołującą dane o przydziałach służbowych. Ukazało się żądanie hasła. Wpisywał je, macając palcami klawisze, jakby były oznaczone pismem Braille'a. Nieustannie spoglądał to na klawiaturę, to na Stiepanowa, później znów na klawiaturę... - Prawdziwą przysługę - ciągnął. - Tylko odwracaj oczy. Jeżeli zobaczysz to, co się ukaze... - Wiersz. Łza za Larę, czy istniała kiedyś naprawdę, czy była tylko tworem wyobraźni Pietrunina? - ...nie będziesz miał zbyt dobrych notowań w Rosji ani za granicą. Prawdę powiedziawszy, twoja przyszłość nie będzie warta funta kłaków... Rozumiesz? Jeżeli rzucisz choćby jedno spojrzenie na ekran, będzie z ciebie zimny trup! - Machnięciem bronii nakazał Stiepanowowi odwrócić głowę. Wprowadził polecenie przekazywania sygnału na magnetofon. Stale zerkał na ekran. Aktualnie prowadzone w Europie operacje Pierwszego Głównego Zarządu. Prawdziwa kopalnia złota, z której Hyde pragnął wydobyć tylko jeden jedyny samorodek, jedną bryłkę. Informacje ukazujące się na ekranie były nagrywane na magnetofon.

- Wyglądasz na porządnie przestraszonego - powiedział Stiepanow zrównoważonym, opanowanym głosem.

- Boję się.

- Co to jest? - syknął Rosjanin.

- Tylko popatrz, a zamienisz się w kamień albo w nawóz. Jeśli oni się dowiedzą, co widziałeś.

- Nie wyjdiesz stąd z tym materiałem.

- Mam nadzieję to zrobić.

- A więc nie jesteś pewien.

- Nie jestem. Nie odwracaj się!

Hyde spojrział w stronę oszklonego pomieszczenia. Szyba była częściowo zaporowana. Ekspres do kawy wykonał swoją robotę. Georgij zrobił kawę. Hyde widział go, jak nachylony nad stołem przygotowuje kubki, wsypuje cukier.

Szybciej.

Zadzwoił telefon. Stiepanow drgnął, a na jego ustach pojawił się uśmiech. Wykonał półobrót.

- Nie ruszaj się. Niech sobie dzwoni. Niech dzwoni!

Zerknął na ekran. Operacja Pierwszego Głównego Zarządu - Libia i Czad. Nazwiska agentów, przywódców oddziałów partyzanckich, radzieckich doradców. Szybciej!

Ten cholerny skrócony program. Jak, do diabła, brzmiało hasło?

Dominus illuminatio mea, na litość boską!

Telefon dzwonił natarczywie. Hyde patrzył na niego bezradnie.

- Zostawiłem serce w San Franciscooo...

Wilkes siadł przed zestawem monitorów. Po sześć w dwóch rzędach. Nadal nucił melodię, którą zaczął śpiewać, ale nie mógł już sobie przypomnieć słów. Jego wzrok przeskakiwał z ekranu na ekran. Cierpliwy, uważny, zadowolony z siebie obserwator scen przedstawianych przez zdalnie sterowane kamery rozlokowane w całym tym starym domu. Od lat używano go do szkolenia, przesłuchań, treningu zachowania po zatrzymaniu przez obce służby. Okoliczne zabudowania zostały zrównane z ziemią. Na ich miejscu stanęły budowle z końca dwudziestego wieku i dom zaczął zbytnio rzucać się w oczy. Stał się zbyt łatwym obiektem do obserwacji, żeby mógł spełniać swoje dawne funkcje.

- ...małe tramwaje wspinają się do gwiazd! - ryknął, przypominając sobie jakąś oderwaną linijkę tekstu.

Kiedy Wiedeń był jeszcze terenem istotniejszych operacji, lokal był wszechstronnie wykorzystywany i zawsze pełen ludzi. To była pierwsza linia frontu, tak jak Berlin w latach sześćdziesiątych. Wilkes gwizdał melodię piosenki przez zaciśnięte zęby. Obserwował ekrany. Stary dom, stanowiący wysepkę pomiędzy terenami magazynowymi a gazownią, zaczął znowu spełniać niektóre dawne funkcje.

- Zostawiłem serce w San Franciscooo...!

Woronin i Babbington doszli do porozumienia. Zdecydowali. Postanowili. Nie zostawiono żadnego marginesu błędu lub niejasności. Całą trójkę poderwano, postawiono na nogi. Rozpoczynali podróż do Moskwy. Nikt nie zobaczy Massingerów opuszczających samolot. Wsiądą prawdopodobnie w kombinezonach, niosąc plastikowe worki pełne śmieci z pokładowej kuchni. Natomiast Aubrey zostanie potraktowany jak gwiazda muzyki pop. W ciągu tygodnia nie będą już żyli. Massingerowie zginą w dniu przylotu, a Aubrey - jak tylko cała ta maskarada osiągnie swój cel. Zawał serca. To mniej ryzykowne niż pokazanie go w telewizji, konferencje prasowe i inne tego typu historie. Zawał serca.

Wilkes wykrzywił się w uśmiechu.

- Zostawiłem serce na Łubiance! - zaśpiewał piskliwym głosem, potem dodał: - Twój ostatni występ w telewizji, stary. - Pochylił się w kierunku ekranu, który pokazywał trójkę więźniów. Aubrey był teraz bardziej ożywiony. Nie wyglądał na bardzo wstrząśniętego i oszołomionego. Wilkes niemal widział, jak intensywnie pracują szare komórki starego. Cholernie bystry, zbyt bystry.

Na innym ekranie Beach organizował punkty oporu, stanowiska i ustalał kąty ostrzału. Na pierwszym piętrze z jego rozkazu wyłączono światło.

Kamery niewyraźnie pokazywały ciemności. Obiektywy z trudem wyszukiwały twarze, ruch, plamy jasnej skóry. Ekrany lśniły niebieską szarością.

Tam. Parter, tylne wyjście. Ktoś ubrany na ciemno. Twarz pokryta czarną pastą maskującą. Zawodowcy. Ekran pokazywał skulonego Rosjanina przesuwającego się obok kamery, a potem dalej korytarzem w kierunku kuchni i przedpokoju.

Wilkes pochylił się, przysuwając do siebie radiotelefon. Krótka, gruba antena drżała, kiedy podnosił aparat i nastawiał częstotliwość, której - jak mu powiedziano - mieli używać Rosjanie. Natychmiast z głośnika zaczęły się syczyć szepty po rosyjsku. Na jednym z ekranów widać było dowodzącego akcją człowieka KGB, skulonego w szybie głównej klatki schodowej, prowadzącej na pierwsze piętro. Wilkesowi wydało się, że byłby w stanie zrozumieć na podstawie ruchów warg wydawane przez niego rozkazy, a nawet kojarzyć ten głos z konkretną osobą. Ciągle nucił. Więźniowie stali słócenzi przy drzwiach, jakby nie mogli się doczekać swego przeznaczenia. Beach poruszył się. Pokazywała go kamera rejestrująca obraz z tylnej klatki schodowej. Przeczynał, a więc...

Wilkes czuł, że ogarnia go napięcie widoczne na tych dwunastu ekranach. Znajdujący się na strychu domu pokój nadzoru wydawał mu się cichy i aseptyczny. Pachniał ozonem z urządzeń elektrycznych lub spalonego kurzu. Ekran zatrzeszczał, kiedy przejechał po nim palcem, wymazując Beacha.

Przez chwilę, zanim rozległ się trzask wystrzałów i odgłos upadającego w ciemność klatki schodowej ciała, jego wyobraźnia zdawała się wyświetlać na ekranie fragmenty kronik filmowych z Wietnamu. Marsze protestacyjne z budynkiem Kapitolu w tle i bandą idiotów na pierwszym planie przepłatały się z wizerunkami zmęczonych, przegranych, zdezorientowanych Amerykanów z wytrzeszczonymi oczami. Zamrugał i obraz zniknął. Jego uwagę przyciągnął teraz inny monitor.

- Zostawiłem serce... - wymamrotał. I ciągnął dalej: - O, moja ukochana, tak łaknąłem twych pieśczoł... - Na chwilę w jego głowie głos Jimmy'ego Younga zmienił się w głos piętnastolatki z jego podstawówki. Siedzieli w autokarze jadącym na mecz w Walii. Śpiewali *Unchained Melody* dla niego i jego dziewczyny. Teraz była ona jego nudną, zasiedziałą w domu żoną, nieatrakcyjną kochanką i jeszcze nudniejszą matką. Piosenka pasowała do nich dwojga, kiedy byli o wiele młodszy. Wtedy była ładna. Dość ładna, by przyjąć ją do klubu...

- Zostawiłem serce... - wyszczał przez zaciśnięte zęby.

Ciało już nie spadało w przepaść klatki. Osiągnęło spokój i ciszę, leżąc w plamie

ciemności, której nie były w stanie spenetrować kamery. Potem Rosjanin w wełnianym kombinezonie z poczernioną twarzą wszedł ciężkim krokiem po schodach, szedł w kierunku kamery.

- S-wanee, S-wanee, jak ja ciebie lublu, jak ja ciebie lublu! - fałszował Wilkes, niemal chichocząc. Kim był zabity? Nie znał jego nazwiska. Jeden załatwiony; Rosjanin wrócił na pierwsze piętro. Kolejny uczerniony minstrel podążył za pierwszym na górę, połyskując białymi zębami w chwilach, gdy gorączkowo szeptał do przytkniętego do policzka radiotelefonu.

Dla Wilkesa ten głos brzmiał jak zakłócenia w odbiorze stacji radiowej.

Wilkes nucił. Sylwetka Beacha przebiegła szybko przez jeden z ekranów. Na innym widać było skulonych dwóch pracowników wiedeńskiej placówki. W ciemnościach wyglądali na wyraźnie przestraszonych. Rosjanie byli już w głównym holu i na tylnym podjeździe. Nacierali w kierunku pierwszego z korytarzy.

Napotkali opór. Zaskoczony i zdziwiony Wilkes poderwał się na równe nogi z obrotowego krzesła. Wstrząśnięty i poruszony świadek dramatu. Strzały, szukający osłony ludzie. Ktoś krzychał do radiotelefonu leżącego obok ręki rannego Rosjanina. Strzały pojedyncze, podwójne. Dwa ekrany pokazywały, że obie strony znalazły się w impasie. Skulone postacie na obu końcach korytarza. Parę stopni i odległy od pokoju więźniów korytarz.

Szybciej naprzód. Nie zatrzymujcie się teraz, błagał Wilkes. Zerknął na zegarek. Trzy minuty, może trochę więcej. Musiał teraz zadzwonić do Parrisha i powiedzieć mu, co się dzieje. To był powód, wymówka, która dawała mu prawo pobytu w pokoju nadzoru.

I włączyć alarmy!

Sięgnął i nacisnął przełącznik. Usłyszał stłumione dzwonienie, rozlegające się w różnych częściach domu. Potem podniósł słuchawkę. Mieli rozkazy, żeby nie przecinać kabli, chociaż wiedzieli, gdzie znajduje się skrzynka rozdzielcza linii telefonicznych. Przekonujące kłamstwo, które miało ostatecznie udokumentować winę Aubreya, zaczynało się od rozmowy telefonicznej. Wybrał numer. Strzały słyszane w radiotelefonie. Ciało zniknęło nienaturalnie szybko z pola widzenia. Dwóch załatwionych. Strzelanina. Później na schodach pojawiła się grupa ubranych na czarno ludzi, którzy przedtem czaili się w mroku, na dole. Ktoś szukając schronienia lub próbując wezwać pomoc przebiegł korytarzem na piętrze.

To był bezpośredni numer Parrisha. Wilkes rzucił w słuchawkę używane w sytuacjach alarmowych hasło i błagał o posiłki. Potwierdził przyjęcie bezużytecznych

rozkazów od kierownika placówki. Spojrzał na zegarek i odłożył słuchawkę. Nadal tkwił przed ekranami, nie podejmując żadnych działań. Zdobyli już całe pierwsze piętro. Beach ze swoją grupą cofał się w kierunku więźniów i pokoju z monitorami.

Szybciej, szybciej.

Wcześniej zakładał, że operacja nie przeciągnie się poza wyznaczony przez niego limit czasu. Te kalkulacje były przedwczesne, ale musiał ich dokonać, bo inaczej sprawa wyglądałaby podejrzanie.

Kto to był? Davies? Oddalał się od pokoju więźniów, idąc w kierunku załomu korytarza i klatki schodowej, którą wycofywał się Beach i jeszcze jeden mężczyzna. Jeden, dwóch, trzech i sam Wilkes. Wszyscy.

Niemal wszystkie ekrany były teraz puste, oprócz tych, które ukazywały klatkę schodową, korytarz i pokój więźniów. Wyglądało na to, że Davies coś wykrzykuje. Próbował przekrzyczeć dzwonek alarmowy znajdujący się na ścianie nad jego głową. Na następnych ekranach biegło dwóch pochylonych mężczyzn w czerni. Posuwali się wzdłuż korytarza. Który to był korytarz? Ten właściwy. Davies zaczął się właśnie odwracać, kiedy go dopadli. Byli pod drzwiami do pokoju więźniów. Potem Beach i ten drugi - kto to był? Czy to Liske? Liske. Poddali się. Wściekli, przestraszeni, rzucili broń. Kiedy tamci ich przeszukiwali, oni stali z rozstawionymi szeroko nogami, opierając ręce o ścianę.

Beach odwrócił się do jednej z kamer i wpatrywał się w Wilkesa z ekranu. Miał zakłopotany, zdezorientowany wyraz twarzy. Zastanawiał się pewnie, gdzie się podział Wilkes. Dlaczego nie zszedł na dół... Beach potrząsnął głową. Później oparł ją, zrezygnowany, o ścianę, podczas gdy obok niego poganiano więźniów. W głośniku radiotelefonu brzmiał chór głosów wyrażających zadowolenie, gratulacje i zachwyty. Oszustwo było zbyt oczywiste, zbyt grubymi nićmi szyte i łatwe do zdemaskowania. Na kolejnych ekranach obserwował drogę Aubreya i Massingera, którzy zbliżali się teraz do drzwi prowadzących na żwirowy podjazd, gdzie właśnie zajeżdżały samochody. Miały ich zabrać.

Aubrey zmęczony, chory, blady. Massinger zły, z wykrzywioną wściekłością twarzą i bolącą nogą. Kobieta pobita i osłabiona. Wydawało mu się przez chwilę, że ten sam obraz widać było na wszystkich ekranach. Jego wyobraźnia ukazała na nich refleksy wspomnień. Czołgi wjeżdżające na praski rynek Starego Miasta i przejeżdżające przez most Karola. Napalm w Wietnamie. Rosyjskie MiL-e w Afganistanie. Czarne ramiona podnoszące w górę kałasznikowy na tle trzciny cukrowej. Parady na placu Czerwonym. Wyrażające słabość i ugodowość oblicza prezydentów i premierów. Rząd zdecydowanych twarzy i postaci wzdłuż sklepienia Mauzoleum Lenina. Czołgi i rakiety przesuwane przed ich oczami.

A potem rozjaśniona ostrymi światłami noc i rozwiany na wietrze śnieg.

Aubrey i pozostała dwójka wciśnięci do czarnych samochodów. Pośpieszny odwrót ubranej na czarno grupy. Dymiące w świetle reflektorów rury wydechowe samochodów. Ogarniające wszystko spaliny. Ryk silników rozbrzmiewający w nadal włączonym radiotelefonie. Zamieszanie. Po chwili komunikat.

- W porządku, Wilkes - powiedział głos z radiotelefonu. Wilkes słyszał trzask i z głośnika zaczął dobiegać cichy szum.

Skończone. Wilkes wpatrywał się w szklaną ścianę ekranów. Patrzył na Beacha, Daviesa i Liskego, którzy oderwali się od ściany i hałaśliwie schodzili po schodach. Nadszedł już czas, aby się do nich przyłączyć. Zupełnie wyraźnie widział na jednym z ekranów sceny z Salwadoru. Na innym zarejestrowane na siatkówkach jego oczu obrazy z pogrzebu Sadata. Zmierzająca ku nieuniknionemu kawalkada samochodów i krew na eleganckim różowym kostiumie z minispódniczką. Strzaskana głowa męża na kolanach Jackie Kennedy.

- Zostawiłem serce... - zaczął, ale urwał. Żarty skończone. Samochody zniknęły za bramą posesji. Na ekranie Wilkes widział teraz majaczące w oddali budynki gazowni.

Zachód jest skończony, zdecydował. Zdecydował dawno, dawno temu. Skończony. Nic niewarty. Życie tu to strata czasu.

Trzymał się swej oceny i wypływającej z niej decyzji. Był zadowolony. Żadnych zażaleń. Wyłączył jeden po drugim wszystkie ekrany. Nie chciał więcej obrazów utrwalonych na siatkówkach. Tylko Beach, Davies i Liske biegający w kółko jak kurczaki z poobcinanymi głowami. Liske był ranny.

W KGB nie podobało mu się tylko to, że dysponowali absolutną wiedzą o nim. Rozumieli go. Rozumieli go doskonale od chwili, kiedy po raz pierwszy się do nich zwrócił. Zaoferował swoje usługi. Tak jakby od dawna czekali na jego decyzję.

Pracował na rzecz zwycięzców. Dla tych, którzy byli bezwzględni, nie dla mięczaków. Dla zwycięzców.

Lekko kręcąc głową podszedł do drzwi. Zrozumieli go zbyt łatwo. Był do nich za bardzo podobny. Odsunął od siebie tę myśl.

- Zostawiłem se-eerce w San Franciscoooo - zanucił wesoło. Potem przybrał mi-nę pełną troski i zmartwienia. Zamknął za sobą drzwi od pokoju nadzoru.

Telefon przestał dzwonić. Wyprostowane i napięte ciało Stiepanowa zdawało się drzeć pod napływem ciszy. Hyde'owi zrobiło się gorąco. Czuł kropelki potu na linii włosów, zimne strużki spływały wzdłuż kręgosłupa i spod pach. Pistolet zadrzał mu w lewym ręku. Na ekranie nadal przewijała się zawartość polisy ubezpieczeniowej

Pietrunina. „Serpentynka” zapisywała partiami kolejne dane ukazujące się na ekranie. To, co już miał, gwarantowało Hyde'owi własne bezpieczeństwo. Mistrzowskie posunięcie.

Uciekaj.

Nie się nie liczyło oprócz materiału potrzebnego do zniszczenia Babbingtona. Szkoda było marnować czas na nagrywanie tego, co już wiedział. Zerknął na ekran. Ciągłe dane o aktualnie prowadzonych przez Pierwszy Główny Zarząd operacjach. Dotyczyły sfery objętej działalnością dziewiątego departamentu - Afryki. Było tego tak cholernie dużo! Hyde wiedział, że istniało hasło umożliwiające skrócenie drogi do każdego z podzborów, ale nie miał żadnego sposobu, aby skrócić ciąg tajnych informacji. Spojrzał w dół na pistolet. Potem zerknął na Gieorgija, który podniósł wzrok, zastanawiając się, dlaczego nie odebrano telefonu. Znowь przeniósł wzrok na ekran i Stiepanowa, który już otrząsnął się ze spowodowanego ciszą szoku. Zaczął nawet podśmiewać się z niepowodzenia Hyde'a. Wlepił oczy w tkwiący w jego ręku pistolet wz. 7.5. Piętnaście pocisków dzieliło go od placu Hradczańskiego.

Cisza. Skrócony program. Ten cholerny skrócony program!

Telefonista w Moskwie składa już meldunek zwierzchnikowi. Może nawet od razu poszedł do pułkownika. Jeżeli ich to zaniepokoi, to mogą zadzwonić gdziekolwiek. Pod każdy numer w Kancelarii Prezydenta lub do wszystkich urzędów na Hradczanach. Hyde znajdował się dwa poziomy poniżej Trzeciego Dziedzińca. Jak szczur w kanale...

Będą mogli zablokować wszystkie wyjścia, a on o tym nie będzie wiedział, dopóki nie nadzieje się na ogień.

Stiepanow zamierzał się do niego odwrócić. Układał już wydatne wargi, by coś powiedzieć.

- Nie rób tego! - ostrzegł Hyde drżącym głosem i Stiepanow usiadł, patrząc przed siebie. Wyczuwalna w głosie Hyde'a niepewność była dla niego wystarczającą odpowiedzią na pytanie, które zamierzał zadać.

Potem spojrział na Gieorgija, który wchodził właśnie przez szklane drzwi znajdujące się około pięćdziesięciu stóp od miejsca, gdzie siedzieli.. Niósł dwa parujące kubki z kawą. Hyde wlepił oczy w ekran. Jeszcze nic.

Czterdzieści stóp, kiedy Gieorgij tu podejdziesz, zobaczy pistolet i, i, i...

Nie był w stanie dalej się nad tym zastanawiać. Czas się kończył. Pewne było, że nie będzie w stanie kontrolować jednocześnie dwóch mężczyzn i ekranów. Nie był w stanie sam się kontrolować.

W połowie drogi Gieorgij zatrzymał się, wykonując półobrót. Telefon dzwonił w pomieszczeniu za szybą. Poprzez buczenie, szemranie i szepty maszyn Hyde słyszał

jego przytłumione natarczywe dzwonienie. Brzmiało niczym gorączkowy szept. Przyzywająco. Georgij flegmatycznie spojrzął na trzymane w rękach kubki, wzruszył ramionami i obrócił się na pięcie. Wymuszony uśmiech Stiepanowa zniknął z twarzy. Pojawił się tam znowu, gdy Rosjanin zdał sobie sprawę z tego, kto i w jakim celu może dzwonić. Centrala w Moskwie.

Pierwszy Główny Zarząd. Cholera, cholera, cholera.

Georgij dotarł do szklanego pomieszczenia. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Podniósł słuchawkę.

- Już niedługo - mruknął Stiepanow z przesadną pewnością siebie.
- Zamknij się!

Obserwował Georgiję, przyciskając pistolet do boku Stiepanowa, aby uniemożliwić mu nagły ruch. Wartownik stał prawie na baczność. Jedną ręką manipulował przy rozpiętym kołnierzyku. Moskwa. Potem, nadal mówiąc, spojrzął w ich kierunku. Opisywał siedzących przed nim dwóch mężczyzn, wyjaśniał, malował obrazy. Potakiwał kiwając głową.

Mina podejrzliwa, zaintrygowana. Wkrótce dostanie rozkaz.

Krótszy program, krótszy program, **krótsza droga do celu - Dominus il luminado...!**

I wtedy.

Ani chwili się nie zastanawiał. Gdzieś w zakamarkach świadomości zobaczył uśmiechającego się Pietrunina. Pietrunin miał usta poplamione krwią, ale uśmiechał się...

Przerwa.

Wystukał: Główny katalog. HISTORIA PRZYDZIAŁÓW SŁUŻBOWYCH, modląc się, żeby na ekranie nie pojawiła się szarość lub pustka. Intensywnie nasłuchiwał odgłosu otwieranych przez Georgiję drzwi, czekając na pierwsze pytanie, które wartownik zada Stiepanowowi.

Obserwował Stiepanowa. Czuł jego nieustępliwe, nieporuszone i pewne siebie ciało u drugiego końca krótkiej lufy czeskiej zbrojówki wz. 75.

BIALENOCEBIAŁORUSINBIAŁYNIEDŹWIEDŹ - wystukał w zawrotnym tempie.

Ekran oczyścił się. Napisał nazwisko Pietrunina, jego stopień i numer w KGB. Kropelki potu Hyde'a spadały na klawiaturę, przez co stawały się śliskie i zdradliwe, lecz on pisał dalej.

KABULMOSKWALONDYN.

Georgij miał w rękach pistolet! Stiepanow obserwował Georgiję, pragnąc zmusić go siłą woli do ruszenia się z miejsca. Brzęk odkładanej słuchawki. Drzwi otworzyły

się, uderzając w szklaną ścianę. Georgij śpieszył się.

Wiersz dla Lary. Łza dla Lary.

Wystukał LARA.

Łza dla Lary. Niedźwiedzie ły.

ŁZA przeczytał po rosyjsku, „Łza”.

Wziął głęboki oddech. Niemal łąkał. Dusilo go aseptyczne powietrze bez odrobiny kurzu. Georgij śpieszył się, śpieszył. Słuchawka nie była odłożona na widelki. „Natchmiast meldować, zorientować się, co się dzieje, przyprowadzić dowódcę do telefonu”.

Hyde uniósł pistolet i krzyknął. Georgij zamarł z rękami uniesionymi ledwie na wysokość ramion. Poruszał palcami, dawał znaki, że się poddaje. Lufa jego broni była skierowana w górę.

- Rzuć broń i siadaj na podłodze! No już! - krzyknął Hyde najgłośniejszym głosem.

Georgij niemal upadł ze skrzyżowanymi nogami na dywan. Rzucona na podłogę broń potoczyła się o kilka metrów od niego. Telefon stojący przy monitorze zaczął dzwonić. Hyde zerknął na ekran.

„...ponownie zaktywizowany, kiedy okoliczności umożliwią mu zajęcie wysokiej pozycji w hierarchii...”

Nazwisko, Chryste, nazwisko!

„...wydano rozkaz rozpoczęcia operacji. Proponowane połączenie dwóch służb kontrwywiadu i wywiadu pozwala przypuszczać, że w ciągu kolejnych dwunastu miesięcy istnieje optymalna szansa na powodzenie operacji...”

Nazwisko!

„...Gabinet opowiada się za nową, połączoną służbą... Przewodniczący JIC zapewni sprzyjające okoliczności dla promocji naszego agenta... Zastępca przewodniczącego Kapustin ma przystąpić do prób zbliżenia się... dokumenty przygotowujące do ewentualnej ucieczki agenta Zasłona Dymna...”

Stiepanow, Georgij, telefon. Hałas, pośpiech, strach. Czuł, że stracił panowanie nad sobą. Był słaby i uwięziony.

Babbington.

Pusty ekran.

Iluzja? Dotknął szarej powierzchni ekranu, rozładowując dotykiem zebrany tam ładunek elektrostatyczny.

Babbington. Zobaczył to nazwisko w momencie, kiedy Centrala odłączyła jego terminal od głównego komputera i ekran opustoszał. Telefon nieustannie dzwonił. Babbington.

Miał to. Miał Babbingtona, Wilkesa i innych. Babbington.

Potem natarł Stiepanow. Przyciśnięty przedtem do jego boku pistolet obsunął się i oprzytomniały po pierwszym szoku oficer zdał sobie sprawę z konsekwencji tego faktu. Chwylił broń, wykręcając lufę do góry. Na chwilę opanował Hyde'a potworny, paraliżujący strach. Stiepanow dyszał mu gorącym oddechem w twarz. Usta miał wykrzywione w wysiłku. Gieorgij próbował podnieść się z tureckiego siadu i jego ruch jeszcze bardziej rozproszył uwagę Hyde'a. Odgłosy dzwonek alarmowych docierały do niego jakby z daleka, niosąc się wzdłuż opustoszałych betonowych tuneli i korytarzy. Ręce Hyde'a osłabły. Nie były w stanie walczyć.

Pochylił się w kierunku Rosjanina i wyrznął go głową w triumfującą twarz. Usłyszał jęk. Poczul opór kości. Potem prawą ręką zadał cios w miejsce już splamione płynącą Stiepanowowi z nosa krwią. Oficer osunął się z krzesła. Przez chwilę klęczał, jakby pogrążony w modlitwie, po czym zwałił się na bok. Leżał zwinięty na dywanie. Zdawało się, że śpi. Gieorgij dotarł do Hyde'a, zanim jego dowódca zdążył zupełnie znieruchomieć. Wartownik zatrzymał się jednak, widząc ponownie wymierzony w jego kierunku pistolet. Hyde otarł nos rękawem i uśmiechnął się niepewnie.

- Zapomnij o tym, Gieorgij - wymamrotał. - Po prostu daj sobie spokój.

Wykonał ruch pistoletem. Gieorgij cofnął się i ponownie usiadł po turecku. Splótł dłonie na karku, wyglądał, jakby ćwiczył jogę. Skupiona sylwetka buddysty lub pokutnika.

Hyde szybkim ruchem otworzył pokrywą serpentynki i wyjął kasetę z zapisem. Zacisnął mocno dłoń na przezroczystym plastiku. To była nagroda za jego wysiłek i za zwycięstwo. Potem odwrócił się i spojrzał w głąb długiego, jasno oświetlonego tunelu zewnętrznego hali. Zastygłe w bezruchu dwie lub trzy osoby w białych fartuchach, zdezorientowane alarmem. Żadnych postaci w mundurach - jeszcze nie. Czas...

Czas wisiał nad nim niczym lina. Zbyt cienka, aby się po niej wspiąć i uratować życie, ale wystarczająco gruba, by się było czego uchwycić i co wykorzystać jako nić prowadzącą do wyjścia z labiryntu. Wstał. Nogi nie wydawały mu się słabe, tylko zdrętwiałe od napięcia mięśni. Potupał nimi.

Rozgrzewka przed wyścigiem.

Potem na drugim końcu długiej hali pojawiły się mundury.

Wrzucił kasetę do kieszeni fartucha. Wyciągnął teczkę i po otwarciu zatrzasków plastikowej klapki zakrywającej boczną kieszeń wyciągnął coś, co wyglądało na aluminiową rurkę przypominającą małą pałkę policyjną.

Wcisnął broń za pasek na plecach. Poklepał kieszeń z kasetą i podszedł do drzwi prowadzących do szczególnie chronionego pomieszczenia. Gieorgij w bezruchu i milczeniu siedział za jego plecami. Hyde otworzył drzwi i przeszedł przez nie. Usłyszał głośniejszy szum komputerów dochodzący z głównej hali.

Zobaczył trzech stojących wartowników. Nawet z tej odległości dostrzegli jego białe fartuch. Stali w połowie długości ogromnej hali. Nie wyglądali na przejętych ani zaniepokojonych. Jeden z nich wypytywał kogoś z operatorów. Tamten wskazywał na Hyde'a, salę pod specjalnym nadzorem. Hyde zerknął za siebie. Nigdzie nie było widać Gieorgija. Nie chce się narażać.

Hyde zaczął powoli przemierzać halę. Rozglądał się na boki. Starał się nie wyglądać zbyt obojętnie. Przecież cały czas dzwoniły sygnały alarmowe. Szukał pojemnika na śmieci na kółkach, wypełnionego przeznaczonymi na przemiał wydrukami. Rozglądał się jednocześnie wysoko po ścianach za szafką z bezpiecznikami. Jeden ze strażników przyspieszył kroku, idąc w jego kierunku. Ciągłe był jeszcze niepewny. Nie podejrzewał go. Hyde przesunął palcami po ukrytej w kieszeni aluminiowej palce, jakby to była broń nadająca się do walki wręcz.

Znalazł pojemnik. Prawie pełny. Wciąż nie widział skrzynki z bezpiecznikami. Nie ma, nie ma... Jest...

Mocniej uchwycił rurkę w kieszeni. Podważył palcami i otworzył przymocowaną do niej rączkę na zawiasach. Odległy o blisko dwadzieścia stóp wartownik zażądał okazania dokumentów. Hyde uśmiechnął się rozbrajająco i pogłaskał luźną Flammpatrone, Hand DM 34. Ścisnął luźną, dotknął odbezpieczonego spustu. Poza czeskim pistoletem była to jedyna broń, którą dał mu Godwin wraz z precyzyjnymi instrukcjami, że może jej użyć jedynie w ostateczności. „Wyłącznie w ostateczności, Hyde”.

Hyde ostrożnie sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd dokumenty. Gieorgij otworzył drzwi i głośno ostrzegł strażników. Dwaj oddaleni nieco wartownicy odwrócili się w kierunku Hyde'a. Zrozumieli, że to on jest ich celem. Wartownik stojący przed nim wycelował pistolet maszynowy Skorpion wz. 61 w brzuch Hyde'a. Hyde wyszarpnął z kieszeni wyrzutnię pocisków zapalających i wystrzelił ponad głowę żołnierzy, mierząc w puszkę z bezpiecznikami. Wartownik stał, zupełnie zaskoczony. Wykorzystując to, Hyde uderzył go z całej siły głową. W wyniku ciosu żołnierz otworzył usta, przez które uleciało z niego całe powietrze, i zwałił się na ziemię. W chwili gdy wystrzelony pocisk zapalający trafił w skrzynkę bezpieczników, Hyde przykucnął za pomarańczową szafką komputera ICL.

Ciemność, jasność, jasność bijąca od ścian. Syczący deszcz rozgrzanych do temperatury 1300 °C odłamków. Krzyki przerażonych i chwilowo oślepionych ludzi. Hyde umykał pomiędzy rzędami szafek w kierunku zrujnowanej ściany, gdzie palące się, stopione kawałki szafki z bezpiecznikami, obudowa komputera, z której wylatywały syczące iskry i płonące resztki naboju, utworzyły rozrzucone, rozżarzone ogniska, zasłonięte teraz niemal dymem.

Przykucnął z odwróconą od ognia twarzą za pojemnikiem na kółkach. Potem zaczął pchać wózek przed siebie. Pojemnik nabierał szybkości, w miarę jak Hyde rozpędzał się w biegu. Dopóki nie zakręcił i nie wywrócił wózka, pociski rykoszetowały od ścian, trafiając śmiertelnie jego skaczący dookoła, malejący lub rosnący cień. Znajdujące się w środku kartki i stopy wydruków wysypały się wprost na płonące szczątki. Także zaczęły się tlić, skręcać, aż buchnęły płomieniem.

Kule ze skorpioną zostawiły poszarpany ślad na ścianie nad głową Hyde'a. Opadający gips obsypał mu włosy. Wydruki paliły się już pełnym płomieniem. Poprzez dym widać było sięgające sufitu pomarańczowe języki ognia. Wiły się jak węże. Hyde wycofywał się drogą, którą przyszedł. Poruszał się zwinnie w niewiarygodnym przysiadzie. Często, pragnąc przyśpieszyć bieg i zachować równowagę, poruszał się na czworakach. Kluczył pomiędzy szafkami i rzędami komputerów.

Niczym czujny ptak strzegący stada strażników zaterkotała mijana przez niego drukarka. Cały pokój wypełniały długie, błyszczące, zlewające się i zmieniające kształty cienie. Światła pogasły. Ogień skwierczał w niektórych szafkach. Krzyczeli wartownicy.

Spojrzał przez hale i zobaczył chmurę dwutlenku węgla wydobywającą się z jednej gaśnicy i cienką strużkę nieruchomej piany z drugiej. Cała zawartość pojemnika na śmieci stała już w płomieniach. Stopione fragmenty szafki z bezpiecznikami skapywały po zwęglonej ścianie. Dookoła kłębił się i wciskał wszędzie gęsty dym. Wartownicy zbliżyli się i weszli w tę zasłonę dymną. Za niecałe trzydzieści sekund stalowe grodzie zamkną ich wszystkich w hali. Klimatyzacja na pewno już się automatycznie wyłączyła. Za dziewiętnaście, nie, teraz za szesnaście, nie więcej... do pokoju wpompowany zostanie obojętny gaz, który stłumi ogień. Wytłoczy z pokoju każdą drobinę tlenu, zabijając przy okazji wszystkich przebywających w środku ludzi. Za kilka sekund żołnierze będą gnali do wyjścia równie szybko jak on...

Hyde wziął się w garść i popędził w kierunku drzwi na korytarz.

Strażnicy, posiłki, strażacy, personel cywilny i ludzie z ochrony. Stiepanow i Gieorgij pewnie też biegną, w desperackim wysiłku próbując wydostać się stąd, zanim opuszczą się do końca grodzie zamykające drogę ucieczki.

Wyprostował się. Dym nie ustępował, wydawał się nawet gęściejszy. Czuł go w gardle. Wcześniej tego nie zauważył. Usłyszał kaszel. Rozkaz opuszczenia hali i zaniechania gaszenia. Grodzie, ktoś krzyknął cieniem głosem, przekazując pełne paniki ostrzeżenie. Gaz.

Teraz miał zaledwie sekundy, zanim odetną mu drogę ucieczki lub będą go gonić.

Płomień buchnął i przygasł, dwutlenek węgla kłębił się i syczał. Dookoła opadał gęsty dym.

Przesunął ręką po poplamionym i popalonym w paru miejscach fartuchu. Dotknął kasety umieszczonej w kieszeni. Potem wyskoczył przez szklane drzwi, przybierając dziki, przerażony wyraz twarzy. Wyciągniętą ręką wskazywał na chaos za plecami.

Nikt, nikt...

Było mu wprost trudno uwierzyć, że nikt go nie zatrzymuje. Przeszedł szybko przez hol recepcyjny. Mała zielona konewka stała obok doniczki z fikusem. Pchnął drzwi na zewnątrz. Korytarz był pusty.

Nie. Strażnik. W rogu, u stóp schodów, stał wartownik. Ten sam wartownik. Hałas alarmu świdrował Hyde'owi uszy, przenikliwy jak świergot spłoszonych ptaków. Schody po lewej stronie. Na dół?

Nie, byle nie głębiej.

Pośpiesznie zbliżył się do wartownika. Wrzeszczał ile sił w płucach, udając panikę.

- Na litość boską, człowieku, czy nie ma tu jakiegoś zorganizowanego systemu przeciwpożarowego?

Młody strażnik rozdziawił usta. Karabinek miał niedbale przewieszony przez pierś. Schody były puste. Hyde uderzył go w żołądek, później w szczękę, a potem, gdy wartownik już padał na ziemię, zadał mu cios w szyję. Odsunął go kopnięciem nogi, aby nie było widać z klatki schodowej. Karabinek leżał na podłodze, ale Hyde nie zamierzał go zabierać.

Byłoby to widocznym znakiem, że chce użyć przemocy i uniemożliwić jakikolwiek manewr wobec ścigających. Adrenalina krążyła mu w żyłach. Pognał schodami przeskakując po dwa stopnie.

Aby nadziać się na ludzi w mundurach, białych fartuchach, garniturach, a nawet w hełmach strażackich, z gaśnicami i karabinami.

Spokój, tylko spokój.

- Tam panuje chaos! - krzyknął. - Kompletny chaos! Na litość boską, pośpieszcie się!

Oparł się o ścianę, pozwalając przejść całej grupie. Jeden z mężczyzn warknął:

- A co z naruszeniem zasad bezpieczeństwa? Najpierw powinien być alarm...

Hyde wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Wiem tylko, że wybuchła skrzynka z bezpiecznikami. Wszędzie ogień... - Zakaszał dla większego efektu i zwiesił głowę z wyczerpania. Przygotowując się do ataku, utkwiał wzrok w podbrzuszu mężczyzny.

- Ilu jeszcze jest w środku? Szybko, człowieku! Ilu?

- Bóg jeden wie, dwóch, trzech... To ludzie z ochrony, a nie ci od komputerów.

- Ostrzeżcie ludzi i dowódcę warty o stratach. Chcę, aby grodzie nadmuchu gazu zostały przestawione na ręczne sterowanie, dopóki wszystkich stamtąd nie wydestynuemy. Szybko!

Hyde usłyszał wykrzyczane telefonicznie do wartowników polecenie. Potem ci ludzie przeszli obok niego i udali się do hali komputerów.

Odwrócił się i pobiegł. Chciał zdążyć, zanim odkryją leżącego przy schodach nieprzytomnego strażnika z wyraźnymi śladami pobicia.

Chwila na odzyskanie orientacji. Zakręć. Krótki bieg, potem skręt w prawo. Znowu schody, do góry, do góry...

Suk chwycił go gwałtownie. Szybko tego pożałował, kiedy Hyde odwrócił się ku niemu z uniesioną pięścią. Byli w szerokim korytarzu. Dokładnie takim samym, jaki zapamiętał z planu dostarczonego mu przez Suka. Hyde wiedział, gdzie się znajduje i jak daleko jest od świeżego powietrza na Trzecim Dziedzińcu.

- Miałeś być, cholera, w innym miejscu! - warknął szeptem. Ludzie mijali ich pośpiesznie. Teraz usłyszał hałas urządzeń przeciwpożarowych, przetaczanych na dziedzińcu. Oślepiająco świeciły wpadające przez okno smugi światła. Przypominały połujące na wroga snopy reflektorów przeciwlotniczych.

- Przyszedłem. Przestraszyły mnie alarmy.

- Dokąd teraz?

- Chodźmy. Tędy.

Byli na parterze Kancelarii. Ludzi ewakuowano właśnie z budynku. Sprzątaczkę, urzędnicy, strażnicy, funkcjonariusze KGB i STB. Ludzie ubrani byli w białe fartuchy, podobne do tego, który miał na sobie. Suk poprowadził go w kierunku wysokich wąskich drzwi. Wartownik pobieżnie sprawdził przypięte do ich piersi karty identyfikacyjne. Wyszli na zewnątrz, w wietrzną noc, która zaparła Hyde'owi dech i obniżyła temperaturę jego ciała tak gwałtownie, że zaczął szczerkać zębami i dygotać. Miał gorączkę.

- Dostałeś?

- Nie, tylko cholernie zimno! - rzucił.

Strażacy w żółtych, nieprzemakalnych getrach i ciemnych, jednakowych płaszczach w ręku biegli zgodnie z rozkazami innych mężczyzn w mundurowych płaszczach i skórzanych kurtkach. Panika. Organizm został zraniony w najważniejszym dla życia miejscu. Przeciwnością pędziły na miejsce infekcji. Pomyślał, że to raczej gniazdo os, w które ktoś wetknął patyk. Ktoś zniszczył ich tajemnice, ich skarby.

Poklepał się po kieszeni.

- Masz - powiedział Suk, podając mu jego własny, krótki, ciemny płaszcz.

- Daj mi ten biały - powiedział.

Hyde zdjął fartuch ochronny i włożył swój płaszcz. Przełożył kasetę do kieszeni płaszcza. Na plecach za paskiem nadal miał pistolet.

- Przez dziedziniec - szepnął mu do ucha Suk. Począł, aż Hyde wyrazi zgodę, i dodał: - Naokoło wschodniego skrzydła katedry, w ulicę Vikarska. Pamiętasz? Pokazywałem ci na mapie.

- Pamiętam - rzucił Hyde niecierpliwie.

- To dobrze - odparł Suk z twarzą ściągniętą zimnem i urazą. - Tam, gdzie ci pokazywałem, znajdziesz drabiny robotników. Możesz po nich przejść przez główny mur do ogrodu, a potem przez następny mur...

- Wiem. Mogę się wspiąć, bo mam ręce i nogi. Mam tylko nadzieję, że się nie mylisz, kolego.

Hyde popatrzył na mężczyznę, a następnie - przez otwarte drzwi - na rozgrywającą się przed ich oczyma scenę. Nagle sytuacja została opanowana. Działano karnie, bez zbędnego pośpiechu. Więcej brązowych mundurów, dużo skórzanych kurtek i wojskowych płaszczy. Człowiek z czarnymi smugami na twarzy, jakby był blisko ognia...

Szukali teraz. Wiedzieli, że wydostał się z piwnic. Czas uciekał. Pościg powodował, że czasu było coraz mniej. Spojrzał Sukowi prosto w twarz.

- Dzięki - mruknął i odwrócił się do niego plecami. Suk patrzył za nim, aż Hyde zniknął w cieniu pomnika Świętego Jerzego. Po prostu zniknął w głębszym cieniu za rzucającym niebieskie błyski, obracającym się światłem wozu strażackiego. Wtedy już biegł.

Rozdział XVII

Przesyłka do Moskwy

Woronin przyglądał się każdemu z nich, gdy tak siedzieli niczym eksponaty na wystawie na trzech prostych krzesłach przed biurkiem rezydenta. Zajął biuro Bajewa w sowieckiej ambasadzie, wykorzystując swoje obecne uprawnienia i fakt, że znalazł się w samym centrum dramatu. W pokoju był tylko on, troje więźniów oraz portrety przywódców partyjnych. Ludzie na portretach wlepiali w niego oczy. Mieli surowy wyraz twarzy i ściągnięte brwi. Zwrócił uwagę na te portrety po raz pierwszy od wielu lat, chyba tylko dzięki obecności w pokoju cudzoziemców. Były typowym wyposażeniem biura rezydenta KGB. Lenin, Breżniew, Nikitin - ci nieliczni, którzy jak zarejestrował w myślach, dostąpili tego zaszczytu od 1917 roku, spoglądali surowo na Aubreya i Massingerów siedzących już w poczekalni do innego życia. Woronin wpatrywał się w nich, szukając oznak załamania i stresu, których wystąpienia był równie pewien jak wysypki przy ospie wietrznej lub odrze.

Aubrey przyglądał resztki włosów i zapiął koszulę. Ściągnął nawet mocniej węzeł wąskiego niczym tasiemka krawatu. Nie miał na sobie marynarki, bo gdy wpychano go do limuzyny przed lokalem konspiracyjnym, jeden z ludzi Woronina mu ją wyrwał. Woronin z satysfakcją przypomniał sobie ten poźegnalny gest.

Massinger siedział sztywno wyprostowany z wysuniętą do przodu zranioną nogą. Zbyt ciasne spodnie, które mu dostarczono przed opuszczeniem domu, opinały bandaż. Były poplamione krzepnącą krwią w miejscach, gdzie materiał ściśle przylegał do ciała. Jego żona wyglądała niechlujnie i staro z rozczochranymi włosami i rozmazanym makijażem. Porozbijane, opuchłe i lekko rozchylone usta nadawały jej twarzy wyraz klęski.

Była tylko w nieco lepszym stanie niż jej przynębiony i wyczerpany mąż. Woroninowi trudno było pogodzić obraz kobiety, którą miał przed sobą, z tym, co mówili Babbington i Kapustin, którzy uważali, że żona Massingera może przysporzyć poważnych kłopotów.

Woronina cieszyła dezorientacja i strach Massingera. Był zadowolony, że są świadomi, jak niewiele życia im pozostało. Wiedzieli o czekającej ich wkrótce śmierci. Natomiast rozczarował go Aubrey. Trzeci członek „przesyłki” do Moskwy.

Aubrey był zmęczony, nie ogolony i stary. Mimo to wyglądał raczej na zbudzonego przed chwilą emeryta niż na schwytanego przez przeciwnika oficera wywiadu. Woronin czuł się oszukany. Wygląd Aubreya powinien odzwierciedlać jego sytuację. Było jednak akurat odwrotnie. Jego wygląd maskował to, co Aubrey przeżywał. I to było właśnie mizerne, niczym nie uzasadnione podsumowanie dni, tygodni, miesięcy i lat ciężkiej pracy, w której Woronin miał swój istotny udział. Ukryte kamery, mikrofony, sfałszowane filmy i taśmy, oświetlenie, podkładane dialogi, aktorzy. Precyzyjne, wieloetapowe, udoskonalane w trakcie realizacji fałszerstwo, które miało na celu schwytanie Aubreya w pułapkę. Osaczenie tego starca, który teraz zdawał się nie rozumieć, co się z nim stanie. Woronin przypomniał sobie zadymione pokoje, nie kończące się zwoje taśm, terkot taśmy filmowej w projektorach. Przypomniał sobie Aubreya przed klatką z małpami w helsińskim ogrodzie zoologicznym.

Tamtego dnia, a być może przez cały ten czas, uważali, że mają Aubreya w garści. Wszyscy w zespole dzielali to przekonanie. Ten film, który udostępnił Francuzom, zobaczył później cały świat. Wtedy wiedzieli, że go mają. Już im się nie mógł wymknąć...

A teraz sprawiał wrażenie, jakby mu się udało. Wyglądał na oszołomionego narkotykami, zamroczonego i zubożonego na wszystko.

Woronin zapomniał o rozczarowaniu i podniósł słuchawkę. Właśnie po to sprowadził ich do tego pokoju zamiast kazać im spędzić godziny nerwowego oczekiwania na przewiezienie na lotnisko Schwechat w małych separatkach w podziemiach. Czekając na połączenie z Kapustinem w moskiewskiej Centrali, przyglądał się klawiszom i światłom na płycie czołowej szyfratora. Czy Aubrey teraz mu się chytrze przyglądał? Chyba nie. Ten telefon był zbyteczny. Miał tylko potwierdzić odniesiony sukces. Ale chciał, aby ci ludzie go słyszeli. Była to rozmowa na benefis jego więźniów.

Spojrzał na zegarek. Dwunasta pięć. O czwartej zostaną przewiezieni na lotnisko. Aubrey dostanie fałszywy paszport dyplomatyczny. Muszą go przecież zobaczyć świadkowie, którzy potwierdzą, że szedł dobrowolnie, a nie pod przymusem. Pozostała dwójka poleci jako personel ambasady. Ich odlot pozostanie na zawsze tajemnicą. Tak jak ich późniejsza egzekucja w Moskwie.

Usłyszał, że ktoś podnosi słuchawkę z tamtej strony. Pochylił się i odłożył słuchawkę, włączając jednocześnie głośnik na biurku. Oczywiście Aubreya błędziły wkoło. W jego spojrzeniu tliły się resztki świadomości. Ruchy Woronina zakłóciły Massingerom badawcze studiowanie czarno-białych twarzy spoglądających na nich z białych ścian biura.

Aubrey i dwoje jego przyjaciół znikną. Placówka SIS w Wiedniu została kompletnie zdeorganizowana i pozostawała pod kontrolą Babbingtona. Nie mogli podjąć

skutecznych poszukiwań. Nie było szans na działania kontrwywiadowcze. Austriacy poprzestaną na złożeniu kilku bezwartościowych protestów dyplomatycznych, a i to po upływie odpowiednio długiego czasu od całej sprawy. Massingerom pozostawało posiedzieć jeszcze jakiś czas w pokoju, przejechać limuzyną na Schwechat, odbyć lot w kabinie tupolewa, później znów wsiąść do samochodu i znaleźć się w innym pokoju. Tyle czekało Massingerów. Aubrey miał przed sobą nieco dłuższą przyszłość.

- Towarzyszu zastępczo przewodniczącego! - powiedział głośno Woronin, chcąc zwrócić uwagę Aubreya. Oczy uwięzionych znieruchomiały. Massingerowie skupili się, ale ich zainteresowanie równie łatwo było rozproszyc jak uwagę dziecka. Aubrey drgnął niczym zwierzątko, które przegryzło podziemny przewód elektryczny i zostało porażone prądem. Także i on zdawał się zbierać myśli.

- Zrobione? - zapytał Kapustin.

- Oczywiście, towarzyszu...

- Straty?

- Jeden po naszej stronie...

- Tylko jeden? Dobrze.

- Czekam na rozkazy, towarzyszu zastępczo przewodniczącego. - Czy Aubrey chociaż zwracał uwagę na to, co tu się mówi? Niech diabli porwą tego starucha... Niech go szlag. Woronin nie potrafił się pozbyć uczucia, że Aubrey zamienił się z nim rolami. Stał się jego przełożonym dzięki uporczywemu milczeniu i brakowi zainteresowania.

Kiedy Kapustin odpowiedział, Woronin zdał sobie sprawę, że zastępca przewodniczącego mógł się zorientować, iż Aubrey słyszy tę rozmowę. W gburowatym głosie zastępcy przewodniczącego usłyszał bowiem nutki satysfakcji, kiedy ten mówił: - Czy znów wam muszę powtarzać, Woronin? - Twarz Aubreya gwałtownie wykrzywił grymas nienawiści. - Dobrze. Jeszcze raz przypomnę wam instrukcje. Samolot odleci o czwartej trzydzieści. Przed świtem nasi goście będą w Moskwie. Powiedźcie im, że meteorolodzy zapowiadają ładny dzień. Wszystko tu będzie przygotowane. Sprawy zostaną załatwione bardzo szybko. Zapewnij ich o tym, Woronin. Czy oni przypadkiem nie słyszą mego głosu? - Młody człowiek nie odpowiedział, jedynie się głośno roześmiał. Psiakrew, Aubrey nie zwrócił na to uwagi! - W każdym razie - kontynuował Kapustin - zapewniam ich osobiście, że nie będziemy opóźniać rozwiązania problemu. Nie zmarnujemy ani minuty. - Te ostatnie słowa wręcz wycodził. - Czy coś jeszcze, Woronin?

- Nie, towarzyszu zastępczo przewodniczącego. To już wszystko.

- No to do zobaczenia... - Kapustin, nie mogąc opanować pokusy, dodał jeszcze triumfującym, pełnym kpiny głosem - Żegnaj pana, sir Kenneth. - Aubrey patrzył w

podłogę, ale jego oczy rozbłysły zainteresowaniem. O to chodziło. Wreszcie zareagował.

Woronin wyłączył głośnik i odłożył słuchawkę. Później usiadł na krześle i ponownie przyjrzał się uważnie siedzącym przed nim ludziom. Wraz z nim patrzyli na nich ci, na których znów skupiła się uwaga Massingerów. Złapał świeży oddech. Odprężył się. Mieli Aubreya, który wreszcie zrozumiał. Okazywany przez niego brak zainteresowania nie był teraz niczym więcej niż grą. Udawaniem. Cierpiał. O tak, jakże on cierpiał! Wiedział, że Woronina nie obchodziło tamtych dwoje. Odsunęli się jeszcze dalej od niego, ale to nie miało znaczenia. Trzymali się za ręce, lecz było jasne, że nie chodziło tu o obopólną przyjemność z wzajemnej bliskości fizycznej. Istotniejsze było ich zjednoczenie duchowe, wskazujące, że są usatysfakcjonowani tą chwilą.

Czy cierpienie Aubreya napawało Woronina zadowoleniem? Czy tamten doznał już całej gamy uczuć? Czy przeżył je na tyle mocno, by odpowiadały tej chwili?

Nie, Woronin nie mógł powiedzieć, aby tak było.

Dlaczego?

Wiedział, dlaczego. Chodziło o Babbingtona. Głęboko nie cierpiał tego człowieka. Nigdy go nie lubił, ale to uczucie nasiliło się w ostatnich dwóch latach. Arogancki. Arogancki jak feudał. Typ faceta, którego ma się ochotę postraszyć pistoletem albo pałką i wytrząsnąć z niego całą pewność siebie i arogancję.

Babbington był chwilowym bohaterem. Bohaterem Związku Radzieckiego. Przechowają mu medale do dnia, kiedy ostatecznie wróci do domu. Obrzydliwość. Woronin poczuł się jak dziecko wyproszone z uroczystego przyjęcia dla dorosłych. Ta chwila należała do Babbingtona. Całą satysfakcję i poczucie sukcesu zabrał mu Babbington. On i pozostali byli jedynie sługami, gotowymi w każdej chwili wykonywać rozkazy Babbingtona. Chroniącymi cenną skórę swego pana.

Aubrey obserwował Woronina. Rozumiał, co się z nim dzieje. Tamten był tylko trybikiem w maszynie Babbingtona. Aubrey miał teraz przed sobą niezadowolonego młodego człowieka o bladej cerze i błyszczących oczach, ubranego bez gustu, w stylu urzędniczym. Woronin miał na sobie niemodny garnitur w tym samym kolorze co płaszcz i filcowy kapelusz, którego ostatnio nie nosił. Jego koszula i krawat miały odcień spłowiałego brązu. Nastroszone i sterczące włosy Woronina były w kolorze brudnoblond.

Typowy okaz miernoty. Pomimo to Aubrey nie mógł wyzbyć się uczucia, że ich życie leżało w rękach tego przeciętniaka. Pozbędzie się ich, kiedy tylko przyjdzie na to pora.

Ten niebezpieczny facet bez wyrazu reprezentował rozczochną Nemezis w szarym garniturze urzędnika.

Aubrey odzyskał zainteresowanie otoczeniem. Jaką korzyść mógł mieć z udawania, z maski? Został pokonany i wiedział o tym. Massingerom pozostała już tylko śmierć. Także i on po pełnej hańby krótkiej zwłoce zakończy swe istnienie.

Później przyszedł strach. Aubrey wiedział, dlaczego skrywał swoje reakcje przed Woroninem. Wysiłek z tym związany pochłaniał całą jego uwagę, spychając na bok strach. Teraz przerażenie ścisnęło mu żołądek, serce i płuca. Pozbawiło go niemal zdolności oddychania.

Woronin szeroko się uśmiechnął. Dostrzegł to. Zrozumiał i odczuwał prawdziwą satysfakcję.

Przed nim stromo opadała w dół pusta, brukowana ulica. Pomiędzy plamami światła padającymi z latarni rozciągały się łąty cienia. Sprayowe graffiti na murach pałacu Schwarzenbergów wyglądały jak fosforyzujące duchy. Nie oświetlone budynki skupiły się cicho na placu. Pałace, siedziba Rady Miejskiej i ambasada szwajcarska. Dokładnie przed nim pochylali się nad Matką Boską wyrzeźbieni w kamieniu święci. Dygotał jak po kolizji z kamiennymi figurami lub ścianami budynków. Był zdezorientowany i zadyszany. Nie było Godwina.

Niezdolnego do biegu kaleki. Nie było go tu, nie było...

Płuca i serce powtarzały ten sam refren. Godwina tu nie ma...

Nasłuchiwał odgłosów pościgu. Wpatrywał się w plamy i łąty cienia, próbując dostrzec ruchy czekających mężczyzn. Kiedy te wysiłki okazały się bezowocne, odezwało się w nim jeszcze silniejsze uczucie. Wszystkie komórki jego ciała wołały zgodnym chórem. Dosyć! Przestań!

Wezwano go na rutynowe przesłuchanie, pośliznął się na oblodzonym chodniku i leży w szpitalu, było za zimno na wyjście z domu... Hyde nie chciał przedtem, aby Godwin tu przychodził, i ten prawdopodobnie zmienił zdanie, aprobując argumenty Hyde'a.

Z oddali dochodziły dzwonki alarmowe rozbrzmiewające w zamku. Wartownicy przy zamkniętej bramie pierwszego dziedzińca byli stąd niemal niewidoczni. Czuł jednak, niczym powiew zimnego powietrza, ich narastającą czujność. Przywarł plecami do muru. Na szyi czuł dotyk zimnych, szorstkich kamieni. Próbował powstrzymać małe obłoczki pary, jakie tworzył w lodowatym nocnym powietrzu jego oddech. Kiedy pot wysechł, zaczął marznąć. W najbliższym z zamkowych zabudowań zapaliły się światła. Niczym latarki w rękach przeszukujących pomieszczenia ludzi, błyskały i migotały neony. Grupa walczących kamiennych gigantów ponad bramą majaczyła nad placem. W świetle padającym z okien groźnie wyglądały czarne plecy i muskularne ramiona figur.

Stojący przed chwilą plecami do niego wartownicy odwrócili się i patrzyli przez bramę. Byli zaintrygowani. Stawali się przez to niebezpieczni. Światła reflektorów błyskały na ścianach otaczających drugi dziedziniec, podświetlając zamarznięte sople zwisające z fontanny.

Teraz.

Światła zapaliły się w biurach rządowych w pałacu Arcybiskupim. Coraz więcej alarmów. Były głośniejsze, jakby ktoś otworzył okno, żeby hałas mógł wydostać się na zewnątrz. W ambasadzie szwajcarskiej też rozbłyskiwały kolejne światła, coraz bardziej zmniejszając plamę cienia, w której Hyde się skrył. Gdzieś wyżej, na wzgórzu, zawarczał silnik samochodu. Coraz więcej światel pojazdów na wewnętrznych dziedzińcach. Coraz więcej światel wokół placu. Do tej pory ogień w hali komputerów został już ugaszony i stwierdzono, że powstał wyłącznie w wyniku dywersji. Teraz tamci zaczęli już myśleć w sposób racjonalny. Skoncentrowali uwagę wyłącznie na nim. Nie wiedzieli, co zdobył, ale jeżeli go dopadną, to Godwin powie im. I wtedy... Szybko...

Odgłos biegnących stóp. Ciężkie dudnienie wojskowych butów.

Teraz!...

Obiema rękami dotknął zimnego kamienia, jak gdyby zamierzał odepchnąć się od niego. Popatrzył w dół na chodnik i bruk na ulicy. Zaczął biec.

Brama otworzyła się i wartownicy ruszyli za samochodem dowódcy. Widział to, klęcząc za jedną z czarnych limuzyn zaparkowanych przed pałacem Arcybiskupim. Jego ciężki oddech osiadał mglistą warstwą na lakierze samochodu. Stopy w ciężkich butach, głosy, przenikliwe dźwięki alarmów, podrywających wciąż nowych żołnierzy. Pobudka w gnieździe uspiomych ptaków. Zdecydował się wiać. Pobiegł. Kucał i kłuczył, zmierzając po bruku w kierunku grupy kamiennych postaci pochyłonych nad Madonną. Przyłgnął do postumentu figury i spojrzął na wyjeżdżający z warkotem z bramy samochód. Samochód jechał na plac. Kręciły się koła, głośno pracował silnik. Pojazd zmienił kierunek. Skierował się na wzgórze, w stronę Strahova. Hyde'owi zostały już tylko sekundy. Oficer wydawał instrukcje żołnierzom przy bramie. Ktoś zaczął krzyczeć z okna na wyższym piętrze. W zamku coraz głośniej słyhać było dudniący głos z megafonów. Tylko sekundy, pomyślał.

Uciekł przez ostatnią plamę światła, ostatnią zatokę cienia. Łazik z zamontowanym z tyłu reflektorem-szperaczem wtoczył się na plac. Kiedy pojazd zwalniał, słyhać było pisk protestujących hamulców. Natychmiast promień światła jął przetaczać się przez plac i podskakiwać niczym wielka złota piłka, odbijając się od ścian budynków.

Złożył się niemal wpół, usiłując skryć się w cieniu. Szeroko otwierał usta, chwytając powietrze. Poślizgnął się lekko i otarł policzek o zimny mur. Przed nim gwałtownie niczym krawędź urwiska rysował się obszar cienia. Schody do zamku. Głosy, komunikaty do ludności, podskakująca kula światła, obcasy zgrzytające o lód, ryk silników.

Godwin?

Cholera. Jego samochód stał obok domu Godwina.

Zerknął na schody. Dla zachowania równowagi, jakby obawiał się zawrotu głowy, biegnąc w dół przytrzymał się kamiennej ściany. Nad nim wciąż podskakiwała świetlna plama. Pochylił plecy niczym pod ciężkim brzemieniem. Światło przesunęło się. Ktoś krzyknął. Jasna kula, odbijając się od chodnika, mknęła w jego stronę. Głośno wykrzykiwano rozkazy. Biegł.

Po dziesięć. Dłonią w rękawicze trzymał się obmarzniętej, piekielnie zimnej poręczy. Na każdym odcinku było po dziesięć schodków. Przeskakiwał je wszystkie. Spadał na kolejny poziom. Później brał rozpęd i skakał przez kolejne stopnie. Stare latarnie rzucały przytłumione blade światło, w którym jego cień nabierał najpierw monstrualnych rozmiarów, a potem nagle zmniejszał się, ukazując na murze biegnącą sylwetkę.

Zatrzymał się, aby spojrzeć za siebie. Światła latarek i hałasy - zobaczyli go, cholera. Pobiegł, słysząc za sobą dudnienie pierwszych par butów ścigających go żołnierzy. Szczęk upuszczonego karabinu. Mijając odsłonięte okna wysokiego, wąskiego budynku, zobaczył w jednym blask włączonego telewizora. Otworzyły się drzwi.

Zderzył się z kimś. Ciało było miękkie i podatne, pewnie to kobieta. Usłyszał, jak nagle straciła oddech. Poczul zapach mocnych tanich perfum. Cofnął się słysząc, iż znów zaczęła oddychać i wyrzekać, że brutalnie ją potrafił. Schody wiły się. Zostawił za sobą narzekania poszkodowanej kobiety i odgłosy pościgu.

Kolejne dziesięć schodków, płaska przerwa i znów dziesięć stopni.

Płasko, schody, znów płasko. Latarnie, majające cienie, pokurczony karzeł na łuszczącej się sztukaterii na murach. Ciemność, schody, płasko, cień, gigant, karzeł, cień, schody, płasko.

Pobijane sztukaterie. Zdradzieckie, oblodzone schody. Z trudem oddychał. Nogi miał jak z waty. Zdawał sobie sprawę, że zwalnia. Zobaczył przed sobą postrzępioną plamę światła, tak jakby ktoś otworzył drzwi do rzęsiście oświetlonego pokoju. Zawahał się w obawie, że może to być światło szperacza. Słyszał znów za sobą stukot butów i szczęk metalu dobiegający z zamkowych schodów. Drżał cały, kiedy zbiegł do końca schodów. Schwycił się poręczy, jakby dopadł go atak kaszlu. Wąska uliczka, rozjaśniona na obu końcach światłami. Zmusił się do biegu. Jego buty dudniły po bruku.

Skręcił na rogu w kierunku placu na Małej Stranie. Przed sobą miał kościół Świętego Mikołaja. Przed pałacem, w którym obecnie mieściła się Wojewódzka Szkoła Partyjna, stał rząd czarnych samochodów. Siedziba partii i kościół stały naprzeciw siebie rozdzielone brukiem placu. Hyde przeciął go i skrył się w ciemnościach wokół kościoła.

Cienie?

Nagle pojawiły się światła, jakby urządzili tu na niego pułapkę. Rozejrzał się wokół. Ścisnął w kieszeni rękojeść pistoletu. Ścisnął też kasetę. Drzwi kościoła otworzyły się szeroko. Hałasy, odgłos wielu kroków i rozmowy. Pojawili się ludzie. Tablica ogłoszeniowa koło jego głowy informowała o recitalu, który odbywał się tu dzisiejszego wieczoru. Poczul ulgę, kiedy wepchnął się w tłum, prac naprzód wśród ludzi schodzących ze schodów i rozpraszających się po placu. Minął arkady, przeszedł przez zachodnią bramę. Słuchacze, głośno chwalaący koncert, potrącali Hyde'a, ale jednocześnie zasłaniali go przed oczyma pościgu. Wykonawca recitalu odniósł sukces.

Hyde wysforował się na czoło niewielkiej grupy ludzi. Teraz jego cień biegł truchtem wzdłuż południowej ściany kościoła, dopóki nie skręcił w ulicę Mostową. Udało się. Był niemal wesoły.

Nikt w przejeżdżającym samochodzie nie zwrócił na niego uwagi. Pojazd miał kolor wyblakłego brązu. Ludzie otaczali go ze wszystkich stron. Wychodzili z lokalu, który mógł być klubem. Tak, to był klub muzyki młodzieżowej.

Przechodząc obok zamkniętych drzwi słyszał ze środka ostre dźwięki saksofonu i perkusji. Po chwili zwolnił. Obejrzał się za siebie. Ludzie. Opatuleni, w czapkach, ciepłych szalach. Dawali mu osłonę. Kilka samochodów przejechało dostojnie wąską uliczką. Koła podrygiwały na bruku. Z oddali dochodziły dźwięki syren, ale na Mostowej nie dostrzegł mężczyzny w mundurach. Zostali zatrzymani przez tłum wychodzący z kościoła. Powinni byli w pierwszej kolejności zablokować wyjścia z placu. Z każdą sekundą pościg tracił impet. Hyde szedł niezbyt szybko, z rękami w kieszeniach płaszcza. Na twarz nasunął szalik, nie tyle z zimna, co w celu ukrycia sporego zarostu. Przed sobą widział most nad Wełtawą. Ręką w rękawiczce ścisnął w kieszeni kasetę. „Łzę”.

Udało się. Miał Babbingtona, trzymał go w dłoni obciążonej rękawiczką. Miał wszystko. Całą kombinację, cały scenariusz i nazwisko Babbingtona. Schemat. Z góry przewidziane skutki działań operacyjnych, które idealnie pasowały do rzeczywistości. Miał podwójnego agenta pracującego dla Moskwy... Zrobił to. Ta świadomość pozwoliła mu uspokoić oddech. Obnażył zęby w szerokim, triumfalnym uśmiechu.

Przechodził pod ciemną wieżą u wylotu mostu Karola. Od rzeki wiał lodowaty wiatr. Hyde skulił się z zimna. Świeciły mostowe latarnie. Płatki śniegu opadały w aureolach zimnego światła. Pochylały się stojące po obu stronach mostu czarne, wykute w kamieniu postacie. Pochylały się nad nim, szepcząc mu, że nie ma czasu i musi przyspieszyć kroku. Ręką mocniej ścisnął kasetę. Teraz, kiedy miał dowód, zdał sobie sprawę, że Babbington też nie marnuje czasu. Zaczęło w nim narastać pragnienie pośpiechu. Uczucie to było równie dokuczliwe jak potworny głód. Nie martwił się ani nie zastanawiał nad losem Margaret Massinger. Nie obchodziło go, czy zapudłowali ją razem z Aubreyem i mężem. Liczył się tylko on sam niesiony teraz podmuchem wiatru przez most niczym skrawek papieru, rzucony do stóp wspaniałej figury z rozłożonymi rękami. W świetle ośnieżonych latarni błyszcziała złota korona i litery na cokole. Istniał tylko on. Wieża mostu pochylała się nad nim, kiedy przechodził pod jej arkadą, wchodząc na teren Starego Miasta. Wiatr uciął. Szedł po porytym koleinami, błotnistym śniegu, który leżał na chodniku. Nie był ścigany, lecz śpieszył się bardziej niż przedtem. Liczył się tylko on sam.

W kilka minut doszedł do rynku Starego Miasta. Minął zegar i wszedł w podcienia kościoła Tyńskiego. Później zatrzymał się. Badał wzrokiem ulicę Celetną. Ostre świeciła neonów. Niewielki ruch pojazdów i paru przechodniów. Widział masyw Wieży Prochowej na drugim końcu ulicy. Gdzie był Godwin? Hyde widział stąd ciemne okna jego mieszkania. Czy był gdzieś w głębi, w kuchni?

Hyde wiedział, że w mieszkaniu nikogo nie ma. Pochylił się i poczłapał ulicą, próbując ustalić, czy nie jest śledzony. W każdej chwili był gotów do ucieczki. Pobliska ulica Celetna i pozostałe przebyte dziś ulice oplątywały go niczym rybacka sieć. Był samotny. Nie miał ambasad, do której mógł się udać. Miał tylko nagrania i nic ponadto. Nie uwierzą.

Przerwij to.

Doszedł do swojej skody. Minął ją. Drzwi i okna nie sprawiały wrażenia, żeby ktoś przy nich grzebał, ale nie był stąd w stanie sprawdzić lewej strony pojazdu. Gapił się na ciemne okna Godwina i nieomal wpadł na młodego mężczyznę, który natychmiast zaczął go przeproszać. Później ruszył dalej.

Sto jardów od mieszkania i około dwustu jardów od skody przeszedł na drugą stronę ulicy. Później wrócił na plac, idąc dokładnie tą samą drogą, którą tu dotarł. Potem znów do Wieży Prochowej. Idąc ustalił, że na drzwiach od strony kierowcy również nie widać śladów włamania. Wrócił pod dom Godwina. Nie zauważył Godwina. Nie zauważył zaparkowanych samochodów z czekającymi w środku ludźmi, otwartych okien

lub odsłoniętych firanek. W jednej ręce trzymał taśmę, a w drugiej zapasowy klucz do mieszkania Godwina. Zbliżył się do drzwi na klatkę. Kiedy już niemal je minął, wślizgnął się w jej cień, Namacał zamek, włożył klucz i otworzył drzwi. Skrzypnęły delikatnie. Obejrzał się na ulicę, a później szybko przeszedł przez wąski hol i zaczął się wspinać na schody. Po wejściu na pierwsze piętro zaczął nadłuchiwać. Czekał. Nic. Nie słychać było nawet dźwięków z ulicy. Gdzie był Godwin?

Kolejną przerwę zrobił przy drzwiach do mieszkania. Wycelował kluczem w otwór zamka, przymierzał się. Włożył klucz. Wstrzymał oddech i obrócił klucz. W tej samej chwili kopnięciem otworzył drzwi, wskoczył do środka i przywarł do ściany. W dłoniach miał broń. Trzymał pistolet tuż przy twarzy z lufą uniesioną w górę. Kciukiem odsunął bezpiecznik. Piętnaście strzałów. Słuchał wstrzymując oddech.

Nic. Sięgnął ręką i ostrożnie zamknął drzwi. Później zrobił kilka kroków w kierunku dużego pokoju. Uderzeniem ciała otworzył drzwi. Broń wciąż trzymał w górze. Ciężar ciała opierał o futrynę. Pokój był ciemny i pusty. Pstryknął wyłącznikiem. W pokoju panował porządek. Wszystko było poukładane i nic nie świadczyło, aby robiono tu przeszukanie. Brak też było śladów walki. Gdzie jest Godwin? Szybko sprawdził pozostałe pokoje. Nie było tam kul. Na wieszaku w przedpokoju nie wisi płaszcz. Łóżko rozścielone. Pusty kubek po kawie stał w zlewie w kuchni. Godwin musiał opuścić mieszkanie z własnej woli, udając się, zgodnie z umową, na spotkanie na Hradczanach. Gdzie się podział?

Kto zadawał mu teraz pytania i co on na nie odpowiadał?... Wyobraźnia Hyde'a wciąż podsuwała mu zakończenie tego scenariusza, nieustannie powiększając jego zdenerwowanie. Czy teraz ktoś miał Godwina pod lupą?...

A on miał czas tylko do chwili, gdy Godwin popełni pierwszy błąd, poda pierwsze sprzeczne fakty lub wyzna prawdę, ponieważ tamci potrafili być niecierpliwi przy próbach wykretów lub kłamstw. Wtedy używali siły fizycznej.

Wrócił do kuchni. Przybudówka z tyłu budynku była o dwa piętra niższa niż część, gdzie mieściło się mieszkanie Godwina. Jej dach był na poziomie kuchennego okna. Hyde uchylił okno, by ocenić parapet, kąt nachylenia dachu i odległość do szczytów sąsiednich budynków. Później wrócił do przedpokoju i podniósł słuchawkę. Słuchał uważnie, lecz nie zauważył charakterystycznego podwójnego brzęknięcia, które mogło świadczyć o podsłuchu. Godwin dbał o swój telefon i nie pozwalał, aby znalazły się w nim pluskwy. Telefon był równie pewny jak mieszkanie. Hyde ostrożnie położył pistolet obok aparatu i opadł na fotel. Natychmiast poczuł, że z jego nóg odpływają resztki sił i łydki zaczynają mu drżeć ze zmęczenia. Drżącym również palcem wybrał długi ciąg cyfr. W mieszkaniu zaczęło robić się zimno. Chłód wpadał przez otwarte okno w kuchni.

London. Czy nie powinien przestawić w inne miejsce samochodu?

Teraz, kiedy miał jeszcze czas? Londyn. Wykręcił ostatnią cyfrę numeru telefonu sir Williama Guesta w Albany, który dała mu Margaret Massinger, i znów zaczął się zastanawiać nad samochodem. Uzyskał połączenie. Telefon w Anglii zaczął dzwonić. Trzy, cztery dzwonki, pośpiesz się... Co z samochodem? Nasłuchiwał szumu ulicy. Przyjechał jakiś pojazd. Wstrzymał oddech, ale samochód nie zatrzymał się ani nie zawrócił. Pięć, sześć, siedem... Szybciej. Idź i przestaw samochód, pomyślał. Czuł się osaczony, niemal przykuty do fotela i telefonu. Niezdolny, aby sam się z tego wyswobodzić. Potem.

- Sir Williamie! - wykrzyknął, zanim rozsądek zdołał go powstrzymać. Poczul ogromną ulgę, która uczyniła go słabym i drżącym, mimo że obiecywał sobie nie zdradzić się z niczym, dopóki rozmówca nie potwierdzi swojej tożsamości.

- Kto mówi?

„Głos jest za młody!”

- Daj pan sir Williama.

- Kto mówi?

Czy rozpoznał ten głos? Rozpoznał ten akcent czy też było to tylko przypadkowe podobieństwo głosu? Kto?

- Czy zastałem sir Williama? - nalegał.

- Słyszę po twoim głosie, że się śpieszysz, stary. - Mówiący przeciągał sylaby. - Obawiam się, że sir William jeszcze nie wrócił... Spodziewamy się go dzisiaj. W czym mógłbym pomóc?

- Kim jesteś? - Dłoń Hyde'a ścisnęła w kieszeni kasetę, jakby chciała ją rozgnieść. Aż do tej chwili.

- Członkiem jego personelu. Prosił, żebym tu wpadł i zabrał pewne dokumenty... Miał pan szczęście, że mnie pan zastał. Kto mówi? Skąd pan dzwoni?... - Te słowa zabrzmiały już nieco inaczej. Pod pozorami uprzejmego zainteresowania Hyde usłyszał napięcie.

- Odpieprz się - powiedział cicho i rzucił słuchawkę. To nie miało znaczenia, czy ten człowiek pracował dla Babbingtona, czy był lokajem sir Williama. To nie był sir William...

Wszystko na nic. Rozbił sobie kostki rąk, kiedy wylądowywał wściekłość, wlepiając oczy w telefon. Na nic.

Zanim wróci sir William, stary będzie w Moskwie, gotowy do pokazu, a może nawet martwy.

- Och, pieprzę to! - Osunął się z powrotem na fotel. Zacisnął mocno oczy, w których kącikach pojawiły się łzy. Twarz miał uniesioną w górę. Był potwornie, bezgranicznie zmęczony. Miał dowód, lecz teraz oni już wiedzą lub dowiedzą się bardzo

prędko... Poinformują Babbingtona rano. Później nie będzie tracił czasu na pozbycie się Aubreya i Massingerów. Przesyłka do Moskwy będzie już w drodze na Wschód. Babbington dowie się, że to był on, i Aubrey zniknie. Wygląda na to, że to właśnie Hyde ostrzegł ich i dał im czas na działanie. Babbington będzie chciał pierwszy stanąć przed obliczem Guesta, natychmiast po jego powrocie, aby osobiście wytłumaczyć okoliczności zniknięcia Aubreya. Hyde ponaglił ich, przyspieszył tym samym termin zakończenia operacji.

Siedział dłuższy czas w zupełnym bezruchu, z twarzą zwróconą do góry i z zaciśniętymi powiekami.

Rękami ścisnął oparcie fotela. Jego ciało zapadło się w rozłożystym wnętrzu fotela.

Sobie też narobił kłopotu. Wiedzieli, że tu jest. Dowiedzieli się, co zrobił, i nie będzie już mógł uciec drogą, którą przybył. Z dużym prawdopodobieństwem można przewidywać, że nie dotrze dalej niż do Bratysławy. Zamkną granicę, aby zatrzymać go w kraju.

Wciąż siedział w ciszy i nie ruszał się. Zdawał sobie sprawę, że wszelkie działania, posunięcia i decyzje są bezcelowe. Resztką świadomości kontrolował dźwięki dochodzące spoza mieszkania. Z ulicy i sąsiednich lokali. Normalny gwar. Lokator na górze słuchał radia, chodząc z pokoju do kuchni i z powrotem. Serce Hyde'a biło miarowo, jego oddech był już spokojny.

Hyde wyprostował się w fotelu.

Zimmermann. Hyde znów popatrzył na telefon, a później na zegarek. Minęło piętnaście minut, odkąd wszedł do mieszkania. Aż piętnaście! Przeklinał w duchu swoją opieszałość. Musiał stąd wyjść. Przetrawić. Nadal żyć i oddychać. Zabijają go. Nie ograniczą się do uwięzienia go. Zabijają z całą pewnością.

Zimmermann. „Zadzwoń do mnie, jeżeli coś pójdzie źle, bardzo źle”. W ten sposób Niemiec zaofiarował mu swe usługi w charakterze oficera odwodowego, włączanego do akcji w nagłych, nieprzewidzianych sytuacjach. „Jeżeli będzie zbyt dużo trudności, z którymi nie zdołasz sobie poradzić...”

Słuchał. Zwykle dźwięki. Gorączkowo wybierał numer. Może Godwin już zaczyna mówić, może im powiedział! Ostatnie trzy cyfry. Jaka była końcówka numeru? Jaki jest jego numer? Cholera by to wzięła. Palec wisiał nad aparatem. Nagle przypomniał sobie. Cztery, dwa, siedem.

Czekał. Czy Zimmermanna też zdążyli zgarnąć do tej pory? Czy znów odpowie mu młody, sympatyczny i niebezpieczny głos? Czekał. Na drugim końcu linii podniesiono słuchawkę.

- Słucham? Zimmermann - usłyszał. Rozpoznał ten głos.
- To ja, Hyde.

- Co się dzieje? - zapytał natychmiast Zimmermann, i dodał po angielsku: - Masz kłopoty?

- Słuchaj, nie mam zbyt dużo czasu. Godwin zniknął. Musieli go zgarnąć. Wkrótce mnie namierzają.

- Rozumiem. Ale czy masz?...

- Mam wszystko. Komputer wyrzucił cały ten paszтет. Wszystko... nawet nazwisko Babbingtona. Nawet jego nazwisko! Mam cały szczegółowy plan operacji...

- Czy możesz jakoś przekazać mi te informacje?

- Nie. To jest na taśmie. Nie myślisz chyba, że zaufam pocztce. Posłuchaj, Zimmermann. Nie mogę się stąd wydostać tą samą drogą, którą tu wjechałem. Wszędzie będą na mnie czekali. Może masz jakiś pomysł?

Hyde poczuł, że zaczyna go piec dłoń, którą trzymał słuchawkę. Przyjrzał się drugiej ręce. Delikatna nowa skóra. Rany jeszcze się goiły. Oto dowody jego podatności na obrażenia, jego bezużyteczności. Czekał. Chciał, aby Zimmermann podsunął mu drogę ucieczki.

W końcu Zimmermann powiedział:

- Tak. Musisz się wydostać. Czy oni wiedzą, co zrobiłeś?

- Tak. O mało mnie nie złapali.

- A Godwin oczywiście... Więc... - Zimmermann przerwał na chwilę. - Jest niemiernie mało czasu. Jeżeli w ogóle jest jeszcze czas. Nic nie mogę zrobić. A raczej nikt nic nie może zrobić, nie dysponując materialnym dowodem. Jestem zawieszony w czynnościach. Wkrótce zaczniesz się dochodzenie. Nie mam z kim porozmawiać. Niemniej mogę ci pomóc. Jest taki hydraulik, Niemiec, który mieszka w małym przygranicznym miasteczku Mytina, na południe od Chebu. To mniej niż trzy godziny drogi z Pragi. Masz mapę?

- Tak.

- Mytina. Znajdziesz go pod tym adresem... Chcesz zapisać?

- Nie. Mów dalej... Dobrze, już znalazłem.

- Przy paru okazjach był naszym kontaktem operacyjnym. Są i inni, ale nie tak blisko granicy lub Pragi. W dodatku on potrzebuje pieniędzy. Nazywa się Langdorf. Nic nie robi za darmo. Musisz mu też wyjaśnić, że dostałeś jego nazwisko ode mnie. Masz pieniądze?

- Godwin powinien mieć w mieszkaniu standardową wyprawkę, czyli krugerandy*, albo jest tu gdzieś kryjówka ze szwajcarskimi frankami. Znajdę je i będę mógł zapłacić.

* Krugerandy - złote monety bite w RPA. - Przep. tłum.

- W takim razie nie zwlekaj i jedź od razu. Musisz przejść granicę dziś w nocy.

Jeszcze przed świtem. Będę na ciebie czekał... - Po tych słowach Zimmermann zrobił pauzę. Z pewnością patrząc na zegarek dokonywał obliczenia czasu. - Tak, zdążę tam dotrzeć przed świtem. Bardzo mało osób wie na razie o tym, że mnie zawieszono... Będę czekał. Zrób pan wszystko, aby się tam znaleźć, Hyde. Przez wzgląd na nas wszystkich.

- Spróbuję. Dzięki.
- Koniecznie przed świtem. Jutro będzie za późno.
- Tak.

Hyde odłożył słuchawkę i delikatnie potarł dłoń, w której ją trzymał. Wsłuchiwał się w szum ulicy. Podszedł do okna i delikatnie odchylił zasłonę. Niewielki ruch, paru przechodniów, tak jakby północ wygnała ludzi do domów. Jakiś facet kręcił się koło klatki... Nie, jest z nim dziewczyna. Nic podejrzanego. Nie widać szeroko odsuniętych zasłon umożliwiających obserwację, przyćmionych światła. Hyde głęboko odetchnął. Para pokryła szronem zamrażającą szybę. Wypuścił powietrze z płuc. Podjął decyzję.

Odwrócił się od okna i spojrzął na pokój. Krążył myślami z pokoju do pokoju, jakby widział w wyobraźni nieruchome obrazy wyświetlane na ekranie.

Poczucie, że konieczny jest pośpiech, wróciło niczym nagła gorączka. Odzyskał świadomość. Oceniał mieszkanie, ulicę, dach, który mógł mu posłużyć jako droga ucieczki...

I Godwina siedzącego naprzeciwko jaskrawej lampy, odparowującego pytania przesłuchujących do chwili, gdy wymknie mu się coś niestosownego lub będzie musiał powiedzieć to, co wie.

W jego wyobraźni pokoje w mieszkaniu były tak rzęsiście oświetlone, jakby oświecał szczegóły ich wnętrza silną latarką. Gdzie? Gdzie Godwin mógł ukryć swoje krugrandy lub franki szwajcarskie, które otrzymuje każdy agent wysyłany za granicę? Fundusz rozbitka - tak nazywano tę forszę w Londynie. Lina ratunkowa. Droga ucieczki. Przeznaczona do wykorzystania wtedy, gdy po zatonięciu statku zaczyna tonąć również tratwa ratunkowa. W takiej sytuacji jak ta. Gdzie?

Zaczynj. Pośpiesz się i zaczynj, rozkazywał swemu ciału. Ponownie uchylił zasłonę. Koło skody, stojącej jakieś sto jardów stąd, po przeciwnej stronie ulicy Celetnej, przejeżdżał właśnie nocny autobus. Na końcu ulicy, pod Wieżą Prochową, zobaczył niebieskie iskry lecące z pałąka tramwaju, który grzechocząc jechał w stronę rzeki. Nic poza tym. Miał jeszcze czas. Godwin trzymał się na razie lub pozostawał poza podejrzeniami. Miał czas. Czas.

Mało albo wcale. Miał bardzo mało czasu albo nie miał go wcale. Nie miał czasu...

Na czworakach zaczął pełznąć wzdłuż ścian pokoju. Rękami macał dywan jak ślepiec, który szuka upuszczonego przedmiotu. Nic. Zajrzał pod stół. Pomacał spody krzeseł, przechylił fotel i sofę... Godwin mógł szybko potrzebować pieniędzy, więc musiał je ukryć w miejscu łatwo dostępnym dla kaleki. Żadnego skręcania się, stawiania na podwyższeniach, czołgania lub wspinania...

Hyde obmacał zasłony, lecz nie wyczuł żadnych zgrubień i nie usłyszał szelestu. Stary kredens. Badał delikatnie palcami tylne ścianki i dna szuflad. Podniósł zegar i tackę, na której Godwin trzymał butelki z whisky i dżinem.

Mimowolne skojarzenie podczas sprawdzania zegara sprawiło, że po zbadaniu każdego z przedmiotów spoglądał na zegarek. Określał w czasie każdą z czynności.

Łazienka. Spluczka sedesowa. W środku brudno, ale pusto. Żadnego wodoszczelnego pojemnika. W prysznicu brak miejsca na kratkę. Z tyłu za brodzikiem prysznic. Dwunasta dwadzieścia. Pod cienkim wytartym dywanikiem na podłodze łazienki. Wszędzie nic.

Kuchnia. Boki i tył kuchennej szafki. Ten ciężar kaleki Godwin zdołałby przesunąć. Dwunasta dwadzieścia dwie. Piecyk, kosz na śmieci z pedałem. Kurz i martwe muchy wraz ze zmutyfikowanym pajakiem na górnej ścianie szafki. W dolnej części szafki komplet szczotek, puszek z żywnością, w tym również mięso dla chudego czarnego kota sąsiadów. Za lodówką. Dwunasta dwadzieścia dwie. Nie! Dwadzieścia trzy. Zamrażalnik. Tylko miseczka na lód i cienka paczka mięsa na obiad.

Przedpokój. Szafa. Ręce myszkowały wśród złożonej bielizny pościelowej i koszul. Przeciągnął dłoń wzdłuż deski do prasowania, jakby liczył, że znajdzie tam rozłożone płasko pieniądze. Walizki sypialni. Na wierzchu szafy. Sypialnia. Dwunasta dwadzieścia pięć. Pomijał niektóre przedmioty. Nie mógł sobie pozwolić na zbyt gruntowne badanie, ale i tak trwało to zbyt długo...

Niczym hazardzista oparł wszystko na przekonaniu, że Godwin się jeszcze trzyma. Był całkowicie przekonany, że ujęto Godwina już i nabrano wobec niego podejrzeń. Paru facetów z STB* mogło skojarzyć fakty i zacząć pytać o...

* Stocka Bezpečnost - Czechosłowacka Służba Bezpieczeństwa. - Przyp. tłum.

Dwunasta dwadzieścia sześć. Nic nie znalazł w walizkach lub pod wyściełającymi je tkaninami. Nic nie było pod przypominającym pryczę w pewnej instytucji łóżkiem. Nic w serwantce lub pod szufladami. Dywan - nic. Dwunasta dwadzieścia siedem. Pomimo chłodu w mieszkaniu czoło Hyde'a zwilgotniało i pokryło się kroplami potu. Czuł, jak ciało rozgrzewa się pod ubraniem. Czuł zapach kurzu pod łóżkiem i pod dywanem. Zasłony - nic. Nic, nic, nic!

Dwunasta dwadzieścia osiem. Przebywał w mieszkaniu trzydzieści dwie minuty. Nie zostało mu więcej niż kilka minut. Godwin musiałby im podać swój adres, w przeciwnym razie i tak zdobyliby go z jego akt. Patrol policji lub STB zostałyby tu skierowane, aby zbadać sytuację. Normalne działanie w tym proletariackim raj. Z pewnością wkrótce tu będą. I tak się już spóźnili. Pocił się potwornie. W uszach słyszał własne sapanie. Skutki napięcia i frustracji dawały o sobie znać równie mocno jak wtedy, gdy przesadzał zamkowe schody.

To musi być gdzieś, gdzie jest łatwy dostęp. Dwunasta dwadzieścia dziewięć. W zasięgu ręki. Godwin nie mógł nawet bez wysiłku uklęknąć.

Nie był w stanie wejść na krzesło, aby sięgnąć gdzieś wyżej. Bez ogromnego, czasołonnego wysiłku nie był zdolny do odsunięcia lub przewrócenia ciężkiego mebla. To musi być gdzieś, gdzie jest łatwy dostęp.

Na ulicy zatrzymał się samochód. Hyde usłyszał to przez zaciągnięte zasłony. Podświadomie widział, jak jedzie ulicą od strony Starego Miasta. Walczył z sobą, aby zignorować ten odgłos. Usłyszał ostrożnie zamykane drzwi samochodu. Podszedł do okna i odchylił nieco zasłony. Dwóch ludzi w mundurach. Radiowóz. Rozglądali się wokoło. Kiedy podnosili głowy, aby spojrzeć w górę, opuścił zasłonę. Typowy patrol przysłany w celu potwierdzenia adresu Godwina. Dwunasta dwadzieścia... nie, dwunasta trzydzieści. Gdzie? Nie wiedział, czy słyszy, czy też wyobraża sobie odgłos kroków na pokrytym rozdeptanym śniegiem chodniku i dochodzące z dołu szepty. Słuchał. Nie przyjechały inne samochody, z oddali dobiegało stłumione dzwonienie tramwaju na przystankach.

Gdzie? Dostępne dla Godwina. Gdzie? Gdzie? W zasięgu ręki? Gdzie?

Domyślił się dokładnie w chwili, gdy usłyszał dzwonek w mieszkaniu piętro niżej. Było tu zbyt mało mieszkań i były one zbyt ciemne, aby znalazło się miejsce dla dozorca. Lokatorzy sami otwierali domofonem drzwi frontowe. Dlatego tamci zadzwonili piętro niżej. Nie chcieli spłoszyć osoby przebywającej u Godwina.

Godwin się poddał. Hyde znów zobaczył go na przystanku na przedmieściu. Godwin czekał tam na człowieka, który przypomni mu o jego kalekiej egzystencji. Nigdy nawet nie usiłował uciekać. Nie przewidywał takiej możliwości. Po prostu siedziałby w domu i czekał, aż po niego przyjdą. Dla Godwina nie istniała szansa ucieczki przez granicę. Dlatego się poddał.

Hyde szarpnął starą kanapę i przewrócił ją na plecy niczym przeciwnika w zapasach. Przejechał rękami po grubym płótnie pokrywającym spód mebla. Krew. Kropla krwi na jednym z palców. Usłyszał otwierające się drzwi klatki schodowej i szmer cichych głosów. Posłał palec. Zrozumiał, że Godwin musiał złamać zbyt cienką igłę,

która nie sprostала zadaniu przyszycia tapicerskiego płótna podbicia sofy. Odłamany koniec igły został w ramie. Szew był w tym miejscu niezbyt równy. Nitka też wyglądała na czystsza. Godwin dobrze ukrył pieniądze. Zakopał je. Hyde rwał tkaninę. Odgłos rozdieranego materiału zagłuszył na moment tupot butów wchodzących po schodach ludzi. Szperał ręką w końskim włosiu i sprężynach. Wyciągnął poszukiwany pakunek. Rozerwał szary papier. Szwajcarskie franki. Wiadomo, galopująca inflacja.

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Ktoś zawołał Godwina po nazwisku, poprzedzając je angielskim „mister”. Zobaczyli światło i oczekiwali, że zastaną kogoś w mieszkaniu. Może nawet jego. Wstał, drżąc z ulgi, wepchnął paczkę do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Schwycił ze stołu pistolet i rzucił się do kuchni. Walenie do drzwi. Później chwila złowieszczej ciszy świadczącej o przygotowaniach do wyważenia drzwi. Wszedł na zlew i stanął na parapecie. Za sobą słyszał trzask wyłamywanego zamka. Weszli do mieszkania. Schwycił się rękami framugi okna. Ramiona mu drżały. Sprawdzał jedną nogą wytrzymałość dachówek i wkroczył na dach. Za sobą słyszał krzyki, ale na razie nie były one kierowane do niego.

Pochylił się do przodu, niemal złożył wpół i zaczął uciekać po pochyłym dachu. Chciał skryć się, kucając za szerokim kominem. Wokół niego wirował śnieg. Chmury jarzyły się odbitymi światłami miasta. Głosy w oknie. Wydawały rozkazy. Później trzask radiotelefonu, przez który domagano się posiłków. Usłyszał stukot butów po dachówkach. Pościg wszedł na dach. Hyde dotarł do podstawy komina.

Dopóki nie przybędzie pomoc, będzie ich tylko dwóch. Wyciągnął z kieszeni pistolet. Czuł, jak lufa przejechała po biodrze i boku. Uklęknął obok komina. W świetle padającym z kuchennego okna zobaczył twarz policjanta. Kiedy tamten otwierał usta, Hyde strzelił. Czeski policjant odchylił się do tyłu i upadł na plecy. Konając próbował znaleźć oparcie, lecz ześliznął się z dachu i zniknął. Hyde usłyszał głucho uderzenie, gdy jego ciało spadło na zawianą śniegiem alejkę biegnącą obok budynku. Strzelił jeszcze dwa razy i drugi policjant umknął mu z pola widzenia.

Starając się zachować ostrożność, pochylony Hyde popędził w dół dachu. Po dotarciu do rynny zatrzymał się, aby spojrzeć w dół. Leżący na dole grubą warstwą śnieg wyglądał upiornie. W odległości paru jardów majaczył rozkrzyżowany ciemny kształt. Hyde przykucnął i skoczył. Czuł świst powietrza. Stopy zaczęły mu grzęznąć w czymś miękkim. Całe ciało gwałtownie się ochłodziło. Później zaczął się toczyć w dół zasy. Dyszał. Usilnie starał się odzyskać oddech. Kiedy wreszcie stanął na nogi, zęby mu szczykały. Jego ciemny płaszcz kontrastował ze zwałami śniegu.

Stawy? W porządku. Wrócił oddech. Hyde nabrał w płuca zimnego powietrza. Zapiekły wściekle. Odetchnął. Radiotelefon drugiego policjanta chrząkał gdzieś ponad nim, przekazując niezrozumiałe rozkazy. Hyde spojrzął w górę. Nic nie dostrzegł. Dwunasta trzydzieści trzy. Miał charakterystyczne dla biegaczy wycucie czasu. Trzy minuty, odkąd szarpnięciem oderwał płótno, którym obito spód kanapy. Ominął martwego policjanta i biegł w kierunku wylotu uliczki. Przejechał samochód, co sprawiło, że w przybliżeniu gwałtownego lęku Hyde przywarł do ściany. Uciekał ulicą. Nadłuchiwał. Gdzieś daleko zawyła syrena. Wyszedł zza rogu i doszedł do klatki schodowej. Nikt się nie pojawił.

Pospiesznie ruszył ulicą, minął skodę, cały czas obserwując pustą Celetną. Zniknęła nawet para zakochanych. Jego oddech zmieniał się w parę, która wyglądała jak sygnały rozpacz. Przeszedł przez ulicę. Otworzył drzwi skody i wsiadł za kierownicę. Zasłony w mieszkaniu Godwina nie poruszyły się. Drugi policjant wołał się nie narażać, dopóki nie nadejdzie pomoc.

Dwunasta trzydzieści cztery. Uruchomił silnik. Silnik zaskoczył przy drugiej próbie. We wstecznym lusterku nic się nie poruszało. Żaden pojazd nie nadjeżdżał od strony Wieży Prochowej. Zakręcił kierownicą. Bolały go znów ręce, kiedy stopniał na nich zimny śnieg i powróciło czucie w palcach. Skrzywił się w grymasie bólu. Popatrzył w lusterko i przez przednią szybę. Przejechał obok policyjnego radiowozu stojącego przed blokiem, a później natychmiast skręcił z Celetnej w wąską, boczną uliczkę. Kilka chwil później rozległ się za nim głos syren, ale w lusterku nie dostrzegł pościgu. Przednia szybą zaparowała od jego gorącego oddechu. Skręcił w lewo, a później jeszcze raz w lewo. Wyjechał na szeroki bulwar. W równych odstępach stały tam latarnie. Plac Wacława. Ludzie. Ruch uliczny. Przestał rzucać się w oczy.

Skręcając na autostradę do Kładna, Karłowych Warów i Chebu, która prowadziła także do Mytyny, zaczął myśleć o Aubreyu. Jemu samemu przestało grozić niespodziewane niebezpieczeństwo. Wycofał się. Dwunasta pięćdziesiąt. Jechał przez porośnięte krzakami, słabo oświetlone przemysłowe przedmieścia. Nie było tu ruchu, a w krajobrazie dominowała szarość, brudne ściany i nie odgarniany śnieg. Nie mógł pozbyć się narastającej obawy, że jest za późno. Do tej pory Babbington musiał już wiedzieć. Babbington nie zmarnuje ani chwili, nawet jednej sekundy, aby pozbyć się wodów przeciwko niemu. Hyde może przybyć, kiedy będzie za późno, żeby ocalić życie Aubreya. Jego podróż do granicy nie ma już większego znaczenia. Jest beznaoczna.

Dwunasta pięćdziesiąt dziewięć. Aubrey zostanie wysłany przed świtem. Wyruszy w swoją podróż na Wschód. Być może zostanie zabity wraz z Massingerem. Pierwsza.

Jest za późno, żeby ich ocalić.

- Gdzie oni są, Woronin?

Pytania padały bezwiednie, jakby mimo woli. Twarz Rosjanina mającyla niewyraźnie, przed chwilą bowiem Aubrey wpatrywał się w żarówkę umieszczoną nad wąską pryczą. Podniósł głowę. Rozżarzone włókno otoczone żółtobiałą aureolą zniknęło z twarzy Woronina. Błada cera zaróżowiła się z podniecenia. Woronin stał w drzwiach maleńkiej celi i patrzył na przecierającego oczy Aubreya. Jak długo Aubrey wpatrywał się w żarówkę? Obraz na siatkówce jego oczu był równie wyraźny jak przesłaniająca teraz żarówkę twarz Rosjanina...

- Przygotowuję ich do transportu na lotnisko - odpowiedział Woronin.

- W jaki sposób? - zakpił Aubrey. Gardło miał zaschnięte i ściśnięte. Przełknął ślinę. - Jak zamierzacie ich przemycić przez granicę?

Woronin potrząsnął głową.

- Jako bagaż dyplomatyczny. Nikt ich nie zobaczy. Absolutnie nikt.

- A co później? Czy ktoś ich jeszcze będzie mógł oglądać? Czy oni żyją?...

- Nikt ich już żywych nie zobaczy.

- Zabiliście ich! - Coś zmusiło go do krzyku. Nie wiedział, czy to strach, czy rozpacz.

Woronin powoli pokręcił głową.

- Do tej pory jeszcze żyją.

Aubrey poczuł, jak dławi go narastające poczucie winy.

- W jaki sposób polecać? - zapytał, odsuwając inne, gorsze myśli.

- Jako część bagażu dyplomatycznego powracającej do kraju misji handlowej.

Nie będzie z tym problemu. Nikt nie przeszukuje naszych przesyłek. - Woronin uśmiechnął się i postąpił do przodu, stając przy łóżku. Aubrey czuł się bezbronny w swojej koszuli. Stary, przytłoczony.

- Pamiętam pewien skandal w pańskiej ojczyźnie sprzed kilku lat. Kiedy prezydent USA, Carter, odwiedzał, no, co to było... aha, Newcastle... Secret Service i CIA próbowały wjechać ciężarówką z kontenerem pełnym, powiedzmy, prezentów, prosto na pas startowy i załadować go do samolotu transportowego. Nasi ludzie są znani z podobnych sztuczek. Nikt na to nie zwraca uwagi.

- Pamiętam ten incydent - odpowiedział łagodnie Aubrey. - Tak się niefortunnie złożyło, że ktoś zapomniał poinformować miejscową jednostkę policji i urząd celny, że takie rzeczy czasami się zdarzają. - Skinął ze zrozumieniem głową. Znów się skoncentrował. - To się z pewnością uda... - Spojrzał w górę na Woronina i spytał nagle: - Czy będziecie musieli ich zabić, kiedy będą już w Moskwie? Czy rzeczywiście musicie to

zrobić? - Niemal natychmiast zdał sobie sprawę, że jego pytania nie są niczym więcej niż kolejnym plastrem na jego zranioną świadomość. Przygotowywał się do konieczności życia z poczuciem winy i wiedział, że układa worki z piaskiem, chroniąc się przed spodziewaną powodzią. To będzie straszne, naprawdę straszne, stanąć wobec tego problemu, kiedy tamci zostaną już zlikwidowani. Pokręcił głową.

- Zrozumie pan - powiedział Woronin. - Zrozumie pan całkiem wyraźnie, że nic się nie da zrobić. Oni za dużo wiedzą. To pójdzie szybko i bezboleśnie.

- Och, całe szczęście - zauważył z przekąsem Aubrey, wprawiając Rosjanina w zdumienie. - A ja? Co będzie ze mną?

- Pan ma do wykonania ważne zadanie w Moskwie. - Woronin uśmiechnął się szeroko. Jego twarz była zaróżowiona. Aubrey widział teraz wyraźnie szczupłą twarz o pewnej sobie minie.

- Czy pan jest tego pewien? - spytał zaniepokojony. W jego głosie słychać było nie ukrywane przerażenie.

Rosjanin przytaknął.

- Oczywiście, że jestem.

- Jak powiedział Babbington, stanowimy dla niego zagrożenie.

Zamierzacie wykorzystać mnie, aby go zabezpieczyć. Czyż nie? - Woronin znów przytaknął. Aubrey czuł wstręt do samego siebie, ale był jakby pod działaniem pentatholu. Nie mógł kontrolować tego, co mówi. - Potrzebujecie mnie? Naprawdę, mnie potrzebujecie?

Wargi mu drżały. Obliznął je. Woronin odruchowo spojrzął na zegarek i powiedział:

- Oczywiście, sir Kenneth. Jest pan nam niezbędny. - Spotkanie skończyło się. Bez względu na to, po co ten człowiek tu przyszedł, rozmowa usatysfakcjonowała go.

- Kapustin... - zaczął Aubrey, ale nie skończył. Narkotykiem strachu stracił swoje wszechwładne działanie. Aubrey uniósł się na łóżku i podparł na łokciu. - O której wyjeżdżamy? - zapytał z udaną obojętnością.

- Jest teraz trzecia piętnaście. Wyjeżdżamy na lotnisko za trzydzieści minut. Czy życzy pan sobie przybory do golenia i gorącą wodę?

Aubrey skinął głową.

- Tak - powiedział. Zaparło mu dech. Trzydzieści minut, pomyślał. - Tak - powtórzył mocniejszym głosem.

- Dobrze. Każę je panu przynieść. - Woronin skinął głową, niemal strzelił obcasami i wyszedł z celi. Aubrey słyszał klucz obracany w zamku. Poczul, że pomimo temperatury panującej w celi pot wystąpił mu na czoło. Ręce zaczynały mu drżeć. Miał mdłości. Mdliło go jak diabli. Walczył z tym. Walczył z mdłościami. Walczył z własnym tchórzostwem, stojąc w obliczu śmierci. Siedząc tu, w obecności Woronina, był

potwornie przerażony. Tak przerażony, że wielokrotnie zbliżał się do punktu, w którym gotów był błagać, aby mu powiedziano, iż jest bezpieczny. Aby go zapewniono, że niezależnie od losu, jaki czeka Massingerów, jemu pozwolą żyć. Dzięki Bogu, że nie upadł tak nisko! Dzięki Bogu...

Wymarł ostygły już pot z czoła. Poglądził łysą głowę.

I zdecydował się.

Mocno zacisnął powieki. Zdawało mu się, że w ciemnościach widzi nadal świecące widmo żarówki. Przyszła jego zła godzina. Najgorsza godzina. Zdecydowanie najgorsza chwila jego życia, ale to tylko chwila. Tylko chwila.

Tak. Spróbuje. Jeżeli pozostawią go przy życiu choć na krótko, tylko po to, aby służył im, ich celom, wówczas podejmie próbę oporu...

Spróbuje. Stojąc przed morzem obcych twarzy w błysku fleszów i blasku światła spróbuje zasygnalizować prawdę. Spróbuje zerwać chemiczne więzy, którymi będzie skrępowany, i powie coś, co zrodzi cień podejrzeń, zmusi do poszukiwania prawdy, do zastanowienia nad fałszem całej sytuacji oraz nad każdym drobnym szczegółem, okrucieństwem, atomem prawdy! Spróbuje odzyskać, choćby na moment, odrobinę własnej osobowości.

Wprawdzie nie zdoła odwdziżyć się Massingerom za wszystko, co im jest winien, ale jego zachowanie stanowić będzie monetę, którą spłaci przynajmniej część długu.

Usłyszał kroki na korytarzu, a później zgrzyt klucza w zamku. Złożył razem dłonie, by powstrzymać ich drżenie. Kiedy drzwi się otwierały, zacisnął mocniej ręce. Para. Miska gorącej wody. Ręcznik.

Początek.

Hyde obserwował policjanta, który wyszedł z radiowozu i zmierzał wolno przez ulicę w stronę jego skody. Właśnie wykręcał numer do mieszkania sir Williama Guesta, kiedy zobaczył samochód policyjny wjeżdżający na podjazd czynnej całą dobę stacji benzynowej koło Karłowych Warów. Dotknął ręką płaszcza. Przesunął ręką po piersi upewniając się, że jest tam paczka ze szwajcarskimi frankami i pistolet. W kieszeniach miał zapasowe magazynki z amunicją, kasetę z nagraniem. „Łzę”. Mapa została w samochodzie...

Może nadal uciekać, jeśli zdoła ich oszukać. Do Mytyny pozostało mu jeszcze trzydzieści pięć mil.

Zabije ich, jeśli będzie musiał. Policjant podszedł do skody. Przetarł szybę od strony kierowcy i schylił się, zaglądając do wnętrza. Wewnątrz radiowozu Hyde dostrzegł płomyk zapalniczki. Hyde stał wciąż w budce, lekko obrócony, aby móc obserwować skodę.

Policjant wyprostował się i wrócił do radiowozu. Spokojnie. Spokojnie.

Jego kolega wysiadł, rozprostował zeszytniale stawy i podsunął pierwszemu paczkę z papierosami. Później obydwaj poszli w kierunku słabo oświetlonego kantorka, gdzie Hyde płacił za benzynę. Zmusił się do ponownego wykręcenia numeru. W chwili gdy usłyszał sygnał wywoławczy, znów skierował wzrok na obu policjantów. W słuchawce buczały przeciągłe sygnały. Nikt nie odpowiadał. Hyde spojrzął na zegarek. Trzecia pięćdziesiąt. Pomiędzy budką telefoniczną a kantorkiem obsługi nie było nic, co mogło służyć za osłonę. Idąc ku niemu, tamci będą całkowicie odsłonięci, ale też dostrzegą każdy jego ruch wewnątrz szklanego pudła. Musi czekać. Kiedy się ruszą, musi wolno, wolniutko i obojętnie iść w kierunku skody. Później odwrócić się i zabić ich. Dwa strzały. Może trzy, zanim tamci zdążą wyciągnąć broń i odpowiedzą ogniem. Szarpnął wolną ręką, jakby już się to wszystko działo. Zaczął stukać w otwór, skąd wylatywały nie połknięte monety. Lusterko.

Ależ tak. Pochylając się do otworu, będzie mógł obserwować wnętrze pomieszczenia obsługi w lusterku. Telefon wciąż buczał monotennie. Policjanci rozmawiali. Ręka jednego z nich wskazywała skodę. Kierownik stacji pokazał w stronę Hyde'a. Jeden z policjantów odwrócił się ospale i znów się rozejrzał. Popatrzył na podnoszoną do ust filiżankę.

Hyde westchnął. Lusterko zaparowało. Wytarł je z wściekłością. Nie ruszyli się z miejsca. Obaj pili razem z kierownikiem. Normalna nocna rozmowa. Zostało mało czasu.

Jedź. Telefon wciąż dzwonił. Jedź.

Mało czasu.

Wiedział, że czas się kończył. Akcja była niemal skończona. Nie potrzebowali dłużej kontrolować telefonu Guesta. Prawie skończyli to, co mieli zamiar zrobić z Aubreyem. Babbington był pewny swego.

Policjanci palili, pijąc kawę, a może herbatę. Kierownik oparł się na ladzie. Idź teraz.

Rozłączył się i zaczął ponownie wykręcać numer. Musiał wiedzieć. Za chwilę będzie musiało zginąć dwóch ludzi. On będzie musiał uciekać. Musiał się dowiedzieć. Skończył wybierać numer wiedeńskiej placówki. Usłyszał sygnał wywoławczy. Trzy sylwetki stały w zwartej grupie pod słabą żarówką w pomieszczeniu kierownika. Jest jeszcze czas.

- Tak, proszę?
- Hyde nie rozpoznał mówiącego.
- Słuchaj no - rzekł ostro. - Mówi Hyde. A ty, do diabła, kim jesteś?

- Beach - usłyszał zdumioną odpowiedź. - Czego chcesz, do cholery? Coś ci się popieprzyło w głowie, żeby tu dzwonić?

- Stul pysk i słuchaj, łachmyto - warknął Hyde. - Nie mam czasu na uprzejmości. Powiedz mi tylko, co się stało z Aubreyem.

- Mój Boże. Jego rosyjscy kumple go odbili. To się stało!

- Co?

- Dziś w nocy zginęło dwóch uczciwych chłopaków, ty sukinsynu! Dwóch uczciwych ludzi! A wszystko dlatego, że to pieprzone KGB chciało odebrać swoje klocki! Rozumiesz, Hyde? Ci kolesie przyszli tu, żeby go zabrać! Zabili przy tej okazji dwóch moich kumpli!

Chryste.

Za blisko. Już za późno.

- Posłuchaj mnie, kretynie! To nie Aubrey, to Babbington! Czy nie rozumiesz? Babbington jest człowiekiem Moskwy!

- Co? Hyde, jesteś wariatem... Babbington złapał Aubreya. Dał nam go, żebyśmy go pilnowali, a myśmy spieprzyli sprawę. Straciliśmy go. Rozumiesz? Wraca do Rosji. Niech mu tam bokiem wyjdzie ta wolność.

- Co się teraz dzieje ze starym? - jęknął Hyde do słuchawki.

Przetarł lusterko. Pałą i piją u kierownika. Odrzucili do tyłu głowy, śmieją się.

- Jest już pewnie na lotnisku - chłodno poinformował Beach.

- Zatrzymaj go w takim razie!

- Babbington pozwala mu uciec, Hyde. Twojego kumpla nikt nie tknie palcem. Tak będzie lepiej dla wszystkich. Nawet dla ciebie.

- Chryste. Czy ty mnie słyszysz? - Lusterko. Mała, ciasno stłoczona grupka odpoczywających ludzi w kantorze. Zapalili kolejnego papierosa. Miał wrażenie, że na drugim końcu linii ktoś inny przejął, może raczej wyrwał, słuchawkę.

Chwila ciszy.

- Hyde? - Hyde rozpoznał głos Wilkesa. - Tu Wilkes, Patrick. - I po chwili: - W porządku, Beach. Zajmę się tym, a ty skombinuj trochę kawy. Dobrze?

- Wilkes, gdzie jest stary?

- Gdzie ty jesteś, Hyde? - Wilkes mówił pewnym siebie, rozbawionym tonem.

- Nieważne. Mam to wszystko, Wilkes. Wszystko. Nawet jego nazwisko. Oczywiście nikt nie wymieniał w materiałach takiej płotki jak ty.

- Wszystko, mówisz? Jesteś jeszcze w Czechosłowacji? Nie wydostaniesz się stamtąd, stary. To pewne.

Lusterko!

Grupa rozdzieliła się. Jeden z dwóch policjantów stojących bliżej szklanych drzwi odwrócił się, żeby coś powiedzieć. Rękę trzymał wyciągniętą do klamki. Czas.

Nie, nie ma czasu. Wszystko skończone. Hyde zaszczekał głośno zębami, usiłując opanować wściekłość.

- Wiecie, co mam - powiedział. Był pewien, że Babbington już wie o jego bliskiej zażyłości z komputerem. Poszli tym śladem i z pewnością wytropili już do tej pory program Pietrunina.

- Nie liczysz się, Hyde. Jesteś trupem. Nie wydostaniesz się.

- Czy twój szef leci już do Londynu? Pragnie szybko wytrzeć buty na wycieraczkę Guesta i podzielić się z nim nowiną, że oddał starego jego rosyjskim przyjaciółkom?

- Leci jutro rano pierwszą klasą na Heathrow. Twój koleś Aubrey zaraz wyjeżdża. Zanim wstanie dzień, będzie w Moskwie. - Wilkes cmoknął.

Jeden policjant stał w drzwiach, a drugi wkładał czapkę, szykując się do wyjścia. Kierownik wyciągnął rękę do pożegnania. Za późno, żeby się ruszyć. Czekać, aż podej-
dą bliżej.

- A potem?

- Leci na widowisko, chłopie. Konferencja prasowa. Cała szokująca historia, ciężkie doświadczenie dla biednego, starego durnia. Nie da się tego powiedzieć o jan-
kesie i jego żonie. Ich to nie dotyczy. Znikną po przylocie.

- Dopadnę Babbingtona, Wilkes. Przysięgam. I ciebie też. Nieważne, jak długo
będę czekać, kiedy i gdzie. Dopadnę was obu.

Obaj policjanci byli przy radiowozie. Jeden, z rękami na biodrach, patrzył w stronę
budki telefonicznej. Czapkę miał zsuniętą do tyłu.

Spoglądał na skodę i znów na Hyde'a.

- Jak się pośpieszysz, to złapiesz go, zanim wsiądzie o siódmej do samolotu do
Londynu. Pamiętaj, że oczywiście ma bilet pierwszej klasy.

Będę do niego dzwonił. Czy mam mu powiedzieć, aby się ciebie spodziewał? -
Wilkes śmiał się.

Siódma. Samolot przylatuje na Heathrow o dziewiątej trzydzieści. Kiedy wolną ręką
rozłączał rozmowę, spojrzął na zegarek. Drugą ręką wciąż trzymał słuchawkę, nie
chcąc wzbudzić podejrzeń. Policjanci stali nieruchomo. Zanim Babbington przyleci do
Londynu, Aubrey będzie już w Moskwie.

Trzecia pięćdziesiąt pięć. Pięć i pół godziny. Guest powinien przylecieć z Wa-
szyngtonu wczesnym rankiem.

Lusterko.

W radiowozie uruchomiono silnik. Samochód ruszył. Objechał zatokę przy pom-
pach i zmierzał w jego stronę. Hyde wolną rękę przysunął bliżej klapy płaszcza.

Radiowóz nie zatrzymał się. Hyde poczuł, jak krawędź automatu boleśnie wbiła mu się w ramię, kiedy napięte dotąd ciało rozluźniło się pod wpływem ulgi. Tylne światła samochodu policyjnego oddalały się w kierunku Karłowych Warów. Pojazd wjechał krętą drogą na wzgórze i zniknął za jego krawędzią.

Hyde odwiesił głuchą słuchawkę i otworzył drzwi dusznej kabiny. Szybko podszedł do skody. Grzebał w kieszeni, szukając kluczyków. Upuścił je. Musiał je później wyławiać z kałuży niemal zamrożonej wody, opalizującej tęczowo plamami benzyny.

Pragnął, by aresztowano Babbingtona, w chwili gdy wysiądzie z samolotu po przylocie z Wiednia. Pragnął tego. Gdyby mógł porozmawiać z Guestem. Spróbować go przekonać.

Zanim stary zniknie. Dlaczego chcieli wystawić go na widok publiczny na konferencji prasowej? Potraktować go jak starego niedźwiedzia z zoo? To mógł być ich odwet. Wszyscy wiedzieli, że starego zabrano do Moskwy. Parę zdjęć przy wysiadaniu z samolotu zupełnie by wystarczyło.

Jednym szarpnięciem otworzył drzwi i usiadł za kierownicą. Uruchomił silnik. Przednia szyba natychmiast zaparowała. Przetarł ją, obrócił kierownicę i wyjechał ze stacji.

Aubrey musiał umrzeć. Hyde był niemal chorobliwie pewny, że tak będzie. Cokolwiek wiedział lub mówił Wilkes, KGB nie będzie ryzykować. Nie mogli dopuścić do błędu. Na zdjęciach zrobionych podczas wysiadania z samolotu Aubrey będzie wyglądał na starego, zmęczonego i chorego, a później...

Atak serca. Laurki w gazetach, w sowieckiej telewizji i w radiu. Pośmiertnie przyznają mu medal. Tak będzie bezpieczniej.

Aubrey będzie trupem, w chwili gdy wyjdzie z samolotu na lotnisku w Moskwie.

Hyde dodał gazu. Światła Karłowych Warów rozlały się w dole przed nim, kiedy zjeżdżał ze wzgórza w stronę uzdrowiska. Czwarta. Miał pięć i pół godziny. Później Aubrey będzie stracony. Bezpowrotnie.

Był zdumiewająco wdzięczny, kiedy zobaczył, że strażnik niesie małą walizkę, którą pani Grey spakowała mu błyskawicznie przed ulotnieniem się z Londynu. Był uszczęśliwiony, mogąc włożyć coś, co pasuje na niego, coś czystego i nie wygniecionego. To go umocniło w powziętym postanowieniu. Dopiero kiedy dojeżdżali do lotniska Schwechat, zdał sobie sprawę, że poprawienie jego wyglądu było częścią planu Babbingtona.

Czarna limuzyna w towarzystwie dwóch innych podobnych pojazdów oraz furgonetka z bagażami skręciły z głównej drogi prowadzącej do Wiednia i podjechały do

terminalu pasażerskiego. Zatrzymały się przed bramą do hali bagażowej i hangarów. Wyraźnie widać było, że ich oczekiwano. Funkcjonariusze przy bramie zachowywali się uprzejmie, niemal wylewnie. Aubrey patrzył, jak Woronin niedbałym gestem podaje plik dyplomatycznych paszportów i wkładek wizowych. Czuł na sobie wzrok siedzącego obok mężczyzny, a także pistolet tamtego niepotrzebnie uciskający mu żebra.

Austriacki funkcjonariusz przeszedł wzdłuż kolumny sformowanej z trzech samochodów osobowych i furgonetki. Aubrey próbował oprzeć się na fotelu, ale siedzący obok niego facet schował pistolet, po czym schwycił Aubreya mocno za ramię, zmuszając go do pozostania w wyprostowanej pozycji i zwrócenia twarzy w kierunku jasnego światła z umieszczonych nad bramą lamp. Kontroler zawahał się przez chwilę. Nie rozpoznał twarzy Aubreya. Rzucił okiem na fałszywe dokumenty dostarczone przez Woronina i odszedł. Uścisk na ramieniu zelżał. Ale niemal natychmiast poczuł dotyk lufy pistoletu.

Strażnik graniczny mógł go zapamiętać. Tak. Kenneth Aubrey lub człowiek odpowiadający jego rysopisowi był widziany na lotnisku Schwechat. Podróżował z rzadczym paszportem dyplomatycznym. Tak, tak, tak.

Spojrzał na swój garnitur, gustowny krawat i ciemny płaszcz. Zostanie zapamiętany. Tak jak zaplanowali. Ten człowiek jechał dobrowolnie w dobrze odprasowanym garniturze i czystej koszuli. Z fałszywymi dokumentami. Zejdzie ze schodków samolotu na Szeriemietewie, Domodiedowie lub Wnukowie albo jeszcze innym lotnisku, gdzie zostanie sfotografowany w tym samym odprasowanym garniturze, czystej koszuli, płaszczu i kapeluszu, w otoczeniu uśmiechniętych mężczyzn, którzy później zostaną zidentyfikowani jako członkowie grupy ratunkowej, funkcjonariusze KGB. Dowody perfidii.

Brama otworzyła się i samochody ruszyły. Jeden z kontrolerów dotknął daszka czapki w geście niby-salutu, jakby wyrażał w ten sposób zgodę na uprowadzenie Aubreya.

Samochody jechały drogą biegnącą wzdłuż rzędu ogromnych hangarów. Wystający z jednego z nich ster ogonowy oznaczony był podobnym symbolem jak emblemat z napisem wykonanym cyrylicą umieszczony nad wrotami hangaru. Aeroflot. Skręcili i jechali wzdłuż samolotu pasażerskiego Tu-134. Aubrey obejrzał się, niemal z tęsknotą popatrzył w ciemność za oświetlonym jasno hangarem. To było takie proste!

Wrota zamknęły się za nimi. Ich huk dudnił mu w głowie. Samochody podjeżdżały do miejsca postoju. Furgonetka wyminęła je i pojechała w odległy koniec hangaru. Aubrey widział kilkunastu ludzi, przeważnie w kombinezonach. Jeden był w uniformie Aeroflotu. Jakie to proste.

Wpadł w rozpacz. Spojrzał w górę na samolot. Z luków w kadłubie spoglądało na

nich z zaciekawieniem paru ludzi. Udają pasażerów? Prawdziwi dyplomaci? To nie miało znaczenia.

Kierowca otworzył drzwi i Aubreyowi kazano wysiąść. Wygramolił się powoli. Mrugał oczami w jaskrawym świetle lamp świecących z góry. Ich blask zdawał się padać przez mgiełkę kurzu. Sprawdził godzinę na zegarku, który mu zwrócono. Czwarta dwadzieścia. Co powiedział Kapustin?

Czwarta trzydzieści. O co chodziło? Dlaczego samolot był nadal w hangarze? Pokrywy silników leżały pod skrzydłami. Mężczyźni na podwyższeniu pracowali przy silniku. Coś nie w porządku z samolotem!

Woronin pośpiesznie mówił coś do mężczyzny w uniformie. Wyprowadzono Paula Massingera i jego żonę przez tylne drzwi furgonetki. Mrugali oczyma, na wpół oślepieni i przerażeni. Śledził ich reakcję, kiedy zobaczyli samolot i zrozumieli, jak blisko do odlotu, do Moskwy, do... Nie dokończył w myślach tej wyliczanki, odwrócił od nich wzrok. Ręce drżały mu w kieszeniach płaszcza. Brzęk ciężkiego klucza spadającego na metal.

Rosyjskie przekleństwo. Zwrócił wzrok ku mechanikom pracującym przy korpusie silnika.

Co się dzieje? Czy istnieje jeszcze możliwość ratunku?

Woronin odwrócił się od oficera Aeroflotu, który był prawdopodobnie pilotem, i zmierzał teraz ku Aubreyowi, wyraźnie zdenerwowany.

- Awaria silnika. Opóźnienie potrwa około godziny, może więcej - oznajmił ostrym tonem.

- Rozumiem - odpowiedział Aubrey. - Spowoduje to niewielkie kłopoty. Czy to chciał pan powiedzieć?

- Niewielka różnica. To prawda. Jak sądzę, jest mało prawdopodobne, aby sir Andrew Babbington zjawił się tu i pogratulował panu szczęśliwego zakończenia. - Woronin mówił to już bez złości. - Czy byłby pan tak uprzejmy i wsiadł do samolotu? - dodał.

- Za chwilę.

Twarz Woronina stężała. Później powiedział:

- Jak pan sobie życzy.

Aubrey poszedł w kierunku Massingerów. Rosjanin został z tyłu. Massingerowie usiedli na klapie bagażnika. Być może był to jeden z bagażników, w którym zostali przywiezieni na lotnisko? Oślepieni i cisi, trzymali się za ręce, a ich połączone dłonie spoczywały na kolanach kobiety. Wciąż miał to samo wrażenie, że to poza, którą przyjęli do jakiegoś portretu. Chcą, aby takimi ich zapamiętano, pomyślał, czując, jak gardło ścisną mu poczucie winy.

Zwolnił i odwrócił się do Woronina.

- Czy nie ma żadnej możliwości? - zapytał.

Woronin pokręcił głową. Jego oczy patrzyły lodowato. Mimo to potarł brodę, jak gdyby zastanawiał się nad tym, co jeszcze dodać. Potem w jego oczach błysnęła złośliwa satysfakcja.

- Nie ma możliwości - rzekł. - Ale nie będzie pan miał zbyt dużo czasu, aby im współczuć, sir Kenneth Aubrey.

Stojąc za Woroninem, Aubrey był świadom, że Massingerowie patrzą na nich obu. W ich oczach dostrzegł coś w rodzaju zadowolenia. Radości. Było mu przenikliwie zimno. Żałował, że nie ma laski, na której mógłby się wesprzeć. Massingerowie chcieli okazać mu przyjaźń. A on tego nienawidził.

Woronin szybko i sztywno skinął głową.

- Muszę teraz zająć się innymi sprawami. Może pan przyłączyć się do przyjaciół.

Odszedł w kierunku samolotu. Mężczyzna, który siedział obok Aubreya w samochodzie, stał w pełnej gotowości do działania. Aubrey poczuł, że oświetlona ostrym światłem ziemia zdawała się przechylać, tak jak gdyby mdlał. Było mu wciąż zimno.

Za każdym razem, kiedy dojdzie do skandalu w jego służbie, za każdym razem, gdy problemy wywiadu pojawiają się w centrum zainteresowania zachodnich środków przekazu, tamci wyświetlą kawałek filmu pokazującego, jak on schodzi ze schodów przystawionych do samolotu.

Wraca do domu, do Moskwy.

Wiedział, że wkrótce ogarnie go strach, który już go nie opuści. W tej jednak chwili zawładnęła nim niepohamowana wściekłość. Zawsze, przez najbliższe pięćdziesiąt albo sto lat, będą wyciągali na światło jego przypadek. Tak jak Burgessa, MacLeana, Philby'ego i innych. Fotografie, szczegóły, komentarze i kawałek filmu z jego przybycia do Moskwy. Błyskające lampy, cichnący szum silników lotniczych i jego blada, przestraszona twarz.

Powrót do Moskwy. Jego niemoralność.

Massinger podniósł rękę w przyjacielskim geście powitania. Aubrey pośpieszył ku Massingerom równie ochoczo jak ścigany szukający schronienia.

Rozdział XVIII

Miejsce egzekucji

Kiedy dziecko przyniosło mu talerz parującego, ostro przyprawionego, duszonego mięsa z warzywami, poczuł się pokonany, pozbawiony resztek energii i woli. Zrozumiał, że nie ma już sił, aby przekonać Langdorfa. Jego córka, mała dziewczynka o falujących włosach, szczupłej twarzy i dobrych manierach, rozbroiła go. Miała jedenaście, może dwanaście lat. Langdorf powiedział mu, że nazywa się Marthe, tak jak jej matka. Jego zegarek pozostający niemal poza zasięgiem wzroku pokazywał piątą. Nie. To wskazówka sekundowa była na dwunastce. Tak naprawdę było już wpół do szóstej. Od pół godziny siedział w mieszkaniu hydraulika i nic nie osiągnął. Langdorf odmawiał mu pomocy, mimo że co chwila spoglądał na przyciągający wzrok, leżący między nimi na obrusie stołu plik franków szwajcarskich.

Langdorf był bardzo ostrożny. Prawdopodobnie ze względu na dziecko.

- Dzisiaj jest już za późno - powtarzał. - Już za późno. Będzie prawie świt, jak do-
trzymamy do granicy. Teraz nie mogę cię zabrać. - Po drugiej czy trzeciej odmowie dodał:

- Możesz tu zostać do jutra wieczorem. Wtedy cię przeprowadzę.

Marthe stała koło stołu, obserwując uważnie Hyde'a. Kiwnęła lekko głową, aprobując propozycję Langdorfa. Stała wciąż w tej samej pozycji, czekając, aż Hyde podnie-
sie łyżkę i spróbuje gulaszu. Zaczął jeść. Gorący posiłek parzył mu gardło i powodował
łzawienie oczu. Widziana przez łzy twarz Langdorfa wydawała się dziwna i śmieszna.
Zauważył, że Marthe traktuje całą sprawę bardzo poważnie. Czuł potrzebę okazania im
swojej wdzięczności.

- Dziękuję, to wspaniale, cudownie - powiedział. Był niesamowicie głodny. Jadł
coraz szybciej. Z każdym kęsem odczuwał miłe ciepło rozchodzące się w żołądku.

Gdy tylko najadł się do syta, powtórzył:

- Musisz mnie zabrać teraz. Niezależnie od ryzyka. Muszę przedostać się przed
świtem. Postukał palcami w gruby plik banknotów, niewiele wartych. Doskonale wie-
dział, że nikt jeszcze nie zaoferował Langdorfowi tak dużej sumy za przeprowadzenie
przez granicę. - Musisz to zrobić. - Połowa pieniędzy Godwina leżała na stole. Reszta
znajdowała się w kieszeni płaszcza Hyde'a wraz z pistoletem, który mógł się przydać.

Hyde uważał, że byłoby fatalnie zmuszać swego przewodnika do przekroczenia granicy pod groźbą użycia broni. Miał nadzieję uniknąć tak drastycznego rozwiązania. Bierz forszę, głąbie, pomyślał.

Głośno spytał:

- O co chodzi? Czy pieniądze nie są dla ciebie argumentem? Zimmermann mówił mi, że forsa cię przekona.

Marthe zabrała stojący przed Hyde'em pusty talerz. Jej szczupła, blada twarz spoglądała z wyrzutem. Hyde zrozumiał, że dziewczynka zna dobrze angielski, zna również wszystkie szczegóły transakcji takich jak ta. Pewnie wielokrotnie to już wszystko widziała.

- Ona rozumie po angielsku - wyjaśnił Langdorf, zapalając fajkę i puszczając niebieski kłąb dymu w stronę sufitu. - Oplacam lekcje. To jest część jej edukacji. - Marthe uśmiechnęła się do ojca z wdzięcznością, tak przynajmniej wydawało się Hyde'owi na pierwszy rzut oka. Zauważył, że nieostrożnie wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia. - Tak - ciągnął dalej hydraulik w kapciach i wytartym wełnianym szlafroku, spod którego widoczne były grube, pasiaste spodnie piżamy. - Masz rację, pieniądze to argument - jak powiedziałeś.

Niebieskie obłoki dymu unosiły się w górę, sygnalizując zadowolenie i poczucie wyższości. Wyraz twarzy i swobodna pozycja siedzącego przy stole Langdorfa wskazywały, że nic nie jest w stanie go zdziwić lub zaskoczyć. Znając swoją wartość, nie pozwalał się obrazić i sprowokować.

Hyde słyszał dziecko zmywające naczynia w maleńkiej kuchni. Marthe nucila cicho jakąś piosenkę. W przeciwieństwie do ojca, zanim pokazała się gościowi, ubrała się i starannie uczesała. Prawdopodobnie, aby dosięgnąć zlewu, musiała na czymś stać. Hyde słyszał grzechot naczyń zmywanych w gorącej wodzie. Spojrzał na opróżnioną do połowy szklanekę ciemnego czeskiego piwa. Tylko jedno piwo, a tak mnie rozłożyło, pomyślał. Dziecko spoglądało na szklanekę z nadzieją, że zostanie szybko opróżniona i będzie ją można umyć wraz z pozostałymi naczyniami. Usłyszał szcęknięcie łyżki uderzającej o metalową suszarkę.

Piąta trzydzieści. Minęły cztery godziny, a on nadal był po tej stronie granicy, na terytorium wroga.

Może stary już odleciał do Moskwy?

Twarcz Langdorfa nadal wyrażała zadowolenie. Hyde czuł, że za chwilę nie będzie w stanie przewyciężyć znużenia. Za kilka minut położy się do łóżka i prześpi cały jutrzejszy dzień.

Schliemann. Starał się doprowadzić do przytomności, przywołując słowo, które pobudzało jego pamięć. Tak jak uczono go na treningach. To słowo-wytrych używane

było zawsze w trakcie szkoleń, prowadzonych aż do zupełnego wyczerpania albo jeszcze dłużej. Klasyczne przykłady słownych skojarzeń. Schliemann, odkrywca ruin Troi. Kiedy jesteś skrajnie wyczerpany i gotów do rezygnacji, nie pragnąc niczego więcej niż snu, a każdy kawałek twojego ciała bólem domaga się odpoczynku... Sen jest ostatnią drogą ucieczki. Tak mu mówili. Najgorszy wybór, jakiego możesz dokonać, to zasnąć. Bądź jak Schliemann. Zagłębiaj się w siebie, przekopuj przez kolejne poziomy, aż znajdziesz potrzebne ci rezerwy sił.

Z ilu poziomów składały się ruiny Troi, miasta powstającego przez tysiące lat na własnych gruzach? Siedemnastu, osiemnastu, trzydziestu - nieskończoności...

Stosuj zasadę Schliemanna. Nigdy się nie poddawaj. On się nie poddał. Zawsze istnieje coś w głębi ciebie, co będziesz mógł wykorzystać. Schliemann to słowo-symbol, hasło. Wyzwól się, nie zasypiaj, zacznij robić cokolwiek. Westchnął głośno, unosząc głowę wspartą na splecionych ramionach.

Langdorf obserwował go poprzez kłęby dymu. Z kuchni dochodził brzęk wycieranych naczyń. Marthe będzie dobrą gospodynią.

Hyde zapadł w drzemkę, niemal usnął. Schliemann. Kop, kop. Zastosuj jakiegokolwiek środek, żeby nie zasnąć. Rozmawiaj z ludźmi, zezłość się, obraź, dobież środkiem, jakie będą ci najlepiej służyć.

- Kim chcesz, żeby została? - spytał wskazując głową kuchnię. - Miss świata?

Oparty o stół, przyglądał się Langdorfowi. Hydraulik wyjął fajkę z ust. Jego pełne wargi skrzywiły się ze złości. Zmrużył oczy i zmarszczył siwe brwi.

- Co mówisz? - zapytał zerkając niespokojnie w stronę kuchni. Pokój, tak jak pozostała widoczna część mieszkania, był szary, podobny do betonowego bloku, w którym się znajdował. Kafłowy kominek z gazowym ogrzewaniem, cienki dywan, skromne meble. Pomimo to Langdorf prawdopodobnie był najbogatszym mieszkańcem wieżowca.

Wszystko dla dziecka.

- Pytałem, po co ci pieniądze.

Wykorzystuj, co się da, mówili na szkoleniach. Schliemann. Kop do skutku.

Hyde rozdrażniony i zmęczony, lecz mimo to czujny. Niespodziewanie podniósł mu się znacznie poziom adrenaliny. Nie zastanawiał się, ile to go będzie kosztować, potrzebował współpracy Langdorfa. Musiał przekroczyć granicę.

Schliemann.

- Dla niej - przyznał Langdorf po chwili milczenia. Dym z fajki doskonale maskował wyraz jego twarzy.

- Czego chcesz dla niej? - ciągnął dalej Hyde.

Dziewczynka weszła do pokoju. Marthe wiedziała, że rozmawiali o niej, niepewnie zatrzymała się przy drzwiach, wycierając ręce w swój mały fartuszek. Langdorf zauważył jej obecność. Hyde, wykorzystując sytuację, pochylił się lekko i szepnął:

- Czego dla niej chcesz? Na co potrzebujesz pieniędzy, Langdorf?

- Ona w końcu wyjedzie na Zachód - wycedził Langdorf. - Tam mieszkają moi dalecy krewni, w Republice Federalnej. Jeśli będzie miała dość pieniędzy, to pojedzie. Pieniądze, wykształcenie, inteligencja - Marthe musi wyjechać. Wyjedzie.

- Czy to twój słaby punkt, Langdorf? Ile na to potrzebujesz? Ile już masz? Czego chcesz? - pytał Hyde, szeroko uśmiechając się do zakłopotanego hydraulika. Był poruszony. Kop do skutku. - Ja też czegoś chcę, ale ty chcesz jeszcze więcej. Ile? Ile? - nalegał.

Oczy Langdorfa wyrażały nienawiść. Dostrzegł cynizm Hyde'a. Żadnego z nich nie poruszało, absolutnie nic. Już kiedy Langdorf otwierał Hyde'owi drzwi, zorientował się, że ma do czynienia z profesjonalistą, którego nic nie rusza.

Hyde, widząc obawę i wahanie w oczach Langdorfa, powiedział:

- Zejđź na ziemię, niemiecki hydrauliku. Podpowiedz mi. Powiedz, ile chcesz. - Spojrzał na Marthe, która przyglądała się obu mężczyznom. - Nie chcę ci opowiadać, przez co przeszedłem, Langdorf. Nie powinno cię to interesować. Każdy wie, że najważniejsze są dla ciebie pieniądze. Nie chodzi o wolność, przyszłość czy cokolwiek innego poza twoim interesem. Więc ile?

Langdorf był bez szans, a Hyde ciągnął dalej:

- Czego ona będzie potrzebowała na Zachodzie? Ile? Na pewno dużo. Jak się tam dostanie? Nie chcesz, żeby Marthe... - Oczy dziewczynki rozbłyły na dźwięk imienia, a twarz wyrażała wysiłek, z jakim próbowała zrozumieć szybką angielszczyznę Hyde'a. - ...skończyła jako maszynistka w nędznym biurze? Może chcesz? Jak sobie poradzi? A jeśli będzie musiała leczyć zęby? Albo coś zrobić z cyckami, jak jej urosną? Może też trzeba je będzie poprawić. A ubrania? Ubrania na Zachodzie kosztują grubą forszę, Langdorf, nawet jeśli je kupujesz w pierwszym lepszym sklepie! - Hyde wstał i oparł się o stół, aż mu pobieleały kostki dłoni. Patrzył z góry na hydraulika. Nie nabita ponownie fajka niemal wygasła. - Jeśli ma mieć dobry start życiowy, będzie potrzebować bardzo dużo. Czy nie zdajesz sobie z tego sprawy, Langdorf? - Nachylił się jeszcze niżej. Czuł krople potu na czole. Kop.

Miał Langdorfa w garści. Już go miał. Pokonał kolejny szczebel na drabinie dzielącej go od Babbingtona.

Miał go.

- Czy zdajesz sobie z tego sprawę? - zasyczał. - Ona będzie potrzebowała wszystkiego, co możesz jej dać, i jeszcze więcej. Więcej. Rozumiesz. Chcesz tego? Jeśli tak,

idź, wyjmij wszystko z kieszeni mojego płaszcza, będziesz miał na zabezpieczenie przyszłości swojej córki!

Niezadowolenie Langdorfa i jego nienawiść do Hyde'a były wyraźnie widoczne. Wyglądał, jakby nagle się postarzał, a może jak ktoś raptownie wyrwany ze snu. Włosy miał rozczochrane, oczy zapuchnięte i podsiniałe. Twarz zmarszczyła mu się i poszarzała. Hyde spojrział na pobladłą dziewczynkę i jej spocone ze strachu ręce. Na kominu stała fotografia kobiety, zapewne jej matki. Miała szczupłą twarz, uczesane z przedziałkiem, związane z tyłu blond włosy. Osłepiona słońcem, mrużyła oczy, śmiejąc się do aparatu.

Hyde czuł, że zabrnął w sytuację bez wyjścia. Zepsuł wszystko. Tylko on był tu naprawdę cyniczny. Potrząsnął głową i wszystko minęło. Mam cztery godziny, aby dotrzeć do Babbingtona, zanim będzie za późno dla starego. Do starego? Być może już jest za późno.

Langdorf odłożył fajkę i wstał. Marthe podeszła natychmiast, chwyciła go za rękę. Szorstka dłoń ojca ścisnęła jej cienkie palce. Brud za jego paznokciami kontrastował z białą skórą ręki dziecka. Po chwili Langdorf sięgnął po płaszcz Hyde'a.

- Jest tam też pistolet - zauważył Hyde siadając. Langdorf udawał, że nie słyszy, lecz Hyde zobaczył, że drgnęła mu ręka, gdy trafił na rękojeść pistoletu. Za chwilę wyciągnął plik podniszczonych banknotów i zaczął je liczyć, przerzucając pieniądze brudnym od fajki kciukiem. Marthe stała, niepewna i oszołomiona.

Langdorf spojrział na Hyde'a i powiedział:

- Myślę, że to jest cudza forsa na czarną godzinę. Nie twoja.
- Właściciel nie będzie jej potrzebował - stwierdził Hyde.
- Marthe, schowaj pieniądze - polecił Langdorf, zgarniając banknoty ze stołu i zakładając na nie elastyczną opaskę. Podał jej dziewczynce, a ta zabrała je bez słowa i wyszła z pokoju. Langdorf poszedł za nią, zapalając światło w wąskim korytarzu. Hyde, zaskoczony własną ciekawością, ruszył za nimi. W swoim pokoju Marthe upchnęła pieniądze do metalowej puszkę leżącej w dolnej szufladzie komody. Pokój miał różowe ściany i klosze lamp. Wygląd sypialni wyraźnie kontrastował z pozostałą częścią mieszkania. Na małym łóżku przykrytym kolorową kapą leżało po obu stronach poduszki kilka miękkich, dziecięcych zabawek. Czekały na Marthe. Stał tu też japoński magnetofon kasetowy oraz mały zachodniemiecki telewizor. Langdorf obejrzał się i zobaczył Hyde'a. Początkowo był rozgniewany, jak człowiek zaskoczony i podglądany przez intruza. Rozejrzał się jednak po pokoju córki i rozluźnił się. Coś powodowało, że pragnął ujrzeć Hyde'a podziwiającego ten pokój i wyrażającego swoją aprobatę. Hyde skinął głową, próbując się uśmiechnąć. Rozumiał marzenia Langdorfa. Dziecko było już rozpieszczone czy też przygotowywane do życia na Zachodzie. Hyde zobaczył

nowy, duży, drogi wózek dla lalek, półkę z zabawkami i pamiątkami z różnych krajów, chomika w klatce i złote rybki w ogrzewanym i podświetlonym akwarium. Marthe zamknęła szufladę, uśmiechając się nerwowo do ojca. Przez chwilę wyglądała, jakby czuła się współwinna.

- Idź spać, Marthe. Poproś sąsiadkę z dołu, aby cię jutro rano zabrała do szkoły razem ze swoimi synami, dobrze? Powiedz jej, że musiałem wyjść w związku z pilną pracą. - Marthe skinęła głową. - Bądź grzeczna, pamiętaj podziękować. Nie spóźnij się - upomniał Langdorf.

Pocałował córkę. Hyde zobaczył ramiona dziecka obejmujące szyję ojca. Wrócił do pokoju. Znowu poczuł się tu intruzem, narastało w nim napięcie. Spóźnienie coraz bardziej go denerwowało.

Podniósł wzrok, kiedy Langdorf wrócił do pokoju. Wydawał się spokojny i zadowolony. Jego twarz jakby odmłodziła i nie widać było na niej zmęczenia. Wziął fajkę ze stołu, zapalił i wypuścił kłęb dymu. Hyde poczuł ulgę. Zobaczył twarz człowieka interesu, który już się nie wahał.

Langdorf wyjął fajkę z ust i powiedział:

- Po skończeniu szkoły moja córka pojedzie na Zachód. Mam jeszcze jakieś pięć, sześć lat czasu. Będzie bogata, kiedy ją przeprowadzę przez granicę.

- I to jest twój cel?

- Tak - potwierdził Langdorf. - Właśnie to. O to mi chodzi. Miałeś tyle pieniędzy, że nie mogłem ci odmówić. To wszystko.

- Możesz przejść w każdej chwili. Możesz znaleźć pracę.

Langdorf pokręcił głową. Wypuścił obłok dymu.

- To nie dla mnie - wymamrotał. - Mimo że nie poruszył głową, coś w tonie jego głosu skierowało uwagę Hyde'a na oprawioną w ramki fotografię na kominku między dwoma tanimi statuetkami, stojącymi prosto jak świece przy obrazie. - Ja się tam nie wybieram.

- Chryste, nie powiesz, że ci się tu podoba!

Langdorf wzruszył ramionami. Zaczął rozkładać mapę przyniesioną z pokoju Marthe. Wyglądził ją jak świeży obrus na stole.

- To nie ma żadnego znaczenia. Nie stwarzam kłopotów i sam ich nie mam. Oni nie wiedzą, co ja robię. Wiem, że mogę być za to rozstrzelany. Jednak z drugiej strony... - Spojrzał w górę, fajka stuknęła o zęby. Okazał się inteligentny, kompetentny i niemal zabawny, przejmując pełną kontrolę nad sytuacją. - Komunizm, kapitalizm, wolność - kogo to obchodzi? System nie ma znaczenia, jeśli cena jest w porządku. Widzisz, jestem cynikiem. - Spojrzał na zegarek.

- Nie całkiem - odpowiedział Hyde.

- Przeszedłbym na tamtą stronę, gdyby cała trójka mogła przejść. Ale teraz nie pasuję do tamtego świata. Moja rodzina jest tu od pokoleń, dłużej niż partia! Marthe przejdzie sama. Bogata, młoda kobieta. Wtedy skończę z tą robotą. Nikt za nic na świecie nie zmusi mnie więcej do kontynuowania tego zajęcia.

Ustnikiem fajki pokazywał punkty na mapie. Granica wiała się z północy na południe poprzez ciemniejsze pola oznaczające góry i las.

- Mógłbym szmuglować papierosy, wyroby elektroniczne lub najlepszy gatunek podpasek. Ale ludzie tacy jak ty, profesjonalści, płacą lepiej.

- Nie pomagasz dysydemtom? Sygnatariuszom Karty 77?

- Tylko wtedy, jeśli są w stanie zapłacić, wtedy tak, lecz zawsze niechętnie. Oni mówią za dużo. Zrozum, że wielu z nich to marksściści, są przeciwni prywatyzacji przedsiębiorstw, jak wy to nazywacie. Jeśli pomagałbym im regularnie, staliby w kolejce przed moimi drzwiami. Każdy ze swoją rzewną historyjką i zbyt małą sumą pieniędzy. Nie, tylko nie oni, przynajmniej dopóki mój interes idzie jako tako. - Ponownie stuknął ustnikiem w mapę. - Teraz uważaj. Mamy najwyżej dwie godziny, jeśli chcemy bezpiecznie przeprowadzić akcję. Tutaj jest Mytina. Pojedziemy samochodem do tych wzgórz, tutaj, do miejsca, gdzie kończy się ta droga w pobliżu granicy. Tam są druty, nie ma dużo wież obserwacyjnych, lecz są psy, a od czasu do czasu przelatuje helikopter. Druty biegą wzdłuż rzeki, o, tutaj... Rozumiesz? - Hyde potwierdził kiwnięciem głowy. - Ta rzeka ma bardzo szybki prąd. Jest to miejsce rzadko używane przy przekraczaniu granicy. Robią to tylko ci, którzy dobrze znają teren. Twoi biedni dysydenci z Pragi, Brna i Pilzna nie dotarliby tutaj. Oni nie mogą zdobyć map ani zdjęć tego terenu, które by im pomogły! - Langdorf zaśmiał się. - Pan profesor Zimmermann wie o tym przejściu. Będzie tutaj, w pobliżu drogi do Waldsassen. - Langdorf wstał. - Przystudiuj mapę i te zdjęcia... - Rzucił plik kolorowych zdjęć Hyde'owi. - Zrobiłem je japońskim aparatem, który kupiłem dla córki. Zapoznaj się z terenem. Pójdę się ubrać. Musimy jak najszybciej wyjść, jeszcze zanim zacznie świtać.

Tupolewa 134 ustawiono na pasach do kołowania i przygotowywano do startu. Babbington oddał lornetkę Wilkesowi stojącemu obok niego w górnym holu Schwechat. Dwóch funkcjonariuszy SIS z personelu wiedeńskiej placówki stało po obu stronach w odległości kilku jardów. Oficerowie wiedeńskiej policji kręcili się w pobliżu, również czekając na odlot samolotu.

Babbington spojrział na zegarek. Szósta dziesiąta. Silnik już został naprawiony. Babbington przypomniał sobie szok, jakiego doznał, wjeżdżając na Schwechat, kiedy

zobaczył przez to właśnie okno ogon radzieckiego samolotu, wciąż wystający z hangaru Aeroflotu. I te policyjne samochody, oświetlające go reflektorami, i otwarte wrota hangaru... Jakieś dyskusje między wiedeńską policją i obsługą lotniska oraz łatwa do rozpoznania sylwetka Woronina na oświetlonej płycie lotniska. Ostatecznie policja ustąpiła. Samolot miał status dyplomatyczny i znajdował się na terytorium sowieckim. Policja stała bezczynnie, manifestując swoją bezradność. Starszy oficer zameldował Babbingtonowi, że Aubrey został rozpoznany, kiedy przyjechał limuzyną z sowieckiej ambasady. Podróżował z fałszywymi dokumentami. Na pewno był w samolocie. Babbington słuchając meldunku okazywał więcej złości niż aprobaty.

Patrząc na wciąż stojący samolot, nadal odczuwał napięcie równie silne jak na początku. Teraz to, co miał przed oczyma, zawierało wszystkie niezbędne elementy inscenizacji. Grupa ludzi wyglądała, jakby pozowała malarzowi do portretu, wyrażała zarówno nastroj ogólnego niezadowolenia, jak i ulgi. Światła na końcach skrzydeł i kadłubie zaczęły błyskać. Samolot przejechał wzdłuż oszklonej ściany górnego holu pasażerskiego. Stojący na polu startowym samolot British Airways odlatujący na Heathrow czekał na swój ładunek - na biznesmenów. Gdy tylko samolot Aeroflotu wystartuje, Babbington będzie mógł wsiąść do tridenty. Jedynie uporczywa myśl o Hyde mąciła jego zadowolenie i pewność siebie. Hyde. Znał obszerny raport, który otrzymał z ambasady sowieckiej, opisujący wydarzenia w Pradze. Hyde włamał się do pamięci komputerów w moskiewskiej Centrali, docierając do tajnego zbioru informacji ukrytego przez Pietrunina w bazie danych. Zakodowane informacje zawierały obciążające dokumenty i fotografie do wykorzystania w przyszłości. Hyde miał wszystko, nawet jego nazwisko. Trzeba go zatrzymać. Jak, gdzie? Zidentyfikowali go, kiedy przedostał się do Czechosłowacji przez Bratysławę, mając wizę turystyczną. Teraz będą na niego czekali. Chociaż Hyde jest zbyt sprytny, aby iść tą samą trasą. Musi być jednak zatrzymany. Stanowi teraz jedyne zagrożenie.

Tupolew obrócił się ogonem w stronę okien dworca, oddalając się od nich w kierunku pasa startowego. Światła samolotu mrugnęły na pożegnanie. Babbington nie był w pełni usatysfakcjonowany. Właśnie ten moment odlotu powinien być punktem kulminacyjnym, podsumowaniem i finałem.

Tupolew skręcił ponownie, ukazując całą swoją sylwetkę, i zatrzymał się na początku pasa startowego. Kenneth Aubrey odlatywał na Wschód. Aubrey był jego talizmanem, chronił go, był gwarancją przyszłości.

- Wilkes - warknął Babbington.

- Tak? - Babbington spojrzał na niego. - Tak, sir? - powtórzył Wilkes mniej poufale tonem.

- Chodź ze mną. - Babbington wyprzedził Wilkesa o blisko dziesięć jardów, zanim odwrócił się i powiedział: - Musisz zgarnąć Hyde'a i wyeliminować go. On tu teraz nie wróci, bo wie, że Aubrey jest w drodze do Moskwy. Będzie jednak próbował uciec z tym, co posiada. Jesteś pewien, że Godwin już nic więcej nie wie?

Wilkes kiwnął głową. Rozmawiali właściwie szeptem, mimo że nikt ich nie podsłuchiwał.

- Oni znają swoją robotę. Powiedział im wszystko, co wiedział. Nie zna planów Hyde'a, z wyjątkiem tych dotyczących Bratysławy. Nie wie nic poza tym, że Hyde wiąże swoje nadzieje z Guestem.

- Guest jest jedyną osobą, która ma dość władzy, aby zrobić wszystko, z wyjątkiem wzbudzania wątpliwości. Podejrzenie może wzbudzić każdy, nawet Hyde, jeśli dotrze do jakiegoś szmatławca lub stacji TV, która będzie chciała go wysłuchać. Gdziekolwiek na świecie. Trzeba go powstrzymać. I - dodał lekceważąco Babbington - poprosz swoich przyjaciół w Pradze, aby pozbyli się Godwina. Nie wolno dopuścić, aby wystąpił publicznie.

- To nie trudnego. Hyde sprawi więcej kłopotu, sir.

Tupolew wyglądał jak pies trzymany na smyczy. Po chwili hamulce zostały zwolnione i samolot ruszył po betonowym pasie lotniska, nabierając szybkości. Aeroflot. Aubrey był bezpieczny. Babbington odetchnął z ulgą.

- Co z Zimmermannem? - spytał Babbington. - Czy sprawdzili go?

- Stale sprawdzamy. Nie pojawił się w Bonn, lecz znajdziemy go, proszę się nie martwić.

- Hyde mógł pojechać do niego, tak, mógł to zrobić. Jak tylko zlokalizujesz Zimmermanna, poddaj go ścisłej obserwacji. Hyde może się tam pojawić.

- Tak jest.

Tupolew osiągnął szybkość startową. Babbington bacznie go obserwował. Kolorowe światła pozycyjne rozproszyły się z chwilą, gdy kadłub maszyny oderwał się od betonu. Dziób w górę, wyżej, wystrzelił w powietrze.

Samolot wznosił się ku niebu. Huk silników stopniowo zanikał. Aubrey odleciał.

- Wszystko zależy od ciebie, Wilkes. - W tonie Babbingtona wyczuwało się groźbę. - Liczę na twoją współpracę z naszymi przyjaciółmi. Znajdź Zimmermanna, przede wszystkim zaś znajdź Hyde'a. Tymczasem ja zajmę się Guestem. Kiedy skończę - będzie w pełni zadowolony. - Uśmiechnął się nagle, spoglądając na samolot British Airways. Pasażerowie wysypali się z terminalu, kierując się w stronę samolotu. Ciągnik z bagażami podjechał pod drzwi luku bagażowego. Zapach parzonej kawy dochodził z baru w holu pasażerskim. Jeszcze tylko kilka małych, ostrożnych kroków... i

koniec chodzenia po linii, będzie bezpieczny. - Tak - mruknął Babbington. - Szybkie pozbycie się Aubreya razem z Massingerami jest najbezpieczniejszym krokiem. - Wzruszył ramionami. - Tak długo, dopóki możemy kontrolować Hyde'a. - Odwrócił się jeszcze raz do Wilkesa. - Pozbaw Hyde'a spokoju wewnętrznego, Wilkes. Jeszcze dzisiaj.

- Stąd ruszamy pieszo - powiedział Langdorf, odwracając się zza kierownicy.

Hyde wyciągnął zmęczone, zeszytywniałe i niezdolne do marszu nogi. Podróż w tyle brudnego, śmierdzącego olejem i załadowanego narzędziami furgonu hydraulika była bardzo niewygodna. Górską jazdą po wertepach wybiła go ze snu, którego bardzo potrzebował.

Hyde kaszlnął.

- Dobrze się czujesz? - spytał Langdorf.

- Wspaniale. - Hyde otworzył tylne drzwi i wyskoczył z samochodu. Zapach sosen unosił się w zimnym, wilgotnym powietrzu. Mgła osiadająca przy ziemi pokryła mu twarz i ręce. Była trochę rzadsza poniżej gęstych drzew. Langdorf zamknął drzwi furgonetki. Zaparkował ją w głębi, pod drzewami. Przejazd po grubym dywanie snowowych igieł i cienkiej warstwie śniegu pozostawił słaby ślad kół. Samochód był zaparkowany na tyle daleko od traktu, aby nie rzucać się w oczy.

Langdorf oświetlił twarz Hyde'a latarką i natychmiast ją zgasił. Odetchnął głęboko.

- W porządku. Idziemy.

Skreślił w kierunku drzew i od razu zaczął się wspinać. Szedł pewnie i bez wahania dobrze znaną trasą. Hyde, zgarbiony w swoim płaszczu, ruszył za nim. Ogarnęła go ostra, lodowata wilgoć, która osiadała, skraplając się na jego barkach i włosach. Gałęzie łamały się i trzeszczały pod śniegiem. Szedł ostrożnie po śladach hydraulika. Miał ciężką głowę i zamglony wzrok. Tylko ruch nie pozwalał mu zasnąć. Marzył o spaniu. Nie spał porządnie od ponad trzydziestu godzin.

Miał dreszcze. Potknął się i rąbnął jak długi na ziemię. Kostki, kostki! Ostrzegął siebie samego, czołgając się na łokciach, aby ochronić przed zwichnięciem dłonie i przeguby rąk.

- Co jest? - usłyszał szept Langdorfa, nim zdążył się podnieść. Latarka błysnęła i zgasła. W nowej, głębszej ciemności usłyszał Langdorfa mówiącego:

- Nie wolno ci zasypiać. Musisz się starać zachować przytomność.

Hyde podniósł się na kolana. Langdorf podtrzymywał go za łokieć, dopóki nie stanął o własnych siłach.

- Przepraszam.
- Chodź. Przed nami długa wspinaczka. Około pół godziny. Wkrótce zaczniesz świtać. Już niedługo.

- Tak, wiem! - odparł zgryźliwie Hyde. - Już w porządku. Ruszajmy.

Powróciła mu zdolność orientacji w ciemności. Zobaczył, że Langdorf wzrusza ramionami, odwraca się i znów zaczyna wspinaczkę. Hyde stąpał ciężko i ostrożnie po jego śladach. Drzewa nad nim, pokryte ciężkim śniegiem, wyglądały jak niskie, białe chmury.

Czas płynął i rozpląwał się jak mgła. Hyde próbował liczyć kroki, lecz ciągle gubił kolejność. Z Pietruninem zawsze potrafił policzyć i zapamiętać wszystkie kroki, nawet gdy niósł na plecach umierającego człowieka. Lecz nie tutaj. Skostniała ręka wyczuł kształt kasety w kieszeni płaszcza. Drugą ręką sprawdził, czy pistolet tkwi na swoim miejscu. Ciężko oddychał. Czasami wpadał na Langdorfa, zderzając się z nim, gdy ten przystawał, aby zerknąć na swój odręczny szkic, lub nasłuchiwał podejrzanych dźwięków. Langdorf był zniecierpliwiony, lecz jeszcze niczego się nie obawiał. Przyjmując zlecenie i uzgadniając cenę, okazał się większym profesjonalistą niż Hyde.

Hyde wracał myślami do opowiadania Langdorfa, kiedy przejeżdżali przez miasteczko i wieś. Dużo patrolujących samochodów... raz helikopter nad nimi... rogatka drogowa, która od razu rozpoznała furgon i ułatwiła mu przejazd. Czas upływał. Wiadoczną była zwiększona aktywność, dużo większa niż zwykle. Nie zatrzymywali hydraulika, z wyjątkiem tej jednej rogatki. Policjanci na motocyklach i patrole samochodowe zauważyli napis na furgonie.

- To są przywileje wynikające z pracy dla członków partii - skomentował wesoło Langdorf, podczas gdy kolejny samochód wyminął ich, jadąc szybko krętą, wąską drogą. - Jeśli chcą mieć niemieckie wyposażenie łazienki, szwajcarskie podwójne zlewozmywaki, trzeba im to zrobić szybko i dobrze! Nie zatrudniają do tego legalnie hydraulika, wielu innych biednych sukinsynów ich obsługuje. Potrzebują takich jak ja. Ja jeżdżę wszędzie - Marienbad, Karlowe Wary, Cheb... Pozwalają mi być kapitalistą. Pracować dla siebie - prywatne przedsiębiorstwo - rozumiesz?

Hyde ocknął się, stanął na pniu sosny, patrząc na oddalające się plecy Langdorfa. Widział tylko niewyraźny cień człowieka. Spojrzał na fosforyzowaną tarczę zegarka. Siódma dwadzieścia. Czas uciekał. Kończył się. Hyde stąpał z trudem.

„Jeśli nawet pracuję dla STB, policji, funkcjonariuszy partyjnych, ich kochanek, żon, wojska, sportowców, całej tej śmietanki - przypomniał sobie Hyde słowa Langdorfa - uważają, że jestem zwykłym kanciarzem. W rzeczywistości jestem zupełnie inny. Pracuję cały dzień poza godzinami...”

- Cicho! - syknął Langdorf. Początkowo Hyde pomyślał, że hydraulik mówi do siebie, lecz ręka mężczyzny zmusiła go do opuszczenia się na kolana koło pnia sosny.

- Co się dzieje?

- Słyszałem coś, posłuchaj też! - Hyde skupił się, powstrzymując senność. Przykucnął za Langdorfem. Ręka trzymająca jego ramię drżała i drżenie to przenosiło się na Hyde'a. Pobladła twarz hydraulika stopniowo nabierała ludzkich cech. Jego kombinizon stawał się bardzo widoczny.

- Jak daleko? - zaczął Hyde.

- Ssz... - syknął Langdorf.

Trzask? Szuranie po igliwiu? Hyde z trudem próbował rozpoznać dźwięki. Prawie nic nie widział, słuch miał przytępiony, jakby był pod wodą. Cień? Hałas?

Słyszeli trzask spadającej na śnieg gałązki. Cichy dźwięk metalu uderzającego o metal. Potem oddalone, przytłumione światło latarki. Hyde drżał z zimna i wysiłku, aby utrzymać ciało w bezruchu. Langdorf był skurczony i napięty jak sprężyna.

Czterooosobowy uzbrojony w karabiny patrol. Każdy z mężczyzn niósł mały plecak. Patrol zbliżył się. Żołnierze, jeden po drugim, przekraczali ścieżkę, którą szedł Hyde z Langdorfem. Hyde rozpoznał mundury straży granicznej. Przeszli obok w odległości około dziesięciu jardów i oddalali się powoli, wypełniając swą codzienną służbę i czekając na świt, który ułatwi im pracę.

Kiedy przeszli, Hyde zapytał:

- Czy mogą znaleźć furgonetkę?

Langdorf pokręcił głową.

- Nie, to mało prawdopodobne, jeśli się pośpieszymy.

- Dlaczego tu są? Czy coś wiedzą?

- Nie wiem... - zaczął hydraulik.

- Ale podejrzewasz?

Langdorf skinął głową.

- Z jakichś powodów bardzo dzisiaj pilnują tej części granicy. To nie jest normalne. - Było zbyt ciemno, aby dostrzec jakąś zmianę w jego twarzy. - Nienormalne - powtórzył. Potem wstał. - Chodź, musimy się śpieszyć.

Hyde dźwignął się na nogi. Zmęczenie ustąpiło, choć bolały go oczy, czuł drżenie i napięcie w całym ciele. Pośpieszył za Langdorfem. Teren był mniej stromy. Zmurszałe sosny wystawały spod śniegu. Pnie drzew były cieńsze, a drzewa rosły rzadziej. Wilgotne, ciężkie chmury zdawały się podnosić w górę. Może to była tylko mgła.

Po dziesięciu minutach Langdorf zmusił go do zatrzymania. Byli na krańcu lasu.

Ich kręta trasa wydawała się ciągle wic ku górze, teraz jednak znajdowali się na skraju lekko opadającej łąki. Ukazał się alpejski krajobraz. Drzewa otaczały polanę ze wszystkich stron. Wieża obserwacyjna, przeznaczona na pewno nie dla ornitologów, widoczna była na przeciwległym skraju polany. Przed nią wynurzał się spośród drzew pokryty śniegiem szczyt góry. Polana była upiornie biała. Znajdowały się na niej odcięte od świata przez zasypane śnieżne chaty i zabudowania gospodarskie. W śnieżnej ciszy dało się słyszeć wyraźne parsknięcie jakiegoś zwierzęcia. Z oddali dobiegł dźwięk uruchamianego silnika. Na wieży strażniczej widoczne były światła, lecz reflektor nie przeczesywał terenu.

- Druty graniczne biegną wzdłuż strumienia po drugiej stronie polany - wyjaśnił Langdorf. - Musimy iść wzdłuż linii drzew. Strumień płynie wąskim korytem. Druty są po tej stronie brzegu. Strumień zaraz skręca na zachód i płynie już na terenie Republiki Federalnej. Tam nie ma drutów. Chodź.

Szybko i ostrożnie przeszli skrajem łąki. Po jakichś sześciu, siedmiu minutach, już bez pomocy szkicu, Langdorf odnalazł wąską ścieżkę, prawdopodobnie wydeptaną przez jelenie. Ponaglił Hyde'a. Łąka została za nimi. Zbocze było łagodniejsze. Teren stawał się skalisty. Podkute gwoździemi buty Langdorfa stukwały gdzieś przed Hyde'm.

Las skończył się i Hyde usłyszał szum wody. Kamyki i odłamki skał staczały się do spienionego wąskiego strumienia, który porывał je i toczył wzdłuż koryta. Kamyki były lekkie i zdradzieckie. Widać było wierzchołek wieży obserwacyjnej. Wzdłuż czeskiego brzegu strumienia zauważyli biegnące druty.

- Czy tu jest głęboko? - zapytał Hyde.
- Tutaj nie. Możesz przejść w bród. Ale musisz uważać, bo prąd jest silny.

Wieża obserwacyjna wyglądała jak stacja wyciągu na tle jaśniejącego nieba. Płachty śniegu leżały między skałami i kamieniami. Śnieg przysłaniał zwoje drutu.

- Czy muszę przeciąć drut? - spytał Hyde.
- Nie. Możesz się prześlizgnąć pod nim. Dokładnie przed tobą zapory są w złym stanie technicznym.

- Czy jest pod napięciem? Są tu miny?

- Nic z tych rzeczy. To nędzna granica - Langdorf zaśmiał się, lecz w jego głosie i oddechu słychać było wzrastające zdenerwowanie. Chciał już odejść. - Oni polegają na patrolach z psami i wieży obserwacyjnej.

Nie było wiatru. Żadnych oznak ruchu wśród drzew lub sterczących skał, tylko szum strumienia i zagłuszający go, coraz głośniejszy odgłos helikoptera. Hyde czekał.

Helikopter pojawił się na horyzoncie niczym czarny owad, lecący w kierunku północnym ponad dwieście stóp nad ziemią, wzdłuż strumienia. Wieża nadała sygnał pulsującym światłem. Stopniowo szum śmigłowca zanikał.

- Teraz musisz iść - ponaglił go Langdorf. - Przejdź tutaj, potem idź wzdłuż strumienia. Do tej drogi. Ona prowadzi na wzgórze. - Oświetlił latarką szkie. - Tutaj jest most kamienny. Profesor Zimmermann będzie czekał w tym miejscu. Jeśli przyjdzie.

Hyde skinął głową. Słysząc było tylko strumień. Trzydzieści jardów do drutów, trzeba prześlizgnąć się pod nimi, przepawić przez strumień, potem bieć. Robiło się coraz zimniej. Musi ruszać.

Spojrzał na zegarek. Siódma czterdzieści. Za niecałe dwie godziny Babbington wylądowuje na Heathrow. Znowu będzie w centrum intryg, zacznie wydawać rozkazy, zacierać ślady i porządkować sprawy. Hyde wepchnął kasetę do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Za radą Langdorfa zawinął ją w foliową torebkę, tak samo jak pistolet. Spojrzał na Langdorfa...

Hałasy. Stukot butów o skały, światła latarek. Langdorf przestraszył się i natychmiast wstał.

- Powodzenia! - powiedział oschle, popychając przykucniętego Hyde'a.

Strumień był porywisty. Hyde wyturlał się spośród drzew. Wskutek obrotów tracił orientację. Langdorf dokładnie wiedział, co robi. Hyde odwróci uwagę patrolu. Kiedy usiadł, zobaczył, jak Langdorf znika między drzewami zwinnie i pewnie. Nie zauważono go.

Zaszczekał pies. Hyde niemal słyszał dźwięk odbezpieczanej broni i zdyszane oddechy. Pies ponownie zaszczekał, potem warknął. Ciągnął na smyczy i ujadł wściekle.

Byli pięćdziesiąt jardów dalej, wychodzili spoza drzew. Dwóch ludzi z psem. Odwrócił głowę w kierunku wieży obserwacyjnej. Zobaczył jakieś kształty przebiegające przed reflektorem. Później reflektor rozbłysnął i zaczął przeszukiwać skały. Światło zbliżało się w jego kierunku. Poderwał się na nogi, kiedy kazali mu się zatrzymać.

Tańczył między skałami i kamieniami z rękami opartymi na biodrach dla utrzymania równowagi. Ostrożność tkwiła teraz w jego kostkach i łokciach. Strach szczypał go w plecy. Strzał. Drgnął. Jeden ostrzegawczy strzał. Dziesięć jardów do drutów. Teraz, teraz pies.

Zaczął czołgać się na brzuchu, zdzierając sobie skórę z dłoni. Świeża skóra pod cienkimi rękawiczkami błagała o litość. Kolana miał potłuczone. Zwój drutu był podciągnięty do góry. Kiedy Hyde wślizgiwał się podeń, śnieg opadł, odsłaniając zasięki. Pełznął na brzuchu, podtrzymując druty. Dwa następne pociski odbiły się od kamieni. Pies, pies.

Wejdz w druty. Przejdz pod nimi!

Spuszczony ze smyczy pies zawył. Hyde słyszał, jak nadbiegał. Bolącą prawą rękę przycisnął do boku, próbując namacać kieszeń płaszcza. Śnieg spadał na niego z drgających kłębow drutu. Pies był blisko.

Dotknął broni w polietylenowej torebce. Tuż nad sobą słyszał warczenie psa. Zorientował się, że zwierzę rozpląsało się i zaczęło czołgać się na brzuchu. Odgłos biegnących ludzi. Polecenie zatrzymania się, pozostania na miejscu. Czuł oddech psa tuż przy swojej nodze, był tego pewien!

Pistolet przekręcił mu się w dłoni. Próbował odwrócić się na plecy, lecz kłęb drutów zahaczył o płaszcz, krępując mu ruchy. Pies podniósł łeb, chwytając za skraj płaszcza. Trzymał go, zmagając się z ciężarem ciała i naporem drutu. Mieli go, żołnierze byli dwadzieścia jardów od niego i zbliżali się. Próbował podnieść głowę, leżąc na wpeł skręcony na lewym boku. Rozerwał płaszcz na plecach, czuł, jak kolczasty drut rozdziera mu skórę. Wyczuł spust przez cienki polietylen. Przesunął bezpiecznik. Schwycił broń i pociągnął za spust. Padł strzał, który go niemal ogłuszył, kiedy jeden z dwóch pocisków przeszył łapę psa. Zwierzę zawył, puszczając połę płaszcza.

Hyde uniósł się, nie zważając na druty. Światło reflektorów padło na jego postać, minęło go, wróciło, znów złapało. Niemal natychmiast otworzył ogień karabin maszynowy. Pies skomlał, oszołomiony bólem zaplatał się w druty. Później zawył przeciągle i ucichł. Dwaj strażnicy graniczni leżeli płasko na brzuchach poza linią ognia. Fruwały kawałki kamieni. Pociski rykoszetowały. Hyde wydostał się spod drutów i skoczył prosto do wody. Nagle ogarnęło go paraliżujące zimno, które unieruchomiło mu nogi i ciało aż do pasa. Silny prąd strumienia zwałił go z nóg. Było mu zbyt zimno, aby posuwać się naprzód. Zalała go woda, a potem prąd porwał go i pchał. Za jego plecami karabin maszynowy omiatał ogniem koryto strumienia. Reflektor zgubił go. Skacząca z brzegu na brzeg w rozpaczliwych poszukiwaniach smuga światła oświetliła dwóch kłęzących żołnierzy, którzy próbowali wziąć na muszkę jego podskakującą głowę. Łykał lodowatą wodę, poruszał ramionami, opierając się wodzie, lecz strumień unosił go nadal. Stopami Hyde dotykał skalistego dna. Tępo uderzył nogą o ukrytą skałę. Nie czuł pod sobą gruntu.

Światło reflektora zniknęło. Biegący wzdłuż brzegu strażnicy również zniknęli. Druty były ledwie widoczne. Uderzył o skałę na środku strumienia, lecz był zbyt osłabiony, aby uchwycić się jej gładkiego masywu.

Prąd gnał go do przodu. Strumień zwężał się, a brzegi były coraz wyższe.

Hyde miał zdrętwiałe całe ciało, niebezpiecznie zdrętwiałe.

Skała przed nim. Udało mu się jej dosięgnąć, lecz zdołał jedynie lekko odepchnąć

się od niej nogami, kiedy ją mijał. Widział jak przez mgłę. Z ogromnym wysiłkiem zdołał nabrać powietrza w płuca. Ręce, stopy, nogi, tułów, wszystko zeszytywniało. Próbował stanąć, dotknąć skał, ślizgał się, znów próbował stanąć. Zacerpnął głęboko powietrza i dał nurka pod powierzchnię. Chwytając się skał pod wodą, próbował przeciągnąć się w kierunku brzegu. Prąd wody spychał go i znosił. Uderzył nim o ostrą, twardą skałę. Jeszcze raz, znów.

Skulony prześlizgiwał się między wystającymi po obu stronach skałami. Czuł ostry ból, uderzając kolanami o kamienne bryły na dnie. Głowę miał nad wodą! Czekał. Był już niemal przy brzegu.

Wyczołgał się z lodowatej wody. Serce mu łomotało. Stracił oddech, siły uciekały. Obrócił się na plecy, pokastlując i czekając na przypływ sił, które pozwolą mu zaczerpnąć powietrza.

Zobaczył twarz Zimmermanna. Obok niej dwie inne twarze. Czy to nie ci dwaj ze straży granicznej? Dotknął ręką klatki piersiowej sprawdzając, czy zawinięta kasetka jest na miejscu. Postukał lekko.

Zimmermann zrozumiał i pochylił się nad nim. Wyciągnął kasetę i pokazał ją Hyde'owi. Hyde skinął głową. Ten wysiłek spowodował nowy przypływ kaszlu, oddychał płytko i szybko. Światło latarki tańczyło wokół jego ciała. Mężczyźni rozmawiali po niemiecku. Uświadomił sobie z trudem, że przekroczył granicę.

- Okryj go dobrze - usłyszał głos Zimmermanna. - Postaw go na nogi jak najszybciej. - Poklepał Hyde'a delikatnie po ramieniu. Hyde ledwie to poczuł. - Dobra robota, panie Hyde... My szliśmy w górę strumienia, od mostu, zauważyliśmy wzmożony ruch w terenie. Szczególnie śmigłowiec. Dobrze, że wydostał się pan na brzeg o własnych siłach. Nie byliśmy w stanie nic dojrzeć w wodzie.

Koce leżały na nim jeden na drugim, ciężkie jak ziemia. Ktoś mocno rozcierał mu nogi i ramiona. Jakaś ręka uniosła mu głowę. Brandy. Zakasłał. Większość płynu wylała mu się na brodę i kołnierz, pociekła na szyję.

- Słuchaj pan... - zaczął.

- Teraz proszę nic nie mówić - przerwał mu Zimmermann.

Niebo nad głową zaczęło się przejaśniać. Hyde zobaczył mundury zachodnioniemieckiej straży granicznej, Grenzschutzu. Chciało mu się wymiotować. Serce nadal łomotało. Nie przestawali go masować. Więcej brandy. Tym razem przelknął.

Zakasłał i powiedział:

- Mam mało czasu, muszę rozmawiać z Londynem. Muszę, Zimmermann! - Pociągnął Niemca za rękaw.

Śmigłowiec był daleko z lewej strony nad przeciwległym brzegiem strumienia.

Obserwował ich, unosząc się tuż nad wierzchołkami drzew. Obrócili się w jego kierunku. Hyde'a bolała głowa z zimna, ale zaczęły w niej bezładnie krążyć myśli, jak gdyby wypił znacznie więcej brandy. Na moment oświetlił ich reflektor ze śmigłowca. Światło reflektora umieszczonego na śmigłowcu przeskoczyło rzekę i oświetliło ich na blisko pięć sekund, na pewno po to, aby uzyskać pewność co do losu Hyde'a. Potem maszyna zniknęła za drzewami i Hyde stracił ją z oczu.

A więc tamci wiedzieli.

- Oni już wiedzą - powiedział Zimmermann. - Podejrzywałem, że śledzą mnie już od Norymbergi. Ktoś musiał mnie widzieć, kiedy lądowałem... Wiedzieli o miejscu naszego spotkania.

Hyde szarpnął Zimmermanna za rękaw ze słowami:

- Zabierzcie mnie do telefonu. Jeśli oni powiadomią Londyn, Babbington zniknie, zniknie zaraz po wylądowaniu. Rozumiesz? Musimy go mieć, musimy mieć Babbingtona, aby ocalić Aubreya. Inaczej nie będzie żadnej wymiany, stracimy Aubreya. Rozumiesz?

Twarz Zimmermanna pociemniała. Spojrzał na niebo, jakby szukał ukrytego śmigłowca.

- Tak - powiedział. - Tak, oczywiście, oczywiście! - Wstał. - Zabiorę cię do samochodu. - Potem szybko i autorytatywnie powiedział po niemiecku: - Zabierzcie go. Szybko. Musimy wrócić do Waldsassen, natychmiast. Szybko!

Aubrey spojrział na zegarek. Dziewiąta siedem. Nietknięte pole śniegu niby zamrożone białe morze rozciągało się na wzgórzach Moskwy. Miasto wyglądało jak gipsowa makieta, z masztami, wieżami, szerokimi alejami, blokami mieszkalnymi, miniaturowymi kościołami i placami. Linie kolejowe, obwodnice i autostrady biegnęły we wszystkich kierunkach z serca Moskwy. Ktoś kiedyś zauważył, że ten kraj przypomina gęsto utkaną, obsypaną śniegiem pajęczynę, w której centrum leży Moskwa.

Było ich troje. Margaret Massinger klęczała na fotelu jak dziecko, wyglądając przez okno samolotu krążącego leniwie nad miastem i czekającego na pozwolenie lądowania. Pilot poinformował przez głośnik o małym opóźnieniu spowodowanym nasileniem przylotów na południowe lotnisko międzynarodowe Domodiedowo. Aubrey podniósł wzrok. Margaret przyglądała mu się uważnie. Próbował się uśmiechnąć. Skinęła głowę, rozumiejąc jego intencje.

Teraz, blisko końca wszystkiego, nie był w stanie rozmawiać ani z nią, ani z Pauliem Massingerem. Wszyscy troje w czasie całego lotu wymieniali jedynie między sobą zdawkowe uwagi i pojedyncze przypadkowe słowa, nic poza tym. Jak przybyli na

przyjęcie pierwsi goście, którzy dopiero się poznali. Dwunastu Rosjan na pokładzie samolotu nie zwracało na nich uwagi. Stewardesy spokojnie podały śniadanie i napoje. Pilnujący ich strażnicy odpoczywali. Każde z ich trójki wydawało się zadowolone z tej ciszy i obecności pozostałych. Aubrey cieszył się, że nie izolowano go z łączącej ich troje wspólnoty.

Pod nimi rozciągało się miasto. Ruch na szerokiej autostradzie był minimalny. W zasięgu wzroku mieli dwa pociągi jadące w kierunku miasta, rzekę i Kreml.

Aubrey był ostatni raz w Moskwie jeszcze przed wojną. Chociaż miasto przez wiele lat stanowiło fortecę wroga, było mu mimo to bliskie. Ilekroć natknął się na plan Moskwy, natychmiast jawiły się przed jego oczyma trójwymiarowe obrazy budynków i ulic, zupełnie jakby patrzył na modele architektoniczne lub zdjęcia lotnicze. Wiedział, że obecnie jest to nowoczesne miasto, lecz mógł je sobie jedynie wyobrażać. Moskwa niczym Rzym lub Kartagina wraz z upływem czasu stała się nierzeczywistym historycznym miastem. Miejscem starożytnych bitew. Teraz w dole zobaczył wrogi obóz. To był zaczarowany zamek, gniazdo zła...

Uśmiechnął się do siebie. Moskwa przez ostatnie czterdzieści lat była jednym i drugim - rzeczywistością i fantastycznym snem dziecka. Bajką. Zamkiem olbrzyma.

Teraz będzie miejscem egzekucji. Wiedzieli o tym wszyscy troje. Massingerowie zostali zmuszeni do włożenia roboczych kombinezonów mechaników, które umożliwią ich przemycenie z samolotu na długo przedtem, zanim ktoś mógłby ich rozpoznać. Prawdopodobnie pozostało im tylko parę godzin. Zamarznięta rzeka srebrzyła się w porannym słońcu.

Kopuły wież jarzyły się złotem. Z góry bloki mieszkalne sprawiały wrażenie wyziębionych, brudnoszarych brył sterczących pod przejrzystym niebem.

Samolot z wolna przesuwał się na południe w kierunku lotniska. Kadłub przechylił się do przodu. Aubrey spojrzął na Margaret Massinger. Dotykała jego kościstej, pokrytej żółtymi plamkami ręki spoczywającej na oparciu siedzenia. Tupolew w czystym powietrzu schodził do lądowania. Przepływająca pod nim Moskwa była wciąż ogromnym, skomplikowanym modelem dziecinnej twierdzy. Aubrey cieszył się z tego wrażenia, które stanowiło dla niego specyficzny środek uspokajający. Miniaturka. Mapa. Nierzeczywistość.

- Pozostało nam trzydzieści minut, oni o tym wiedzą. - Hyde daleki był od jęczenia i lamentów.

Owinięty w pasiasty koc, trzęsącymi się rękami ścisnął kubek z gorącą kawą, jak gdyby chciał uspokoić uporczywe drżenie ramion. Włosy miał znowu mokre, bo topniał na nich śnieg. Jedynym dźwiękiem słyszalnym w tym małym pokoju było szczęknięcie jego zębów.

Zimmermann stał przy drzwiach biura, które oddał im do dyspozycji komendant straży granicznej w Waldsassen. W mieszkaniu sir Williama Gesta w Albany nie było nikogo. Zegar ścienny wskazywał dziewiątą, po chwili jego minutowa wskazówka przeskoczyła o jedną kreskę do przodu. Za trzydzieści minut Babbington wylądował na lotnisku Heathrow. Zimmermann całkowicie zgadzał się z Hyde'em. Gdy tylko wysiądzie z samolotu, natychmiast zostanie przez kogoś ostrzeżony, ukryty lub wywieziony z kraju. Nie będzie wymiany, a więc żadnej możliwości powrotu Aubreya.

- Czy mają tam jeszcze kogoś? - spytał Zimmermann delikatnie.

Hyde gwałtownie potrząsnął głową. Zielona bibułkowa serwetka na biurku usiana była wilgotnymi plamami. Utworzyły je spadające z jego włosów krople topniejącego śniegu. Wypił łączywie kawę i wytarł usta.

- Nie, nie ma nikogo innego.

- Nawet na samej górze?

Hyde spojrział z niedowierzaniem.

- Może mam zadzwonić do pani premier albo gdzieś tam? - zapytał złośliwie. Po-tem potrząsnął głową w zamyśleniu. - Zostałem zablokowany przez jednego z ludzi Babbingtona. Nie mógłbym nigdy dotrzeć do kogoś, kto byłby zdolny do działania. Tam jest tylko Guest.

- Jesteś pewien, że natychmiast pozbędą się Aubreya?

- A ty tak nie uważasz?

Zimmermann podrapał się w brodę i westchnął.

- Tak. Na ich miejscu nie pozwoliłbym, aby ktokolwiek go zobaczył po opuszczeniu samolotu. To mogłoby narazić na ryzyko innych, muszą się z tym liczyć. - Ski-nął głową, przekonany bezwzględna logiką wydarzeń, i rozłożył ręce w geście bezsilności.

Hyde po prostu gapił się na telefon zamocowany na pulpicie wzmacniacza, ściska-jąc w rękach kubek, jakby chciał go zgnieść.

Dziewiąta trzy.

- Czy sprawdzacie cały czas numer? - mruknął Hyde po angielsku do mikrofonu wewnętrznego telefonu.

Zimmermann podszedł do pulpitu i wydał zwięzłe instrukcje. Operator w centrali Grenzschatzu zapewnił, że zrobi wszystko, co możliwe.

Zimmermann spojrział na Hyde'a.

- Wydałem im polecenie, aby dzwoniли bez przerwy. Ciągle.

Hyde chciał odpowiedzieć, lecz otworzyły się drzwi. Ukazała się nachmurzona i zakłopotana twarz kapitana straży granicznej. W jego oczach widać było oznaki zawo-du, usta wyrażały twardą, groźną stanowczość. Zamknął za sobą drzwi.

- Panie profesorze Zimmermann - zaczął. - Muszę prosić, aby pan mi towarzyszył.

- O co chodzi? - odburknął Zimmermann, rzucając urażone spojrzenie. Hyde wy-czuł, że profesor natychmiast zorientował się w sytuacji. - Nie rozumiem, kapitanie.

Oficer stał się nagle nieprzyjazny, ale stwierdził stanowczo:

- Oszukał pan mnie i moich ludzi, panie profesorze. To nie jest sprawa federalnej służby bezpieczeństwa. Pan jest obecnie... - Zawahał się jeszcze bardziej zakłopotany, po czym dodał: - Nie uzyskałem potwierdzenia pańskich pełnomocnictw. Pan nie posiada statusu urzędowego.

Hyde obserwując ich twarze zrozumiał, że ktoś błyskawicznie zawiadomił Bonn o miejscu pobytu Zimmermanna i jego planach. Pochopne działanie byłoby zbyt niebezpieczne. Kapitan w prosty sposób mógłby ich powstrzymać, uniemożliwiając dostęp do telefonu. Nić nadziei była cienka i wątła. Hyde po prostu zamknął oczy, jak dziecko ze strachu przed czymś przerażającym lub niebezpiecznym.

- Proszę, panie profesorze - błagał kapitan. - To bardzo kłopotliwa sytuacja. Proszę mi teraz towarzyszyć.

Zimmermann odpowiedział natychmiast, podniesionym, nie znoszącym sprzeciwu głosem:

- Nie! Nie opuszczę pańskiego biura, kapitanie. Nie zrobię tego, o co pan prosi.

Kapitan spochmurniał, jego oczy zdawały się poszukiwać argumentów; miał w końcu odpowiedni stopień i uprawnienia.

- Panie profesorze! - ostrzegł.

- Kapitanie! Jest pan odpowiedzialny za prawie pięćdziesięciomilowy odcinek granicy, mam rację?

Zaintrygowany oficer skinął głową.

- Tak.

- Dobrze. Dysponuje pan uzbrojonymi pojazdami. Dowodzi pan patrolami, ale jest pan też jednym wśród dwudziestu tysięcy. - Zimmermann zawahał się przez moment i rzucił kąśliwie: - Mogę mieć dziesięciu, pięćdziesięciu, stu oficerów na pańskie miejsce, w każdej chwili, z Bundeswehry, z Grenzschutzu lub nawet z rezerwy obrony terytorialnej. - Na twarzy kapitana malowało się zdziwienie. Poczzerwiał. Poczł się obrażony. Zimmermann mówił szybko, udając gniew: - Rozumie pan, co mam na myśli, kapitanie? - Hyde doceniał wagę tego przedstawienia, szczególnie kiedy patrzył na zegar. - Rozumie pan, o czym mówię? My jesteśmy tu dwaj, ja i ten Anglik, nikogo więcej. Żaden z nas nie może być zastąpiony kimś innym. Wydaje się panu tylko, że wie pan, jak funkcjonują służby specjalne. - Wskazał w kierunku Hyde'a. - Jeśli otrzyma ma pan telefon z Bonn, od nie znanej panu osoby, czy zawsze od razu wypełnia pan jej

polecenia? Czy myśli pan, że wyciągnęliśmy tego człowieka z rzeki tylko z pobudek humanitarnych? Tak? Proponuję, aby poświęcił pan trochę czasu, jakieś pół godziny, na przeczytanie raz jeszcze instrukcji. Tymczasem może nas pan zostawić w swoim dobrze strzeżonym biurze, z możliwością korzystania z telefonu, a my obiecamy, że nie będziemy próbować ucieczki - zakończył Zimmermann drwiącym, pełnym wyższości tonem.

Udając, że w pełni panuje nad sytuacją, ostentacyjnie rozparł się za biurkiem kapitana. Rutyna zawodowa, pomyślał Hyde. Dziewięta sześć. Dwadzieścia cztery minuty. Hyde przymknął oczy. Zęby przestały mu szczekać. Elektryczny kominek blisko jego nóg dawał przyjemne ciepło. Kawa rozgrzewała mu żołądek.

- Ja... - zaczął kapitan, krew napłynęła mu do twarzy, mimo złości starał się obiektywnie ocenić sytuację.

- Słucham, kapitanie? Słucham? - Zimmermann uparcie ciągnął dalej: - Jeżeli stanowimy zagrożenie dla państwa, to już znaleźliśmy się pod pańskim nadzorem. W areszcie. Mam rację?

Kapitan mimo woli stanął na baczność. Nie podobał mu się ten nowy ton Zimmermanna. Jego oczy zaczęły się gwałtownie poruszać, jakby stojąc przeżywał zły sen. Jakie jeżeli? Jaką ma szansę? Hyde zobaczył, że te pytania zaświtały mu w głowie i zniknęły. Czy potrafi jednocześnie zaspokoić żądania Bonn i Zimmermanna? Zimmermann był człowiekiem potężnym. Jego uprawnienia zostały zakwestionowane, lecz nie uchylone.

W końcu kapitan skinął głową.

- W porządku. To pomieszczenie będzie pod strażą, panie profesorze. Wrócę za dwadzieścia minut. Wtedy umieszczeni zostaną panowie w normalnym areszcie, dopóki nie otrzymam dalszych rozkazów. Oczywiście, każdorazowe użycie telefonu będzie rejestrowane. - Zimmermann wzruszył obojętnie ramionami. Kapitan ukrywając złość obrócił się na pięcie i wyszedł z biura. Słyszeli, jak wydawał warkliwe rozkazy za drzwiami pokoju.

Dziewięta osiem.

- Jezus! - zaczął Hyde.

Zimmermann kiwnął głową, uciszając go.

- Nic się nie stało - zauważył z udawaną skromnością i uśmiechnął się. - Ale oni działają bardzo szybko. Mają świetną łączność. Z pewnością będą chcieli uratować Babbingtona, gdy wyląduje - za dwadzieścia jeden minut. - Palcami stukał o blat stołu. Widoczne przez okno blade niebo rozpościerało się nad wzgórzami ciemnymi od sosen. Strażnicy ostentacyjnie zajęli pozycje przed oknem biura. Zimmermann roześmiał się. - Zabawne.

- Czy jest coś? - spytał Hyde przez wewnętrzny telefon, przyciskając przycisk wywołujący operatora centrali.

- Nic, sir.

- Sir - powtórzył z przekąsem Hyde.

- On gra nawet ostrożniej niż jego przełożony.

- A co będzie za dwadzieścia jeden minut?

- Może powstać dość niefortunna sytuacja. Nie wiem, co się wydarzy. Będę miał kłopoty i moje ministerstwo oczywiście też. Chyba że podejmą bardziej radykalne środki. Wszystko zależy od tego, czym tamci dysponują. Kto to może przewidzieć?

Dziewięć jedenaste. Za dziewięćnaście minut KGB będzie mogło powitać Babingtona na lądowisku. Pośpiesz się, chodź, zawołają.

- Jezus! - Hyde wybuchnął, ciskając pustym kubkiem w zegar na ścianie. Zderzenie ze ścianą spowodowało, że kubek rozprysnął się. Hyde znów zaczął się trząść z zimna, owinał się szczelniej kocem. Tupał nogami i szczekał zębami, bardziej z wściekłości niż zimna.

- Pośpiesz się, draniu!

- Sir?

Zimmermann natychmiast przełączył wyłącznik wewnętrznego telefonu.

- Tak?

- Mam połączenie, sir. Podałem pańskie nazwisko, czy to było?...

- Tak, tak, łącz mnie, człowieku!

Hyde podniósł głowę. Trzął się cały.

- Jest?... - zaczął.

Zimmermann położył słuchawkę na pulpicie wzmacniacza, tak że obaj mogli słyszeć Guesta i rozmawiać z nim.

- Czy sir William Guest? Czy rozmawiam z sir Williamem Guestem? - Zimmermann pytał pośpiesznie, niepewnym, zmienionym głosem.

- Kto mówi? Mój telefon dzwonił bezustannie.

Zimmermann odwrócony do Hyde'a, poruszając bezgłośnie ustami, zadał mu nieme pytanie. Hyde aż podskoczył na krześle, koc zsunął się na podłogę. Skinął głową. Zaciśniętymi pięściami uderzał o uda. Jego głowa drgała. To był Guest, to Guest - niemożliwe, ale to był on!

Zimmermann przedstawił się Guestowi grzecznie, lecz urzędowo, po czym oświadczył:

- Mam tutaj kogoś, sir Williamie, kto musi rozmawiać z panem - tylko z panem. To niesłychanie pilne. Musi go pan wysłuchać. - Ton Zimmermanna był teraz błagalny. Profesor nie był w stanie opanować głosu.

Dziewiąta dwanaście.

- Tak, o co chodzi, panie Zimmermann? Oczywiście, rozumiem pana, lecz po co ta cała tajemniczość? Wróciłem z bardzo nieudanej podróży samolotem. Jestem potwornie zmęczony.

- Zamknij się i słuchaj! - krzyknął Hyde do słuchawki telefonu, pochylając się na krzesło i przybliżając twarz do mikrofonu. - Mówi Hyde. Patrick Hyde. I chcę rozmawiać o Aubreyu. Teraz słuchaj!

- Hyde! - Głos sir Williama zagrzmiął w słuchawce. - Hyde, jak śmiesz... - Hyde spojrzął na Zimmermanna. Zęby mu szczękały, dygotał cały i nie mógł się opanować. Zmuszał się, aby nie upaść. Zimmermann zrozumiał, że Australijczyk działa ostatkiem sił, i postanowił przejąć kontrolę nad sytuacją. Hyde podciągnął koc na ramiona i skulił się. Sprawiał wrażenie, że im mniej zajmuje przestrzeni, tym lepiej się czuje. Wyglądało, jakby wyciskał w sobie gąbkę, w której pozostało zaledwie parę kropeł energii.

- Powinniśmy natychmiast tę rozmowę skończyć, Hyde - ciągnął sir William swoim - jak zwykle - autorytatywnym tonem. - Mamy różne kanały, aby porozumieć się z Aubreyem, lecz ty jesteś persona non grata, wiesz o tym bardzo dobrze.

- Na litość boską!

- Sir Williamie - przerwał Zimmermann, nakazując Hyde'owi milczenie.

Australijczyk spojrzął na niego i usłuchał.

- Sir Williamie. Mamy bardzo mało czasu, proszę to zrozumieć i wysłuchać, co mamy do powiedzenia. Błagam pana, niech pan wysłucha. - Głos Zimmermanna był pełen uniżoności, którą Hyde się brzydził. Niemiec przyjął rolę podwładnego, lecz zachowywał się w sposób odpowiadający jego uprawnieniom i stopniowi. - Jestem zmuszony nalegać - kontynuował.

- O co chodzi, panie Zimmermann? Jaka jest rzeczywista przyczyna tej niespodziewanej i nie milej dla mnie rozmowy?

- Dowód! - wykrzyknął Hyde. - Dowód, że Aubrey jest niewinny, a twój kumpel Babbington za twoimi plecami robi świństwa. I jest z tej samej pieprzonej szkoły co ty.

- Hyde, bądź cicho! - warknął Zimmermann. - Przepraszam, sir Williamie. Lojalność pana Hyde'a nie podlega dyskusji, jeśli pan może...

- Ależ, panie Zimmermann. Nie wiem, jakich bajek on panu naopowiadał. Obawiam się jednak, że znalazł się pan w towarzystwie zdrajcy. Jedno z naszych zgniłych jabłek. Przykro mi o tym mówić...

- Proszę wybaczyć, ale ja tak nie myślę.

- Czyżby? A jakież to wysunął oskarżenie? Mam nadzieję, że pan mu nie wierzy.

Dziewiąta czternaście. Obaj jednocześnie spojrzeli na zegar, pod którym na kremowej ścianie widoczne były ślady zasychającej kawy Hyde'a.

- Obawiam się, że jestem zmuszony mu uwierzyć - odpowiedział Zimmermann z udawanym szacunkiem, lecz zarazem z naciskiem i przekonaniem.
- Panie Zimmermann. Naprawdę jestem bardzo zmęczony.
- Proszę, sir Williamie. Pan był teraz w Waszyngtonie przez kilka dni...
- Tak.
- Więc nie wie pan, co się w tym czasie wydarzyło. Nie wie pan, że Kenneth Aubrey jest w tej chwili w Związku Radzieckim?

Zapanowała cisza, po czym Guest oznajmił:

- Ta wiadomość nie jest dla mnie zaskoczeniem. Niewątpliwie w najbliższym czasie otrzymam w tej sprawie raport od Babbingtona.
- Będzie na progu twoich drzwi za jakąś godzinę, kolego, z własną wersją wydarzeń. Możesz być tego cholernie pewien. - To Hyde.
- Sir Andrew był w Wiedniu. Aubrey został tam odnaleziony przez pańską służbę wywiadowczą.
- Ach.
- Ale pozwolono na to, aby KGB wzięło go w swoje łapy. Natychmiast zabrali go do Moskwy. Za chwilę będzie tam lądował.

Dziewiąta piętnaście.

- Tak - potwierdził Hyde, uderzając pięściami o uda. - Teraz ląduje. Zimmermann sprawdził to z Wiedniem, przed wyjazdem z Waldsassen. Samolot Aeroflotu odleciał z Wiednia o szóstej piętnaście. Trzy godziny lotu do Moskwy. Teraz ląduje. Czerwony dywan, chłopcy z orkiestry, wymuszone uściski rąk, czarny samochód i - koniec. Było, minęło. Wszystko, czego możesz jutro oczekiwać, to wiadomość o ataku serca i nekrolog w „Prawdzie”.

- Co?
- Sir Williamie, jestem przekonany, że sir Kenneth jest w najwyższym niebezpieczeństwie.
- Czyżby groziło mu coś ze strony jego własnych ludzi? - zapytał Guest z ironią.
- Nie. Jemu grożą Rosjanie. On nie jest jednym z nich.
- A Andrew Babbington jest? Nonsens!
- Hyde posiada dowody, sir Williamie. Cały scenariusz, jeśli możemy tak to określić, zgodnie z którym sir Kenneth ma się pojawić w Moskwie jako agent sowiecki. Pan Hyde ma to nagrane na taśmie z komputera. Zdobył niezбитy dowód zdrady sir Andrew Babbingtona, sowieckiej próby zniszczenia Aubreya i zastąpienia go własnym agentem.
- To ja wprowadziłem na to stanowisko Andrew Babbingtona - odpowiedział Guest.

W pokoju słychać było odgłos przesuwającej się wskazówki zegara.

Słowa Zimmermanna brzmiały głucho. Na biurku kapitana leżała kasetka w foliowej torebce. Ta taśma mogła pozostać nie wykorzystana. Mogło się zdarzyć, że nikt nie usłyszy nagranych na niej materiałów.

Zimmermann wstrząsnął się. Splatał i rozplatał palce. Znalazł się w trudnej sytuacji.

- Nonsens. Absolutny nonsens - powtórzył Guest. - Co za szalenie wymyślił te bzdury? Hyde? Aubrey? Rosjanie? To śmieszne, panie Zimmermann.

Dziewięta szesnaście.

- Chryste, jak mi zimno - mruknął Hyde.

Zimmermann spojrzał szybko na Hyde'a. Jego twarz była blada, policzki mu drżały, zęby szczękały. Drżące ręce, którymi przytrzymywał na piersiach rogi koca, były jakby bez krwi.

- To nie nonsens! - zaprzeczył Zimmermann. - Błagam, niech mnie pan wysłucha, sir Williamie. Proszę słuchać. - Mówił teraz ciszej. Dziewięta siedemnaście. - To był czynnik, który określił ich plan w czasie. Pańskie poparcie dla sir Andrew. Powołał pan do życia nową służbę.

- Sugeruje pan, że ułatwiłem zadanie Sowietom?

- Nie, nie, proszę mi wierzyć, że nie. Po prostu Babbington i jego szefowie wykorzystali okoliczności, które dzięki panu zaistniały. Scenariusz leżał bezużytecznie od kilku lat.

- Niech mi pan dokładnie opowie, jak się pan o tym dowiedział.

Hyde jęknął z zimna, a może z rozpaczy, że Zimmermann coś pominie. Jego głowa opadła. Zawinięty w koc, wyglądał jak zbieg lub pobity więzień.

- Dowód jest tutaj, sir Williamie. U nas. Proszę mi uwierzyć, że naprawdę mamy dowód.

- Z komputera?

- Z centrum komputerowego KGB w Moskwie. Mamy wszystko... - zapewnił Zimmermann. Nic więcej nie mógł już powiedzieć. Uważał, że wyczerpał wszystkie argumenty. Guest mu nie wierzył. Dziewięta osiemnaście. Dwanaście minut. Guest nie mógłby nic zdziałać, nawet gdyby uwierzył.

- W takim razie sądzę, że powinienem zacząć od powiadomienia pańskiego ministerstwa w Bonn, panie Zimmermann. Powinienem również wysłuchać relacji Andrew Babbingtona. Szczerze mówiąc, nie wierzę w ani jedno słowo tej historii. W ani jedno.

- Na litość boską, zamknij się! - Szeroko otwarte oczy Hyde'a błyszczały jak w gorączce. Trząsł się pod kocem. - Jeśli zmarnujesz jeszcze jedną cholerną minutę, chłopie, to wykończysz Aubreya.

- Nie bądź śmieszny! - wykrzyknął Guest.
- Wykończysz również swoją ukochaną chrześniaczkę, kolego. Aubreya, Massingera i jego żonę. Wszyscy oni są w samolocie.

- Co takiego?

- Czy ty nigdy nie słuchasz, pierdoła jedna, tego, co ci ktoś mówi? - Hyde prawie krzyczał do słuchawki. Wyprostował się, żyły na szyi mu nabrzmiały. - Powiedziałem. Massinger i jego żona są na pokładzie tego cholernego samolotu lecącego do Moskwy! Babbington jest pewien, że nikt nie jest już w stanie mu przeszkodzić. Sprząta mieszkanie, kolego. Robi porządki! Kapujesz? Możesz być pewien, że on ją zabije - Margaret Massinger zginie razem z Aubreyem!

Opadł na krzesło. Przewrócił je i runął na podłogę. Zimmermann poderwał się z krzesła, lecz Hyde dał mu znak, aby usiadł. W jego dzikim wzroku widać było przeblask rozważli. Zęby szczękały, gdy próbował się uśmiechnąć.

- Teraz wszystko zależy od tego starego, pompatycznego pierdoły - powiedział na tyle głośno, aby Guest mógł go usłyszeć.

W ciszy głośno przesunęła się minutowa wskazówka zegara. Dziewięta dwadzieścia.

Po jedenastu sekundach, które wspólnie odliczali, odezwał się Guest.

- Zakładając, tylko zakładając... - Chrząknął. - Muszę założyć... - Przerwał na chwilę. Słyszeli jego kaszel. - Co proponujesz, Hyde? I pan, panie Zimmermann?

Hyde przysunął krzesło do biurka. Koc znów zsunął się na podłogę.

- Heathrow. Wydział specjalny. Muszą zwinąć Babbingtona na lotnisku i zatrzymać go. Tylko zatrzymać. Ostrzeż ich, aby uważali na ewentualne przeszkody.

- Tak.

- Użyj całego swojego autorytetu i zmusz Euston Tower i Cheltenham, aby użyli czarnego sygnału pierwszeństwa. Niech połączą cię z ambasadą i Centralą w Moskwie. Muszą zrobić to zaraz. Musisz przeszkodzić im w zabraniu Aubreya z samolotu. Jeżeli będziesz miał Babbingtona, a oni Aubreya, wtedy pozostaje do zrobienia tylko jedno. Powiesz im, że chcesz wymienić ich człowieka na naszego. Rozumiesz?

- Ale...

- Słuchaj, jeśli się zgodzą, będziesz miał dowód, jakiego potrzebujesz! Przecież nie zgodziliby się na taką akcję, jeśliby Babbington nie był ich człowiekiem, prawda? Skoro już się zacznie, nie ma znaczenia, jak długo będzie to trwało - burknął Hyde. - Upewnij się tylko, że oni wiedzą, iż masz Babbingtona. Będą musieli go odzyskać. Nie mogą pozwolić, aby poszedł pod ścianę, to źle wpływa na morale. To się zawsze sprawdza, bez względu na to, czy chodzi o płotkę, czy grubą rybę. Postaraj się, aby wyrazili zgodę na transakcję.

- Czy Euston Tower może... - zaczął Guest.
- Nie pytaj. Oni mają połączenie z Moskwą o każdej porze. Czarny kod, sygnał pierwszeństwa. Pamiętaj. Jak się połączysz z Moskwą, powiesz po prostu przewodniczącemu, że masz jego ulubioną zabawkę. Powinien udławić się tą wiadomością.

Dziewiąta dwadzieścia jeden.

- No dobrze - chociaż to wszystko jest zbyt mało precyzyjne. Biorąc jednak pod uwagę okoliczności... to znaczy sytuację innych osób wciągniętych w tę sprawę, jestem skłonny przyjąć wasze propozycje.

- Zrób to! A jeśli już zdecydowałeś się działać, to uwolnij Godwina, którego zgarnęli w Pradze. Jeśli ten biedny skurwiel jeszcze żyje. Zrób to.

Zimmermann dorzucił szybko i przytomnie:

- Możemy zapewnić, że taśma komputerowa, niezbity dowód, natychmiast zostanie dostarczona helikopterem do naszego centrum komputerowego w Monachium. Nasz komputer ma połączenie z Century House i przekaże wam wszystkie informacje. W jakąś godzinę po powrocie Babbingtona do Londynu będzie pan miał potwierdzenie wszystkiego, co powiedzieliśmy. - Gdy tylko skończył mówić, gwałtownie przerwał połączenie, rzucając słuchawkę. Hyde oparł głowę na skrzyżowanych ramionach i siedział nieruchomo. Krople z jego włosów ściekały na zieloną serwetkę. Zimmermann obserwował go przez chwilę, po czym zapytał łagodnie:

- Ciekaw jestem: czy zostało jeszcze trochę czasu?
- Lepiej, żeby zostało - wymamrotał Hyde w rękaw. Ubrany był w za dużą na niego koszulę strażnika Grenzschutzu. - Nawet nie chcę o tym myśleć - dodał nie podnosząc głowy. - I tak nic więcej nie jesteśmy w stanie zrobić. Nic!

Zimmermann spojrzał na zegarek. Dziewiąta dwadzieścia dwie.

- Tak - przyznał. - Nic.

Schodząc po schodach Babbington doznawał uczucia, jakby już stał się obiektem jakichś aktualności telewizyjnych. Tempo, ruch, akcja. Reporter TV biegnący desperacko z kamerą, różne ujęcia, w lewo, w prawo, w lewo, w prawo - błyskawiczna próba uchwycenia prawdziwego, rozstrzygającego sensu tej sceny.

Trzy stopnie dzieliły go od końca schodów. Na lotnisku czekał czarny mercedes i kierowca w cywilnym ubraniu, znakomity w posługiwaniu się krótką bronią i w kaskaderskiej jeździe. Był również Eldon w wojskowym płaszczu jako wpływowy przedstawiciel SAID. Stał obok czarnego samochodu, nie zwracając uwagi na nikogo.

Dwa następne samochody. Prawie korek. Jeden z nich - również mercedes - był bardzo blisko. Najwyraźniej przyjechał w pośpiechu. Drugi, nowy samochód należał do wydziału specjalnego. Babbington nie miał co do tego wątpliwości. Nieprzemakalne

plaszcz, filcowe kapelusze. Karykatury. Poranne słońce błyskało w oknach terminalu i oświetlało kadłuby około tuzina stojących samolotów. Odbijało się w szybach samochodów. Babbington spoglądał w lewo, w prawo, w lewo, w prawo. Był zaniepokojony.

Coś tu za chwilę nastąpi. Wydarzenia mogą przybrać nieoczekiwany obrót. Dwóch ludzi z wydziału specjalnego szło przez trzydziestojardową płytę lotniska w kierunku Babbingtona. Eldona zaintrygowała ta scena. Ręką dał znak kierowcy z ochrony, który sięgał do kabury. Był zbity z tropu pojawieniem się oficerów z wydziału specjalnego.

I Rosjanie... Babbington rozpoznał swojego łącznika. Oleg siedział w samochodzie. Babbington, schodząc z ostatnich stopni, skinął ręką w kierunku otwartych drzwi mercedesa. Siedział tam młody mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze, pod rozpiętym płaszczem. Miał pistolet. Babbington był przekonany, że Rosjanie raczej go zabiją, niż pozwolą, aby się do niego zbliżyli ci z wydziału specjalnego.

Drzał. Pasażerowie z pierwszej klasy w milczeniu tłoczyli się za nim na schodach, ale zatrzymali się z szacunkiem przed kolumną gotowych do odjazdu samochodów. Czuł w nozdrzach lodowate powietrze, przesycone zapachem samolotowego paliwa. Serce waliło mu jak młot. W lewo, w prawo, w lewo, w prawo. Trwało szaleńcze szukanie.

Eldon podniósł rękę w geście powitania sygnalizując jednocześnie swoją bezsilność, jakby wyrażał sprzeciw wobec przyjęcia go do jakiegoś klubu.

Hyde.

Tylko on mógł to zrobić. Na pewno nie Aubrey, który albo już nie żyje, albo co najmniej przygotowywany jest na śmierć. Biedna Margaret i jej głupi, uparty mąż bez wątplenia są już martwi. Ale Hyde...

Zacisnął pięści z bezsilności. Rosjanie gestykulowali coraz bardziej nerwowo. Widział energiczne ruchy młodego mężczyzny, jego gotowość podjęcia ryzyka dla ratowania planu „Łza”.

Ucieczka samochodem do ambasady w Kensington albo do innego bezpiecznego miejsca, później mały samolot na kontynent, a wreszcie - Moskwa...

Te same sztuczki pozwoliły mu wykończyć Aubreya. Ludzie z wydziału specjalnego byli w odległości piętnastu jardów. Oznaczenia, pochwała w „Prawdzie” - i gorzki smak niezapomnianej klęski. Codzienne przypomnienie, że jego stopień to nic więcej niż żart, szacowny żart, podczas gdy ich mundury stanowią symbol rzeczywistej władzy i autorytetu.

Wszystko stało się teraz jasne. Eldon ruszył do przodu, wyczuwając intuicyjnie, że powinien włączyć się do akcji przeciw Babbingtonowi. On i kierowca zablokowali drogę rosyjskiemu mercedesowi. Zamknęli mu też drogę ucieczki. Mógł tylko biec.

Biegnij, biegnij, biegnij, biegnij.

Ludzie z wydziału specjalnego byli w odległości pięciu jardów od niego. Stał na ostatnim stopniu schodów, jakby witając ich i zarazem poddając się.

- Sir Andrew Babbington?- spytał uprzejmie jeden z nich, opierając się ręką o poręcz schodów. - Sir Andrew, proszę z nami...

I to wszystko. Zaczęło się. Młody rosyjski dyplomata wsiadł do swojego mercedesa. Eldon stał przy drzwiach, starając się przyśpieszyć odjazd gościa. Spojrzał na Babbingtona, zakłopotanie w jego oczach zmieniło się w szok. Dwaj starsi oficerowie z wydziału specjalnego zablokowali zejście. Pasażerowie stłoczeni za plecami Babbingtona popychali go, napierali, aby posuwał się naprzód.

Podjechał samochód z ludźmi z kontrwywiadu. Babbington schował ręce do kieszeni kurtki, oczekując na dalszy rozwój wydarzeń. Wydział specjalny, Eldon, kierowca, błękitny dym z rury wydechowej rosyjskiego mercedesa, który już prawie odjeżdża - i, i, i...

Hyde.

Czknął. Jeden z oficerów ujął go za ramię niby surowa pielęgniarka.

Zatoczył się do przodu. Drugi policjant był z jego lewej strony. Babbington ruszył w kierunku czarnej granady, nie stawiając oporu. Eldon... Odwrócił spojrzenie od twarzy Eldona, na której widniało zaskoczenie i wzgarda.

Mieszkanie w Moskwie. Obiecał sobie, że nigdy, absolutnie nigdy - już w 1956 roku, kiedy stawiał tu pierwsze kroki - nie wróci do tamtego mieszkania.

Teraz była to najlepsza rzecz, na jaką mógł mieć nadzieję. Tylko nadzieję. Tamto mieszkanie, oszustwa, stopnie bez władzy, ławka w parku Gorkiego, gdzie włóczył się, karmiąc gołębie i obserwując dumnych mężczyzn w mundurach.

Hyde, Hyde, Hyde...

Dobrze, że choć Aubrey nie żyje. Przynajmniej to.

Schylił głowę, wsiadając na tylne siedzenie forda granady.

Wszystko odbyło się bez słowa. Spojrzenia, gesty, ponura jasność sytuacji, żadnych słów. Żadnych rozmów.

Kapustin wszedł szybko na pokład, gdy tylko samolot zatrzymał się w pobliżu głównego terminalu lotniska Domodiedowo. Zdawał się ogromny i pełen chłopięcej energii na tle ciasnej kabiny pierwszej klasy. Na jego kwadratowej, szerokiej twarzy widać było oznaki skrywanego zadowolenia. Aubrey ujrzał tę twarz, kiedy miał się spotkać z kobietą, na chwilę przed aresztowaniem, w ogrodach Belwederu w Wiedniu. Rozumiał też przyczynę tajemniczego uśmiechu. Ten człowiek przewidywał jego aresztowanie, a teraz jest zwiastunem ostatecznego upokorzenia i śmierci. Była to

satysfakcja bez nienawiści, profesjonalna satysfakcja, na widok złapanego w zastawioną sieć owada.

Kapustin wypowiedział kilka słów ironicznego powitania. Rosyjscy dyplomaci wysiadali. Przez okno dostrzegł Aubrey stłoczonych operatorów i dziennikarzy, publiczność, która miała go żegnać. Wkrótce pozostali sami w samolocie. Kapustin zaczął sprawdzać Massingerów, mamrotał coś niezrozumiale. Wyglądał przez okna, patrząc na samochody i kamery. Zatrzymał się przed Aubreyem.

Płaszcz opinał mu brzuch. Rękawiczki trzymał w ręku, a futrzaną czapkę pod pachą. Wełniany szalik owijał mu szyję. Był twardy jak gładz i nieustępliwy, kiedy nakazywał Aubreyowi wstać z fotela.

Oficer KGB podał Aubreyowi płaszcz i pomógł mu się ubrać. Aubrey spojrział w stronę kabiny, na Massingerów. Paul powoli uniośł rękę w pożegnalnym geście. Twarz miał bladą i wymizerowaną. Ramieniem obejmował plecy Margaret. Aubrey nie mógł znieść widoku tych dwojga dłużej niż przez chwilę. Czy kojarzył mu się ze zdradą? Nie, nie o to chodziło. Z pewnością z winą, ale również z żalem. Nie mógł odpowiadać za śmierć wszystkich tych amatorów, pechowców, którzy zginęli w ciągu ponad czterdziestu lat. A tym bardziej za śmierć przyjaciela. Ale teraz ponosi odpowiedzialność. Była to część jego epitafium, podobnie jak fotografie i telewizyjne migawki zrobione przez tych, którzy czekają na zewnątrz.

Odwrócił się od przygnębiającego widoku, niezdolny, by poradzić sobie z nieznanymi, przytłaczającymi uczuciami. Starał się je pokonać, patrząc na stewardesę stojącą w drzwiach samolotu. Nie mógł poradzić sobie ze świadomością, że czekające na niego kamery są coraz bliżej. Zimne, przejrzyste powietrze wdzierало się do wnętrza samolotu jak intruz.

Kapustin był za nim. Czy coś mówił, szeptał? Nie, tylko popychał go delikatnie i stanowczo w stronę wyjścia. Słońce. Zaskakująco silny powiew wiatru. Przestrzeń szarego betonu usiana pagórkami odgarniętego śniegu. Refleksy światła na ogromnych oknach. Patrzyli na niego zgromadzeni wśród tych rozbłysków ludzie. Lodowate powietrze zapierało dech w piersiach. Zakaszłał, jakby chciał oczyścić gardło przed wystąpieniem.

Wystąpieniem przed kręgiem operatorów i dziennikarzy, stojących u stóp schodków, którzy ciągnęli za sobą kable rozmieszczonych z tyłu kamer filmowych i telewizyjnych. Strażnicy. Kable kamer stwarzały odpowiedni dystans, pozwalający na to oszustwo. Aubrey nie mógł zawołać, nie usłyszeli by go. Mogli go widzieć, widzieć to, co Kapustin chciał, żeby widzieli, nagrali i uwierzyli. Potem mógł już tylko pośpiesznie wejść do jednego z czekających czarnych samochodów, żeby zniknąć.

Nie mógł się do nich zwrócić. Kaszel powodował suchość w gardle, bezsilność. Kapustin przepychał się na górny pomost znajdujących się za nim schodów. Słychać było szmer, jakby wiatr hulał w wysokiej, zeschniętej trawie, następnie pisk obiektywu i trzask automatycznych migawek. Suchy, okropny chór świerszczy na wypalonym polu. Aubrey nienawidził tego. Kamery pracowały nadal, bez przerwy, nagrywając kilometry taśmy, kaset wideo i filmów.

Zadowolenie Kapustina przytłaczało Aubreya niczym ciężki, utrudniający oddychanie koc. Kapustin trzymał go za ramię, pilnując, aby nie zmieniał pozycji.

Trącił go łokciem. Zaczął schodzić po schodach. Odgłos pracujących kamer wzrastał się. Żerowali na jego zdradzie. Żywili się oszustwem. Nie oczekiwano, żeby się uśmiechał. Kapustin bez wątpienia wołałby, żeby miał minę nachmurzoną, kiedy patrzy w obiektyw. Później uznane to zostanie za oznakę choroby lub napięcia. Zwiastun śmierci. Co najwyżej następnego dnia czytelnicy milionów gazet dojdą do wniosku, że miał w sobie jeszcze odrobinę wstydu i dlatego nie mógł przywołać na twarz uśmiechu.

Pojutrze przeczytają o jego śmierci i zgodnie uznają, że świat pozbył się go na dobre.

Ktoś idący od strony czarnych samochodów przedzierał się, torując sobie drogę łokciami, przez krąg zgromadzonych dziennikarzy. Wartownicy utworzyli przejście dla człowieka w mundurze KGB. Major. Szedł pośpiesznie. Straszne. Aubrey zachwiał się, jakby w obawie, że idący mężczyzna zamierzy się na niego, że ma taki plan. Wydało mu się, że to kroczy jego zabójca.

Major nie zatrzymał się u podnóża schodów. Wartownicy odepchnęli tłum operatorów i dziennikarzy od samochodów, tak aby nikt nie mógł rozmawiać z Aubreym lub usłyszeć jego ewentualnych okrzyków. Chór świerszczy kontynuował koncert.

- Co jest? - rzucił po rosyjsku Kapustin. To były jego pierwsze słowa od chwili, odkąd włożył płaszcz. Major zaczął coś mamrotać. Aubrey odwrócił się niemal leniwie. Leniwie jak starzec w stronę nowego centrum sceny. Świerszcze ucichły, a hałas przypominał teraz potrzaskiwanie kominka w sąsiednim pokoju. Aubrey nie mógł zrozumieć słów majora, tak jakby zapomniał rosyjskiego.

Dlatego wpatrywał się w twarz Kapustina. Chór migawek i silniczków aparatów fotograficznych osłabł. Był teraz bardziej niezdecydowany, jakby oczekiwał jakiegoś oszustwa lub triku. Aubrey nie słuchał słów majora ani zaprzeczeń Kapustina. Nie zwracał uwagi na jego rosnącą niecierpliwość i złość. Patrzył teraz na ręce oficera, który trzymaną w dłoni rękawiczką uderzał o drugą rękę opartą o poręcz schodów. Spojrzał znów na twarz Kapustina. Przeniósł wzrok na okna samolotu, ale w żadnym z nich nie dojrzał Massingera.

Zauważył posiłki, które pojawiły się w pobliżu samochodów. Była to bezładna, rozgadana grupa ludzi. Trzask migawek niemal ucichł. Odwrócił się i dostrzegł, jak zamiera uśmiech na twarzy stewardesy u szczytu schodów oraz dwóch ludzi z KGB stojących za nią.

Znów się odwrócił i zobaczył rozbłysk światła na szybie, odgarnięty na bok śnieg i biel poprzedzielaną brudnym błotem. Ujrzał taksówkę powietrzną, w chwili gdy rozpędzała się na głównym pasie startowym. Oznaczona była na bokach i ogonie symbolem zachodniej linii lotniczej. Oderwała się od ziemi i wznosiła ku niebu. Niebiesko-białe znaki. Air France.

Spojrzał na Kapustina. Przyjrzał mu się. Wiedział.

A więc coś, coś, coś...

Kapustin odwrócił głowę. Chwiejąc się lekko, ścisnął poręcz schodów. Ręka majora instynktownie podtrzymała go za łokieć. Ten gest wprawił Kapustina we wściekłość.

- Właż do środka - warknął po angielsku do Aubreya. - Do środka, natychmiast do środka.

Aubrey nie słyszał tych słów, ale zachował się zgodnie z poleceniem, w czym uprzejmie pomógł mu major. Coś się nie udało. Nie. Udało się, udało! Trzeba z tym wreszcie skończyć. Już niedługo będzie na tyle spokojny, aby odpowiadać na pytania, słuchać wyjaśnień. Ale w tej chwili wystarczyła mu świadomość, że ma to za sobą. Wreszcie za sobą. Schylił niepotrzebnie głowę, kiedy wchodził z powrotem do wnętrza samolotu.

Jego zamglone oczy natychmiast dostrzegły Massingerów. Ich głowy wystające zza oparcie foteli odwróciły się ku niemu z obawą.

Uśmiechnął się. Za nim szalał Kapustin. Babbington?... Hyde?...

Nie rozumiał. Za, jego plecami nie używano normalnej mowy. Rozumiał jedynie, że ma to za sobą. Margaret po chwili wahania uśmiechnęła się. Jej obrzmiałe, sine wargi z trudem próbowały ułożyć się w uśmiech. Twarz Paula rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. Może on rozumiał, mówił przecież po rosyjsku. Choć w zasadzie nie miało to znaczenia. Aubrey usiadł ostrożnie na jednym z foteli. Massingerowie szli do niego. Siedział nieruchomo jeszcze przez chwilę.

Czas przestał się liczyć. Nie miało już znaczenia, o ile się spóźnią. Jak długo będą musieli siedzieć na pokładzie samolotu. Czy zostanie zatankowany i czy pozwolą im wystartować do... Wiednia. Tak, pozwolą im wrócić do Wiednia, a nie do Londynu. A on będzie czekał. Po prostu będzie czekał, aż samolot wystartuje...

Ręka Massingera poklepywała rękaw jego płaszcza. Miły, przynoszący ulgę gest, który uspokoił Aubreya. Czuł się bardzo zmęczony. Margaret usiadła naprzeciw, po drugiej stronie wąskiego przejścia między fotelami, i śmiała się do niego, ale zaraz zaczęła płakać. Niemal bez przerwy łykała ślinę, jak gdyby próbując przełknąć wraz z nią ogarniające ją uczucia.

Aubrey kiwał głową w tym samym rytmie, w jakim ręka Massingera poklepywała go po rękawie. Tak. Mieli to już za sobą.

Nota o autorze

Craig Thomas urodził się w 1942 roku w Cardiff, w Wielkiej Brytanii. W swoim rodzinnym mieście ukończył szkołę średnią (Cardiff High School), a następnie kształcił się na uniwersytecie w Południowej Walii. Obecnie mieszka w pobliżu Lichfield w hrabstwie Staffordshire. Pierwsza jego powieść, zatytułowana *Rap Trap*, została wydana w 1976 r. Po niej przyszły kolejne jego książki: *Firefox* w 1977 r., *Wolfsbane*, *Snow Falcon*, *Sea Leopard*, a wreszcie *Firefox Down*, które uczyniły Craiga Thomasa czołowym autorem thrillerów po obu stronach Atlantyku.

SPIS TREŚCI

PRELUDIUM	1
CZEŚĆ PIERWSZA	
<i>Upaść jak Lucyfer</i>	25
Rozdział I. <i>Po upadku</i>	27
Rozdział II. <i>Targ Mięsny</i>	56
Rozdział III. <i>Ad acta</i>	88
Rozdział IV. <i>Wygnanie</i>	114
Rozdział V. <i>Wieczór nad miastem</i>	135
CZEŚĆ DRUGA	
<i>Najdłuższa podróż</i>	155
Rozdział VI. <i>Złota Droga</i>	157
Rozdział VII. <i>Strefa okupacyjna</i>	179
Rozdział VIII. <i>Urowadzenie</i>	203
Rozdział IX. <i>Więżniowie</i>	236
Rozdział X. <i>Wyprawa do granicy</i>	265
Rozdział XI. <i>Powrót</i>	285
Rozdział XII. <i>Wyznanie starego człowieka</i>	315
Rozdział XIII. <i>Nasze wszystkie Rubikony</i>	334
CZEŚĆ TRZECIA	
<i>Duchy w maszynie</i>	357
Rozdział XIV. <i>Starzy mężczyźni bez ojczyzny</i>	359
Rozdział XV. <i>Wejście</i>	385
Rozdział XVI. <i>W labiryncie</i>	420
Rozdział XVII. <i>Przesyłka do Moskwy</i>	457
Rozdział XVII. <i>Miejsce egzekucji</i>	485
Nota o autorze	519